

Philipp
VANDENBERG

SPISEK

FARAONÓW

SPISEK FARAONÓW

POSZUKIWANIE ŚLADÓW

Egipską boginię miłości i radości Bastet z dawien dawna nierzadko wiano jako siedzącą kotkę.

Zlecenie numer 1723 w monachijskim Instytucie Hermesa cenionym na całym świecie laboratorium badawczym, datującym i sprawdzającym dzieła sztuki, było zwykłą, rutynową sprawą. Autentyczność staro- egipskiej kotki Bastet miano na prośbę jej właściciela, prywatnego kolekcjonera, zbadać za pomocą metody termoluminescencyjnej. W celu przeprowadzenia badania konieczne było zeszkrobanie trzech gramów materiału w możliwie niewidocznym miejscu.

Asystentka pobrała więc próbkę z dolnej części figurki, z grubej na palec, około dziesięciocentymetrowej głębokości dziury od wewnętrznej strony, tak by uszkodzenie było jak najmniej widoczne.

Asystentka odkryła przy tym we wgłębieniu wciśniętą kartkę z napisem: „MORDERCA nr 73”, na co początkowo nie zwróciła uwagi, ale potem schowała kartkę w gabinecie osobliwości Instytutu, gdzie przechowywano rozmaite falsyfikaty i inne dziwne rzeczy.

Naukowe badanie kotki Bastet potwierdziło bez żadnych wątpliwości jej autentyczność, figurkę można było datować z dokładnością plus minus 100 lat na okres III dynastii. Dnia 7

lipca 1978 roku figurkę wraz z ekspertyzą i rachunkiem zwrócono kolekcjonerowi, a fakt ten odnotowano w tomie 24/78 księgi zamówień.

Podczas wizyty w Instytucie Hermesa, gdzie we wrześniu 1986 roku chciałem zostawić do zbadania pewien egzemplarz z mojego własnego, niewielkiego zbioru egipskich starożytności, zwróciłem uwagę na dziwną kartkę z napisem:

„MORDERCA nr 73”, a na moje pytanie udzielono mi informacji, którą przedstawiłem powyżej. Kiedy zapytałem, czy właściciel tego dzieła sztuki znalazł wyjaśnienie owego znaleziska, oświadczono mi, że zawiadomiono go o tej kartce, ale on się tylko roześmiał i oświadczył, że to z pewnością któryś z poprzednich właścicieli pozwolił sobie na żart, a poza tym interesuje go tylko to, czy przedmiot jest antykiem.

Wobec tego poprosiłem o nazwisko i adres właściciela tego dzieła sztuki, czego mi odmówiono z powodów zasadniczych.

Ja jednak tym czasem tak zaprzątnąłem sobie myśli owym wypadkiem — to znaczy wówczas jeszcze nie wiedziałem, czy chodzi o wypadek - że nie a em za wygraną i zaproponowałem, aby Instytut sam zwrócił się do właściciela, który może zechce powiedzieć coś więcej. Instytut obiecał, spełni moją prośbę

Zastanawiałem się wtedy, jaką drogę mam obrać, jeśli właściciel się nie zgłosi, myślałem nawet o przekupieniu kogoś w Instytucie, aby w ten sposób zdobyć konieczne informacje o właścicielu owej kartki z tajemniczym napisem; bo im dłużej się tą sprawą zajmowałem, tym bardziej dochodziłem do przekonania, że za kartką z napisem

„MORDERCA nr 73” z pewnością nie kryje się żart. Kolejna próba przekonania dyrektora Instytutu, by podał mi nazwisko, zakończyła się przyrzeczeniem, że ową kartkę (którą już tymczasem niewątpliwie wszyscy przeklinali) poddadzą naukowej analizie.

Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu przekazano mi za pośrednictwem Instytutu list, w którym dr Andreas B., ekonomista z Berlina, właściciel figurki kotki, informował, że dowiedział się o moim zainteresowaniu sprawą, ale niestety musi mnie rozczarować, ponieważ jest to przedmiot odziedziczony, nie do sprzedania.

Zatelefonowałem więc do dra B. i oświadczyłem, że nie chodzi mi

o kotkę, lecz jedynie o kartkę z tajemniczym napisem

„MORDERCA nr 73”, co u mego rozmówcy wzbudziło pewien sceptycyzm, tak że musiałem użyć wszystkich swoich talentów krasomówczych, by zechciał się spotkać ze mną w hotelu „Schweizer Hof” w Berlinie.

Poleciałem do Berlina i podczas wspólnej kolacji we wspomnianym hotelu, do którego dr B. przyprowadził swego znajomego jako świadka, co wzmocniło moją podejrzliwość, dowiedziałem się — tak w każdym razie twierdził mój rozmówca — że obecny właściciel rzeźby odziedziczył ją po swym ojcu Ferencu B., znanym kolekcjonerze antyków egipskich. Ferenc B. zmarł przed trzema laty w wieku siedemdziesięciu trzech lat. O pochodzeniu rzeźby dr B. nic nie powiedział, jego ojciec kupował przedmioty sztuki u marszandów i na aukcjach na całym świecie.

Na moje pytanie, czy posiada dowody kupna, jak to jest praktykowane wśród kolekcjonerów, mój rozmówca wykręcił

się mówiąc, że wszystkie dowody przechowuje jego matka, która też dysponuje większą częścią zbioru. Mieszka ona w Asconie nad Lago Maggiore. Rozmowa trwała cztery godziny i zakończyła się nadspodziewanie pomyślnie, kiedy zapewniłem obu mężczyzn, że nie interesuje mnie strona podatkowa zagadnienia.

Dowiedziałem się więc, że matka pana B. wyszła tymczasem za męża. Pan E., jej mąż, był podejrzanym typem, nikt w okolicy nie wiedział, w jaki sposób doszedł do pieniędzy, ale to w tych stronach nie jest rzadkością.

Wydawało mi się, że lepiej będzie nie zapowiadać swojej wizyty u pani E., gdyż obawiałem się, że nie zechce ona ze mną rozmawiać. Nie tracąc czasu, pojechałem do Ascony, gdzie zastałem panią E. samą. Wyglądała dość nędznie, była lekko pijana, ale dzięki temu

chętna do rozmowy. Co prawda nie chciała pokazać mi dowodów kupna rzeźby Bastet, oświadczyła,

że nie ma już tych papierów, ale dała mi, nie zdając sobie z tego sprawy, cenną wskazówkę co do pochodzenia rzeźby. Przypomniała sobie bowiem, że w maju 1974 w tajemniczy sposób zdechła kotka pana domu i właśnie wtedy Ferenc B. odkrył kotkę Bastet w katalogu aukcyjnym i oświadczył, że kupi ją na pamiątkę swej ulubionej kotki. Tak też się stało.

Niestety rozmowa została przerwana, ponieważ zjawił się mąż pani E., który bardzo nieufnie odniósł się do mojej prośby i w sposób grzeczny, ale stanowczy mnie wyprosił. Ale mogłem już teraz przystąpić do akcji. Na jednobrzmiące listy skierowane do największych domów aukcyjnych, zawierające jednakowo sformułowane pytanie, czy firma w maju 1974

przeprowadzała aukcję dzieł sztuki egipskiej, otrzymałem następujące odpowiedzi: Trzy domy odpowiedziały negatywnie, dwa w ogóle nie odpowiedziały, jedna odpowiedź

była pozytywna. Firma Christie's z Londynu zawiadomiła o aukcji sztuki egipskiej 11 lipca 1974 roku. Pojechałem więc do Londynu.

Główne biuro Christie's przy King Street, St. Jame's, robi wrażenie bardzo wytwornego, w każdym razie jeśli idzie o sale ogólnodostępne (utrzymane w wytwornej czerwieni), pomieszczenia wewnętrzne sprawiają wrażenie zaniedbanych.

Przede wszystkim archiwum, w którym przechowuje się katalogi i sprawozdania z wyników aukcji. Podałem się za kolekcjonera i pozwolono mi wejść do zakurzonego pomieszczenia ze starymi katalogami. Miss Clayton, elegancka dama w okularach, która z uroczym uśmiechem znosiła swój wiek, towarzyszyła mi i pomagała się zorientować w topografii pomieszczenia.

Jak wynikało z katalogu rzeźby egipskiej z dnia 11 lipca 1974,' znaczna część dostawy pochodziła ze spadku po kolekcjonerze nowojorskim, w tym figurka byka Apisa z IV

dynastii i statuetka Horusa z Memfis. Pod „Los nr 122” trafiłem w końcu na poszukiwaną kotkę Bastet z III dynastii, przypuszczalnie z Sakkary. Udałem, że ten przedmiot jest w moim posiadaniu, i oznajmiłem, że bardzo zależy mi na pełnej liście jego poprzednich właścicieli. Poprosiłem, aby podano mi nazwiska dostawców i nabywców tej rzeźby.

Lecz rezolutna kobieta odmówiła mi, zatrzasnęła katalog i odstawiła go na miejsce; zapytała tylko niechętnie, czy może coś jeszcze dla mnie zrobić. Zaprzeczyłem i podziękowałem jej za pomoc, ponieważ spostrzegłem, że już nie posunę się dalej. Wychodząc rozpocząłem z Miss Clayton rozmowę na temat gastronomii londyńskiej, która dla Europejczyka z kontynentu stanowi księgę o siedmiu pieczęciach, i odniosłem zwycięstwo. Każdy Anglik, z którym poruszy się temat angielskiej sztuki kulinarnej, zaczyna jej żywo bronić — tak też uczyniła

Miss CJayton. Trzeba tylko znać odpowiednie lokale, powiedziała, a jej oczy za szklami okularów zaśniły.

Dyskusja zakończyła się umówionym spotkaniem w „Four Seasons” w South Kensington.

Uprzedzam z góry: nie warto byłoby wspominać o tym obiedzie, gdyby pomiędzy przystawkami a

deserem nie doszło do ciekawej rozmowy, podczas której wielokrotnie miałem sposobność pochwalić niezwykłą znajomość międzynarodowego rynku aukcyjnego, jaką wykazywała Miss Clayton. Dalszymi komplementami, wykraczającymi poza jej działalność zawodową, zdobyłem zaufanie Miss Clayton i zapewnienie, że wbrew przepisom udostępni mi pod przysięgą nazwiska dostawców i nabywców „Losu nr 122”.

Kiedy nazajutrz przyszedłem do Miss Clayton do biura, wydawała się zdenerwowana, podała mi kartkę z dwoma nazwiskami i adresami, z których jedno już znałem: Ferenc B.

Szybko dodała, że mam zapomnieć o naszej wczorajszej rozmowie, powiedziała bowiem więcej, niż jej było wolno, doskonale wino rozwiązało jej język, bardzo tego żałuje. Na moją propozycję, abyśmy się jeszcze raz spotkali, odpowiedziała energicznym „nie”, prosząc o wybaczenie.

W barze hotelu „Gloucester”, gdzie zwykle zatrzymywałem się w Londynie, zastanawiałem się, z czym takim się Miss Clayton wygadała, i chociaż dokładnie odtworzyłem sobie w pamięci całą rozmowę z ubiegłego wieczoru, nie znalazłem punktu zaczepienia. W każdym razie miałem teraz nazwisko sprzedawcy, prawdopodobnie był to Egipcjanin: Gemal Gadalla, zamieszkały w Brighton, Sussex, Abbey Road 34; było lato, postanowiłem więc pojechać do Brighton, gdzie zatrzymałem się w hotelu „Metropol” na King’s Road. Portier, starszy, uprzejmy mężczyzna, którego trudno było sobie wyobrazić inaczej niż w surducie, oburzony uniósł brwi, kiedy zapytałem go o Abbey Road, i rzekł ceremonialnie i wyniośle, zgodnie z duchem hotelu z przełomu stulecia, że bardzo żałuje, ale nie zna w Brighton ulicy o takiej czy podobnej nazwie; również w roku 1974 nie było tu ulicy, która by się tak nazywała, wie to z całą pewnością. Wobec tego zatelefonowałem do Miss Clayton do Londynu z zapytaniem, czy się przypadkiem nie pomyliła, ale ona bardzo zdenerwowana odpowiedziała, że omyłka jest wykluczona, i błagała mnie, abym zaniechał dalszych poszukiwań. Na moje dociekliwe pytania, czy coś przede mną ukryła, odłożyła słuchawkę.

Tak więc dla mnie historia doszła do point of no return, i o ile przedtem — co muszę przyznać — wykazywałem żywą wyobraźnię lub tylko miałem przeczucie, o tyle teraz moje przypuszczenia stały się pewnością: za niepozorną kartką z napisem „MORDERCA nr 73” kryje się jakaś tajemnica.

Wróciłem do Londynu. Na Fleet Street złożyłem wizytę w redakcji „Daily Express”, o której wiedziałem, że posiada wspaniałe archiwum. Poprosiłem o pokazanie mi gazet z lipca 1974, bo wiedziałem, że informacje o aukcjach zawsze cieszył się w Londynie wielkim zainteresowaniem; może więc znajdę tam jakąś wskazówkę. Pod datą 13 lipca nie znalazłem jednak nic, co by wzbogaciło moją wiedzę o tym; ale nie dałem za wygraną i udałem się do redakcji innego londyńskiego pisma, przy czym dopomógł mi przypadek.

„The Sun” pisała przed wielu laty

o mojej pierwszej książce. A więc poszedłem tam i również poprosiłem

o zszywkę gazet z lipca 1974 i tu coś znalazłem. Dnia 12 lipca 1974 roku „The Sun” donosiła pod tytułem Trup siedział na sali aukcyjnej, co następuje:

„W dniu wczorajszym podczas aukcji rzeźb egipskich w firmie Christie’s zdarzył się tragiczny

wypadek. Kolekcjoner z numerem ofert) 135 zmarł na atak serca. Nikt nie zauważył

tego faktu. Pracownicy domu aukcyjnego odkryli mężczyznę dopiero po aukcji, o dziewiątej wieczorem, skulonego w krześle w przedostatnim rzędzie. Sądziło się, że zasnął. Usiłowano go obudzić, ale bezskutecznie; wezwano więc lekarza. Ten stwierdził zgon. Zmarły nazywał się Omar Moussa i mieszkał

w Dusseldorfie.”

Oczywiście zadałem sobie pytanie, czy Moussa zmarł

śmiercią naturalną, istniała przecież owa kartka z napisem

„Morderca”. Czy to przypadek, że właśnie ta kartka była wetknięta w przedmiot, który miał być sprzedany na aukcji w dniu, kiedy Moussa zmarł?

Przeprowadzona tymczasem w Instytucie Hermesa w Monachium analiza kartki z napisem dała następujące wyniki: Papier został sporządzony na początku lat siedemdziesiątych, prawdopodobnie poza Europą.

Czy morderca — jeśli o takiego chodziło — miał numer oferty 73? Kto się krył za numerem 73? By tę sprawę wyjaśnić, poszedłem do firmy Christie's, gdzie ze zdumieniem dowiedziałem się, że Miss Clayton w popłochu opuściła biuro; jako powód podała sprawy rodzinne. Nie dałem się odprawić i poszedłem do Deputy Chairman Christophera Thimbleby'ego.

Christopher Thimbleby przyjął mnie w ciasnym, mrocznym gabinecie i wyraźnie nie był zachwycony moim podejrzeniem, że w świętych halach jego szacownego domu — istniejącego bądź co bądź od 1766 roku — popełniono morderstwo. Przede wszystkim, rzekł, a nie mogłem mu zaprzeczyć, jaki motyw miałby ów człowiek? Prośbę o podanie nazwiska mężczyzny kryjącego się pod numerem 73 Thimbleby odrzucił z oburzeniem — niczego innego się nie spodziewałem.

Oświadczyłem mu, że nic mnie nie powstrzyma od dalszych poszukiwań, musi

się też liczyć z tym, że postawię sprawę na forum publicznym, nawet gdyby cała historia miała się okazać niewypałem. Mój rozmówca się zamyślił.

A więc dobrze, rzekł wreszcie, ze względu na szczególną sytuację gotów jest poprzeć moje poszukiwania. Ale pod warunkiem, że stale będę go o wszystkim informował i unikał

rozgłosu, póki nie zostanie dowiedzione, iż popełniono zbrodnię.

Przemilczałem mój poprzedni kontakt z Miss Clayton i kiedy wspólnie poszliśmy do archiwum, udałem, że jestem tu po raz pierwszy, co przyszło mi z trudem, ponieważ Thimbleby niezdarnie i w niewłaściwym miejscu szukał akt, które ja już widziałem. Thimbleby tłumaczył się, że osoba, która się tym zajmuje, jest nieobecna; po nerwowym poszukiwaniu trafił jednak na właściwe miejsce... na lukę na półce. Nie wierzyłem własnym oczom. Poszukiwane akta, które jeszcze przed kilkoma dniami widziałem, znikły.

Teraz sprawa wydała mi się podejrzana. Zostawiłem swój adres hotelowy, na wypadek gdyby dokumenty się znalazły, i pożegnałem się — muszę przyznać — dość zirytowany.

Wszędzie, gdziekolwiek szukałem, natrafiałem na mur.

W takich chwilach bezradności, kiedy po prostu nie wiem, co robić dalej, zawsze odwiedzam muzea i rozmawiam z eksponatami. Tym razem poszedłem do British Museum, a obiektem moich myśli był kamień z Rosetty, owa czarna płyta z bazaltu, którą znalazł jeden z oficerów Napoleona w pobliżu miasta egipskiego o tej samej nazwie i na której widnieje napis w trzech językach, czternaście linijek hieroglifów, trzydzieści jeden linijek pisma demotycznego i pięćdziesiąt cztery linijki pisma greckiego, które pewnemu francuskiemu uczonemu posłużyło kiedyś za podstawę do rozszyfrowania hieroglifów.

W wyniku rozmyślań przed kamieniem z Rosetty postanowiłem przemierzyć jeszcze raz od początku całą trasę moich dotychczasowych poszukiwań. Przed zaplanowanym nazajutrz odjazdem nagle przyszło mi do głowy, żeby poszukać Miss Clayton. Jej adres znalazłem w książce telefonicznej: Queensgate Place Mews, Kensington. Wąskie, jednopiętrowe, białe tynkowane domy, na parterze przeważnie małe warsztaty samochodowe lub sklepy, jezdnia wybrukowana kocimi łbami.

Zapytałem mechanika samochodowego, który w regularnych odstępach wyłaniał się zza chłodnicy starego wozu, czy zna Miss Clayton.

Oczywiście, ale Miss Clayton wyjechała do Egiptu i nie wiadomo, kiedy wróci. Udałem, że jestem starym przyjacielem Miss Clayton, i zapytałem, czy zna jej miejsce pobytu w Egipcie. Mechanik wzruszył ramionami. Może wie jej matka, starsza pani, która mieszka na północy, w Hanwell, Uxbridge Road. Najdogodniej byłoby pojechać tam pociągiem z Victoria Station, jedzie się godzinę. Byłem przekonany, że tam zastanę Miss Clayton; od razu więc udałem się w drogę.

Podczas podróży do Hanwell zaczął padać deszcz, który zwykle sprawia, że beznadziejne londyńskie przedmieścia stają się jeszcze bardziej beznadziejne. Byłem jedynym pasażerem, który wysiadł w Hanwell na starej, zaniedbanej stacji; na ulicy stała oszklona budka z napisem: Tkxi.

Uxbridge Road.

Funt pięćdziesiąt.

Mrs. Clayton, drobna, siwa kobieta, na której pomarszczonej twarzy wciąż pojawiał się uśmiech, ucieszyła się wyraźnie z niespodziewanej wizyty; nastawiła herbatę.

Udałem, że jestem przyjacielem jej córki, i Mrs. Clayton zaczęła chętnie opowiadać o Juliet. Ale o wiele ważniejsza była dla mnie informacja, że Miss Clayton przebywa w

„Sheratonie” w Kairze, gdzie regularnie się zatrzymuje.

Regularnie?

No tak, raz lub dwa razy w roku, chyba wiem, jak bardzo ona kocha Egipt?

Ależ oczywiście, zapewniłem starszą panią. Podczas rozmowy dowiedziałem się też, że Miss Clayton spędziła w Egipcie wiele lat, że mówi płynnie po arabsku i utrzymuje bliskie stosunki z pewnym Egipcjaninem, którego Mrs.

Clayton nazywała Ibrahimem. Kiedy rozmowa zeszła na londyńską pogodę, pożegnałem się uprzejmie.

Gdy wróciłem do hotelu, czekała na mnie niespodzianka.

Portier wręczył mi wiadomość od Christophera Thimbleby'ego: Numer 73 to niejaki Gemal Gadalla, zamieszkały w Brighton, Sussex, Abbey Road 34, a więc owo widmo, którego już poszukiwałem jako właściciela kotki Bastet. I znów powstała sytuacja, która wymagała wizyty w muzeum albo dłuższego przebywania w pubie, a ponieważ było już późno, zdecydowałem się na „Magpie and Stump”, Old Bailey; znalazłem tam niszę przy oknie, jakie dawniej wynajmowano za ciężkie pieniądze, gdy odbywały się publiczne egzekucje. Piłem „Lager” i „Stout”, wlewałem w siebie całą swoją bezradność i nie wiem, jak by się ten wieczór zakończył, gdyby mężczyźni siedzący naprzeciwko, świński blondyn o niezliczonych piegach na dłoniach, nie westchnął nagle dramatycznie i zwracając ku mnie swoją szeroką twarz, nie zaklął: Te baby, te przeklęte baby!

Zapytałem uprzejmie, co ma na myśli, a on odpowiedział z pogardliwym ruchem ręki, że nie muszę się krępować, ale widać po mnie nawet w półmroku Old Bailey, że mam kłopoty z babą — tak się wyraził — następnie mrugnął do mnie i zasłaniając usta dłonią, aby nikt nie mógł podsłuchać, dodał, że w Wales są najlepsze kobiety, trochę staroświeckie, ale miłe i wierne, a potem wyciągnął do mnie piegowatą dłoń i powiedział, że nazywa się Nigel.

Nigel przyjął ze zdumieniem informację, że po pierwsze, nie jestem Brytyjczykiem, po drugie, wcale nie trapi mnie cierpienie miłosne lub coś podobnego, wobec czego uznał za stosowne zacząć opowiadanie o wojnie. Czy sprawiło to piwo, czy też moja niechęć do tego rodzaju opowieści, w każdym razie przerwałem Nigelowi potok słów pytaniem, czy naprawdę chciałby się dowiedzieć, co mnie trapi, a kiedy przytaknął i objął głowę dłońmi, zacząłem mu opowiadać swoją historię. Póki mówiłem, Nigel się nie odzywał, tylko od czasu do czasu kręcił głową, jakby nie rozumiał; milczał też jeszcze długo, kiedy skończyłem. Chyba, zaczął wreszcie, jestem pisarzem, świetnie wymyśliłem tę historię, ale nie jest ona prawdziwa, w każdym razie nikt w coś takiego nie uwierzy.

Musiałem wykorzystać całe swoje krasomówstwo i postawić co najmniej pół tuzina „Stout” w celu przekonania mojego przyjaciela, że historia, którą mu opowiedziałem, jest prawdziwa; wreszcie się zgodził, a więc dobrze, może bywają takie wariackie zdarzenia jak to, ale co wobec tego zamierzam zrobić. Gdybym wiedział, odparłem, to chybabym mu tej historii nie opowiadał.

Nigel się zastanawiał, uderzając płaską dłonią po bejcowanym na czarno blacie stołu, a potem zaczął mrużyć coś o zagmatwaniu, czy co tam oznacza po niemiecku słowo entanglement.

Moje spotkanie w „Magpie and Stump” w ogóle nie byłoby warte wzmianki, gdyby Nigel nagle nie podniósł wzroku i nie powiedział, że jeśli ten Gemal Gadalla nie istnieje, to może manszard Omar Moussa jest także tylko widmem, co o tym sędzę?

W dwa dni później w Dusseldorfie zająłem się tą sprawą; na razie wydawało się, że wszystko idzie dobrze, bo znalazłem w książce telefonicznej nazwisko Omara Moussy i informację: Antykwariusz, Königsallee — najpiękniejszy adres.

Spodziewałem się, że znajdę syna owego Omara Moussy, który zmarł w domu aukcyjnym Christie's, ale kiedy wszedłem do wytwornego sklepu z rzadkimi antykami i podałem kulturalnemu starszemu panu powód mojej wizyty, dowiedziałem się czegoś całkiem innego.

O

nie, to on sam jest owym Moussą, którego znaleziono w Londynie martwego, może na to przysiąc, przy czym wzruszył

ramionami i zachichotał. Nie pozostało mi nic innego jak również się zaśmiać, sądziłem przecież, że stary żartuje.

Wreszcie mężczyzna spoważniał, mruknął, że nie chce już mieć z tą sprawą nic wspólnego, ale wyczytał widocznie na mojej twarzy bezradność i jak gdyby litując się nade mną, zaczął mówić.

Tak więc dowiedziałem się, że ów człowiek, który zmarł

podczas aukcji, był jego sobowtórem, prawdopodobnie tajnym agentem, wyposażonym w dokumenty, które od jego papierów różniły się tylko zdjęciem. Ów sobowtór miał przy sobie paszport, prawo jazdy, nawet karty kredytowe wydane na jego nazwisko. Moussa nawet wie, w jaki sposób wszedł on w posiadanie tych papierów. Podczas włamania do samochodu w centrum Dusseldorfu skradziono mu co prawda radio, ale nie ruszono niewidocznego portfela ze schowka na rękawiczki, co go bardzo ucieszyło. Później uświadomił sobie, że to włamanie było jedynie pretekstem służącym do tego, by skopiować i sfalszować jego dokumenty. Ale o tym dowiedział się Moussa dopiero znacznie później. Na razie sprawa nie miała dla niego dalszych konsekwencji — aż do owego dnia, kiedy on i jego sobowtór, nie wiedząc o tym, spotkali się; w każdym razie na sali podczas aukcji widziano dwóch Omarów Moussów, jego, autentycznego Omara Mousse, i drugiego, fałszywego — zwariowana sytuacja.

Przerwałem nagle rozmówcy i zapytałem, czy to był

przypadek, że Moussa wziął udział właśnie w tej aukcji.

Przypadek? Moussa wyciągnął dłonie. Nic w życiu nie jest przypadkowe, on starał się na zlecenie klienta zdobyć rozmaite przedmioty, nic poza tym. Umilkł, wydało mi się, jak gdybyśmy obaj pomyśleli o tym samym, a ponieważ Moussa wciąż jeszcze milczał, zapytałem: Kto — jeśli naprawdę chodzi o zbrodnię — był celem zamachu, prawdziwy czy fałszywy Moussa?

Stary człowiek nabrał głęboko powietrza, założył ręce za plecami i przechadzał się po dużym jedwabnym dywanie, który zdobił środek sklepu; potem zaczął ze szczególną dokładnością opowiadać, że lekarz stwierdził zgon wskutek zawału serca, że on sam dowiedział się o swojej śmierci podczas drogi powrotnej z Anglii, co było szczególnie ma-kabryczne. Kiedy dał znać, że

żyje, Scotland Yard przejął

sprawę; on sam został wezwany do Londynu, chętnie tam pojechał, przecież w jego interesie leżało, by sprawę wyjaśnić.

Spędził wiele godzin w Victoria Embankment, siedzibie Scotland Yardu, zadawano mu niezliczone pytania, aż wreszcie on sam poczuł się winny, że nie jest zmarłym Moussą. Zresztą o morderstwie w ogóle nie było mowy, przecież lekarz stwierdził, że zgon nastąpił wskutek zawału serca. Nie wyjaśniono także nigdy tożsamości zmarłego.

Scotland Yard odłożył sprawę ad acta ze stwierdzeniem, że sobowtór był agentem tajnych służb i podczas śledzenia przebiegu aukcji dosięgła go śmierć.

Naszą rozmowę przerwało wejście klienta, którego zainteresowały dwa chińskie wazony. Czy to Wucai? I podczas gdy obaj mężczyźni rozmawiali fachowo, ja mogłem się dokładniej przyjrzeć Moussie. Miał orientalną karnację, co najmniej sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, a jego zgrabna postać, elegancka dwurzędówka i pewna dystynkcja w zachowaniu nadawały mu swoistą nobliwość, słowem, wyglądał tak, jak powinien wyglądać poważny marszand, i trudno było sobie wyobrazić, że człowiek ten mógł być uwikłany w jakieś sprawy związane z wywiadem.

Ale prawdę mówiąc, historia, którą mi zaprezentował najpierw z uśmiechem, a potem z nieszczęśliwą miną, wydała mi się dość podejrzana, brzmiała zaś w dodatku tak, jakby Moussa koniecznie chciał dowieść, że nie ma z tą sprawą nic wspólnego.

Kiedy klient wyszedł, zapytałem zniechęconego, czy słyszał

kiedy nazwisko Gemal Gadalla. Nie, odparł Moussa niechętnie, poza tym to wszystko działo się na szczęście tak dawno. I poprosił mnie uprzejmie, ale stanowczo, bym przestał się zajmować tą sprawą, dość się z jej powodu nacierpiał. Moje uszanowanie, rzekł.

Chciałem jeszcze zapytać, czy mówi mu coś imię Juliet Clayton, ale nie zdążyłem, gdyż Moussa bez słowa otworzył

przede mną drzwi.

Sytuacja, w jakiej się znalazłem, przypominała grę w pokera: trzeba się starać wygrać, mając także złe karty, a muszę przyznać, że miałem karty jak najgorsze; ale sprawa ta mnie opętała, a była to na pewno sprawa niesamowita.

Zrekapitulujmy, co dotychczas się zdarzyło, nie wymieniając przy tym żadnych imion ani miejsc zdarzeń.

Przypadkowe odkrycie wskazuje, że dokonano morderstwa.

Owszem, należy przyznać, że odkrycie jest tak absurdalne, iż na razie nikt nie traktuje tego serio. Ale już pierwsze dochodzenia pozwalają ujrzeć je w innym świetle. Oto w czasie aukcji dzieł sztuki umiera człowiek. Stwierdza się urzędowo, że śmierć nastąpiła wskutek zawału serca. Zgoda.

Nazwisko zmarłego jest znane, ale okazuje się, że to był

sobowtór i że jego odpowiednik znajdował się w tym samym czasie w tym samym miejscu. Jeśli wierzyć poszlakom, to ów mężczyzna został zamordowany w sposób podstępny, być może za pomocą trucizny albo zastrzyku działającego bezpośrednio na serce. Ale człowiek, któremu się ten czyn zarzuca, to widmo, on wcale nie istnieje, w każdym razie nie pod tym imieniem ani pod tym adresem.

I jest jeszcze coś, co nie ułatwia poszukiwań: wszyscy, w jakikolwiek sposób powiązani z tą sprawą usiłują ten wypadek zbagatelizować albo zachowują się tak, jak gdyby sprawa miała jakiś dodatkowy podtekst.

Uszeregowany w ten sposób łańcuch poszlak nie miał

sensu, wywnioskowałem więc, że jeśli chcę do czegoś dojść, muszę porzucić asfaltową drogę logiki; bo jeśli się zastanowić, to wszystkiemu, czego dotąd w tej sprawie się dowiedziałem, brakowało właśnie logiki.

By dowiedzieć się czegoś więcej o Moussie, odwiedzałem innych handlarzy antykami, udawałem przy tym, że chcę ulokować w tej branży pieniądze, ale nie znam się na tym, pragnę tylko uniknąć w ten sposób

płacenia podatku. Dzięki temu nie musiałem się wykazywać znajomością starych dywanów, barokowych mebli ani ceramiki azjatyckiej, jednocześnie zaś moje zachowanie wydawało się wiarygodne. Podczas rozmów na temat sprzedaży wtrącałem, że widziałem u Moussy dwa chińskie wazy Wucai; czy temu Moussie można zaufać?

W dwóch wypadkach natrafiłem na dużą rezerwę, zignorowano moje pytania, a na ponowne zapytanie otrzymałem w odpowiedzi tylko powściągliwy uśmiech; jak wiadomo, kruk krukowi oka nie wykolę. Urzecz antykwarem, mniej wytworny, co widać było już z usytuowania sklepu w jednej z bocznych ulic od Königsallee, okazał się rozmowny, nie krył się ze swoją opinią. Wszystkie gazety wszakże podawały, że ten Moussa sprzedał dwa średniowieczne stoły refektarza za pięciocyfrową kwotę; w rzeczywistości nie miały one nawet dziesięciu lat. a fałszerstwo wykrył pewien kolekcjoner, który zauważył ślady śrutu, wstrzelonego jako dziury po robakach toczących drewno.

Od razu podjąłem rozmowę, mówiąc o tajemniczych okolicznościach śmierci jego sobowtóra w Londynie, co spowodowało uspokajający gest mojego rozmówcy i jego niechętną, a nawet obraźliwą uwagę

o Moussie, której nie chcę tu powtarzać, a która jednak jeszcze bardziej uświadomiła mi, że ten człowiek nie zaliczał Moussy do swych przyjaciół.

Nienawiść rozwiązuje język. Pod tym względem mężczyzna okazał się dla mnie prawdziwym skarbem i bardzo szybko dowiedziałem się

o sprawach, które co prawda nie posunęły mnie dalej w moich dociekaniach, ale ukazały w sposób plastyczny Mousse-

człowieka. Powód owej wrogości tkwił w bardzo odległej w czasie przyjaźni obu mężczyzn

1 nieudanej przed laty próbie nawiązania między nimi stosunków handlowych. Kassar, bo tak nazywał się ów zawiedziony, sądził, że za owym zdarzeniem w Londynie z tajemniczym sobowtorem kryje się jakaś awantura, w którą jest zamieszany ów Moussa. Na moje pytanie, co należy rozumieć przez to określenie, Kassar odparł, że nie wyobrażam sobie nawet, co się dzieje na międzynarodowym rynku starożytności, panują tam mord, gwałt i przemoc.

Teraz uznałem, że już pora podać prawdziwy powód mojej wizyty. objaśniłem i udowodniłem słuszność mojego podejrzenia, że sobowtór został zamordowany, i zreferowałem wszystko, czego się dotąd dowiedziałem. Kassar był

zafascynowany, przyrzekł mi natychmiast pomoc w dalszych poszukiwaniach. Wreszcie miałem sprzymierzeńca.

Naprzeciwko toru wyścigowego znajduje się niepozorny lokal „Pod Uparciuchem”. Tam umówiłem się z Kassarem na kolację i poznałem życiorys Moussy ze wszystkimi szczegółami, z których najciekawszy wydał mi się fakt, że ma on żonę Egipcjanekę. Sposób, w jaki Kassar ją opisywał, wywarł na mnie wrażenie, że on sam kochał się w tej kobiecie.

Należało

r/-

zachować ostrożność przy wszystkich informacjach dotyczących Moussy, ale jedno wydawało się pewne, to mianowicie, że żył znacznie ponad stan. Dom na Ibizie, mieszkanie na Sylt i apartament wraz z jachtem na bulwarze Las Olas w Fort Lauderdale to tylko kilka drobiazgów, o któ-

rych wiedział Kassar i o których mówił, że dla uczciwego antykwariusza byłyby one nieosiągalne.

Jakieś ciemne sprawki? Kassar wzruszył ramionami.

Niczego mu nie może dowieść, choć już od lat śledzi jego interesy. Ikkże moje przypuszczenie, że swej firmy używa tylko jako zasłony dymnej, a tak naprawdę zajmuje się całkiem czymś innym, Kassar odrzucił. Moussa jest specjalistą w swojej dziedzinie, całkowicie oddanym swemu zawodowi, nie można mu odmówić znakomitej znajomości tej branży; wielu uważa go za najlepszego w Europie eksperta od starożytności egipskich, chociaż nigdy nie studiował. Kassar powiedział to z goryczą w głosie, która wskazywała, że on chyba te studia ukończył.

Kiedy opuściliśmy lokal, wiedziałem co prawda wiele o tym człowieku i byłem całkiem pewny, że Moussa gra główną rolę w całej sprawie, ale ten wieczór nie przybliżył mnie do rozwiązania zagadki.

W nadziei, że spotkam Miss Clayton, poleciałem do Kairu, ale ten krok okazał się opaczny. Miss Clayton bowiem już wyjechała; czy udała się w głąb lądu, czy do Londynu, tego nie umiano mi powiedzieć w hotelu. Wobec tego skorzystałem z pobytu w Egipcie, by poszukać śladów Moussy. Od antykwariuszy i ludzi prowadzących wykopaliska w Kairze niczego się nie dowiedziałem, patrzono

na mnie nawet podejrzliwie, tak że po kilku dniach wyjechałem; udałem się dalej do Minii w środkowym Egipcie, gdzie przed laty poznałem pewną rodzinę, złożoną z ojca, matki i trzech synów, która żyła z rabowania grobów na terenie Tell-el- -

Amama. Ale i tu nazwisko Moussy nie było znane, wróciłem więc do domu, nic nie osiągnąwszy.

Zainwestowałem już mnóstwo czasu, nie posuwając się ani o krok dalej, a ponieważ zbliżał się termin oddania książki, którą pisałem, odłożyłem tymczasem sprawę na bok, choć nie mogłem powstrzymać kłębowiska myśli. Tak minął prawie rok, aż pewnego dnia otrzymałem list od Kassara. Moussa zmarł, tym razem naprawdę, a w spuściźnie po nim znaleziono coś, co mnie z pewnością zainteresuje. Natychmiast udałem się do Dusseldorfu. Ku memu zdziwieniu zastałem Kassara w harmonijnej zgodzie z wdową po Moussie. O zmarłym nie było mowy. Za to Kassar podał mi paczkę brązowych kartek zapisanych arabskim pismem, brudnych i niechlujnych, które stanowiły rezultat mozolnej pracy. Znaleziono to w skrytce pocztowej, którą Moussa posiadał.

Spojrzałem na Kassara pytająco, ale on tylko rzekł, abym to przeczytał, wtedy znajdę odpowiedzi na wszystkie pytania, i zachichotał przy

tym znacząco. Nie znałem arabskiego, powiedziałem więc, że muszę zaangażować tłumacza. No tak, rzekł Kassar, to chyba konieczne.

Zapytałem Kassara, czy wie, co te kartki zawierają.

Oczywiście, odpowiedział, co prawda nie wszystko, ale wie przynajmniej tyle, że Moussa i wydarzenia z nim związane wydają mu się już mniej tajemnicze. Rzecz jasna, że chciałem się jak najprędzej dowiedzieć, co zawierają owe kartki, lecz Kassar uparcie, w sposób niemalże sadystyczny odmawiał

powiedzenia mi czegokolwiek. Mogę wziąć papiery, rzekł, prawdopodobnie i tak będę jedynym, który zrozumie ich treść w całej doniosłości, a on nie wątpi, że powstanie z tego książka.

Kassar miał rację. Zatrudniłem panią Shirin, Egipcjanek mieszkającą w Monachium, która codziennie po trzy godziny czytała mi arabski tekst, tak jak został zapisany, a ja robiłem notatki. Czasem to, co usłyszałem, było tak podniecające, że zapominałem o notowaniu i później musiałem te fragmenty z trudem odtwarzać z pamięci. Niektóre rzeczy należało przeformułować w celu lepszego zrozumienia, ale starałem się w miarę możliwości zachować sposób wyrażania się pamiętnikarza — bo chodziło tu o pamiętnik — inne rzeczy sam uzupełniałem na podstawie źródeł, które otwarły się dla mnie w trakcie pracy.

Oto historia Omara Moussy, człowieka, który zbliżył się do tego, co niepojęte.

„MENA HOUSE” I „WINTER PALACE”

I każdemu człowiekowi Przywiązaliśmy do szyi jego los, i w Dniu Zmartwychwstania My wyciągniemy księgę, którą on znajdzie rozpostartą: „Przeczytaj swoją księgę!

Ona dziś wystarczy tobie jako wystawiony ci rachunek!”*

Koran, sura XVII

„W imię Allaha Wszelchłitościwego” — tak zaczynają się zapiski Omara Moussy. „Są to słowa starego grzesznika, któremu pozostało być może kilka tygodni albo kilka miesięcy życia, którego dręczą wyrzuty sumienia i powodują bezsenne noce. Są to słowa Omara Moussy, których dotąd nikomu nie powierzył, po pierwsze dlatego, że zbędne jest głośne mówienie, jako że Allah i tak zna myśli tajemne i najgłębiej ukryte, po drugie dlatego, że nikt nie dałby wiary tym słowom.

Niewątpliwie życie moje obciążone było winą, ale był to los przypisany mi z woli Najwyższego, który jak On sam powiada, przebacza wszystkie grzechy poza jednym, kiedy sadza się u jego boku inną istotę. Tego nigdy nie uczyniłem.

Nigdy też nie złamałem przepisu postu w dziewiątym miesiącu i zawsze myślałem o nieparzystej nocy, kiedy to Koran pojawił się na ziemi. Byłem na wielkiej pielgrzymce w Mekce, spełniałem nakazy modlitwy i obmywania się, a kiedy mi się lepiej powodziło, z własnej woli płaciłem podatki na rzecz ubogich. Wino, wieprzowina, krew i padlina budziły we mnie wstręt. Kobiety, które spotykałem, nigdy nie miały powodu do skarg, a ta, którą poślubiłem, na pewno mnie przeżyje”.

Omar Moussa mógłby być zadowolony ze swego losu, który zaczął się bezimiennie jak los Mojżesza, i jednym okiem mógłby zerkać w stronę ogrójca wieczności, przyrzeczonego jako nagroda pobożnym, gdyby nie ów bagaż, którym obciążono go przed niemal pół wiekiem, kiedy to ujrzał takie rzeczy, jakich nikt jeszcze nie widział, i jego nędzne życie zmieniło się z dnia na dzień.

By zrozumieć, jak się to wszystko stało, należy tu przedstawić jego życie, tak jak on je sobie przypominał lub jak mu o nim opowiadano: Ciemne jak burza piaskowa były jego narodziny, nie znał ani ojca, ani matki, kiedy miał kilka dni, przywiązano go w skórzanym worku do klamki bramy karawanseraju, położonego naprzeciw hotelu „Mena House”. Stary Moussa, który miał siedem wielbłądów i tyle samo koni, powiedział, że przy tylu gębach jedna mniej czy jedna więcej niewiele znaczy, i przygarnął go jako własne dziecko. Wielokrotnie w ciągu roku na klamce, na której go znaleziono, znajdowano mieszki z pieniędzmi, których pochodzenia nikt nie znał, ale każdy się domyślał.

Jego pierwsze wspomnienia sięgają wieku trzech lat, kiedy stary ojciec Moussa, chudy, pomarszczony mężczyzna z czarną brodą i czarnymi brwiami nad głęboko osadzonymi oczami, wcisnął mu do małych dłoni potężny nabut. Ledwo mógł go utrzymać. Ta drewniana, nabijana gwoździami maczuga, powiedział Moussa, jest symbolem siły mężczyzny; były to słowa, których chłopiec wtedy jeszcze nie rozumiał, ale wiedział bardzo dobrze, jak się tą bronią posługiwać, żeby wprawić w ruch wielbłądy. Te statki pustyni, jeśli się je uderzało w kolana, zginały najpierw przednie nogi, a potem tylne. Jeszcze dziś zachował się ten zwyczaj, aby jeździec mógł dosiąść wielbłąda.

Cudzoziemcy z hotelu „Mena House”, których Moussa w ten sposób transportował do wielkich piramid, bawili się, patrząc na małego, i nie szczydzili bakszyszu, kiedy chłopiec pomagał im czasem wsiąść na grzbiet wielbłąda lub zejść z niego. Jeden czy dwa piastry były wówczas dużą sumą dla

chłopca z pustyni, a niekiedy wracał do domu z pięcioma lub sześcioma. Tb budziło zazdrość jego przyrodnych braci, bo on, najmłodszy, zarabiał więcej niż oni. Omar wykopał sobie skrytkę za latryną, gdzie okropnie śmierdziało, ale za to rzadko ktoś się tam zapuszczał.

To dziwne, że chociaż Omar Moussa żył w cieniu wielkich piramid, nie dostrzegał ich. Dla niego były to góry, których szczyty sięgały chmur. Nie wiedział, że piramidy to budowle stworzone ręką ludzką. Z tego też powodu Omar nie mógł

pojąć czci, z jaką stawali przed nimi obcy ludzie.

Przede wszystkim Anglicy — elegancko ubrani panowie, czasem w towarzystwie swych subtelnie umalowanych żon —

podejmowali drogę na pustynię, by zwiedzić piramidy.

Zatrzymywali się w wytwornym hotelu „Mena House”, dokąd nie mógł wejść żaden fellach, nawet stary, szanowany przez wszystkich Moussa, o którym powiadano, że osobiście poprowadził lorda Cramera na szczyt wielkiej piramidy. Co prawda tubylcy wykonywali w tym hotelu różne podrzędne prace, ale pod groźbą kary nie wolno im było opowiadać, co się dzieje za czerwonymi murami.

Podczas gdy starych niewiele obchodził hotel — mogli sobie wyobrazić, jak żyją bogaci cudzoziemcy — dla okolicznej młodzieży „Mena House” stanowił obiekt niezwykłego zainteresowania i każdy, komu udało się dotrzeć do loży portiera, czy to jako tragarzowi, czy też pod innym pretekstem, na przykład przekazania jakiejś wiadomości, budził powszechny podziw. Tbęż najgorętszym pragnieniem Omara Moussy było przekroczyć próg hotelu. Niejednokrotnie wdrapywał się w zarośniętym

miejsku przez mur i przekradał koło ogrodników i strażników do wejścia, gdzie miał nadzieję zapuścić wzrok do zakazanego królestwa, ale za każdym razem dostrzegali go na białym ubraniu portierzy, zanim jeszcze udało mu się zajrzeć do środka, i wypędzali go, chłoszcząc batem.

Toteż Omarowi dzień, w którym po raz pierwszy wolno mu było wejść do holu hotelowego, mocno wrył się w pamięć.

Tego dnia, którego daty nie umiał potem podać, sułtan Fuad, syn kedywa Ismaila, wnuk Ibrahima paszy i prawnuł wielkiego Mohameda Ali, przybył czarną kareta, by zatknąć flagę na wielkiej piramidzie. Sułtan miał na sobie ciemne ubranie i nie odróżniał się od Anglików, którzy zatrzymywali się w hotelu „Mena House”.

Omar był rozczarowany, albowiem inaczej wyobrażał sobie sułtana. Ale stary Moussa zgromadził tego ranka swoje dzieci i wygłosił przemówienie, które pozostało Omarowi w pamięci.

Jest to podniosły moment w historii Egiptu, rzekł Moussa, wymachując rękami, i każdy powinien być dumny, że jest Egipcjaninem, bo nadejdzie kiedyś dzień, gdy nie Anglicy będą rządzili Egipcjanami, lecz Egipcjanie Anglikami.

Omar był więc dumny; co prawda bardziej interesowali go uzbrojeni żołnierze, którzy w

przeciwieństwie do sułtana, byli ubrani na modłę wschodnią, wyposażeni w szable i strzelby i obrzucali ponurym wzrokiem każdego, kto za bardzo się zbliżał do towarzyszących sułtanowi osób. Omar stał ze swym wielbłądem na uboczu wielkiej piramidy, jak polecił mu Moussa, i machaniem przywoływał odwiedzających.

Fuad ujrzał to i podszedł do Omara, który w tej chwili najchętniej by uciekł, ale stał jak wrośnięty w ziemię, trzymając mocno swój nabutu.

—
Jak się nazywasz? — zapytał sułtan z uśmiechem.

—
Omar — odpowiedział chłopiec grzecznie — syn Moussy.

—
Jesteś poganiaczem wielbłądów?

—
Tak — odparł Omar nieśmiało.

Sułtan głośno się roześmiał, bo wpadł na zabawny pomysł.

— Chyba wrócę na twoim wielbłądzie. — Strażnicy otaczający wielkiego' pana popatrzyli na siebie zaniepokojeni.

Omar skinął głową gorliwie.

Tymczasem podszedł stary Moussa. Przeprosił sułtana za małomów- ność chłopca. — Jest nieśmiały, wasza wysokość, to znajda, którego wychowałem razem z moimi dziećmi.

W tej chwili Omar poczuł się mały i nędzny. Dlaczego stary wspomniał o jego mrocznym pochodzeniu? Omar się wstydził.

Kiedy wspięli się na piramidę — przy czym co najmniej dwanaście osób z gwardii przybocznej musiało transportować otyłego sułtana, ciągnąć go i podpierać — Fuad pasza podszedł do Omara, który zmusił swego wielbłąda, by ukląkł, i usiadł na grzbiecie zwierzęcia.

—
Do „Mena House”! — zawołał do Omara i ten poprowadził wielbłąda z sułtanem do hotelu. Żołnierze torowali mu drogę przez tłum; ludzie po obu stronach klaskali w dłonie. Przed wejściem Omar pomógł sułtanowi zsiąść.

Ktoś ze świąty sułtana wcisnął chłopcu do ręki kilka plastrów.

Omar chciał odejść ze swym wielbłądem, ale sułtan zawołał

go i zapytał, czy nie chciałby się z nim napić lemoniady.

Omar zamierzał właśnie odmówić, nie czuł bowiem pragnienia, ale podszedł Moussa, skinął głową i popchnął

chłopca w stronę dostojnego gościa. Omar wszedł z sułtanem do holu hotelowego.

Uderzyło w niego rześkie powietrze. Na kamiennej posadzce leżały dywany. Chociaż był dzień, zamknięto wszystkie okiennice, za to paliły się czerwone i niebieskie lampy u sufitu. Ozdobne kafelki przystrajały ściany.

Eleganckie panie i wytworni panowie tworzyli szpaler, przez który szedł Omar, trzymając sułtana za rękę.

—

Lemoniadę dla mnie i dla mojego małego przyjaciela! — zawołał sułtan; natychmiast podszedł służący ubrany w długą, śnieżnobiałą galabiję. Trzymał w rękach lśniąca, mosiężną tacę, na której stały dwie szklanki w kształcie tulipanów z zieloną lemoniadą. Omar nigdy nie widział zielonej lemoniady. Sprzedawca napojów pod piramidami sprzedawał czerwoną herbatę z malwy, ale zielona lemoniada?

Omar miał wątpliwości, czy coś takiego zielonego nadaje się w ogóle do picia. Ale sułtan wziął szklankę, podniósł do ust i czekał, aż chłopiec zrobi to samo. Omarowi nie pozostało nic innego, jak wziąć drugą szklankę i zacząć pić. Smak cukrowej wody był nie tylko nieznanym, ale także ohydny.

Omarowi zrobiło się niedobrze, więc — torując sobie drogę przez tłum — wybiegł szybko na dwór, gdzie wypluł zielony płyn.

Od owego dnia przyrodni bracia zniechęcili Omara, często dostawał lanie za coś, co mu przypisywano, a czego wcale nie zrobił.

Stary Moussa był pobożnym i mądrym człowiekiem, choć nigdy nie chodził do szkoły; pewnego wieczora zgromadził

swoją liczną rodzinę przed chatą, by wyrecytować im surę Koranu. Jak każdy wierzący, Moussa znał na pamięć wszystkie 114 sur, a na ten wieczór wybrał dwunastą.

—

W imię Boga, Miłosiernego, Litościwego — zaczął

z namysłem, następnie zaś opowiedział o Józefie, który wyznał swemu ojcu, iż we śnie ujrzał

jedenaście gwiazd, słońce i księżyc, i wszystkie się przed nim pokłoniły, wtedy ojciec upomniął syna, żeby nie mówił braciom o tym śnie, bo żywią wobec niego uczucie zazdrości, co też okazało się prawdą! Bracia wrzucili Józefa do studni, gdzie zauważyła go karawana, następnie za kilka drachm sprzedano go człowiekowi imieniem Putyfar.

Podczas przemówienia Moussy podnieśli się bracia jeden po drugim, bo zrozumieli intencję ojca, a kiedy Omar został

sam ze starym, ten przerwał opowieść. Znad kanału dochodziły milionowe odgłosy cykad, niekiedy tylko przerywane dźwiękami muzyki z hotelowego parku. Spod drzwi karawanseraju wybuchały fajerwerki, tu i tam z ciepłej nocy dobiegał głośny śmiech.

—

Czy znasz dalszy ciąg tej historii? — przerwał

Moussa długie milczenie.

Omar potrząsnął głową.

Wtedy Moussa zaczął mówić dalej, recytował surę tylko dla chłopca. Opowiedział o podniesieniu Józefa do godności zarządcy domu, o prześladowaniu go przez żonę Putyfara, skazaniu na podstawie fałszywego zeznania i sukcesie, jaki odniósł tłumacząc sny faraonowi, którego stał się powiernikiem. Moussa opowiadał o wielkoduszności Józefa, kiedy przybyli do niego głodujący bracia, prosząc go o zboże, a on im wybaczył.

Zrobiło się późno, kiedy Moussa skończył, ale Omar był

czujny, bo zaczął rozumieć, dlaczego ojciec cytuje właśnie tę surę. On, Omar, był tu obcym, kimś, kogo jego przyrodni bracia nigdy nie zaakceptują. Ale czy ta sura miała pokazać, że właśnie pogardzani zdolni są do wielkich czynów? W

swych marzeniach Omar widział już siebie jako doradcę sułtana, ubranego po europejsku i jeżdżącego czarną karetą; tej nocy postanowił pójść w ślady Józefa.

Ale Omar był poganiaczem mułów, który transportował

obcokrajowców za dwa piastry z „Mena House” do wielkich piramid, miał na sobie długą galabiję zamiast wymarzonej spodni, a bracia nazywali go Omarem effendim, co było pełnym szacunku zwrotem wobec pana, ale wobec niego, dziecka jeszcze, brzmiało jak szyderstwo.

Istniał tylko jeden człowiek, do którego Omar miał

zaufanie, nazywał się Hassan i był mikasahem, kaleką, jakich w Kairze żyły tysiące. Hassan był stary, bardzo stary, sam nie wiedział, ile ma lat, bo nie wiedział, kiedy i gdzie się urodził; nie miał łydek, jego kolana tkwiły w przyciętych oponach samochodowych jak na płozach i w ten sposób starzec się poruszał, popychając przed sobą drewnianą skrzynkę wysadzaną koralikami i odłamkami lustra; tą

skrzynką zarabiał na życie. Hassan był czyścibutem, w drewnianej skrzynce, która służyła jako stołek jego klientom, znajdowały się pasty do butów, szczotki i ścierki. Tak widziano go dzień w dzień pod hotelem „Mena House”, gdzie wchodzącym i wychodzącym gościom hotelowym oferował swe usługi, uderzając głośno szczotką o skrzynkę i wykrzykując jedyne angielskie słowo, jakie znał:

— Polishing, polishing!

Hassan spoglądał na życie z perspektywy obuwia, to znaczy człowiek kończył się dla kaleki na linii pasa, nie zwracał

uwagi na nic, co było

powyżej. O kostkach jakiejś damy mógł marzyć jak o letniej, księżycowej nocy, a łydka jakiejś Francuzki potrafiła pobudzić jego zmysły.

Był przyzwyczajony spoglądać w górę ku ludziom i wcale go to nie peszyło. Nie przejmował się także, gdy nim pogardzano, gdy w jego obecności rozmawiano o sprawach, które nie były wcale przeznaczone dla niepowołanych uszu.

Ponieważ Hassan był nikiem, wiedział więcej niż wszyscy inni.

Znał większość gości hotelowych z nazwiska, znał powody ich obecności w Kairze. Czyszcząc ludziom buty, potrafił ich zaklasyfikować pod względem towarzyskim, bo — jak twierdził — człowieka poznaje się po jego obuwiu.

Ze zdumieniem słuchano starego Hassana; dlatego ze zdumieniem, że — według niego — nowe buty wcale nie były warte pożądania, przeciwnie. Tylko nowobogaccy noszą wciąż nowe obuwie, prawdziwie elegancki człowiek pielęgnuje swoje cenne, używane obuwie z dużą uwagą, to znaczy każe je pielęgnować, to widać od razu. Obuwie powinno zawsze wyglądać tak, jakby je nosił jeszcze ojciec na swoim ślubie, powinno być wypielęgnowane i dobrze utrzymane, to zdradza styl, przede wszystkim jednak dowodzi, że ten, co je nosi, nie musiał wykonywać brudnej roboty ani odbywać tak długiej drogi, jak my. Hassan spoglądał przy tym na swoje kawałki opon zamiast nóg, Omar zaś na swoje bose stopy.

W schronisku dla kalek Hassan nauczył się czytać i pisać; kiedy czas na to pozwalał, stary dzielił się z chłopcem swą wiedzą, pisząc kijem na ubitej ziemi przed hotelem sury Koranu. Kiedy Omar miał dziesięć lat, umiał napisać pierwszą surę, która zaczyna się od słów: al-hamdu lillahi rabbi-alamima r-rahmani r-mhimi — W imię Boga Miłosiernego, Litościwego! Chwała Bogu, Panu światów, Miłosiernemu, Litościwemu.

Omar bardzo pragnął chodzić do szkoły, lecz stary Moussa stanowczo się temu sprzeciwił; on sam także nie chodził do szkoły, mimo to doszedł do czegoś, jest na tyle zamożny, że może sobie pozwolić na wychowywanie obcego chłopca —

Omara effendiego.

Ta uwaga ogromnie chłopca zabolęła, pobiegł z płaczem do Hassana, który jak zwykle trwał na

swym posterunku przed hotelem. Kiedy skończył czyścić buty jakiemuś wytwornemu Anglikowi, przywołał Omara, stukając szczotką w skrzynkę i wołając żartobliwie: — Polishing, Sir! Jeden piastr!

Ale kiedy zobaczył, że jego młody przyjaciel płacze, rzekł:

— Egipcjanin zna dwa rodzaje łez, łzy radości i łzy bólu. Czy bardzo bym się omylił, sądząc, że widzę łzy radości na twojej twarzy?

Chłopiec otarł łzy grzbietem dłoni, potrząsnął głową, następnie przykucnął obok Hassana. — Zapytałem Mousse —

rzekł, zacinając się — czy nie mógłby mnie posłać do szkoły.

Hassan przerwał mu. — Mogę sobie wyobrazić, co ci odpowiedział

— rzekł i splunął przy tym przed siebie. — Powiedział, po co ci szkoła, on sam nie chodził do szkoły, a jednak wyszedł

na ludzi.

Omar skinął głową. I spod potoku łez wyrwało mu się: —

Powiedział też, że stać go nawet na wychowywanie obcego chłopaka Omara effendiego. Słyszysz: Omara effendiego, tak powiedział! — I chłopiec zakrył twarz rękami.

—

Posłuchaj, chłopcze. — Stary położył swoje brudne, brązowe ręce na ramionach Omara. — Jesteś młody, rozumny i masz dwie nogi, które cię niosą, dokąd chcesz. Bądź

cierpliwy, Allah wskaże ci drogę. Twoje życie jest wyznaczone jak tory gwiazd. Jeśli Allah zechce posłać cię do szkoły, to cię pošle. A jeśli w swym sercu postanowił, że zostaniesz poganiaczem wielbłądów, to pozostaniesz nim na całe życie.

Słowa starego mikasaha pocieszyły Omara na krótko, i zapewne czekałby ze swymi marzeniami, aż Allah wskaże mu ową przeznaczoną drogę, gdyby nie gorący, wietrzny październik, kiedy to chamsin unosi piasek w górę, tak że niebo staje się ciemne jak w dniu Sądu Ostatecznego. Oczy wówczas łzawią i nikt nie waży się wyjść na dwór bez chusty na twarzy, która nie dopuszcza piasku do płuc. Ludzie modlili się

o

deszcz, lecz Allah zsyłał tylko ów gorący, duszący, nielitościwy wiatr, który zapierał dech. Tak było przez siedem dni bez przerwy.

Wreszcie ósmego dnia, kiedy chamsin zelżał, a ludzie i zwierzęta jak zaczadziali wypętlali ze

swoich chat i łapczywie chwyтали powietrze niczym ryby wyrzucone na ląd, nie było wśród nich jednego: starego Moussa. Jego serce nie wytrzymało szalejącego wiatru. Zakryto mu głowę białą chustą, siedział tak w swoim wysokim fotelu dwa dni, z twarzą skierowaną w stronę Mekki, jak widmo, ponieważ w domu nie było miejsca na nosze, a człowiek zajmujący się zwłokami dopiero później znalazł czas, aby się nim zająć.

Zbyt wiele ofiar pochłonał chamsin.

Omar po raz pierwszy zetknął się oko w oko ze śmiercią, a zakryty białą chustą martwy Moussa przerażał go tak bardzo, że uciekł do Hassana i przysiągł, że już nigdy więcej nie przekroczy progu domu zmarłego Moussa.

—
Głupcze! — wymyślał mu Hassan. — Czy sądzisz, że w nocy, kiedy na pustyni wyją szakale, stary wstanie i zniknie za drzwiami albo pójdzie do nieba, jak głoszą innowiercy? — I splunął przy tym wysokim łukiem na piasek.

Omar wstydził się, wstydził się, bo się obawiał, a obawiał się czegoś nieznanego. — A co głoszą innowiercy? — zapytał nagle.

—
Ach, co tam! — mruknął niechętnie Hassan i otarł sobie rękawem czoło, następnie wskazał ruchem głowy na „Mena House”: — Sami innowiercy, Anglicy, Niemcy, Francuzi. Sami żydzi i chrześcijanie! — Splunął przy tym po raz drugi, jakby same te słowa budziły w nim wstręt.

—
Ale ty żyjesz z tych innowierców! — zawołał Omar, więc dlaczego nimi pogardzasz?

—
Allah wie, co ja robię — odparł Hassan — i dotąd nie dał mi poznać, że mu się to nie podoba.

—
A więc się na to zgadza?

Mikasah wzruszył ramionami i odwrócił dłonie na zewnątrz. - Co mam robić? Jeśli Allah nie chce,

bym żebrał i kradł, to musi się zgodzić, bym czyścił buty innowiercom. —

Przy tych słowach Hassan zaczął głośno uderzać szczotką o skrzynkę. — Polishing, polishing Sir!

Wysoki mężczyzna ubrany w mundur khaki, wyszedł z hotelu i mrużył oczy w słońcu. Następnie spojrzał po sobie, podszedł do Hassana i bez słowa postawił prawą nogę na skrzynce. Hassan zaczął swobodnie pracować teatralnymi ruchami, jakby wykonywał taniec z szablami.

—
To wytworny pan — rzekł mikasah do Omara, nie

^Unosząc wzroku znad swej roboty — widać to po obuwiu.

—
Innowierca w wytwornym obuwiu — poprawi) go Omar.

Wtedy wytworny pan głośno się roześmiał, a oni obaj się przerazili,

albowiem obcy najwidoczniej rozumiał ich mowę; z kieszeni na piersi wyciągnął wygiętą fajkę, a kiedy ją zapalił, rzekł do Hassana: Czy znasz tu wielu ludzi?

Hassan skinął pokornie głową. — Wielu, ja saidi.

—
Posłuchaj, stary — zaczął nieznajomy — jestem profesorem i zamierzam spędzić cały przyszły rok w Egipcie.

Szukam służącego, silnego młodego człowieka, który by załatwiał dla mnie rozmaite sprawy, który by towarzyszył

mojej żonie na targ, po prostu człowieka do wszystkiego, rozumiesz?

—
Rozumiem, ja saidi.

—
Czy znasz kogoś, kto by się do tego nadawał?

—
Trzeba się zastanowić, ja saidi; ale jestem pewien, że kogoś znajdę.

To dobrze — odparł wytworny pan i rzucił

Hassanowi monetę. — Może znajdziesz dwóch albo trzech do wyboru. Niech jutro o tej porze przyjdą tu, do hotelu. Nie pożalujesz. — Nie żegnając się, podszedł do czarnej dorożki przed hotelem, wszedł i odjechał.

Omar usiadł na skrzynce Hassana i palcem rysował

wężowate linie na drewnie. — Czy on by mnie wziął, ten innowierca?

—

Ciebie? Ja salaam — coś takiego!

Omar spuścił głowę. Reakcja Hassana dotknęła go, był

bliski łez.

Kiedy Hassan spostrzegł, co zrobił, ujął chłopca za ramiona i potrząsnął nim jak młodym drzewem.

—

No dobrze, dobrze!

Nazajutrz Hassan drzemał przed wejściem do hotelu „Mena House”, gdy wytworny pan w towarzystwie damy podszedł do niego.

— Mam nadzieję, że coś załatwiłeś?

—

Inszallah — jak Bóg zechce! — odparł Hassan. —

Chodźmy, panie, do hotelu.

W holu podszedł do nich Omar. Ukłonił się niezgrabnie i rzekł: — Ja saidi, jestem waszym sługą. Nazywam się Omar.

Wytworny pan spojrział na wytworną panią, potem oboje spojrzeli na chłopca, który stał przed nimi, trochę zmieszany, starając się uśmiechać.

—

Czy jesteś jedyny? — zapytał pan w najczystszy arabskim języku.

—

Jestem jedyny, ja sitti.

—
He masz lat?

—
Czternaście, ja sitti.

—
Aha, czternaście, i sądzisz, że jesteś dość duży na takie obowiązki?

—
Sądzę, że tak, ja sitti.

Wytworny pan ceremonialnie zapalił fajkę. — A co mówią na to twoi rodzice?

—
Nie mam rodziców — odparł Omar. — Mój ojczym, który mnie przygarnął, umarł, a moi przyrodni bracia mnie wyrzucili. Na szczęście znalazłem schronienie u Hassana, inaczej nie wiedziałbym, co ze sobą począć.

Oboje coś mamrotali po angielsku, Omar nic nie rozumiał, kobieta wciąż kręciła głową. Omar nigdy jeszcze nie widział z bliska tak pięknej kobiety. Miała na sobie długą purpurową suknię z koronkowym kołnierzykiem koloni ochry. Była tak cienka w talii, że mężczyzna mógłby ją objąć dłońmi. Spod falbany u dołu sukni wystawały zapinane na guziki pantofelki w kolorze sukni. Ale na Omarze największe wrażenie zrobiła twarz kobiety, biała i delikatna, nie spalona słońcem jak twarze kobiet egipskich.

—
A więc dobrze — rzekł wytworny pan — dostaniesz dwadzieścia piastrow pensji, utrzymanie i nocleg. Przygotuj się, jutro rano wyruszamy do Luksoru. Bądź punktualnie o dziesiątej przy wejściu do hotelu. —

I nie czekając na odpowiedź, para się oddaliła.

Inszallah. Omar stał jak wrośnięty w ziemię. Zdawało mu się, że śni, a myśli jego kotłowały się jak szalone. Słyszał

słowa mikasaha: — Ttooje życie jest z góry ustalone jak tory gwiazd.

—
Hej tam, wynoś się! — surowy głos portiera hotelowego sprowadził Omara na ziemię. Wysoki jak

drzewo drab uderzył go trzcina po plecach. Nie zabołało go to, natomiast zabołał gest, z jakim go wyrzucono jak parszywego psa.

Przed wejściem czekał Hassan. — Przyjęli mnie! —

zawołał do niego Omar.

—
Wiem — odparł Hassan i wyszczerzył zęby w uśmiechu. W rękę trzymał dziesięć piastrów. — To za pośrednictwo.

W nocy Omar przekradł się do swojej kryjówki za domem Moussy, by zabrać pieniądze, które tam ukrył. Chustka, w którą zawijał monety, zapłatę za lata pracy, była ciężka; chłopca ogarnęło uczucie dumy. Nazajutrz stawiał się wcześniej przed hotelem i czekał.

Godzina dziesiąta — tego pojęcia Omar nie znał. Żaden poganiacz wielbłądów na świecie nie ma zegarka i nie zna się na nim. Omar przykucnął w cieniu muru okalającego hotel i cierpliwie czekał; obok położył tobołek, w którym miał swoje manatki i skarby.

Podjechała dorożka i ukazał się said. Służący hotelowi przynieśli skrzynie i walizki z kolorowymi nalepkami i zaczęli je ładować na dorożkę. Omar podszedł i przywitał się; nowy pan ledwo zaszczycił go spojrzeniem. Kiedy bagaż już załadowano, nadeszła wytworna pani w obcisłym podróżnym kostiumie i z parasolką w ręku. Said pomógł jej wsiąść do dorożki. Omar usiadł na swym tobołku obok woźnicy. Ten cmoknął i konie ruszyły.

Droga do Kairu zdawała się nie mieć końca, a kurz, który wzniecały karety i inne pojazdy, zabarwił palmy po obu jej stronach na szaro. Handlarze z hałasem biegli obok dorożki, wskakiwali na stopnie i usiłowali wcisnąć pasażerom łańcuszki, gliniane figurki albo sezamowe pieczywo, dopóki woźnica nie zdzielił ich batem. Im bardziej zbliżali się do miasta, tym głośniejszy stawał się harmider.

Przy ogrodach Ismaila dorożka skręciła na promenadę nad Nilem i Omar po raz pierwszy ujrzał zieloną rzekę i feluki z wysokimi trójkątnymi żaglami, a także parowce, których kominy rozszerzały się ku górze jak rozkwitające kwiaty; chłopca ogarnęło takie zdumienie, że nie mógł wydusić słowa.

Pokiwał tylko energicznie głową, nie odwracając się, kiedy woźnica zapytał ze śmiechem, czy po raz pierwszy widzi Masrel-Kahira. Świat Omara kończył się dotychczas tam, gdzie horyzont łączył się z niebem, dzień marszu dokoła Gizy, i chłopiec nigdy się nie zastanawiał, co może się znajdować za horyzontem.

Gdy dorożka przecięła Nil, woźnica wskazał batem na hotele po prawej stronie, wielopiętrowe pałace, całkiem inne niż „Mena House”, który był niższy niż palmy. Tu, na prawym brzegu Nilu, wszystkie budynki były wielopiętrowe. Woźnica wydał się nagle zalękniony, z całej

\
siły ściągnął cugle. — Automobil! — zawołał z gwałtownym ruchem głowy.

Omar wstał i wyciągnął szyję, by się lepiej przyjrzeć temu cudowi. Słyszał, że istnieją pojazdy bez koni, ale nigdy czegoś tak cudacznego nie widział. Automobil, trzęsąc się i parszcząc, zbliżał się na niskich kołach. Zamiast cugli woźnica trzymał w rękach kierownicę. Na Allaha, to dziwo poruszało się naprawdę bez koni, jakby ciągnęły je duchy. Obok biegły dzieci, inne stały na drodze automobilu z rozpostartymi rękami, jak gdyby chciały go zatrzymać za pomocą owej czarodziejskiej siły, która poruszała pojazd. Kierowca automobilu torował sobie drogę, rzucając petardy na ulicę, tak że dzieci z krzykiem uciekały. Ale to płoszyło konie dorożki i człowiek na koźle z trudem utrzymywał cugle.

— Nadejdzie czas — mruknął niechętnie, kiedy pojazd ich minął

— że nie będą już potrzebne konie. W Ameryce są już dziś automobile, które mają tyle siły co sto koni. Sto koni, słyszysz? Wiesz, ile takie sto koni zje? W całym Kairze nie znajdziesz właściciela dorożki, który by miał sto koni.

Omar skinął głową. To wszystko przekraczało granice jego wyobraźni — sto koni zaprzęzonych do jednego pojazdu!

—
W Ameryce — zaczął woźnica od nowa — w Ameryce jeden człowiek wytwarza trzysta tysięcy automobili rocznie. Czy możesz to sobie wyobrazić? — Omar milczał, nie umiał sobie wyobrazić, gdzie znajduje się Ameryka ani trzystu tysięcy automobili; trudno mu było pojąć już to, co widział.

Na placu przed dworcem tłoczyły się powozy, pomiędzy nimi spieszyli elegancko ubrani ludzie, przeważnie Europejczycy. Egipcjanie w swych narodowych strojach oraz służba w liberjach, z walizkami, skrzyniami i kuframi głośnym krzykiem torowali sobie drogę jak wielbłądy, które poganiano nabutem. Tam, gdzie cudzoziemcy nie mogli się przedostać, służący brali do rąk małe kijki i uderzali nimi tłoczących się ludzi. Unosił się zapach kurzu, końskiego nawozu i słodkawego pieczywa, które mali chłopcy piekli w żelaznych piecykach.

Ledwie dorożka się zatrzymała, otoczył ją tuzin tragarzy, a każdy starał się pochwycić choć sztukę bagażu, tak że wkrótce wszystko było wyładowane. Dopiero wówczas wysiedli państwo.

—
Miejsce dla profesora z Anglii! — zawołał woźnica i

— idąc przodem — wymachiwał batem. — Miejsce dla profesora Shelleya i jego żony! — Lecz ani wołanie, ani bat nie pomagały i trwało dość długo, nim udało im się utorować drogę do budynku stacji.

Budynek dworcowy, zbudowany z białych i czerwonych kamieni, wyglądał jak pałac. Wieżyczki, wykusze i okna o ostrych łukach z czerwono- -niebieskimi szybami sprawiały wrażenie, jakby rezydował tu potężny

pasza. — Miejsce dla profesora Shelleya i jego żony! —

powtarzał woźnica, a Omar w ten sposób usłyszał po raz pierwszy, jak nazywa się jego nowy pan, dotąd tego nie wiedział. Znow panował tłok, pchano się i potracano, a sitti co jakiś czas wydawał ostry okrzyk i wołał: — O Boże, o Boże! — Tam, gdzie tłok był największy, żelazna siatka oddzielała dostępną dla wszystkich część stacji od peronów przeznaczonych tylko dla podróżnych. Pracownicy kolejowi w czerwono-zielonych mundurach z dodającymi im godności złotymi sznurami na piersi stali w wąskich przejściach i przepuszczali tylko tych, którzy mieli bilety; Omar po raz pierwszy w życiu wszedł na peron.

Żelazny potwór, czarny i wielki jak dom, na czerwonych kołach, buchał parą, syczał i pluł przed siebie, a czasem wypuszczał strumień wody pomiędzy tory jak wielbłąd po zaspokojeniu pragnienia u wodopoju. Przy tym ów stwór wydawał metaliczne dźwięki, jakich Omar jeszcze nigdy nie słyszał. Tuż za węglarką lokomotywy znajdowały się pomalowane na żółto i czerwono przedziały pierwszej klasy.

Panowie w białych garniturach i kapeluszach z szerokimi rondami oraz delikatne panie w kolorowych sukniach stali przed wagonem i rozmawiali, podczas gdy służba układała bagaże. Gazeciarze wykrzykiwali tytuły artykułów, handlarze orzechów zachwalali swój towar, a sprzedawcy' losów, wciąż przepędzani przez umundurowanych konduktorów, zapewniali o szansie wygrania stu funtów.

Omar podwinął swoją galabiję i wdrapał się do przedziału, który konduktor wskazał profesorowi. Tragarze podali bagaż przez okno. Wszystko to odbywało się spokojnie, ponieważ tu, w Kairze, tak jak na każdym dworcu na świecie, obowiązywał

określony czas odjazdu; ale tu służył jedynie jako punkt orientacyjny: pociąg odjeżdżał dopiero wtedy, kiedy wszyscy pasażerowie zajęli miejsca.

W przedziale pachniało polakierowanym drewnem, aksamitem i świeżo krochmalonymi koronkowymi serwetkami. Lustra wiszące na wysokości głowy, ze srebrnymi guziczkami, zdobiły drewniane ściany. Pod oknem znajdował

się drewniany stolik, w kącie była szafka, a kiedy się w nią postukało, ukazywała się umywalka; białe koronkowe firanki kontrastowały z czerwonymi miękkimi siedzeniami. Omar nie mógł się napatrzeć; poczuł się jakby wyrwany ze snu, kiedy konduktor pchnął go w plecy i wskazał ręką drzwi: — Wynoś się do tyłu, ostatnie dwa wagony to przedziały czwartej klasy.

Przez chwilę Omar marzył, że będzie podróżował niby jakiś said w przedziale pierwszej klasy, ale się nic smucił, podróż w czwartej klasie też wydawała mu się dość podniecająca. Kiedy wysiadał, podszedł do niego profesor, trzymając w ręku długie, czarne cygaro i wydmuchując przed siebie duży, czarny obłok dymu.

—
Nie zapomnij wysiąść w Luksorze — zawołał

kaszląc — bo inaczej wylądujesz w Asuanie!

Omar skinął głową. — Dobrze, ja saidi.

Ostatni wagon był wypełniony skrzyniami i tłumokami; klatki z małymi zwierzętami i drobiem wisiały na ścianach, wydobywała się z nich gryząca woń.

Szczęściarze znaleźli miejsce na jednej z drewnianych ławek. Większość przysiadła na swoim bagażu i nie można było przejść do środka. Omarowi nie pozostało więc nic innego, jak usiąść na tobołku obok wejścia.

Trzaskanie drzwiami i głośnie okrzyki pożegnania wzdłuż peronu zapowiadały odjazd pociągu. Ostry gwizd rozległ się w hali dworcowej i pociąg ruszył powoli, początkowo ledwie zauważalnie, jęcząc i sapiąc. Przez otwarte okna wpadało duszące powietrze. Omar był podniecony jak jeszcze nigdy w życiu, ponieważ pociąg przyspieszał biegu, a kruchymi drewnianymi wagonami rzucało jak piłką; domy wielkiego miasta przemykały jak ptaki. Omara najbardziej interesowały tory kolejowe. Wprost nie mógł zrozumieć, że są nieskończenie długie i sięgają aż do dalekiego Luksoru, a nawet jeszcze dalej, do Asuanu, do katarakt Nilu, o

których już słyszał; po prostu obawiał się, że gdzieś na skraju pustyni tory się skończą, a pociąg wywróci się i wszystkich ich przygniecie.

Wreszcie pociąg nabral takiej szybkości, że jeździec na koniu nie mógłby go dogonić, a o żadnym hamulcu nie było mowy, gdyby jakiś wielbłąd lub bawół zatarasował drogę.

Chłopiec ze strachu ukrył głowę w ramionach i drzemał. Raz tylko podniósł wzrok, kiedy usłyszał w wagonie okrzyki, ponieważ pociąg zbliżał się do brzegu Nilu i ludzie na statkach płynących w górę i w dół rzeki machali podróżnym kolorowymi chustkami.

Omara uspił monotony turkot kół i kołysanie pociągu.

Ocknął się dopiero wtedy, kiedy pociąg wjechał na stację. —

Beni Suef! Beni Suef! — wołał konduktor na peronie głośno jak muezin, podczas gdy ludzie szturmowali wejścia. Prawie nikt nie wysiadł z pociągu, za to setki ludzi próbowało się do niego wepchnąć. Przede wszystkim przedziały trzeciej i czwartej klasy były wypełnione; Omar musiał więc przysunąć swój tobołek bliżej sąsiada. Smród i upał zapierały dech, ale ludzie pchali się mimo to dalej, aż ostatni chętny wcisnął się na platformę.

Pociąg znów ruszył, wtedy Omar poczuł nagle, że ktoś go trąca w bok. Odwrócił się i zetknął twarzą w twarz z dziewczyną o jasnej cerze.

—

Masz, weź to — rzekła i Omar ujął patyk, którym dziewczyna go trąciła. Potem wyciągnęła następny patyk spod chusty, którą była owinięta, i zaczęła go gryźć.

—
Co to jest? — zapytał Omar.

—
Trzcina cukrowa — odparła dziewczyna i wypluła kilka włókien trzciny przed siebie.

Omar spróbował. Miało to kwaśnosłodki smak i cudownie gasiło pragnienie. Omar skinął głową. —
Dobre — rzekł —

dziękuję.

—
Mogę ci dać więcej, jeśli chcesz, mam tego dużo. —

I odchyliła chustkę. Miała pod nią w fartuchu cały pęk trzciny.

—
Wracamy ze zbioru trzciny cukrowej. Wszyscy stamtąd wracają. Płacą za to trzy piastry dziennie,
dzieciom połowę.

Omar przyglądał się dziewczynie, a ona spostrzegła, co dzieje się w głowie chłopca. — Chciałbyś
wiedzieć, czy dostałam trzy piastry, czy tylko połowę, prawda? — I nie czekając na odpowiedź,
ciągnęła dalej:

— Dostałam trzy piastry. Tego roku po raz pierwszy dostałam trzy piastry. To daje czterdzieści dwa
w ciągu dwóch tygodni. Razem z ojcem zarobiliśmy osiemdziesiąt cztery. — I pokazała palcem
łysego mężczyznę, który drzemał spocony, trzymając się uchwytu.

—
Mam szesnaście lat — rzekła dziewczyna. — A ty?

—
Czternaście.

—
Nazywam się Halima, a ty?

—
Omar.

Halima ściągnęła chustę z głowy. Omar ujrzał jej gładkie, czarne włosy.

—

Skąd jesteś? — zapytała Halima.

—

Z Gizy i jadę do Luksoru.

—

Do Luksoru! — Halima zaklaskała w dłonie. — Ja jestem z Luksoru, a dokładniej z El-Kuma. Co robisz w Luksorze?

—

Wziął mnie ze sobą angielski said. Potrzebny mu służący.

—

A więc jesteś służącym! — Dziewczyna wysunęła dolną wargę i skinęła głową z uznaniem. — A co robi angielski said w Luksorze?

Omar wzruszył ramionami. — Nie wiem. Jest profesorem.

Halimie zabłyśły dziko oczy, a na czole pojawiła się pionowa zmarszczka. — Cały Luksor jest pełen tych kopaczy.

Przybywają ze wszystkich stron, z Anglii, Niemiec, Francji, nawet z Ameryki. Wszystko wywożą, te łajdaki.

Chłopiec nie rozumiał podniecenia Halimy. W Gizie lubiono cudzoziemców. Przywozili pieniądze. Wszyscy poganiacze wielbłądów w Gizie żyli z cudzoziemców. Omar nie przypominał sobie, by kiedykolwiek wiozł Egipcjanina na swoim wielbłądzie do piramid. Ale wolał milczeć.

Słońce zbliżało się do południa i upał w wagonie stał się nie do zniesienia. Po lewej stronie Nil toczył się leniwie, po prawej chłopci orali brązowe od kurzu żółte pola, za którymi migotała niezmiernie daleka pustynia.

W Minii, gdzie pociąg po raz drugi się zatrzymał, obraz był

taki sam — panował zgiełk i hałas. Handlarze zachwalali mydło i placki na oleju, duże szyldy reklamowały hotel

„Savoy” i pensjonat „Ibn Khasib”. Kto miał szczęście być w pobliżu drzwi, wysiadał, by rozprostować nogi lub zaczerpnąć garść wody z gęsto otoczonej przez ludzi studni. Omar był

wciśnięty w środek wagonu, nie mógł więc nawet myśleć o wyjściu.

—

Daleko jeszcze do Luksoru? — zapytał, kiedy pociąg znów ruszył.

Halima roześmiała się. — Musisz mieć cierpliwość.

Następna stacja nazywa się Assiut, to mniej więcej w połowie drogi.

Omar otarł rękawem pot z czoła. Był potwornie zmęczony, z trudem odpowiadał na pytania dziewczyny, wreszcie dała mu spokój i oboje, oparci o siebie plecami, zasnęli.

Zapadł już zmrok, kiedy pociąg przeciął Nil pod Nag Hammadi. Most dudnił głośno pod kołami, Omar i Halima zerwali się. Rzeka i chłód nocy sprawiły, że poczuli się lepiej.

Wreszcie około północy pociąg dojechał do Luksoru.

Teraz, oparty wygodnie o Halimę, Omar chętnie jechałby dalej, ale pasażerowie w dzikim pośpiechu tłoczyli się do wyjścia.

—

Chyba mnie odwiedzisz? — zawołała Halima wysiadając.

—

Przecież nie wiem, gdzie mieszkasz.

—

W Schech abd el-Kurna, po drugiej stronie rzeki.

Zapytaj o Ju- sufa. Mojego ojca każdy zna! I dziewczyna znikła.

Omar torował sobie drogę naprzód do pierwszej klasy.

Zawsze, kiedy przybywał nocny pociąg do Luksoru, wydawało się, że całe miasto jest na nogach. Czarno ubrane matki kołysały w ramionach dzieci, niedorostki proponowały, że zainoszą walizki, służący hotelowi dzwoneczkami zachwalali swoje hotele, jakiś niewidomy grał rzewnie na kamandze, ale nikt mu nie rzucał monet; trudno było się przedostać i nawet tory były zapchane ludźmi, osłami i ręcznymi wózkami.

Z przodu przy wagonach pierwszej klasy tłok był mniejszy, a hotel, gdzie miał się zatrzymać profesor, przysłał tragarzy, którzy zajęli się bagażem. Said kazał Omarowi pójść z tragarzami, pokażą mu, gdzie ma nocować. On sam z małżonką wszedł do powozu.

—
Hej, bierz się do roboty! — Jeden z dwóch tragarzy szturchnął Omara w bok. — A może effendi jest zbyt wytworny?
—

Nie, nie — mruknął Omar i zaczął ładować bagaż profesora na dwukołowy wózek zaprzęzony w osła. Na górę wrzucił własny tobołek, po czym sam wsiadł razem z tragarzami.

Na ulicach Luksoru panowała ciemność. Nie było oświetlenia, a poganiacze osłów i woźnice wydawali co chwila przeraźliwe okrzyki, by ostrzec jadących z przeciwka.

Tak dojechali do hotelu „Winter Palace”.

Profesor i jego żona zajęli pokoje w lewym bocznym skrzydle. Omar wniósł bagaże i życzył państwu miłego wypoczynku; potem poszedł ciemnym parkiem do zasłoniętego krzewami drewnianego domku, gdzie mieszkali personel hotelowy i służba gości.

W niewielkim pomieszczeniu, które wskazano Omarowi, stało —

o ile chłopiec mógł się zorientować w ciemności — sześć piętrowych łóżek. Omar z trudem ułokował swój tobołek. Był

tak zmęczony, że wdrapał się na swoje legowisko i natychmiast zasnął.

Nazajutrz Luksor lśnił w słońcu. Drzewa rzucały długie cienie, a na drugim brzegu Nilu żarzyły się ściany skalne czerwone jak ogień. Najpiękniejszy widok roztaczał się przed przybyszem z tarasu hotelu „Winter Pałace”. Tam wytworne towarzystwo spotykało się przy śniadaniu, czytało gazety, otrzymywało pocztę, wymieniało nowinki — panowie w białych garniturach, panie w pastelowych kostiumach podróżnych i kapeluszach o szerokich rondach.

Nowo przybyli, jak profesor Shelley i jego małżonka, dostarczali podniecającego tematu do rozmów, przede wszystkim liczny bogatym nierobom, którzy spędzali w Luksorze jesień i zimę ze względu na tutejszy łagodny klimat.

Prawie codziennie wydawano gdzieś przyjęcia, kto się cenił, musiał na nich bywać. Raz w miesiącu Mustafa Aga, konsul brytyjski w Luksorze, organizował jakąś uroczystość; właśnie tego wieczoru miała się odbyć i już z góry wywoływała poruszenie.

Profesor Shelley kłaniał się uprzejmie, kiedy obserwowany przez wszystkich zmierzał do stolika, przy którym siedział

mężczyzna wyraźnie odróżniający się od reszty towarzystwa.

Miał na sobie wymiętoszone szare ubranie i czarną muszkę.

Jego krótko ostrzyżone czarne włosy również sprawiały wrażenie zaniedbanych, podobnie jak sumiaste wąsy, a twarz była spalona słońcem jak twarz tubylca, co w owym czasie uchodziło za szczególnie prostackie.

—
Mister Carter? — zapytał Shelley.

Zapytany wstał. — Howard Carter.

—
Jestem profesor Shelley, a to moja małżonka Claire.

Po wymianie brytyjskich uprzejmości i ogólnych nic nie znaczących uwag o męczącej podróży i o pogodzie Shelley wyjął z kieszeni list i położył przed Carterem na stole. Ten przeczytał nadawcę: — Highclere Castle — i jakby znał treść listu, wsunął go, nie czytając, do kieszeni marynarki.

—
Będę się streszczał — rzekł

Shelley — przybywam z polecenia Egypt Exploration Fund.

>
Carter skinął głową. — A powód, profesorze?

Shelley przysunął się bliżej i rzekł po cichu: — W

Londynie są źli. Mocno pana krytykują.

—
Chyba pan nie sądzi, że ja...

—
To, co ja sądzę, nie jest istotne — przerwał profesor

— zostałem tylko wysłany przez Fund, by sprawę wyświecić, jeśli to możliwe. Proszę mieć zrozumienie dla tych panów, ostatecznie zainwestowali masę pieniędzy...

—
Pieniądze! — Carter roześmiał się pogardliwie.

Faktem jest, że krążą plany identyczne z tymi, które pan sporządził w Dolinie Królów.

—
Robiłem też plany Tell el-Amama.

—
I właśnie te plany można również kupić na czarnym rynku.

Carter znieruchomiał. Popatrzył na profesora z niedowierzaniem,

po czym zakrył twarz rękami. — Tego nie wiedziałem —

jęknął z rezygnacją.

—
Teraz rozumie pan nieufność Fund? No, niech pan nie spuszcza nosa na kwintę, ostatecznie nie ma jeszcze dowodów przeciwko panu. Pańskie plany są po prostu za dobre. Tak dobre, że służą jako drogowskaz rabusiom grobów.

—
Przecież to szaleństwo ■— zdenerwował się Carter.

— Gdybym narysował niedokładne plany, to zwolniono by mnie za złą robotę. A ponieważ moje plany są dokładne, to także budzi krytykę. To szaleństwo, słyszy pan?

—
Nie ma mowy o krytyce — przerwał mu profesor.

— Może uda mi się sprawę wyjaśnić. — Pragnąłbym tego ze względu na nas obu.

—
Co pan chce zrobić?

—
Nie przybywam tu jako archeolog. Jestem podróżnym, który spędza w Luksorze urlop; będę się szczególnie interesował starożytnymi znaleziskami, może nawet coś kupię. To się szybko rozniesie. Kiedy nawiążę potrzebne kontakty, dam do zrozumienia, że interesują mnie także większe obiekty.

Carter spojrział na niego. — To dobry pomysł — rzekł.

I dlatego w miarę możliwości nie powinniśmy się spotykać, rozumie pan.

Carter skinął głową i zamieszał kawę. — To naprawdę zakrawa na groteskę. Jeszcze przed kilku laty miano przerwać wszelkie wykopaliska w Dolinie Królów. Niemcy twierdzili, że wszystko, co tam można było odkryć, zostało już odkryte.

Ale potem przybyli Francuzi i naprzeciwno, w owej bocznej dolinie, gdzie przed osiemdziesięciu laty Belzoni natknął się na grób Setiego, natrafili na grób Amenofisa z mumiami Amenofisa, Totmesa, Setiego, Merenptaha i Siptaha, i odtąd zapanowało tam

szaleństwo. Prawie codziennie słyhać pogłoski o niewiarygodnych odkryciach skarbów i bogactw. Przyciąga to rozmaitym hołotę. Nigdy nic udaję się w dolinę bez karabinu.

Niech się pan tu rozejrzy.

—
Czy ma pan na myśli...

—
Wykwintne stroje i dobre maniery są mylące, Sir, wolę nie wiedzieć, na ile dziesiątków lat więzienia zasługują siedzący tu na tarasie panowie.

Howard Carter zawsze używał bardzo niedwuznacznego języka, co

— trzeba przyznać — nie przysparzało mu przyjaciół, a nawet uchodzi! powszechnie za dziwaka i odludka. Panią Shelley jednak fascynował ten dziki Anglik i zaczęła bez żenady szacować gości hotelowych z punktu widzenia ewentualnych wyroków.

— Kochanie, proszę cię! — ostrzegł profesor żonę. a zwracając się do Cartera, ciągnął dalej: — I proszę, niech mi pan powie szczerze, czy spodziewa się pan odnaleźć w Dolinie Królów coś spektakularnego? Mam na myśli to, że nauka o starożytności nie żywi się pogłoskami...

—
Ale też nie dokumentami i nędznymi artykułami! —

odparł Carter błyskawicznie. — Egypt Exploration Fund ma może w swych szeregach jasne umysły, ale historii Egiptu nie robi się w Londynie, w Paryżu czy Berlinie. — Carter wskazał

palcem za ramię. — Historia, jeśli w ogóle była tworzona, to w brudzie, przy czterdziestu stopniach w cieniu, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. — I nagle zapytał: — Czy jest pan tu po raz pierwszy?

—
Tak — odparł Shelley, a Carter ciągnął dalej: —

Widzi pan, ja miałem siedemnaście lat, kiedy przybyłem tu po raz pierwszy, i odtąd ten kraj i jego przeszłość nie przestają mnie fascynować. Odtąd mieszkam tu, pracuję, zdobywam wiadomości, których nie da mi ani Oksford, ani Cambridge.

Człowiek się tu nie wzbogaci, najwyżej w doświadczenia.

Nauka o starożytności to piękna dziewczyna bez posagu.

Profesor się uśmiechnął. — Nie odpowiedział pan na moje pytanie.

Carter się zamyślił. — Czy spodziewam się jakiegoś spektakularnego znaleziska? — Spojrzał na drugi brzeg Nilu i przez usta przemknął mu ironiczny uśmiech. — Musiałbym być chyba wariatem — rzekł, nie patrząc na profesora —

gdybym nie był przekonany, że tam znajduje się coś, co z miejsca przyniesie mi sławę.

Shelley spojrzał na żonę i zawołał zachwycony: — Niech pan opowie, panie Carter, proszę, niech pan opowie!

Przez chwilę Howard Carter stracił panowanie nad sobą, zrobił aluzję, której już po chwili pożałował; ale teraz znów się opanował i starał się osłabić wymowę swojej uwagi. —

Wie pan, taki archeolog jak ja karmi swoje nadzieje kamykami mozaiki. Im więcej znajdzie kamyków, tym bardziej zbliża się do celu. Najgorsze, że kamyki te nasuwają więcej pytań, niż udzielają informacji. Ale potem człowiek dokonuje jakiegoś odkrycia, wyrabia sobie jakiś obraz, znajduje dalsze kamyki, początkowo niepozorne, tak jak poprzednie, ale te niepozorne kamyki nagle dają potrzebną wiedzę, z której można zrekonstruować całość.

Mrs. Shelley spoglądała na Cartera z napięciem.

—
Dam panu przykład. Wejście do grobowca królowej Hatszepsut znane było od stu lat. Ale nie odkryto żadnych inskrypcji, żadnych płaskorzeźb, żadnych rysunków, tak że nikt nie miał pojęcia, dokąd to wejście prowadzi. Kamienie były kruche, a korytarz wypełniony gruzem; poza tym wił się jak ślimak. Napoleon zaczął usuwać gruz, ale po dwudziestu sześciu metrach zrezygnował. Potem przyszli Niemcy, kopali o dwadzieścia metrów dalej, wreszcie skapitulowali. Jak na pieczarę, której przeznaczenie znano, wydawało się to zbyt wielką fatygą o niewspółmiernie wielkim nakładzie. Kiedy znalazłem grób Totmesa IV, odkryłem w gruzach błękitnego skarabeusza z imieniem królowej Hatszepsut. To mnie zaniepokoiło. Zająłem się legendarną królową i doszedłem do przekonania, że jej grobowiec musi się znajdować w pobliżu.

Ale gdzie zacząć kopanie? Pewnego dnia dłużyłem laską tuż przed wejściem do pieczary, gdzie próbował już kopać Napoleon. I co zobaczyłem? Płaski kamień z imieniem Hatszepsut. Już nie miałem wątpliwości, że ten kamień został

wyrzucony razem z gruzem z nieznanego korytarza. A więc chodziło na pewno o grób królowej

Hatszepsut.

—
I pana przypuszczenie się potwierdziło? — zapytała Mrs. Shelley niecierpliwie.

Howard Carter strzepnął z ubrania niewidzialny pyłek, jak gdyby chciał sprawić wrażenie, że chodzi tu o sprawę mało istotną. Wreszcie odparł: — Tak, moje przypuszczenie okazało się słuszne, jeśli nawet wynik mojego odkrycia nie usprawiedliwia wielkiego nakładu pracy. Musieliśmy założyć węże doprowadzające powietrze, przedrzeć się przez trzy przednie komory, wreszcie po dwustu metrach natrafiliśmy na grobowiec.

—
I...?

—
Żadne „i”. Był pusty, jak wszystkie grobowce faraonów, które dotąd odkryto. Inszallah.

—
Mówi pan tak, jak gdyby sprawiło to panu przykrość

— rzekła Claire Shelley.

—
Przykrość? — Carter uśmiechnął się gorzko. —

Straciłem posadę. Co by pani czuła, gdyby się pani nagle znalazła na ulicy?

—
Przepraszam, nie wiedziałam!

—
Już dobrze — warknął Carter. — Niech mi pani wierzy, nie było to przyjemne. Całe lata utrzymywałem się na powierzchni malując karty

pocztowe dla turystów, po piastrze za sztukę. Stałem tu przed hotelem dzień w dzień jak żebrak i nieraz wracałem do domu mając w kieszeni dwa piastry. Nie było to słodkie życie.

Około południa powiał ciepły wiatr. Pod jego podmuchem zatrzepotały czerwono-białe markizy na tarasie hotelowym. W

górze rzeki płynął biały żaglowiec z wysokim, trójkątnym żaglem, kierował się ku przystani tuż przed

hotelem i wzbudzał wielkie zainteresowanie wytwornego towarzystwa.

—
Zapewne znów jakiś zwariowany Amerykanin —

rzekł Howard Carter. — Zlatują się tu jak szarańcza, i każdy, kto uważa się za ważniaka, wynajmuje u Thomasa Cooka dahabiję. Taka łódź mieszkalna kosztuje sto funtów miesięcznie. Za tę sumę ktoś taki jak ja musi przez rok grzebać w brudzie i zbierać odłamki, aż pada na nos ze zmęczenia.

Shelley skinął potakująco. — Amerykanie, zdaje się, odkryli Egipt, odkąd Amelia Edwards bawiła z odczytami w Stanach Zjednoczonych. Czy pan wie, że istnieje nawet amerykańska sekcja Egypt Exploration Fund?

—
Wiem. Mój nauczyciel Flinders Petrie często opowiadał o lady Amelii. Była na swój sposób genialna, umiała bowiem sprzedawać wyniki swoich badań.

—
Talent, którego panu brak — stwierdził profesor trzeźwo.

—
I pan to mówi! Pan to mówi!

Od południa z wielką szybkością zbliżał się parowiec pocztowy z Asuanu. Wyrzucał czarne kłęby dymu i wydawał

nieregularne ryki, wzywające białą dahabiję do zwolnienia miejsca na przystani.

—
Widzi pan — rzekł Carter i wskazał na flagę na tylnym maszcie statku. — Amerykanin. — Statek miał nadbudówkę o wysokich wąskich oknach, a z tyłu oszkloną galerię, za którą widać było bibliotekę. „Seven Hathors” —

widniało na dziobie wypisane złotymi literami.

—
Ten statek kazał sobie zbudować Henry Sayce —

rzekł Howard Carter. — Posiada on na pokładzie bibliotekę z dwoma tysiącami tomów. Tyłu książek nie ma w całym Górnym Egipcie! — I po raz pierwszy ten tak poważny mężczyzna roześmiał się

serdecznie. Także Shelley się roześmiał. — Wielu uważa, że Sayce więcej uwagi poświęca luksusowi niż nauce, ale pytam pana, panie Carter, gdzie jest powiedziane, że archeolog musi żyć jak kret? A może istnieją dowody, że sukces kopiącego zależy od stopnia jego ubóstwa?

—
O nie! — zawołał Carter z goryczą. — Na pewno nie, bo inaczej byłbym chyba jednym z tych, którym się najlepiej powiodło.

Kiedy „Seven Hathors” zacumował przy brzegu, a statek pocztowy zbliżył się do przystani, przed hotelem zapanował

ruch. Tragarze przepychali się z wózkami, sprzedawcy herbaty i lemoniady zachwalali swoje

napoje i jak na komendę wszystkie dorożki konne z Luksoru znalazły się jednocześnie w porcie. Mali żebracy w łachmanach wyciągali dłonie do każdego Europejczyka, czarno ubrane matki z przywiązanymi na plecach dziećmi, ciemnoskóre ulicznice, które mlaskaniem zachęcały mężczyzn, poczmistrze w żółtych uniformach ze złotymi guzikami i służący hotelowi w białych galabijach i czerwonych fezach — wszyscy przekrzykiwali się i popychali, jak gdyby rozgrywało się najważniejsze wydarzenie w ich życiu.

—
Widzi pani — rzekł Carter, zwracając się do Mrs.

Shelley — to jest Egipt, to jest życie. Może pani tego nie rozumie, ale nie mógłbym już stać na londyńskiej Oxford Street w kolejce po dorożkę. To byłoby gorsze niż śmierć.

Żyję dwadzieścia lat w tym kraju, potrzeba mi tego rozgardiaszu, krzyku i smrodu wielbłądziejego łajna.

Oczywiście Tamiza to szacowna rzeka, ale czymże ona jest wobec Nilu! Czyż Nil nie jest najbardziej podniecającą rzeką świata, dziką, leniwą, nieujarzmioną i nieokiełznaną, kloaką, a zarazem wymarzoną plażą? Ten kraj można jedynie albo kochać, albo nienawidzić. Ja go kocham.

Było fascynujące, jak ten na ogół oschły mężczyzna nagle się ożywił i rozmarzył; profesor i jego żona rozumieli go: ten kraj i jego mieszkańcy zmieniają każdego Europejczyka, sprawiają, że Europa i Wielka Brytania wydają się jakby na drugim krańcu ziemi.

—
Czy dotarło do pana, że Jego Królewska Mość zmarł? — zapytał nagle Shelley.

Carter się roześmiał. — Niech pan nie sądzi, że my tutaj żyjemy jak na innej planecie! Statek pocztowy z Kairu przybywa dwa razy w tygodniu i przywozi najnowsze gazety z całego świata. Niech żyje Jego Wysokość Król Jerzy Piąty. —

W słowach Cartera zabrzmiał lekki odcień ironii, wskazujący na to, że na pewno nie jest on monarchistą.

—
Niespokojne teraz czasy w Europie — rzekł profesor

— nikt nie wie, jak Niemcy zareagują na nasze zbliżenie z Francją.

—
Prawdopodobnie równie negatywnie jak Egipcjanie

— odparł Carter. — Układ pomiędzy Francją a Wielką Brytanią, pozostawiający Maroko Francuzom, Egipt zaś Anglikom, uznany został tutaj za transakcję handlową i jeszcze bardziej zaognił nacjonalizm. Sądzę, że to tylko sprawa czasu, i dojdzie do nowego powstania jak pod rządami Arabiego Paszy. Zabójstwo premiera Butrosa Gali na początku roku może być sygnałem alarmowym. Stał się on ofiarą egipskiego nacjonalisty.

—
Ale mamy generalnego konsula w Kairze, to on sprawuje nadzór nad Egiptem!

—
Carter się roześmiał. — Sir Eldon Gorst to nie lord Cromer, odkąd Gorst piastuje ten urząd, panuje tu chaos.

—
Sir Eldon to ciężko chory człowiek.

—
Wiadomo, że tak, i to jest godne pożałowania, ale Bogiem a prawdą, Gorst nie ma ani takiego autorytetu, jaki miał Cromer, ani takiego wpływu, jaki byłby potrzebny, by przerzucić mosty pomiędzy przeciwnościami w tym kraju.

—
Proszę pomyśleć, jeszcze przed niewielu laty panowało w Egipcie prawo bata. Za pomocą korbaczy egzekwowano najbardziej obłędne podatki i wymuszano zeznania przed sądem. Oficjalnie bat skasowano, ale w odległych okolicach, gdzie uboga ludność nie ma odwagi wnieść skargi, urzędnicy wciąż jeszcze używają bata. To powszechnie znana tajemnica.

—
Takie przypadki należy publikować! — zawołał

profesor oburzony, a jego żona, która przysłuchiwała się z zapartym tchem, przytaknęła mu skinieniem głowy.

— Publikować, po co? I tak każdy o tym wie, a niejeden uważa nawet, że to był błąd, iż zniesiono bat. Wielu uznało to za znak słabości rządu. Mudirowie, gubernatorzy prowincji, i ich policjanci stracili autorytet, liczba przestępstw stale rośnie, a moralność podatkowa, od kiedy nie pomaga jej się batem, spadła bardzo nisko. Kto chce rządzić tym krajem, musi mieć siłę słonia, być gruboskórny jak bawół i wrażliwy jak jaszczurka.

—
A czy Sir Eldon nie ma tych cech?

Carter wzruszył ramionami. — Jak już powiedziałem, Eldon to nie Cromer. Brytyjski konsul generalny jest tu nie po to, by rządzić krajem, lecz po to, by krajowi pomóc. O lordzie Cromerze opowiadają najbardziej zwariowane historie.

Protestował przeciwko zwolnieniu angielskiego woźnicy kedywa, wstawił się za pewnym mężczyzną z rodziny kedywa, ponieważ żona biła go codziennie pantoflem po twarzy, pomógł wypłatać się z brudnej afery młodemu brytyjskiemu oficerowi, oszukanemu podczas gry w karty, a od właściciela pewnej niewolnicy, która chciała wyjść za mąż, wyjednał zezwolenie. Żadna z tych spraw nie była związana z jego urzędem, ale Cromer nie znał żadnych przeszkód i to przysparzało mu wiele sympatii.

—
A kedyw Abbas Hilmi?

— Wicekról Egiptu za rządów Cromera był inny niż dzisiejszy wicekról, choć nosi to samo imię. Kiedy Abbas Hilmi przed prawie dwudziestu laty wstąpił na tron, był

młodzieńcem, właśnie wrócił z Akademii Wojskowej w Wiedniu i oczywiście nie dorastał do pięt doświadczonemu konsulowi generalnemu lordowi Cromerowi. Ale to się zmieniło z biegiem lat, dziś jest odwrotnie, dziś brytyjski konsul generalny nie dorównuje kedywowi. W każdym razie stosunki między nimi są bardzo napięte.

—
Mam wrażenie — rzekł profesor Shelley — że my, Anglicy, nie jesteśmy w tym kraju zbyt lubiani.

—
Zgadza się, ale to dotyczy wszystkich

cudzoziemców, nie tylko poddanych Jego Królewskiej Mości.

Należy to zrozumieć. Cudzoziemcy podlegają w Egipcie własnym prawom, policji nie wolno nawet

wejść do domu obcokrajowca i — co budzi szczególną zawiść —

obcokrajowcy nie płacą podatków. Widzi pan te statki, piękne jachty i dahabije. A teraz niech pan spojrzy na flagi: amerykańskie, brytyjskie, jedna niemiecka, jedna włoska —

ale ani jednej egipskiej.

—
Istotnie. A jaki jest tego powód?

—
Bardzo prosty: nie ma flagi egipskiej. A statki w tym kraju są wysoko opodatkowane; cudzoziemcy zaś w ogóle nie muszą płacić podatków.

—
Rozumiem.

—
Nie wzbogaci się pan tutaj jako archeolog. —

Howard Carter oparł głowę na rękach. — Ja czasami naprawdę nie wiem, z czego będę żył w przyszłym miesiącu.

Pracowałem dla rozmaitych ludzi, najpierw dla Fund, potem dla egipskiej Służby Starożytności, dla Davisa, amerykańskiego magnata miedzi, a teraz dla Carnarvona.

Po długiej przerwie Shelley rzekł: — Pana stosunki z lordem Carnarvonem nie są najlepsze?

—
Kto tak powiedział? — Carter podniósł głowę.

—
Carnarvon.

—
No tak, skoro on tak mówi. Wie pan, jego lordowska mość to awanturnik, a ja jestem archeologiem. Awanturnicy są wrogami wszelkiej nauki. — Przy tych słowach Carter wyciągnął z kieszeni list, który przekazał mu profesor. — I tak wiem, co on pisze — rzekł z goryczą, przebiegając pismo wzrokiem.

Profesor i jego żona spoglądali na Cartera pytająco.

—
To, co zwykle, chce przerwać prace, wynik moich wykopalisk nie usprawiedliwia nakładu trudów i pieniędzy.

Carter, wściekły, zgniótł list i cisnął go do kosza. Potem wstał i składając krótki ukłon, rzekł, rozglądając się ostrożnie na wszystkie strony:

— Jak już była o tym mowa, dla pańskiej pracy byłoby lepiej, gdyby nas zbyt często nie widziano razem. Ale jeśli będzie panu potrzebna moja rada, zawsze może pan zostawić dla mnie wiadomość tu, w hotelu. Przychodzę tu dwa razy w tygodniu po korespondencję.

I szybko zbiegł po schodach na przystań, gdzie znikł w tłumie.

Shelley i jego żona spojrzeli na siebie bez słowa. Oboje myśleli to samo: ten Howard Carter to bardzo dziwny człowiek.

Omar obserwował z oddali przebieg wizyty obcego mężczyzny. Był świadkiem podniecenia panującego podczas przybycia statku pocztowego, nie spuszczał z oczu swych państwa. Wystarczył jeden ruch profesora i Omar natychmiast przybiegł.

— Ja saidi?

— Załatw nam łódkę. Chcemy się przeprawić na drugi brzeg.

Zaraz potem łódka na brzegu Nilu czekała na pasażerów; wysoki,

chudy przewoźnik przewiózł profesora i jego żonę na drugi brzeg.

Zanim mała łódka zdążyła przybić, na brzeg zbiegła się gromada krzyjących ludzi, którzy proponowali swoje usługi, a kiedy profesor oznajmił, że szuka przewodnika i dwóch osłów, by udać się do Doliny Królów — co najmniej pół

tuzina chłopców i starszych mężczyzn, szamocąc się rzuciło się do niego, aby ich zatrudnił. I nawet kiedy obcy przybysz już się zdecydował, przepychanie się trwało nadal; a szutrową drogą ruszyła procesja: na przedzie profesor dosiadający osła okrakiem, za nim jechała na swoim osle po damsku żona, a z tyłu dreptał Omar.

Na ciężkiej, kamienistej drodze wywiązała się pozornie błaha rozmowa pomiędzy przewodnikiem Ibrahimem a profesorem Shelleyem, podczas której profesor całkiem niewinnie zapytał, czy Ibrahim nic zna jakiegoś tajemniczego grobu, interesują go bowiem znaleziska. Ale Ibrahim jakby nie rozumiał profesora, był niemal oburzony; zaklinał się na życie swego starego i chorego ojca, że jest człowiekiem uczciwym i nigdy nie popełnił nic złego, a rabowanie grobów to przecież najgorsza zbrodnia. Kręcił przy tym żarliwie głową, jakby za samą tę myśl musiał prosić o przebaczenie.

Minęli świątynię Seta i wioskę Draħ Abul Naga i po dwóch godzinach dotarli do Doliny Królów. Shelley wyraził życzenie zwiedzenia obu najlepiej zachowanych grobów faraonów Setiego I i

Ameno- fisa II. Podczas gdy Anglicy zniknęli w pierwszym grobie, Omar pilnował obu osłów. Minęła chyba godzina, nim profesor i jego żona wrócili.

Czekając przy grobie Amenofisa, Omar usiadł na ocienionych schodach; chyba zasnął, gdy nagle ktoś trącił go w prawe ramię. — Hej, obudź się! — Przed nim stał krępy chłopak, niewiele starszy od niego.

— Czy to ty jesteś służącym angielskiego saida?

—

Tak, jestem Omar, jego służący.

Chłopak przesunął orzech, który właśnie żuł, z jednej strony policzka na drugą, oglądając przy tym Omara od stóp do głów.

— Twój pan szuka jakichś wykopalisk, czy tak?

Omar był zmieszany. Słyszał rozmowę pomiędzy Shelleyem a Ibrahimem, ale nie wiedział, jak ma się zachować.

Obcy chłopak, nic zważając na milczenie Omara, pochylił

się nad nim i rzekł tuż przy jego uchu. — Powiedz twemu angielskiemu saidowi, że może nabyć skarby, jakich nigdy w życiu nie widział. Powiedz swemu panu, żeby po zapadnięciu nocy stawiał się na drodze prowadzącej do Gurnet Murrai u stóp kolosów Memnona, ale sam, rozumiałeś?

I chwycił Omara za ramiona, potrząsając nim.

Zanim chłopiec zdążył coś odpowiedzieć, tamten znikł.

Omar czekał cierpliwie. Gdy Shelley z żoną wrócili wreszcie, opowiedział im podniecony, co się wydarzyło.

—

Chyba tam nie pójdziesz! — zawołała Claire gniewnie.

Profesor ujął dłoń żony i rzekł uspokajająco: — Cóż mi się może

stać, kochanie; oni chcą tylko wyciągnąć ode mnie pieniądze, a kiedy im oświadczę, że nie mam przy sobie pieniędzy, nic mi nie zrobią.

Claire błagała męża: — Nie chodź tam!

—

Ale to moja jedyna szansa, by dotrzeć do tych zbrodniarzy.

W drodze powrotnej spór ich przybrał na sile. Omar, który dotąd szedł obok w milczeniu, nagle rzekł: — Ja saidi, ja mógłbym zamiast pana pójść pod kolosy Memnona.

Profesor spojrział najpierw na Omara, potem na żonę, wreszcie rzekł zdumiony, niemal rozbawiony: — Ty, Omarze?

—

Omar nie zna strachu, ja saidi. Czegóż miałbym się bać?

Claire zareagowała początkowo: — Czemu nie? Jeśli Omar jest

gotów pójść!

—

Nonsens — warknął Shelley. — Chłopak nie wie, o co chodzi.

—

To mu wytłumaczysz. Omar nie jest głupi.

Shelley w milczeniu jechał dalej. Zastanawiał się. Wreszcie rzekł:

— No więc dobrze, posłuchaj, chłopcze — i zaczął

opowiadać o tajnych- planach, które są w obiegu i na które naniesione są groby jeszcze nie odkopane, i że Egypt Exploration Fund przysłała go tu, aby wyjaśnił, kto jest autorem tych planów i czy służyły one grabieżcom grobów jako wskazówki w ich wyprawach. — Czy mnie zrozumiałeś?

Chłopiec, który z wielkim wysiłkiem śledził słowa profesora, odparł podniecony: — Omar wszystko zrozumiał, ja saidi.

Omar powinien sprawiać wrażenie, tłumaczył dalej Shelley, że jego pan interesuje się znaleziskami, ewentualnie także mapami na własny użytek. Przekazanie przedmiotów i zapłata mogą nastąpić, zgodnie z życzeniem jego pana, nie po tej stronie rzeki, lecz po przeciwnej, w Luksorze. Jego pan, bogaty Anglik, człowiek interesu, posiada bowiem duży majątek, ale jest bardzo nieufny. Następnie profesor kazał

Omarowi powtórzyć całą historię.

Ze zdumieniem stwierdził, że chłopiec wszystko dokładnie zapamiętał, i nie ulega wątpliwości, że zrozumiał swoje zadanie.

Kiedy skały na zachodnim brzegu najpierw zabarwiły się ciemno- czerwono, a potem fioletowo,

wreszcie ciemnobrazowo, Omar kazał się temu samemu przewoźnikowi przewieźć na drugi brzeg.

Odblask księżyca tańczył na spokojnej rzece niezliczonymi refleksami. Ze wszystkich stron rozlegały się nad wodą wołania, przerywane od czasu do czasu skrzypieniem masztów i uderzeniami wiosł płynących leniwie dahabiji. Na środku rzeki fale wydawały odgłosy, jakby ocierały się o siebie miliony ziarenek piasku, ale w miarę jak łódź zbliżała się do brzegu, zagłuszały ten szum niemal bolesne odgłosy cykad.

Omar musi przejść nadbrzeżną drogą dwa tysiące kroków, powiedział przewoźnik, wskazując na południe, do miejsca, gdzie zarośnięta trawą stojąca woda rzeki zagradza drogę.

Stamtąd ma się udać w kierunku Gurnet Murrai i Der el-Medine, aż po prawej ujrzy kolosy Memnona. Nie przeoczy ich nawet w ciemności, bo każdy z nich jest wyższy niż najwyższy dom w Luksorze. On sam będzie czekał na powrót Omara w łodzi — prześpi się tymczasem.

Omar wyskoczył na ląd. Na brzegu cumowało wiele łodzi, wśród nich jasno oświetlona łódź mieszkalna, z której rozbrzmiewał głośny śmiech i dźwięki darabuki. Powietrze było łagodne, a ziemia pod nogami przyjemnie ciepła; mimo woli chłopiec zaczął biec. Sam nie wiedział, co go przynagla do pośpiechu, może podniecenie, bo zdawał sobie sprawę z wagi swego zadania.

Miejsce, gdzie stojąca woda zagradza drogę, z daleka dawało o sobie znać. Słychać było chrapiące, trąbiące i skrzeczące odgłosy olbrzymich żab, hałas był taki jak na targu wielbłądów. W bladym świetle Omar ujrział pomiędzy zżętym polem trzciny cukrowej zakręt drogi i zwolnił kroku. Serce podchodziło mu do gardła. Chyba nie przeszedł jeszcze tysiąca kroków, gdy po prawej stronie w szerokim zagłębieniu, w niewielkiej odległości spostrzegł dwa kamienne kolosy. Natężając wzrok, rozglądał się dokoła w półmroku za jakimś człowiekiem, zatrzymał się, by usłyszeć jakiś szelest, lecz poza dźwiękami cykad i biciem własnego serca nic nie słyszał; po raz pierwszy poczuł niepokój.

Monumentalne kolosy, dwie zwietrzałe postacie, były chyba dziesięciokrotnie większe od człowieka, a ich ciemne sylwetki odcinały się wyraźnie od łańcucha zachodnich skał

Isniących w blasku księżyca. Omar zastanawiał się, czy ma czekać tutaj, na drodze, ale potem postanowił podejść do kolosów i tam zaczekać.

Same fundamenty, na których wznosiły się oba kamienne olbrzymy, były o wiele wyższe od Omara. Chłopiec okrążył

każdy z nich, by lepiej móc się zorientować w okolicy, gdy nagle otrzymał silny cios w kark. Potem wszystko dokoła niego pociemniało.

Omar nie wiedział, jak długo trwało jego omdlenie. Powoli odzyskiwał świadomość, na górnej wardze poczuł smak czegoś ostrego czy też słodkawego, a kiedy się poruszył, co sprawiło mu ból w plecach,

usłyszał jakiś szelest. Trwało chwilę, aż chłopiec zdał sobie sprawę, że leży w ciemnym, zamkniętym pomieszczeniu na stosie trocin. Powietrze było duszące, gęste od kurzu, pachniało zwietrzałym

kamieniem i zbutwiałą trzcina. Omar usiadł i nasłuchiwał. Zdawało mu się, że słyszy pianie koguta, potem znów zapanowała cisza, martwa cisza.

Wstał, wyciągnął ramiona, rozpostarł dłonie, powlókł się przez ciemne pomieszczenie, aż natrafił na ścianę. Po blisko dwudziestu krokach dotarł do kąta i poszedł po omacku dalej.

Ściana nie była gładka. Omar wyczuwał szerokie jak dłoń dziury i uformowane równo wgłębienia, wreszcie natrafił na coś w rodzaju framugi drzwi, ale daremnie szukał samych drzwi. Kiedy uderzył w miejscu, gdzie spodziewał się głuchego odgłosu drewnianych drzwi, usłyszał tylko głucho echo kamienia.

Do jego uszu dobiegał jakiś szmer. Brzmiało to chwilami jak syczenie, chwilami jak skrzeczenie lub szlifowanie metalu, a im dłużej nasłuchiwał tych dziwnych odgłosów, tym wydawały mu się bardziej niesamowite i obce.

Kiedy Omar po omacku dotarł ponownie do kamiennej framugi, zatrzymał się. Gdzieś musiało być wejście do tego lochu. Ostrożnie, jak gdyby przy każdym kroku mogła się przed nim rozewrzeć przepaść, chłopak usiłował przeciąć pomieszczenie, ale już po chwili natrafił na przeszkodę, obmacał ją, poczuł podłużne koryto pełne workowego płótna i rozmaitych przedmiotów, których nie potrafił zidentyfikować, i tak dotarł na drugą stronę. Potem usiłował przejść pomieszczenie wzdłuż, przy czym znów natrafił na kamienne koryto i doszedł do ściany przeciwległej, namacał palcami koło od wozu o sześciu szprychach, a przed nim, tak mu się przynajmniej zdawało — zaprzęg konny.

Szukając otworu w tym lochu, Omar wdrapał się na kamienne koryto pośrodku pomieszczenia. Otwór w suficie wydał mu się ostatnią szansą. Teraz stał obiema nogami na krawędzi, wyciągnął ramiona i usiłował dosięgnąć sufitu. Ale choć bardzo się wyciągał, trafiał w pustkę. Stracił przy tym równowagę i spadł. Rozległ się trzask, podniósł się tuman kurzu, ale na szczęście płótno złagodziło upadek, tak że Omar niezbyt mocno się potłukł. Poczłgał się na stos trzcin, położył

się na wznak i rozmyślał, jak się wydostać z tego więzienia.

LUKSOR

I nie uważaj,

iz Bóg nie dba o to, co czynią sprawiedliwi! On tylko daje nam zwłokę do Dnia, kiedy ich spojrzenia osłupieją; oni się będą śpieszyć przerażeni, z Rowami podniesionymi, nie patrząc na siebie wcale, a ich serca będą jak powietrze.

Koran, sura XIV

Karakol, komisariat policji w Luksorze, położony był na Sharia el- -Mahatta w pobliżu hotelu „Winter Pałace” i profesorowi Shelleyowi z trudem udało się przekonać dyżurnego, mężczyznę o płaskim czole, który siedział za oszkloną barierką sięgającą do pasa, by zechciał odłożyć gazetę i przyjąć pisemne zgłoszenie.

Mężczyzna w zniszczonym ciemnym ubraniu i czerwonym fezie uparcie wzbraniał się przyjąć

zgłoszenie i nawet groźba, że profesor złoży skargę do wyższych instancji, nie zrobiła na nim wrażenia; on sam, oznajmił, wyprężając się służbiście, jest najwyższą instancją, w każdym razie w Luksorze, jest submudirem Luksoru. Dopiero groźba, że profesor zgłosi ten wypadek konsulowi Mustafie Adze Ayatowi, u którego będzie dziś na przyjęciu, przekonała stróża porządku. Mustafa Aga był konsulem brytyjskim w Luksorze, małym królem, u którego raz w tygodniu gromadziło się wytworne towarzystwo.

—
Zna pan Mustafę Agę?

Profesor skinął głową, choć to wcale nie było prawdą.

—
Jestem Ibrahim el-Nawawi — rzekł stróż porządku i przyłożył prawą rękę do fezu w geście pozdrowienia — a Mustafa Aga wysoko sobie ceni moją służbę, Sir.

—
Mam nadzieję, że i ja potrafię docenić pańską pracę, Sir.

Słowo „Sir” brzmiało do pewnego stopnia pogardliwie i Ibrahim

el-Nawawi tak też je przyjął, ale nie przejmując się tym zbytnio, wyjął żółty arkusz papieru z szuflady skrzypiącego biurka, położył przed sobą i przybrał urzędowy ton.

—
Pańskie nazwisko?

—
Profesor Christopher Shelley.

—
Zamieszkały?

—
Lensfield Road 34, Cambridge, Anglia.

—
I zgłasza pan zniknięcie pańskiego służącego...

...Omara Moussy. Popłynął łodzią dziś w nocy na drugi brzeg Nilu i nie wrócił.

—
Może utonął?

—
Niech pan posłucha, przewoźnik twierdzi, że przewiózł Omara na drugi brzeg, a potem całą noc czekał na niego. Dopiero o wschodzie słońca wrócił i zawiadomił o zniknięciu chłopca.

—
To nic, profesorze! Powiem panu, co się stało: pański służący popłynął w ciemności przez rzekę. Spotkał tam jakąś huijatę. Każdy mężczyzna w Luksorze wie, gdzie w nocy spacerują ulicznice. Dziewczyna zabrała go do siebie do domu i w ciągu dnia Omar wróci ze szklanym wzrokiem.

—
Omar ma dopiero czternaście lat — rzekł Shelley, oburzony.

—
To nic nie szkodzi — odparł el-Nawawi. —

Czternastoletni Egipcjanin jest już mężczyzną całą gębą.

Profesor Shelley, który dotąd przemilczał powód wyprawy Omara, postanowił wyjawic submudirowi całą prawdę. A więc opowiedział, że jest zainteresowany znaleziskami archeologicznymi, o czym nikt nie powinien się dowiedzieć.

Jakiś nieznajomy kazał mu wraz z nadejściem nocy stawić się przy kolosach Memnona, a Omar dobrowolnie udał się tam zamiast niego.

Ibrahim el-Nawawi długo spoglądał na profesora, potem odsunął na bok żółtą kartkę papieru i rzekł: — Dlaczego pan tego od razu nie powiedział, Sir?

—
A czy to w czymś zmienia fakt, że mój służący znikł bez śladu?

—
Bardzo wiele, profesorze, by nie rzec wszystko.

Żaden człowiek nie udaje się dobrowolnie w nocy drogą do Der el-Medine. To od dawien dawna niebezpieczne miejsce, od tysiącleci ciąży na nim przekleństwo. Mieszkańcy Der el-Medine przed trzema tysiącami lat grzebali faraonów w grobach w Dolinie Królów; powiadają, że po skończonej pracy zostali zabici, aby nikt nie mógł zdradzić położenia owych grobów, i jeszcze dziś ich dusze błąkają się nocą po tej okolicy.

—

To głupie gadanie.

—

Niech pan tak nie mówi, profesorze. Jeszcze dziś mieszkańców Der el-Medine traktuje się jak trędowatych, nikt nie chce mieć z nimi do czynienia. Nazywa się ich „ci z tamtej strony”. Po pierwsze dlatego, że mieszkają po tamtej stronie Nilu, po drugie dlatego, że mają kontakty z tamtą stroną.

Może mi pan wierzyć albo nie, ale faktem jest, że każdego miesiąca w dniu święta boga księżyca ludzie giną bez śladu, powiadają, że zostają zamurowani żywcem w Dolinie Królów.

—

I pan jako submudir patrzy na to spokojnie?

—

Co pan sobie wyobraża? — El-Nawawi udał

oburzenie. — Moi ludzie spędzili dużo czasu na poszukiwaniu zaginionych w Dolinie Królów. Ale nie ma żadnych dowodów

— są tylko pogłoski.

Wyraźnie zdenerwowany, Shelley wyciągnął z kieszeni fajkę i zapalił. Małe obłoczki, które regularnie wydmuchiwał, zdradzały jego wzburzenie. — Przecież to niemożliwe, by wioska pełna fanatyków lub wariatów terroryzowała całe miasto!

Submudir wzruszył ramionami, tak że jego mała głowa omal nie zniknęła w kołnierzu ubrania. — Podczas wszystkich poszukiwań w Der el-Medine natrafiamy na mur. Oni tam trzymają się razem. W ciągu dnia spotkać można tylko stare baby, a nocą nikt nie odważy się tam pójść.

Z zakurzonej półki na ścianie, gdzie przechowywano w paczkach papiery, el-Nawawi wyciągnął dokument i rzucił go na biurko. — Same nie wyjaśnione wypadki. Ludzie, którzy zginęli bez śladu w ciągu nocy. Ostatnio jakiś Niemiec z żoną.

Inszallah.

I nigdy nie odnaleziono zaginionych?

—
Owszem. Pewnego Amerykanina. Ale, szczerze mówiąc, nie policja go odnalazła, lecz sępy, które z rana i wieczorem krążą nad Doliną Królów. A temu mężczyźnie brak było czegoś istotnego, głowy mianowicie.

Shelley mocno pociągał swoją fajkę. Wreszcie zapytał, a brzmiało to niemal błagalnie: — Co zamierza pan teraz zrobić?

El-Nawawi otarł wierzchem dłoni kurz z akt i zmieszany spoglądał na biurko.

—
Zrobię to dla pana i pošlę patrol do Der el-Medine, chociaż już teraz mogę pana zapewnić, że to daremne.

Profesor pożegnał się, a El-Nawawi zawołał za nim: —

Jeśli wolno mi panu coś poradzić, to niech pan nie próbuje wejść w posiadanie jakichkolwiek planów wykopaliskowych.

Widzi pan, że każda próba kończy się tragicznie.

Profesor zatrzymał się: — Co chce pan przez to powiedzieć?

—
Och, nic takiego! Zniknięcie pańskiego służącego łączyłoby tylko jedno z tymi wszystkimi wypadkami

—
powiedział i przy tym postukał dłonią w akta — wszyscy ci ludzie poszukiwali tajnych planów grobów w Dolinie Królów.

Shelley spojrział z niedowierzaniem na El-Nawawiego. Co też ten człowiek wiedział?

Dom konsula Mustafy Agi Ayata położony był na małym wzniesieniu wśród eukaliptusów i palm, które dla fantazji ozdobiono świecącymi szklanymi kulami i kolorowymi mosiężnymi latarniami. Przy wysokiej

żelaznej bramie ogrodu stało czterech odźwiernych w białych liberjach; trzymali pochodnie i byli podobni do siebie jak krople wody. Z domu, który dzięki jasno oświetlonym oknom, ostrym łukom i wieżyczkom po obu stronach przypominał

pałac z tysiąca i jednej nocy, docierał zapach ostro przyprawionego pieczonego na grillu mięsa, słodkich prażonych orzechów oraz przenikliwa woń końskiego nawozu.

Trio grało na ka- mangach rozdierającą serce melodię.

Goście, w większości mężczyźni, przybywali w oświetlonych otwartych powozach, mieli na sobie zakłady i cylindry, a nieliczne europejskie kobiety były ubrane w długie ozdobione falbanami suknie. Profesor Shelley podał

żonie ramię, kroczyli, kłaniając się, w stronę białych kamiennych schodów, przed którymi stał pan domu w otoczeniu gromady służby.

Mustafa Aga Ayat był to niski, otyły mężczyzna w nieokreślonym wieku. Ubrany był po europejsku. Jego kędzierzawe, czarne włosy zakrywał jednak czerwony fez z chwostem, który powiewał na wszystkie strony. Okrągłą twarz okalała gęsta broda, a nad nieproporcjonalnie małymi oczkami unosiły się bujne, krzaczaste brwi.

—

Jest pan zapewne profesorem z Cambridge —

powitał Mustafą nowo przybyłych z rozpostartymi ramionami

— witam, witam! — Konsul mówił śmieszłą angielszczyzną, podwajając wszystkie spółgłoski, a większość samogłosek połykając.

Shelley przedstawił gospodarzowi małżonkę, którą Mustafa Aga zaledwie zaszczyił spojrzeniem, i pochwalił bajeczny dom.

Mustafa Aga machnął ręką: — Nie jest jeszcze wykończony. I wątpię, czy w ogóle kiedykolwiek będzie.

Prawdopodobnie będzie tak jak z moim ojcem; zbudował swój dom na kolumnach świątyni Amona; było to najlepsze miejsce w Luksorze. A potem przyszli archeolodzy i powiedzieli, że musi się usunąć. — I konsul roześmiał się przy tym tak, że wszystko się zatrzęsło na tym grubym człowieku.

Gdy Mustafa Aga spostrzegł zdziwiony wzrok swych angielskich gości, zapytał uprzejmie: — Państwo mi nie wierzą? Przysięgam na brodę Proroka, że mówię prawdę!

Musicie wiedzieć, że cała świątynia pogrzebana była pod wzgórzem, tylko górne kikuty wystawały spod ziemi.

Nadawały się na fundamenty. Ale to było dawno temu. A teraz życzę miłej zabawy!

Szybkim ruchem ręki Mustafa wezwał do siebie nazira Luksoru

i polecił mu przedstawić Anglików reszcie gości. — To burmistrz — dodał wyjaśniająco — zna ludzi lepiej niż ja.

Wśród gości, a była ich chyba setka, znajdowało się ze dwunastu konsulów z różnych krajów, był zawiadowca stacji, którego oficjalny tytuł brzmiał „dyrektor kolei”, kierownik urzędu telegraficznego, submudir

i komendant policji Ibrahim el-Nawawi, bokser amerykański w białym

tropikalnym ubraniu, ze swą chichoczącą kochanką, magnat naftowy z Kalifornii i połowa załogi jego statku, dagerotypista z Paryża, który swoje odstające wąsy utrzymywał w ryzach, stale je podkręcając, poza tym różni awanturnicy i lekkoduchy, którzy zazwyczaj spędzali lato na Lazurowym Wybrzeżu i rokrocznie w październiku przyjeżdżali do Luksoru, a także ludzie nauki, badacze i archeolodzy z całego świata, odróżniający się od reszty gości zniszczoną odzieżą i poważnymi rozmowami.

Pewna osoba zwracała uwagę wszystkich obecnych. Była to uszmin- kowana kobieta o czarnych włosach, uczesana na pazia; miała na sobie białe męskie ubranie i czerwony krawat zawiązany na białej bluzce.

— Lady Dawson — przedstawił nazir kobietę. Palila papierosa w bardzo długiej lufce i wydmuchiwała dym przez ramię. Zmierzyła profesora wzrokiem od stóp do głów i zapytała zwięźle: — Anglik czy Amerykanin?

—
Cambridge — odpowiedział Shelley.

—
To szczęście dla pana — odparła lady Dawson. —

Musi pan wiedzieć, że Amerykanie nie są tu zbyt lubiani.

Mają za dużo pieniędzy, a za mało manier. Jeszcze dziś opowiadają w Luksorze historię pewnego amerykańskiego pułkownika, który w Nubii kupił sobie Pigmejke. Miała tylko metr wzrostu, ale była pulchna i przeważnie chodziła nago.

Pułkownik trzymał ją jak psiaka. Francuzi i Włosi uchodzą za oszustów — nie całkiem bez racji, bo wywieźli stąd najlepsze wykopaliska. A Niemcy

— mój Boże, są solidni i pracowici, ale niestety także oszczędni i skąpi, niekiedy gnieźdzą się w obrabowanych grobach, by nie płacić za hotel lub pensjonat. Wobec tego nie są zbyt lubiani. My, Anglicy, jesteśmy najbliżsi obrazowi kulturalnego Europejczyka, jaki stworzyli sobie Egipcjanie.

—
Czy pani mieszka tu, w Luksorze? — zapytał

profesor Shelley.

Lady strąciła popiół z papierosa do stojącej obok popielniczki i zrobiła szeroki ruch ręką.

—

Dziś w Luksorze, jutro w Asuanie, w następnym miesiącu w Aleksandrii...

—
Jak mam to rozumieć?

—
Po prostu, żyję na łodzi. Może widział ją pan, nazywa się „Izis”.

— Następnie lady Dawson opowiedziała, że jej mąż, Sir Archibald Dawson, właściciel licznych tkalni bawełny w środkowej Anglii, podczas ich podróży poślubnej po Egipcie przed pięciu laty umarł nagle na malarię. Odtąd nie opuściła już Egiptu i pływa po Nilu w górę i w dół łodzią, na której spędziła najszcześniejszy okres swego życia; lady Dawson mówiła głębokim aksamitnym głosem, odchyliła przy tym kokieteryjnie głowę do tyłu i spoglądała na sufit, wymalowany w małe, złote gwiazdki.

—
Dziwna osoba — stwierdziła Claire Shelley, idąc z mężem dalej, a profesor przytaknął. Mimo że była rozmowna, kobietę tę otaczała aura tajemniczości, wydawało się nawet, że cieszy ją owa tajemniczość wokół własnej osoby.

Jacques Guilberg, dagerotypista, któremu bardzo zależało, aby tak określać jego zawód, chodził dumny jak paw, niosąc przed sobą kamerę na drewnianym statywie, i kiedy tylko spostrzegł jakiś interesujący motyw, zniknął pod czarnym sukniem i za każdym razem zapalał magnezję, by otrzymać potrzebne do fotografowania światło. Pana domu tak to zachwycało, że klaskał w dłonie jak małe dziecko.

Oczywiście także profesor i jego małżonka nie uniknęli kamery i zanim się spostrzegli, stali w otoczeniu marynarzy, boksera, dyrektora kolei i pół tuzina innych gości, których Guilberg zgromadził razem, prosząc, by stali prosto z podniesionymi głowami i nie ruszali się. Guilberg był tak wymagający, jeśli chodzi o zachowanie sztywnej pozy, że jeden z marynarzy, który stał w tylnym rzędzie, potknąwszy się spowodował, że cały rząd się przewrócił jak kostki domina. W tej chwili Guilberg zapalił swój proszek błyskowy.

Ubawiony, ale w istocie obojętny, I Ioward Carter, siedzący w fotelu w czerwono-niebieskie wzory, spoglądał na to wariackie zachowanie. Nie interesowali go dostojni goście, a oni tolerowali jego obecność i znudzoną minę tylko dlatego, że ten dziwaczny Anglik zawsze sprawiał jakieś niespodzianki, przy czym co prawda nie chodziło o naukową, lecz o materialną wartość jego odkryć. Shelley unikał nawią-

zania rozmowy z Carterem. Nikt nie powinien wiedzieć, że utrzymują ze sobą bliższy kontakt. Natomiast Shelley nawiązał rozmowę z Ayatem i poprosił go o radę, co ma zrobić w sprawie zaginionego służącego.

Mustafa Aga Ayat natychmiast spoważniał, a jego tłuste czoło zmarszczyło się. Udał zaskoczenie, ale

jak wszyscy Egipcjanie był złym aktorem i profesor od razu zrozumiał, że został już dawno o wszystkim powiadomiony. Zniknięcie chłopca, powiedział Mustafa i skrzyżował ręce na piersi, to poważna sprawa, niejedynemu już tak znikł i więcej się nie pokazał. Jeśli może udzielić profesorowi jakiejś rady, to tylko tej, żeby prowadził poszukiwania na własną rękę, i ostrzega, że to bardzo niebezpieczne.

Shelley chciał coś odpowiedzieć, ale muzyka stała się głośniejsza, a zza zielono-złotej brokatowej kotary wyszła pulchna tancerka i zaczęła wykonywać taniec brzucha. Wśród grzmiących oklasków tancerka wprawiła w ruch swoje z trudem więzione pod lśniącą opaską piersi, trzymając ręce ponad głową, jak gdyby były związane w przegubach. Pa-żnokcie miała pomalowane na czerwono, brwi uczernione jak Kleopatra.

Spoglądała wyzywająco dokoła, z na wpół otwartymi ustami, ukazując lśniące białe zęby.

—
Nazywa się Fattna szepnął Mustafa profesorowi, i przewracając oczami, głęboko westchnął: — Jest najlepsza pomiędzy Kairem a Asnanem.

Shelley, który nie wiedział, co ma odpowiedzieć, skinął

głową i zaczął bić brawo, jednocześnie wszyscy inni również zaczęli klaskać rytmicznie i pobudzać Falmę do coraz bardziej ekstatycznych ruchów. Dziewczyna tupiała bosymi stopami po dywanie, pokrywanym białą kamienną posadzkę tarasu, i wzbijała tumany kurzu. Kamangi wciąż od nowa powtarzały tę samą jękliwą melodię, a na jedwabistej skórze Fatmy utworzyły się lśniące krople potu.

'tylko czterech mężczyzn zachowało obojętność wobec tej zmysłowości, jeśli sędzie po odzieży, byli to tubylcy. Siedzieli za kolumną i pociągali czarne munsztuki, których barwne węże prowadziły do stojącej na podłodze mosiężnej fajki wodnej; z filigranowej pokrywki, ozdobionej czerwonym kamieniem w kształcie stożka, wydobywały się białe obłoczki.

Wśród tych mężczyzn najbardziej rzucał się w oczy łysy, który wysunął do przodu protezę lewej nogi, ukrytą pod galabiją, i wymachując rękami, przemawiał do pozostałych, rozglądając się przy tym nieufnie, jakby obawiał się podsłuchujących.

—
Gazety piszą — szeptał — że generalny gubernator Hldon Gorst wyjechał do Anglii, by tam umrzeć.

—
Tego to mi nie żal — rzekł chudy, ciemnowłosy młody człowiek, siedzący po prawej stronie przemawiającego.

— Nie miał formatu Cro- mera.

—
Format nie format, ale podobno kedyw chce pojechać do Wilt- shire, by złożyć choremu wizytę.

—
Niemożliwe!

—
Niech go czarny mór dopadnie! — zdenerwował się drugi rozmówca.

—
Ib upokarzające dla całego narodu egipskiego —

rzekł trzeci.

Jednocześnie pochylił się do sąsiada, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział spokojnie: — Należy Abbasowi Hilmiemu przeszkodzić w tej podróży. Nasi przyjaciele w Aleksandrii mają już jakiś plan,

—
Jak chcesz przeszkodzić kedywowi w wyjeździe do Anglii?

—
Abbas Hilmi pojedzie fregatą „Komombo”. Do Anglii daleka droga. Rozumiecie mnie?

Tamci skinęli głowami. — Tak czy owak — dodał

mężczyzna z protezą — kapitan Ibn Khadar jest po naszej stronie.

—
Czy to pewny człowiek?

—
Absolutnie. Za pieniądze nawet prorok Mahomet zatańczy jak mu zagrają.

Właśnie w tej chwili, gdy Fatma, klęcząc na podłodze, odchyliła się do tyłu, tak że jej długie włosy dotknęły podłogi, podniecająca muzyka nagle zamilkła. Usłyszano tupot kopyt, gdzieś rozległ się strzał, od strony parku dobiegły podniecone krzyki i zanim uzbrojeni strażnicy zdążyli zareagować, wdarła się gromada zamaskowanych jeźdźców. Było ich pięciu czy sześciu, nagle wskoczyli ze wszystkich stron na taras, przewrócili stoły i lampy i wołając Laillah il' allah, co oznaczało:

„Nie ma Boga nad Aliaha”, oddali strzały w stronę zaskoczonych gości.

Shelley powalił żonę na ziemię i osłonił ją własnym ciałem, potoczył się, trzymając ją mocno, do balustrady, gdzie — jak sądził — będą bezpieczni.

Napad trwał tylko parę sekund. Równie szybko, jak przybyli, jeźdźcy zniknęli w mroku nocy. — Za mną! —

ryknął submudir Ibrahim el-Na- wawi i wyrwał jednemu z osłupiałych strażników strzelbę z ręki. Wypadł w mrok, gdzie zniknęli jeźdźcy', strażnicy Agi pobiegli za nim. Mustafa Aga Ayat drżał na całym ciele, usiłował jednak zbagatelizować zdarzenie, wciąż powtarzając: — Nic się nie stało, nic się nie stało!

Bokser szczyrzył zęby, trzymał się za ramię, na którym widniała plama krwi, Guilbert najbardziej troszczył się o swoją kamerę, jedno nogi i jego towarzysze zniknęli bez śladu, a tancerka Fatma leżała nieruchomo na dywanie, na którym dopiero co się wyprężała.

—
Czy wszystko w porządku? — Profesor podniósł

żonę i strzepywał jej kurz z sukni.

Claire skinęła głową. — Popatrz — rzekła nagle i wskazała półnagą tancerkę.

Na lewym ramieniu Fatmy widoczna była mała czarna dziurka. Shelley pochylił się, przesunął ostrożnie jej głowę do przodu. Z prawego kącika ust sączyła się mała strużka krwi.

—
Prędzej lekarza! — zawołał Shelley. — Aga, wymachując dziko ramionami, krzyczał: — Gdzie jest doktor Mansur?

Doktor Shafik Mansur, kierownik małego szpitala w Luksorze, położył duży palec na powiece Fatmy i starał się ją podnieść, potem ujął lewą dłoń tancerki, ale po chwili opuścił

ją na podłogę. Potrząsnął głową, przycisnął dwa palce do szyi Fatmy i rzekł cicho: — Nie żyje.

Claire zaczęła płakać, profesor objął ją troskliwie. — To dla mnie stanowczo za wiele — szlochała kobieta.

W dwa dni później w „Luxor News” można było przeczytać, że podczas strzelaniny, która wybuchła pomiędzy

wrogimi grupami nacjonalistów, zginęła tancerka Fatma z Nag Hammadi.

Omar nie wiedział, jak długo tak tkwił półprzytomny. Czy byty to dwa, trzy, a może cztery dni? W tej ciszy i ciemności stracił wszelką orientację, nie wiedział, ile razy obmacywał

ściany, szukając rozpaczliwie drzwi lub otworu. Przecież w jakiś sposób musieli go wrzucić do tego okropnego lochu!

Czasami zdawało mu się, że słyszy głosy, wtedy szeroko otwierał usta, jakby w ten sposób mógł lepiej słyszeć, ale po chwili ogarniała go nie kończąca się cisza. Powoli jego myśli mętniały, nie był nawet w stanie zastanowić się nad czekającym go końcem. Z pragnienia, głodu, a może jako znak, że jeszcze żyje, Omar żuł brudną trzcinę, służącą mu za poślanie, ale za każdym razem, kiedy zaczynał ją gryźć, natychmiast wypluwał, ponieważ piach zgrzytał mu w zębach.

W którymś momencie zaczął chichotać jak pijany, bo przyszło mu na myśl, że umieranie to okropnie nudna rzecz.

Przestał już ryczeć do ścian, by słyszeć ludzki głos, a jedyne uczucie, do jakiego był w tej chwili zdolny, to świadomość, że znajduje się na granicy życia i śmierci.

Szmer, jaki naraz dotarł do niego z góry, nie poruszył go, myślał, że to złudzenie, które już niejednokrotnie go zmyliło.

Toteż nie zareagował, kiedy sufit nad nim się otworzył i padł

na niego czerwonożółty promień, który' spowodował kłujący ból oczu. Dopiero kiedy przez dziurę spadła na dół drabina sznurkowa, Omar wyprostował się i spojrzał w górę. Drżał z podniecenia; zamaskowana postać z lampą naftową w ręku wcisnęła się przez otwór i ostrożnie zeszła po drabinie. Choć wysokość lochu wynosiła zaledwie cztery metry, trwało to bardzo długo, w każdym razie tak się Omarowi wydawało.

W kołyszącym się świetle latarni ujrzał teraz ściany, które tyle razy obmacywał; rozpoznał wóz wojenny ciągnięty przez konie, sześćo- szprychowe koło, bogów o zwierzęcych głowach, postacie klęczące i biegnące oraz niezliczone hieroglify'. Grobowiec! A więc spędził ostatnie dni w grobowcu. Pośrodku pomieszczenia stał sarkofag, a kiedy Omar się wyprostował, ujrzał w nim resztki mumii.

Tymczasem zamaskowana postać zeszła na dół, trzymając lampę w ręku. Miała na sobie zniszczoną galabiję, a na głowę nasadziła worek. Zbliżyła się do Omara.

Chłopiec cofnął się w kąt pomieszczenia, padł na podłogę, jakby chciał się skurczyć i w ten sposób ujść swemu losowi.

Mierzył wzrokiem odległość do drabinki, wynoszącą jakieś osiem, dziesięć kroków, ale zanim zdążył dać dużego susa w jej kierunku, nieznajomy rzucił się na niego. Omar poczuł

uderzenie w głowę i stracił przytomność. Poczul kłujący ból w lewym ramieniu, chciał krzyknąć, ale ogarnęło go ołowiane znużenie.

Omar leżał tak w głębokim omdleniu nie wiedząc, jak długo, a kiedy się obudził pod mlecznobiałym woalem, miał wrażenie, że jego ołowiane członki obmywa woda i że słyszy podniecone głosy: — On żyje! On żyje!

— Poczul, jak chwyta;] go mocne ramiona i ciągną po piaszczystej ziemi, następnie układają na kłującej trawie.

Potem znów stracił przytomność.

Gdy otworzył oczy, spojrzął w pomarszczoną twarz mężczyzny, którego oczy za grubymi szklami okularów wydawały się nienaturalnie wielkie.

—

Jestem doktor Mansur — rzekł ów człowiek —

rozumiesz, co mówię?

Omar nie mógł wymówić słowa. Skinął tylko głową i spoglądał na kręcący się u sufitu wentylator.

Doktor spojrzął w bok: — Czy poznajesz tego mężczyznę?

Stał przy nim profesor Shelley. — Ja saidi — powiedział

chłopiec po cichu. Podeszła do niego Claire. Miała łzy w oczach, uściskała Omara

i przytuliła policzek do jego policzka; sprawiło mu to przyjemność, ona zaś spytała zmieszana: —
Gdzie się tak długo podziewałeś, chłopcze?

Wtedy Omar odważył się na nieśmiały uśmiech i nie odpowiadając na pytanie, sam zapytał, w jaki sposób się tu znalazł.

—

Jesteś w szpitalu w Luksorze — odpowiedział

profesor. — Dziewczyna pasąca kozy znalazła cię po tamtej stronie Nilu w bajorze. Na litość boską, jak się tam dostałeś?

Omar usiłował uporządkować myśli, ale choć się bardzo starał, by swoje pogmatwane wrażenia umieścić jakoś w czasie, nie udało mu się to. — Nie wiem — odparł znużony —

w ogóle nie wiem, co się stało. Jak długo mnie nie było?

—

Sześć dni — odparł Shelley. — I niczego nie możesz sobie przypomnieć?

— Owszem — rzekł Omar. — Ciemną duszną pieczarę z bóstwami

i hieroglifami na ścianach, sądzę, że to był stary grobowiec. I ten ciężki, słodkawy zapach...

Shelley spojrział na doktora Mansura. Ten wyszedł i wrócił

wkrótce z małą białą chustką, którą przyłożył Omarowi do nosa. — Czy to ten zapach? — spytał.

Omar od razu poznał słodkawy, ciężki zapach.

—
Chloroform — stwierdził Mansur.

—
To niemożliwe! — Profesor Shelley był

wstrząśnięty.

—
Owszem, prawdę mówiąc, od razu tak

przypuszczałem.

—
Wobec tego mamy tu do czynienia z bardzo groźnymi gangsterami, którzy przed niczym się nie cofną!

—
A pan w (o wątpił, profesorze? Możemy mówić o szczęściu, ie znaleźliśmy chłopaka. To przecież pierwszy przypadek, że ktoś zaginiony po tamtej stronie Nilu odnajduje się żywy.

Omar, który śledził rozmowę z pewną obojętnością, spojrział po sobie. Był w długiej białej koszuli. Ręce i nogi bolały go i były owinięte, ale zanim zdołał zadać pytanie, doktor Mansur oświadczył: — Nie wiem, jak długo leżałeś w bajorze, ale chyba wiele godzin, a w słodkowodnym Nilu jest to niebezpieczne. — Mansur zaczął ostrożnie zdejmować Omarowi opatrunek, aż ukazała się ciemnoczerwona rana. i rzekł:

— Bilharcja.

—
Co to takiego? — zapytał profesor.

—
Bilharcja to smocznica długości paznokcia, żyje przeważnie w wodach stojących i najchętniej wwierca się w skórę człowieka. Przenosi przy tym bilharcjozę, chorobę tropikalną. Omar miał siedem takich smocznic w ciele, można je było usunąć tylko za pomocą cięć.

—
Czy zatem niebezpieczeństwo zostało usunięte?

Mam na myśli, czy nie...

—
Nie — przerwał doktor Mansur. — Odkryłem przy tym coś dziwnego. — Umilkł i dalej odwijając bandaż, wskazał na ranę na ramieniu chłopca. Omar spojrział na nią i wykrzywił się. Shelley podszedł bliżej, obejrzał ranę, następnie spojrział na lekarza, jakby czekał na wyjaśnienie.

Ale lekarz rzekł tylko: — Czy chciał pan coś powiedzieć, profesorze?

Shelley pokręcił głową. — Nie, nie, doktorze. Przez chwilę wydawało mi się, że ta rana ma kształt siedzącego kota.

—
Pana wrażenie nie było mylne — odparł Mansur ta rana to wypalone piętno.

—
O Boże — jęknęła Claire i uchwyciła się białą lakierowanej poręczy łóżka.

Shelley oglądał ranę wielkości dłoni, otoczoną czarną skorupą. — Czy to bardzo boli? — zapytał wreszcie. Omar skinął głową.

—
Czy wiesz, skąd to masz?

—
Nie, «saidi. Ale kiedy w tym ciemnym lochu straciłem przytomność i nie wiedziałem, czy śpię, czy już jestem martwy, nagle poczułem palący ostry ból ramienia.

—
Kocie bóstwa tego kształtu znajdowano w grobach faraonów. Przeważnie rzeźbiono je w złocie. — Profesor chodził niespokojnie po małym białym pomieszczeniu, a Claire zawołała podniecona: — Ale po co wypalać takie piętno na skórze człowieka?

Doktor Mansur spojrział spoza swych grubych okularów. —

Jest to znak albo ostrzeżenie tajnej organizacji, która w ten sposób chce zwrócić na siebie uwagę. Egipt to kraj wielkich sprzeczności, kraj niezliczonych

ugrupowań politycznych, kraj, w którym ludzie nie wiedzą, gdzie przynależą. Oficjalnie jesteśmy brytyjskim kondominium, ale w pewnych sprawach podlegamy sułtanowi tureckiemu, pod innymi względami zaś egipski wicekról, kedyw, korzysta ze swoich legalnych przywilejów. Ale kedywowi nie wolno zawierać umów z innymi krajami, nie istnieje egipska przynależność państwowa, nie mamy nawet własnej flagi.

Shelley zatrzymał się. — Przyznaję, doktorze, że nie są to idealne stosunki, ale pytam pana, co to wszystko ma wspólnego z moim służącym Omarem, czternastoletnim chłopcem?

—

Omar to pański służący! — odparł Mansur chłodno.

—

Ma pan na myśli, że zamach był planowany na mnie?

—

Mansur wzruszył ramionami.

—

Dziwaczna teoria! — odparł profesor. — Przede wszystkim brak jej logiki. O ile wiem, w Luksorze przebywa kilkuset Anglików, wielu żyje tu już od lat. Nie widzę powodu, aby karać służącego kogoś, kto dopiero co przybył, w dodatku Egipcjanina.

Omar nic więcej nie słyszał; znużenie i wycieńczenie zrobiły swoje

i chłopiec zasnął. Nie widział, jak doktor Mansur i inni wyszli na palcach z pokoju.

Profesor Christopher Shelley zgłosił wypadek w Egypt Exploration Fund i zapytał, czy wobec tak zaognionej sytuacji ma dalej prowadzić poszukiwania. Przede wszystkim Claire się bała. Lecz w Londynie nie przejęto się zbytnio sprawą i odpowiedź telegraficzna brzmiała: „Kontynuować. Doradza się uzbroić”.

Nazajutrz Shelley odszukał Cartera, który mieszkał w domu, a raczej w chacie pomiędzy Dra abu el-Naga a el-Tarif.

Choć porwanie Omara było tematem dnia, Carter zachował

powściągliwość; milczał, choć właśnie on znał sytuację po tamtej stronie Nilu lepiej niż ktokolwiek inny. I to wydawało się podejrzane, w każdym razie tak uważał Shelley.

Profesor przybył nie zapowiedziany, kiedy słońce stało już ukośnie nad Doliną Królów, i mógł się spodziewać, że zastanie archeologa w' domu. Widocznie już z daleka został

zauważony, bo Carter wybiegł mu naprzeciw, wymachując dziko ramionami. Miał na sobie zakurzone ubranie, koszulę bez kołnierzyka i zawołał, zanim jeszcze profesor zdążył coś powiedzieć: — Czy nie mówiłem panu, żebyśmy się nie spotykali? Lepiej, żeby nas razem nie widziano.

Profesor wyciągnął do niego rękę. — Ach, wie pan, nie widzę powodu, dlaczego. Jeśli rzeczywiście jestem pod obserwacją, a po wydarzeniach ostatnich dni można tak przypuszczać, to ludzie ci wiedzą od

dawna o naszych kontaktach. Zresztą Anglik, który przybywa do Luksoru i nie spotyka się z Carterem, jest chyba bardziej podejrzany niż ktoś, kto się z nim spotyka. Carter to przecież instytucja!

Archeologowi to pochlebiło. — No więc niech pan wejdzie!

— Zrobił przy tym zapraszający gest w kierunku domu.

Dom miał wymiary zaledwie cztery na pięć metrów, był

zbudowany z cegieł z mułu Nilu, jak wszystkie domy w tej okolicy. Po przejściu przez pomalowane na zielono drewniane drzwi wchodziło się od razu do pokoju, który był zarazem stołowym i sypialnią, a także kuchnią, łazienką i biblioteką, dom bowiem miał tylko jedno pomieszczenie.

Okiennice jedyne okna, wychodzące na wschód, były tylko do połowy otwarte, tak że do wnętrza prawie nie wpadało światło. Shelley z trudem poruszał się wśród mnóstwa skrzyń i pudeł, które zastępowały meble. Jedyne stół, kwadratowe monstrum na wysokich nogach, sklecony z surowego drewna, był zavalony naczyniami, stosami papierów, skorupami i różnymi znaleziskami; stała tam także czarna maszyna do pisania.

—

Gdybym wiedział, że pan przyjdzie, posprzątałbym trochę — usprawiedliwiał się Carter — ale taki jest ten mój świat — Wycierał przy tym rękawem kurz ze stołka, który wysunął spod stołu. — Proszę, niech pan siada!

Sam usiadł na sfatygowanej leżance pod oknem, w której się niemal zapadał. — A więc tu się gnieźdź — stwierdził —

przyznaję, że nie jest to zbyt wytworne miejsce. Nie ma wody, prądu, a przekazywanie wiadomości również trwa dobrą godzinę, ale za to — przerwał i pchnął okiennice — kto ma taki widok!

Shelley wstał. Przed nim rozciągał się zielony pas wybrzeża Nilu, za którym leniwie płynęła rzeka, a w żółtych oparach po jej drugiej stronie widać było Luksor, wielką świątynię, „Inter Pałace” i smukłe minarety miasta.

—

Słyszałem o pańskich przykrościach — rzekł Carter po dłuższej chwili.

—
Przykrościach? — Shelley roześmiał się z goryczą.

— O mało nie zabili mi chłopaka, uspili go chloroformem i wrzucili do bajora. To cud, że przeżył.

—
Czy wyzdrowieje?

—
Doktor Mansur jest przekonany, że tak. Uważa, że chłopak jest silny i odporny jak młody bóg.

Słowa profesora przerwało ochryple skrzeczenie, które wydobywało się z kąta. — To Jenny — rzekł Carter — moja papuga. Jenny nie przywykła, żeby tu ktoś mówił oprócz mnie. — Teraz Shelley ujrzał dużego żółtego ptaka, który wisiał głową w dół w bambusowej klatce.

Shelley podjął wątek: — W sprawie tej są pewne zagadki i mam nadzieję, że pan pomoże mi je rozwiązać.

—
Ja? Dlaczego ja? — Carter się zaniepokoił.

—
Przecież żyje pan tu blisko dwadzieścia lat. Jest pan prawie Egipcjaninem, zna pan Judzi, a ludzie znają pana...

—
Nie wiem, do czego pan zmierza, profesorze.

—
W związku z tym porwaniem są pewne niejasności.

Może pan potrafi je wytłumaczyć. Po pierwsze fakt, że dotąd znikło bez śladu już tuzin osób. Omar jednak odnalazł się po sześciu dniach.

—
Allahowi niech będą dzięki.

—
Allahowi niech będą dzięki.

—
Gdzie przebywał?

—
Omar nie może sobie niczego przypomnieć poza tym, że był zamknięty w ciemnym lochu, prawdopodobnie w grobowcu. Jakaś dziewczyna pasąca kozy znalazła go nieprzytomnego w bajorze. Dotąd wszystko mogło być przypadkowe, ale kiedy znaleziono chłopca, miał na prawym ramieniu wypalone piętno siedzącego kota.

—
Kota?

—
Czy ten symbol coś panu mówi?

Carter zmarszczył czoło, jak gdyby mocno się zastanawiał.

—
Kot, nie, nie mam pojęcia — rzekł obojętnie.

—
Ale to musi coś znaczyć, panie Carter!

Ten jednak milczał i Shelley nie mógł pozbyć się uczucia, że Carter nie chce mówić. Ale jak zmusić tego uparciucha do mówienia?

Shelley pomyślał o swoim właściwym zadaniu i zaczął

nagle: — Chciałem pana już dawno o to zapytać w związku z pojawieniem się owych planów wykopaliskowych: Gdzie pan przechowuje swoje zapiski?

— I rozejrzał się po ponurym pomieszczeniu, popatrzył na paki, półkę na książki zbitą z desek, ustawioną na zwykłych ceglach, i mimo najlepszej woli nie mógł sobie wyobrazić, gdzie tu można przechowywać plany.

Carter odgadł myśli profesora. — Nie tu — rzekł z dziwnym uśmiechem, wstał, podszedł do drzwi i zamknął je od środka. Następnie zamknął okiennice, zapalił lampkę naftową, poprosił profesora, ty pomógł mu unieść stół. Na kamiennej podłodze leżał zniszczony dywan. Carter odwinął

go i ukazał się drewniany kwadrat. Zwinnym ruchem Carter pociągnął klapę z jednej strony i odsłonił głęboki ciemny loch.

Carter wziął lampę i rzekł, jakby to było całkiem zrozumiałe: — Jeśli pan pozwoli, pójdę przodem. — I trzymając w jednej ręce lampę, zszedł po drabinie do piwnicy, której Shelley nie widział. Stamtąd zawołał: — A teraz kolej na pana, profesorze. Niech się pan mocno trzyma.

Shelley w milczeniu przecisnął się przez otwór w podłodze, na dole się rozejrzał. Na ścianach niskiego pomieszczenia były wymalowane

postacie wielkości człowieka, sceny z życia świętych, ale także sceny z życia codziennego w starożytnym Egipcie. Po lewej i po prawej stronie w ścianach znajdowały się duże nisze, w których mógł się zmieścić człowiek, wszystko było utrzymane w złotym tonie, a dokoła widniały pionowe paski z hieroglifami. Shelleyowi zapało dech.

—

Witam w domu Pet-Izis — rzekł Carter z uśmiechem.

Trwało długą chwilę, zanim Shelley znów odzyskał mowę.

— Panie

Carter — jęknął — co to jest?

—

Znajduje się pan w miejscu wiecznego spoczynku kapłana o imieniu Sem Pet-Izis, pierwszego proroka boga za rządów faraona Ramzesa II, strażnika świątyni, zarządcy nieruchomości świątyni Amona w Luksorze. — Carter wskazał przy tym na ścianie, przedstawioną z profilu postać gładko ogolonego mężczyzny, kroczącego w długiej białej szacie w towarzystwie horologów, kapłanów i astrologów, strażników mitologicznych kalendarzy, a także niższej od niego żony oraz nieprzebranej gromady dzieci. A przed tą procesją widnieją bogowie o zwierzęcych głowach: Amon, Mut i Chons, Izis i Ozyrys.

Shelley podszedł do ściany, przesunął palcem po hieroglifach i zaczął powoli czytać:

„Zbliżam się do granic królestwa zmarłych, zostałem podniesiony ponad wszystko, co ziemskie. W głębi nocy ujrzałem słońce w promiennym blasku. Zbliżyłem się do bogów z dołu i z góry, stanąłem wobec nich twarzą w twarz.”

— Ręka profesora drżała ze wzruszenia. — Czy to pańskie odkrycie? — zapytał wreszcie.

—

Niestety nie — odparł Howard Carter. — Musi pan wiedzieć, że w tej okolicy każdy dom zbudowany jest na grobowcu z najdawniejszych czasów, a więc odpowiem panu od razu na pańskie następne pytanie: — Ten grób był już pusty, kiedy po raz pierwszy przybyłem do tego domu, a starzy ludzie, którzy mi go wynajęli, oświadczyli, że również zastali go pustym.

—
I pan w to wierzy?

Carter wzruszył ramionami. — Nie mogę udowodnić, że jest inaczej. Przecież pan wie, że pierwsze grobowce obrabowano już przed trzema tysiącami lat. Mam tylko nadzieję, że mnie pan nic zdradzi, profesorze!

—
Zdradzi, co pan ma na myśli?

—
Dotychczas nikt nie wie o tym grobie. Nic chciałem tego rozgłaszać, po prostu pragnę mieć spokój. Spędziłem wiele nocy tu, na dole, oglądałem malowidła, porównywałem je z innymi, odcyfrowywałem znaki na ścianach, tłumaczyłem je, a przy tym zrobiłem osobliwe odkrycie — nie zdradzi mnie pan?

—
Daję panu słowo honoru!

—
Zapytał mnie pan, gdzie przechowuję tajne plany.

Oto moja odpowiedź: tu, w tym pomieszczeniu!

Shelley wyjął Carterowi lampę z ręki i oświetlił wszystkie cztery ściany. W jednym kącie stał worek ze złocistym piaskiem pustynnym, poza tym pomieszczenie było puste.

Shelley postukał w ściany, szukając jakiejś próżni, ale niczego takiego nie odkrył, i rzekł: — Nic z tego nie rozumiem, powiedział pan, że przechowuje tu swoje plany.

Carter skinął głową. — Dawni Egipcjanie byli chytry i mieli diabelną wyobraźnię. Pet-Izis, umierając, zabrał

zapewne ze sobą do grobu tajemnicę, której nie znam, były to może wskazówki dotyczące ukrytych bogactw świątyni, może nawet dowody wykroczeń faraonów — w każdym razie odkryłem tu na dole tekst, którego nie rozumiem, a który mnie mocno zastanawia.

Carter pochylił się i oświetlił na przedniej ścianie pasek z hieroglifami: — Oto on, niech pan sam przeczyta!

Profesor ukląkł na podłodze i z trudem zaczął

odcyfrowywać hieroglify: — Tylko bogowie południa i północy znają moją tajemnicę, a klucz do tej tajemnicy znajduje się w dużej sali kolumnowej w Karnaku.

—
Tego nie rozumiem, panie Carter, co to znaczy?

Carter uśmiechnął się: — Te słowa można zrozumieć tylko w pewnym powiązaniu.

—
W jakim powiązaniu?

—
Wie pan, profesorze, odcyfrowałem wszystkie napisy w tym grobowcu, czytałem je niejednokrotnie, ale są trzy zdania, których nie rozumiem. Powinienem się był

poradzić innych archeologów, ale nie chciałem, bo wówczas musiałbym powiedzieć, skąd te hieroglify pochodzą. To właśnie jest jedno z tych zdań.

—
A dwa pozostałe?

—
Są tutaj. — Carter trzymał lampę tuż przy bogu Amonie o głowie barana. — Widzi pan? — Przed głową boga widać było hieroglify, a ich treść brzmiała w tłumaczeniu następująco: „Połowa kolumny stoi na północ stąd, a ty poznasz połowę prawdy.” Potem Carter podszedł do przeciwległej ściany i stanął w prawym kącie, gdzie brodaty Ozyrys przedstawiony był jako mumia. Wokół głowy Ozyrysa był napis: „Ustaw czwartą część kolumny w kierunku zachodnim, a poznasz całą prawdę.”

—
Bardzo to tajemnicze — rzekł Shelley. —

Prawdopodobnie te teksty nawiązują do jakiegoś rytuału zmarłych.

—To całkiem możliwe — odparł Carter. — Egipska Księga zmarłych zawiera liczne teksty, których nie rozumiemy; przeryłem ją całą, szukając podobnych zdań — ale to błędny trop.

Shelley nerwowo przestępował z nogi na nogę. —

Zaciekawia mnie pan, panie Carter. Czy znalazł pan rozwiązanie?

Oczywiście — odparł Carter spokojnie, jakby chodziło o najprostszą sprawę pod słońcem. — Najpierw zastanowiłem się nad czterema stronami świata. — Carter stanął pośrodku pomieszczenia i rzekł:

— Tu jest południe. — Następnie wskazał na Ozyrysa i rzekł: — A tu jest wschód, jasne?

Profesor skinął głową.

—

Potem zadałem sobie pytanie, co to za miara „pół

kolumny”. Ta miara wskazuje na klucz, który jest ukryty w dużej sali kolumnowej w Karnaku. Tam są najwyższe kolumny w całym Egipcie, każda ma siedemdziesiąt stóp.

Połowa to trzydzieści pięć stóp. Całe pomieszczenie nie ma takiej długości. Liczyłem, sporządzałem rysunki i już prawie zrezygnowałem, kiedy pewnego dnia przyszło mi do głowy, aby podzielić kolumnę pionowo na pół. Miałem wtedy pół

kolumny! Jedna kolumna w Karnaku ma objętość trzydziestu dwóch stóp. Połowa to szesnaście stóp, czwarta część to osiem stóp. A teraz sprawdzimy, czy moja teoria była słuszna!

Carter ujął profesora za ramiona, podszedł z nim do ściany z Ozyrysem, stawiając jedną stopę przy drugiej, osiem stóp w kierunku zachodnim, i dał znak, aby profesor nie ruszał się z miejsca. — A teraz niech pan uważa, profesorze. Niech pan patrzy wciąż przed siebie na te pozorne drzwi. — Następnie Carter podszedł do ściany stawiając stopę przy stopie, odmierzył w ten sposób szesnaście stóp i stanął za Shelleyem w odległości wyciągniętych ramion.

W tej samej chwili podłoga w pomieszczeniu zaczęła drżeć, dał się słyszeć skrzeczący odgłos. Shelley spojrział

niespokojnie ku górze, jak gdyby się obawiał, że sklepienie na nich runie. Carter szybko podniósł w górę lampę naftową i zawołał: — Stać, profesorze. Niech pan się nic rusza! — I naraz pozornie wykuty w kamieniu portal przed nim drgnął, po czym odchylił się, następnie wykonał jakby pół obrotu wokół własnej osi i opadł na ziemię, wznosząc tuman kurzu; pozostał tak przez sekundę w pozycji poziomej.

—

Ale pan ma pomysły! — zawołał Shelley, krztusząc się kurzem.

— Chciał pan przecież wiedzieć, gdzie przechowuję swoje plany.

O tu, widzi pan! — Carter oświetlił otwór w ścianie. Za nim w niszy znajdowały się stosy dokumentów i papierów.

—

A kiedy otworzył pan te drzwi po raz pierwszy —
zapytał Shelley z wahaniem — czy pan tam coś znalazł?

—
Nie uwierzy pan, profesorze, ale nisza była pusta.

—
Pusta? Ale to znaczy, że ktoś przed panem odkrył
tajemnicę tego mechanizmu.

—
Istotnie — odparł Carter, który dostrzegł nieufność na twarzy profesora. — Pan mi nie wierzy?
— Ależ tak, wierzę panu, tylko przedtem mówił pan, że nikt poza panem nie zna tej kryjówki.

—
To się zgadza.

—
Panie Carter! — zawołał Shelley podniecony. —

Pan kłamie. Nie mógł pan sam uruchomić tego mechanizmu.

Bo jak mi pan przed chwilą pokazał, potrzeba do tego dwóch ludzi.

Carter był przyzwyczajony do tego, że okazywano mu nieufność. Nie miał zamiaru bronić się słowami. W milczeniu podszedł do wiszącej tuż nad ziemią kamiennej płyty i oparł się o nią ramionami; kolos pod jego ciężarem powrócił do poprzedniej pozycji, wydając przy tym głośny, skrzeczący odgłos. Potem Carter poszedł do kąta, gdzie stał worek z piaskiem, i przyciągnął go do miejsca, gdzie przedtem stał

Shelley. Sam stanął w poprzedniej pozycji i — jakby kierowany niewidzialną ręką — powtórzył całą czynność; portal się otworzył.

—
Cała tajemnica — rzekł, a zabrzmiało to niemal smutno — polega na tym, że obie płyty kamienne zmieniają swe położenie pod ciężarem co najmniej sześćdziesięciu kilogramów. A tyle właśnie ważył dorosły człowiek za czasów Ramzesa II. Sprawdziłem to: wystarczyłoby o dziesięć kilogramów mniej piasku w worku, a cały trud byłby daremny.

Profesor podszedł do Cartera, wyciągnął do niego dłoń i rzekł: — Chciałbym pana przeprosić. Myślę, że pana nie doceniłem. W ogóle uważam, że jest pan niedoceniony.

—
Już dobrze, profesorze! — Carter machnął ręką. —

Jestem do tego przyzwyczajony. Kto pochodzi ze Swattham i stale żyje z pieniędzy innych ludzi, musi się do tego przyzwyczaić.

Później, kiedy Shelley mijając skały schodził na brzeg Nilu, myślał, że taki człowiek, jak Carter wie o wiele więcej, niż się do tego przyznaje.

Omar dochodził do zdrowia szybciej, niż doktor Mansur oczekiwał; było to, jak się chłopiec później dowiedział, rezultatem zastosowania drogich leków, za które zapłacił

profesor. Shelley czuł się odpowiedzialny za los Omara i starał się ze wszystkich sił zrekompensować mu krzywdę.

Kazał nawet chłopcu wyrazić jakieś życzenie — spełni je, jeśli to będzie możliwe. Chłopiec poprosił o dzień do namysłu, a Claire już się obawiała, że może będzie to życzenie nie do spełnienia; ale potem oboje byli zaskoczeni, bo Omar pragnął

tylko nauczyć się czytać i pisać. Odtąd chłopiec chodził do szkoły, gdzie uczono go pisać i czytać słowa Proroka.

Po upływie kilku tygodni profesor Shelley wynajął dom przy Sharia el-Bahr, w którym Omar miał do dyspozycji mały wprawdzie i ciemny, ale własny pokój obok kuchni. W

kuchni rządziła Nunda, wysoka Nubijka o szerokiej twarzy i piersiach jak melony z Fajum, które z dumą prezentowała ujarzmione pod białym fartuchem. Była to życzliwa kobieta, jej śmiech dźwięczał w domu od rana do wieczora. Zwyczaj Nubijczyków zwracania się do wszystkich po imieniu wydał jej się tu nie na miejscu, nazywała więc profesora „Godnym Podziwu Prorokiem”, a jego żonę

„Pachnącym Tamaryszką”. Omar był jedynie „Doktorem”.

Dlaczego tak go tytułowała, pozostało jej tajemnicą, a Omar poczuł się doceniony i szanowany. Chyba po raz pierwszy w życiu nie czuł się mały

i upokorzony.

Nunda pociągała także Omara erotycznie swoją agresywną cielesnością. Zaczął nieśmiało pod byle jakim pretekstem szukać jej bliskości i cieszył się, kiedy mógł potajemnie jej dotknąć. Nunda była na pewno dwa razy starsza od Omara i oczywiście dostrzegła jego pożądanie. Początkowo Nundę to bawiło, a nawet jej pochlebiało; prowokowała chłopca podniecającymi ruchami i dotknięciami i czekała na jego słowo. Ale on milczał.

Omar miał czternaście lat, potrzeba mu było matki, a nie kochanki. A więc Nunda przejęła inicjatywę. Pewnego dnia podczas kąpieli w korycie w ogrodzie Nunda podeszła z wiadrem szarego mydła i bez słowa zaczęła namydlać chłopca. Wyciągał do niej szczupłe ciało, a Nunda z pozorną obojętnością namydlała go, nie omijając sterczącego członka.

Twarz chłopca wykrzywiła się i w zachwycie wywracał

oczami, spoglądając w popołudniowe niebo, tak że widać było jedynie białka. W tej chwili Omar pragnął mieć na ciele jak najgrubszą warstwę brudu, aby Nunda musiała go jeszcze długo myć ze zdwojonym wysiłkiem. Jej piersi wisały nad nim jak dojrzałe owoce i kiedy Nunda podniosła dzban, by oblać chłopca ciepłą wodą, jedna pierś wysunęła się jej zza fartucha i goła zawisała nad nim; Omar jęknął jakby z bólu, chwycił mokrą ręką za to coś jasnego, co wisało tuż przed jego oczami. Pomarszczony wzgórek był otoczony ciemnym kręgiem wielkości niemal dłoni. Nunda dostrzegła bezradność chłopca, roześmiała się, a śmiech ów był zupełnie inny niż ten, który Omar znał — pozbawiony kokieterii, raczej dobrotliwy, niezwykle ciepły. — Doktorze — rzekła Nunda — przestań walczyć ze swoim uczuciem, bądź z niego zadowolony.

Wtedy Omar mimo woli się roześmiał i zaczął Nundę głaskać, początkowo nieśmiało, potem coraz bardziej pożądliwie, wijąc się przy tym jak iyba w płytkim Nilu.

Zanurzał się w pianistej wodzie, prychał, wyskakiwał, chwycił

Nundę, starał się wciągnąć ją do wody, ale ona się broniła, wreszcie fartuch jej się rozchylił i stanęła przed nim naga.

Przez chwilę Nunda wahała się, potem weszła do chłopca do koryta, usiadła na nim i Omar poczuł, jak łagodnie w nią wchodzi. Chwycił ją za piersi i z rozkoszą poczuł, jak jej ciało sztywnieje i drga jak w gorączce.

Ruchy Nundy stawały się coraz gwałtowniejsze, jęczała, a palce wczepiły się w pierś chłopca, aż go zabolalo. I choć jeszcze przed chwilą odczuwał rozkosz pod jej ruchami, teraz uczucie to nagle zmieniło się we wstręt i oburzenie; wszystko w nim się buntowało, usiłował gorączkowymi ruchami się uwolnić. Ale Nunda tak mocno trzymała go udami, że Omar mimo największego wysiłku nie mógł się uwolnić.

W niepohamowanej wściekłości poderwał się i ugryzł

Nundę w pierś. Dziewczyna wydała okrzyk bólu i puściła chłopca, który uwolniony z uścisku — bił dziko rękami wokół

siebie. Uderzył Nundę pięścią w twarz, aż z nosa popłynęła jej strużka krwi i pokryła mokrą skórę wstrętnymi plamami; jędrna nagość, która dopiero co sprawiała chłopcu przyjemność i uciechę, teraz go odpychała.

—

Hurjata! —jęknął Omar — Hurjata! — Ijeszcze raz:

— Huijata!

— I wypluł mydliny, które pozostawiły obrzydliwy smak w ustach.

Ani profesor, ani jego żona, których uwagi na ogół nic nie uchodziło, nie spostrzegli tego wydarzenia, pomiędzy Omarem zaś a Nundą było tak, jakby nigdy nic nie zaszło.

Odtąd spoglądali na siebie z rezerwą, żadne z nich nie mówiło ani słowa o tym, co się zdarzyło, a jednak Omar się zmienił.

Początkowo profesor nie zabierał Omara na swoje stanowiska badawcze po drugiej stronie Nilu. Zadanie Shelleya polegało na tym, by w miarę możliwości wytropić wszystkie ślady, wskazówki i znaleziska, gdzie Egypt Exploration Fund mogłaby rozpocząć nowe prace wykopaliskowe — mozolne zadanie, jak się wkrótce okazało, bo gdziekolwiek profesor się zjawiał, natrafiał na mur podejrzliwości. Ze wszystkich stron świata ściągaly do Egiptu ekipy archeologów, znęconych wiadomościami o

sukcesach, a winę ponosił tu przede wszystkim młody Anglik, William Carlyle, daleki krewny słynnego historyka, który po przerwanych studiach w Oksfordzie spędzał czas w Egipcie.

Nikt właściwie nie wiedział dokładnie, w jaki sposób ten człowiek, znający wiele języków, zarabiał na życie; bo że nie był zamożny, poznać było po jego zniszczonej odzieży, która wyraźnie odcinała się od ubioru innych Anglików. Carlyle utrzymywał, co było prawdą, że pracuje dla „Times’a” i innych pism w Europie jako specjalny korespondent i

z tego żyje. Poza tym podróżował pomiędzy Aleksandrią a Abu Simbel, gnieździł się tygodniami w ciasnych tanich pensjonatach, rozmawiał z archeologami prowadzącymi prace wykopaliskowe i tubylcami, zawsze poszukując jakichś sensacji. Widywano Carlyle’a, jak rozprawiał na targu wielbłądzim, na bazarze, a także w Dolinie Królów. Dzięki temu miał informację, o jakich nikt inny nawet nie marzył, i nigdy nie wiadano,

czy zjawienie się Carlyle’a było przypadkowe, czy też zapowiadało jakieś przyszłe odkrycie.

Pierwsze spotkanie Omara z Carlyle’em nastąpiło w małym kiosku z gazetami pod arkadami hotelu „Winter Palace”, gdzie chłopiec kupował „Times’a” dla profesora. Carlyle zagadnął

go z ciekawości, jak to miał w zwyczaju, i zapytał, czy Omar sam czyta „Times’a”. Chłopiec odrzekł, że jest służącym profesora Shelleya z Egypt Exploration Fund, i tak nawiązała się rozmowa, w ciągu której dziennikarz wykazywał coraz większe zainteresowanie młodym Egipcjaninem.

Omar dziwił się, że to właśnie on wzbudził zainteresowanie Anglika, który pisuje do „Times’a”, pochlebiało mu to i opowiedział więcej, niż należało zdradzić obcemu.

Przechadzali się w dół Nilu, Omar opowiedział o swym tajemniczym porwaniu i szczęśliwym zakończeniu, wyraził!

przypuszczenie, że stał się ofiarą pomyłki, że to chyba nie on miał być porwany, tylko profesor.

Carlyle natychmiast wywęszył, że coś w tym jest, i poprosił

profesora Shelleya o spotkanie nazajutrz. Shelley chętnie udzielił dziennikarzowi informacji, ale Carlyle nie dowiedział

się nic ponadto, co już przedtem wiedział; to znaczy Omar nie wspomniał o pewnej drobnostce —

o wypalonym znaku na lewym ramieniu. Carlyle przyrzekł, że będzie profesora informował na bieżąco, będzie się starał

wyświetlić sprawę.

W ciągu następnych dni, kiedy Omar przychodził po gazetę, rozglądał się za dziennikarzem, ale go nie było. Od sprzedawcy gazet dowiedział się, że Carlyle mieszka w hotelu

„Edfu” w pobliżu dworca. Ponieważ Carlyle nie pokazywał

się przez dwa tygodnie, Omar postanowił odwiedzić go w jego hotelu.

Hotel okazał się przewiewnym drewnianym zajazdem z altanką wychodzącą na ulicę. Sznury koralików zastępowały drzwi. Nie było tu portiera, tylko w wąskim wejściu na odrapanej ścianie wisiała brązowa tablica z kluczami. Po głośnym wołaniu Omara nadszedł stary, zgarbiony mężczyzna, podpierając się kijem. Pytanie o Carlyle’a wprawilo go w wielkie podniecenie. Ja salaam, Anglik od tygodni znikł, jego łóżko jest nietknięte, tak samo bagaż, zalega też z zapłatą za tydzień.

Omar pobiegł do domu i zawiadomił profesora o tym, czego się dowiedział. Poszli razem do hotelu „Edfu”. Shelley poprosił, by wolno mu było obejrzeć pokój Anglika. Bakszysz w wysokości dziennej zapłaty otworzył mu pokój na pierwszym piętrze, który miał ponad trzy metry wysokości.

By móc cokolwiek zobaczyć, Shelley otworzył okiennice, zastępujące szyby okienne. Łóżko było zasłane, stojak z trzciny z zasłonką z przodu służył jako szafa; wisiały tam różne części odzieży.

Pod oknem stał mały kwadratowy stolik, na nim stos nie zapisanego papieru, pióro z kości słoniowej, kwit telegraficzny na przeszło

sześćdziesiąt piastrow z 20 listopada, książka W.M.F. Petriego pt. Methods and Aims in Archaeology, środkowa część

„Times’a” z 22 listopada 1911 roku, ciemne fotografie przedstawiające wiele osób, resztki bulki sezamowej, którą nadgryzły myszy. Pokój nie sprawiał wrażenia, że był

opuszczony w pośpiechu albo że lokator z jakichś powodów wyniósł się po cichu. Wskazywała na to koperta z piętnastoma funtami, którą Shelley znalazł w wewnętrznej kieszeni marynarki Carlyle’a.

Profesor trzymał gazetę, która donosiła o komecie Halleya, o zniesieniu niewolnictwa w Chinach, o śmierci rosyjskiego pisarza Lwa Tołstoja*, ale nie znalazł ani jednej wzmianki ani notatki związanej z Carlyle'em. Gdy profesor wziął do ręki fotografię, odkrył coś zaskakującego. Było to jedno ze zdjęć, jakie Jacques Guilbert zrobił na przyjęciu u Mustafy Agi Ayata, i przedstawiało profesora i jego żonę pośród innych nie znanych mu, rozbawionych gości.

Zgarbiony starzec nie pamiętał dokładnie, kiedy widział

Carlyle'a po raz ostatni. Na pytanie, czy zgłosił policji zniknięcie Anglika, zmieszany wzruszył ramionami. Już nieraz się zdarzało, że lokator spędzał noc poza domem, ale teraz, jako że zalega on z tygodniową zapłatą, pójdzie do karakolu.

To zbędne, oświadczył profesor Shelley, on sam to załatwi, i razem z Omarem opuścili pokój i zeszli na dół wąskimi schodami.

Ibrahim el-Nawawi powitał profesora jak starego przyjaciela i uрониł łzę wzruszenia z powodu cudownego ocalenia Omara. Zniknięcie Carlyle'a nie wydało mu się godne notatki służbowej, bo gdyby chciał spisywać wszystkich, którzy na kilka dni znikają z Luksoru, miałby za dużo roboty. Dopiero na groźbę, że profesor zawiadomi brytyjskiego konsula Mustafę Agę Ayata, Nawawi obiecał, że zacznie poszukiwania

i da znać o wynikach.

W ciągu następnych dni profesor Shelley zajmował się zdjęciami kartograficznymi nowych znalezisk w Dolinie Królów; wszystkie dotyczyły faraona Totmesa II. Myśli profesora krążyły przy tym dookoła Carlyle'a i tego, co pozostało w jego pokoju hotelowym. Po upływie trzech dni Shelley znów poszedł do submudira, ale — jak należało się spodziewać — policja nic nie wykryła. Wobec tego Shelley udał się do hotelu „Edfu”, by raz jeszcze przeszukać pokój Carlyle'a.

Pokój wydawał się nie zmieniony, w każdym razie na pierwszy rzut oka Shelley nic nowego nie odkrył; ale jedna rzecz natychmiast zwróciła jego uwagę: na stole pod oknem wszystko leżało na dawnym miejscu,

brakowało tylko fotografii. Zgarbiony starzec przysięgał na brodę Proroka, że niczego w tym pokoju nie ruszał, nie przypomina sobie też żadnej fotografii. Zaczął grzebać zreumatyzowanymi palcami na stole, przewracać strony w książce, przy czym wypadła stamtąd kartka. Shelley podniósł

ją. Na kartce było jedno słowo dwukrotnie podkreślone: IMHOTEP.

Nic więcej.

Następnie profesor udał się na Sharia el-Isbitalja; tam, gdzie naprzeciwko francuskiego szpitala Jacques Guilbert miał

swoje atelier i laboratorium, co anonsował dużymi czerwonymi literami nad wejściem. Shelley powiedział, że pragnie obejrzeć fotografie z przyjęcia u brytyjskiego konsula.

Guilbert wyciągnął stos szklanych płytek i polecił mu trzymać je pod światło, aby mógł wybrać te właściwe. Profesor oznajmił, że potrzebne mu tylko jedno zdjęcie. Był pewien, że znajdzie to, które zniknęło z pokoju Carlyle'a, ale mimo dwukrotnego przeglądania nie znalazł owej płytki; twierdził

jednak uparcie, że widział zdjęcie, na którym był on i jego żona. To niemożliwe, odparł Guilbert. Prócz niego nie ma w Luksorze innego dagerotypisty, tylko on ma zezwolenie na fotografowanie dostojnych gości konsula; gdzie profesor widział owo zdjęcie?

Ale Shelley tego nie zdradził, uważał, że lepiej będzie przemilczeć powód swych poszukiwań.

Następnej nocy Omar zerwał się ze snu, wydało mu się, że słyszy ciche pukanie do okna. Wysokie i wąskie okno było zamknięte na okiennice, ale przez szpary można było wyrzeć.

Choć Omar wytężał wzrok, niczego nie zobaczył w ciemności.

Nie namyślając się więc długo, odsunął zasuwkę i otworzył

okiennice. Przez chwilę panowała cisza, słychać było tylko pojedyncze dźwięki cykad, w oddali zaszczekał pies i nagle jakaś mała postać podeszła do okna. Omar od razu ją poznał, była to Halima, dziewczyna z pociągu.

—
To ty? — zawołał chłopiec cicho.

Halima przyłożyła palec do ust i zwinnie jak gazela wdrapała się na występ w murze, następnie przeciągnęła górną połowę ciała przez wąskie okno. Oparta na łokciach, zaczęła mówić ściszym głosem:

—
Proszę cię, nie pytaj teraz o nic, słuchaj, co mam ci do powiedzenia. Jesteś w niebezpieczeństwie. Nie mogę ci powiedzieć dlaczego, ale jeśli ci życie miłe, to odejdz od tego innowiercy, idź gdziekolwiek bądź, gdzie nikt cię nie zna, wróć tam, skąd przybyłeś, i nikomu nie opowiadaj, co ci się przydarzyło.

Omar zaniemówił, gapił się na dziewczynę, choć nie widział jej oczu. Kiedy podniósł rękę, by jej dotknąć, poczuł, że Halima drży. Wzruszony

i bezradny pogłaskał ją po głowie i nie spodziewając się odpowiedzi, zapytał:

—
Czemu to robisz, Halimo?

Dziewczyna milczała. Jej nieregularny oddech zdradzał, że płacze; Omar chciał ją uściskać, ale wąskie okno nic pozwalało na to i zanim Omar zastanowił się, co robić dalej, Halima rzekła: —

Bądź zdrów — zeskokczyła z muru i zniknęła w ciemności.

Omar nie miał pojęcia o jednym: to nocne spotkanie miało świadka. Nocne pukanie dziewczyny obudziło Claire i zza zasłony w sypialni obserwowała ona całe zdarzenie.

Omar tej nocy nie mógł już zasnąć, nie wiedział, co go bardziej poruszyło, piękna nieznajoma dziewczyna czy jej budzące strach słowa: Idź gdziekolwiek bądź, gdzie nikt cię nie zna, wróć tam, skąd przybyłeś. Jej śpiewny głos brzmiał w jego uszach jak dźwięki miedzianych dzwoneczków, którymi ozdabiano wielbłądy. Widział jej poruszające się powoli wargi, czuł jej bliskość. W zamęcie uczuć zaczął płakać, nie mogąc zebrać myśli.

Do obowiązków Omara należało nakrywanie do stołu, a kiedy państwo już usiedli, podawał herbatę. Tego ranka Claire poczekała, aż Omar wszedł do salonu, po czym odbyła się następująca rozmowa:

—

Christopher!

—

Słucham, kochanie?

—

Czy słyszałeś dziś w nocy pukanie?

—

Nie, Claire, chyba coś ci się przyśniło.

—

Ale ja bardzo wyraźnie słyszałam, a kiedy podeszłam do okna, ujrzałam w ogrodzie jakiś cień.

—

Na pewno ci się zdawało. Ja mam bardzo lekki sen, a przecież nic nie słyszałem.

Claire zwróciła się do Omara: — A czy ty słyszałeś cokolwiek w nocy?

Chłopiec poczuł, że krew uderza mu do głowy, ale odpowiedział spokojnie: — Nie, pani, nic nie słyszałem. — I znikł w kuchni. Słyszał, jak profesor z żoną cicho rozmawiają, ale ich rozmowę zagłuszały odgłosy z kuchni.

—

Christopher! — zaczęła Claire od nowa.

—
Słucham, kochanie.

—
Omar nas okłamuje, jest fałszywy, jak wszyscy Egipcjanie.

—
Dlaczego tak uważasz?

—
U Omara była dziś w nocy jakaś kobieta.

—
Jesteś tego pewna?

—
Całkowicie pewna. Widziałam ją na własne oczy.

—
Profesor spojrz! na żonę. — Dziś w nocy? Mój Boże, chłopak dochodzi już do wieku, kiedy...

—
On kłamie!

—
Możliwe, Claire, ale postaw się w jego położeniu.

—
Czy przyznałabyś się w jego sytuacji, że miałaś dziś w łóżku kobietę? — Profesor roześmiał się głośno, po czym zapadło między nimi długie milczenie.

—
Wreszcie Claire znów podjęła rozmowę: — Czy uważasz, że Omar jest uczciwy? Chodzi mi o to, czy ktoś go nam nie podstawił. Nikt chłopca nie znał, poza mikasahem. A może nie mam racji? — Claire stukała paznokciami w stół.

—
Shelley ujął dłoń żony. — Kochanie, jak na szpiega Omar jest za mało sprytny. Sądzę, że jeśli ktoś chciałby nasłać na mnie szpiega, wybrałby starego wygę, a nie miłego, naiwnego chłopca.

—
To kamuflaż — stwierdziła Claire trzeźwo.

— Kamuflaż? Wobec tego porwanie Omara także było kamuflażem.

I to, żeomal nie rozplątano mu czaszki, że wrzucono go do bajora, gdzie mogły go pożreć pasożyty. Rozumiem twój niepokój, Claire, ale chyba trochę przesadziłaś.

Odwiedziny Halimy zaniepokoiły Omara. I choć brał serio ostrzeżenie dziewczyny, to nie jej słowa go poruszył, lecz samo spotkanie. Promieniowało z niej coś, co go pociągało z jakąś magiczną siłą, co sprawiało, że zapomniał o wszelkich ostrzeżeniach. Nie chciał wracać tam, skąd przybył. Z czego by tam żył? Czy miał się wynająć w Gizie jako poganiacz wielbłądów?

Omar poprosił profesora, by mu pozwolił towarzyszyć w wyprawach do Doliny Królów; może mu pomagać przy sporządzaniu planów. Shelley nie powinien mieć skrupułów.

Prosząc o to, Omar miał nadzieję, że po tamtej stronie Nilu spotka Halimę. Shelley zgodził się. Omar był mu bardzo pomocny; mierzył odległości, zaznaczał miejsca w terenie, które profesor nanosił na mapy, dźwigał przybory do rysowania i poszarpany parasol; na każdym miejscu, gdzie pracowali, przede wszystkim wbijali go w ziemię.

W drodze do Doliny Królów Omar każdego ranka przechodził przez el-Kurna i rozglądał się za Halimą. Każdego ranka widział ten sam obrazek: czarno ubrane kobiety, młodsze z odkrytą twarzą, starsze

o twarzach zasłoniętych, na głowach nosiły ciężary albo gJiniane dzbany z wodą na ramionach, psy ujadają na grzebiące w piaszczystej ziemi kury. Poza kilkoma starcami, którzy obojętnie siedzieli w kucki na ziemi, nie było widać mężczyzn.

„Zapytaj o Jusufa! Mojego ojca każdy zna!”, powiedziała mu Halima wtedy na stacji. Pewnego dnia do profesora przybył gość z Londynu; Omar wykorzystał okazję, by przeprowić się do el-Kurna. Przewoźnik,

/

którego zapytał, znalazł Jusufa i opisał drogę do jego domu.

Znajduje się on obok domu szlifierza kamieni Haziza, a ten łatwo poznać po dużych kamiennych kołach przed wejściem.

Przed domem paliła się pochodnia, z wnętrza dobiegały odgłosy skarg i monotonne modlitwy. Omar się zawahał, czy zapukać do drzwi; ale jakaś stara kobieta z rozpuszczonymi siwymi włosami wyszła na dwór, bijąc się w piersi, i jakby gnana przez furie, popędziła przed siebie modląc się. Przez otwarte drzwi Omar dojrzał zebranych ludzi, było tam może dwadzieścioro mężczyzn i kobiet; modlili się i poruszali jak w transie, podobni do trzciny, którą kołysze wiatr.

Nikt nie zwrócił uwagi na wejście Omara, jakby do nich należał. Chłopiec włączył się do jednej z modlitw żałobnych La illah il'allah... Modlący się stali dokoła łoża małego łysego człowieka. Jego oczy były na wpół zamknięte, usta szeroko rozwarte, z trudem chwycił powietrze. Omar od razu go poznał, był to ów mężczyzna z pociągu, był to Jusuf. U jego boku klęczała Halima. Na głowie miała

długą czarną chustę.

Trzymała prawą rękę ojca, przyciskała ją do swego czoła, wciąż się modląc. Na twarzy ojca lśniły krople potu. Halima ocierała je chustką, wzrok jej padł przy tym na Omara. Była blada, oczy jej zapadły się głęboko. Omar skinął głową, ale Halima nie zareagowała, spoglądała na chłopca nie widząc go, jakby był powietrzem. Jakże długo Omar czekał na to spotkanie, tak wiele chciał jej powiedzieć, ale teraz, w tej smutnej sytuacji, nawet wzrok jej pozostał niemy. Halima znów zwróciła się do ojca.

Zapadał zmrok, kiedy Omar opuścił dom; wątpił, czy ciężko chory Jusuf przeżyje ten dzień. Teraz pochodnie zapłonęły także przed innymi domami. Stały w dzbanach albo były wetknięte w piasek. Nie widać było ludzi. Omar wrócił

biegiem do przystani. Przewoźnik nic nie powiedział, Omar też nie miał ochoty na rozmowę.

Nazajutrz rano z szybkością błyskawicy rozeszła się wiadomość: Cholera! Podobno przyszła z delty Nilu.

Naczelnik stacji zabronił wysiadać pasażerom przybywającym pociągami z północy. Miały one jechać dalej zamknięte. Lecz ani ten środek, ani ukrywanie się ludzi w domach nie zapobiegły nieszczęściu, cholera nawiedziła Luksor.

Ludzie wyglądający na zdrowych padali na ulicy jak muchy. Leżeli z otwartymi oczami i ustami. Okręceni płótnami pracownicy Czerwonego Półksiężycy pchali po ulicach wózki na wysokich kołach ze zwłokami; brakowało trumien. Niejednego zmarłego policja musiała siłą wyciągać z domu, kiedy krewni, wbrew zarządzeniu mamura, chcieli nie-boszczyka złożyć na marach. Przed hotelem „Winter Palace” patrolowali uzbrojeni strażnicy i bronili wstępu do środka.

Dokoła unosiły się kłęby

dymu, należało bowiem — w myśl nakazu zdezynfekować każdą sypialnię, w której ktoś umarł. Okropny smród karbolu i oparów siarki unosił się nad całym miastem.

Kiedy nad Luksorem zapadała noc, przed każdym domem, w którym panowała cholera, zapalano pochodnie, aby inni go omijali; również w nocy wywożono trupy, wózki skrzypiały głośno na wyludnionych ulicach. Był to czas szczurów.

Wychodziły setkami z kanałów, tłuste, wielkości kotów, i ożywiały rynsztoki, a większość nie dała się odpędzić nawet za pomocą suchego wapna, które rozsypywano dla dezynfekcji. Gdy jeden tłusty gryzoń zdychał, zjawiały się gromady następnych, by go pożreć, i ani walenie kijami, ani głośne krzyki nie odstraszały tych wstrętnych zwierząt.

Przed domem profesora Shelleya jeszcze nie paliła się pochodnia, ale panował tam strach i kiedy Claire zaczęła narzekać na kurcze w łydkach, suchość w ustach i chrypkę, Nunda zaczęła ze strachu głośno śpiewać, Omar zaś pobiegł

pędem po doktora Mansura. Lekarz przyszedł z wypchaną torbą i zbadał Claire. Shelley spojrzął na niego z niepokojem.

Doktor skinął głową.

Tej nocy Omar zapalił pochodnię i ustawił ją w dzbanie przed drzwiami. Ogarnęła go groza przed ciemnością w domu, spędził resztę nocy drżąc, przytulony do ściany.

Strach zabija zmęczenie. Omarowi wcale nie chciało się spać, był przede wszystkim zajęty obserwowaniem swych łydek i wsłuchiowaniem się w brzmienie własnego głosu, bo uważał, że i jego nie oszczędzi ta straszliwa choroba.

Stan Claire wyraźnie się pogarszał, drżała na całym ciele, prężyła się. Lekarz podał jej laudanium i inne gorzkie napoje i stwierdził, że jeśli przeżyje następny dzień, to ma szansę wyjść z choroby. Shelley uznał za stosowne poinformować żonę o jej stanie, by pobudzić jej wolę przetrwania.

Omar stał się więc świadkiem walki na śmierć i życie.

Wydawało mu się, że widzi, jak kobieta walczy ze wszystkich sił z przewrotną śmiercią. Claire jęczała, biła pięściami wokół

siebie, jakby chciała odpędzić niewidzialnego wroga. Wlewała w siebie leki, wymiotowała, znów brała leki. Shelley trzymał

ją za rękę, przyciskał drżące ciało do pościeli. W środku nocy Claire wydała przerażający okrzyk, zaraz potem następny, jakby uwolniła się z uchwytu wroga, po czym leżała spokojnie. Oddychała głośno i ciężko.

Był to cud, że Claire przeżyła, i cud, że nikt w domu się od niej nie zaraził. Omar jednak niepokoił się o Halimę. Jak ona się ma? Czy cholera ją oszczędziła?

Zakaz mudira zabraniał opuszczania miasta. Patrole policji chodziły dzień i noc z odbezpieczoną bronią. Kto chciał

przeprawić się przez Nil musiał pokazać podpisany przez mudira firman, a taki firman otrzymywali tylko lekarze, pomocnicy Czerwonego Półksiężyca i grabarze. Co miał

robić?

Omara dręczyła myśl, że przez wiele tygodni musi trwać w niepewności. Nie mógł jeść, a im dłużej ten stan trwał, tym jaśniej zdawał sobie sprawę, że nie wytrzyma. Postanowił w jakiś sposób przedostać się na drugi brzeg.

Nazajutrz oświadczył profesorowi, że zgłosi się na ochotnika do obsługi chorych. Oczywiście nie podał

prawdziwej przyczyny. Reakcja Shelleya wahała się pomiędzy obawą o ewentualne skutki tej decyzji

a szczerym podziwem dla bezinteresownej chęci niesienia pomocy. W ten sposób Omar otrzymał firman, białą opaskę na ramię i maskę ochronną na usta i mógł się swobodnie poruszać.

Nadzieja, że zobaczy Halimę, pozwoliła Omarowi nie myśleć

O wszystkich okropnościach oglądanych w ciągu następnych dni: ludziach w śmiertelnych konwulsjach, krewnych siłą odciąganych od zwłok, małych dzieciach o sinych ciałkach.

Zmarłych układano na deskach

transportowano wózkami na cmentarze przygotowane w pośpiechu pod miastem specjalnie dla ofiar zarazy. Omar starał się przy tych pracach myśleć o Halimie, ale mógł sobie wyobrazić tylko jej twarz w oknie swego pokoju i już po chwili wzrok jego padał znów na cierpiących ludzi i trupy na łózkach.

Trzeciego dnia Omar powiedział, że czuje się słabo, co zresztą było prawdą, i zwolniony z pracy, pobiegł prosto na brzeg Nilu, gdzie dzięki firmanowi minął wszystkie posterunki i nakazał przewoźnikowi, by go przewiózł na drugi brzeg. Biegiem odbył drogę do el-Kurna. Przed domem Jusufa zawahał się przez chwilę, następnie otworzył drzwi.

—
Halima — powiedział Omar zaskoczony. W

ostatnich dniach nagromadziło się tyle spraw, o których chciał

jej opowiedzieć, a teraz, kiedy nagle przed nim stanęła, nie wiedział, co ma mówić. — Halima

— powtórzył bezgłośnie.

Dziewczyna wyszła na dwór, podeszła do niego i jakby na jakiś tajemniczy znak padli sobie w ramiona. Płakali i ocierali sobie nawzajem łzy rękami. Potem Halima wprowadziła Omara do domu.

Rozchodził się tam ostry zapach. Chłopiec poznał miejsce, gdzie przed kilkoma dniami stało łóżko starego Jusufa. — Czy on umarł? — zapytał nieśmiało.

Halima skinęła w milczeniu, potem nabrała głęboko powietrza i rzekła: — W dwa dni zostałam sierotą.

—
Czy twoja matka także umarła?

—
Nigdy sobie nic wyobrażałam, że to pójdzie tak prędko.

—
Czy masz rodzeństwo?

Halima potrząsnęła głową.

—
Co chcesz zrobić?

—
Allah wskaże mi drogę.

Omar chodził po skromnie umeblowanym pokoju.

—
A przecież to był taki silny człowiek — zaczęła dziewczyna — nieduży, ale jaki odporny. Sam nie wiedział, ile naprawdę ma lat; myślałam, że będzie żył jeszcze pięćdziesiąt lat.

—
Czy bardzo go kochałaś?

—
Kochałam i nienawidziłam; nawet bardzo nienawidziłam, ale teraz, kiedy umarł, wydaje mi się, że go tylko kochałam.

Omar spojrzał na Halimę. Wzruszała go obecność dziewczyny, nie zależało mu nawet na tym, by rozumieć sens jej słów.

—
Był to człowiek tajemniczy, był moim ojcem, ale jeśli mam być szczerą, muszę powiedzieć, że w ogóle go nie znałam. Był uparty i wiele rzeczy, jakie robił, było dla mnie całkiem niezrozumiałych. Nawet kiedy umierał.

—
Co masz na myśli, Halimo?

—
Kiedy spostrzegłam, że zbliża się jego koniec, ujęłam go za rękę. Był całkiem spokojny, ale oczy mu płonęły, kiedy na mnie spoglądał, a potem coś powiedział. Najpierw myślałam, że wymawia moje imię, ale on potem powtórzył

trzy czy cztery razy to samo i zrozumiałam, co powiedział: Imhotep.

—
Imhotep? Co to znaczy?

—
Przecież ci mówiłam, że Jusuf był tajemniczym człowiekiem.

—
Może to miało coś wspólnego z ostrzeżeniem, jakie wtedy mi przekazałaś?

—
Nie — odparła Halima szybko.

—
Ale to ostrzeżenie nadal jest aktualne?

Halima milczała, Omar przyciągnął ją do siebie. Odwróciła głowę

i nie patrząc na niego, powiedziała: — Boję się o ciebie, Omarze, ale nie mogę ci powiedzieć dlaczego. Musisz stąd odejść, rozumiesz? Nawet jeśli to jest bolesne.

Omar odparł: — Taha nauczył mnie pisać i czytać Koran.

W trzeciej surze jest napisane, że żaden człowiek nie umrze wbrew woli Allaha. Po co więc uciekać? Gdyby wolą Allaha było położyć kres mojemu młodemu życiu, to dość miał do tego sposobności. Gdyby sądzone mi było umrzeć, wola Allaha osiągnęłaby mnie zarówno na szczycie Gebel el- -

Schajib, jak i w Kotlinie Kattary.

V

Mimo natarczywych pytań Halima nie zdradziła, kto kryje się za tymi groźbami. Toteż Omar uznał, że czas wracać do domu. Pocałował dziewczynę w czoło i przyrzekł, że przyjdzie jutro lub pojutrze.

Równie nagle, jak przyszła, cholera znikła w ciągu jednej nocy. Coraz więcej pochodni wygasło. Ci, co przeżyli, początkowo bali się oddychać, wyglądało tak, jakby Ziemia przestała krążyć wokół własnej osi. Skargi żałobne odzianych na czarno kobiet mieszały się z radosnym śpiewem młodych, sławiących wszechlitościwego Allaha. Ulice i place nagle znów ożyły, ludzie zaczęli wypełzać z domów jak termity po burzy, zachowywali się swobodnie i życzliwie wobec siebie; skąpo ubrani lub całkiem nadzy tańczyli wokół cuchnących ognisk, które podsycali własną odzieżą. Piekło i raj sąsiadowały ze sobą.

Tych, co pomagali podczas zarazy — a przeżył tylko co trzeci z nich

—
czczono jak bohaterów; dotyczyło to również Omara, którego z powodu pochwał i darów pieniężnych dręczyło nieczyste sumienie. Ale co miał robić? Czy wyznać, że to nie ofiarność była motywem owej samobójczej pracy, lecz miłość do dziewczyny? Omar wolał milczeć.

Postanowił — choć nie przyszło mu to łatwo —

poinformować profesora o swojej wizycie u dziewczyny i jej ostrzeżeniu, a także o ostatnim słowie umierającego Jusufa.

Shelley spojrzał na chłopca z konsternacją. — Imhotep?

powiadasz, Imhotep?

—

Tak. Imhotep, ja saidi. Co to znaczy?

—

Sam chciałbym to wiedzieć.

—

Ale jest pan zdziwiony, ja saidi.

—

Tak, zdziwiony. Może to naprawdę przypadek, ale kiedy o tym opowiedziałeś, przypomniała mi się książka, która leżała na stole w pokoju hotelowym Carlyle'a.

—

Była to angielska książka, jeśli dobrze pamiętam.

—

Tak. Kiedy ją przeglądałem, wypadła kartka, a na niej było jedno słowo: Imhotep.

—

Kto to jest Imhotep?

—

Imhotep był lekarzem, budowniczym, kapłanem i mędrce. Żył dwa i pół tysiąca lat przed przełomem stulecia za panowania faraona Dżosera i jest znany jako wynalazca piramidy. Uchodzi także za twórcę najstarszej egipskiej nauki mądrości. Jako lekarz dokonywał podobno istnych cudów, dlatego starożytni Egipcjanie czcili go w Memfis i tu, w Luksorze, jako boga sztuki uzdrawiania. Na posągach, które znaleziono, przedstawiony jest jako łysy mężczyzna czytający zwój pergaminu. Dla swego króla Dżosera zbudował

odpowiedni do jego stanu grobowiec, piramidę schodkową w Sakkarze — powiadają, że jest to

najstarsza budowla na świecie. Dookoła tej piramidy archeolodzy znaleźli mnóstwo odłamków z imieniem Imhotepa, tak że jest bardzo prawdopodobne, iż gdzieś w tej okolicy znajduje się jego ostatnie miejsce spoczynku. Innymi słowy: grobowiec boga! Przypuszczenia badaczy są następujące: jeśli starożytni Egipcjanie chowali swych królów z taką pompą, z jakim rozmachem musieli pochować wcielonego boga!...

Omar słuchał zafascynowany, ale nie widział powiązania między opowieścią profesora a Carlyle'em i Jusufem. Chociaż wydało mu się to bardzo dziwne.

—
Co to za dziewczyna? — zapytał Shelley nagle.

Omara przeraził ostry ton profesora, starał się więc go uspokoić.

—
Ja saidi, Halima to dobra dziewczyna, nigdy nie zrobiłaby nic złego, Inszallah.

—
Ach, co tam — odparł Shelley niechętnie. —

Ostrzegła cię, a więc na pewno coś wie. A w każdym razie wie więcej, niż chce powiedzieć.

—
To pewne, ja saidi.

—
I dlatego powinniśmy złożyć meldunek na policji.

—
Tylko nie policja, tylko nie policja — jęczał Omar.

— Halima to dobra dziewczyna.

—
Ale to w twoim własnym interesie — rzekł profesor.

Wówczas Omar wyprostował się, jakby chciał swym wzrostem nadać

powagi słowom, i powiedział rzeczowo: — Ja saidi, proszę mi dać kilka dni, a zmuszę Halimę do mówienia.

Profesor początkowo nie chciał się zgodzić. Uważał, że lepiej będzie wciągnąć w to polię, by wywarła nacisk na dziewczynę; ale potem ustąpił pod wpływem usilnych próśb Omara; no bo skąd można wiedzieć, argumentował Omar, że Halima powie policji prawdę?

To przekonało profesora. Jeśli w ogóle ktoś był zdolny nakłonić dziewczynę do wyznania prawdy, to tylko Omar.

Nazajutrz z rana Omar udał się do el-Kurna. Jak zwykle w miesiącach Dulkada i Dulhedża mleczna mgła unosiła się nad leżącą ugiem ziemią. Pachniało mokrym piaskiem, a niewidzialne kruki i sępy skrzeczały swoją pieśń poranną.

Szlifierz kamieni już pracował, bo słycać było zgrzyt metalu na kamiennym kole.

Przed domem Halimy siedział stary człowiek, strugał kij i nie przerwał swego zajęcia, kiedy Omar podszedł i pozdrowił

go. Przychodzi do Halimy.

—

Do Halimy? — Stary podniósł głowę i spojrzał na chłopca spod przymkniętych powiek, po czym zabrał się znów do pracy, rzucając mimochodem: — Halima odeszła.

—

Odeszła? Dokąd?

Stary człowiek wzruszył ramionami. — Odeszła, teraz ja tutaj mieszkam.

—

Ale dom należy przecież...

—

...do Mustafy Agi Ayata — wtrącił stary — on mi go wynajął.

—

A dokąd przeniosła się Halima? — napiera!

chłopiec.

—

Jak się nazywasz? — zapytał stary.

—

Omar Moussa.

Nic patrząc na niego, stary wstał, wszedł do domu i wrócił z listem, który podał Omarowi bez słowa. Omar wziął go i przeczytał:

„Mój drogi! Człowiek, który Ci wręczy ten list, zna jego treść, bo spisał każde słowo, jakie wypowiedziałam.

Wiedziałaś, że przyjdiesz, że zlekceważysz moje ostrzeżenie. Jesteś upartym chłopcem. Ale nie stań się zarozumiały. Allah kocha tylko tych, co okazują pokorę. Jeśli pragniesz okazać pokorę wobec Miłosiernego, to opuść to miejsce, gdzie się tyle nacierpiełeś, bo zło wciąż jeszcze się czai.

Nigdy już mnie nie zobaczysz. Nie pytaj dlaczego. Są sprawy, których nie da się wytłumaczyć. Serce mi się kraje, dusza płacze na myśl, że muszę się z Tobą na zawsze pożegnać, ale tak na pewno jest lepiej. Kochaj mnie w swych myślach, tak jak ja to czynię. W Imię Boga Miłosiernego, Halima.”

Gdy Omar podniósł wzrok, starego już nie było. Słońce przedarło się przez poranną różową mgłę. Od brzegu wołano przewoźników. Gdzieś ryczał uparcie osioł, kozy skakały po nie brukowanej ulicy. Omar ruszył w drogę powrotną.

Na skraju wsi el-Kurna, tam gdzie zakurzona ścieżka rozgałęzia się

i prowadzi na lewo do Der el-Bahari, a na prawo do Doliny Królów, wciąż słychać było zgrzyt szlifierki, cichy, ale przenikliwy. Omar się zatrzymał. Skąd dochodzi ten odgłos?

Poszedł dalej, znów się zatrzymał. Jasne. Słyszał ten odgłos, kiedy siedział w grobowcu, w którym więzili go porywacze.

Omar rozejrzał się dokoła. Na zachodzie skały zaczynały lśnić w słońcu, a na wschodzie, po drugiej stronie Nilu, wyłaniała się z porannej mgły świątynia Luksoru. Jaką tajemnicę krył w sobie ten potężny krajobraz? Gdzie w przeszłości czy też w teraźniejszości tkwił klucz do tych wszystkich dziwnych zdarzeń?

BERLIN, UNTER DEN LINDEN

Zaprawdę Bóg zna to, co skryte w niebiosach i na ziemi!

On wie dobrze, co kryją piersi!

On jest tym, który uczynił was namiestnikami na ziemi.

A kto nie wierzy,

to jego niewiara zwróci się przeciw niemu. Niewiara tych, którzy nie wierzą, tylko powiększa nienawiść ich pana; niewiara tych, którzy nie wierzą, tylko powiększa ich zgubę.

Koran, sura XXXV

Berlin wiosną. Z hotelu „Bristol” przy Wilhelmstrasse wyszła wytwornie ubrana kobieta. Jej krótko ostrzyżone, kruczoczarne włosy były całkowicie zakryte dużym kapeluszem przybranym kolorowymi piórami. Podpierając się parasolką ozdobioną falbankami, podeszła do czekającej przed hotelem taksówki; kierowca otworzył drzwi i podał kobiecie ramię, pomagając jej wsiąść.

Do „Pałacu Admiralskiego”! — powiedziała chłodno piękna kobieta, a po jej wymowie można było poznać, że jest cudzoziemką.

—
„Pałac Admiralski”, Friedrichstrasse. — Kierowca zasalutował, następnie zaczął kręcić korbą wystającą z przodu wozu. Energicznym ruchem podniósł rączkę do góry i automobil zaczął warczeć.

Nowomodnym automobilom — podobno było ich już w mieście siedem tysięcy — zakazano jeździć szybciej niż dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę, tak więc kobieta z rezygnacją oglądała szerokie bulwary z kwietnikami i studzienkami oraz ozdobne fasady domów, które zamiast bram miały wysokie oszklone portale, kute z żelaza, a parapety z lśniącego mosiądzu lub niegustownie pozłacane.

Trakt spacerowy, jakim kiedyś była ta wspaniała ulica Unter den Linden, przesuwał się coraz bardziej na zachód, w stronę Kurfürstendamm, na Tauentzienstrasse i w okolice pomiędzy Nollendorffplatz a Victoria-Luise-Platz, gdzie w ciągu niewielu lat wyrosły jak grzyby po deszczu niezliczone kawiarnie z muzyką, bary i mieszkania z telefonami. Na każdym kroku spotykało się shipy ogłoszeniowe reklamujące rozrywki rozmaitego rodzaju, środki do prania, ale także ostrzeżenia berlińskiego prefekta policji, na przykład takie:

„Obwieszczenie. Podaje się do wiadomości, że ulica jest przeznaczona wyłącznie dla ruchu kołowego. Wobec łamiących zarządzenie dopuszcza się użycie broni. Przestrzega się przed ryzykiem.” Plakat był skierowany przede wszystkim do lewicowych demonstrantów.

Przy ambasadzie angielskiej auto skręciło w prawo na Unter den Linden. Teraz, na początku maja, drzewa pokrywała młoda zieleń; kierowca skorzystał z szerokości ulicy, by przyjrzeć się w lusterku zwrotnym swojej pasażerce.

Samotna kobieta zdążyła po południu do „Pałacu Admiralskiego”? Coś tu nie jest w porządku! Ten dom handlowy rozrywki nie cieszy się przecież najlepszą sławą. O

tej porze spotykają się tutaj panienki z Tauentzien, dziewczęta lekkich obyczajów, które na tej ulicy pozwalają się zaprosić na lody, później zaś, wymalowane i upudrowane, raczą się bezczelnie drogimi koktajlami. Jak na „taką” ta kobieta jest zbyt gustownie ubrana i wypielęgnowana, ale całkiem

„przyzwoita” ta damulka z pewnością również nie jest.

Auto zatrzymało się przed „Pałacem Admiralskim”. Nad wejściem, które swym pompejańsko-bizantyjskim, pełnym przepychu stylem przypominało raczej świątynię, pysnił się wielkimi

czerwonymi literami wielkości człowieka monstrialny napis: „Yvonne”, zapowiadający pantomimę.

Służący w liberiach szeroko otwierali drzwi. Wśród kolumn i mozaik, czerwonego pluszu i wysokich palm grała orkiestra, panowała podniosła atmosfera kawiarni, panowie w ubraniach z domu towarowego, panie we frywolnych sukienkach.

Kobieta znalazła wolny stolik, usiadła na pluszowym fotelu i zaczęła grzebać w torebce. Wreszcie wyciągnęła długą cygarniczkę, wyjęła papierosa i czekała; jakiś starszy pan spostrzegł jej bezradność i podał ogień. Pokaszując, zmieszany, usiłował nawiązać rozmowę, ale kobieta udawała, że go nie rozumie. Odpowiadała po angielsku, a mężczyzna nie znał tego języka, więc uprzejmie się pożegnał.

—
Halo, lady Dawson!

Kobieta podniosła wzrok i spojrzała na gąbczastą twarz młodego człowieka. Miał na sobie garnitur i sztywny kołnierzyk, ale od razu było widać, że nie co dzień nosi ten strój i że najwyraźniej nie czuje się w nim dobrze. — Od razu panią poznałem po opisie — rzekł trochę nieudolną angielszczyzną.

— A więc pan nazywa się Mr. Kellermann — stwierdziła kobieta.

— Wie pan, o co chodzi.

Kellermann niespokojnie wiercił się w fotelu. — To, że wiem, to lekka przesada. Ale pani z pewnością mi powie, czego pani ode mnie oczekuje.

Lady Dawson wyjęła z torebki kopertę. Nieufnie rozejrzała się na wszystkie strony, czy nikt jej nie obserwuje, i dopiero kiedy się przekonała, że nikt nie widzi, wyjęła jakiś papier i rozłożyła przed Kellermannem. Widniał na nim zarys dużego budynku.

—
To ten dom — lady wskazała cygarniczką plan — tu jest wejście, tu hol, schody po lewej stronie prowadzą do działu na pierwszym piętrze. Tli stoją strażnicy, przeważnie dwóch starszych mężczyzn w mundurach. Ich przede wszystkim trzeba mieć na oku podczas drogi powrotnej. Wej-

ście na wystawę znajduje się naprzeciwko okna, a więc poza zasięgiem wzroku i uszu dozorców, chyba że użyje pan dynamitu! — lady Dawson uśmiechnęła się.

Kellermann przyglądał się planowi przymrużonymi oczami.

■— Dotąd wszystko jest jasne. Tylko gdzie leży ten przeklęty kamień?

Angielka wskazała krzyżyk na planie. — Tli. W tym pomieszczeniu są trzy witryny. Tylna zawiera trzy obiekty: głowę z wapienia naturalnej wielkości, mały posąg skulonego pisarza, a obok czarny kamień, na którym mi zależy. Chodzi tu o pękniętą płytę, właściwie tylko o część kamiennej płyty szerokości dłoni, wysokości łokcia, z drobnym pismem.

—
I na tej płycie pani zależy?

—
Tylko na niej.

Kellermann jeszcze raz zbadał plan, skinął ze zrozumieniem głową

i rzekł siląc się na życzliwość: — Zrobi się, lady. A ile ta rzecz jest dla pani warta?

Lady Dawson złożyła plan i przesunęła go wraz z kopertą w stronę Kellermanna. — W kopercie jest połowa. Reszta przy odbiorze.

Kellermann zajrzał do koperty; przez dłuższą chwilę bezczelnie przyglądał się lady Dawson, wreszcie rzekł: — Czy wolno mi zaprosić panią na koktajl? — i nie czekając na odpowiedź, strzelił palcami

i głośno przywołał wyfrakowanego kelnera.

Lady Dawson milczała i obserwowowała ożywiony ruch w kawiarni.

—
To oczywiście mnie nie obchodzi — Kellermann z trudem zaczął konwersację — ale czy ten stary poobtłukiwany kamień wart jest naprawdę tyle pieniędzy?

—
Zgadza się.

—
Co się zgadza?

—
Zgadza się, że to pana nic nie obchodzi, Herr Kellermann! — Kobieta użyła niemieckiego słowa, ale zabrzmiało ono ironicznie, jak gdyby chciała zakpić ze swego rozmówcy.

Kellermann udał, że tego nie zauważył, i ciągnął dalej: —

Nie obchodzi mnie to, lady, ale jeśli w kamieniu znajduje się złota żyła, to mógłbym zwać z tak cenną sztuką.

. Lady Dawson roześmiała się. — Dla pana ta rzecz nie przedstawia absolutnie żadnej wartości. A jeśli chce pan otrzymać pełne honorarium, to powinien pan dostarczyć ten kamień możliwie

najprędzej.

Lady wstała, wyraźnie zirytowana paliła papierosa. —

Czekam na wiadomość! — rzekła, odwróciła się i znikła w tłumie.

Trzy dni później, 6 maja 1912, lady Dawson otrzymała w hotelu telegram: „Zlecenie wykonane. Spotkanie w

«Piccadilly-Kasino», o ósmej wieczorem. K.” Na Leipziger-Strasse gazeciarze głośno wykrzykiwali tytuły świeżo wydrukowanych gazet wieczornych: Sprawa potrójnego mordu rabunkowego przed sądem przysięgłych, Nadburmistrz zapowiada dymisję, Przybycie cesarza do Genui, Kradzież przy „Lustgarten”.

„Lustgarten”? Altes Museum położone było przy

„Lustgarten”. Na Potsdamer Platz lady Dawson kazała zatrzymać auto, by kupić „Ber- liner Tagblatt”. Szybko przebiegła wzrokiem artykuł pt. Kradzież przy „Lustgarten

„Nieznani sprawcy skradli w muzeum przy «Lustgarten»

skarby egipskie nieocenionej wartości. Chodzi o posągi i rzeźby głów ze starożytnego Egiptu, które profesorowie Hermann Ranke i Ludwig Bor- chardt odnaleźli podczas prac wykopaliskowych. Sprawcy, którzy nie pozostawili najmniejszych śladów, włamali się nocą przez okno. Byli nie tylko świetnie zorientowani, wykazali także znakomitą znajomość przedmiotu, bo zabrali tylko najbardziej wartościowe rzeczy. Komendant policji zarządził śledztwo na wielką skalę.”

Lady Dawson złożyła gazetę i zawołała: — Proszę jechać jak najprędzej do „Piccadilly-Kasino”, Biilowstrasse!

Kasyno, znajdujące się w białym tynkowanym budynku z kolumnami, z zewnątrz sprawiało wrażenie bardzo solidne.

Obok mosiężnego dzwonka wisiała lśniąca tabliczka: „Klub towarzyski”; nie było więc w tym nic niezwykłego, jeśli przychodziły tu samotne panie. Portierka, starannie ubrana, pięćdziesięcioletnia kobieta ostrzyżona krótko po męsku, otworzyła drzwi dopiero wówczas, kiedy lady Dawson wymieniła nazwisko Kellermanna. Rzekła zwięźle: —

Ostatnie drzwi na prawo.

Frontowy pokój był utrzymany w bieli; miał wysoki, biały, kaflowy piec, biały stolik barowy, biały fortepian i wiklinowe meble — również białe. Przy stolikach siedzieli ładni chłopcy ze znudzonymi minami i palili papierosy. Następne pomieszczenie, oddzielone od pierwszego tylko brokatową zasłoną, było utrzymane w kolorze różowym; siedziały tam panie; stamtąd wchodziło się do mniejszych gabinetów. Lady Dawson zapukała do ostatnich drzwi na prawo.

Kellermann otworzył, ale zanim zdołał coś powiedzieć, lady Dawson zalała go potokiem słów: —

Panie Kellermann, pan chyba zwariował! Chciałam tylko jedną sztukę, ów kamień, którego stratą nikt by się zapewne zbytnio nie przejął. A pan co zrobił! — Uderzyła przy tym pięścią w gazetę.

—

Pst. — Kellermann przyłożył palec do ust. — Ściany mają uszy.

— Następnie posadził kobietę na potężnym fotelu i rzekł

spokojnie:

Pani Dawson, chciała pani ode mnie ten kamień i zdobyłem go. Nie

rozumiem, dlaczego się pani tak przejmuje?

—

Dlaczego się przejmuję? Bo policja pana tropi, panie Kellermann. A potem zacznie tropić i mnie.

—

Nie pozostawiłem żadnych śladów.

—

Ach, to tylko kwestia czasu. Czy pan się zastanowił, co pan pocznie z tym łupem? Sądzi pan, że znajdzie pan nabywcę na tak trefny towar?

Kellermann opadł na przeciwległy fotel i skinął głową z ożywieniem.

— Oczywiście. Panią!

—

Mnie? Lady Dawson krzyknęła tak głośno, że Kellerman się przeraził. Potem roześmiała się prowokująco.

— Wobec tego szybko się pan rozczaruje.

Ale Kellermann uśmiechnął się złośliwie i podszedł do niej.

— Albo wszystko, albo nic.

—

Chce mnie pan szantażować? No dobrze, ile?

—

Myślę, że pięć tysięcy.

Chyba pan zwariował, pięć tysięcy!

Pięć tysięcy i ani marki mniej. Może się pani jeszcze zastanowić. Może znajdą się inni chętni. Oto mój adres.

Proszę mi dać znać, kiedy się pani zdecyduje.

Lady Dawson wstała. Oczy jej płonęły gniewem, kiedy wyrywała z rąk Kellermanna wizytówkę. Następnie znikła bez słowa.

Berlińczycy niezbyt przejęli się kradzieżą w muzeum. Mieli ważniejsze tematy, na przykład zatonięcie „Tytanika” przed trzema tygodniami, które pochłonęło półtora tysiąca ofiar. Ale w sobotę, 11 maja, sprawa przybrała niespodziewany obrót.

„Berliner Zeitung” donosiła tego dnia:

„Kradzież w muzeum wyjaśniona. Złodziej popełnił

samobójstwo. W dniu wczorajszym, w piątek, w godzinach wieczornych wezwano policję do pensjonatu przy Alte Jakobstrasse. W wynajętym pokoju na pierwszym piętrze znaleziono zwłoki Herberta K., robotnika, nigdzie nie zatrudnionego. Zastrzelił się. Podczas przeszukiwania pokoju policja znalazła zrabowane w ubiegłym tygodniu dzieła sztuki z muzeum przy «Lustgarten». Wszystkie przedmioty, oprócz jednego, niewiele znaczącego, zostały zabezpieczone i przewiezione z powrotem do muzeum. Złodziej, dokonując tego czynu, nie pomyślał, że skarby takiej wartości nie dadzą się sprzedać paserowi, i z rozpaczy popełnił samobójstwo.” Mały pensjonat przy Königsgraben naprzeciwko domu towarowego Tietza sprawiał wrażenie zaniedbanego. W nocy słychać tu było hałas z dworca Alexanderplatz, w każdym razie w pokojach od tyłu, w których na czwartym piętrze mieszkało dwóch Egipcjan. Obcy mężczyźni nie zwracali na siebie niczyjej uwagi, ponieważ w tym domu zatrzymywali się prawie wyłącznie cudzoziemcy, przeważnie akwizytorzy i ludzie interesu z południa Europy.

Ci dwaj zamknęli się w pokoju numer 43. ponuro umeblowanym pomieszczeniu z okrągłym stołem w kącie.

Siedzieli dookoła niego mężczyźni i zachwyconym wzrokiem wpatrywali się w coś czarnego leżącego przed nimi.

co miało zaledwie wielkość dłoni i długość łokcia.

Kiedy się chce dowiedzieć, gdzie jest miód. należ)-

śledzić pszczołę — rzekł Mustafa Aga Ayat i zaczął

przewracać oczami.

—
Ale czy trzeba było draba od razu zastrzelić? —

powiedział Ibra- him el-Nawawi z powątpiewaniem.

Mustafa zerwał się. ale natychmiast się zmitygował i zaczął

mówić cicho: — On nas szantażował, a z szantażystą należy jak najszybciej skończyć. Zresztą —
moje uznanie, zrobiłeś dobrą robotę. Przeczytałem wszystkie gazety, niczego nie podejrzewają — bez
wątpienia samobójstwo. Niech żyje Egipt!

—
Niech żyje Egipt — powtórzył el-Nawawi bezdźwięcznie i po chwili dodał: — I nasza chwalebna
przeszłość.

Tymczasem Ayat wyciągnął! zwinięty papier do pakowania i rozpostarł na stole. Rysunek na papierze
przypominał

kształtem owczą skórę w zmniejszeniu. Aga położył czarny kamień na papierze i usiłował go
dopasować do zarysu. Udało się bez większego trudu. Aga powstrzymał okrzyk radości. —

Nie ma wątpliwości, pasuje!

—
Jesteś pewien? — Ibrahim el-Nawawi spoglądał

nieufnie.

—
Sam zobacz! — Aga podsunął papier z leżącym na nim kamieniem bliżej el-Nawawiego i wskazał
ułamane miejsce. Linia przebiegała nieregularnie, ale dokładnie równoległe do rysunku. — Pasuje
jak broda do Proroka.

El-Nawawi przyglądał się z ciekawością, potem odchylił się na fotelu i rzekł: — Obyś miał rację.
Chciałbym, aby ten przeklęty kamień doprowadził nas do celu.

Do celu? — Mustafa Aga Ayat zapalił papierosa. —

Wystarczy nam na razie, jeśli ta akcja posunie nas o krok do przodu. O celu jeszcze nie może być mowy.

—
Czy potrafisz wyjaśnić znaki na kamieniu, mam na myśli, czy istotnie ta rzecz jest warta takiego zachodu?

—
Oczywiście, że nie! — odparł Aga zirytowany. —

Gdybym to potrafił, nie zajmowałbym się przykładaniem pieczęci w paszportach obcych ludzi. Wiem tylko, że jest to pismo demotyczne, a więc jeszcze starsze niż koptyjskie, i że kamień pochodzi z Raszid w zachodniej delcie Nilu.

—
A w jaki sposób dostał się do Berlina?

—
Ins:iiHiih. To długa historia. Sięga czasów Napoleona. Kiedy ten wylądował przed ponad stu laty w Egipcie, kazał zbudować w Raszid twierdzę. Podczas prac budowlanych Francuzi natknęli się na czarny bazaltowy kamień wielkości koła u wozu. Na kamieniu tym było uwiecz-nione obw ieszczenie kapłanów z Memfis. Treść nie była istotna, ważne jednak było to. że tekst wyryto trzema różnymi pismami: hieroglifami, pismem demotycznym i greckim. I na podstawie tego kamienia można było w dwadzieścia lat później odczy tać hieroglify'.

—
A co to ma wsp-Mnego z naszym kamieniem?

— Posłuchaj! Na miejscu, gdzie przed ponad stu laty znaleziono kamień z trzema rodzajami pisma, wielu archeologów prowadziło wykopaliska. Francuzi. Włosi.

Anglicy, wreszcie Niemcy. Wszyscy mieli nadzieję, że natrafią na wartościowe znalezisko, na złoto, drogocenne kamienie, rzeźby. Nadzieja to lina. na której tańczy' wielu szaleńców.

—
Ale nic nie znaleźli.

Nic prócz kilku fragmentów pisma, które badacze otrzymali jako prezent, by tak rzec. na pamiątkę. O ile można było wywnioskować z odłamków, były one, jak na przykład kamień z Raszid, fragmentami dokumentu kapłanów z Memfis. Są tego setki, nikomu nie przyszłoby do głowy, że owe fragmenty któregoś dnia nabiorą takiego znaczenia.

Resztę historii znasz.

—

Masz na myśli sprawę z Kemalem?

—

Tak.

—

Czy ten Kemal jest istotnie pasterzem kóz?

— Od siedmiu lat pasie kozy w tej okolicy. Pewnego dnia wetknął swój kij pasterski w ziemię, jak to czyni* wszyscy pasterze, ale natrafił na opór. Wykopał płytką dziurę i odkrył

małą, kruchą, czarną, kamienną płytę, której trzy' brzegi były obtłuczone. Nieco później Kemal przyszedł do mnie i chciał

mi sprzedać ten kamień. Wyśmiałem go i powiedziałem, żeby wybrukował nim wejście do swego domu, czegoś takiego nie da się sprzedać; wtedy się rozplakał, a ja z litości dałem mu za kamień dziesięć piastrow\ Odtąd ten kamień leżał na parapecie w moim biurze. Leżałby tam do dziś, gdyby pewnego dnia ten szperacz Carlyle nie zapytał, co oznaczają znaki na płycie.

Opowiedziałem mu więc o Kemal

i o dziesięciu piastrach: śmialiśmy się obaj, a Anglik zapytał, czy' mógłby zabrać kamień, chciałby go komuś pokazać. Zgodziłem się. Po kilku dniach przyszedł

podniecony, zapytał o Kemala i o dokładne miejsce znaleziska, powiedział, że należy poszukać dalszych odłamków. Poprosiłem, aby mi sprawę bliżej wyjaśnił, ale on zachowywał się tajemniczo

i potraktował mnie jak głupca. Odebrałem od niego płytę i uprosiłem jednego z przyjaciół w Kairze, by przetłumaczył, co jest na niej napisane,

i oto, co odczytał:

Mężczyzna wyciągnął z kieszeni na piersi kartkę i wygładził na stole-

/ wielcy bogowie, którzy pełne / radość w wieczności /

kapłani z Memfis, którzy decyzje z czcią wysłuchali polecenia, bronić boskiego Imhot \ cień faraona Horasa \ to więcej \ całe złoto i

—
„Całe złoto” — czytał submudir — dokładnie to, czego nam potrzeba.

—
I ja je znajdę. — Mustafa uderzył się pięścią w pierś.

Potem zawinął kamień w brązowy papier, mruknął coś o niewiernych psach chrześcijańskich i dumnych synach Egiptu, następnie włożył paczkę do walizki i odstawiając ją na szafę, rzekł: — Teraz kolej na Nagiba ek- -Kassara.

—
Czy temu ek-Kassarowi można ufać? — zapytał

submudir ostrożnie.

—
Włożyłbym za niego rękę w ogień — odparł Ayat.

— Jest starym towarzyszem Zaghula i równie długo jak on naszym sprzymierzeńcem. Co byśmy bez niego zrobili? On jedyny studiował dawną kulturę naszego kraju i może nam pomóc w tej sprawie. Większość ekspertów to bezbożni cudzoziemcy, zależy im tylko na tym, by wywieźć z tego kraju naszą sławną przeszłość. Zabrali nam wszystko: naszych bogów, nasze obeliski, nawet mozaikowe podłogi, po których stąpali nasi przodkowie. Pewnego dnia zabiorą jeszcze nasze piramidy i ustawią w Berlinie, Paryżu lub Londynie.

El-Nawawi przytaknął Ayatowi, żywo kiwając głową. —

Dla tych Europejczyków jesteśmy jedynie ciemnymi poganiaczami wielbłądów, pastuchami kóz, czyścibutami, ludźmi trzeciej, a nawet czwartej kategorii, zbyt głupimi, by zachować dziedzictwo swych ojców. Wszyscy Europejczycy, którzy przebywają w naszym kraju, uważają, że muszą zmieniać nasz wschodni charakter. A co najgorsze, wielu z nas przyznaje im rację

i wielu już zatraciło najlepsze cechy muzułmanów i przejęło najgorsze

cechy Europejczyków; tego nie zmieni nawet lord Kitchener.

On jest

i pozostanie psem chrześcijańskim, kolonialistą, choćby nie wiem jak często zapewniał, że jest jednym z nas! On jest i pozostanie Brytyjczykiem, a wszyscy Brytyjczycy to wrogowie. Czy ty mnie

słuchasz?

Mustafa Aga Ayat położył się na zasłanym łóżku i wsunął

ręce pod głowę. Spoglądał w sufit. Istotnie nie słuchał, ale nie był to brak grzeczności, a już na pewno nie obojętność; to, co submudir mówił, było już wielokrotnie omawiane podczas tajnych zebrań nacjonalistów i uznane za słuszne.

—

Właśnie się zastanawiam — rzekł Mustafa, nie przestając patrzeć w sufit — gdzie jest to niejasne miejsce.

Myślę, że lady Dawson nie zależałoby na jakimś pierwszym lepszym czarnym kamieniu. Szukała, tak jak my, odłamka, który mógłby być kluczem do jakiegoś wielkiego odkrycia.

Zadaję sobie pytanie, skąd lady o tym wie?

—

Słuszne pytanie — odparł el-Nawawi. — Jest widocznie nie tylko zaskakująco dobrze poinformowana, ale musi mieć też kontakty z archeologami, i to nie tylko z angielskimi!

—

Co właściwie wiadomo o tej damie?

—

Jest Angielką, nie podlega obowiązkowi meldunku.

Poza tym, jak wiesz, mieszka na łodzi. Dzięki temu nie obowiązują jej żadne egipskie ustawy i przepisy. Właściwie to ty powinieneś więcej o niej wiedzieć niż ja.

Aga mruczał coś niechętnie, wreszcie dał do zrozumienia, że nie wie więcej ponad to, co lady Dawson mu powiedziała, a to może być prawdą albo i nie; wobec tego co zaszło, należy przypuszczać, że wszystkie jej oświadczenia są wątpliwe. Ale na przyjęciach, na które bywała zapraszana, sprawiała jak najkorzystniejsze wrażenie. — Ale — dodał Ayat — być może dałem się oslepić jej urodzie, może za tą maską kryje się diabeł. s

Podczas gdy Mustafa mówił, wyraz jego twarzy dziwnie się zmienił, stał się jakby rozmarzony. Pionowe zmarszczki, które nadawały jego twarzy władczy charakter, jakby nagle się wygładziły, a czarne brwi, zwykle wiszące nisko nad oczami, energicznie się uniosły.

—

Czy wolno mi zapytać, co masz na myśli? — spytał

el-Nawawi, którego uwagi nie uszła zmiana na twarzy Ayata.

Mustafa jakby coś przeżuwał, choć nic nie miał w ustach, tak z przyzwyczajenia, co u niego oznaczało zmieszanie.

— Myślę, że lady umie świetnie opowiadać bajki — rzekł

wreszcie

— i robi to lepiej niż najlepsi opowiadacze na bazarach. W

każdym razie w jej opowieści o mężu, który umarł podczas podróży poślubnej, nigdy zbyt nie wierzyłem.

Poszukiwanie Nagiba ek-Kassara okazało się bardziej skomplikowane. "i: się spodziewano. Ek-Kassar studiował

archeologię już pięć lat i miał co najmniej trzydzieści lat. Niezbyt serio traktował studia, a powodem był nie tyle brak zainteresowania, ile beznadziejność jego zamiarów, które nie dawały mu najmniejszej szansy r.a pracę w Egipcie. Toteż studiował

raczej bez planu i zarabiał na życie dorywczymi pracami, co do których nie był wybredny. W pewnej kawiarni na Friedrichstrasse angażował się od czasu do czasu jako for-danser. Był szczupły, wysoki, a jego ciemne oczy wprawiały w zachwyt niejedną bogatą wdowę. Za taniec otrzymywał

Nagib pięć fenigów i często wsuwano mu do kieszeni adres z obietnicą, że mu się to opłaci.

W tej kawiarni jednak ek-Kassara nie było. a jasnowiąsa tęga matrona. która sprzedawała żetony taneczne, zareagowała na pytanie

o niego dość niechętnie: wymyślała, że Nagib jest oszustem, który dba

o własną kieszeń zgarniając pieniądze na lewo. i że dlatego zakazała mu wstępu do tego lokalu. Nie wie. gdzie on mieszka i czy w ogóle ma jakiś stały adres, i wcale jej to nie interesuje, po czym grzecznie, ale stanowczo wyprosiła Ayata i el-Nawawiego.

Obaj mężczyźni podeszli właśnie do ciężkich obrotowych drzwi z czerwonego mahoni, gdy jakiś młody człowiek pociągnął Agę za rękaw i zapytał, ile dla niego warta jest informacja o miejscu pobytu Nagiba a. Mustafa spojrział na młodzieńca, który miał na sobie obcisłe ubranie z sięgającą do talii marynarką. Mankiety i kołnierzyk były wykonane z tworzywa o strukturze lnu z domieszką płótna, a brwi i rzęsy

chłopca były uczemione.

Nazywał się Willi i — jak oświadczył — znał dobrze Nagiba. Aga wsunął tordanserowi do kieszeni pięciomarkowy banknot, po czym ten pociągnął obu mężczyzn w kąt za drzwiami i powiedział, że Nagiba ek-Kassara można spotkać w cyrku Buscha, tylko o jedną stację stąd koleją miejską w

kierunku Alexanderplatz. Nagib pracuje tam jako pomocnik połykacza ognia i zaklinacza węży. Willi zawołał jeszcze za odchodzącymi, że gdyby nie znaleźli Nagiba u Buscha, to niech zapylają u Aschingera. Georgenstrasse róg Friedrichstrasse.

Cyrk Buscha miał w Berlinie swą stałą siedzibę nad brzegiem Szprewy. Aby się tam dostać przed popołudniowym przedstawieniem, trzeba się było wykazać niezwykłą zręcznością. Za książęcy napiwek dziewczyna w czerwonej czapeczce, wskazująca miejsca na widowni, zgodziła się zaprowadzić przyjaciół do Alego Paszy, jak nazywał się połykacz ognia. Ten okazał się najprawdziwszym berlińczykiem, mimo iż miał włoską babcię i egzotyczne nazwisko Kalinkę; a pierwsze pytanie, jakie zadał gościom, było, czy są z policji, bo stamtąd byli wszyscy, którzy dotąd pytali o Nagiba. Ali Pasza właśnie próbował przed swym wozem nowy numer i nic pozwolił sobie przeszkodzić. Śmierdziało naftą, którą Ali Pasza Kalinkę brał do ust, a następnie wypluwał ogień w powietrze. Pomagała mu przy tym delikatna dziewczyna o długich czarnych włosach. Miała na sobie luźne, szare, męskie spodnie i czerwoną bluzę; artysta nazywał ją Emma. Połykacz ognia oświadczył ze śmiechem, że dziewczyna przyszła na miejsce Nagiba. ten bowiem kilkakrotnie zjawił się w pracy pijany, poza tym Emma ma ładniejsze nogi.

W drodze do .Aschingera el-Nawawi zastanawiał się, czy taki człowiek jak Nagib ek-Kassar zasługuje na zaufanie. Ta wątpliwość była dość uzasadniona; obaj mężczyźni uzgodnili więc, że powiedzą Nagi- bowi tylko tyle, ile jest konieczne.

Nagib siedział u Aschingera nad kuflem piwa, żuł bułkę i szklanym wzrokiem gapił się przed siebie. W lokalu tym nie było zasłon ani obrusów, ale za to panował hałas. Nagib tyle zatankował, że trwało dość długo, zanim Ayat i el-Nawawi wytłumaczy li mu, kim są, a kiedy wreszcie zrozumiał, zaproponował im, aby przyszli jutro, najlepiej przed południem. wtedy może będzie trzeźwy. Powodu swej wizyty mężczyźni nie zdradzili.

Kiedy Ayat i el-Nawawi nazajutrz przed południem przyszli do .Aschingera. Nagib sprawiał wrażenie trochę trzeźwiejszego. W każdym razie poznał obu mężczyzn i nawet wysłuchał ich propozycji, by przetłumaczył tekst z fragmentu kamienia, który mają w hotelu. .Aga uprzedził pytania Nagiba.

co robią w Berlinie, skąd pochodzi czarny kamień i czy sprawa nie ma jakiegoś związku z kradzieżą w muzeum.

Wyjął bowiem brązowy banknot i posiedział, że lepiej, aby Nagib nie zadawał żadnych pytań, bo chodzi tu o ich wspólny interes.

Ayat i el-Nawawi postanowili zabrać Nagiba do pensjonatu przy Königsgraben. naprzeciwko domu towarowego Tietza, zaopatrzyć go w kilka butelek piwa i zamknąć w pokoju, dopóki nie skończy pracy. Ek-Kassar się zgodził. Poznał od razu, że to pismo demotyczne. wątpił tylko, czy urywki słów dadzą się odcyfrować.

Wątpiwości zdawały się słuszne, albowiem kiedy .Aga około południa zajrzał do Nagiba, ten co prawda opróżnił

wszystkie butelki, ale nie napisał ani jednej linijki.

Oświadczył jednak, że zaraz zabierze się do roboty, jeśli dostanie jeszcze kilka butelek piwa.

Gdy Ayat i el-Nawawi po południu otworzyli pokój, ek-Kassar leżał na łóżku i spał. Aga na ten widok tak się zdenerwował, że zaczął bić śpiącego, wymyślać mu, nazywając pijakiem, który łamie prawa islamu i zdradza ich wspólną sprawę. Nagib ek-Kassar darł się, jakby go zarzynano, ale nie można było zrozumieć jego słów: wreszcie el-Nawawi i podszedł do stołu, gdzie leżał czarny kamień.

—
Hej, zostaw go! — zawołał Ibrahim, ale Ayat był tak wściekły, że dalej bił pijanego, i opamiętał się dopiero wówczas, kiedy el-Nawawi siłą odciągnął go od ofiary.

—
Tu! — rzekł i wskazał na brązowy papier leżący na stole, w który zawinięty był kamień.

Nagib napisał kopiającym ołówkiem szesnaście wąskich linijek, jedną pod drugą.

Ayat i el-Nawawi spojrzeli na siebie bez słowa, podczas gdy Nagib skowyczał jak zbity pies. Kiedy Aga przeczytał

tekst po raz drugi i trzeci, stanął przed łóżkiem, podparł się pod boki, a brzuch mu się wydymał groźnie jak chmura burzowa.

—
Nagibie — rzekł groźnie, po czym zrobił długą pauzę. — Czy jesteś pewien, że to się zgadza?

Ek-Kassar usiadł, potem skinął głową i odpowiedział, choć język miał niemal sztywny: — Co znaczy „pewien”? Takie teksty można interpretować tylko w jakimś kontekście, ale tłumaczenie na pewno jest wierne.

—
Obawiam się tylko — wtrącił Ibrahim el-Nawawi —

że to nie posunie nas dalej.

Nagib wzruszył ramionami i znów opadł na łóżko.

—
Ty łobuzie, nie zasypiaj! — Ayat skoczył na Nagiba i zaczął nim potrząsać. — Powiedzmy, że tłumaczenie się zgadza, ale czy coś przy tym zauważyłeś?

Ek-Kassar z trudem wstał, powlókł się ciężkim krokiem do stołu,

i popatrzył na brązowy papier; nie podnosząc wzroku, odparł:

— Jasne, że zauważyłem.

—

No i co? — zapytał Ayat groźnie.

Nagib roześmiał się i podniósł wzrok, jakby chciał

powiedzieć: „Wcale nie jestem taki urżnięty, jak myślisz”.

Potem postukał palcem w papier i rzekł: — Możliwe, że to fałszerstwo, że to... — zrobił dużą pauzę.

Dla Agi trwało to zbyt długo; chwycił Nagiba za ramiona, pchnął do umywalki obok drzwi, pochylił jego głowę nad miską i polał wodą z dzbana. Nagib zaczął prychać, otrząsał

się, tak że woda rozpryskiwała się po pokoju; Aga rzucił mu ręcznik.

—

Jak to fałszerstwo? — zawołał zdenerwowany. —

Odpowiadaj!

Nagib wytarł się. Zimna woda otrzeźwiła go. Podszedł

znow do

stołu i wskazał papier. — Mowa tu o Dżoserze. Faraon Dżoser panował w okresie trzeciej dynastii, a więc przed czterema i pół tysiącami lat.

—

No i co?

—

Za czasów króla Dżosera pismo demotyczne nie było jeszcze znane, wprowadzono je dopiero w dwa tysiące lat później. I dlatego sądzę, że to fałszerstwo. Tego rodzaju fałszerstwa nie były wcale rzadkością. W późniejszych czasach kapłani często dla zabawy fałszowali dokumenty.

—

A jaki był powód? Czy jest na to jakieś wytłumaczenie?

—
Są tylko domniemania. Jedno z nich to takie, że w ten sposób podsuwa się fałszywy trop, by odwrócić uwagę od jakichś spraw tajemnych.

Mustafa Aga przerwał rozmowę. Schwycił notatkę Nagiba.

Nagib poczuł, że obu nagle opanowało wielkie podniecenie, ale nie miał odwagi zadać pytania. Tkkże kiedy Ayat zaskakująco szybko zaczął się żegnać, Nagib zachował rezerwę.

Nazajutrz obaj udali się w drogę powrotną. Pojechali nocnym pociągiem relacji Berlin-Monachium, z wagonem do Ascony, skąd mieli zamówioną kabinę na statku do Aleksandrii. Ayat i el-Nawawi zajmowali w pociągu wygodny przedział sypialny. Leżeli w ubraniach na swych łózkach, ale nie myśleli o spaniu, a ich rozmowy umilkły dopiero za Lipskiem.

Było chyba około trzeciej w nocy, gdy Aga w jednostajnym szumie pociągu usłyszał jakiś obcy szmer. Pochodził sprzed drzwi, które zamknęli od środka; wydawało się, że ktoś majstruje przy zamku. Mustafa usiadł. Przytłumione zielone światło na suficie rzucało długi cień na wejście.

—
Ibrahimie! — szepnął Aga cicho.

Ten zareagował niechętnym warknięciem.

—
Słyszysz coś?

El-Nawawi zaprzeczył i przykazał Mustafie, żeby zostawił

go w spokoju.

Ten zapadł w drzemkę. Zastanawiał się, czy podróż do Berlina się opłacała, czy warta była takiego zachodu, czy trop, jakim podążali, w ogóle prowadził do celu. Mustafa wątpił

także, czy ek-Kassar to właściwy człowiek w tej sprawie.

Owszem, jest młody i przyłączył się do ruchu, ale od blisko ośmiu lat mieszka za granicą. A jeśli on wodzi ich za nos, jeśli ich oszukuje jak cwany handlarz wielbłądów? Problemy, pytania, wszystko to przerastało ich siły, było nie do rozwiązania. Mustafa zasnął.

Obudził się — choć właściwie trudno nazwać stan, w jakim się raptem znalazł, obudzeniem; poczuł nagle silne uderzenie w głowę, które spowodowało ból a także paralizujący bezwład; od tej chwili postrzegał wszystko, co się działo dokoła niego, jak przez mgłę, jakby z oddali: przeszukiwanie ich

bagażu, nagły płomień, dym, krzyczących ludzi i zgrzyt hamulców.

Mustafę Agę Ayata i Ibrahima el-Nawawiego wyciągnięto nieprzytomnych z dymiącego wagonu. Kiedy kaszląc i dusząc się doszli do siebie, leżeli obaj na torach. Nad ich głowami syczała lokomotywa. Współpasażerowie zdusili ogień. Na pytanie, co się stało, konduktor w granatowym uniformie oświadczył, że prawdopodobnie jakaś oś się przetała. Pociąg pojedzie wolno do następnej stacji, tam wagon zostanie odczepiony, oczywiście panowie dostaną inny przedział, poza tym wszystko jest w porządku.

Pociąg powoli ruszył. Ich przedział wyglądał strasznie: porozrzucone bagaże i odzież. Ayat przede wszystkim szukał

czarnego kamienia, ale

— jak przypuszczał i co się sprawdziło — kamień znikł.

—

Inszaallah — rzekł Ayat oschle, wyciągnął z kieszeni spodni brązowy papier i podsunął el-Nawawiemu pod nos.

Ibrahim el-Nawawi, który wciąż jeszcze wykasływał sobie płuca, roześmiał się: — Ja salaam!

SYNAJ

0

wy, którzy wierzycie!

Wspominajcie dobroć Boga względem was! Oto wojska pomaszerowały przeciw wam

My wystaliśmy przeciw nim wiatr i zastępy, których wy nie widzieliście.

Bóg widzi jasno to, co czynicie!

Oto one napadły na was

ze wszystkich stron,

kiedy wasze spojrzenia się odwróciły,

a wasze serca dosięgały gardła

i zaczynaliście snuć o Bogu różne myśli.

Koran, sura XXXIII

Czas w Luksorze był dla Omara czasem nauki. U Tahy nauczył się czytania i pisania, wkrótce deklamował sury jak zawodowy recytator w meczecie. Claire, żona profesora, uczyła go języka angielskiego, a do codziennych przyjemności chłopca należało czytanie i uczenie się na pamięć nekrologów i wspomnień o zmarłych zamieszczanych na pierwszej stronie

„Times’a”; wskutek tego Omar na co dzień wyrażał się bardzo górnolotnie. Ku zaskoczeniu Shelleya chłopak wykazywał nie tylko wielkie zainteresowanie badaniami archeologicznymi, ale zdradzał niezwykle talent i nauczył się na pamięć wszystkich trzydziestu jeden dynastii aż do Aleksandra Wielkiego.

Profesor po długich przygotowaniach opracował cztery programy badawcze i zamierzał je przedstawić Egypt Exploration Fund; do programów tych należały między innymi poszukiwania dwóch grobów faraonów w Dolinie Królów. Zaplanowano je na dwa sezony wykopaliskowe i przewidziano zatrudnienie w każdym z nich po stu dwudziestu robotników.

Zapomniano już o owym strasliwym porwaniu; Omar co prawda zrezygnował z dalszych poszukiwań, ale podczas prac badawczych profesora, do których przyłączył się z entuzjazmem, wciąż natrafiał na nieprzekraczalne granice.

Intrygi, oszustwa, morderstwa należały w Egipcie do spraw codziennych i Luksor nie stanowił tu wyjątku. Państwo znajdowało się w opłakanym stanie, tylko nieliczni orientowali się, kto komu sprzyja, a kto jest czyim wrogiem.

Oficjalnie Egipt był wciąż jeszcze częścią państwa otomańskiego pod zwierzchnictwem sułtana. Jego namiestnikiem nad Nilem był kedyw Abbas Hilmi, wicekról o bardzo ograniczonej władzy. Krajem rządził premier, ale zarówno on, jak i kedyw podlegali brytyjskiemu konsulowi generalnemu, który miał wiele do powiedzenia, albowiem Egipt był od trzydziestu lat kondominium brytyjsko-egipskim.

— był w Egipcie równie zniechęcony, jak lubiany by) kedyw. Ale było wprost odwrotnie. Dumny Irlandczyk z sumiastym wąsem już jako sir- dar, głównodowodzący armii brytyjskiej, cieszył się dużą sympatią. Jako konsul generalny wykazywał wiele zrozumienia dla potrzeb prostych ludzi, przede wszystkim fellachów, którzy nie wazyli się nosić turbanów ani przyzwoitej odzieży w obawie, że okrutni urzędnicy obłożą ich takimi podatkami, jakich nie będą mogli spłacić. Kedyw natomiast, mimo swego egipskiego wychowania, albo właśnie przez nie, był egoistą, despota, intrygantem, pozbawionym sumienia człowiekiem interesu i nie cieszył się popularnością wśród ludzi. Abbas Hilmi popierał wszelkie ugrupowania polityczne i partie, jeśli tylko w jakikolwiek sposób były skierowane przeciwko Anglikom.

To, że wiele z tych partii było ze sobą skłóconych, przyczyniało się do niestabilności sytuacji politycznej.

Przed wszystkim nacjonaliści stanowili ogólny temat rozmów. Wśród nich byli umiarkowani i radykałowie, ekstremiści i terroryści. Premier Butros Pasza Gali został

zastrzelony. W ostatniej chwili udaremniono zamach na jego następcę Mohameda Paszę Saida. Uzbrojone hordy ciągnęły

przez kraj, nikt nie był przed nimi bezpieczny.

W tym okresie Omar pragnął najbardziej, aby ci wszyscy nacjonaliści

rozmaitych orientacjach pojednali się i walczyli o wspólny cel, o wolny Egipt, w którym wszyscy byliby równi wobec prawa. Profesor Shelley nie miał zbyt dobrego zdania o tych ludziach, nazywał ich podstępnyimi, skorumpowanymi, nieżyciowymi marionetkami kedywa i przepowiadał im zły koniec. Omar się nie sprzeciwiał, ale w jego sercu rosła miłość do własnego kraju, robiło mu się ciepło na sercu, kiedy myślał

o przyszłości Egiptu, która była także jego przyszłością.

Bardzo go bolało, kiedy w kawiarni „Kom Ombo” za dworcem, gdzie bywali tylko tubylcy, gdzie pili kawę, herbatę i zieloną lemoniadę

po dwóch albo po trzech palili wodne fajki, nikt nie zwracał na niego uwagi, a nawet okazywano mu nieufność; zasłaniając dłońmi usta szeptano, że to obcy, a nie jeden z nich. Przyczynił się też do tej opinii fakt, że pewnego razu podczas picia herbaty czytał „Times’a”, co tutaj uważano za prowokację, podobnie jak wywieszanie flagi brytyjskiej.

Pewnego dnia rozmowa zesłała na Jusufa, którego zabrała choroba i o którym wszyscy mówili z szacunkiem; naraz padło imię Halimy. To imię dziewczyny trafiło Omara jak uderzenie obuchem i z udaną obojętnością zawołał przez stół, czy ktoś wie, gdzie ona teraz przebywa. Wtedy umilkły wszystkie rozmowy i wszyscy spojrzeli na Omara. Gąbczasty, otyły młodzieniec, o którym było wiadomo, że gustuje w osobnikach własnej płci, wstał, podszedł do Omara, zachichotał i rzekł beczelnie:

— Patrzcie, patrzcie, tęskno mu do Halimy. —• I przysunął

przy tym swoją tłustą twarz do Omara.

Omar odtrącił pederastę; czuł, jak krew z wściekłości uderza mu do głowy, mimo to opanował się i odparł na pozór spokojnie: — Gdzie jest Halima? Czy ktoś z was wie? My się znamy •— i niemal usprawiedliwiająco dodał: — przelotnie.

—

On zna Halimę przelotnie! — zawołał grubas i zaczął rytmicznie klaskać w dłonie, a inni przyłączyli się i wołali: — On zna przelotnie Halimę, on ją zna przelotnie!

Kiedy wrzaski ustały, grubas stanął przed Omarem, wykonał kilka niezdarnych ruchów, jakby demonstrował

taniec brzucha, i powiedział:

— My tu wszyscy znamy Halimę dość dobrze. To mała kurewka. Każdy z nas już ją miał.

W tym momencie Omar stracił panowanie nad sobą, rzucił

się jak wściekłe zwierzę na grubasa, uderzył go w żołądek i zaczął dusić, aż tamtemu niemal oczy wyszły z orbit. Reszta zebranych ryczała, ale widząc, że Omar może zadusić grubasa, bo jego twarz zaczęła już sinieć, kilku odważnych rzuciło się na niego i usiłowało odciągnąć od tłuszciocha. Ale jak wąż, który wpił się w swój łup, Omar nie zwalniał uścisku, mimo iż trzech dorosłych mężczyzn szarpało go, i byłby zadusił

przeciwnika, gdyby naraz nie zaszło coś, czego się nikt nie spodziewał. Jeden z mężczyzn, który próbował oderwać Omara od grubasa, tak mocno szarpnął rękaw chłopca, że tkanina się rozerwała i odsłoniła prawe ramię, na którym było wypalone piętno.

Miało to nieoczekiwany skutek. Zarówno Omar, jak i przybyli na pomoc grubasowi mężczyźni przerwali walkę i przez chwilę trwali w zaskoczeniu. I podczas gdy grubas, z trudem łapiąc powietrze, opadł na ziemię, wszyscy jak skamieniali wpatrywali się w piętno.

W kawiarni zapanowała cisza. Omar czekał na reakcję zgromadzonych, na pytania, uwagi, na coś, co by wyjaśniło tę żalosalną sytuację, ale nic takiego nie nastąpiło. Wreszcie Omar odwrócił się i bez słowa poszedł do wyjścia, z ponurymi myślami.

Od owego dnia Omar był w Luksorze potępiony. Tak mu się w każdym razie zdawało, bo ci, których przyjaźni szukał, gdyż — jak sądził — bliski im był los Egiptu, unikali go teraz jeszcze bardziej niż przedtem. Co miał robić? Wszelkie próby porozmawiania z kimś na ten temat były daremne. Ludzie, z którymi Omar zaczynał rozmowę, odwracali się, jakby był

trędowny, i nawet ci, z którymi uprzednio utrzymywał

życzliwe stosunki i którzy nie byli świadkami zajścia w kawiarni, także go omijali.

Ton okres izolacji, która zbliżyła go do cudzoziemców bardziej niż Jo swoich. Omar wykorzystał ten czas na własne studia, przy czym profesor Shelley i jego żona pomagały mu i służyły poparciem. Przez długi czas Omar nie wspominał o zdarzeniu w kawiarni, ale kiedy po tygodniach rozmyślań nie udało mu się rozwiązać tej zagadki, opowiedział wszystko profesorowi.

Shelley początkowo nie wierzył, że właśnie piętno jest powodem tej nieufności, lecz Omar twierdził, że jest tego pewien. Było bardzo prawdopodobne, że piętno w kształcie kota jest znakiem rozpoznawczym jednej z grup nacjonalistycznych, ale to nie wyjaśniało, dlaczego właśnie Omar był w to zamieszany. Chłopiec nigdy nie mówił o polityce, a jego porwanie nastąpiło w czasie, kiedy profesor chciał ubić interes z jakimiś ludźmi, tak to w każdym razie wyglądało. Submdir Luksoru po roku przerwał

poszukiwania, niczego oczywiście nie wyjaśnwszy. Gdyby chcieli posunąć się dalej, musieliby wziąć sprawę we własne ręce. co Shelleyowi nie wydawało się bezpieczne.

Szukając jakiegoś punktu zaczepienia. Omar zaczął

opowiadać o lochu, w którym go więziono. Znajdował się on, jak mówił, gdzieś w pobliżu szlifierni kamieni, bo chłopiec słyszał szum, jaki wydają obracające się kamienie. Po rozmowie z Howardem Carterem, który opracował

kartograficzne i archeologiczne plany wsi el-Kurna, okazało się, że w pobliżu, w promieniu około dziewięćdziesięciu metrów wokół szlifierni kamieni, znajduje się siedem grobów, trzy z wolnym dojściem, cztery ukryte pod domami: wszystkie są znane i zbadane naukowo. Omar zapewniał, że swoje więzienie znajdzie na oślep, choć za dnia nigdy go nie widział.

Groby, do których był dostęp, należały do Amuna, kapłana Antefa, mędrca Hapuseneba i generała Perreseneba. Żaden z nich jednak nie miał rozmiarów ani kształtów, które mogłyby wskazywać na knjówkę Omara. Cztery obudowane wejścia prowadziły do grobów Ipuemrego, kapłana za czasów

Amenofisa III, Imsetiegi, lekarza. Duamutefa, marszałka nie znanego bliżej dworu, i Teta-Ky, mędrca z czasów XVIII dynastii. Ale po zbadaniu tych grobowców Omar stwierdził, że nie był więziony w żadnym z nich.

Rzecz jasna, że profesor uzasadniał poszukiwania w el-Kurna przyczynami naukowymi, ale mieszkańcy traktowali go z wielką nieufnością i przedsięwzięcie chyba się nie powiodło, edvbv nie przypadek.

Pewnego razu bezpański pies gonił po wsi królika. Królik wcale nie wyglądał na przerażonego, krążył bocznymi ścieżkami, stale mając psa na oku. Omar z przyjemnością przyglądał się pogoni i biegł za psem. Wtem zniknął i pies, i królik. Omar obawiał się najgorszego: ale nagle znalazł psa przed dołem zakrytym grubymi belkami. Pies warcząc, gapił się w szparę, przez którą uciekł królik.

Omar przegonił psa, podniósł jedną belkę i szukał królika.

Nie znalazł go, ale za to odkrył wykute w piaskowcu schody.

Stopnie były zniszczono, częściowo się rozpadły: prowadziły około sześciu metrów pionowo na doł do drewnianych drzwi z desek pomalowanych na zielono farbą olejną, jak w większości domów w el-Kurna. Zwykła zasuwka służyła jako zamknięcie z zewnątrz. Shelley odsunął ją i oświetlił wnętrze lampą karbidową. Koniarz z grubo ciosanych desek zakręcał

w prawo do platformy, z której następne schody prowadził)- w głąb. Omarowi trudno było wyobrazić sobie, iż to wejście prowadzi do więzienia. Pamiętał dobrze malowidła na ścianach, a jak dotąd widział tylko surowe skalne głązy.

U stóp schodów Shelley zatrzymał się, bo stopnie kończył) się tuż nad dołem, mającym około trzech metrów w kwadracie, tak głębokim, że światło lampy nie sięgało dna.

Nieosiągalna droga ciągnęła się dalej po przeciwległej stronie.

A więc dlatego wejście było zamknięte tylko na zwykłą zasuwkę.

Pomieszczenie wypełniał słodkawy zapach nietoperzy, lampa karbidowa syczała. Omar zaproponował, aby wziąć z góry jedną z belek, którymi było zaku te wejście, ale profesor przekonał go, że te deski są za krótkie, a dłuższych i tak nie dałoby się przenieść przez zakręty wąskiego korytarza. Omar bezradnie oświetlał dół; nagle blask padł na górę i chłopiec poznał potężne sklepienie, z którego zwisała lina; jej koniec był przymocowany z boku za występem muru. Lina była nowa i sprawiała wrażenie nie używanej. Profesor odwiązał ją.

sprawił, czy jest mocna, rozhuśtał nad dołem, po czym znów schwycił.

Omar spojrzał na Shelleya i chyba obaj pomyśleli o tym samym. Czy lina wytrzyma? A może to pułapka?

Niebezpieczeństwo dodaje odwagi. Omar bez słowa wyjął

profesorowi linę z ręki, raz jeszcze sprawdził, czy jest dość mocna, podciągnął się w górę i skoczył nad przepaścią.

Następnie odrzucił linę z powrotem: Shelley umocował lampę u pasa i zrobił to samo co Omar.

Kiedy uwuizali linę w miejscu najwidoczniej do tego przeznaczonym, ruszyli w dalszą drogę i dotarli do większego pomieszczenia. Na środku podłogi była dziura, obok leżała zbita z desek pokrywa, a za nią zwinięta drabina sznurkowa.

Omar nagle sobie przypomniał, jak po nieskończonej długiej samotności w mroku otworzył się właz i na dół spadła drabinka ze sznurka, a drgające światło lampy jaskrawym blaskiem oświetliło ściany lochu.

Omar zawiesił drabinkę na pokrywie, schwycił w zęby uchwyt lampy i zaczął schodzić. Shelley za nim. Na dole Omar podniósł lampę do góry.

w

—

Tak — rzekł cicho — wszystko poznaję, postaci bogów, wóz wojskowy z sześciosprychowymi kołami, a tam

— poświecił w dół — sarkofag z resztkami mumii. Tak, tu byłem uwięziony, na tym stosie trzciny leżałem. Jeden Ailah wie, jak się stąd wydostałem. Profesor Shelley wyjął Omarowi lampę z ręki, by bliżej obejrzeć sarkofag. — Jeśli mnie wzrok nie myli — rzeki, zbadawszy dokładnie znaki — znajdujemy się w grobowcu pewnego szlachcica imieniem Antef, który służył u faraona jako poskramiacz rumaków.

Zafascynowany nagłym odkryciem, Shelley nie zauważył, że Omar drży na całym ciele jak w gorączce. Dopiero kiedy na swoje pytanie profesor nie otrzymał odpowiedzi, skierował

lampę na chłopca. Omar trzymał się mocno drabinki.

Wspomnienie owego nieskończonego długiego więzienia w tym lochu było ponad jego siły; naglił do powrotu.

Kiedy znów byli na górze, Omar okrążył dom, za którym natknął się na wejście do grobowca; jego przypuszczenia okazały się słuszne: był to dom starego Jusufa.

W jakiś czas po tym odkryciu Omar leżał chory bez widocznego powodu. Nie przyjmował pokarmu, jego myśli krążyły wokół dziewczyny i niezwykle skomplikowanej sytuacji; zastanawiał się, śniąc na jawie, czy życie w ogóle ma dla niego sens. Zawsze uważał się za silnego człowieka, a tu okazało się coś wręcz przeciwnego; był słabeuszem, zdolnym co prawda znieść ból fizyczny, ale kiedy szło o cierpienia ducha, okazał się tchórzem.

Lato było bardzo upalne i Nil, mimo regularnego dopływu wody z zalewu przy tamie asuańskiej,

wylał tylko w połowie.

Omar z wdzięcznością przyjmował mokre okłady, które Nunda kładła mu na czole. Od owego zdarzenia zamienili ze sobą zaledwie kilka słów i chociaż Omar już dawno pożałował swej brutalności, trwał uparcie w powziętym postanowieniu.

Ale teraz Omar znów szarpnął Nundę, kiedy kładła mu kompres na czole, aż wydała cichy okrzyk. Jej łagodna twarz, krągłość piersi i ud spotęgowały jego pożądanie i jakby był

całkiem zdrowy, wciągnął dziewczynę do łóżka. Kiedy Nunda leżała pod nim naga, wszedł w nią dziko i gwałtownie, z niepohamowanym pragnieniem, by sprawić jej ból — to przeżycie pomogło mu zapomnieć o Halimie.

W ten dziwny sposób Omar wyzdrowiał z dnia na dzień, i to tak niespodziewanie, że sam się przeraził; uwolniony od smutnych myśli i uczuć, nie mógł zrozumieć, czemu całą swoją uwagę skoncentrował na Halimie. Przecież wierny pies i wiemy koń znaczą więcej niż tysiąc bab.

Omar miał teraz szesnaście lat; był wysokim, silnym, przystojnym chłopcem o jasnej cerze; jak wszyscy młodzi ludzie był przekonany, że

przeżył już wszystko, co na tej ziemi warto przeżyć —

pomieszanie pychy 7. głupotą, które nachodzi mężczyzn z nieuchronną regularnością. Ale wkrótce przekonał się o czymś wręcz odwrotnym. Od tygodni krążyły pogłoski, że w Europie wybuchnie wojna: Austria powstanie przeciwko Serbii, Niemcy przeciwko Rosji i Francji, Wielka Brytania przeciwko Niemcom i Turcji. Europa wydawała się taka odległa, a Egipt ukazywał oblicze sfinksa.

Był pierwszy piątek sierpnia, kiedy profesor Shelley wezwał wszystkich domowników i poważnie, jak wykładowca Koranu, oświadczył, że premier egipski podpisał 5 sierpnia dokument, który w praktyce zobowiązuje Egipt do wypowiedzenia wojny wrogom Wielkiej Brytanii. Żadnemu obywatelowi nie wolno zawierać umów z obywatelami państw będących w stanie wojny z Wielką Brytanią, żaden egipski statek nie ma prawa zawinąć do portu wroga, brytyjskie siły zbrojne są upoważnione do stosowania praw wojennych w egipskich portach i na lądzie.

Claire złożyła ręce jak do modlitwy, ale tylko chrząknęła i rzekła:

—Co teraz będzie?

Shelley wzruszył ramionami, siedział sztywno w fotelu, wzrok miał skierowany w sufit; nie odwracając głowy, powiedział: - Musisz być przygotowana na to, że każdego dnia mogą mnie powołać.

—

To znaczy...

—
Tak, to znaczy, że musimy wracać do Anglii. —

Shelley powiedział „musimy”, ponieważ teraz, kiedy groziło mu powołanie do wojska, Egipt był dla niego rajem na ziemi.

Kiedy przybyli tu przed dwoma laty, zapisywali sobie w kalendarzu, jak długo jeszcze muszą tu pozostać; ale to się szybko zmieniło. Odkąd wprowadzili się do domu, czuli się jak u siebie. I wydaje się, że w tej chwili oboje myśleli o tym samym.

—
Ja saidi — zapytał Omar nieśmiało — jeśli pan wróci do Anglii, to co będzie ze mną?

Profesor milczał. Omar rozumiał, co to oznacza. Dotąd wojna go nie dotyczyła, ale teraz i on został w nią wciągnięty, obawiał się, że z dnia na dzień znajdzie się na ulicy, bez pracy, bez dachu nad głową, i przeklinał wojnę.

Przez długie tygodnie Omar żył pogrążony w monotonii, w rozterce między nadzieją a obawą i świadomością własnej bezradności. Profesor co prawda przyrzekł mu, że zadba o jego dalszy los, jeśli będzie musiał opuścić Egipt, lecz Omar dobrze wiedział, że w czasach biedy każdy jest pozostawiony samemu sobie. I z czasem sytuacja się zaostrzyła; w kawiarniach i na ulicach ludzie się zastanawiali, co będzie dalej?

Osiemnastego grudnia na wszystkich placach miasta, przed urzędami i gmachami publicznymi pojawiły się żółte plakaty; w

„Sekretarz stanu spraw zagranicznych Jego Królewskiej Mości oznajmia, że wobec sytuacji wojennej wynikającej z postępowania Turcji Egipt znajduje się pod ochroną Jego Królewskiej Mości i odtąd stanowi część protektoratu brytyjskiego. Zwierzchnictwo Turcji nad Egiptem jest tym samym anulowane. Rząd Jego Królewskiej Mości podejmie wszelkie środki mające na celu obronę Egiptu i ochronę jego obywateli oraz ich interesów”.

Nazajutrz kedyw Abbas Hilmi, który przebywał w Konstantynopolu, został przez Anglików odwołany, księżę Hussein Kemal, najstarszy żyjący potomek książęcego rodu Mehmeta Alisa, wstąpił na tron i wolno mu było odtąd nosić tytuł sułtana Egiptu.

W drodze do Der el-Medine profesor otrzymał rozkaz stawienia się w Syrii. Tam bowiem koncentrowały się wojska tureckie i Brytyjczycy obawiali się ataku wroga na Kanał

Sueski. Dobrze się więc stało, że Omar i Shelley w drodze powrotnej do domu, którą odbywali w milczeniu, napotkali wóz armii brytyjskiej. Na dachu automobilu, toczącego się ulicami w tempie piechura, umocowana była duża tuba, z której rozlegało się głośnie wołanie niewidzialnego krzykacza, wzywającego ludzi do wstępowania do egipskiego korpusu robotniczego.

W dwa dni później Omar siedział w pociągu jadącym do Kairu.

Sądził, że oferuje jedynie swoje siły, w istocie jednak zaprzedał swoją duszę. Ale wtedy jeszcze tego nie wiedział.

Za pieniądze nawet diabeł zatańczy jak mu zagrają, a dwa funty tygodniowo to była dla szesnastoletniego chłopca duża suma. Pociąg składał się tylko z przedziałów czwartej klasy, co zresztą Omarowi nie przeszkadzało — nigdy jeszcze nie podróżował trzecią klasą — przeszkadzało mu raczej, że ochotników wpychano do wagonów jak cieleta wiezione na ubój. Dobra zapłata, darmowe wyżywienie i mieszkanie przyciągały tysiące ludzi; przybywali zewsząd — z Asuanu, Kom Ombo, z Edfu i Armantu, z Kus i Keny, a ich celem była Ismailia nad Kanałem Sueskim. Stamtąd, tak brzmiał rozkaz, miano zbudować linię kolejową przez pustynię Synaj.

W ciągu dwóch dni podróży do Ismailii ochotnicy tylko dwa razy opuszczali przedziały, zawsze w szczerym polu, by mogli załatwić swoje potrzeby fizjologiczne. Podczas jazdy przydzielano im suchary i placki ze stęchłej mąki oraz herbatę w blaszankach, po cztery sztuki na przedział.

O

spaniu nie było mowy ani w nocy, ani w dzień. Jedni śpiewali na całe gardło nieprzyzwoite piosenki, inni opowiadali sprośne kawały. Omar siedział na swym tobołku otępiały i starał się odpędzić smętne myśli. Już był gotów opuścić pociąg w Ismailii i pójść własną drogą, ale dokąd miała prowadzić?

Wczesnym rankiem na wschodzie ukazało się czerwone światło, pociąg dojechał do Ismailii. Brytyjscy pułkownicy w mundurach khaki

ostrym tonem wrzeszczeli rozkazy, których nikt nie rozumiał.

Za pomocą gwałtownych ruchów udało im się w końcu ustawić ochotników przed dworcem w kolumny po trzystu ludzi.

Na wąskich uliczkach miasta, którego niskie domki były na wpół rozwalone, wiał ostry wiatr. Przed domami stały pojemniki z żarzącym się węglem, piętrzyły się góry śmieci, panował okropny smród. Kobiety

o zasłoniętych twarzach, z dziećmi na plecach przechodziły zalęknione

1 znikwały w niskich drzwiach, inne wychodziły przed domy, uśmiechały się do mężczyzn i robiły obiecujące miny. Mali chłopcy skakali obok kolumny i usiłowali naśladować kroki ochotników. Kundle ujadają, podniecone kury rozpierzchały się. W ten sposób kolumna dotarła do olbrzymiego obozu namiotów na skraju miasta.

Dookoła placu apelowego, który otaczały rzędy brytyjskich flag, ciągnęły się w formie szachownicy ulice namiotów; namiotów było chyba ze trzysta, wszystkie barwy brudnozielonej, podłużne, pomiędzy nimi te z magazynami, zagrody z wielbłędami, mułami i osłami, wozy do wywożenia juchy przeznaczone na rezerwuary wody pitnej i —

odgródzone pionowymi plandekami — latryny.

Synaj pomiędzy Suezem a zatoką Akaba to kamienista stepowa pustynia, na południu górzysta, z wystrzelającymi w niebo szczytami, na północy krasowa, z rozległymi równinami, gdzie tylko rzadko można spotkać oazę palm daktylowych, malwy, czy jakąkolwiek inną roślinność. Jest za to dużo dzikich zwierząt, kozice, gazy, na które nocą polują hieny i szakale, oraz jadowite węże. W tej wrogiej dla człowieka okolicy temperatura spada zimą w nocy poniżej zera, w dzień natomiast słońce piecze mocno.

Mężczyźni z hałasem szturmowali namioty, jakby jeden nie był podobny do drugiego ze swym prymitywnym wyposażeniem. Płachty na piaszczystym gruncie, jedna derka na osobę, pośrodku rozkładany żelazny stół na naczynia, obciążone filcem manierki. I nagle Omar znalazł się w towarzystwie innych ludzi, przeważnie dwukrotnie starszych od niego. Chłopiec zajął legowisko tuż przy wejściu, kładąc tobolek na derce, ale to się nie spodobało wysokiemu, chudemu mężczyźnie w starszym wieku, odepchnął więc chłopca na bok i wskazał mu głową miejsce w głębi, w kącie.

Omar usłuchał. Mężczyzna ten nazywał się Hafiz, więcej nie dało się z niego wydobyć, przynajmniej na początku.

Pierwszego dnia odbył się apel na placu; pułkownik Robert Salt z pomocą egipskiego dragomana omówił warunki pracy: dziesięć godzin dziennie z łopata i motyką; norma dzienna: półtora kilometra torów. Kilku mężczyzn zaczęło pomrukiwać. Salt wyciągnął ich z tłumu i ryczał na nich tak, że tłumacz z trudem mógł nadażyć z przekładaniem jego słów. Następnie wypędził ich z obozu, pomagając sobie pejcem. Incydent ów wywarł wrażenie. Od tej chwili bano się Salta.

Jeszcze kiedy stał on na mahm drewnianym podejściu, w otoczeniu brytyjskich żołnierzy, z północy nadeszła burza.

Początkowo nawiewała nieśmiało małe tumany piasku i kurzu, potem stawała się coraz gwałtowniejsza. Ludziom zaczęły łzawić oczy. Salta jakby to nie obchodziło, starał się przekrzyczeć wiatr, oznajmił, że linia kolejowa przez Synaj wias'ciwie nie jest sprawa brytyjską, lecz przede wszystkim będzie służyła narodowi egipskiemu, i że to sprawa honoru każdego Egipcjanina móc pracować w tej pionierskiej grupie.

Kiedy kilku mężczyzn chciało otrzeć sobie piasek z oczu.

krzyknął na nich, że mają stać nieruchomo i że jeszcze mogą opuścić obóz, w razie gdyby nie mieli zamiaru podporządkować się brytyjskiej dyscyplinie. Ale ani jeden nie usłuchał jego wezwania, zresztą Salt niczego innego się nie spodziewał.

Salt, elegancki mężczyzna około czterdziestki, w mundurze szytym na miarę, z cienkim wąsikiem, wiedział, jak się obchodzić z najemnymi żołnierzami. S_\TI walijskiego księgarza miał, zgodnie z życzeniem ojca, zostać księdzem, ale w wieku osiemnastu lat musiał zdecydować: sutanna albo mundur; wybrał mundur. Jego wyniki w szkole kadetów były raczej średnie, a nawet złe, lecz Robert od początku wyróżniał

się odwagą i twardym charakterem. A ponieważ bitew nie wygrywa się głową, lecz pięścią, a poza

tym Salt nie miał na swym koncie żadnych historii z kobietami, nie pił też irlandzkiej wódki — obie cechy były wówczas ogromnie rozpowszechnione w armii — robił więc zaskakującą karierę.

Jako dziewiętnastolatek walczył z Gordonem w Chartumie, wprawdzie bez powodzenia; później, pod dowództwem lorda Kitchenera, z większym powodzeniem służył jako komendant jednostki; zaszedłby wysoko, gdyby nie padł ofiarą tajemniczej choroby, której żaden lekarz nie zdołał rozpoznać.

Salt przez dwa miesiące gorączkował i nie mógł utrzymać się na nogach, był odporny na wszelkie leki. Kiedy znów wstał —

o całkowitym wyzdrowieniu nie było mowy — był już innym człowiekiem, jego osobowość zmieniła się nie do poznania.

Kobiety' i whisky stały się treścią jego życia, ale przede wszystkim namiętność do gry w kam podążała za nim wszędzie. Grał, a długi, które zaciągnął w kasynach i u podległych mu żołnierzy', przekraczały jego miesięczne pobory. Do egipskiego korpusu robotników zgłosił się podobno na ochotnika, ale to zadanie równało się degradacji, i nie tylko — oznaczało koniec jego kariery.

Salt rycząc dokończył przemówienia. Rozkazał, aby wystąpili ci, którzy umieją czytać i pisać. Było takich około dwustu. Wtedy zapytał, który z nich mówi po angielsku tak dobrze, że mógłby przekazywać rozkazy robotnikom.

Omar się zgłosił.

— Jak się nazywasz?

— Omar Moussa. Sir.

— He masz lat?

— Osiemnaście — skłamał Omar.

Pułkownik okrążył} chłopca, obejrzał go od stóp do głów i rzekł: — Szkoła?

—

Żadna, Sir. — A kiedy spostrzegł zdziwione spojrzenie pułkownika, dodał: — Przez cztery' lata pracowałem u angielskiego profesora. Został powołany do wojska Jego Królewskiej Mości.

Omar stał sztywno, z rękami przy biodrach, jakby nie miał

na sobie galabiji, lecz brytyjski mundur; podniósł podbródek zgodnie z wymaganiami wojskowej postawy — albo raczej ze swoim o niej wyobrażeniem

— i nie ruszył się z miejsca, kiedy Salt zwrócił się do innych z tym samym pytaniem.

Pozostało około dwudziestu ludzi, którzy umieli czytać, pisać i znali język angielski. Jeden z nich

miał drewniany kikut zamiast uda, inny był kulawy, mógł się poruszać jedynie o kiju. Salt obejrzał ich niechętnym wyrokiem, następnie wykonał gest, jakby miał do czynienia z uciążliwym robactwem.

Podczas gdy reszta pchała się do namiotów, by szukać ochrony przed burzą piaskową, pułkownik zatrzymał tych.

których wybrał, aby ich poinformować o obowiązkach i dyscyplinie brygadzystów; wielokrotnie powtarzał, że także w obozie pracy istnieje obowiązek salutowania żołnierzom Jego Królewskiej Mości.

Burza ryczała, szarpała ścianami namiotów, dookoła placu trzepotały flagi, Omar czuł, jak piasek zgrzyta mu między zębami.

— Stać! — ryknął Salt, przekrzykując burzę, kiedy zobaczył, że jeden z szefegu się poruszył. Następnie przeczytał, mimo trudności, regulamin służbowy, który brygadziści mieli przekazać robotnikom, czternaście punktów dotyczących życia w obozie zezwalało strażnikom na używanie podczas pracy pałek i stosowanie kopniaków.

Drobny piasek pustynny opadał na twarz i powodował ból.

Omar zaczynał żałować, że się zgłosił, że nie przemilczał

swych umiejętności. Czuł, jak twarz mu czerwienieje, jak oczy wychodzą na wierzch i bawią, ledwo widział pułkownika.

Przez chwile miał ochotę krzyknąć i rzucić się na Anglika, by zdzielić go pięścią po twarz, chciał skończyć z tym szaleństwem, ale powstrzymał go rozsądek. Pułkownik stał z prowokującym wyrazem wyższości na twarzy, chwilami przechodzącym w sadystyczny uśmiech. Omar zdawał sobie sprawę, że Salt tylko czeka, aż ktoś wystąpi z szeregu.

Salt tymczasem jak szalony wymachiwał pejczem, by przydać swym słowom większej wagi; bardzo mu przypadła do gustu rola bohatera, który opierał się nawet burzy piaskowej, i ryczał z zapamiętaniem, jakiego nie wywołałaby nawet irlandzka wódka.

Lecz Allah karze pychę. Nagle stało się coś, czego nikt nie przewidział. Tnący, ostry głos pułkownika naraz się zmienił, dziwnie się załamał, ucichł, wydobywały mu się z gardła tylko niezrozumiałe tony, wreszcie urwał i jak stare drzewo, które długo opierało się burzy, ale w końcu jego korzenie utraciły siłę, zatoczył się i runął, nawet podczas upadku zachowując wojskową postawę. Oficerowie wciągnęli go do namiotu.

Także nazajutrz burza piaskowa nie ustała. Robotnicy buntowali się w swych namiotach, bo nie nadszedł zapas żywności. Były tylko woda i gotowany ryż, a i tego jedynie po blaszance na osobę. Mężczyźni leżeli beczynnym w namiotach, grali w kości, gadali lub próbowali zasnąć. Omar od początku miał trudne zadanie; siedział w głębi namiotu, studiował regulamin, który mu wręczono. Robotnicy nie lubili Omara. Nic dziwnego, bo jakże to, on, najmłodszy, ma im rozkazywać. Przed wszystkim w oczach Hafiza, owego chudego starucha, czytał nienawiść, kiedy ten patrzył na niego

długo i przenikliwie.

Nazajutrz burza piaskowa zelżała i od portu posuwała się kawalkada wózków i zaprzęgów mułów, transportujących podkłady i szyny. Brytyjscy inżynierowie zaczęli od wbijania w ziemię szutrową pali, które wyznaczały trasę kolei.

Wydawanie narzędzi, łopat, motyk i koszy przedłużało się, ponieważ magazyn był zasypany piaskiem. Pułkownik Salt znów oprzytomniał i wydawał rozkazy swym oficerom, ci zaś przekazywali je brygadzystom. W pośpiechu zorganizowano grupy robocze po trzysta osób.

Omar podlegał oficerowi Clarendonowi, którego z powodu jego długiego nazwiska koledzy nazywali po prostu Claire.

Był synem bogatego właściciela owczarni w Shewsbury i raczej amatorem przygód niż żołnierzem, co udowodnił w Indiach. Claire ogłaszał rozkaz dzienny, a Omar tłumaczył

jego słowa na arabski. Norma dzienna na robotnika wynosiła jeden metr sześcienny, tylko na trudnym terenie używano maszyn. Według obliczeń Brytyjczyków każdego dnia należało ułożyć jeden kilometr torów. Pierwsza zapłata miała nastąpić po dwunastu kilometrach.

Egipcjanie rzucili się do pracy z wesołymi okrzykami, ale już po kilku godzinach Omar ujrzał, że jego podopieczni co prawda dziko wymachują łopatom, ale nasyp na odmierzonej trasie długości trzydziestu metrów nie rośnie, ponieważ mężczyźni nie umieją się posługiwać łopatom. To, co nabierają na łopaty, gubią, ku swej wielkiej uciechy, zanim ładunek trafi do celu.

Omar pobiegł z powrotem do magazynu i zażądał 150

koszy, których mu jednak nie dano; każdej jednostce należało się tylko trzydzieści koszy. Po dziesięciu godzinach pracy nie wykonano nawet połowy dziennej normy i wyglądało na to, że prace przy budowie potrwać dwa razy dłużej, niż zaplanowano.

Pułkownik Salt wezwał oficerów i brygadzystów na naradę, ryczał, szalał, nazwał oficerów bandą głupców, a robotników śmierzącymi leniami i oświadczył, że każdego, kto nie wykona normy, własnoręcznie wychłoszcze swym pejczem.

—

Sir! — Omar wystąpił z szeregu brygadzystów. —

Proszę pozwolić mi na drobną uwagę.

Salt stanął przed nim i zaczął wymachiwać pejczem.

—

Sir — zaczął Omar. — Obserwowałem robotników, oni nie mogą szybciej pracować.

—
Nie mogą, nie mogą! — Salt zaśmiał się złośliwie.

— Już ja tych leni pogonię.

—
Nie — upierał się Omar. — Egipcjanie nie umieją obchodzić się z łopata. Wiem to z wykopalisk. Niech pan im da kosze, płaskie i szerokie kosze, do których będą mogli rękami nabierać piasek i kamienie, a zdwoją wysiłki.

Pułkownik Salt spojrział na Omara; jego propozycja była niezwykła, ale przemawiała do rozumu. Po chwili wahania rzekł: — Przypuśćmy, że masz rację, ile potrzeba koszy?

—
Co najmniej piętnaście tysięcy, jeden kosz na dwie osoby.

Oficer, któremu podlegał magazyn, rzekł: — Mamy tylko tysiąc koszy.

Salt ryknął: — No to załatwcie resztę!

W dwa dni później przyniesiono kosze i praca wyraźnie posuwała się szybciej, oficerowie uznali, że można podnieść normę dzienną, na razie do dwóch metrów sześciennych.

Omar protestował, mówił, że ludzie mogą się zbuntować, poza tym należy podnieść zapłatę, ale jego zastrzeżenia nie znalazły u pułkownika posłuchu.

Tory kolejowe wydłużały się. Po tygodniu liczyły już trzynaście kilometrów; można było po nich transportować dalsze dostawy, używając do tego celu zwierząt pociągowych.

Salt wydał rozkaz, aby wybudować nowy obóz w celu skrócenia drogi do pracy, a zaoszczędzony czas poświęcić kolei, co wywołało protesty robotników, którzy tymczasem przyzwyczaili się do długiej drogi.

Początkowo linia kolejowa była dla Omara tylko niejasnym, abstrakcyjnym pojęciem, niemal snem na jawie; ale teraz to przedsięwzięcie napawało go dumą, posuwanie się linii w kierunku wschodnim wzmocniało w nim poczucie własnej wartości, ponieważ brał w tym znaczny udział

i on. i jego ludzie. Na mapie, w która był wyposażony każdy brygadzysta, zaznaczał każdego dnia kopiowym ołówkiem wykonany odcinek i pokazywał robotnikom.

Omar przestał nosić galabiję, ubierał się teraz w oliwkowy strój roboczy bry tyjskiej armii, który ze swymi licznymi kieszeniami był znacznie praktyczniejszy. Gdyby wiedział, jaką reakcję tym wywoła,

nigdy by tego nie uczynił. Bo teraz różnił się już ubiorem od reszty Egipcjan, wydawał im się kimś innym, jakby ich zdradził.

Pewnej nocy Omarowi przyśniło się, że płonie namiot, w którym śpi. Śmierdzący dym spalonej impregnowanej tkaniny omal go nie udusił. Zaczął walić rękami dokoła siebie, obudził

się i spostrzegł, że to nie sen, lecz straszliwa prawda. Namiot był pusty, stosy skrzyń z narzędziami zagradzały wejście, ściany namiotu paliły się, płuca chłopca przeszywał ostry ból.

Omar czuł, że traci przytomność. W szaleńczej rozpacz rzucił się na płonąca ścianę namiotu. Ogień parzył mu twarz i łydki, ale w tej chwili plandeka z sykiem się rozdarła. Omar wypadł na dwór i z krzykiem zaczął się tarzać po ziemi.

Wszystko go bolało, a kiedy z trudem otworzył oczy, ujrzał nad sobą starego Hafiza i kilku mężczyzn ze swojej brygady.

Wściekłe, złe oczy wpatrywał się w niego w blasku ognia.

Omar ujrzał, że jeden z mężczyzn podnosi łopatę i zamierza się na niego z obłądnym wzrokiem. W obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa Omar ostatkiem sił błyskawicznie potoczył

się na bok i na czworakach powłókł się na główny plac, gdzie stały namioty oficerów. Kilku Anglików z krzykiem wybiegło mu naprzeciw. Omar jęknął coś o podpaleniu i o ludziach, którzy czyhali na jego życie, potem stracił przytomność.

Jego oparzenia okazały się nie takie groźne, jak początkowo wyglądało. Pułkownik Salt dostał ataku wściekłości, biegał po obozie, wymachiwał pejcem, walił w namioty i wrzeszczał:

— Tb sabotaż! Podła banda! Postawię wszystkich pod sąd wojenny! — Oficerowie z trudem go uspokoili.

Nazajutrz rano grupa Omara musiała się stawić na placu apelowym; Salt szedł wraz z Omarem wzdłuż szeregów.

Rękojeścią pejcza dotykał kolejno robotników i spoglądał na Omara pytająco. Omar kręcił głową. Gdy przyszła kolej na Hafiza, Omar zawahał się przez chwilę, ale potem pokręcił

głową przecząco i poszedł dalej; zachował się tak samo wobec innych, choć ich rozpoznał. Tłumaczył się, że był zbyt przerażony, by zapamiętać twarze napastników. Ta postawa, którą przyjął całkiem instynktownie, nie wiedząc dlaczego, spowodowała nieoczekiwaną zmianę wśród ludzi. Głęboka nienawiść, która nie cofa się przed zabijaniem, zamieniła się w szacunek i podziw. Może się to wydawać dziwne, ale taka przemiana często występuje u Egipcjan.

Wieczorem Omar studiował swoje plany jak gdyby nigdy nic; wtedy podszedł do niego Hafiz. Stary, który od dnia, kiedy tu przybyli, a więc od trzech tygodni, nie odezwał się do niego ani słowem, spoglądał obojętnie w płomienie, wreszcie zapytał: — Dlaczego to zrobiłeś?

Ogień, podsycany nawozem wielbłądzim, wydzielał

przenikliwy zapach, ponieważ Omar nic odpowiadał, trwało długie milczenie. Szybkość, z jaką Hafiz przesuwiał paciorki swego sznura modlitewnego, zdradzała jego niepokój.

—
Uważaliśmy cię za zdrajcę — zaczął z wahaniem —

za zdrajcę naszego narodu.

—
Bo noszę spodnie i mówię ich językiem? — Omar wskazał głową w stronę namiotów oficerów. — Pochodzę z Gizy, gdzie są wielkie piramidy, do dwunastego roku życia byłem poganiaczem wielbłądów. Potem trafiła mi się okazja towarzyszenia brytyjskiemu profesorowi do Luksoru w charakterze służącego; nauczyłem się czytania i pisania, a także języka angielskiego. Co, na brodę Proroka, ma to wspólnego ze zdradą?

Coraz więcej ludzi gromadziło się podczas tej rozmowy dokoła Omara i Hafiza; przykucali na piasku i śledzili każde słowo.

—
Nad naszym krajem — zaczął Hafiz — ciąży prawo wojenne. Oznacza to, że my, synowie Egiptu, nie mamy nic do powiedzenia we własnej ojczyźnie. To straszliwe bezprawie. Wciągnięto nas w wojnę, której nie chcemy, za wrogów kazano nam uznać narody, z którymi żyliśmy dotąd w przyjaźni. Anglicy traktują nas jak głupie, nieposłuszne dzieci, którym nauczyciel grozi batem. A przecież żyliśmy w rozkwicie kultury, zanim jeszcze Brytyjczycy w ogóle zjawili się na mapie świata.

Omar odparł: — Nie mogę temu zaprzeczyć, mnie również boli, kiedy widzę, jak się obchodzą z naszym krajem i naszym ludem. Ale wydaje mi się, że lepiej być po stronie Brytyjczyków niż po stronie Rzeszy Osmańskiej. Brytyjczycy przynajmniej dali nam sułtana i przyrzekli po wojnie niezależność.

Te słowa wprawiły Hafiza we wściekłość, oczy mu dziko błyszczały, chwycił garść piasku, cisnął w ogień i zawołał: —

To puste obietnice, a ty jesteś głupi, że w to wierzysz. Cóż to za sułtan, którego dały nam te chrześcijańskie psy. Ty nędzny drab. Co powiedział Prorok Mahomet, kiedy kilku Arabów zażądało od niego, by przez rok czcił ich bogów, a wówczas oni będą czcili Allaha? Powiedział: „O wy, niewierni, nie czczę tego, kogo wy czcicie, a wy nie czcicie tego, kogo ja czczę, i nigdy nie będę czcił tego, kogo wy czcicie, a wy nigdy nie będziecie czcili tego, kogo ja czczę. Wy macie swoją wiarę, a ja swoją!” Tak właśnie przemawiał Prorok. Anglik nigdy nie zrozumie wschodniej religii i polityki, a dla nas, ludzi Wschodu, angielska religia i polityka są niepojęte.

Siedzący dokoła ludzie kiwali głowami potakująco, a Hafiz zapytał Omara: — Czy to rozumiesz, ty

sługusie brytyjski?

Omar zerwał się, jakby chciał się rzucić na Hafiza, ale dwaj ludzie zagrodzili mu drogę, tak więc tylko krzyknął do starego: — Nie wiem, który z nas jest gorszy, ty czy ja.

Sprzedalem Brytyjczykom dobrowolnie swoją siłę, ale nie działałem wbrew swoim przekonaniom. Ty zaś, Hafi- zie, jesteś nędzną kreaturą, bierzesz pieniądze z ręki, którą najchętniej byś odrąbał.

Po tych słowach rozległy się podniecone okrzyki, z których można było wywnioskować, że Omar nie jest odosobniony w swojej opinii. W każdym razie swoją postawą zdobył sobie szacunek. Co prawda robotnicy nie traktowali go odtąd życzliwiej, ale nie musiał się już obawiać o

swoje życie.

Robotnicy pracujący przy budowie kolei posuwali się naprzód prędej, niż planowano i można było transportować dostawy po nowych torach. Dwukrotnie w ciągu dnia mała, plująca parą i ogniem lokomotywa ciągnęła tuzin wagonów towarowych przez pustynię od miejsca budowy do Ismailii i z powrotem.

Pewnego dnia w lutym na horyzoncie ukazały się od północnego wschodu ciemne obłoki kurzu; rosły coraz bardziej i przybliżały się; wśród robotników powstał niepokój.

Brytyjscy oficerowie oznajmili wreszcie, że to tureccy jeńcy w drodze do Kairu.

Spotkanie pośrodku pustyni stało się ważnym wydarzeniem.

Tysiące wynędzniałych Turków w łachmanach, zgnębionych, umęczonych, pełnych lęku przed przyszłością szło w milczeniu, mijając gapiących się na nich Egipcjan. Tu i tam rzucano nieśmiałe spojrzenie, większość jednak opuściła głowy, niektórzy mieli brudne, zakrwawione opatrunki.

Brytyjscy żołnierze na koniach pilnowali porządku w szeregach. Oni zaś szli bezwolnie obok torów na zachód i zniknęli na horyzoncie, jakby to była fatamorgana.

Omar współczuł im, zawsze był po stronie słabych —

przecież sam był jednym z nich i nie mógł wykreślić z pamięci przykrych zdarzeń. Chociaż Tlircy byli wrogami Egiptu, Anglicy zaś sojusznikami, czuł więcej sympatii dla wroga niż dla sojusznika, może dlatego, że wrogów uczyniono wrogami, a sojuszników sojusznikami z dnia na dzień. Omar walczył ze swym wyobrażeniem, że równie dobrze mogłoby być odwrotnie, że to Brytyjczycy mogliby być ich wrogami, a Tlircy sojusznikami,

trwało wiele dni, nim udało mu się na to zobojętnieć.

Wzdłuż toru kolejowego w odstępach ośmiu kilometrów zakładano obozy namiotowe, z których mężczyźni wyruszali rano do pracy. Po kolejnych ośmiu kilometrach budowano nowy obóz, ale z poprzednich likwidowano tylko co drugi, tak że wzdłuż torów co szesnaście kilometrów były miasteczka namiotowe, służące jako magazyny.

Obozów tych pilnowały niewielkie załogi.

Tim, gdzie tor przecina wzgórze Gbel el-Kasr, urządzono największy plac budowlany. Pułkownik Salt zgromadził cały oddział robotników i podzielił ich na trzy grupy. Brytyjski oddział saperów za pomocą trzech ton dynamitu przebił się przez Gebel el-Kasr. Jedna grupa usuwała odłamki kamieni, druga wyrównywała teren, trzecia układała podkłady

— po dwóch tygodniach przeszkodę usunięto i oddział

posuwał się dalej na wschód.

Omar otrzymał od Salta rozkaz, by razem z Gerrym pilnowali obozu el-Kasr, zadanie okropnie nudne; mieli do dyspozycji dziesięciu brytyjskich żołnierzy i dwa razy tyle egipskich robotników. Omar po raz pierwszy w życiu trzymał

w ręku karabin i po raz pierwszy żałował, że przyjął na siebie w obozie tę odpowiedzialność. Na trzy zmiany, po dziesięć osób obchodzili dokoła obóz zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Bardziej niż upał za dnia i chłód w nocy, bardziej niż ciężka praca przy torach dręczyła mężczyzn samotność na kamienistej pustyni i nuda; chodzili beczynn timer dokoła namiotów, palili papierosy i wbrew surowym zakazom korzystali z zapasów whisky. Nie miało sensu zawiadamiać o tym Buxtona, gdyż on sam uczestniczył w tym podkradaniu alkoholu.

Prawie codziennie dochodziło do utarczek między Egipcjanami a Brytyjczykami o to, kto ma komu wydawać rozkazy, i do bijatyk, których uśmierzenie wymagało większego nakładu sił niż same bójki. Ponieważ zachorował

kucharz, a nikt nie mógł go zastąpić, od wielu dni jedli tylko chleb, sardynki i pili herbatę, co oczywiście nie poprawiało nastroju; można rzec, że sytuacja groziła w każdej chwili wybuchem. Po masowych pogrózkach Gerry Buxton zdecydował się więc pojechać najbliższą lokomotywą na wschód, gdzie przebywał Salt, by poinformować go o powstałej sytuacji i zapobiec ewentualnym rozruchom.

Tymczasem zastępował go Omar. Gdy Buxton po dwóch dniach wciąż jeszcze nie wracał, Brytyjczycy i Egipcjanie jednogłośnie odmówili pełnienia służby i nie pomogły zakłęcia Omara. Obóz był dzień i noc otwarty, nikt go nie pilnował; karawany i pasterze kóz, którzy przypadkiem tamtędy przechodzili, mogli brać, co tylko chcieli. Trzeciego dnia Omar postanowił poszukać Buxtona. Pojechał z rana kolejną w kierunku wschodnim i znalazł go na końcu odcinka, pogrążonego w

ożywionej rozmowie z brytyjskimi oficerami, jak gdyby zapomniał o swym zadaniu. Jeszcze podczas rozmowy z pułkownikiem Saltem usłyszeli w oddali detonację i zaraz po tym uniósł się w pustynne niebo czarny grzyb.

—
Sabotaż! Sabotaż! — Salt ryczał jak zarzynany byk, pędził przez obóz, zwoływał do siebie uzbrojonych żołnierzy.

Nikt jeszcze nie wiedział, co się właściwie stało, ale pułkownik zagroził, że w razie gdyby

w

magazyn prochu pod Gebel el-Kasr wyleciał w powietrze, postawi Omara i Buxtona pod sąd wojenny.

To, co naprawdę się stało, przechodziło wszelkie przypuszczenia. Gdy pociąg zbliżył się do Gebel, maszynista zaczął dawać gwałtowne znaki do tyłu, gdzie na drewnianych ławkach towarowego wagonu zajęli miejsca Salt, Buxton i Omar. Omar wychylił się, by coś zobaczyć, ale para zasłaniała widok, dopóki stalowe monstrum nie zatrzymało się na otwartej przestrzeni.

—
Koniec trasy! — zawołał maszynista, schodząc po żelaznej drabince. Salt i pozostali poszli za jego przykładem, zbliżyli się do rozwalonego krateru, który się przed nimi odsłonił. Niczym złamane trzciny nad lejem wisały tory; lej miał sześć metrów szerokości i był chyba tak samo głęboki.

Siła eksplozji wyrwała podkłady spod szyn i cisnęła razem z kamieniami i głazami do znajdującego się tuż obok obozu, rozrywając przy tym namioty i ogrodzenie.

—
To sabotaż! — rzekł pułkownik cicho, niemal szeptem, i powtórzył to zdanie kilkakrotnie. — To sabotaż! —

Wydawało się, że te słowa w dziwny sposób łagodzą jego stan najwyższego wzburzenia, jak gdyby gromadził siły do gwałtownego wybuchu wściekłości. Ale tak się nie stało. Salt w milczeniu podszedł do krateru, odrzucił poszarpane płachty namiotowe i zaczął grzebać w odpadkach, którymi był

zasypany obóz. Nigdzie nie było śladu załogi.

Małe, zakratowane okienko celi prawie nie przepuszczało światła. Wychodziło na prześwit, także zaopatrzony w kratę.

Cele, położone tuż nad ziemią, należały do dawnych koszar na skraju Ismailii, służących generałowi brytyjskiemu Sir Archibaldowi Murrayowi jako kwatera główna.

Omar został aresztowany w Gebel el-Kasr i przez dwóch uzbrojonych żołnierzy przewieziony do Ismailii. Pułkownik Salt oskarżył go

o zdradę, nie uwierzył zapewnieniom Omara, że spisek powstał za jego plecami i bez jego wiedzy. Salt nie miał

wprawdzie dowodów, ale oznajmił, że podczas rozprawy przed sądem wojennym poda świadków. Cella miała dziesięć kroków długości i o połowę mniej szerokości, panował w niej ohydny, kwaskowaty smród, tak że Omar początkowo ledwo mógł oddychać. Podczas pierwszych dni, które spędził

samotnie w tym przygnębiającym otoczeniu, ogarnął chłopca paniczny strach przed nieuchronnym końcem. Wiedział, co to jest sąd wojenny i że wyrok może oznaczać tylko śmierć przez rozstrzelanie. Rozpacz, że jest to nieuniknione i że nie ma na to rady, doprowadziła Omara do swobodnego szaleństwa: z teatralną gestykulacją wygłaszał mowy obronne, recytował

głośno sury Koranu, które mówiły o sprawiedliwości boskiej, jak go nauczył

Taha. Nie przyjmował pożywienia, które mu podawano dwa razy dziennie przez okienko w drzwiach, nie z uporu czy protestu, lecz dlatego, że nie był w stanie nic przełknąć.

Czwartego dnia więzienia, kiedy był już bliski załamania, nagle otrzymał w celi towarzysza. W bladym świetle, padającym przez wysokie okno z mleczną szybą, rozpoznał

ciemną, wynędzniałą twarz Egipcjanina; nie był to na pewno chłop ani pastuch, raczej jakiś urzędnik.

Omar wyciągnął rękę do nowo przybyłego i rzekł

życzliwie: — Nazywam się Omar. — Ale tamten zlekceważył

jego powitanie i bez słowa odwrócił się do niego plecami.

W nocy Omar ocknął się; nic nie widział. Nowy trzymał go za ramię i mocno nim potrząsał. — Hej! — zawołał cicho. —

Coś ci się śniło, gadałeś straszne bzdury!

Omar wymamrotał jakieś usprawiedliwienie i z obawą wpatrywał się w mrok.

— Gadałeś coś o dynamicie — rozległ się głos w ciemności.

— Wołałaś: wysadzę was wszystkich w powietrze!

—

Nie wiem — skłamał Omar.

—
Nazywam się Nagib ek-Kassar — rzekł nieznajomy.

— A ja Omar Moussa — odparł Omar, po czym zapanowało długie milczenie. Wreszcie Omar zebrał się na odwagę i rzekł cicho: — Brytyjczycy zarzucają mi sabotaż.

Uważają, że jestem odpowiedzialny za wysadzenie w powietrze nowej linii kolejowej przez Synaj...

Nagib zagwizdał przez zęby, zabrzmiało to niemal jak uznanie. — Ico?

—
Co znaczy „i co”?

—
Pytam, czy to prawda.

— Oczywiście, że nie! — zawołał Omar oburzony, i w tej samej chwili przyszło mu na myśl, że ten mężczyzna to szpicel, który chce go wysondować. — A ty? — zapytał z ciekawością.

— Szpiegostwo — odparł ek-Kassar i znów zapanowało długie milczenie.

—
Co szpiegowałeś? — zapytał Omar.

— Nic! — zawołał podniecony Nagib ek-Kassar. —

Rysowałem mapy Raszid i Sakkary, archeologiczne mapy. Nie wiedząc o tym, byłem pod obserwacją Brytyjczyków.

—
Archeologiczne mapy, powiadasz?

—
Jestem archeologiem. Studiowałem w Berlinie. Gdy wybuchła wojna, musiałem wrócić do Egiptu. Omar usiadł i — spoglądając w mrok — zastanawiał się, czy może zaufać obcemu i powiedzieć mu, że pracował z profesorem Shelleyem, ale był zbyt podejrzliwy wobec współwięźnia.

—
Nie mają prawa tak nas traktować — grzmiał

tamten. — Banda zaborców. Ale nadejdzie czas, kiedy...

—
Ciszej — upominał go Omar. ■— Straże nasłuchują nocą pod drzwiami.

Podczas rozmowy, która trwała całą noc, Omar nabrał

przekonania, że ek-Kassar mówi prawdę, że nie jest brytyjskim szpiclem. Mimo to postanowił zachować ostrożność. Nienawiść, jaką Nagib okazywał Brytyjczykom, mogła być pułapką.

Po tygodniu wspólnej niedoli obaj z wolna zaczęli nabierać do siebie zaufania. Bardzo pomocne były tu owe nieskończone długie noce, kiedy nie mogli siebie nawzajem widzieć, tylko słyszeli swoje głosy. Słowa wypowiedane w ciemności, bez żadnych gestów i mimiki, miały bardziej intensywne wymowę. Kiedy Nagib zaczynał w nocy mówić, wpadał w niepohamowaną wściekłość na Brytyjczyków i wszystkich kolonizatorów, używając przy tym tak przekonujących argumentów, że Omar pozbył się wszelkiej nieufności i uwierzył w szczerść towarzysza niedoli.

Nagib, w przeciwieństwie do Omara, który popadał w coraz większe przygnębienie, czerpał siłę ze swych radykalnych przekonań. Omar podziwiał jego postawę. Nagib pocieszał

Omara, że nie powinien się bać przyszłości; on, Nagib, ma wielu przyjaciół, którzy nie dopuszczą, by spadł mu włos z głowy; Omar może na nim polegać.

Omar nie wierzył przekonującym słowom Nagiba, uważał

je tylko za pocieszenie w sytuacji bez wyjścia. Ale potem, pewnej nocy zdarzyło się coś dziwnego. Omar się obudził, zdawało mu się, że ktoś puka do zakratowanego okna celi.

—
Nagibie, Nagibie! — szepnął. — Słyszysz?

—
Tak — odparł Nagib.

—
Co to znaczy?

—
Skąd mam wiedzieć? Nie jestem Allahem.

Pukanie się powtórzyło; było teraz głośniejsze.

—

Wstań — szepnął Nagib. — Stań plecami do ściany i skrzyżuj ręce.

Omar po omacku doszedł do ściany i uczynił, co mu kazano. W ten sposób Nagib dosięgnął okna i wysunął rygiel, a dwie połowy okna otworzyły się na zewnątrz.

—
Co się dzieje, Nagibie? — zawołał Omar z dołu niecierpliwie. Ciężko mu było dźwigać towarzysza. Słyszał, jak Nagib czymś manipuluje, i zapytał nieśmiało: — Jak długo mam cię jeszcze tak trzymać?

Nagib zaśmiał się i Omar najchętniej by go upuścił na ziemię za to, że ten nie odpowiedział, ale po chwili usłyszał

jego głos: — To wcale nie takie proste przeciągnąć butelkę przez kratę. No, teraz na dół!

— Co się dzieje? — Omar powtórzył pytanie, kiedy Nagib zeskoczył na ziemię.

—
Ktoś nam przysyła coś do picia na noc.

—
Co takiego?

—
Tak. Pod oknem na sznurku wisiała ta butelka. —

Nagib wcisnął ją Omarowi do ręki.

—
Butelka? Co to ma znaczyć? — Omar oddał z powrotem butelkę.

Nagib wyciągnął zębami korek i rzekł pewny siebie: —

Przecież ci

mówiłem, że mam wielu przyjaciół. — W ciemności słychać było, jak Nagib pije. — Whisky — szepnął zadowolony —

irlandzka whisky.

Omar oniemiał. Milczał nawet wówczas, kiedy Nagib wcisnął mu butelkę do ręki, aby też się napił. Powąchał

butelkę, ale zemdlilił go zapach, więc oddał ją, nawet nie spróbowałszy, i położył się na pryczy.

Nagib rozkoszował się whisky jak narkotykiem, którego od dawna był pozbawiony, i wydawał pomruki zadowolenia. A ponieważ przeszkadzało mu milczenie Omara, zaczął

wygłaszać monolog na temat przyjaźni i przyszłości Egiptu.

Kiedy w swej euforii stawał się zbyt hałaśliwy, Omar starał się go uciszyć.

Już myślał, że alkohol uspił Nagiba, ale ten zaczął szeptem wychwalać Sa'ada Zaghlula, przywódcę egipskich nacjonalistów, i ich wspólną sprawę. I za każdym razem, kiedy na korytarzu rozlegały się głośne kroki strażników, Omar musiał zaciskać usta pijanemu. Gdy wracał na pryczę, która stała się częścią jego życia, słuchał Nagiba, nawet po pijanemu wygłaszającego całkiem sensowne poglądy, mianowicie że Egipt należy do Egipcjan, do nikogo innego, i że Brytyjczykom los Egipcjan w tej wojnie byłby całkowicie obojętny, gdyby nie chodziło o Kanał Sueski i drogę morską do Indii. Nad ranem, kiedy przez okno wpadło pierwsze światło, Nagib stawał się coraz bardziej ociężały, coraz częściej milkł i wreszcie zasnął.

Jeszcze przed porannym apelem Omar usiłował schować butelkę, wpadł na pomysł, żeby wsadzić ją do cynowego wiadra, służącego im za kibel. Obejrzał przy tym butelkę ze wszystkich stron i zrobił dziwne odkrycie. Na odwrotnej stronie etykiety, widocznej tylko przez szkło butelki, narysowany był kot, dokładnie taki sam, jak piętno na ramieniu Omara.

Omar się przeraził. Co to miało znaczyć? Spoglądał na śpiącego towarzysza i słuchał jego ciężkiego oddechu. Omara trudno było przestraszyć, ale w tej chwili żałował, że zgłosił

się wtedy do pracy na ochotnika. Butelka w jego rękach drżała, Omar czuł, że oblewa go zimny pot. Przez drzwi słyszał kroki wartownika i wołanie: — ApeJ poranny! —

Nagib spał mocno.

Kiedy Omar usłyszał przekręcanie klucza w zamku, szybko ukrył butelkę pod materacem. Oświadczył oficerowi dyżurnemu, że Nagib jest chory, całą noc miał bóle żołądka, i żeby mu dali spokój. Po skąpym śniadaniu — herbacie z kromką czarnego suchara — i po apelu Omar w rócił do celi.

Nagib rzeził, był to dość przykry odgłos.

Z rękami założonymi na karku Omar wpatrywał się w sufit, gdzie pożółkła farba olejna odpryskiwała kawałkami. Minęło prawie pięć lat od owego dziwnego porwania, w wyniku którego omal nie stracił życia i które dotychczas nie zostało wyjaśnione. Omar zapomniał już o owym zdarzeniu; pozostawiło ono wiele śladów, które niczego nie wyjaśniały.

A właściwie nie tyle zapomniał, ile starał się usunąć je z pamięci; wszelkie dalsze poszukiwania wydawały mu się bezsensowne, a nawet niebezpieczne; uznał, że najlepszym sposobem na uzdrowienie jest niewiedza. Być może padł

ofiara pomyłki, może wzięto go za kogoś innego, co i tak nie wyjaśniało, jaką rolę w całej sprawie odegrali Jusuf i jego córka Halima.

Halima —więc jeszcze nie zapomniał tej dziewczyny.

Dlaczego dręczyło go rozczarowanie, że ona go zawiodła, że swoją sympatią chciała odwrócić jego uwagę od wydarzenia, które rozgrywało się za jego plecami. No tak, był wtedy młody i niedoświadczony, ale nie mógł uwierzyć w taką przewrotność. Obojętne, z jakiego powodu musiała zniknąć tej nocy, na pewno nie uczyniła tego dobrowolnie. Może i ona była w zagadkowy sposób uwikłana w spisek, tak jak on, w każdym razie jej zniknięcie nie upoważniało go do potępiania dziewczyny.

To wszystko przyszło Omarowi na myśl, kiedy tak leżał i słuchał ciężkiego oddechu Nagiba. Nie spodziewał się, że właśnie tutaj, w tym więzieniu, dopadnie go przeszłość. Jaki był związek pomiędzy okupantem brytyjskim a lochem pod domem Jusufa, pomiędzy nim a Nagibem, i czy w ogóle zachodził jakiś związek? Może to po prostu sprawa przypadku? Omar przypomniał sobie słowa profesora, który powiedział kiedyś, że najważniejsze odkrycia ludzkość zawdzięcza nie nauce, lecz przypadkom.

Jak ma się zachować w tej sytuacji? Czy ma ukryć butelkę i przemilczeć swoje odkrycie? A może powinien zagadnąć Nagiba i zażądać wyjaśnienia, jakie znaczenie ma symbol kota? Omar nie wiedział, co zrobić, i im bardziej starał się rozplątać kłębek faktów, pytań, niejasności, tym mniej był w stanie zebrać myśli w logiczną całość.

Nagle Omar doznał olśnienia; jeszcze przed chwilą myśl ta byłaby dla niego nie do przyjęcia. Wstał, ujął ramię śpiącego towarzysza i podciągnął w górę rękaw jego szarej bluzy.

Bywają w życiu sytuacje, kiedy coś oczekiwanego przejmuje nas większym strachem niż coś niespodziewanego. Omar spodziewał się,

że na ramieniu Nagiba ujrzy piętno identyczne z tym, jakim sam był naznaczony. Ale teraz, kiedy je zobaczył, ogarnęła go groza. Z obawy, że odkrył coś zakazanego, puścił ramię Nagiba. Ten się obudził.

Omar najchętniej uciekłby gdzieś, gdzie byłby bezpieczny, ale znajdował się w celi, za drzwiami obitymi żelazem, pilnowany przez strażników. Czuł się zbyt słaby, by się poddać i czekać cierpliwie na rozwój wypadków. Dlatego wyciągnął butelkę spod materaca i podsunął Nagibowi pod nos.

Ten się cofnął, nie wiedział, co ma znaczyć gest Omara, ale chłopiec nakazał mu, aby sobie bliżej obejrzał butelkę. Nagib wyszczerzył zęby. W ciągu tygodni spędzonych wspólnie Omar nigdy nie widział, by Nagib się uśmiechał. Ale Nagib milczał i to milczenie doprowadzało Omara niemal do szaleństwa. Pochylił się do Nagiba, odsłonił swoje ramię i pokazał mu piętno.

Ten zerwał się jak oparzony i nie wierząc własnym oczom, przejechał dłonią po twarzy, z trudem chwytając powietrze.

Thwało długą chwilę, zanim był zdolny cokolwiek powiedzieć.

Wreszcie baknął: — To niemożliwe. To nie może być!

Omar spoglądał na Nagiba surowym wzrokiem. Chociaż nie wiedział, co się stanie za chwilę, nagle znikł jego strach.

Rozkoszował się niepewnością, jaką wzbudził w towarzyszu niedoli, choć to wcale nie było logiczne, bo Nagib znał

powiązania, on zaś nie.

Czy ma się przyznać, że nie wie, w jaki sposób to piętno znalazło się na jego ramieniu? Ale to wydało się w tej chwili mało wiarygodne. Milczał więc i postanowił wytrwać w milczeniu jak najdłużej.

Nagib potrząsał głową. — Oto dwaj ludzie siedzą od dwóch tygodni we wspólnej celi i nie wiedzą, że obaj należą do Tadamana.

Tadaman? Omar nigdy nie słyszał tego słowa, ale właśnie teraz nie miał zamiaru się do tego przyznawać. Najpierw chciał się dowiedzieć czegoś więcej o tej organizacji.

— Skąd przybywasz? — zapytał Nagib.

— Z Luksoru — odparł Omar krótko.

—

Bardzo dobrze. Tadaman potrzebuje wszędzie swoich ludzi. Zobaczysz, oni nas stąd wydostaną.

— Jesteś pewien?

Nagib skinął głową. — Najzupełniej. Ta butelka to był

znak. Oni wiedzą dobrze, gdzie jesteśmy, i dają nam znak, żebyśmy się nie martwili.

— Butelką whisky?

—

Tik. — Nagib, zmieszany, spuścił wzrok. — Oni wiedzą, że wolę whisky niż herbatę, rozumiesz?

Omar rozumiał. Ale nie podzielał optymizmu Nagiba. Kto miał ich uwolnić z brytyjskiej kwatery głównej i w jaki sposób? Ale przede

wszystkim zastanawiał się, jak ludzie Tadamana zareagują, kiedy nagle odkryją, że jest ich tu dwóch?

—

Od początku ci nie wierzyłem — zaczął Nagib od nowa. — Wysadzenie linii kolejowej — moje uznanie, to majstersztyk.

Omar milczał.

—

Majsterszyk — powtórzył Nagib z uznaniem. —

Gdyby nie nasi ludzie, z pewnością kosztowałoby cię to głowę. Ale możesz być pewien: Oni nas uwolnią!

—

W dobroci Allaha! — mruknął Omar i aby zmienić przykry temat, rzekł: — Ja także ci nie wierzyłem, kiedy powiedziałaś, że sporządzałaś mapy archeologiczne. Mapy archeologiczne, śmiechu warte!

Nagib przybrał poważny wyraz twarzy. — Możesz się śmiać, ale ten śmiech utkwi ci w gardle, jak się dowiesz, o co chodzi.

Ja salaam — Omar podszedł do drzwi i nasłuchiwał. —

Wszystko w porządku, możesz mówić.

—

Przysięgnij na Allaha Miłosiernego, że nigdy nie piśniesz ani słówka o tym, co ci teraz powiem, bo zapłacisz życiem.

—

Przysięgam na Allaha Miłosiernego.

—

Należysz teraz do Tadamanu i jako jego członek masz prawo wszystko wiedzieć.

Omar skinął głową. Nagib zaczął z poważną miną:

—

Na przełomie stulecia przybył do Egiptu pewien brytyjski profesor, nazywał się Edward Hartfield i był znanym archeologiem. Miał sławę geniusza językowego, bo znał nie tylko wszystkie współczesne języki, był także znawcą hieroglifów, pisma hieratycznego, demotycznego, hebrajskiego, hetyckiego, babilońskiego i aramejskiego, po prostu geniusz, jaki rodzi się raz na kilkadziesiąt lat. Ten Hartfield za pozwoleniem rządu w Sakkarze zaczął

poszukiwania grobu Imhotepa...

—

Imhotepa? — Na dźwięk tego imienia Omara jakby przeszła błyskawica, poczuł, jak prąd idący od mózgu ogarnia i paraliżuje jego ciało. Z jego pamięci wyłoniły się urywki wspomnień: na kartce w opuszczonym pokoju dziennikarza Carlyle'a był napis „Imhotep” (dwukrotnie podkreślony, nic poza tym); profesor Shelley opowiedział mu o poszukiwaniu Imhotepa. Co, na brodę Allaha, miał

wspólnego Nagib, a także on sam z Imhotepem? Jakimi zawikłanymi drogami zdążają próby wyjaśnienia niezrozumiałych zdarzeń?

—

Czy wiesz, jakie znaczenie miał Imhotep? — zapytał

Nagib.

Omar skinął głową.

—

Początkowo — ciągnął dalej Nagib — badania Hartfielda wzbudzały więcej sensacji niż prace innych archeologów. W tym zawodzie często spędza się całe życie na poszukiwaniu czegoś konkretnego, by potem znaleźć coś całkiem innego, czego się nikt nie spodziewał. W przypadku Hartfielda sprawy wyglądały inaczej. Dokonał on licznych odkryć, tak ważnych jak odkrycia Mariette'a, Maspera i Petriego, ale te znaleziska najwidoczniej nie interesowały upartego badacza. Powiadano, że natrafił na groby III dynastii, ale z obawy, że odciągną go one od właściwego przedmiotu badań, z powrotem je zasypał. Oczywiście to dziwne zachowanie nic pozostało w ukryciu. Służba Starożytności w Kairze, a nawet policja rozpoczęły śledztwo; nie udało im się jednak dowiedzieć Hartfieldowi niczego nielegalnego. A kiedy Carter zapytał go o właściwy powód jego działalności, odparł, że szuka grobu Imhotepa, a to chyba wystarczający powód.

Ludzie pracujący dla Hartfielda zarabiali dobrze, w każdym razie lepiej niż przy innych wykopaliskach w kraju; dlatego było prawie niemożliwe zdobycie od nich bliższych informacji o działalności profesora. Nikt nie chciał stracić pracy. Z

biegiem czasu wyszło na jaw, dlaczego Hartfield kieruje swoje zainteresowania na grobowiec Imhotepa. Mówiąc ściślej, były trzy wersje. Pierwsza głosiła, że w grobowcu Imhotepa zgromadzone są największe w dziejach ludzkości zapasy złota; według drugiej wersji grobowiec zawiera dokumenty z całą ówczesną wiedzą, w tym wiadomości, które nie dotrwały do naszych czasów i które odkrywcy zapewnią potęgę i władzę nad całym światem.

—

A trzecia wersja? — zapytał Omar podniecony.

—

Trzecia wersja głosi, że Imhotep zabrał do grobu całe złoto i wiedzę ludzkości.

Omar wydawał się zaskoczony, z trudem usiłował

uporządkować myśli i skonfrontować to, co usłyszał, z własnymi doświadczeniami, doprowadziło to jednak tylko do jeszcze większego zagmatwania. — Ale to wszystko —

odważył się rzec — są tylko przypuszczenia. Czy może istnieją dowody? Jakie dowody ma ten profesor? Niech je przedstawi.

—

Już niestety nie może.

—

Dlaczego nie? Co to ma znaczyć?

—

Hartfield znikł. Jakby się ulotnił.

—

Bzdura! — odparł Omar zirytowany. — Brytyjski profesor nie może tak po prostu zniknąć. Może wrócił do Anglii, bo zrezygnował ze swego przedsięwzięcia, a może coś znalazł i nie chce ujawnić swego odkrycia. W każdym razie nie mogę sobie wyobrazić, że jakiś profesor nagle wyparował.

Przecież zatrudniał robotników przy wykopaliskach i ci ludzie mogą powiedzieć, gdzie ostatnio przebywał.

Nagib ruchem ręki powstrzymał podniecenie Omara. —

Tik, oczywiście, dzień zniknięcia Hartfielda jest dokładnie znany. Widziano go ostatnio wieczorem dziewiątego ramadanu w pobliżu Raszid. Potwierdzają to dwaj jego ludzie.

Od tego dnia ślad po nim zaginął.

Dlaczego w Ras/id? Raszid położono jest przeszło sio mil od Sakkary. Czego Hartfield szukał w Kas/id?

- Posłuchaj, mój dropi. W Raszid archeolodzy dawni' temu natrafili na siarę archiwum kapłanów. Po tego archiwum należał między innymi .wpisany kamień, który odkryli

/ohior/e Napoleona; kamień stał się kinezom do odcyfrowania hieroglifów. W większość spośród niezliczonych kamiennych płytok była jednak połamana, z niektórych pozostały tylko odłamki wielkości palca; syzyfową pracą byłoby zestawienie z nich ważnych historycznie dokumentów. Ale nawet gdyby jakiś instytut wyraził gotowość podjęcia się tego zadania, szanse powodzenia byłyby minimalne, bo w Raszid tymczasem archeolodzy z całego świata prowadzili poszukiwania i zabierali

ze sobą pozornie bezwartościowe odłamki. Fragmenty to trafiły do muzeów i magazynów Londynu, Berlina, Paryża, może nawet Nowego Jorku, i ci, co ich pilnują, prawdopodobnie nawet nie wiedzą, jakich skarbów strzegą. Ale wróćmy do Tarttielida. Prawdopodobnie miał on w rękach najważniejszy odłamek, który dał mu wskazówkę dotyczącą grobu Imhotepa i jego tajemniczej zawartości; ale ta informacja nie była wystarczająca, by doprowadzić go do owego grobu. Dlatego też pojechał do Raszid szukać dalszych odłamków.

—
O Boże! — Omar był wyraźnie zaskoczony. W

milczeniu przemyślał wszystko, co Nagib mu opowiedział; ogarnął go przy tym podziw dla tego zapijanego nacjonalisty. Jego tłumaczenie było całkowicie przekonujące i wiarygodne, chociaż Omar nie rozumiał powiązania pomiędzy tajnym związkiem a poszukiwaniami grobu Imhotepa. Co prawda jedno nic wykluczało drugiego, ale nie miało sensu; dlatego Omar rzekł:

— Jednego nie rozumiem. Co ty masz wspólnego z tą całą sprawą. Mam na myśli, skąd to wszystko wiesz?

Nagib się roześmiał. — Słuszne pytanie, chociaż odpowiedź

sama się narzuca. Omarze, jeśli to prawda, czego profesor się dowiedział, mianowicie że ten, kto znajdzie grób Imhotepa, zdobędzie władzę nad światem, wtedy nic wolno nam, Egipcjanom, dopuścić, aby odkrycia dokonał ktoś obcy. Ten skarb należy do nas, synów Nilu, a nie do Anglików, Niemców, Francuzów czy Amerykanów; tylko do nas, rozumiesz?

— Może masz rację, Nagibie. Ale czy inni nie próbują odkryć tej tajemnicy?

— Trudno powiedzieć, ilu ich naprawdę jest. Jestem jednak pewien, że Brytyjczycy bardzo się o to starają. Tylko tak tłumaczę sobie moje uwięzienie. Zarzut szpiegostwa to tylko pretekst, by oddalić mnie od Sakkarv. Poza tym istnieje także grupa zawodowych rabusiów grobów w Luksorze, którzy w tajemniczy sposób trafili na ślad Imhotepa.

— Kim są ci ludzie ?

Ich przewodcy to Mustata Aga Ayat i Ibrahim el-Nawawi.

jeden jest konsulem brytyjskim, drugi szefem policji i submudirem Luksoru.

Oni?

/nasz ich?

lak, aż za dobrze. Jesteś tego pewien . ?

Całkowicie. Popelnili tę nieostrożność, że mnie nie docenili, myśleli, że Nagib to głupi, zapiany nicpoń, którego można wykorzystać do swoich machlojek.

Zapójaczoney owszem, ale głupi to Nagib nie jest. na Allaha. W

każdym razie przy ponuwy tej bandy udało nam się dojść do fragmentu owej złowróźbnej tablicy. Aval i el-Nawawi w bez-czelny sposób przywłaszczyli sobie w Berlinie ten fragment wąskiego czarnego kamienia z. demotycz.nym pismem.

Mieszkałem wówczas w stolicy Prus; za parę nędznych marek kazali mi przcthimaczye tekst. Przetłumaczyłem im prawidłowo, wydawało mi się zbyt ryzykowne oddać fałszywie tekst. Wcześniej czy później by si«,* to wydało i wzbudziło nieufność do mnie. Ale obaj nic wiedzieli jednego; że zrobiłem sobie kopię tłumaczenia.

Jeśli cię dobrze rozumiem, Nagibie, to dotychczas odnaleziono trzy fragmenty owego dokumentu, który wskazuje na Imhotepa Jeden znajdował się yv posiadaniu I lartticlda i — pow iedzmy to jasno przepadł, drugi jest w posiadaniu Agi Ayata. trzeci zaś był przechowywany w Berlinie, tymczasem jednak także dostał się w ręce Agi. Ib znaczy , ze konsul brytyjski dysponuje obecnie większością informacji.

To jest logiczne rozumowanie, ale błędne. Pomysł

tylko; Jedy ny motyw Mustafy to pieniądze, chodzi mu ty lko o to. by odnaleźć złoty skarb, i którego — zgodnie z prawem

— przypadłaby mu połowa. Motywy Tadantana natomiast są uczciwe. Żaden z nas nie wyciągnie materialnych korzyści z.

tego odkrycia. Jeśli znajdziemy Imhotepa, korzyści z tego będzie miał nasz kraj, nasz naród. My wszyscy pracujemy z narażeniem życia dla wspólnej sprawy. Mustafa Aga Ayat już dawno nie posiada swego fragmentu. Przechowujemy go w tajnym miejscu.

Ale on zna treść, chyba ma jakąś kopię.

Na pewno. Ale Tadaman wcale nie wie mniej niż konsul Ayat.

A co wy nika z obu fragmentów , których treść znasz?

Za mało, by wyciągać wnioski. Wspomina się tam o kapłanach z Mcmtis, o grobach boskiego Imhotepa i faraona Dzoscra; poza tym są to tylko pojedyncze słowa bez związku, więc nie wynika z

nich żaden sens. Mowa jest tam o piasku, o tajemnicach ludzkości. o nocy. o jakimś płynie, lo wszystko robi tym więcej zamieszania, im dłużej się tym zajmujemy.

Czy profesor Hartfield znalazł te fragmenty ?

—
Sądzę, że to niemożliwe. Hartfield miał chyba własny fragment, który naprowadził go na trop Imhotepa.

—
Ale to przecież oznacza, że kto w jakikolwiek sposób zdobędzie kawałek kamienia Hartfielda, ma najwięcej szans na znalezienie Imhotepa?

—
Chyba tak można powiedzieć. Można też sądzić, że dokument Hartfielda jest stracony.

Omar się gorączkował. — Nie wierzę w to. Zniknięcie Hartfielda to na pewno nie przypadek. Jest tylko logiczne, że jego zniknięcie wiąże się z tym dokumentem. Ktoś go sobie przywłaszczył i musiał w tym celu usunąć profesora. A więc fragment jeszcze istnieje; sądzę nawet, że przechowuje się go jak skarb.

Nagib długo się zastanawiał, potem rzekł: — Mądry z ciebie człowiek, Omarze, jesteś godny Tadamana.

—
Dla mnie nie ulega najmniejszej wątpliwości —

odparł Omar — że Hartfield stał się ofiarą ludzi, którzy znali jego tajemnicę, i by zdobyć kamień, usunęli profesora. Ale pytam, kto to mógł być? Kto znał plan Hartfielda? — Omar spojrzał na Nagiba.

Ten zrozumiał jego spojrzenie i zaczął dziko wymachiwać dłonią: — Wiem, o czym teraz myślisz; ale jesteś w błędzie.

Tadaman nie ma nic wspólnego ze zniknięciem Hartfielda.

Gdyby zamieszani byli w to nasi ludzie, to bylibyśmy w posiadaniu tego fragmentu i posunęlibyśmy się kawałek dalej.

Tłumaczenie Nagiba brzmiało przekonująco. Lecz Omar nie mógł zrozumieć, że nie ma ani jednej wskazówki dotyczącej Hartfielda. Drażył więc dalej: — Mówiłeś, że znany jest dzień, kiedy Hartfield znikł. Więc są chyba ludzie, którzy razem z nim pracowali.

—
Oczywiście, że są.

—
Czy ktoś ich pytał?

—
Tak. Jeden z naszych ludzi.

—
I czego się dowiedział?

—
Niczego.

—
Niczego! To niemożliwe. Przecież musiał zdobyć jakąś wiadomość, jakiś znak, wskazówkę dotyczącą zachowania się profesora, musiał wykryć jakiś ślad, który po nim pozostał.

—
Nie.

—
I zadowoliliście się tym?

—
Tak. A co mieliśmy robić?

—
Omar potrząsnął głową. — Szukać dalej. Kim był ten człowiek?

—
Nie wiem, zapomniałem jego imienia, ale to pewny człowiek, oddany i wiemy Tadamanowi.

Rozmowa obu więźniów ciągnęła się do późnej nocy.

Leżeli w ciemności na pryczach i mówili, przerywając tylko wówczas, kiedy rozlegały się kroki strażnika, który z dokładnością zegara zbliżał się do drzwi, a następnie oddalał.

Ale podczas gdy regularny rytm zegara zazwyczaj stwarza wewnętrzny spokój, precyzja brytyjskiego strażnika w więzieniu kwatery głównej w Ismailii powodowała wręcz przeciwne uczucia. Każdej nocy był to ten sam strażnik w tych samych podkutych butach, które odmierzały tę samą drogę, co sprawiało bardzo nieprzyjemne wrażenie. Można było policzyć kroki rozlegające się w korytarzu, czterdzieści siedem w jedną, dwadzieścia sześć w drugą stronę od ich celi.

Rytm ten był tylko rzadko przerywany i wówczas Omar nasłuchiwał niespokojny, co się mogło stać. A przecież korytarz brytyjskiego więzienia w nocy jest jednym z nielicznych miejsc, gdzie na ogół nic się nie dzieje, a nagłe zatrzymanie się strażnika mogło być spowodowane odwróceniem uwagi lub na przykład swędzeniem nogi.

Omar był gotów uwierzyć Nagibowi i planom Tadamana uwolnienia ich z więzienia, ale im dłużej przebywał w celi, tym bardziej narastał jego strach. Wiedział, jak wygląda sąd wojenny: odbywa się w szybkim tempie, nie ma czasu na gromadzenie świadków, a wyroki wykonuje się jeszcze tego samego dnia. Nagib mógł sobie mówić; szpiegostwo na jego odcinku pracy nie mogło przynieść większych szkód wojskom Jego Królewskiej Mości, natomiast przestępstwo, o które oskarżano Omara, jeśli zostanie udowodnione, będzie zaliczone do kategorii przestępstw ciężkich. Poza tym podczas codziennych spacerów na podwórzu mówiono, że wojna zbliża się ku końcowi, że Niemcy, Rosja, Austro-Węgry i Rzesza Osmańska poniosą klęskę, Brytyjczycy natomiast odniosą wielkie zwycięstwo, co — zdaniem Omara — mogło grozić tym, że Thdaman zrezygnuje z planów ich uwolnienia, Brytyjczycy zaś postarają się, by wszyscy więźniowie ponieśli zasłużoną karę.

Kiedy Omar stracił już wszelką nadzieję, obudził się w nocy, ponieważ strażnik, chodząc pod drzwiami, wypadł ze swego monotonnego rytmu; Omar był przerażony. Usłyszał

kilka nie znanych mu dotąd kroków, potem nastąpiła pauza, w kilka sekund później coś upadło, a do odgłosu upadku dołączył się jakby brzęk kluczy. Intensywność, z jaką Omar odebrał to wydarzenie, można było wytłumaczyć tylko całkowitą ciemnością, w której wszelkie szmery rozchodzą się bardziej wyraziście.

Wkrótce potem rozległ się zgrzyt klucza w zamku i w drzwiach celi ukazały się dwie drobne, zamaskowane postacie; trudno je było rozpoznać w słabym świetle korytarza. Wyglądały, jakby miały na głowach worki. Jedna z nich zawołała: — Nagibie, chodź prędko!

Nagib, który — jak Omar sądził — spał, zerwał się i zaczął

szeptać

o czymś z przybyszami, ale Omar nie słyszał, o czym; rezultat był nie-pomyślny, bo obaj nieznajomi zawołali prawie równocześnie:

— Nie! — i usiłowali wyciągnąć Nagiba z celi.

AJe Nagib opiera! się, podszedł do Omara i pociągnął go do drzwi, zdarł z niego rękaw szarej bluzy i pokazał wypalone piętno na ramieniu. Przez chwilę obcy mężczyźni znieruchomieli. Nagib ich zaskoczył, spojrzeli na siebie przez otwory na oczy, potem jeden syknął: — W imię Allaha

Miłosiernego, chodź!

LONDYN JESIENIĄ

Obłudni mężczyźni i obłudne kobiety nakazują sobie wzajemnie to, co jest zakazane, a powstrzymują się od tego, co jest uznane, i zaciskają ręce.

Oni zapomnieli o Bogu i On o nich zapomniał. Zaprawdę, obłudnicy szerzą zepsucie!

Koran, sura IX

Tym, co odróżniało dziewięciopiętrowy budynek z portalem z kolumnami, do którego wiodły szerokie schody, od innych podobnych gmachów na Victoria Embankment w City of London, byli niepokazni na pozór ludzie, którzy tam dość licznie wchodzili i stamtąd wychodzili. Inaczej niż przed ministerstwami, towarzystwami ubezpieczeniowymi, towarzystwami żeglugowymi pomiędzy Charing Cross a Blackfrias Bridge, dokąd kierowcy podwozili lordów i starannie wyszczotkowanych urzędników pod czujnym okiem pospólstwa z położonych naprzeciwko dzielnic Lambeth i Southwark pod gmach Intelligence Service tylko w czarnych wozach, ci, którzy tu przybywali, wyłaniali się z tłumy na piechotę, szli szybko po kamiennych schodach i znikali za obrotowymi drzwiami.

Melancholia, która nie opuszcza Tamizy całkowicie nawet w miesiącach letnich, tej jesieni wczesnie ustąpiła miejsca zamglonej wdowiej szacie; stan ten nie tylko nie odpycha ani nie odstrasza prawdziwych Brytyjczyków, lecz przeciwnie, wraz z czasem kaloszy i nieprzemakalnych płaszczy na Westendzie zaczyna się sezon teatralny i towarzyski; jest to jedyna pora roku, którą człowiek o pewnej pozycji powinien spędzić w Londynie, jeśli oczywiście pominąć 3 czerwca, dzień urodzin króla Jerzego.

Tego roku tematem konwersacji, który zdominował

wszystkie inne, było zwycięstwo Wielkiej Brytanii w tej wyniszczającej wojnie, w klubach na Pall Mall i Old Brompton Road w nie kończących się przemówieniach dominowały przechwałki i wywyższanie się. Owszem, wojna pochłonęła niezliczone ofiary, ale przeważnie za granicą.

Londyn wskutek niemieckich ataków powietrznych stracił

„tylko” 670 osób; to dużo, ale przecież o wiele mniej, niż obawiano się od czasów króla Edwarda. Prezes niemieckiego towarzystwa balonowego przepowiadał bowiem, że za pomocą samolotów hrabiego Zeppelina Niemcy uczynią to, czego nie udało się osiągnąć Napoleonowi, i za pomocą tysiąca krążowników powietrznych wysadzą na ląd sto tysięcy żołnierzy jednocześnie. Teraz opowiadano, że autor tej koszarnej bzdury skończył w domu wariatów.

Służbom informacyjnym rządu Jego Królewskiej Mości nie ubyło przez to pracy, obejmowała teraz tylko inne dziedziny.

Pułkownik Geoffrey Dodds stał na czele urzędu, co wobec rozlicznych trudności wskazywało na niezwykle talent — jeśli w wypadku działalności informacyjnej (jak eufemistycznie nazywano szpiegostwo) można mówić o talencie. Bardziej szczegółowy opis Doddsa przekraczałby wszelkie

ramy, toteż ograniczymy się tylko do istotnych cech jego postawy.

Pułkownik Geoffrey Dodds należał do tych ludzi, którzy oceniają innych na podstawie ich występków. Cnoty, uważał, mogą zwodzić, występki — nigdy. Przypuszczenie, że pragnie spędzić życie za wiktoriańskim biurkiem ozdobionym kariatydami, odrzuciłby z oburzeniem, gdyby podczas aneksji Górnej Birmy nie wpadł na własną minę, wskutek czego odniósł poważne obrażenia ciała. Tak więc wrócił z Indii ze sztywną nogą i przekonaniem, że jeśli chce dalej służyć Wspólnocie Brytyjskiej, to musi tę służbę odbywać na siedząco. Podziwiał króla Edwarda, który umierając rzekł, że życie nic nie jest warte, jeśli człowiek nie może pracować.

Można by wziąć Doddsa — mężczyznę o jasnej cerze, rudych włosach i (co za kaprys natury!) ciemnych odstających wąsach — za portiera jakiegoś zakładu w Soho; istnieją zresztą domniemania, że kiedyś przez krótki czas uprawiał

tam właśnie sutenerstwo — gdyby nie jego nadzwyczaj staranny ubiór firmy Dunn and Co, który każdy podziwiał.

Istnieją mężczyźni, którzy ubierają się w tweed i kaszmir, i tacy, którzy te tkaniny noszą. Dodds należał do tych drugich; nosił wytworne ubranie z naturalnością właściciela ziemskiego, jakby w nim przyszedł na świat, choć nie robił

tajemnicy z tego, że pochodzi z Lambeth, w pobliżu Waterloo Station. W przeciwieństwie do tej wytwornej powierzchowności pozostawał tylko czasem jego sposób wyrażania się, w którym nie brakowało obscenicznych i wulgarnych słów.

Pomijając to, był on człowiekiem wysoce wykształconym, który swoją wiedzę zdobył studiując na własną rękę, wbrew woli wcześniej owdowiałego ojca, właściciela kiosku z przyprawami przy Covent Garden, dochód z tego starczał na życie, ale bynajmniej nie na studia. Dziś Dodds żył w elegancko umeblowanym mieszkaniu w Kensington Gar- /

den, wraz z cennym zbiorem książek i obrazami koni z ubiegłego stulecia, był członkiem Towarzystwa Biblijnego i dwóch klubów, do których należeli także Rudyard Kipling i Claude Johnson, menadżer firmy Rolls-Royce, i wychwalał

wojnę jako ojca wszechrzeczy (wolny przekład Heraklita).

Wszystkie akcje Intelligence Service odbywały się według szyfru, który podawał pułkownik Dodds; w związku z tym opowiadał swoim agentom historię rosyjskiego ministra spraw zagranicznych Aleksandra

Izwolskiego — gwoli ostrzeżenia, by pokazać, jak ważny jest szyfr: Izwol- ski, wówczas jeszcze poseł rosyjski w Kopenhadze, otrzymał wiadomość

o reorganizacji całej służby dyplomatycznej cara i miał

nadzieję, że otrzyma stanowisko ambasadora w Berlinie.

Posłał więc swego kamerdynera, mądrego, cwane Niemca, do Petersburga, by ten zasięgnął informacji w dobrze poinformowanych kołach, jak wyglądają szanse jego pana. By uniknąć zdemaskowania, poseł umówił się ze swym sługą, że w zależności od sytuacji użyje on w telegramie słowa-szyfru

„kapusta”, w wypadku gdyby Dodds był przewidziany na ambasadora w Berlinie, i słowa „makaron”, gdyby los miał go rzucić do Rzymu. Telegram z Petersburga zawierał jednak całkiem inne, tajemnicze słowo: „kawior”.

W tym miejscu opowieści Dodds za każdym razem wybuchał niepohamowanym śmiechem, aż trzęsły mu się końce długich wąsów, a kiedy się uspokajał, zapewniał, że Izwolski był zdolnym dyplomata, ale niezdolnym szpiegiem.

Albowiem służący użył najwłaściwszego słowa-szyfru na określenie jego nowego stanowiska: Izwolski został ministrem spraw zagranicznych.

Szyfr akcji, która tego dnia była na porządku dziennym, brzmiał: „faraon”. Posługując się tym kryptonimem, Dodds wezwał swoją młodą drużynę, by wyświecić mroczną aferę, która w Londynie przyciągała powszechną uwagę. Premier osobiście zlecił tę akcję — pod przysięgą milczenia, nigdy bowiem nie można było wiedzieć, czy wszystko nie skończy się kompromitacją.

Powodem był nie podpisany raport w „Times’ie” z 4

września 1918 roku, w którym informowano o tajemniczym zniknięciu profesora Edwarda Hartfielda w Dolnym Egipcie.

Hartfield uchodził za odludka, ale także za koryfeusza w swojej dziedzinie, od czasu kiedy odczytał tablice z Fajum, zbiór tekstów hieratycznych z okresu XVIII dynastii.

Zebranie odbywało się w pomieszczeniu Intelligence Service na najwyższym piętrze; wyłożone boazerią ściany zawieszono były oświetlonymi mapami imperium brytyjskiego, pośrodku stał długi ciemny stół

fotele, których ojcem chrzestnym był, zapewne z oporami, Thomas Chippendale. Geoffrey Dodds zajął miejsce przy węższym końcu stołu, po bokach usiadło sześciu agentów i protokolant, zawsze obecny na tego rodzaju zebraniach, oraz starszy mężczyzna, którego większość zebranych nie знаła, przerzucający zwyczajem uczonych stos papierów. Do jednej z tablic za plecami pułkownika przyczepiono zdjęcia i rysunki.

Dodds zaczął swoje wyjaśnienie, posługując się trzcinowym kijkiem służącym do pokazywania.

—
To jest jedyne istniejące zdjęcie profesora Edwarda Hartfielda, lat pięćdziesiąt cztery, ostatnio zamieszkałego w Bayswater, 124

Gloucester Terrace, członka protestancko-pietystycznego „low church”, żonatego z Mary Fisher; oboje mają obywatelstwo brytyjskie.

Zebrani gorliwie notowali.

Zdjęcie ma prawdopodobnie dwadzieścia lat. Według zeznań świadków Hartfield wygląda dziś mniej więcej tak: — Dodds pokazał rysunek ukazujący pomarszczoną twarz mężczyzny, starszego, niż by na to wskazywał jego wiek. Hartfield nosił

małe, okrągłe okulary w nikłowej oprawie i krótko przystrzyżoną bródkę.

— Ostatni raz widziano profesora Hartfielda pomiędzy dwudziestym drugim a dwudziestym trzecim czerwca, dokładnie nie da się tego stwierdzić, w Raszid, miejscowości położonej w zachodniej delcie Nilu.

O kwalifikacjach Hartfielda nie muszę wam opowiadać, są one ogólnie znane. Należałoby może tylko zaznaczyć, że nic pracował na zlecenie Egypt Exploration Fund ani żadnej innej organizacji o podobnych celach. Hartfield był prywatnym uczonym, miał znaczny majątek, który odziedziczył, głównie domy czynszowe w Bayswater i Paddington. Jego konta w Westminster Bank Maiylebone nie zdradzają niczego szczególnego, poza faktem, że ostatnia potwierdzona jego podpisem transakcja pochodzi z czwartego kwietnia. Od tamtej pory nie podejmowano żadnych sum w jego imieniu.

Gerry Pincock, mały, przysadzisty, młody mężczyzna o długich włosach, jakie noszono za czasów królowej Wiktorii, którego nazywano wy- złem, bo wgryzał się w swoje sprawy jak pies, przerwał pułkownikowi i zapytał: — Sir, czy można wykluczyć, że ten człowiek uległ nieszczęśliwemu wypadkowi, że padł ofiarą zbrodni, albo czy nie zaszło jeszcze coś innego, co czyniłoby naszą interwencję nieuzasadnioną?

—
Ten problem nas nie interesuje — odparł Dodds, wyraźnie zirytowany. — Każdy podany przez pana

powód mógł być przyczyną zniknięcia Hartfielda i wobec tego sprawa nie musiałaby nas interesować. Są jednak punkty zaczepienia, które rzucają na ten wypadek całkiem inne światło. Proszę o uwagę!

Podczas gdy Dodds mówił, jego ciało wydawało się rozluźnione, a po twarzy przebiegał jakby uśmiech szczęścia.

Uwielbiał zaskakiwać swoich współpracowników problemami i każde nowe zadanie, z którym miał zapoznać swoich ludzi, wprawiało go w emfatyczny nastrój.

Dodds siedział wygodnie w fotelu, ramiona skrzyżował na piersi, spoglądał to na stół, to na sufit i ciągnął dalej:

—

W Egipcie, który — jak wiecie — znajduje się pod protektoratem brytyjskim, dokonuje się każdego roku doniosłych odkryć. Przypuszczam, że znacie dział wykopalisk w Muzeum Brytyjskim. Nawet eksperci nie są w stanie stwierdzić, czy najznacześniejsze odkrycia zostały już dokonane, czy też właściwe sensacje czekają dopiero na odsłonięcie. Ten

problem dzieli archeologów na dwa obozy. Jedni twierdzą, że wszystkie groby faraonów, które dotychczas odkryto, zostały

już w dawnych czasach obrabowane. Druga grupa jednak uważa, że istnieją groby, które nie zostały jeszcze odkryte, i że zapomniano o nich już w czasach dynastycznych.

Brak jakichkolwiek śladów fascynującej historii!

osobowości w starym Egipcie, ale to nic jest cała prawda, bo od wielu lat odkrywano ślady, które pozwalają sądzić, że taka osoba istniała. Tymczasem jednak jakiś badacz wpadnie na taki trop, natychmiast wszelkie ślady znów się zacierają,

'faraon' człowiek nosił imię Imhotep.

W swym opisie Imhotepa Dodds był tak kłopotliwy i dokładny, że niektórzy spośród obecnych zaczęli przyszywać oczami i zastanawiać się, czy przypadkiem nie znaleźli się na i i i i i i i i i i i z egiptologii.

Charles Whitelock, muskularny Szkot z Glasgow o krzaczkach jasnych brwiach, wreszcie nie wytrzymał, uderzył

pięścią w stół i uwątpił:

— Sir, czy nie moglibyśmy wrócić do ostatecznego zasadniczego tematu'?

Zirytowany takim pośpiechem, Dodds-Szkot włączył wątek: - Po nieważ dawni Egipcjanie gromadzili ogromne ilości złota, Imhotep może zawierać więcej złota, niż wynoszą obecne zapasy

tego kruszcu na świecie.

Pincock zagwizdał przez zęby. Teraz zabrał głos starszy inżynier, którego większość obecnych nie znała i który dotąd milczał. Jeśli wolno mi się wtrącić, chciałbym powiedzieć, że może nie należałoby kierować naszej uwagi głównie na złoto. W

tekstach wciąż

jeszcze znajdujemy wskazówki dotyczące spraw, których nie rozumiemy, a których opis pozwala przypuszczać, że dawni Egipcjanie posługiwali się naukowymi metodami i systemami, umożliwiającymi budowanie piramid, obelisków o wadze tysięcy ton, wycinanych ze skał i transportowanych na odległość tysięcy kilometrów, a także pozwalającymi zaopatrzyć kręte groby na głębokości dwustu metrów w światło i tlen. Gdyby znaleziono grób Imhotepa, byłaby to naukowa sensacja.

Profesor Shelley — podjął wątek Dodds — jest specjalistą od spraw starożytności egipskiej. Słowem: grób Imhotepa jest zbyt ważny, by pozostawić jego odkrycie innym. Na życzenie rządu Jego Królewskiej Mości Intelligence Service ma przejąć inicjatywę.

Whitelock pierwszy zabrał głos: — A kto poza tym interesuje się tą sprawą? Mam na myśli, kto prócz Hartfielda?

To właśnie jest pierwszy problem — odparł Dodds.

— Nie wiemy, komu ta sprawa jest znana, czy także inne służby wywiadowcze nią się zajmują. Jedno jest pewne, że dotąd co najmniej dwie grupy próbowały wydrzeć sobie to odkrycie: konsul brytyjski w Luksorze, Mustafa Aga Ayat —

Dodds wskazał na drugie zdjęcie na tablicy — i szef policji Luksoru, Ibrahim el-Nawawi, którego zdjęcia nie mamy. Obaj należą do

bandy handlarzy starożytnościami, która ma znakomite kontakty z archeologami, być może także brytyjskimi. Pracują z rozmachem, już raz omal nas nie pokonali, ale nie wzięli pod uwagę lady Dawson.

Gdy Dodds wymieni! nazwisko pięknej lady, w pokoju rozległy się szepty. W Intelligence Service lady cieszyła się wielką sympatią nie tylko z powodu swej miłej aparycji; jej zdolności w służbie wywiadowczej, które wykorzystywała z kobiecą przebiegłością i chytryością, były ogólnie cenione. To, że po śmierci męża spędzała życie na łodzi pływającej po Nilu, przysparzało jej może zazdrośników, ale nie wrogów. W

poszukiwaniu fragmentu tablicy w Muzeum Berlińskim lady Dawson omal nie przegrała wskutek pojawienia się Ayata i el-Nawawiego, i zażądała posiłków, które zainscenizowały napad na pociąg

jadący do Monachium. W związku z tym Pincock zapytał, jaką rolę grały odłamki owej tablicy, na co otrzymał odpowiedź, że Hartfield usiłował odnaleźć poszczególne fragmenty, bo spodziewał się, że znajdzie wskazówki co do położenia grobu Imhotepa. — Profesor Shelley — dodał Dodds — mógłby panu powiedzieć na ten temat coś bliższego.

Profesor wstał, spokojnie porozdzielał kartki, które leżały przed nim na stole jak podczas seminarium. — Pierwsze z tych fragmentów odczytałem w Muzeum Brytyjskim podczas moich badań nad nowymi znaleziskami z Raszid, które Francuzi nazywają Rosetta. Kiedy od waszych przełożonych otrzymałem informacje określone jako tajne, dotyczące znanych tu części, mogłem zestawić następujący tekst:

—
Jak panowie widzą — dodał profesor — koniec pierwszego odcinka jest niekompletny, ale chodzi o złoto i prawdopodobnie o coś więcej. Z reszty pozostało tak mało, że nie da się z tego nic wywnioskować. Może dalsze odłamki dadzą nam więcej wskazówek.

Profesor usiadł. Wśród agentów zapanowała bezradność.

Nikt nie wiedział, co ma powiedzieć.

—
Kto jeszcze się tym interesuje? — zapytał Pincock.

—
Druga grupa — rzekł Dodds — wydaje się o wiele bardziej niebezpieczna niż pierwsza. Chodzi o radykalnych nacjonalistów, którzy mają liczne powiązania. A przeciwnicy, którzy działają z pobudek politycznych, są zawsze najbardziej niebezpieczni. Nie znamy ani przywódcy organizacji, ani liczby jej członków. W swym szaleńczym dążeniu, aby usunąć wszelkie cudzoziemskie wpływy w Egipcie, nie cofają się przed niczym. Dokonują napadów na urzędników brytyjskie, wysadzają w powietrze linie kolejowe i zatapiają statki na Nilu, aby zwrócić na siebie uwagę; korzystają przy tym z najszerszego poparcia ludu, tak że trudno jest do nich dotrzeć.

Wszędzie w kraju mają swoich zwolenników, członków, kryjówki, a najniebezpieczniejsza spośród tych rozproszonych organizacji, niebezpieczna dlatego, że ma w swych szeregach najinteligentniejszych i gotowych na wszystko członków, nosi nazwę Tadaman. Szacujemy liczbę jej członków na kilkuset aktywistów i kilka tysięcy sympatyków. Jako znak rozpoznawczy mają rysunek siedzącego kota, taki jaki spotyka się w tekstach hieroglificznych. Dlaczego wybrali sobie taki właśnie znak, nie wiadomo, ale mógłby to być klucz do pochodzenia lub centrum dowodzenia tej organizacji — jest to jednak tylko hipoteza, nic poza tym.

Dodds zamilkł. Wokół panowała cisza.

Sir! — Po dłuższej chwili pierwszy podjął wątek Pincock. — Jeśli dobrze pana zrozumiałem, mamy tu do czynienia z całym szeregiem niewiadomych. Nie tylko nie znamy prawdziwego powodu naszych dociekań, ale nie znane nam jest miejsce całego zdarzenia, liczba biorących w nim udział, rozmiar ryzyka, które się za tym kryje.

—
Panie Pincock! — oburzył się pułkownik. — Nie jesteśmy na uniwersytecie, lecz w tajnej służbie Jego Królewskiej Mości. — Jego pogodna dotychczas twarz nagle spochmumiała, pojawiły się na niej zmarszczki, wobec czego przywołany do porządku przyjął odpowiednią postawę i odpowiedział po wojskowemu krótko i zwięźle:

—
Tak jest, Sir!

Wybuchy gniewu Doddsa siały postrach. Pincock wiedział

dobrze, co oznacza wyraz twarzy pułkownika: ani kroku dalej!

O ile znał Geof- freya Doddsa, ten dawno już opracował plan działania, który określał zasięg dalszej akcji, a wszystkim biorącym w niej udział wyznaczał określone cele według ustalonych reguł; i lepiej było trzymać się tych reguł. Istotnie Pincock nie musiał długo czekać. Dodds zaczął rozwijać swoją strategię.

Wychodząc z założenia, że Hartfield był uwikłany w sprawę bardziej niż wszyscy inni, należy podjąć trop profesora. W tym celu załoga musi się rozdzielić, jedna połowa (dalej określana jako A), wspierana przez profesora Shelleya, powinna wszcząć poszukiwania w Anglii, druga (zwana dalej B) niech tropi ślady w Egipcie. W razie gdyby nie znaleziono poszukiwanego lub jego małżonki, należy się zainteresować świadkami (przyjaciółmi, znajomymi, ludźmi, którzy się z nimi sporadycznie kontaktowali), a jeśli i to nie da rezultatów, należy rozszerzyć poszukiwania na publikacje, dokumenty i pisemne ślady, które pozostały. Gdyby w czasie poszukiwań wyłoniły się nowe, dotąd nie uwzględnione informacje, zwłaszcza dotyczące ugrupowań politycznych, wskazujące przede wszystkim na egipską tajną organizację o nazwie Tadaman, należy zameldować o tym centrali, a ta z kolei ma obowiązek przekazać wiadomość dalej wszystkim agentom biorącym udział w akcji „faraon”.

Punktem dowodzenia dla grupy A i dla wszystkich akcji w Wielkiej Brytanii jest centrala Intelligence Service, Victoria Embankment, a dla Egiptu — łódź „Izis” lady Dawson, przystań w Luksorze. Grupy A i B zostaną wyposażone w jednakowe środki finansowe i będą mieć jednakowe kompetencje, będą upoważnione do posługiwania się bronią w określonych okolicznościach, będą mogły korzystać z instytucji państwowych, podając fałszywe nazwiska. W

wypadku zdemaskowania przedsięwzięcia, uwięzienia lub aresztowania któregoś z członków nie wolno zdradzić tożsamości danej osoby ani jej zadań w ramach akcji.

Świadomy powagi zadania, pułkownik wyprostował się w fotelu, spoglądał z triumfalną miną dokoła siebie i mówił

powoli, podkreślając każde słowo: — Moi panowie, stanowicie elitę imperium, które panuje nad piątą częścią świata, a tajna służba Jego Królewskiej Mości jest najlepsza na świecie. Proszę o tym nie zapominać podczas całej akcji.

Podczas gdy pułkownik mówił, wszedł goniec i położył na stole przed Doddsem jakąś wiadomość. Dodds najpierw z irytacją odsunął papier na bok, potem jednak zaczął czytać jednym okiem, przy czym stawał się coraz bardziej niespokojny, zaczął się wiercić na fotelu.

—
Właśnie przed chwilą — powiedział — otrzymałem następującą wiadomość od lady Dawson z Luksoru: U stóp wędrującej wydmy, trzy mile na wschód od Sakkary, znaleziono zmumifikowane zwłoki kobiety. Chodzi tu prawdopodobnie o Mary Hartfield, żonę profesora Edwarda Hartfielda. Wskazówką co do jej autentyczności jest list zaadresowany do Mary Hartfield, znaleziony w ubraniu kobiety. Nosi on datę 4 października 1918 i podpisany jest inicjałem „C”. W liście nawiązuje się do odcisku kamienia, który ma zostać przekazany za sumę 10000 funtów. Miejsce spotkania: hotel „Savoy”, Kair. Data przekazania: 12 października, godzina 11.

—
Kto to jest „C”? — zawołał Pincock podniecony; w pokoju zapanował niepokój, wszyscy mówili jednocześnie.

Pułkownikowi Doddsowi z trudem udało się przekrzyczeć swoich ludzi. — Widzicie, moi panowie — rzekł — mamy tu wyraźnie do czynienia z kolejną konkurencją.

Z KAIRU W DÓŁ NILU

Uczba miesięcy u Boga:

dwanaście miesięcy zaznaczonych w Księdze Boga w dniu, kiedy On stworzy! niebiosy i ziemię. Wśród nich — cztery święte.

Tb jest religia prawdziwa.

Przeto nie czyńcie sobie niesprawiedliwości w tych miesiącach

i

zwalczajcie bałwochwalców w całości, tak jak oni was zwalczają w całości.

Wiedźcie, iż Bóg jest z bogobojnymi!

Konin, sura IX

Nie byłoby zgodne z prawdą, gdybyśmy stosunek między Omarem a Nagibem ek-Kassarem nazwali przyjaźnią. Co prawda życie Omara po gwałtownym uwolnieniu z więzienia wojskowego w Ismailii przybrało nieoczekiwany obrót, ale ich stosunek nadal był wspólnotą z celi i Omar korzystał z przywilejów jedynie ze względu na piętno na lewym ramieniu, którego pochodzenie teraz stało się dla niego jaśniejsze, przyczyna natomiast dalej tonęła w mroku. Chociaż wielka wojna przetrwała ich ucieczkę tylko o kilka tygodni, a niesłusznie przypisywane im zbrodnie były aktualne jedynie w warunkach wojennych, Omar i Nagib nie wiedzieli, czy War Office nadal ich poszukuje, i uważali za wskazane na razie zniknąć z pola widzenia.

Nie ma innego miasta na świecie oprócz Kairu, gdzie człowiek może żyć i umrzeć nie rozpoznany. Każdego dnia gdzieś pomiędzy Mokkatam a dworcem zawala się jakiś przeludniony wąski blok mieszkalny, grzebią, r pod sobą setki bezimiennych ludzi, nigdzie nie meldowanych, których* nikt nie znał. Kolejne pokolenia bowiem, kiedy zachodzi potrzeba, bez zezwolenia budują dodatkowe piętra, aż wreszcie słabe fundamenty nie wytrzymują ciężaru, belki i cegły się poddają i dom się wali. Tkk więc dla obu towarzyszy nie stanowiło trudności ukrycie się w zrujnowanym domu czynszowym w jednej z bocznych ulic Sharia Assaliba pomiędzy meczetem Ibn-Tulu a meczetem sułtana Hassana, w cieniu cytadeli. Tkm, dzięki pomocy nie znanego im członka Tkdamana, wynajęli dwa małe pokoiki na szóstym piętrze z widokiem na tyły kamienicy, która niczym nie różniła się od ich kamienicy, a stała tak blisko, że mimo woli człowiek stawał się świadkiem życia ludzi z przeciwka, łącznie z przekraczaniem świętych nakazów postu ramadanu.

Chociaż Omar był od urodzenia dzieckiem tego miasta, czuł

się nieswojo w tej przeludnionej okolicy, gdzie ludzie żyli jak termyty lękające się światła dnia, ale w przeciwieństwie do nich nie mieli możliwości

choć raz wznieść się w powietrze. Omar czuł się źle w brudnym, zaniedbanym labiryncie malowniczego Starego Miasta we wschodniej części, gdzie stale unosił się zapach kurzu i fekaliów, a przede wszystkim zapach biedy.

Tlitaj Egipcjanie żyli jak przed wiekami, chodzili tak samo odziani i byli tak samo biedni. Mieli takie same małe radości, które ograniczały się przeważnie do zadymionych kawiarni z małymi stolikami wystawionymi na ulicę, gdzie wystarczyły dwa piastry, by odpędzić nudę dłużące się popołudnia. W

domu nie było kanalizacji i oczywiście nie przestrzegano żadnych zasad higieny. Od czasu do czasu — raczej rzadko —

mężczyźni, aby się wykapać, szli do podziemia Hammamu; kobiety nie dopuszczały wody do swoich ciał, nosiły zasłony na twarzach i regularnie rodziły dzieci, którym przeznaczone było życie takie samo jak ich, w takich samych krętych zaułkach.

Można by pomyśleć, że Omara pociągało życie w innym Kairze, w zachodniej części, po drugiej stronie Nilu albo przy Bahr al-A'ama, życie w willach i pałacach w dzielnicy Al-Gamaleya albo w Darb-el-Ma-smat, gdzie przyszedł na świat kedyw Ismail. Tkm w ubiegłym stuleciu imigranci włoscy, greccy, maltańscy, francuscy i brytyjscy wprowadzili zachodnie budownictwo i styl życia i

zamienili wyspę Nilu —

do czasu budowy tamy asuańskiej rokrocznie zalewaną brunatnym szlamem - - w ogród botaniczny, w ekskluzywny klub tenisowy i tor wyścigowy. Stały tutaj białe tynkowane wspinałe budowle — kolor, który w innych dzielnicach miasta prowokowałby, podobnie jak modlący się w meczecie człowiek, który nie zdjąłby obuwia — towarzystwa okrętowe prześcigały się w reklamach swoich usług, nawołując za pomocą ogromnych plakatów

o zamawiania przejazdów pierwszą klasą, banki obiecywały dyskrecję _zięki swym przyciemnionym szybom, a w hotelach

„Shepherd” czy „Semiramida” apartamenty z widokiem na Nil kosztowały trzy razy tyle, ile wynosiła roczna pensja biało ubranych portierów.

Ale ten świat również nie był światem Omara i ludzie, którzy prowadzili tam luksusowe życie, nie budzili w nim zazdrości ani podziwu. Urodził się na skraju pustyni przed bramami miasta i potrzebował bliskości pustyni. Upał w dzień, chłód w nocy, niezmierny horyzont na zachodzie i głosy, które gubiły się w tej dali — to był świat Omara, świat który go pociągał. Ale jak tu uciec z wielkiego miasta?

Nagib uważał, że tylko w wąwozach ulic Kairu, gdzie każdy człowiek egzystował nie jako jednostka, lecz zwielokrotniony, bo wszyscy byli do siebie podobni, że tylko tu są bezpieczni. Omar rozumiał, że powrót do Luksoru jest niemożliwy, ale też nie chciał tu pozostać. Nagib doradził mu, aby ostrzygł sobie krótko włosy i zapuścił brodę, co bardzo zmieniało jego wygląd, lubił też ubierać się po europejsku.

Pewnego dnia udał się do Gizy, którą opuścił przed ośmiu laty, ale której nigdy nie zapomniał.

Jesteśmy skłonni osądzać łaskawie przeszłość, ponieważ mechanizm naszej duszy wypycha z życia wszystko, co przykre, złe i okrutne, lub przynajmniej przyobleka w jaśniejsze barwy, ale Omar nie musiał niczego zapominać. U

stóp piramid spędził przecież najpiękniejsze lata swego życia, jego świat sięgał od jednego horyzontu do drugiego. Nie wiedział, co znajduje się dalej, i wcale go to nie interesowało.

Na ulicy Piramid, prowadzącej z Kairu do Gizy, kursowały teraz autobusy, trzeszczące, czarno dymiące potwory, które wyparły końskie powozy, bo były tańsze i szybsze. Hotel

„Mena House”, kiedyś zakazany raj małego chłopca, nie stracił nic ze swego kolonialnego charakteru. Wciąż jeszcze przed wejściem czekali poganiacze wielbłądów, głośno zachęcając potencjalnych klientów.

—

Polishing Sir, polishing!

Omar nie zauważył małego, niepozornego człowieczka u swoich stóp; spoglądał teraz zaskoczony na

mikasaha bez nogi, który uśmiechając się życzliwie wyciągał ku niemu szczotkę do butów: — Polishing, Sir!

—
Hassan! — zawołał Omar zaskoczony. — Poczciwy, stary Hassan!

Uśmiech na twarzy kaleki ustąpił wyrazowi wahającej się niepewności; starzec przez chwilę nie wiedział, czy ma udawać, że poznaje obcego mężczyznę, czy też po prostu zapytać, kim jest oraz gdzie i kiedy się już spotkali.

Omar zrozumiał jego wahanie, ukląkł na rozgrzanym bruku, położył Hassanowi rękę na ramieniu i rzekł: — Jestem Omar.

Czy przez te lata aż tak się zmieniłem?

Wówczas stary znów odzyskał życzliwy uśmiech, otarł

rękawem nos i odparł z wahaniem: — Omar effendi. Że też Allah pozwolił mi dożyć tego dnia! — I nie zważając na stojących obok ludzi, padli sobie w ramiona.

—
Omar effendi — powtórzył stary, potrząsając głową.

— Często

O tobie myślałem, miałem wyrzuty sumienia, że wtedy sprzedałem cię za dziesięć piastrów obcemu Anglikowi.

Omar się roześmiał. — To był dobry człowiek, jak na Anglika. Nauczyłem się u niego czytać i pisać, a także mówić po angielsku, zarabiałem; ale potem wybuchła wojna i nagle wszystko się zmieniło.

Hassan schował swoje szczotki do pudełka ozdobionego koralikami

rzekł: — Musisz mi wszystko opowiedzieć, effendi.

Omar wziął pudełko i obaj poszli do ogrodu hotelu „Mena House”. Służącego hotelowego, który chciał im zagrozić drogę, Omar obrzucił tak ordynarnymi angielskimi wyzwiskami, że ten, kłaniając się, uciekł.

Aż do godzin nocnych, dopóki słońce nie zaszło za Wielką Piramidę, Omar snuł swoją opowieść, niczego nie pomijając.

Nie tylko dlatego, że ufał temu dobrotliwemu kalece, ale czuł

do niego przyjaźń i zaufanie jak do ojca i miał wrażenie, że Hassan kocha go jak syna.

Poza tym podziwiał tego mikasaha jak dawniej, podziwiał

jego siłę życiową. Hassan należał do owego rzadkiego gatunku ludzi, którzy — mimo że życie ich nie rozpieszczało

— nie narzekają, choć na pewno nie są szczęśliwi, których opanowanie może służyć za przykład owym mizantropom delektującym się ciosami, jakie zadaje im los. Interesują się oni tylko sobą, odnoszą się nieufnie do innych i zanudzają ich narzekaniem na własną niedolę. Litując się nad sobą, przyjmują jałmużnę nie dlatego, że jest im potrzebna, lecz dlatego, że podkreśla wielkość ich nieszczęścia.

Hassan był zbyt dumny, by żebrać, brał zapłatę za swoją pracę, nienawidził jałmużny i z dumą opowiadał historię bogatego Żyda, który przed hotelem rzucił mu pięć piastrow, chcąc zrobić dobry uczynek, jak tego wymaga jego religia.

Hassan schwycił monetę i odrzucił ją z powrotem, wołając, by dał ją biedakowi.

Kiedy Omar skończył swoją opowieść, Hassan miał

zatrokaną minę. — Tadaman? Tadaman? — powtórzył

kilkakrotnie. — Nigdy

tym nie słyszałem. Ale, na Allaha, to nie znaczy, że taka organizacja nie istnieje. Wolałbym nawet, żeby istniała, bo nasz naród doznaje wielu krzywd. Ale uważaj, bo Brytyjczycy stosują prawa i porządki, które sami uważają za słuszne, a które wcale nie są zgodne z naszymi pojęciami. Jeśli cię znajdą, to nie ominie cię kara.

—

Zmieniłem swój wygląd — powiedział Omar. —

Kiedy rano spoglądam w lustro, sam siebie nie poznaję, a dla Brytyjczyków wszyscy Egipcjanie wyglądają jednakowo.

—

Modłę się do Boga Wszchemogącego, abyś miał

rację.

Omar skinął głową. — O wiele bardziej niebezpieczny wydaje mi się Tadaman, który siłą włączył mnie do swoich szeregów. Przyznaję, że czasem obawiam się moich własnych ludzi. Oni uważają, że mam wobec nich zobowiązania, bo uwolnili mnie z więzienia. Już nosiłem się z myślą, by uciec, ale to ryzykowne. Tadaman ma wszędzie swoich szpiegów, i

podczas gdy Anglik ma wypisane na twarzy, że jest poddanym Jego Królewskiej Mości, po Egipcjaninie nie widać, że należy do Tadamana. A przy tym to wszystko jest prawdopodobnie pomyłką...

Po drodze Omar spojrzał przelotnie na chatę, w której spędził pierwsze lata swego życia. Jego przyrodni bracia sprzedali niewielkie obejście razem z wielbłędami i pojechali szukać szczęścia w dużym mieście. Około północy Omar wrócił do Kairu. Sharia Assaliba tętniła ruchliwym życiem, sprzedawcy kawy balansowali z tacami, przedzierając się przez tłum. Pachniało orzeszkami ziemnymi, które chłopcy prażyli na rogach ulic w puszkach po konserwach i marmoladzie, chłopcy od piekarzy roznosili na głowach pieczywo, a pośród nich dziewczki w każdym wieku zwracały na siebie uwagę mlaskaniem.

W kawiarni „Royal” na rogu domu, gdzie mieszkał Omar i gdzie wystawione na ulicę stoliki zagradzały drogę przechodniom, Omar ujrzał Nagiba, który z ożywieniem z kimś rozmawiał.

Nagib przedstawił swego rozmówcę jako Alego ibn al-Husseina; był to chudy mężczyzna o ostrych rysach twarzy i siwych, kręconych włosach, pochodził z Libanu i handlował

korzeniami. Ali miał małe, chytre, nieco podstępne oczy —

takie w każdym razie zrobił wrażenie na Omarze. Kupiec, tak przedstawił Nagib nieznajomego, ma

dla nich korzystną propozycję, a kiedy dojrzał nieufność w twarzy Omara, dodał

uspokajająco, zasłaniając usta dłonią, że al-Hussein także należy do organizacji, więc Omar rozumie...

Zlecenie, które miało każdemu z nich przynieść po pięćdziesiąt funtów i zwrot wszelkich kosztów, na pierwszy rzut oka nie wyglądało ryzykownie. Nagib i Omar mieli popłynąć statkiem w górę Nilu i w Asuanie czekać na karawanę z Sudanu, która była w drodze z Chartumu i wiozła korzenie.

Omar spontanicznie się zgodził. Szansa wydostania się z chaosu wielkiego miasta usunęła wszelkie wątpliwości co do zamiarów Alego ibn al-Husseina. Młodość i brak doświadczenia odsuwały na bok wszelkie skrupuły i budziły ufność, cechę, która szczególnie charakteryzowała Omara.

Chociaż umiał sobie radzić z ludźmi, za mało się na nich znał, a pogodna natura, radość życia i niespokojny duch już niejednokrotnie okazywały się jego słabymi stronami.

Nagib, choć starszy od niego, nie był dla Omara oparciem ani pomocą; przeciwnie, w okresie, kiedy pił whisky — a zdarzało się to częściej niż okresy abstynencji — Omar musiał

hamować jego pociąg do alkoholu i zabraniać mu gadania lub odciągać go od obcych ludzi w imię ich wspólnego bezpieczeństwa. Dawno już ich stosunek wszedł w stadium, kiedy wspólnota zamieniła się w nieufność, a patriotyzm stał

się jedynym wyznacznikiem ich wspólnego życia. Od dawna już nie wykonywali żadnego regularnego zajęcia, po pierwsze, ze strachu, że ktoś odkryje, kim są, po drugie, Nagib był

zdania, iż Tadaman nie pozwoli zginąć swoim członkom.

Czy to zlecenie pochodziło od organizacji, czy było prywatną sprawą Husseina — tego Omar ani Nagib nie zdołali stwierdzić, ponieważ Libańczyk, zaledwie wytłumaczył im, o co chodzi, zniknął, pozostawiając kopertę z upoważnieniami i pewną sumę pieniędzy. W jego zachowaniu było coś, co nie znosiło sprzeciwu i co powstrzymywało obu towarzyszy od zadawania pytań. Siedemnastego tego miesiąca, oznajmił

Hussein, będzie tu na nich czekał w porcie.

W papierach, które pozostawił Libańczyk, Omar i Nagib, ku swemu zdumieniu, nie znaleźli adresu Husseina, lecz swój własny; ale obiecana premia i możliwość opuszczenia na dwa tygodnie ponurego mieszkania rozwiały wszelkie wątpliwości.

A więc zamówili oddzielne dwa, by nie budzić podejrzeń, miejsca na statku pocztowym do Asuanu, który był

wyposażony w niewielkie kabiny z piętrowymi pryzkami.

Stary statek pocztowy „Bedraschein” miał szerokie koła łopatkowe, wysoki komin, który rozszerzał się u góry w kształt tulipana, i na trzech pokładach mieścił setkę pasażerów. W ciemnym kadłubie

statku przewożono pocztę.

Za żelaznymi kolumnami arkad, które chroniły przed słońcem, znajdowała się jadalnia z wyplatanyimi meblami; korzystali z niej głównie Anglicy.

Omar i Nagib mieli wszelkie powody, by unikać tego pomieszczenia. Przeważnie spędzali czas na środkowym pokładzie, gdzie stały drewniane ławki jak w przedziale kolejowym trzeciej klasy. Tutaj tubylcy jadali to, co zabrali ze sobą, rozmawiali, grali w karty, spali albo po prostu patrzyli na wody Nilu. Tutaj obaj mogli czuć się bezpiecznie, ale mimo to woleli nie pokazywać się razem.

Ponieważ noc nie rozpędziła jeszcze żaru dnia, Omar wołał

pozostać w niszy tylnego pokładu i tam drzemać. O śnie nie było co marzyć. Minęli już Samalut, około północy statek miał

zawinąć do Minii. Gwiazdy, które nocą na Nilu wydają się położone tak blisko człowieka jak nigdzie indziej, wprawiły Omara w stan pobożnego zamyślenia; urok tej chwili sprawił, że chłopiec na krótko zapomniał o swoim losie.

Głosy dwóch Anglików na górnym pokładzie przywróciły Omara do rzeczywistości. Jak długo, myślał, ma tak żyć jak bezdomny kundel, wciąż uciekając przed zakazami, bez domu, wydany Tadamanowi i jego siepaczom. Zadanie, jakie miał

właśnie wykonać, nie sprzyjało zmianie jego stanowiska wobec tej organizacji, przeciwnie. Zawsze odczuwał strach przed wszystkim, co nieznanne i bezimienne, nie bał się natomiast, kiedy miał przeciwnika przed sobą. W ogóle Omar miał zamiar odłączyć się od Nagiba, a tym samym od

"Ikdamana.

Myśli te zostały zakłócone przez urywki angielskich słów, które dochodziły z górnego pokładu, na razie nie budząc zainteresowania Omara, ale wkrótce obaj rozmówcy zaczęli się kłócić, a ton ich rozmowy uległ zmianie, tak że mimo woli stał się świadkiem wymiany zdań. Jeden mężczyzna zarzucał

drugiemu bezczelnie i głośno głupotę i nieostrożność, używając przy tym ordynarnych wyzwisk.

W którymś momencie tej zajadłej sprzeczki na górnym pokładzie padło nazwisko, które rozbudziło uwagę Omara: Hartfield. Naraz Omar

stał się czujny. J choć na razie wątpił, czy chodzi o zaginionego profesora, to po chwili jego przypuszczenia stały się pewnością: obaj Anglicy szukali profesora Edwarda Hartfielda.

Niespodziewanie prędko udało się jednemu z nich ułagodzić drugiego, tak że Omar mógł tylko z trudem śledzić dalszy przebieg rozmowy. Z wrywkowych słów rozumiał

tylko tyle, że obaj jadą do Luksoru; padło przy tym nazwisko Cartera.

Omar zadziałał szybko. Pobiegł do swej kabiny, włożył

kapelusz

o szerokim rondzie, który od czasu pobytu w Kairze bardzo polubił,

i wszedł po stromych żelaznych schodach na górny pokład, gdzie przechadzał się, udając znudzonego, lub przystawał na krótko, jakby marzycielsko zapatrzony w noc. W ten sposób zbliżył się, nie budząc podejrzeń, do obu mężczyzn.

Jeden z nich był niski i miał długie włosy. Jego ruchy były nerwowe, stanowił przeciwieństwo drugiego, człowieka spokojnego, w starszym wieku. Gdy Omar się do nich zbliżył, raptownie urwali rozmowę, tak że chłopiec, przyjrząwszy się im dokładnie, odszedł.

Po północy, kiedy statek wśród głośnych uderzeń kół i hałasu ludzi zacumował w Minii, zaspany Nagib wynurzył się z kajuty. Omar dał mu znak, że ma mu coś ważnego do zakomunikowania. Przyglądali się obojętnym wzrokiem manewrom statku w porcie. W istocie zaś Omar opowiadał o tym, co usłyszał.

Nagib natychmiast otrzeźwiał. — Dwóch Anglików, powiadasz? Omar skinął głową, nie odwracając wzroku od brzegu. — Jeden około trzydziestki, drugi ma chyba dwa razy tyle.

—

I chcą wysiąść w Luksorze?

—

Tak zrozumiałem.

—

Kiedy będziemy w Luksorze?

—

Jutro rano.

Po długiej przerwie Nagib rzekł: — Zdaje mi się, że myślimy o tym samym.

—

Uważasz, że powinniśmy śledzić tych Anglików?

—

Tak.

—
A nasze zadanie?

Nagib rozejrzał się dokoła, czy nikt ich nie obserwuje, ale w tym tłoku i zamieszaniu ich rozmowa nie zwracała niczyjej uwagi. — Musimy się rozstać — rzekł Nagib. — Jeden z nas pojedzie, jak było umówione, do Asuanu i przejmie ładunek, drugi uda się tropem Anglików. Spotkamy się w Kairze.

Nazajutrz z rana Omar pierwszy opuścił statek z bagażem.

Przedsięwzięcie nie pozbawione było ryzyka. Omar musiał uważać, by nikt go

nie poznał. Przede wszystkim nie powinien zwrócić na siebie uwagi Anglików. Pod osłoną drewnianej budy obserwował, jak Anglicy schodzą z pokładu. Każdy z nich ciągnął duży staroświecki kufer i tłumok, jakby mieli zamiar pozostać tu dłużej.

Omar spodziewał się, że przyjedzie po nich powóz z jakiegoś hotelu, ale tak się nie stało. Anglicy czekali, aż ludzie się rozejdą, odrzucili propozycję dorożkarza, wreszcie poszli do promu, którego żagle trzepotały na porannym wietrze.

Teraz w pierwszym blasku słońca Omar poznał, że wyższy mężczyzna jest o wiele młodszy, niż to wyglądało w mroku.

Drugi miał czerwonawą jasną cerę, co zdradzało irlandzkie albo szkockie pochodzenie, a przynajmniej wskazywało na szybkie krążenie krwi.

Wobec faktu, że na drugi brzeg Nilu nie dało się umknąć, chyba że obaj Anglicy mieliby zamiar udać się do Charga albo do jakiejś oazy na Pustyni Libijskiej, Omar nawet nie próbował ich śledzić. Uznał cel ich wyprawy za szczęśliwą okoliczność, będzie mu łatwo ich obserwować. Dokąd mogli zmierzać: przypuszczalnie do el-Kurna, a może do Der el-Medina, albo może czekał na nich Carter, którego nazwisko wspominali.

Pobyt w Luksorze stanowił dla Omara niemałe ryzyko.

Musiał się pilnować, by go nie rozpoznano, i dlatego na razie przerwał (ropienie obu Anglików, pragnąc skoncentrować się na własnym bezpieczeństwie. Gdy statek odpłynął, Anglicy zaś przeprawili się promem, Omar wziął swój worek i ruszył

w kierunku stacji, by wynająć pokój w jednym z tanich hoteli, których było tu wiele.

Powstała przy tym sytuacja, która później wydawała się niejasna. Ale czy właśnie to, co niepojęte, nie decyduje o naszym życiu? Gdy Omar mijał stary hotel „Edfu”, który —

odkąd go widział ostatnio — wcale się nie zmienił — może tylko drewniana altana przed wejściem bardziej spróchniała —

poczuł nagle nieprzewycięzoną chęć ujrzenia pochylonego starca, właściciela hotelu.

Wewnątrz wszystko było jak kiedyś. Jak dawniej w wąskim korytarzu odpadała ze ścian zielona farba, a tablica z kluczami wisiała na dawnym miejscu. Za ladą siedział otyły łysy mężczyzna, który na pytanie o właściciela odpowiedział, że to on jest nowym właścicielem i czym może służyć obcemu panu. Na pytanie, czy ma wolny pokój i ile taki pokój kosztuje, grubas odpowiedział, że teraz nie jest sezon, więc Omar może wybierać, a co do ceny, to na pewno dojdą do porozumienia.

Omar zdecydował się na pokój na pierwszym piętrze, w którym kiedyś mieszkał dziennikarz William Carlyle i który w porównaniu z innymi pokojami robił lepsze wrażenie. Do księgi gości Omar wpisał nazwisko

Hafiz el-Ghaffar, Sharia Quadri 4, Kairo, nazwisko właściciela domu w Kairze, i ulicę, która była oddalona o kilka domów od tego, w którym mieszkał. Sądził, że w ten sposób będzie jako tako bezpieczny.

Teraz należało pomyśleć, w jaki sposób zbliżyć się do Anglików. Omar przypomniał sobie rozmowę Anglików na pokładzie statku, której był świadkiem, i miał przy tym wrażenie, że obaj mężczyźni wcale nie są archeologami. Znał

archeologów z kilkuletniego pobytu u profesora Shelleya i wiedział, jakim językiem mówią. Tylko czego oni chcieli od Hartfielda?

Omar opadł na łóżko, założył ręce pod głowę i spoglądał na przeciwległą ścianę, na której niegdyś białe tapety były teraz mozaiką rysunków pornograficznych, deklaracji miłosnych, imion angielskich i arabskich i rachunków hotelowych. Omar się zastanawiał: Profesor Hartfield uchodzi za zaginionego.

Czy jego zniknięcie miało jakiś związek z fragmentami tablicy, o której mówił Nagib? Zachodzą tu dwie możliwości: Albo Hartfield szukał dalej potajemnie grobu Imhotepa, albo rywalizująca grupa przywłaszczyła sobie informacje i usunęła profesora — porwała, uwięziła, zabiła. Ale być może Hartfield nie zdradził tego, co wiedział, może potrzebny jest teraz bardziej niż kiedykolwiek, może ci, którym zależało na profesorze, to byli właśnie owi tajemniczy Anglicy?

Pogrążony w tych rozmyślaniach, Omar nagle zdał sobie sprawę, że i on zmierza do jakiegoś mrocznego losu, losu ludzi połączonych jakby jednym łańcuchem wydarzeń, mających ten sam cel przed oczami.

Omar miał ochotę odszukać profesora Shelleya, ale nie wiedział nawet, czy po wojnie wrócił do Egiptu. Poza tym wydawało mu się zbyt ryzykowne nawiązywanie kontaktów z Brytyjczykami. Shelley wprawdzie wiele dla niego zrobił, Omar był mu za to wdzięczny, ich stosunek wybiegał znacznie poza stosunek pana i sługi. Ale wobec zarzutu, jaki od pół

roku ciążył na Omarze, nie było pewne, jak profesor by się zachował. Shelley był Brytyjczykiem, a Omar znajdował się na liście gończej brytyjskiej prokuratury.

Pierwsze kroki Omara prowadziły do przewoźnika, który przewoził obu Anglików na drugi brzeg

Nilu. Za znaczny bakszysz przewoźnik przypomniał sobie, że zawiózł obu do łodzi mieszkalnej „Izis”, należącej do pewnej wytwornej angielskiej lady. Zdradził także, iż Mr. Carter dokonał w Dolinie Królów wielkiego odkrycia i znalazł złoto i drogocenne kamienie, tak w każdym razie opowiadają ludzie z el-Kuraa, ale nikt jeszcze nie widział tego skarbu, bo wejście do pieczary zostało zasypane i ustawiono tam strażników pilnujących terenu dzień i noc. Opowieści tego rodzaju kursują co prawda od początku, od kiedy Carter wybrał

samotną dolinę jako cel życia; a było to dwadzieścia lat temu.

Słońce zaszło za łańcuch gór i zalało skały bladą liliową barwą. Omar kazał się przewieźć na drugą stronę, ale wysiadł

niedaleko od przystani i ostatni odcinek drogi do łodzi przebył na piechotę. Zatrzymał się w pewnej odległości i czekał. Na łodzi zapalono lampy. Teraz, pod osłoną mroku, Omar mógł się odważyć podejść bliżej do łodzi bez obawy, że zostanie zauważony. Przez na wpół otwarte luki docierały do niego urywki ożywionej rozmowy pomiędzy obu mężczyznami a kobietą. W kambuzie z tyłu przygotowywano obiad. Omar wywnioskował to z odpadków kuchennych, które ktoś wyrzucał przez okno. Kucharz prowadził ożywioną rozmowę z drugim Egipcjaninem na pokładzie; nazywał się Gihan, od czasu do czasu znikał w kambuzie i wracał z jakimiś rzeczami. Teraz, kiedy upał ustąpił miłemu chładowi, białe pomalowane deski łodzi trzeszczały i jęczały; Omar wykorzystał tę okazję, by nie zauważony wejść po trapie na łódź. Tam na czworakach dostał się na górny pokład, gdzie ukrył się za dwiema dużymi beczkami, służącymi jako zbiorniki wody i skąd miał widok na salon łodzi.

Żaluzje były opuszczone, ale przez szpary wentylacyjne Omar poznał obu Anglików. Siedzieli przy długim stole pośrodku pokoju nad mapą; naprzeciwko nich lady w długiej białej, arabskiej szacie; włosy miała ukryte pod chustą. Wśród nich kręcił się rudy kot przypominający tygrysa. Niższy spośród dwu mężczyzn, o imieniu Geny, rysował linie łączące poszczególne punkty na mapie i zaznaczał kółkami różne miejscowości, drugi mężczyzna natomiast gorliwie notował.

Trwało dłuższą chwilę, nim Omar zorientował się w rozmowie. Głównym tematem było bezimienne miejsce, gdzie znaleziono zwłoki, gdzieś w delcie Nilu; według rysunku Gerry'ego miejsce to miało związek z rozmaitymi miejscowościami w Dolnym Egipcie, a także coś wspólnego z poszukiwaniem Imhotepa. Zagadką były jednak nie zwłoki, lecz miejsce ich znalezienia, które — leżąc z dala od miejsca zdarzenia — dawało powód do wielu spekulacji.

Nagle padło nazwisko Hartfield i Omar pomyślał, że chodzi o zwłoki profesora Hartfielda; dopiero później, z dalszego toku rozmowy zorientował się, że ludzie ci mieli na myśli żonę profesora.

Lady Dawson dysponowała zadziwiającymi szczegółami; wymieniała nazwiska i podawała fakty, które uświadomiły Omarowi, że to ona gra w tej sprawie główną rolę. Czyżby lady Dawson była agentką tajnych służb brytyjskich? Omar przypomniał sobie czasy, kiedy był u profesora Shelleya; profesor i jego żona utrzymywali wówczas z piękną lady przyjazne kontakty. Czyżby on, Omar, nie wiedząc o tym, służył w domu szpiega?

W tej tak podniecającej dla niego chwili wszystko wydawało się możliwe. Czy mógł wykluczyć, że

Shelley tylko dlatego pozwolił mu

chodzić do szkoły, by go potem wykorzystać jako agenta przeciw własnemu narodowi, że w zrealizowaniu tego zamiaru przeszkodził tylko wybuch wojny? Czy było do pomyślenia, że nocny napad przy kolosach Memnona był inscenizowany przez Brytyjczyków, by podburzyć Omara przeciwko egipskim nacjonalistom? Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby wyskoczył teraz ze swej kryjówki i rzucił się na obu mężczyzn ryzykując przegraną w potyczce.

W naturze Egipcjan leży to, że na każde upokorzenie i obrażę odpowiadają przesadnym gniewem i pragnieniem krwawej zemsty, ale w ich naturze leży także i to, że po krótkim słomianym ogniu stają się bardzo tolerancyjni.

Podobni są do słoni afrykańskich, o których wiadomo że z pozorną obojętnością znoszą ból, aż wreszcie mają dość i planowo i mądrze atakują wroga. Gdyby Omar się teraz ujawnił, przyprawiłby o szok tych ludzi, miałby przy tym niewątpliwie krótką satysfakcję, ale w efekcie zaszkodziłby tylko całej sprawie, a najbardziej sobie. Jeśli chce naprawdę zaszkodzić Brytyjczykom, musi ich złapać w pułapkę zwaną Imhotep; nie dopuści, aby ta banda zdobyła łup.

Podczas gdy Omar jednym uchem śledził rozmowę, starał

się uporządkować to, co usłyszał. Zwłoki Mary Hartfield znaleziono gdzieś pomiędzy Raszid a Fuwą, na pustyni w okolicy delty Nilu. Ale nie było żadnego śladu profesora. A przecież na podstawie jego wiedzy i dokumentów Anglicy spodziewali się uzyskać decydującą wskazówkę. Gdyby Hartfield i jego żona zostali zaskoczeni na pustyni przez burzę piaskową — a było to całkiem możliwe — również profesor by zginął. Bo gdyby uszedł z życiem, na pewno nie spocząłby, dopóki by nie znalazł zwłok swojej żony, aby je pochować. Z

drugiej strony wszyscy, którzy szukali Imhotepa, znali profesora Hartfielda. Możliwe więc, że profesora porwano lub zamordowano, aby zdobyć jego dokumenty, i że śmierć jego żony zainscenizowano, by odwrócić uwagę od pierwszej zbrodni.

Wszystkim przychodzącym Omarowi na myśl w związku z tą sprawą, można było przypisać morderstwo: Tadamaniowi, który szukał władzy i wpływów, wywiadowi brytyjskiemu, który nie podzieliłby się władzą z nikim, i Ayatowi, którego fascynowało wszystko, co obiecywało pieniądze.

Omar popadł w głęboką zadumę nad sytuacją, zapomniał

przy tym, gdzie się znajduje; zrobił nieostrożny ruch i potracił

butelkę, która upadła na podłogę i rozbiła się. Przez chwilę Omar się zawahał, czy skoczyć do Nilu, czy uciec po trapie, ale zdecydował się na drugie wyjście i zanim Anglicy —

jeden uzbrojony w strzelbę — zjawili się na pokładzie, Omar już był na brzegu i znikł w ciemnościach.

Z bezpiecznej odległości obserwował, co się dzieje na łodzi, widział jak mężczyźni przeszukują

pokład. Usłyszał, jak jeden z nich wyraża przypuszczenie, że to kot przewrócił

butelkę. Wobec tego wycofali się Omar zaś udał się z powrotem do miejsca, gdzie czekał na niego przewoźnik.

KONSULAT W ALEKSANDRII

A jeśliby Bóg przyśpieszy! ludziom zło, tak jak oni chcieliby przyśpieszyć dla siebie dobro, to ich termin byłby już rozstrzygnięty.

Lecz my pozostawiamy tych, którzy się nie spodziewają spotkania z Nami, aby w swoim zablądzeniu wędrowali na oślep. Koran, sura X

Jak opętani przez diabły rzucili się tragarze, służący hotelowi, ludzie wynajmujący pokoje i handlarze na pasażerów, którzy wąskim trapem schodzili z pokładu

„Méditerranée”. Dozorcy portowi w swych wypłowiałych białych uniformach wymachiwali trzcinią, by odpędzić od pasażerów z Europy najbardziej natrętnych. Zachodni port Aleksandrii, gdzie cumowały luksusowe statki europejskich towarzystw okrętowych, przypomina! kocioł czarownic, a ludzie z portu sprawiali wrażenie, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci.

Wyrostek o ostiym głosie zachwalał zębacze, jeżowce i mątwy. Nosił swój towar na kijku przerzuconym przez ramię.

Drugi handlarz oferował placki i ciastka miodowe; sprzedawcy napojów proponowali herbatę i lemoniadę; ślepiec, który swoje kalectwo z dumą ukrywał za ciemnymi okularami, zachęcał do kupna kwiatów dla pań; zgięty pod ciężarem swego towaru, stary garbus nęcił wyplatany koszykami i walizkami.

Statek „Méditerranée” przebywał trasę z Marsylii w ciągu pięciu dni, czternastu godzin i trzydziestu minut i uchodził nie tylko za jeden z najszybszych statków na Morzu Śródziemnym, ale także za najbardziej komfortowy. Nic więc dziwnego, że tylko wytworni państwo schodzili na ląd, i nic dziwnego, że ludzi w porcie ogarniało szaleństwo. Za kilku-osobową rodziną — ojciec, matka i trzy dorastające córki wraz z guwernantką — której członkowie zwracali uwagę swą wytworną odzieżą i skromnymi nakryciami głowy, zeszło na ląd czterech mężczyzn ubranych na ciemno, każdy z dużym bagażem. Przez hałaśliwy szpaler ludzi przeciskał się elegancki pan z laseczką, w białych rękawiczkach, który w podnieceniu machał do owych czterech przybyszów.

—
Panowie pozwolą, Sachs-Villatte! — przedstawił się uprzejmie i stał na baczność jak pływak szykujący się do skoku do wody. Doktor Paul Sachs-Villatte był konsulem francuskim w Aleksandrii, człowiekiem

o wytwornym smaku i manierach i entuzjastą wszelkiego rodzaju kultury. Pochodził z Alzacji, co tłumaczyło jego nazwisko i w pewnym sensie jego miłość do Beethovena, choć poza tym nienawidził wszystkich Niemców jak zarazy.

Ciemno ubrani panowie w średnim wieku, którzy kolejno się przedstawili, byli to: profesor François Milléquant, archeolog i kierownik działu egipskiego w Luwrze, profesor Pierre d'Ormesson, historyk z uniwersytetu w Grenoble i członek tamtejszej Akademii Nauk, Edouard Coursier, badacz języków w Collège de France w Paryżu i Emile Toussaint z Deuxième Bureau.

Na znak konsula tragarze rzucili się do bagażu przybyszów.

Sachs- -Villatte podał adres: Sharia el-Horria 12, konsulnat francuski. Mężczyzn zaprosił do stojącego na uboczu olbrzymiego kabrioletu Lorraine-Dietrich, którego prowadzenie sprawiało mu najwyższą radość.

Szeroki nadbrzeżny bulwar, wysadzany wysokimi palmami, obejmował morze rozległymi ramionami naturalnej zatoki.

Pałace, ambasady, towarzystwa żeglugowe i ekskluzywne hotele nadawały miastu — założonemu przez Aleksandra Wielkiego, który podobno rzucił płaszcz na ziemię i mieczem narysował na piasku jego kontury — wygląd europejski, przypominający trochę Niceę, trochę Monte Carlo.

Elegancy panowie i gdzieś tam nawet europejskie panie zapełniali uliczne kawiarnie, popijali, gawędzili, palili, dyskutowali o przewidywanej prohibicji w Ameryce, o epidemii grypy, która nawiedziła całą Europę i pochłonęła miliony ofiar, i o eksperymencie w Niemczech i Ameryce, polegającym na przekazywaniu głosu i muzyki za pośrednictwem eteru. Z dala od nowych czasów, kiedy to dwaj dzielni lotnicy przelecieli w ciągu szesnastu godzin z Nowej Fundlandii do Szkocji, a nowy gatunek muzyki, zwany dżezem, przybył do Europy i szturmem zdobył sale koncertowe, kluby, spokojne bary, miasto to miało oblicze zachodnie, ukrywając głęboko swą orientálną duszę.

Mudirowie, marmurze, omdahowie i szejkowie w długich białych galabijach spotykali się z dumnie noszącymi swe mundury oficerami okupantów brytyjskich, a żołnierze krajowej armii konkurowali z nimi lśnieniem i blichtrzem swoich mundurów. Mroczny, nędzny świat oszustów, złodziei, kalek, ludzi wygłodniałych, których w Kairze można było spotkać nawet w wytwornych dzielnicach, tutaj był zepchnięty na przedmieścia albo ukazywał się od strony bardziej przyjaznej, malowniczej.

Konsulat francuski na Sharia el-Horria mógłby się równie dobrze znajdować na paryskiej rue de Saint Honoré, londyńskiej Pall Mall albo Unter den Linden w Berlinie, taki był pompatyczny, wypielęgowany i sprawiał wrażenie doskonałego pod względem architektonicznym. Kiedy konsul zajechał przed wejście, dwaj portierzy ubrani na szaro otworzyli szeroko drzwi kabrioletu i Sachs-Villatte poprosił

gości do salonu znajdującego się od strony ogrodu, o starannie wybitych czerwonym jedwabiem ścianach i ogniście złotym umeblowaniu w stylu Ludwika XV, z pewnym jednak odcieniem orientalnym, co wyrażało się w mosiężnych i miedzianych dzbanach, a także czarno-białej posadzce z marmuru damasceńskiego.

Służący podali pienistą czarną kawę w mikroskopijnych filiżankach, a także francuskie ciasteczka

polane miodem i sokiem cytrynowym, do tego koniak, oczywiście francuski.

Wszystko to odbywało się z tak wielkim wyczuciem i starannością, że można by przypuszczać, iż kryje się za tym wytrawna ręka pani konsuJowej; jednak wcale tak nie było: PauJ Sachs-ViJJatte, wychowany bez egzaltowanej matki przez guwernantkę o bujnych piersiach, po studiach prawniczych, zgodnie z życzeniem ojca, zaręczony przez trzy lata i trzy miesiące z pewną alzacką córką szlacheckiego rodu, nigdy nie miał właściwych kontaktów z kobietami i po rozwiązaniu nieszczęśliwego narzeczeństwa pozostał kawa-lerem, co początkowo nie zwracało uwagi; dopiero kiedy na początku swojej kariery dyplomatycznej trafił do Maroka, zyskał opinię dziwaka, przede wszystkim z powodu organizowania szczególnego rodzaju męskich wieczorów.

Głośna afery z pewnym muskularnym członkiem straży przybocznej króla Maroka omal nie zwichnęłyby jego dyplomatycznej kariery jako attaché kulturalnego, gdyby nie pomoc wysokiego urzędnika francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które miało zadecydować o

jego przyszłym losie i groziło surową karą. Urzędnik ten, jeden z wielu, którzy obcowali z Sachsem-Vülattem, nazywany tylko „dr C.”, obiecał mu zatuszowanie całej sprawy i przeniesienie gdzie indziej na wyższe stanowisko, pod warunkiem że w przyszłości obok swej właściwej dzia-

łalności przyjmie on zadania agenta Deuxième Bureau.

Zdarzyło się to siedem lat temu i Sachs-Villatte nie miał

innego wyboru, niż zgodzić się na placówkę w Aleksandrii, gdzie kierował komórką szpiegowską na Egipt i Bliski Wschód; działalność owej komórki skierowana była bardziej przeciwko Wielkiej Brytanii niż przeciwko tutejszym krajom.

Albowiem odkąd angielski admirał Nelson przed stu dwudziestu laty rozbroił flotę Napoleona pod Abukirem, Anglia zachowywała się na Morzu Śródziemnym jak pan i władca, i od tego czasu — mimo łagodzących umów — wciąż trwała anglo-francuska rywalizacja, przy czym decydującą rolę odgrywały w niej tajne służby.

Sachs-Villatte starał się ułożyć współpracę jak najbardziej rodzinnie i swojsko, aby nie zrazić naukowców z Francji, którzy pod różnymi pretekstami byli kierowani do Egiptu, i dopiero na krótko przed swoim odjazdem informowani o prawdziwym powodzie tej podróży. Sachs- -Villatte załatwił

dla Francji oficjalną zgodę na prowadzenie wykopalisk w Sakkarze. Celem badań i wykopalisk, na które przeznaczono sumę 25 000 franków, pochodzących z niewiadomego źródła, był kompleks grobów na północ od piramidy stożkowej, gdzie przed ponad pół-

•Aict/cm Manette, wielki archeolog francuski, prowadził

poszukiwania, nic rozczarowany po dwóch tygodniach bezskutecznych wysiłków — zrezygnował.

Ale ta licencja posłużyła Sachswi-Viliatte'owi tylko jako pretekst. Prawdziwym celem przedsięwzięcia, które w Deuxième Bureau miało kryptonim „Vacance”, co oznaczało zarówno „wakacje”, jak i „wolne miejsce”, była obserwacja aktywności innych służb wywiadowczych i

organizacji w sprawie grobu Imhotepa i jego ewentualnego odkrycia.

Widoki Francuzów na powodzenie wydawały się me mniejsze niż innych kontrahentów. Kiedy profesor Milléquant dowiedział się z pogłosek o grobie Imhotepa, iż wypłynęły na światło dzienne fragmenty pisma, przypomniał sobie korespondencję pomiędzy muzeum berlińskim a Luvrem, która odnotowana była w annałach archiwum. W tej akademickiej wymianie listów chodziło o dwa fragmenty bazaltowej tablicy, które — tak przypuszczali Francuzi —■

mogły stanowić całość, ale których treść z uwagi na brak dalszych fragmentów pozostawała niejasna. W ten sposób Luwr wszedł w posiadanie kopii tekstu berlińskiego, ale przerwał dalsze badania, bo tekst wydał się naukowcom mało przejrzysty.

Archeolodzy francuscy korzystali w Sakkarze w pewnym sensie z praw tego kraju, odkąd Auguste Mariette odkrył tu podziemny labirynt z sarkofagami dwudziestu czterech byków Apisa, i nowa licencja w tej samej okolicy raczej nie budziła podejrzeń. Sakkara, nekropolia dawnej stolicy państwa, Memfis, ciągnęła się po lewej stronie Nilu od skat koło Abu-Roasch do Liszt na długości około czterdziestu kilku kilometrów, nazwa, tak przypuszczano, dotyczyła Sokara, boga śmierci. Kiedy w innych okolicach Egiptu szukano skarbów, badano stare budowle* nikt nie interesował się tą opuszczoną przez Boga i ludzi okolic.), w której tylko kilka małych, zapadłych piramid przypominało wielkie czasy tego kraju, a także odkrycie Maricctc'a nie było skutkiem mozolnych poszukiwań, lecz dziełem przypadku. Podczas jazdy konnej na południu omal nie wpadł on do ciemnego, głębokiego dołu, który znajdował się pośrodku piaszczystej pustyni i okazał się wejściem do podziemnego labiryntu.

Mimo wysiłków Sachsa-Viüatte'a w konsulacie panował

nerwowy nastrój, nie tylko dlatego, że mężczyźni byli zmęczeni po pięciodniowej podróży morskiej podczas sztormu, który przez całą noc szalał na Morzu Śródziemnym; prawdziwy powód tkwił w formie, w jakiej każdy z nich został

zobowiązany do wykonania swego zadania. Deuxième Bureau przez całe miesiące obserwowało naukowców, wykrywając przy tym sprawy, które były niegodne badaczy tej rangi i mogły zniszczyć ich godność i karierę.

Nietrudno sobie wyobrazić, co by było, gdyby się dowiedziano, że profesor François Milléquant, przystojny mężczyzna w sile wieku, żonaty, ojciec dorosłej córki, która miała niepłonną nadzieję, że poślubi sekretarza Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, że ten Milléquant utrzymuje intymne kontakty z własną pasierbicą, subtelną, czarnooką, dziewiętnastoletnią dziewczyną, którą owdowiała żona wniosła do małżeństwa z nim.

Oczywiście jeden nie wiedział o pięcie achillesowej drugiego, chociaż każdy przeczuwał, że i kolega nie przyłączył się do tej akcji dobrowolnie. Na przykład nikt by się nie spodziewał, że d'Ormesson, profesor pochodzący ze starego szlacheckiego rodu, obraca się w kręgach graczy i podejrzanych handlarzy sztuki i że wystawia fałszywe ekspertyzy. Wysokie dochody uboczne służyły profesorowi do pokrywania długów karcianych, które po sprzedaży zamku nad Izerą dawno już przerastały jego możliwości płatnicze.

A z pewnością także Coursier, badacz języków w Collège de France, czterdziestoletni światowiec, kawaler, ze szramą na policzku, uprawiający swój zawód raczej z zamiłowania niż dla pieniędzy, odkąd sprzedał swój majątek, dobra ziemskie pod Aubusson, a więc ten Coursier na pewno z oburzeniem odrzuciłby propozycję współpracy z wywiadem, gdyby nie pewna nieszczęsna historia, która wydarzyła się 3-4 lata temu i wzbudziła w Paryżu wielką sensację. Znalaziono wówczas pod Sure-snes, w pobliżu Alée de Longchamp, śpiewaka operowego nazwiskiem Louis de Bergerac, który został

zastrzelony. De Bergerac należał do bliższych przyjaciół

Coursiera, dopóki obaj nie pozarli się z powodu baletnicy nazwiskiem Cleo de Merode, która niegdyś osładzała pobyt w Paryżu belgijskiemu królowi Leopoldowi. Kłótnia zakończyła się pojedynkiem na pistolety, podczas którego śpiewak zginął, co zdumiało nawet Coursiera, albowiem nigdy dotąd nie miał

broni w ręku. Poszukiwanie mordercy nie dało rezultatu, było bowiem tylko dwóch świadków, sekundantów obu przeciwników, a ci przyrzekli, że będą milczeć. W jaki sposób Deuxième Bureau wykryło aferę, pozostało dla Coursiera zagadką. Postawiony wobec wyboru: albo pracować dla wywiadu, albo zamieszkać w celi paryskiego więzienia, zdecydował się na wywiad.

Wszyscy podlegali nadzorowi kierownika Działu Bliskiego Wschodu, Emille'a Toussainta, mężczyzny trzydziestokilkuletniego, niedużego wzrostu, o czarnych krzaczastych brwiach, z włosami zaczesanymi na czoło à la Cezar; był on stale zajęty swoimi licznymi fajkami, które wyciągał ze wszystkich kieszeni, ale rzadko zapalał.

Świadomy szantażu, jaki uprawiał jego wydział, Toussaint stosował wobec tych ludzi ostry ton, a sporadyczny szeroki uśmiech, który od czasu do czasu rozjaśniał jego ponurą twarz, działał prowokująco na innych. Sachsa-Villatte'a traktował z rezerwą, bo nie wiedział wprawdzie, ale mógł się domyślać, że temu agentowi również jego przeszłość jest znana.

W ten sposób należy tłumaczyć przykre milczenie, jakie naraz zapanowało, przerywane od czasu do czasu chrząknięciem, co jednak nic poprawiało sytuacji, wręcz przeciwnie, pogarszało ją, bo potwierdzało nieprzyjemne uczucie każdego z mężczyzn. Toussaint napełniał fajkę; Coursier, który zdawał się najlepiej panować nad sytuacją, bębnił palcami po stole; konsul bez przerwy mieszał herbatę w małej filiżance, a wszyscy go przy tym obserwowali.

W tej dziwnej sytuacji Sachsa-Villatte'a po raz pierwszy ogarnęły wątpliwości, czy ci mężczyźni istotnie wywiążą się z narzuconej im roli. To był jego pomysł, aby powierzyć zadanie zespołowi fachowców, i jego pomysłem był też sposób, w jaki tych ludzi zwerbowano. Pół tuzina agentów, którzy już zajmowali się tym problemem, narobiło więcej zamieszania, niż przyniosło pożytku, przeważnie dlatego, że brak im było niezbędnej wiedzy fachowej.

—
Pragnąłbym — zaczął konsul ceremonialnie, odłożywszy łyżeczkę

— przedstawić panom pokrótce sytuację. Wiedzą panowie, o co chodzi. Sprawa jest zbyt poważna, byśmy ją zostawili Brytyjczykom lub nacjonalistom. Poza tym to nasz narodowy interes. Bądź co bądź to Francuz odcyfrował kamień z Rosetty, miasta, które oni dziś nazywają Raszid. — Konsul zrobił pauzę. Po chwili ciągnął dalej: — Nie wiemy dokładnie, kto chce wykryć tajemnicę, ale powinni się panowie przygotować na to, że będą mieli liczną konkurencję. Moi ludzie wykryli trzy dalsze grupy, które są na tropie Imhotepa.

Są to, po pierwsze, Brytyjczycy. Dokładna ich liczba nie jest znana, liczbę ich agentów oceniamy na około dziesięciu.

Dysponują pływającą kwaterą główną, łodzią mieszkalną o nazwie „Izis”, obecnie cumującą w Luksorze. Nakłady finansowe i możliwości Brytyjczyków wskazywałyby na to, że są naszymi najpoważniejszymi konkurentami. Druga grupa jest liczebnie największa, dla nas jednak najmniej przejrzysta.

Prawdopodobnie chodzi tu nawet o kilka grup, które działają pod osłoną haseł nacjonalistycznych. O ile nam wiadomo, nie mają żadnych ekspertów, naukowców, archeologów, ich działalności jednak nie wolno lekceważyć, bo mają szerokie poparcie ludności. Trzecia grupa składa się z handlarzy sztuki i antykwariuszy; ich nici zbiegają się w Luksorze. Ich działalność wskazuje na profesjonalizm, pomagają sobie łapówkami. Dysponują dużym zapleczem finansowym, a kto wie, jaką rolę w tym kraju odgrywa korupcja, musi się poważnie liczyć z tymi ludźmi. Jeśli idzie o Niemców, to możemy się tylko domyślać ich aktywności. Nie mamy dowodów, że również Niemcy szukają Imhotepa, nie istnieją żadne oficjalne licencje na wykopaliska, ale prawdę mówiąc, zdziwiłbym się, gdyby Niemcy nie działali pod jakąś przykrywką.

Coursier, którego ten problem jednak interesował, zapytał

konsula: — Jak pan sądzi, kto ma najdogodniejszą pozycję wyjściową? Albo inaczej: Jak pan ocenia nasze szanse?

Toussaint przejął odpowiedź: — C'est clair comme l'eau de roche (to jasne jak słońce!). To my mamy wszelkie atuty w rękę. Bo jeśli wyjść z założenia, że tablica z Raszid jest kluczem do rozwiązania problemu, to znaczy, że wiemy o trzech fragmentach, a pozostali tylko

o dwóch.

—• Jeśli założymy, że Niemcy nie uganiają się za Imhotepem. — wmieszał się do rozmowy Milléquant.

— I że zapomnieli o korespondencji z Luwrem! —

uzupełnił d'Ormesson.

— W tej chwili nie mogę nic na ten temat powiedzieć —

odparł konsul. — Ale póki się nie okaże coś przeciwnego, startujemy z tego samego punktu, a zatem stan naszych informacji jest najlepszy.

Na te słowa Sachsa-Villatte'a Coursier wybuchnął

śmiechem. Wyjął z torby podróźnej kilka gęsto zapisanych kartek, poślinił palec, wyciągnął jedną kartkę, którą położył

przed zebranymi na stole.

Coursier zaśmiał się beztrosko, wywołując tym zdenerwowanie Toussainta, który uznał ten śmiech za niestosowny.

—

Monsieur! — powiedział Toussaint stanowczo. —

Deuxième Bureau powołało pana ze względu na pańskie kwalifikacje jako badacza starożytnych pism; gdyby potrzebny nam był komik, zwrócilibyśmy się do Comédie Française.

Uwaga trafiła w sedno, wesoła mina Coursiera skamieniała.

—

Poza tym — ciągnął Sachs-Villatte dalej —

powinien się pan trzymać Champolliona. Jeśli się nie mylę, wykladał on także w Collège de France i znał się doskonale na hieroglifach, choć Niemcy i Anglicy twierdzą, że już dawno rozszyfrowali ich tajemnicę.

Coursier zorientował się, że z Toussaintem nie ma żartów.

Ten, kto dostał się w jego łapy, nie mógł liczyć na pobłażanie, a wszelki opór tylko by jeszcze bardziej zaognił sytuację.

Toussaint miał rację: ich pozycja wyjściowa wcale nie była taka słaba, jak by się wydawało. A że inni nie wiedzieli nic o Francuzach, mogło im wyjść tylko na dobre.

—

Jeśli dobrze pana zrozumiałem — rzekł profesor Milléquant, zwracając się do Sachsa-Villatte'a — będziemy prowadzić wykopaliska w Sakkarze, ale tylko pozornie, a nasza uwaga ma być skoncentrowana na poszukiwaniu Imhotepa.

Konsul kiwnął głową. — Zaangażowałem dla panów dwudziestu pięciu robotników. Nie za wielu, aby nie obciążać naszego budżetu, i nie za mało, aby nie budzić podejrzeń, że kopujemy tylko dla pozorów. Stawią

się pojutrze do panów dyspozycji. Waszą kwaterą będzie dom francuskiej misji wykopaliskowej na

skraju pustyni. Dziś mogą się panowie zagospodarować w pokojach gościnnych w ogrodzie.

Coursier wiercił się niespokojnie na krześle. Widać było, że chce coś powiedzieć, więc Sachs-Villatte zapytał go: — Czy ma pan jakieś zastrzeżenia?

—
Nie, nie — zaprzeczył Coursier i starał się zachować powagę, kiedy pytał: — Przypuśćmy, że podczas naszych prac wykopaliskowych w Sakkarze nieoczekiwanie natrafimy na grób [mhotepa. Coś takiego może się przecież zdarzyć? Co wtedy?

Nastąpiła długa pauza. Sachs-Villatte spojrzał na skonsternowanego Toussainta, jak gdyby Coursier powiedział

coś tak nieprawdopodobnego jak kwadratura koła, Toussaint spojrzał na d'Ormessona; ten wzruszył ramionami i popatrzył na Milléquanta. Profesor powtórzył: —

No tak, co wtedy?

Sachs-Villatte przeszło trzy miesiące zajmował się wyłącznie szukaniem grobu Imhotepa, liczył się ze wszystkimi ewentualnościami i możliwościami, kazał

wyszukać najlepszych ludzi i w Deuxième Bureau wytargował

kwotę, która wystarczyła, by zbadać całą Sakkarę, ale jednego nie wziął pod uwagę: co będzie, jeśli naprawdę trafią na otoczony tajemnicą grób. W każdym razie nie było instrukcji, co robić w takim wypadku. A przecież konsul, zapędzony w kozi róg, nie mógł dłużej zwlekać z odpowiedzią, rzekł więc:

— W takim wypadku należy wejście natychmiast zasypać i zachować milczenie, dopóki nie nadejdą dalsze instrukcje z Paryża.

Odpowiedź nie mobilizowała załogi do pracy, mężczyźni dali temu wyraz w pytaniach i odpowiedziach, w których przemawiała przeważnie obojętność. Niech diabli porwą całe to Deuxième Bureau. Sytuacja bez wyjścia, bezradność, konieczność, która zmusiła każdego z nich do włączenia się w tę akcję — teraz wszystko to zamieniło się w opór i oburzenie.

Dlatego też Sachs-Villatte uznał za stosowne zwrócić się do obecnych z napomnieniem: Każdy z nich wie, o co tutaj chodzi, i każdy musi wypełniać swe obowiązki wobec ojczyzny.

—
Vive la France! — Coursier z ironią zareagował na słowa konsula okrzykiem, z którego żadnemu Francuzowi nie wolno było kpić. A kiedy zobaczył skierowane na siebie spojrzenia, obawiając się przykrej reakcji, nagle zapytał: —

Wcześniej czy później zetkniemy się z Brytyjczykami, nacjonalistami egipskimi albo Niemcami, co wtedy?

Na to pytanie Sachs-Villatte był przygotowany. — Do takiej sytuacji po prostu nie wolno dopuścić. Ale Deuxième Bureau zdaje sobie sprawę, że taki przypadek nie jest wykluczony. Nakazuje się wówczas zachować tajemnicę, a to znaczy: Nie wolno, by ktokolwiek wątpił w wasze prace wykopaliskowe, musicie nadać im charakter naukowy. W

waszych szkicach i rysunkach nie wolno wspominać imienia Imhotepa. Zabrania się rozmów na ten temat w obecności robotników czy też w zasięgu ich uszu, bo któryś z nich może rozumieć po francusku. Gdyby doszło do jakiejś konfrontacji albo konfliktu, czy też sytuacja zmusiłaby was do natychmiastowego przerwania robót, należy posłużyć się hasłem

„faraon”. Dotyczy to zarówno rozmów między wami, jak i korespondencji z centralą w Aleksandrii. W takim wypadku należy zatrzeć wszelkie ślady i czekać na nowe instrukcje.

Emile Toussaint zapalił fajkę i puszczał dym jak z lokomotywy. Zezował na kartkę Coursiera, a ten zrozumiał

jego spojrzenie i podsunął mu tekst: — Czytałem to już setki razy, ale nie posunąłem się ani o krok dalej.

Wściekły z powodu obojętności wszystkich obecnych.

d'Ormesson uderzył pięścią w stół. On jedyny pogodził się z losem i nawet chętnie brał w tym zadaniu udział. — W ten sposób — zawołał podniecony — do niczego nie dojdziemy.

Co pocniemy z tymi nędznymi fragmentami, o których nawet nie wiemy, czy należą do owej tablicy.

Potrzeba nam śladów, wskazówek, a nie przypuszczeń.

Te słowa d'Ormessona ogromnie uraziły profesora z Luwru.

Millequant włożył okulary, wziął kartkę i zaczął czytać, jakby wygłaszał odczyt: — W tym tekście chodzi niewątpliwie o fragmenty owej płyty bazaltowej, które pojawiły się w Paryżu, Berlinie i Egipcie. Nie ulega wątpliwości, że fragmenty berliński i egipski należą do siebie, bo oba teksty do siebie przystają. Jeśli idzie o fragment z Luwru, to nic ma co prawda bezpośredniego związku z żadnym z obu pozostałych, ale jeśli się przyjrzeć kolejności linijek, nie ulega wątpliwości, że pasują one do siebie. Dowodzi tego wielkość pisma, głębokość rytów i cechy poszczególnych liter. Gładki dolny lewy skraj naszego fragmentu wskazuje, że jest to segment narożny.

—

Ce sont de contes en lair — czczy gadanina! —

przerwał profesor d'Ormesson koledze z Paryża. —

Przypuśćmy, że ma pan rację, ale musi pan przyznać, że pański fragment jest guzik wart, jeśli nie zostaną znalezione części znajdujące się pomiędzy tamtymi, o których nawet nie wiemy, czy chodzi o jeden, dwa lub trzy fragmenty, czy spoczywają one jeszcze na pustyni Raszid lub może przed stu laty zostały wykopane

zalegają dziś w magazynach wśród tysiąca innych odłamków.

Millequant wzruszył ramionami. Ich punkt wyjścia nie był

najlepszy, musiał to przyznać. Archeologia może być odurzająca jak opium, pobudzająca jak szampan, ale też sucha jak wiór. Ale czy właśnie nic na tym polega cały urok ich zadania?

UCIECZKA

r

I skądkolwiek byś przychodził,

; ' „

zwracaj twarz ku świętemu Meczctowi!

,

To jest prawda od twojego Pana!

Bóg nic lekceważy tego, co czynicie!

Koran, sura II

W karawanseraju, dobrą milę na południowy wschód od Asuanu, w umówionym dniu Nagib ek-Kassar przejął pięć skrzyń korzeni z Sudanu.

Upał, miliony tłustych czarnych much i bąków, które z lubością siadały na oczach, nosie, ustach, bardzo dawały się we znaki. Nagib pospiesznie wynajął wóz zaprzężony w byka, który przewiózł ładunek do miejsca, gdzie cumował statek.

Stary fellach o ciemnej pomarszczonej twarzy obiecał załatwić sprawę za pięćdziesiąt piastrów; była to paskarska cena, ale Nagib pragnął jak najprędzej się stąd wynieść; od kilku dni żył

bowiem w nieustannym strachu.

Ostatnią noc spędził w hotelu „Abtal el-Tahir”, taniej gospodzie, której okna były zabite, aby nie dostawał się do środka upał. Wolał ominąć malowniczy hotel „Cataract” nie tylko z powodu wysokiej ceny, lecz przede wszystkim z powodu tamtejszych gości, przeważnie Anglików. Lecz także w „Abtal el-Tahir” roiło się od cudzoziemców i Nagib w obawie przed zdemaskowaniem wcześniej udawał się do swojego pokoju. Ale trudno mu było zasnąć. Tkwiły w nim głęboko strach, a także nienawiść. Brytyjczycy zajęli najpiękniejsze części kraju, Egipcjanie zaś wciąż jeszcze czekali na spełnienie danego im przed wojną przyrzeczenia, że zwrócą im ojczyznę.

Stary szedł w milczeniu obok zaprzęgu, podczas gdy Nagib w chustce na głowie jako osłonie przed palącym słońcem kazał się wieźć. Będzie rad, myślał, kiedy wraz z ładunkiem dotrze do celu. Dopiero teraz zrozumiał, w co się zaplątał.

Policja, przeważnie pod obserwacją brytyjskich żołnierzy, stała niemal na każdym rogu.

Nic więc dziwnego, że Nagib — myśląc o swojej sytuacji

— nie zwracał uwagi na piękno przyrody. Jego niepokój wzmagala wątpliwość, dlaczego Ali ibn al-Hussein sam nie przejął ładunku, dlaczego obarczył tym zadaniem właśnie jego i Omara, choć nie miał przecież pewności, że może im ufać.

Nagib przyglądał się skrzyniom. Były zbite z surowego drewna, wzmocnione paskami cienkiej blachy i miały na górze napis arabski „Chartum-Kair”. Nagib czuł się niepewnie w swej skórze, nie wiedział, co te skrzynie zawierają, i im bardziej intensywnie myślał o tej

ryzykownej misji, tym większe były jego wątpliwości, czy istotnie chodzi tu o transport korzeni, czy też o coś tajemniczego, zakazanego. Już raz przypisano mu przestępstwo, którego nie popełnił, trudno więc się dziwić, że teraz obawiał się zasadzki.

Nagle drgnął, gdy stary zatrzymał zaprzęg. Pracownik portowego towarzystwa transportowego z jednym okiem zasłoniętym turbanem zaczął pomagać przy wyładowywaniu, oświadczył, że odpłynięcie statku przeciągnie się aż do późnych godzin wieczornych, i zapytał, dokąd płynie ładunek.

Do Kairu, odparł Nagib i wskazał napis na jednej ze skrzyń, wobec czego urzędnik pozwolił wnieść ładunek na pokład.

Statek nie odpłynie przed godziną dziesiątą, powiedział i mrugnawszy okiem, dodał, że w Sharia Amir el-Goush są dziewczyny za pięć piastrów

Z mocnym postanowieniem, że nie wróci już do ładunku, Nagib znikł w zgiełku bazaru Asuanu. Dokoła niego panował

ożywiony ruch. Handlarze z południa, odważni synowie pustyni, próbowali handlować z tutejszymi kupcami i wymieniać owoce, skóry i dywany na żywność i odzież.

Skrzeczenie drobiu zamkniętego w wyplatanych klatkach konkurowało z głośnym nawoływaniem handlarzy, którzy balansując mosiężnymi tacami na głowach, proponowali słodkie ciasta i czerwone oraz zielone napoje. Na sprzedaż wystawione były galabije w jaskrawych barwach i worki surowej białej bawełny, galanteria z kolorowego szkła, esencje i tanie perfumy, które rozsiewały tysiące zapachów. Wśród tego surowe mięso i kipiące kotły pełne piekielnie ostrych jarzyn, sprzedawanych w małych porcjach.

Barwny widok, a także zmieniające się stale zapachy drażniły Nagiba i nie przyczyniały się do uśmierzenia jego niepokoju. W każdym kupcu, w każdym obcym węszył

szpiega, zdrajcę i prześladowcę.

Nagib nie miał odwagi się zatrzymać, pędził jak szalony po ulicach, osłoniętych przed słońcem starymi workami jak baldachimem, niezdolny do podjęcia żadnej decyzji. Jakby był

pod wpływem narkotyków, dawał się nieść prądowi niczym papierowy statek, myśląc, niech będzie, co ma być, stale mając w świadomości swe trudne położenie. Zmęczony i rozbity, padł na krzesło ulicznej kawiarni, wypił kilka kieliszków any- zówki i kilka filiżanek czarnej kawy, po czym popadł w stan głębokiej rozpacz.

W swym przygnębieniu nie spostrzegł, że zapadł już wieczór i że złote światła zamieniły bazar w lśniący gabinet lustrzany jak w scenie z tysiąca i jednej nocy. Także jękliwa, czasem dziko brzmiąca muzyka, z jaką wędrowni muzykanci ciągnęli od kawiarni do kawiarni, nie docierała do niego.

Byłby chyba zasnął, gdyby nie poczuł czyjejś ręki na ramieniu.

To dotknięcie było dla Nagiba jak uderzenie bicia; pomyślał, że nadszedł kres jego wolności. Nawet nie przyszło mu do głowy, aby uciekać. Niezdarnie podniósł się z krzesła.

Dopiero kiedy obcy mężczyzna go zagadnął, że już pora, jeśli chce zdążyć na statek, Nagib poznał jednookiego robotnika portowego. Na Allaha, a więc wprowadził się już w taki stan, że nie potrafi odróżnić złudzenia od rzeczywistości, i nawet teraz nie wiedział z całą pewnością, czy sobie to wszystko wyobraża, czy też bezwolnie idzie obok jednookiego. A jednak naprawdę szedł z tamtym, odpowiadał na jego pytania i słuchał jego gadaniny, nie rozumiejąc słów.

Na statku przepelnionym ludźmi jednooki zainkasował

należność za przejazd i bagaż i opuścił Nagiba. Nieliczne kabiny były zajęte, Nagib pozostał na pokładzie obok skrzyń, gdzie było chłodniej. Leżąc na jednej ze skrzyń, spoglądał na rozgwieżdżone niebo. Z górnego pokładu dochodziła do niego głośna rozmowa, słyszał nieregularny rytm fal i miarowy stukot wielkich kół łopatkowych. Wielogodzinny strach ustąpił teraz miejsca zubożeniu, a nawet pewności, że może się czuć bezpiecznie.

Nagib miał nadzieję, że Omar spotka się z nim w Luksorze; przeklinał po trzykroć, że pozwolił mu obrać własną drogę.

Jeśli mają się stawić w wyznaczonym terminie w Kairze, to Omar musi wsiąść na ten sam statek. Ale Omar się nie zjawił.

A więc Nagib jechał dalej sam ze swoim tajemniczym ładunkiem. Droga w dół rzeki trwała aż dwie doby, przede wszystkim noc dawały dość czasu na rozmyślenia, a im więcej Nagib myślał o swoim zleceniodawcy i jego dziwnych metodach, tym bardziej nabierał pewności, że Ali ibn al-Hussein to zły człowiek. Nieważne, czy należał do Tadamana, czy nie, czy kochał Egipt, czy nie, w każdym razie wykorzystał haniebnie sytuację i za pieniądze wpakował ich w niebezpieczeństwo, by samemu nie podejmować ryzyka. Jeśli jutro wszystko przebiegnie zgodnie z planem, to Hussein przejmie bezpiecznie ładunek i odprawi ich z napiwkami, a sam pozostanie handlarzem korzeni o nieznanym

imieniu i adresie.

Ale też przyszło mu na myśl, co się stanie, jeśli al-Husein nie będzie na niego czekał. On ściśle trzymał się umowy, ale co zrobić ze skrzyniami, jeśli Hussein nie przyjdzie? Nowy niepokój doprowadzał Nagiba do nieopisanej wściekłości i zanim statek dotarł do Kairu, Nagib zaczął podważać jedną z deseczek, aż lekko się odchyliła. Poczul pod dłonią zgrzebne workowe płótno i przeciął tkaninę. Posypał się biały proszek.

Opium!

Teraz stało się pewnością to, co Nagib przypuszczał i czego się obawiał: Ali ibn al-Hussein wykorzystał ich patriotyzm i lekkomyślność do własnych ciemnych interesów. Jeśli to była sprawa Tadamana, to Nagib ek-Kassar nie chciał mieć z tym nic wspólnego. I kiedy ostrożnie

zamykał skrzynię, kiedy strach przed odkryciem wprawiał w drżenie jego ręce, Nagib łamał sobie głowę nad tym, dlaczego al-Hussein zwrócił na nich uwagę, dlaczego właśnie ich wybrał do tego brudnego interesu. Nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

Tysiące myśli kłębiło mu się w głowie. Jak się zachować teraz, kiedy już przejrzał al-Husseina? Ma tego łajdaka w garści. Może go szantażować, zażądać dużo pieniędzy za milczenie, może w jednej chwili stać się bogaty. Czemu nie zażądać pół na pół? Ale wtedy al-Hussein wyda go Anglikom, a to byłby jego koniec. Nagib drząc wdychał chłodne nocne powietrze. Na brzegu lśniły światła Beni Suef. Jak to zrobić, by al-Hussein zauważył, że on zna zawartość skrzyń? Mała aluzja albo jakiś znak chybaby wystarczyły, by zaniepokoić Husseina i zmusić go do odpowiedniej zapłaty za wykonanie tak niebezpiecznego zadania.

Przeciwno temu przemawiała jednak nieustępliwość al-Husseina, jego bezwzględność i egoizm. Z pewnością Nagib ek-Kassar jest marnym pyłkiem w porównaniu z tym bandytą i przegra z nim. Ale potem Nagib przypomniał sobie historię berlińską z konsulem Mustafą Agą Ayatem i jego skorumpowanym submundirem. Oni go nie docenili, on zaś, nie zauważony, przywłaszczył sobie kopię fragmentu z Raszid.

Prawdopodobnie tamci jeszcze dziś cieszą się z jego niezmierzonej głupoty.

Niepewny i dręczony wątpliwościami, jak ludzie o złamanej woli, dotarł Nagib nazajutrz do Kairu, gdzie czekał na niego al-Husein z całym zastępem służby. Al-Hussein, jak zawsze ubrany po europejsku, mimo upału w sztywnym kołnierzyku i muszce, co nadawało mu wygląd nieco śmieszny i fircykowaty, nie wypowiedział ani słowa wdzięczności czy uznania.

Uraziło to Nagiba, i jeśli dotąd się wahał, jak ma się zachować, to teraz z irytacją oznajmił, że wobec tak ryzykownego zadania — Hussein wie, o czym Nagib mówi —

nie zgadza się na umówioną zapłatę, bo cała sprawa mogła go kosztować głowę.

Ali ibn al-Hussein nie zareagował na te słowa, raczej zaniepokoiła go nieobecność Omara. Krzyczał, że to nieodpowiedzialny człowiek, nie chciał przyjąć do wiadomości tłumaczenia Nagiba. Groził

nawet, że wsypie mu baty, jeśli do pojutra nie sprowadzi Omara.

Służący załadowali skrzynie na zaprzężony w osła wózek, jakich tysiące turkotały po ulicach Starego Miasta. Na Alego czekał powóz, który pojechał inną drogą niż wózek. Nagib zastanawiał się, za którym pojazdem ma podążać. Co jest ważniejsze — znać kryjówkę Husseina czy miejsce ukrycia opium? Wreszcie zdecydował się na Husseina; sądził, że jeśli będzie wiedział, gdzie on mieszka, dojdzie też do kryjówki opium.

Powóz jechał wolno po wyboistych uliczkach. Na Sharia al Quasr el Ali na prawym brzegu Nilu samochody, trąbiąc przeraźliwie, mieszały

się z wózkami zaprzężonymi w osły i woły, tak że czasem nie można było posuwać się dalej. Nagib bez trudu więc nadążał

za powozem. Na Midan ej Tahrir, gdzie krzyżują się duże ulice miasta, a plac otaczają wspaniałe wysokie gmachy, powóz skręcił na wschód, zmienił znów kierunek na Midan al-Falaki i skierował się na dworzec Bab el-Lug, który pozostawił po prawej stronie, następnie pojechał dalej w kierunku południowym.

Przez chwilę Nagib się zastanawiał, czy przypadkiem al-Hussein go nie spostrzegł, albowiem było wyraźnie widać, że kluczy; mógł przecież dotrzeć do celu prostą drogą, mimo to dreptał za powozem. Teraz powóz znów zmienił kierunek, wreszcie w pobliżu meczetu Ibn Hiluna skręcił w boczną uliczkę. Stąd było niedaleko do kawiarni „Royal”, gdzie spotkali wówczas al-Husseina kilka kroków od jego mieszkania.

Przed domem, który różnił się od innych domów jedynie tym, że był pomalowany na jasnozielono, powóz się zatrzymał. Otworzono wysoką bramę, która jednak nie pozwalała zajrzeć do wnętrza, i powóz znikł za nią. Nagib odczekał jakiś czas, potem odważył się zbliżyć do domu. Nie miał on nazwy, podobnie jak ulica, co zresztą nie jest niczym szczególnym w tej dzielnicy, i poza barwą nie rzucał się w oczy. Okiennece na wszystkich czterech piętrach były zamknięte, przed drzwiami leżała sterta śmieci; również pod tym względem ten budynek nie różnił się od innych, a jednak Nagibowi wydawało się, że jest w nim coś dziwnego.

Kilkakrotnie przemierzył ulicę, obserwując dom.

Nie rozumiał, dlaczego to czyni, miał tylko niejasne przeczucie, że w tym domu, o którym nawet nie wiedział, czy jest własnością Husseina, czy też kogoś innego, dzieje się coś, co i dla niego ma znaczenie. Zamierzał wypytać gońca czy posługacza, gdyby któryś się pokazał, ale nikt z domu nie wychodził. Nagib odszedł wreszcie, by go nie wykryto.

Gdy znalazł się w mieszkaniu, które dzielił z Omarem, narysował z pamięci trasę do zielonego domu przez sieć poplątanych ulic; postanowił bowiem, że zanim wróci Omar, pójdzie do al-Husseina pod pretekstem odebrania pieniędzy.

Ale stało się inaczej.

Z rana — po męczącej podróży Nagib twardo spał —

zbudziło go mocne stukanie. Dwóch mężczyzn, Egipcjan w znoszonej europejskiej odzieży, zażądało, by ich wpuszczono.

Przysłał ich Ali ibn al-Hussein i nakazał przyprowadzić Nagiba. Nagib pomyślał o pieniądzach, które Hussein jest mu winien, włożył więc galabiję i bez oporu poszedł z męż-

czynami.

W połowie drogi spostrzegł, że prowadzą go do innego domu, nie do tego, w którym znikł wczoraj al-Hussein; Nagib zapytał więc, dokąd idą. Jeden z mężczyzn, przypominający byka, o krzaczastych brwiach i spłaszczonym nosie boksera, uczynił niechętny ruch ręką, nie dając odpowiedzi. Drugi, niski, przysadzisty, o szczerzej twarzy, mimo ponurej miny, odparł zwięźle, że idą do al-Husseina, zaraz się o tym przekona.

Nagib zaczął się niepokoić, kiedy ujrzał baraki nędzarzy sklecone z drewna i blachy, położone u stóp wzgórza Mokattam. Tutaj mieszkali bezimienni, ludzie wyjęci spod prawa, którym los odmówił posiadania nawet najmniejszych potrzeb. Żywili się odpadkami z bazarów i hałd śmieci oraz tym, co wyżebrały, a czasem skradły, ich dzieci. Nocą dzielnica ta była niebezpieczna, bo każdy, kto się tu zapuścił, mógł

zostać zamordowany. Codziennie ginęli ludzie w nieprzeniknionej sieci chat i nigdy więcej się nie pokazywali.

Co al-Hussein zamierza z nim zrobić? Czy zlikwidować go, bo wie

o

narkotykowym interesie? W każdym razie Nagib już nie wierzy, że przyprowadzono go tutaj, aby odebrał swoje pieniądze.

Doświadczenia ostatnich dni sprawiły, że Nagiba, choć na pewno nie był tchórzem, ogarnęło uczucie strachu wywodzące się z niepewności i przekonania, że Hussein nie ma litości.

Nagib znał się trochę na ludziach i dostrzegał ich zamiary, nim jeszcze zostały ujawnione. Tę też zrozumiałe jest to, co teraz nastąpiło. Nagib skoczył w bok, przewracając przy tym kobietę i jej dziecko; powstało zamieszanie. Nagib pędził

wąską uliczką między domami, znikł za najbliższym rogiem, po czym spokojnie ruszył powoli dalej, tak by jego pośpiech nie wzbudził podejrzeń.

Sądził, że jest bezpieczny w tym tłumie bezimiennych ludzi. Myślał, że jeśli dotrze do meczetu, którego kopułę widział z daleka, to wydobędzie się z tego labiryntu; ale w tej samej chwili ujrzał przed sobą na ulicy łańcuch ludzi z bokserem pośrodku. Nagib zawrócił, ale i tam zastąpiono mu drogę. Bokser podszedł i uderzył go w twarz z taką siłą, że Nagib na chwilę stracił przytomność i ocknął się dopiero wówczas, kiedy obaj mężczyźni popychali go przed sobą jak bydło.

Zatrzymali się przed domem o ścianach z zardzewiałej blachy. Nie było tu okna, tylko drzwi, w których poprzeczne belki były odsunięte. Bokser otworzył je i wepchnął Nagiba do ciemnego wnętrza.

Gdy jego oczy oswoiły się ze skąpym światłem, które padało przez szparę w suficie, Nagib rozpoznał al-Husseina.

Siedział na skrzyni, którą Nagib przywiózł z Kairu, a oczy jego dziko błyszczały.

—

Czy naprawdę sądziłeś, że zdołasz mnie oszukać —

zaczął cicho, ale ten cichy głos miał w sobie coś groźnego. —

Ty nędzny robaku, chciałeś oszukać mnie, Alego ibn al-Husseina?

—

Ali effendi — odparł Nagib — o czym ty mówisz?

Wykonałem twoje zlecenie, tak jak tego żądałeś, a przecież wiesz, że było ono związane z wielkim niebezpieczeństwem.

Al-Hussein przerwał mu ruchem ręki. — Ty wyskrobku śmierdzącego wielbłąda, sięgnąłeś po moją własność. Już ja ci pokażę, co to

znaczy oszukać Aiego ibn al-Husseina. — Strzeli! przy tym palcami,

a bokser zrozumia! to jako rozkaz; podszedł więc do Nagiba i zaczął

go bić. Kiedy zadał mu silny cios w żołądek, Nagib upadł na podłogę.

Drugi mężczyzna wylał mu na głowę wiadro śmierdzącej wody, tak że

Nagib się ocknął. Podniósł się, z nosa ciekła mu krew.

— Na Allaha — mamrotał Nagib — nie rozumiem, czego ode mnie chcesz. To są skrzynie, które dostałem w Asuanie i przekazałem ci w określonym terminie. Czemu każesz mnie bić?

— Czy wiesz, co te skrzynie zawierają?

Nagib zawahał się. Czy ma twierdzić, że wykonał zlecenie, o niczym nie wiedząc, czy też przyznać się, że otworzył jedną skrzynię i znalazł w niej opium? Przeciął płótno, tego nie mógł się wyprzeć, bo pozostały ślady. A więc przyznał się, że w swej niewybaczalnej ciekawości otworzył jedną skrzynię i ujrzawszy opium, natychmiast ją zamknął.

Ali ibn al-Hussein wsta! i po kolei zaczął otwierać wszystkie skrzynie. Leżały tam wypełnione worki. Nagib spojrział na Alego pytająco, jakby chciał powiedzieć: No widzisz, co masz mi do zarzucenia? Ale zanim się odezwał, al-Hussein wściekły zaczął chwytać z każdego worka po garści proszku i ciskać nim w twarz Nagiba, aż bolało.

— Czy wiesz, co to jest? — wrzasnął w najwyższym podnieceniu.

— Czy wiesz, co przywiozłeś z Asuanu za moje pieniądze?

— Piasek? — zapytał Nagib zalękniony.

— Pięć skrzyń piasku!

— Ale ja na własne oczy widziałem biały proszek.

Al-Hussein zaśmiał się złośliwie. — Ach tak, widziałeś proszek!

I chyba tak ci się spodobał, że kazałeś swemu towarzyszowi napełnić skrzynie piaskiem, a na wierzchu umieścić worek z prawdziwą zawartością.

— Na brodę Proroka, nie! — zawołał Nagib. — Wcale tak nie było.

Ali ibn al-Hussein podszedł wolno do Nagiba i położył mu dłonie

na szyi. Wydawało się, że krew w nim kipi, bo twarz zrobiła mu się ciemnoczerwona i wyglądała, jakby miała za chwilę pęknąć. Wykrzywił się, ścisnął szyję Nagiba i ryknął: —

Gdzie jest ten Omar? Uduszę go własnymi rękami! —

Potrząsał przy tym Nagibem, jak gdyby chciał wydusić z niego zeznanie.

Nagib nawet nie próbował się wyswobodzić. Wiedział, że to nie ma sensu, i poddał się swemu losowi. Tysiące myśli przemykało mu przez głowę, przy czym najmniej obawiał się, że al-Hussein może go zabić. Kto mógł ufać jeźdźcom karawany? Droga z Chartumu do Asuanu była daleka, trwała trzy tygodnie. W tym czasie łatwo było wymienić ładunek. Na statku był też ten jednooki. Tkk chętnie się ofiarował, że popilnuje ładunku. I naraz wpadło Nagibowi na myśl coś absurdalnego. Czy mógł

ufać Omarowi? Czy jego historia z Anglikami nie była wymyślona po to, aby móc uciec?

—

Gdzie jest ten Omar? — słowa al-Husseina docierały do Nagiba jakby z bardzo daleka. Hussein rozluźnił uchwyt.

Nagib chwytał powietrze. — Effertdi — wykrztusił — jak już powiedziałem, Omar pozostał w Luksorze, ale wróci, wierz mi, effendi. Na Omarze można polegać!

— Nagib wyrzekł te słowa, choć wcale nie był taki pewny, czy Omarowi można ufać.

—

Będę go szukał — rzekł al-Hussein. — Będę go szukał, dopóki go nie znajdę! Bo inaczej... — zrobił przy tym niedwuznaczny ruch płaską dłonią, trzymając ją przy szyi Nagiba.

Następnie dał znak obu ochroniarzom. Ci zaciągnęli Nagiba do pomieszczenia obok, bez okna, związali mu ręce i nogi i popchnęli w kąt; został sam w ciemności.

Ali ibn al-Hussein jeszcze tego samego dnia udał się wraz z ochroniarzami statkiem pocztowym do Luksoru.

Minęło siedem dni, odkąd Omar i Nagib się rozstali, siedem zmarnowanych dni, tyle tylko że Omar zdemaskował lady Dawson jako agentkę wywiadu brytyjskiego. Również obaj mężczyźni, których śledził, nie dostarczyli mu żadnych informacji; przede wszystkim przypuszczenie Omara, że nagle pojawi się gdzieś profesor Hartfield, okazało się błędne. A przecież bardzo liczył na to, kiedy lady Dawson i obaj męż-

czyźni trzeciego dnia wyruszyli do Doliny Królów, zatrzymali się po drodze w domu Cartera i wraz z nim wspinali się potem stromą ścieżką wśród skał. Omar szedł zewnętrzną drogą okrężną, co prawda dwukrotnie dłuższą. Z daleka widział, jak Carter z dużym planem w ręku kroczy pewnie przed siebie, wykonując energiczne ruchy, jakby chciał w ten sposób przekonać gości o czymś nieprawdopodobnym.

Z sękatym kijem w ręku jak fellach z tej okolicy, Omar zbliżył się do grupy na odległość głosu, pomachał tym ludziom z daleka na powitanie i usiłował przy tym uchwycić choć kilka słów z ich rozmowy. To, co usłyszał, nie sprawiało wrażenia, że szukają Imhotepa, chodziło raczej o jakiegoś nieznanego faraona, którego pieczęć, puchar i drewnianą skrzynkę Carter jakoby znalazł. Lady Dawson, chroniąca się przed słońcem delikatną parasolką, i obaj agenci w kapeluszach z szerokimi rondami nie zwracali uwagi na ukrytego wędrowca, który ich podsłuchiwał, już choćby dlatego, że nie sądzili, aby ktoś z miejscowych fellachów znał

ich język. Tkk więc Omar, wypoczywający z boku na kamieniu, usłyszał, że lord Carnarvon, na którego zlecenie Carter prowadził wykopaliska w Dolinie Królów, jest skąpcem pragnącym zdobyć skarby jak

najmniejszym kosztem, a nauka nic go nie obchodzi, i że on, Carter, już niejednokrotnie nosił się z myślą, by rzucić to wszystko.

Z rozmowy, jak wywnioskował Omar, wynikało, że Carter ma szokujące informacje, którymi podzielił się z lady Dawson i jej agentami, informacje, o których lord Carnarvon nic powinien wiedzieć. Ku zdziwieniu Omara nie były to wskazówki dotyczące położenia grobu Imhotepa ani odnoszące się do profesora Hartfielda, któremu przypadła główna rola w całej tej sprawie — ani razu nie było na ten temat wzmianki. Godna uwagi wydała się Omarowi wskazówka obu agentów, że od przyszłego tygodnia będą czekali w hotelu „Mena House” w Kairze na Cartera.

Wyciągnął stąd wniosek, że wszelkie dalsze akcje wywiadu brytyjskiego będą się koncentrowały w Dolnym Egipcie; Omar postanowił się wycofać, zanim zostanie dostrzeżony, i nazajutrz wrócić statkiem pocztowym do Kairu.

W pokoju w hotelu „Royal” Omar rzucił się na łóżko i zaczął rozmyślać. Szpiegował obu agentów, ponieważ sądził, że naprowadzą go na trop Hartfielda. Ale tu, w Luksorze, był

bardziej daleki od celu niż dotąd, bo zaczął wątpić, czy dobrze słyszał, o czym obaj mężczyźni rozmawiali wtedy na pokładzie. Może za bardzo uległ własnej wyobraźni? Tk myśl wprawiła go we wściekłość, wściekłość na samego siebie, że widocznie nie potrafił odróżnić rzeczywistości od imaginacji, utrzymać w cuglach swojej fantazji.

„Allah akbar — Bóg jest wielki” — tak było napisane na przeciwległej ścianie, a pod tym jakiś europejski podróżnik dopisał ołówkiem subtelne wyznanie miłosne: „Jane for ever”

— Jane było dwukrotnie podkreślone. Narysowane tam też były postaci ludzi i zwierzęta znane z hieroglifów w grobach królewskich na przeciwległym brzegu; były też oczywiście rysunki obsceniczne, z których jeden szczególnie Omara ubawił. Był to rysunek penisa, podobnego raczej do sześciostrzałowego pistoletu niż do organu płciowego Egipcjanina: kolejny gość hotelowy skomentował ten rysunek czerwonym ołówkiem: „A to co?”

Omar był przygnębiony. Wstydził się jechać do Kairu i spotkać tam Nagiba, o którego losie nic nie wiedział, i przez chwilę się zastanawiał, czy nie skorzystać z okazji i nie wyzwolić się od Tadamana. Druga taka sposobność nieprędko się zdarzy; ale już po chwili ogarnęły go wątpliwości: Tadaman nie wypuści go z rąk tak po prostu, ponieważ ta organizacja ma liczne powiązania, a rezultat byłby taki, że prześladowaliby go i Brytyjczycy, i nacjonaliści.

A więc Omar wrócił do Kairu. Mieszkanie było opuszczone, co na razie go nie zaniepokoiło; jedyny znak od Nagiba to była kartka na stole, kartka z dziwnymi gryzmołami, których nie rozumiał! Dopiero kiedy Nagib po dwóch dniach się nie pokazał, Omar postanowił go szukać.

W kawiarni „Royal” na rogu nic otrzymał odpowiedzi na swoje pytanie, a kelner dawno już Nagiba nie widział; człowieka zaś o nazwisku Ali ibn al-Hussein w ogóle nie znał

— w każdym razie tak twierdził.

Omar błąkał się cały dzień w gąszczu domów. Kair wprawiał go w zmieszanie, a nawet powodował lęk; thimy hałaśliwych ludzi, nicponi, złodziejaszków, wygłodniałe dzieci, stare, bose kobiety z zasłoniętymi twarzami, niosące ciężary na głowach, brytyjscy żołnierze, paradyjący w swych mundurach, poganiacze bydła, handlarze naręczni, coraz liczniejsze samochody, bezpańskie ujadające kundły i wszędzie dokoła koty, parszywe, brudne, zaniedbane jak ulice, na których żyły. Choć nic wiedział, dokąd się udać, Omar zapragnął to miasto jak najszybciej opuścić.

Późnym wieczorem wrócił do domu. Jego nadzieja, że zostanie Nagiba albo choć jakiś znak od niego, okazała się płonna. Omar spoglądał na kartkę, którą zastał na stole, ale na którą dotąd nie zwracał uwagi.

Kiedy dłużej się przyglądał pogmatwanym liniom, zaczęły mu one przypominać plan miasta i choć nie było tu ani słowa wyjaśnienia, Omar rozpoznał pobliski plac Midan Salah el-Din, meczet sułtana Hassana i lekki łuk Sharia Assaliba, od którego oddalony o kilka kroków znajdował się jego dom.

Krzyżyk na tej gmatwaninie ulic wskazywał jakieś miejsce.

Ze szkicem w ręku Omar udał się następnego dnia w drogę.

Nie miał pojęcia, dokąd zaprowadzi go plan, a już najmniej spodziewał się, że spotka Nagiba; ale coś go gnało w kierunku oznaczonego miejsca. Był to jeden z tych dziwnych przypadków w życiu, które nazywamy zrzędzeniem losu, a kiedy o nich myślimy po latach, kiwamy głową.

Przed zielonym domem na ulicy bez nazwy Omar się zatrzymał. To chyba tu. Skoro już tu doszedł, postanowił

zapukać. Nie miał pojęcia, co go czeka, był przekonany, że to wszystko jest tylko złudzeniem.

Służący otworzył drzwi, zmierzył Omara taksującym wzrokiem i rzekł wytwornie, ale uprzejmie: — Mojego pana Alego ibn al-Hus-seina nie ma w domu. Czego sobie życzysz?

Każdego innego to niespodziewane spotkanie by oszołomiło lub zmieszało i z pewnością by uciekł. Lecz Omar w chwilach zaskoczenia zachowywał zimną krew i umiał

szybko reagować.

—

Jestem przyjacielem twojego pana — rzekł

spokojnie. — Należymy do tej samej wspólnoty, jeśli wiesz, co mam na myśli. Muszę się z nim widzieć.

Th zamaskowana aluzja zaniepokoiła służącego, nie wiedział, jak się zachować, i na razie okazał życzliwość. —

Wierz mi, effendi, nigdy bym cię nie odprawił, ale, Allah mi świadkiem, że Ali ibn el-Hussein wyjechał.

Wtedy Omar odsunął służącego i wszedł do mrocznego holu domu. Na kamiennej posadzce leżały bogate dywany, u sufitu wisały mosiężne kandelabry, w kamiennych zbiornikach po prawej stronie pluskała woda. Kamienne schody prowadziły na górę.

—

Nie mogę cię wpuścić, effendi. Zawołam panią! —

zaprotestował służący skrzeczącym głosem.

Zanim jednak zdążył wezwać kogoś na pomoc, na schodach ukazała się pani. Twarz miała zasłoniętą, jak przystoi zamężnej kobiecie.

— Już dobrze, Jusufie — rzekła i dała służącemu znak, aby się oddalił. Następnie podeszła do Omara i odsłoniła twarz.

Omar znieruchomiał. Znikła jego pewność siebie. Coś jakby żelazna klamra ścisnęło mu pierś, zahamowało bicie serca, aż zabrakło mu powietrza w płucach. Omar stał bez ruchu i spoglądał w twarz kobiety, która podniosła prawą rękę i bez słowa przyłożyła do piersi.

—
Ja salaam! — powiedział Omar po cichu, jękając się, i dodał nieśmiało: — Halima!

Halima skinęła głową. Oczy jej błyszczały, Omar również walczył ze wzruszeniem. Musiał się opanować, by nie porwać Halimy w ramiona.

Jak długo jej nie widział? Czy to było sześć, czy osiem lat temu, kiedy znalazł opuszczony dom w el-Kuma? Jakże był

wówczas rozczarowany, a nawet rozgoryczony z powodu listu, w którym dziewczyna zegnała go na zawsze. Znał go na pamięć, czytał setki razy, całował każde słowo, a jednak nie zrozumiał jej pożegnania. — Halima — powtórzył cicho —

Halima, ty tutaj?

Halima uniosła ramiona. Przez jej twarz przemknął lekki uśmiech, jak gdyby chciała się usprawiedliwić za to nieoczekiwane spotkanie. Światło w holu było przytłumione, mimo to Omar widział ją, czuł jej bliskość i nie był w stanie zebrać myśli. Widział Halimę sercem, ale nie widział

rozumem. Coś w nim się buntowało przeciwko temu widokowi, ona nie powinna tu być, w domu tego Alego ibn al-Husseina.

Mój Boże, to niemożliwe! Właśnie człowiek, który najmniej na to zasługiwał, był panem Halimy. Dlaczego za nim poszła? Dlaczego nic nie mówi? Dlaczego nie próbuje wyjaśnić tej niepojętej sytuacji? Dlaczego nie powie, że go jeszcze kocha, tak jak on ją?

Nie odważył się jej dotknąć, choć bardzo tego pragnął.

Halima się zmieniła. Nie zbrzydła, była jak zawsze piękna, zmieniło się tylko jej zachowanie, nie stała już przed nim dziewczyna, lecz doświadczona, dojrzała kobieta.

Ogarnął go strach, że Halima może teraz powiedzieć coś, co zniszczy wszystko między nimi, może powiedzieć: Idź stąd i nigdy nie wracaj, nie wolno nam się widywać! — tak jak to już raz uczyniła. A więc

usiłował niemalrozpaczliwie uprzedzić jej słowa; błagał, aby go nie odprawiała, wyjąkał coś o

swym przyjacielu Nagibie, którego spodziewał się tu zastać, ponieważ wypełniał on zlecenie al-Husseina.

Halima długo nie odpowiadała Omarowi. Spoglądała na niego. Dla chłopca trwało to całą wieczność, potem rzekła cicho i z wyższością, która go od początku onieśmieliła: —

Czy nie masz mi nic poza tym do powiedzenia?

Teraz dopiero Omar zrozumiał, jak głupio się zachował.

Krew uderzyła mu do głowy, miał tylko nadzieję, że Halima tego nie zauważy. Ona zaś rozejrzała się dokoła, następnie podeszła do Omara i porwała go w ramiona.

Chłopiec nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, pozwalał jej na pieszczoty jak bezwolne dziecko w ramionach matki, które nie potrafi odpowiedzieć na jej uczucia; przyłapał

się nawet na tym, że nieśmiało broni się przed tym wybuchem czułości.

Halima ujęła jego głowę w obie dłonie i zaczęła ją obsypywać pocałunkami. Omar doznał uczucia, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Powoli jego sztywność ustąpiła, uspokoił się i ścisnął ukochaną tak mocno, aż ją zaboląło.

Oboje nie wiedzieli, jak długo to trwało. Kiedy ocknęli się z dobroczynnego snu, oboje jednocześnie otworzyli oczy. Omar przeraził się śmiertelnie. Przed nimi stał służący Jusuf. Miał

spuszczony wzrok, rzekł, nie patrząc na Halimę: — Pani, już czas.

Halima nie przejęła się zbytnio widokiem Jusufa i aby ośmielić Omara, powiedziała: — Możesz mu ufać, to mój najwierniejszy sługa.

— Ujęła przy tym dłoń Jusufa.

Każdego dnia o tej samej porze Halima w towarzystwie służącego szła na rynek po zakupy, które Jusuf przynosił

następnie w koszach do domu. Było to jak rytuał, gdyby Halima z tego zrezygnowała, musiałaby się długo tłumaczyć; prowadziła bowiem duży dom, do którego należało ponad pół

tuzina służby i parobków, ponadto dziewczęta, które na rynku oferowały swoją służbę za mieszkanie i wyżywienie, bo wyrzekły się własnej rodziny albo pomimo odpowiedniego wieku nie wyszły jeszcze za mąż. Ich liczba stale się zmieniała. Oprócz Halimy była w domu jeszcze jedna kobieta, młoda, niemal dziecko, ale już dojrzała. Ali ibn al-Hussein wziął ją jako drugą żonę, co wprawdzie nie było sprzeczne ze zwyczajami w tym kraju, ale głęboko raniło Halimę.

—

Mamy sobie wiele do powiedzenia — rzekła Halima.

Omar skinął głową. — Ale nie tu.

—

Nie, nie tu — odparła Halima. — Czy znasz tę dużą bramę przy bazarze Khan el-Khalili? Za bramą w lewo znajduje się zaułek handlarzy dywanów. Pierwszy sklep ma szyld z nazwiskiem Achmeda

y

Amera. Achmed ma wobec mnie zobowiązania. Około południa będę tam na ciebie czekała. Żegnaj!

Omar wybiegł na ulicę jak oszalały; wydawało mu się, że chwieją się fasady domów, hałas uliczny docierał do niego jakby z daleka. Czuł, że się zatacza, kiedy skręcał w ulicę Sharia Assurugiya, która prowadziła na północ do wielkiego bazaru. Nie widział ludzi ani pojazdów, miał przed oczami tylko obraz Halimy; nie poruszając wargami, układał w głowie jedno słowo: Halima.'

Przy dużej wieży, gdzie zaczynał się handel, Omar szybko znalazł handlarza dywanami. Podał mu swoje imię i Achmed Amer poprowadził gościa stromymi schodami na górę, gdzie czekała na niego Halima.

Siedziała na zwiniętych dywanach, które wypełniały całe pomieszczenie. Przez zamknięte okiennice słońce rzucało lśniące promienie. Czuć było zapach wełny i środków przeciw robactwu; ale w tej chwili Omar widział tylko Halimę.

Bez słowa ukląkł przed nią na podłodze, objął ramionami jej biodra, położył głowę na jej kolanach, jakby był

zawstydzony i chciał się ukryć. Halima zrozumiała ten gest, pogładziła go po głowie. Trwali tak dłuższą chwilę, zbierając myśli.

—

Nie płacz — rzekła Halima, sama bliska łez, i uniosła jego głowę, by spojrzeć mu w twarz.

—

Ja nie płaczę — odparł Omar i otarł łzy rękawem.

Następnie westchnął głęboko i rzekł nieśmiało: — Dlaczego tak się musiało stać?

—

Los sam tasuje karty, my możemy tylko grać. —

Halima uśmiechnęła się, ale był to smutny uśmiech.

—

Dlaczego tak się musiało stać? — powtórzył Omar.

— Czy jesteś szczęśliwa?

—
Szczęśliwa?

Halima nie odpowiedziała. Omar spostrzegł, że odwróciła głowę do okna, by ukryć łzy.

—
Dlaczego poślubiłaś tego Alego ibn al-Husseina?

Dlaczego? — Kiedy Omar zauważył, że Halima nie chce odpowiadać, wstał i usiadł obok niej. —
Dlaczego, Halimo?

—
Czy naprawdę chcesz wiedzieć?

—
Musisz mi powiedzieć.

—
Ale to cię nie uszczęśliwi.

—
Nie będę mniej cierpieć niż dotąd.

Wtedy Halima uniosła rękaw galabiji Omara, aż ukazało się piętno. Pogłaskała je delikatnie i powoli, jakby szukając właściwych słów, zaczęła mówić.

—
Nie wiem, czy zastanawiałeś się kiedyś nad tym, jak to się wszystko stało wtedy w el-Kurna?

—
O czym ty mówisz?

— O tym! — Halima dotknęła palcem piętna na ramieniu Omara.

— Gdybyś wiedział, gdzie oni cię wtedy więzili...

Omar przełknął ślinę, po czym odparł: — Wiem, Halimo.

Nie dawało mi to spokoju. Pewnego dnia przypadek przyszedł

mi z pomocą. Usłyszałem hałas ze szlifierni kamieni, jedyny odgłos, jaki docierał wtedy do grobowca. A więc szukałem w promieniu rzutu kamieniem i natrafiłem na dom twojego ojca.

Doznałem wówczas szoku.

—

A co pomyślałeś o mnie?

Omar wzruszył ramionami. — Prawdę mówiąc, nie mogłem tego zrozumieć. Przede wszystkim nie wiedziałem, jaką rolę ty w tym odgrywałaś.

—

A dziś?

—

Dziś? Dziś jest tak samo, a fakt, że wyszłaś za mąż za al-Husseina, wcale nie pomaga mi cię zrozumieć.

Jak gdyby w obawie, że padnie jakieś złe słowo, Halima przyłożyła lewą dłoń do ust Omara. — Nie mów dalej, mój kochany — błagała. — Wszystko ci wytłumaczę. Ale przyrzeknij, że mi uwierzysz.

Przez chwilę siedzieli oboje w milczeniu, potem Halima za-częła z wahaniem: — Jusuf, mój ojciec, był szanowanym człowiekiem w Schech abd el-Kuma. Jego duma z powodu tego, że jest Egipcjaninem, rozstawiła jego imię daleko poza granice naszej wsi. Jusuf był jedynym, który stawiał czoło aroganckim Brytyjczykom, zachowującym się jak panowie naszego kraju. Kochałam ojca za to i dopiero później spostrzegłam, że otaczają go zawsze jakieś dzifrne typy, ludzie nigdzie nie pracujący, rzucający tylko na lewo i prawo hasłami i pustymi frazesami. Domagali się nowego, samodzielnego Egiptu, przy czym stale padało słowo

„Tadaman”. Nie wiedziałam, co to znaczy, i zapytałam kiedyś ojca. Wytłumaczył mi, że za pojęciem „Tadaman” kryje się organizacja patriotów egipskich, stawiających sobie za cel wyzwolenie kraju, a ich znakiem rozpoznawczym jest siedzący kot, zwierzę, które zna tajemne moce, widzi w ciemności i jest święte dla wszystkich potęg. Potem ojciec przycisnął mnie do siebie, pogłaskał po głowie i rzekł, że nie wolno mi nigdy nikomu powiedzieć o tym ani słowa; zdrajcy muszą zginąć. Potem coraz więcej ludzi zaczęło znikać.

Egipcjanie, ale także cudzoziemcy,

o których ojciec wyrażał się z pogardą, mówiąc, że to wrogowie kraju

spotkała ich tylko zasłużona kara. Na moje pytanie, jaka kara spotyka wrogów naszego kraju, ojciec odpowiedział, że zostają żywcem zamurowani w dawnych grobach faraonów.

Ojciec mówił o tym wszystkim z taką nienawiścią, że przeraziłam się i odtąd czułam do niego pogardę.

Twoje spotkanie z Tadamanem było pomyłką. Jusuf sądził, że jesteś szpiegiem brytyjskim, w każdym razie Tadaman od początku nie

wierzył, że profesor chce kupić w Luksorze starożytne przedmioty. Widzieli w nim brytyjskiego agenta, który ma szpiegować ich organizację. Dlatego postanowili zabić profesora, jego żonę i służącego.

Ty pierwszy wpadłeś w ich sieci. To nie było zaplanowane, tak się tylko złożyło. Zamarłam, kiedy przynieśli cię nocą i wrzucili do grobu. Od razu cię poznałam i byłam zrozpaczona.

Nie wiedziałam, jak ci pomóc. Jusuf nie znał litości, kiedy chodziło o sprawy Tadamana, i zginąłbyś z głodu w tym lochu, gdybym nie wymogła na ojcu, by cię oszczędzał; można powiedzieć, że cię wykupiłam. Był to handel niegodny, ale najważniejsze, że uszedłeś z życiem.

— Niegodny handel? Jak mam to rozumieć, Halimo?

Omar poznał po niepokoju w oczach dziewczyny, jak trudno jest jej powiedzieć prawdę ukochanemu.
— Nie potrafisz sobie wyobrazić, jakiej ceny zażądał ojciec za twoje życie?

Omar się przeraził. — Zaczynam rozumieć — rzekł cicho.

Halima zaczęła od nowa. — Wśród znajomych ojca był

jeden wyróżniający się szczególną bezwzględnością i twardym charakterem: Ali ibn al-Hussein. Choć byłam niemal jeszcze dzieckiem, wpadłam mu w oko. Chciał mnie wziąć za żonę. Jusuf mu mnie przyrzekł. Broniałem się, groziłam, że podrapię mu twarz, jeśli tylko się do mnie zbliży, że ucieknę, gdy tylko nadarzy się okazja, i nigdy nie wrócę. Kiedy nie było innej możliwości uwolnienia ciebie, przyrzekłam, że wyjdę za al-Husseina, jeśli ty odzyskasz wolność.

Halima spuściła wzrok, wstydziła się spojrzeć Omarowi w oczy; nie widziała więc jego łez, łez wściekłości i rozpacz.

Zaczął szlochać, głośno, niepohamowanie, jak dziecko. W tej rozpacz dręczyła go myśl, że to wszystko nie jest prawda, że Halima wymyśliła całą historię. Ale im dłużej dziewczyna milczała, tym bardziej stawało się dla niego pewne, że powiedziała prawdę. I w swej szalonej rozpacz postanowił, że wcześniej czy później zabije tego łotra.

Zabiję go! — wykrzyknął.

By zdusić ten okrzyk, Halima przycisnęła głowę Omara do piersi. Poczul przez suknię ciepło jej ciała. Ogarnęło go pożądanie, zapragnął jej, teraz, bez względu na okoliczności.

Chciał mieć Halimę tylko dla siebie, z nikim się nią nie dzielić. Nie dopuszczał do siebie myśli, że ona zaraz wróci do al-Husseina. Bo jeśli tak się stanie, życie straci dla niego sens.

Kiedy o tym myślał, poczul dłoń Halimy błędzącą po jego ciele, delikatne wezwanie, znak, że czuje to samo; ogarnęło go uczucie wielkiego szczęścia i ufności, że znajdzie jakieś wyjście z tej sytuacji. W swym oszołomieniu i przekonaniu, że są dla siebie stworzeni, opadli na stertę dywanów, pieścili się i całowali, następnie, osłabieni, leżeli objęci.

Wreszcie» jakby budząc się ze snu, Omar powoli wrócił do rzeczywistości.

—
Co będzie z nami dalej? — zapytał bezradnie.

Halima usiadła, przesuając palcem po dywanie, i powiedziała zmieszana: — Nie wiem, Omarze, wiem tylko, że cię kocham.

—
Musimy uciec — rzekł Omar.

—
Dokąd?

Omar wzruszył ramionami.

—
Al-Hussein i jego ludzie będą nas ścigali w całym Egipcie — powiedziała Halima — i nie spoczną, póki nas nie znajdą.

Omar objął Halimę. — Jeśli naprawdę mnie kochasz, to pojedziesz ze mną. Uciekniemy do Europy, do Anglii lub Francji. Tam na pewno nie będą nas szukali.

—
Nie łudź się — odparła Halima. — Tadaman ma swoich ludzi w całej Europie, a al-Hussein, urażony w swej próżności, nie zrezygnuje i będzie nas prześladował wszędzie.

On umie doskonale posługiwać się swoimi pośrednikami, którzy nie znają nawet jego imienia i adresu, gotów jest nawet zabić, nie brudząc sobie przy tym rąk. Jeśli chodzi o ochronę własnego

życia, al-Husein zna rozmaite triki. W

jego sypialni za wysokim lustrem odkryłam tajemne drzwi prowadzące do drabiny strażackiej, po której można się dostać na tyły domu. Prawdopodobnie obawia się zemsty z powodu swych licznych ciemnych sprawek. Nigdy mi o tym przejściu nie mówił.

—
Ale właśnie te ciemne sprawki zetknęły nas ze sobą!

—
Wiem — odparła Halima.

Omar wpatrywał się w zamknięte okiennice, przez szpary przenikały jaskrawe promienie słońca, odsłaniając sterty kurzu w pomieszczeniu. Zastanawiał się. Można by pomyśleć, że cały kraj sprzysiągł się przeciwko nim. Ogarnęło go przygnębienie, lecz prędzej dałby sobie obciąć język, niżby się do tego przyznał. Podziwiał tę kobietę, że tak spokojnie opisuje swoje pełne cierpienia życie, nie rozczulając się nad sobą i nie oczekując od niego wdzięczności. Niemal wstydził

się, że sam jest taki słaby.

Halima, jakby odgadła myśli Omara, ujęła jego rękę, ale nie patrzyła mu w oczy, aby go nie peszyć. Omar był jej za to wdzięczny. Podczas dalszej rozmowy, kiedy starali się mówić o błahych sprawach, Halima nagle zapytała, w jaki sposób ją odnalazł. Omar opowiedział

o

szkicu, który pozostawił Nagib ek-Kassar i który po kilkudniowych poszukiwaniach naprowadził go na właściwy trop. — Nagib ek-Kassar?

— Halima zdziwiła się, pokręciła głową i zaczęła opowiadać, że jej mąż uwięził ek-Kassara, a następnie wyruszył z kilkoma kompanami do Luksoru w poszukiwaniu jego przyjaciela.

— Ten przyjaciel to ja — rzeki Omar spokojnie.

— Tak przypuszczałam — odparła Halima.

— Czego on ode mnie chce?

— Al-Hussein twierdzi, że oszukałeś go na dostawie opium z południa.

— Chyba w to nie wierzysz?

— A jeśli tak?

— Na Allaha, to nieprawda! — zawołał Omar oburzony.

— Pojechaliśmy razem do Asuanu, by wykonać zlecenie al-Husseina, ale rozstaliśmy się w Luksorze i od tamtej pory nie widziałem Nagiba.

— Jakkolwiek jest — rzekła Halima — al-Hussein cię szuka. Służący Jusuf chrząkając wspinał się po schodach. W

połowie drogi

zatrzymał się i zawołał: — Pani, już czas!

Halima starała się szczególnie teraz przestrzegać porządku dnia. tylko w ten sposób nie wzbudzi podejrzeń.

Dlatego jej pożegnanie było niemal chłodne; obiecała jednak, że jutro o tej samej porze znów tu przyjdzie.

Sytuacja, w jakiej znalazł się Omar, była szczególnie zagmatwana i beznadziejna; mogła człowieka pogrążyć w głębokiej depresji. Ale Omar w ciągu swojego życia nauczył

się, że przygnębienie i rozpacz mobilizują nieoczekiwane siły i wyostrzają zmysły, by w sytuacji z pozoru bez wyjścia uczynić coś jedynie słusznego.

Tadaman, który był dla niego przez lata wzorem i bodźcem i któremu zawdzięczał życie, teraz, kiedy coraz więcej dowiadywał się o motywach i formach działania jego członków, stawał mu się coraz bardziej nienawistny. Sa'd Zaghlul może i był uczciwym człowiekiem. Brytyjczycy zesłali go jako przywódcę egipskiego ruchu narodowego na Maltę, później na Seszele, a jego sprzymierzeńcy z partii Wafd byli również z pewnością ludźmi uczciwymi. Ale za plecami ekstremistów należących do Tadamana i dających o sobie znać głównie przez liczne zamachy ukrywało się wielu przestępców, którzy mieli na uwadze tylko własne korzyści i dla których osobiste porażki życiowe stanowiły dostateczny powód, by przyłączyć się do tego ugrupowania.

Zasadniczą cechą organizacji była anonimowość jej członków. Tylko niewielu znało nawzajem swe imiona, ale i wówczas nie wiedzieli, kto jaką zajmuje pozycję w hierarchii, kto komu rozkazuje. Nie był też znany przywódca, co powodowało różnorakie spekulacje, ale właśnie ta niepewność stanowiła niewątpliwy atut Tadamana.

Omar wiedział oczywiście, że jego życie nie byłoby warte funta kłaków, gdyby organizacja, która w tak fatalny sposób go wessała, teraz

się go wyrzekła. Rodziło się więc pytanie, czy ma udawać przed al-Husseinem, że nic nie wie, czy też po prostu zniknąć i czekać, aż jemu i Halimie nadarzy się jakaś sposobność ucieczki.

Jeśli zniknie, al-Hussein wraz ze swymi ludźmi będą go szukali i nie spoczną, póki go nie znajdą, albowiem zniknięcie będzie dowodem jego winy. Jeśli natomiast się ujawni, zapewnienia, że nie ma nic wspólnego z aferą, nie znajdą u al-Husseina wiary. Zachodzi przy tym niebezpieczeństwo, że al-Hussein odkryje to, czego chyba na pewno nie wie, mianowicie że Omar jest tym chłopcem, któremu zawdzięcza posiadanie Halimy.

Nie zetknęli się wtedy, kiedy Omar padł ofiarą fatalnej pomyłki. Nie był pewien, czy Halima w ogóle wie, jak on się nazywa, prawdopodobnie zapomniał, z jakiego powodu Halima oddała mu się, mimo iż początkowo go od siebie odsuwała. Al-Hussein nie troszczył się o przeszłość, nie leżało w jego naturze zastanawianie się nad sprawami, które toczyły się zgodnie z jego wolą. Pod tym względem był całkowitym przeciwieństwem Omara.

Ten bowiem, gdy minęły pierwsze uniesienia, zaczął

wątpić, czy miłość Halimy teraz jest równie silna jak w młodszych latach, czy może niespodziewane spotkanie rozdmuchało przygasły płomień, który niebawem znów zgaśnie. Ta myśl prześladowała go z taką mocą, że kiedy spotkali się nazajutrz, Omar przyłapał się na tym, że słowa i ruchy Halimy przyjmuje z pewną rezerwą.

Halima, która miała subtelne wyczucie tego rodzaju wahań, dostrzegła niepokój Omara i przy trzecim spotkaniu zapytała go o przyczynę.

Czy jego wątpliwości nie miały podstaw? Omar nie starał

się usprawiedliwiać swych wahań. Życie nauczyło go, że uczucia są jak chwiejne drzewa, a od ich pierwszego spotkania minął kawał czasu. Co go jednak najbardziej niepokoiło, to myśl o wspólnej przyszłości. Halima prowadziła życie wytwornej damy, miała do dyspozycji liczną służbę, korzystała z dobrobytu. Myśl, że w razie ucieczki musiałaby wieść nędzny żywot bez przyszłości, doprowadzała Omara do szaleństwa. Wielokrotnie powtarzał sobie, że ucieknie, że nazajutrz nie pójdzie na spotkanie, ale potem, kiedy musiał się zdecydować, zapominał o wszelkich postanowieniach i z niepokojem czekał na Halimę.

Halima ostrzegła go, by nie wracał do swego mieszkania na przedmieściu; sądziła, że dom jest obserwowany. Handlarz dywanów, dobrotliwy staruszek, zaproponował mu kryjówkę w pomieszczeniu magazynowym na podwórzu. Omar odwdzieczył mu się, pomagając w ciągu dnia przy praniu dywanów; była to ciężka praca, wykonywana w pocie czoła twardą szczotką i cuchnącym mydłem, od którego ręce czerniały i puchły.

Ledwie oboje pokonali wszelkie wahania i postanowili uciec do Europy, Omara ogarnął nowy smutek. Halima opowiedziała mu o powrocie al-Husseina, który nic nie osiągnął i teraz poirytowany traktował ją z całą bezwzględnością. Omar lawirował pomiędzy niecierpliwością a zaślepiającą wściekłością na al-Husseina. Na myśl, że Halima po wspólnie spędzonych godzinach miłości musi ulegać al-Husseinowi, Omar zrywał się i chodził z zaciśniętymi pięściami po pokoju jak więzień. Zabiję go, powtarzał, prędzej czy później zabiję go!

Wściekłość al-Husseina doszła do zenitu, kiedy jeden z jego lokai przekazał mu informację, że Nagib ek-Kassar uciekł z więzienia. Al-Hussein szalał, cisnął krzesłem w służącego, który przyniósł mu tę wiadomość, wyjął rewolwer i zaczął

strzelać w sufit. Nie po raz pierwszy Halimę ogarnął strach przed al-Husseinem. Strach ów jeszcze bardziej pobudzał ją do tego, by opuścić męża. Bo może nadejść dzień, kiedy jego gniew skieruje się

przeciwko niej, a dzień, w którym się dowie o jej spotkaniach z Omarem, będzie dla niej oznaczał wyrok śmierci.

Kochali się każdego dnia, ciała ich bowiem były spragnione miłości, ale ta miłość pośród dywanów stawała się coraz bardziej aktem rozpaczki, ponieważ nie potrafili opanować strachu. Halima nie wiedziała, kto pomógł ek-Kassarowi w ucieczce, czy był to ktoś ze służby al-Husseina, czy też jemu samemu udało się uwolnić.

Nagib ek-Kassar był człowiekiem doświadczonym, wiele lat żył w Europie i gdyby trzeba było znaleźć schronienie w jakimś obcym kraju, na pewno by im pomógł; ale gdzie go szukać? Omar przypomniał sobie kalekiego czyścibuta sprzed hotelu „Mena House”. Był to jedyny człowiek, który mógł im pomóc. Nagib wiedział o jego przyjaźni z Omarem, wiedział, że można mu ufać, i gdyby szukał Omara, na pewno zwróciłby się do starego.

Halima dała Omarowi większą sumę pieniędzy, którą początkowo z oburzeniem odrzucił, potem jednak przyjął z wdzięcznością; teraz był nawet z tego zadowolony, mógł sobie bowiem pozwolić na odbycie długiej drogi do piramid autobusem. Hassan tkwił na swym starym miejscu, sprawiał

wrażenie, jakby czas dla niego się zatrzymał; odkąd Omar go znał, nic się nie zmieniał.

Hassan od razu wyczytał z miny Omara, że jest w potrzebie, i w milczeniu wskazał na ławkę w parku otoczoną oleandrami i niewidoczną z hotelowego wejścia.

—

Już pytano o ciebie — rzekł mikasah, kiedy za pomocą silnych ramion wspiął się na ławkę.

—

Nagib ek-Kassar?

Kaleka skinął głową.

—

Gdzie on jest?

—

Nic wiem — odparł Hassan. — Był bardzo zawiedziony i na wszelkie pytania dawał skąpe, nic nie znaczące odpowiedzi. Nie wiedziałem, co o nim myśleć.

Wreszcie powiedział, że jeszcze przyjdzie. Dziwny gość!

Omar zaczął opowiadać, co się wydarzyło od czasu ich ostatniego spotkania, opowiedział o tajemniczym zleceniu Alego ibn al-Husseina,

O swoim daremnym tropieniu obu brytyjskich agentów, o niespodziewanym odnalezieniu Halimy, a także o spotkaniach miłosnych z nią

planach ucieczki; nie taił też, że są bezradni. Zrobiło mu się lżej po tej rozmowie.

Hassan początkowo spoglądał przed siebie, potem zaczął

kręcić głową, jakby jeszcze nie wyrobił sobie ostatecznego zdania. Wreszcie nabrał głęboko powietrza, wyprostował się, przybierając niemal groźną postawę, i rzekł, nie patrząc na Omara: — Nie wolno ci tego robić, nie wolno.

—

A to dlaczego? — ofuknął Omar kalekę.

—

Ona jest jego żoną. Nie wolno ci mu jej zabierać.

—

Ale to zbrodniarz. On ją dręczył, boję się, że ją zabije, jeśli się dowie o naszych spotkaniach.

—

Mimo to Halima jest wobec Allaha prawowitą żoną Alego ibn al-Husseina i nikt z tej ani tamtej strony Nilu nie ma prawa mu jej odbierać.

—

Ale przecież ci powiedziałem, jak doszło do tego małżeństwa!

—

Święte prawo Koranu nie pyta o okoliczności, w jakich zawarto małżeństwo, pyta tylko, czy to małżeństwo zostało zawarte, czy nie. Halima się zgodziła, czy tak?

—

"Rik, ale...

—

A więc jest jego prawowitą żoną i nikt, także i ty, nie ma prawa mu tej żony odbierać.

Nieustępliwy, twardy ton, jakim mikasah przemawiał, wprowadził Omara w konsternację. Nigdy nie sądził, że będzie się sprzeciwiał słowom starca. Dotąd Hassan był dla niego autorytetem, zwłaszcza moralnym, ale teraz wszystko się zmieniło. Omar ani przez chwilę nie wątpił w słusność swego

postępowania. Ma pozostawić Halimę temu łotrowi? Nigdy!

Omar podał Hassanowi swój adres. Gdyby Nagib przyszedł, niech go tam skieruje. Stary przyrzekł mu to z poważną miną i Omar wyruszył w powrotną drogę. W autobusie zajął miejsce w ostatnim rzędzie. Przez drogę zastanawiał się. Przygnębiało go to, że zlekceważył radę starego mikasaha, ale jeszcze bardziej dręczyła go myśl, że miałby się rozstać z Halimą.

Owszem, Hassan jest mądrym starcem, jego rady dotąd były zawsze słuszne, ale to słaba pociecha. Omar chciał być z Halimą, a ona z nim, choćby wszystkie prawa świata były temu przeciwnie.

Podczas swych wspólnych rozważań Omar i Halima zaplanowali na początek ucieczkę do Anglii. Omar znał język tego kraju, od profesora Shelleya dowiedział się wiele o jego kulturze i historii. Pieniądze na podróż nie stanowiły problemu. Jeśli Halima zastawi swoją biżuterię — a była gotowa to uczynić — będą dysponowali wystarczającą sumą pieniędzy, aby przeżyć rok. Gdy Omar zapytał u „Cooka” na promenadzie

o statek z Aleksandrii do Southampton, dowiedział się ku swemu zaskoczeniu, że bilety na taką podróż sprzedaje się łącznie z wizą. Kiedy więc uprzejma miss w okienku zaczęła go pytać o nazwisko, imię, adres, Omar zerwał się i pospiesznie opuścił biuro podróży.

Był przekonany, że jego nazwisko wciąż jeszcze znajduje się na liście gończym Anglików, choć od historii przy budowie kolei minęły już cztery lata. Ale jak miał to sprawdzić, nie narażając na niebezpieczeństwo Halimy i siebie?

Nie było dnia, by w Kairze nie odbywały się demonstracje przeciwko cudzoziemcom. Zamachy na urzędników brytyjskich, strajki na poczcie i na kolei zaostrzały sytuację.

W proteście przeciwko okupantom wzburzone tłumy wysadzały w powietrze maszty telegraficzne, tory kolejowe i kanały nawadniające. Zaghlul był na wygnaniu, kraj od dłuższego czasu nie miał rządu, na cytadeli w Kairze powiewała brytyjska flaga, a komisarz brytyjski lord Allenby rozpaczliwie usiłował skłonić premiera Jego Królewskiej Mości Lloyd'a George'a do zmiany stosunków.

Należy wspomnieć o tych okolicznościach, bo właśnie one miały największy wpływ na dalszy bieg wydarzeń.

Jednego z pierwszych gorących wiosennych dni w sklepie z dywanami zjawił się niespodziewanie Nagib. Omar już stracił

nadzieję, że kiedykolwiek go spotka.

Nagib opowiedział, że dowiedział się od Hassana o miejscu pobytu Omara, ale stary w przeciwieństwie do pierwszego razu robił wrażenie raczej niechętnego, tak że Nagib zaczął

podejrzewać, iż stary chce na niego zastawić pułapkę. Z tego powodu przez trzy dni obserwował sklep, ale prócz kobiety w zasłonie, która przychodziła codziennie o tej samej porze, nie zauważył niczego podejrzanego.

Długo trwało, nim Omar przekonał Nagiba, że ta kobieta to żona al-Husseina, ale jednocześnie ukochana istota, której Omar zawdzięczał życie, i że Nagib nie ma się tu czego obawiać. Nieufność Nagiba minęła dopiero wówczas, kiedy Omar opowiedział mu o planie ucieczki i o daremnej próbie podróży do Anglii.

Dobrze się składało; Nagib bowiem również nosił się z myślą opuszczenia kraju i —jak zapewniał— dawno by opuścił Kair, gdyby miał pieniądze na przejazd. Halimie spodobał się Nagib, przede wszystkim imponowało jej jego doświadczenie życiowe i trzeźwe myślenie. W trójkę, rzekła, ich plan ucieczki jest bardziej realny, i zaproponowała, że zapłaci za przejazd Nagiba. Nagib powiedział, że za kilka dni zostanie zniesiony brytyjski protektorat i sultan Fuad będzie obwołany królem Egiptu. Związana z tym jest powszechna amnestia, tak że od tej strony nic im nie będzie groziło.

Halima nalegała na pośpiech. Jej sytuacja stawała się z dnia na dzień coraz bardziej niebezpieczna, bo al-Hussein wyznaczył tymczasem nagrodę w wysokości trzystu funtów za głowy Omara i Nagiba. Halima zdawała sobie sprawę, że jeśli jeden z nich zostanie wykryty, ona także będzie zgubiona.

Nagib znalazł schronienie u swojej ciotki. Tam był bezpieczny i unikał pokazywania się na ulicy razem z Omarem, bo nawet w tłoku wielkiego bazaru człowiek mógł się natknąć na denuncjatorów.

Na dzień przed proklamacją, która miała przynieść krajowi niezależność (przy czym chodziło tu o pozorną niezależność, ponieważ rząd Jego Królewskiej Mości nadal zastrzegał sobie polityczny nadzór nad krajem), niezbadana wola Allaha sprawiła, że Omar stracił niezachwianą pewność siebie i zaczął się zastanawiać, czy stary mikasah nie miał racji ostrzegając go.

Omar i Nagib umówili się pod wielkim zegarem na Sharia abd el Khalig, gdzie miała swe biura większość towarzystw okrętowych. Omar z zainteresowaniem obserwował

nadjeżdżający biały samochód, który wyróżniał się tym, że kierowca siedział na miejscu bez dachu, podczas gdy pasażer, wytwornie ubrany Anglik z błyszczącym monoklem w oku, siedział w części osłoniętej przed kurzem i słońcem. Przed wejściem do „United Mediterranean”, niedaleko Omara, wóz się zatrzymał. W tej chwili nadszedł Nagib.

Omar pomachał mu ręką, ale zanim obaj zdążyli się przywitać, trzech mężczyzn rzucili się z różnych stron, odepchnęli ich na bok i prawie jednocześnie zaczęli strzelać do Anglika, który właśnie wysiadał. Omar i Nagib stali jak przymurowani, nie ruszyli się z miejsca, kiedy gangsterzy wystrzelali wszystkie naboje, cisnęli rewolwery na bruk i uciekli w boczną uliczkę prowadzącą do opery.

Anglik leżał obrócony twarzą do ziemi, spod jego brzucha wypływała krew. Palce lewej ręki drgały jak rażone prądem; potem ręka opadła bezwładnie. Ze wszystkich stron nadbiegli ludzie z krzykiem i dopiero teraz Omar zdał sobie sprawę, że to oni stoją najbliżej ofiary. Chwycił Nagiba za rękaw, zaczęli się przeciskać przez tłum gapiów.

Spostrzegł to kierowca, Egipcjanin, który ukrył się za autem, i zawołał, wskazując na obu mężczyzn:

— Trzymajcie ich! To mordercy!

Kilku śmiazków, którzy zagroździ im drogę, Omar i Nagib powalili na ziemię i pędzili dalej, by ratować swoje życie.

Wiedzieli, że są niewinni, że tylko przypadek sprawił, iż byli świadkami zamachu, ale wiedzieli także, że jako świadkowie musieliby zrezygnować ze swej anonimowości, a to pociągnęłoby za sobą fatalne skutki. Ponieważ Omar znał tę dzielnicę i jej wąskie zaułki, pędził w stronę dworca. Nagib biegi za nim. Kiedy już poczuli się bezpieczni, zwolnili tempo i zanurzyli się w tłumie na placu przed dworcem. Tam rozstali się i poszli każdy inną drogą do sklepu z dywanami.

Halima zaniemówiła, kiedy usłyszała, co się stało. Opadła na dywan, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się jak mała dziewczynka. Wydawało się, że wszystko wygląda beznadziejnie. Omar milczał. Słowa starego mikasaha nie wychodziły mu z głowy. Nagib stał między oknami, oparty o ścianę, i patrzył w sufit.

—

No i co? — zapytał Omar wyzywającym tonem, graniczącym z cynizmem. Znał wyraz twarzy Nagiba, kiedy ten rozmyślał; ostatecznie dość długo siedzieli wspólnie w ciasnym pomieszczeniu.

—

Znam jednego pracownika portowego w Aleksandrii

— zaczął Nagib z wahaniem, a Halima spojrzała nań z niechęcią. — Może to przesada, że znam, ale wiem, że jest przekupny. Pieniądze działają na niego jak opium. Za kilka banknotów robi wszystko. Już wielokrotnie ryzykował utratę pracy, kiedy w wolnocłowym porcie zostawiał otwarte bramy magazynów. Ludzie Tadamana przemycali całymi ciężarówkami amerykańskie i brytyjskie papierosy. Po załadunku człowiek ów zamykał magazyny i policja łamała sobie głowę, w jaki sposób towar mógł zniknąć.

—

My nie potrzebujemy amerykańskich papierosów —

rzekł Omar niechętnie.

—

Nie — odparł Nagib — nie potrzebujemy

papierosów, ale moglibyśmy w inny sposób skorzystać z jego pomocy.

—

No to mów! — nalegała Halima.

—
Myślę, że Gorgios — bo tak się nazywa ów człowiek, Grek, jak wielu w Aleksandrii — mógłby nas przeszmuglować przez odprawę celną i paszportową i ulokować na statku płynącym do Europy.

—
Jako pasażerów na gapę? — Halimie nie spodobała się ta pro- pozycja.

—
Dlaczego pasażerów na gapę! Georgios zna załogi statków, a ci ludzie są nie mniej przekupni niż pracownicy portowi.

—
Czy sądzisz, że przy jego pomocy moglibyśmy ominąć urzędy?

—
Jestem tego pewien.

Halim*» IUW się «tywiła. Pieniądze nie grają roli w tym przedsięwzięciu. oswinrrryta. Może zastawić swoją biżuterię, prócz tego ma dostęp Jo kilkuset luntow gotówką, które at-Husscin przechowuje w domu.

On cię zabije, jeśli zauważy brak pieniędzy — rzekł Omar, ale głos jego nie zdradzał zbytniego niepokoju, bo wiedział, że to ich jedyna szansa.

Halima ujęła jego dłoń. — Nie wątpię w' to ani przez chwilę — odparła z. uśmiechem gorzkości — ale mu się nie uda. Ufam ci.

Nagib ukląkł przed obojgiem i mówił po cichu: — 'Tb trzeba szybko załatwić. Kiedy al-Husscin spostrzeże ucieczkę Halimy, musimy już być na statku albo przynajmniej w porcie w Aleksandrii. Rozumiecie?

Omar i Halima skinęli głowami.

—
Najlepiej będzie, jeśli się rozstaniemy. To znaczy niech każde z nas stara się dostać do Aleksandrii na własną rękę. Ty także, Halimo. W trójkę czy też w dwójkę to zbyt ryzykowne.

—
Zgoda — rzekł Omar, bo ten argument przemówił

do niego. — tylko kiedy?

—

Jutro — odparł Nagib krótko. — Nie mamy czasu do stracenia. Pierwszy pociąg do Aleksandrii odchodzi około szóstej.

—

Tb niemożliwe — rzekła Halima. — Al-Hussein nie opuszcza domu przed dziewiątą. Nie mogę wyjść przed nim, by nie wzbudzić podejrzeń.

Ustalili więc, że Halima pojedzie najbliższym pociągiem, którym będzie mogła. Na punkt spotkania wyznaczyli wieżę na moło portowym

o pełnej godzinie. Panuje tam zawsze wielki ruch, nic ma obawy, że zostaną wykryci.

Z fałd szaty Halima wyjęła zwitek banknotów, podzieliła je i dała po połowie Omarowi i Nagibowi. Obaj w milczeniu schowali pieniądze. Potem Halima objęła mocno Omara.

—

Niech nam Allah dopomoże — rzekła, zanim zeszła z wąskich schodów. — Z pomocą Allaha na pewno nam się uda.

Kiedy znikła, Omar stał jak sparaliżowany. Jakiś głos wołał

w nim: Zawróć ją! Nie wolno ci jej puszczać! Inny głos zaś nawoływał do zachowania spokoju, do rozsądku. Bo tylko w ten sposób mogli wszyscy troje zmierzyć się z losem.

—

Ty drżysz! — Nagib podszedł do Omara i ujął go za rękę. Ten się odwrócił.

—

Nie wstydz się — mruknął Nagib — to żaden wstyd, kiedy się drży o kobietę. Bardzo ją kochasz?

Omar nie odpowiedział, ale Nagib nie czekał na odpowiedź.

Tfcj nocy, ostatniej — tak przynajmniej sądził — jaką spędzał w Kairze, Omar nic mógł zasnąć. Za bardzo dręczyła go myśl, że musi na

zawsze opuścić swój kraj. Nie poczuje już na skórze gorącego chamsinu, który pędzi przed sobą piasek i pył, nie poczuje już zapachu brzegów Nilu, nie przeżyje więcej nocy, kiedy Gwiazda Południa Jśni na niebie jak kJejnot. Ogarnął go Jęk, że będzie się musiał porozumiewać w obcym języku, żyć w obcym kraju i ubierać po europejsku. On kocha Egipt, kocha ten kraj, choć byłoby

całkiem zrozumiałe, gdyby go nienawidził. Bo w tym kraju są tylko dwa rodzaje ludzi: ci, którzy żyją w cieniu, i ci, którzy żyją w świetle. Omar żył

zawsze w cieniu. Człowiek przyzwyczaja się do ciemności prędzej niż do światła.

Jednak myśl, że rozpocznie z Halimą nowe życie, dodawała mu odwagi, uśmiechnął się, ale był to raczej uśmiech niepewności jutra niż radości. Z rana Omar wziął banknot pięćofuntowy i wraz z kartką zawierającą krótkie podziękowanie zostawił właścicielowi sklepu z dywanami.

Następnie udał się do jednego z wielu kramów z używaną odzieżą. Umówili się, że podczas ucieczki będą nosili europejską odzież, by uniknąć podejrzeń. Omar kupił sobie jasne płócienne ubranie; było tanie i nie przyciągało uwagi.

Torba z płótna żaglowego, w której od czasów służby u Anglików przy budowie kolei przechowywał swoje rzeczy, także ukrywała jego prawdziwe pochodzenie.

Tak więc po męczącej podróży koleją dotarł Omar do Aleksandrii. Dworzec sprawiał wrażenie orientalne, natomiast miasto miało charakter europejski. Równie ożywione jak Kair, wydało się Omarowi bardziej nowoczesne, mniej zagmatwane niż stolica.

Nagib był już na miejscu i wyglądał na zdenerwowanego, bo Georgios dopiero po długich namowach i za dwukrotnie większą sumę pieniędzy, niż było planowane, zgodził się im pomóc. Najbliższy statek do Anglii odpływa dopiero za pięć dni i nie jest pewne, czy Georgios będzie mógł coś dla nich zrobić. Jutro opuszcza Aleksandrię statek płynący do Neapolu, ale załoga jest pod stałą obserwacją od czasu, kiedy pewien poszukiwany nacjonalista uciekł statkiem do Włoch i teraz publikuje w prasie złośliwe oświadczenia. Jeszcze dziś w nocy natomiast odpływa statek „Königsberg”, należący do bałtyckiego towarzystwa okrętowego; jego kapitan z różnych powodów ma zobowiązania wobec Georgiosa; na statku tym jest wolna kabina, kapitan może nawet wystawić odpowiednie papiery, tak że w Hamburgu będą mogli bez trudu zejść na ląd.

Niemcy? Omar zrobił zrozpaczoną minę, bo spodziewał się, że dotrze do Anglii, gdzie przynajmniej będzie mógł się porozumieć. Ale Niemcy?

Nagib, który wiele lat spędził w Berlinie, patrzył na sprawę inaczej. Jego wspomnienia nie były wprawdzie najmiłsze, zarabiał na życie doraźną pracą, na pół legalną, ale tam nie musiał się obawiać, że ktoś go

rozpozna. I wobec wyboru, czy dziś jeszcze ująć prześladowcom, czy też czekać w strachu na lepszą okazję, Omar się zgodził.

Ale co z Halimą? Omar patrzył na molo, szukając w tłumie dziewczyny; ale nie było jej i do smutku na widok kipiącego wokół życia dołączył się strach, że może ktoś ze służby odkrył

ucieczkę Halimy i zdradził ją i że al-Hussein jest na jej tropie.

Nagib, który widział niepokój Omara, rzekł uspokajająco:

— Nie bój się, ona przyjdzie! — i pociągnął przyjaciela za niski murek, gdzie mając za plecami zachodzące słońce, spojrali ponad cumującym statkiem daleko w morze.

—
Los jest sprawiedliwy — zaczął Nagib i splunął do wody — jeśli Halima przyjdzie, będzie to oznaczało, że wolą Najwyższego jest, abyście się połączyli; jeśli nie przyjdzie, to musisz się pogodzić z Jego wolą.

Omar skinął głową w milczeniu, chociaż myśl ta dręczyła go jak tortury. Egipcjanin nie zna współczucia dla siebie. Wie, że wszystko, co się z nim dzieje, jest zgodne z wolą Allaha.

—
Poczekamy do pełnej godziny — rzekł Omar i spojrział na Nagiba z obawą, że ten się nie zgodzi. Jeśli nie przyjdzie, pojedziemy sami.

—
W porządku — zgodził się Nagib — ale tylko do pełnej godziny. Inaczej statek odpłynie bez nas.

Przed Omarem otworzyła się mroczna pustka, życie wydało mu się pozbawione sensu jak nigdy dotąd. Pragnienie, by uciec i zacząć z Halimą nowe, szczęśliwe życie, odfrunęło.

Widział przed sobą perspektywę samotności, życia bez celu.

Po cóż więc uciekać?

Lęk wydłużał czas w nieskończoność. Omar nie wiedział, jak długo wpatrywał się w wodę. Czuł tylko na ramieniu dłoń Nagiba, który jakby chciał uwolnić go od czarnych myśli.

Omar podniósł wzrok, Nagib dał mu znak głową. W

odległości kilku kroków szła wytwornie ubrana kobieta. Miała na sobie obcisły kostium podróży i elegancki modny ka-pelusik, a w ręku walizkę. Halima? Czy to sen, czy jawa? Nie, to niewątpliwie Halima.

Wahając się, jakby w obawie, że się omylił, Omar zbliżył

się do niej. Trwało chwilę, zanim Halima go poznała.

—
Halima!
—

Omar!

Nagib nalegał na pośpiech i przestrzegał, aby zachowywali się normalnie.

W parterowym domu o wielu drzwiach, na których widniały cyfry i słowa, czekał Georgios. Był wyraźnie zdenerwowany, bynajmniej nie z powodu swego zadania, lecz ze względu na nieprzyzwoicie wysoką sumę, jakiej beczelnie zażądał za przysługę. Był egipskim urzędnikiem

mn

i każdy wiedział, że nie może utrzymać się ze swej pensji.

Bycie urzędnikiem w tamtych czasach usprawiedliwiała korupcję, a Georgios, który miał na utrzymaniu żonę i czwórkę dzieci, nie mógłby egzystować, gdyby nie miał

regularnie dodatkowych dochodów. Często przemycał

nielegalnie na obce siatki Judzi, którzy popadli w konflikt z prawem lub takich, którzy po prostu chcieli zniknąć, nie pozostawiając po sobie śladu. Zazwyczaj Georgios żądał

dwudziestu funtów za usługę, co równało się jego miesięcznej pensji, ale zawsze dokładnie przyglądał się ludziom, którym miał pomóc, starając się wywnioskować z ich zachowania, ile mogą zapłacić. Od tej trójki zażądał prawie podwójnej sumy, mianowicie stu funtów; jeśli ta cena jest dla nich zbyt wysoka, niech się zwrócą do kogoś innego.

Nagib omal nie stracił panowania nad sobą, wyglądał tak, jakby chciał się rzucić na Georgiosa i zawlec go do najbliższej komendy policji. Ale co by to dało? Georgios oczywiście wszystkiemu by zaprzeczył, a co najgorsze, oni sami by się zdradzili. A zatem Halima dała Georgiosowi sto funtów, by załatwił wszystko z kapitanem, łącznie z fałszywymi dokumentami, tak aby po zapadnięciu zmroku mogli legalnie wejść na statek.

MS „Königsberg” był połączeniem frachtowca i statku pasażerskiego i raz w miesiącu odbywał rejs między Hamburgiem a Aleksandrią. Co prawda można by dojechać do Niemiec wygodniej, drogą morską do Neapolu, dalej zaś koleją, co skróciłoby czas podróży o dwie trzecie.

Trojgu spóźnionym pasażerom przydzielono kabinę na dolnym pokładzie, gdzie przeważnie umieszczano służbę.

Wysoko urodzeni państwo zajmowali górny pokład. Nagib, jedyny, który już pływał, rzekł, że kabiny bez okienek są co prawda nędzne, ale za to nie przyciągają uwagi pozostałych pasażerów.

Kiedy statek odpływał, na godzinę przed północą, Omar, Halima i Nagib stali wraz z innymi pasażerami na pokładzie.

Światła Aleksandrii stawały się coraz mniejsze, Omar objął

Halimę, która drżąc, cicho popłakiwała. Nie zauważyła, że Omar również drży.

Chociaż żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa, oboje czuli to samo. Szczęście, że wspólnie uciekają, i obawę przed przyszłością. In- szallah.

BERLIN POMIĘDZY GENDARMENMARKT A URANIĄ

O

wy, którzy wierzycie!

Nie bierzcie sobie za przyjaciół

żydów i chrześcijan;

oni są przyjaciółmi jedni dla drugich.

A kto z was bierze sobie ich za przyjaciół, to sam jest pośród nich.

Zaprawdę, Bóg nie prowadzi drogą prostą ludu niesprawiedliwych!

Koran, sura V

Nagib, Omar i Halima mieli nadzieję, że decyzja ucieczki do Europy uwolni ich od przekleństwa przeszłości, mieli nadzieję, że będą mogli prowadzić nowe, niczym nie zakłócone życie, wolne od strachu przed prześladowcami.

Dlatego opuścili Egipt i ruszyli ku niepewnej przyszłości.

Lecz człowiek może uciec od terażniejszości, ale nie ucieknie przed przeszłością.

Kiedy po dwóch tygodniach podróży opuścili statek w Hamburgu, niepewni, dokąd się udać w obcym kraju, podszedł

do nich elegancko ubrany na szaro mężczyzna. Miał na głowie czapkę kierowcy ze złożonym sznurem, nosił rękawiczki, jego ramiona poruszały się sztywno jak wahadło zegara. Nagle zagroził im drogę i zapytał z uprzejmą powściągliwością: —

Czy państwo przybywają z Egiptu?

Nagib, który jedyny znał niemiecki, potwierdził i zapytał, czemu go to interesuje.

Mężczyzna w szarym ubraniu pominął to pytanie niechętnym uniesieniem brwi i ciągnął dalej: — Wobec tego mam przyjemność z panami Omarem Moussą i Nagibem ek-Kassarem?

Gdy Omar usłyszał swoje nazwisko z ust obcego, ogarnął

go paniczny strach; ujął Halimę za ramię i chciał wraz z nią uciec, zanurzyć się w tłumie. Nagib, ciekawy, skąd ten człowiek zna ich nazwiska, przytrzymał Omara za rękaw i syknął: — Spokojnie,

poczekajmy. — I zwracając się do obcego, zapytał: — To niewątpliwie egipskie imiona. Czego pan chce od tych ludzi? Czyżby byli poszukiwani przez policję?

Pytanie to wywołało uśmiech na twarzy wytwornego mężczyzny. Przejrzał taktykę Nagiba i usiłował w inny sposób zyskać zaufanie przybyszów. — Pozwolą państwo, że się przedstawię — rzekł, skłaniając głowę, przy czym reszta jego ciała pozostała sztywna. — Nazywam się Hans Kalafke, ale mówią do mnie po prostu Jean. Jestem sekretarzem, kierowcą i służącym Gustava-Georga barona von Nostitza-Wallnitza, jeśli to nazwisko coś panom mówi.

Czy coś mówi! Nagib przełknął ślinę. Nostitz-Wallnitz był jednym z najbogatszych ludzi w Niemczech, zarządza!

przeszło dwoma tuzinami zakładów przemysłu ciężkiego, miał

własny bank, nazywano go szarą eminencją niemieckiej partii Centrum: stalowy baron./« salaam! Czego ten stalowy baron chce od nich?

Omar, który dostrzegł zaskoczenie, a nawet konsternację Nagiba, spojrział na niego pytająco.

—

Pan baron pragnie z panami pomówić — rzekł

Kalafke, by zapobiec dalszym pytaniom. — Mam zawieźć panów do Berlina, jeśli panowie pozwolą. — Bez dalszych słów wziął bagaże całej trójki i ruszył do auta marki

„Stoewer”, parkującego przy nabrzeżu.

Nagib starał się wyjaśnić Omarowi i Halimie powstałą sytuację. Halima uczepliła się Omara i zaczęła przekonywać Nagiba, że to wszystko jest zasadzką, na pewno chcą ich aresztować i najbliższym statkiem odesłać do Egiptu. Niech Bóg miłościwy zlituje się nad nimi!

Gdy doszli do auta, Nagib rzekł, iż musi najpierw naradzić się z przyjaciółmi. Służący, przywykły do posłuszeństwa, usiadł za kierownicą ciemnej limuzyny i na pozór obojętnie patrzył przed siebie.

—

Od kiedy to policja posyła limuzyny z kierowcą? —

zapytał Nagib, spoglądając na Hansa Kalafke.

Omar wzruszył ramionami; musiał przyznać Nagibowi rację. Nie wyglądało to na podstęp policji. — Ale skąd on zna nasze nazwiska? Skąd wie o naszym przybyciu?

—

Przede wszystkim czego ten człowiek od nas chce?

— wtrąciła Halima i obejrzała się, czy nie ma w pobliżu jakiegoś policjanta.

Ponieważ dyskusja trwała za długo i Kalafke dostrzegł

niepewność Egipcjan, wysiadł z wozu, podszedł do Nagiba i rzekł: — Rozumiem waszą nieufność, ale zapewniam panów, że baron ma wobec was jak najlepsze zamiary.

—

Czy wie pan, o co chodzi?

—

Proszę pana! — Ten zwrot przyszedł kierowcy z widocznym trudem, ale ciągnął dalej: — Nie wolno mi wtrącać się do spraw pana barona i gdybym nawet wiedział

cokolwiek o jego planach, czułbym się zobowiązany do milczenia. Ale zapewniam panów, pan baron to człowiek honoru.

Nagib przetłumaczył te słowa Omarowi i Halimie.

—

Co to znaczy człowiek honoru? — dopytywała się Halima.

—

Człowiek honoru? Nasz język nie zna takiego pojęcia. Oznacza ono tyle, co człowiek uczciwy, któremu można zaufać.

—

I ty wierzysz temu woźnicy?

Nagib wzruszył ramionami. Podszedł wreszcie do szofera, który znów usiadł za kierownicą. — A jeśli odmówimy i nie pojedziemy z panem? zapytał.

Nic mogę panów zmusić. Moim zadaniem jest tylko przekazanie panom woli barona. Co prawda pan baron nie przywykł do tego, by mu odmawiano. Nie wiem, jak na to zareaguje.

—

Chce pan powiedzieć, że możemy odejść i nic się nam nie stanie?

—

Nie mogę panom tego zabronić.

Po tych słowach służącego cała trójka postanowiła zaryzykować tę przygodę i wsiadła do auta.

Pomiędzy Gendarmenmarkt a Uranią na Friedrichstrasse znajdowała się miejska rezydencja barona von Nostitza-Wallnitza. Miał on jeszcze willę w Grunewaldzie, gdzie przeważnie uprawiał swoje hobby, hodowlę gołębi pocztowych, ale od kilku lat, od czasu śmierci żony, pani Edigny, zwanej „Edi”, baron rzadko bywał w willi, wolał

rozgwar miasta.

Berlin był jak beczka prochu. Prawicowi ekstremiści zamordowali ministra spraw zagranicznych Waltera Rathenaua. Zamachy polityczne były na porządku dziennym.

A skutkiem reparacji, które zwycięskie mocarstwa nałożyły na Niemcy, była szalejąca inflacja. Stan średni zubożał, ale nieliczni pomnożyli swoje majątki niebotycznie. Do tych nielicznych należał baron von Nostitz-Wallnitz.

Pałac przy Friedrichstrasse był imponującą budowlą z czasów gryn- derskich, o wysokich, lśniących oknach z żaluzjami, otoczoną żelaznym ogrodzeniem, a potężnej bramy wjazdowej strzegli przez dzień i noc uzbrojeni strażnicy; dowcipni berlińczycy nazywali tę posiadłość „Cafe Reichswehr”.

Mimo tego bezczelnego afiszowania się ze swym bogactwem w tym mieście nędzarzy i bezrobotnych, stalowy baron był człowiekiem łubianym, albowiem do jego licznych dziwactw należała także regularnie powtarzająca się potrzeba czynienia dobra i rozgłaszania tego, a raczej sprawiania, aby inni głośno o tym mówili. Dość często zdarzało się, że kiedy baron jechał swoim „Stoewerem” po wspaniałej Unter den Linden i zobaczył żebraka, wysiadał, pytał go o nazwisko i sytuację i w miarę potrzeby albo dawał mu mieszkanie, albo pracę, albo pokrywał jego długi; zawsze też w takiej chwili był w pobliżu jakiś fotograf lub reporter z „Bild-Zeitung” albo

„Morgenpost”, który to zdarzenie we właściwej formie zrelacjonował w prasie.

Baron chętnie czynił dobro, ponieważ — jak się wyrażał —

wartości są przemijające, uczucia natomiast wieczne, i zawsze podawał przy tym

jako przykład „Berliner Illustrierte”, którego noworoczny numer kosztowa/ dwie marki, numer sylwestrowy zai osiemdziesiąt marek, mimo iż gazeta nie była ani grubsza, ani ładniejsza.

Zbliżał się wieczór, kiedy Omar, Halima i Nagib dotarli na Fric- driclislrasse. Wóz zatrzymał się przed portalem i portier w kamizelce w szare pasy podszedł do przybyszów i oznajmił, że pan baron ich oczekuje.

Otworzyły się drzwi prowadzące do holu dwupiętrowego domu, wewnątrz zc schodami z białego marmuru. Na kamiennej posadzce w biało- -czamy wzór szachownicy leżały perskie dywany. Dwa opasłe skórzane fotele i stolik z przyborami do palenia, a z boku biały fortepian stanowiły tu jedyne umeblowanie. Z sufitu zwisał kryształowy świecznik, którego nie powstydzilby się nawet pałac sułtana w Kairze; aksamitne zasłony nadawały wnętrzu poważny, niemal muzealny nastrój.

"tymczasem całą trójkę, która przybyła w nastroju nieufności i niepewności, ogarnęła ciekawość, kiedy służący poprowadził ich na górę, zatrzymał przed dwuskrzydłowymi drzwiami i dał znak, by zaczekali. Sam znikł bez słowa, wrócił

po chwili i otworzył drzwi. Omar, Halima i Nagib weszli.

Pomieszczenie, w którym się teraz znaleźli, było pogrążone w lekkim półmroku. Na sięgających sufitu półkach wzdłuż ścian stały książki, pomiędzy dwoma oknami biurko olbrzymich rozmiarów, za nim siedział mężczyzna o czerwonej twarzy, w lewej ręce trzymał cygaro, prawą pod-pisywał papiery, mechanicznie, nie patrząc na nie: Gustav-Georg baron von Nostitz-Wallnitz.

Kiedy baron podniósł wzrok znad polerowanego biurka, jego pełna twarz rozjaśniła się na chwilę, jakby chciała się uśmiechnąć; nie udało się to jednak, zamiast uśmiechu wyszedł grymas. Nostitz nie był bowiem przyzwyczajony do tego, aby się uśmiechać. Z trudnością przychodził mu nawet miły wyraz twarzy. Tłumaczył to w ten sposób: jestem bogaty, a więc nie mam powodu do śmiechu.

Von Nostitz wstał, teraz widać było, że jest bardzo tęgi i bardzo niski, a także pociąga lewą nogą. Jego kroki wydawały się niezdarne i chodzenie najwyraźniej sprawiało mu trudność.

Powitał gości i wskazał im miejsca. Następnie zaczął bez ogródek:

—

Państwo oczywiście są zdziwieni, że oczekiwano ich w Hamburgu, na pewno wahali się państwo przyjąć moje zaproszenie, dobrze to rozumiem. Ale pragnę państwa zapewnić, że z mojej strony nie mają się państwo czego obawiać, przeciwnie, zwracam się do was z prośbą, niemal jako petent.

Potent? Nagib, który tłumaczył słowa barona, spojrzał

behradnie na Omara, ten zaś na Halimę.

Skąd pan wiedział o naszym przybyciu? — zapytał Nagib uprzejmie.

—

Zaraz się pan dowie, i wówczas zrozumie pan, o co chodzi. — Baron zapalił nowe cygaro i wypuszczając małe obłoczki dymu, zaczął mówić, zwracając się do Nagiba: — Na pewno zastanawiał się pan, kim byli ludzie, którzy wyzwolili pana z pułapki Alego ibn al...

—

Al-Husseina?

—

Tak. Bo inaczej tkwiłby pan jeszcze w tym blaszanym baraku na przedmieściu Kairu jako więzień tego gangstera.

Kiedy baron wymienił nazwisko al-Husscina, Halima zerwała się, zerkając na drzwi, potem spojrzała na Nagiba, jakby czekając na jego sygnał do ucieczki. Ale on dał jej znak, aby spokojnie usiadła.

—
Skąd pan o tym wie? — zapytał Nagib zdziwiony.

Baron wyciągnął lewą sztywną nogę daleko przed siebie i rzekł, nie patrząc na Nagiba. — Widzi pan, nasz świat stał się bardzo mały. Drogi i koleje połączyły kraje, samoloty latają nad kontynentami. Z urzędu telegraficznego w Kairze może pan depeszować do całej Europy. Wystąpienie Lloyda George'a podczas konferencji w Genui zostało przekazane do Londynu w ciągu siedemdziesięciu minut. Dziś wszyscy wszystko wiedzą, trudno jest coś ukryć, jeśli pan rozumie, co mam na myśli.

—
Nie, niczego nie rozumiem — odparł Nagib.

Baron odchrząknął. — Kilka ulic stąd ma swą siedzibę służba wywiadowcza, jest ona podobno najlepsza na świecie.

Od pewnego czasu ludzie ci obserwują szczególną aktywność wywiadu francuskiego i brytyjskiego w pańskim kraju. Przez długi czas wywiad nasz nie wiedział, jaki jest ich właściwy cel, i bardzo go irytowało, kiedy posyłano tam coraz więcej archeologów. Myśl, że wywiad europejskiego kraju może się interesować badaniami archeologicznymi, wydawała się niemal absurdalna. Wywiad nie żyje przeszłością, lecz przyszłością. To, co było, go nie interesuje, wywiad koncentruje się na tym, co będzie lub może być. A więc musi istnieć inny powód, dla którego Francuzi i Brytyjczycy zajmują się archeologią. Nasz wywiad wykrył prawdziwy powód.

W rozmaitych muzeach świata znajdują się fragmenty tablicy, które

— złożone — określają miejsce tajemniczego grobu ze starożytnych czasów. Brytyjski archeolog Hartfield miał

podobno największy fragment i twierdził, że w grobie znajdują się nieprzebrane skarby: prócz złota i klejnotów, a także cennych przedmiotów użytkowych są tam także dokumenty zawierające wiedzę, którą ludzkość już dawno straciła.

Przede wszystkim to interesowało wywiad. Krążyły pogłoski, że w grobowcu ukryte są także tajne formuły, cudowne napoje, wskazówki dotyczące dalszych kryjówek.

Od czasów Napoleona krążą po świecie osobliwe historie, poważni naukowcy zajmują się teoriami, według których Egipcjanie znali obcą dla nas formę energii i opanowali teorię odwróconej siły magnetycznej biegunów.

Słowem, gdyby część tych przypuszczeń i wyobrażeń była prawdziwa, to ich odkrywca miałby nad

resztą ludzkości taką przewagę, że mógłby zapanować nad światem. Bo jeśli coś może zapanować nad światem, to tylko wiedza.

Baron mówił z entuzjazmem, widać było, że dość dokładnie zna temat, i goście powoli zrozumieli, dlaczego ich właśnie sobie upatrzył. Nadal jednak było zagadką, w jaki sposób ich znalazł.

W przerwie, którą baron wykorzystał, by zaproponować gościom koniak, za który podziękowali, Nagib odważył się na pytanie, w jaki sposób baron dowiedział się o ich istnieniu.

— Powiem panu. — Przez twarz barona przebiegł

nieśmiały uśmiech. — Otrzymuję swoje informacje z pierwszej ręki. Friedrich Freienfels, szef wywiadu, jest moim kolegą szkolnym, dzieliliśmy przez lata tę samą ławkę i tę samą kobietę ■— nie mamy przed sobą żadnych tajemnic.

Gdy przyjaciel opowiedział mi o tajemniczym grobie w Egipcie, zapragnąłem sam zabrać się do poszukiwań.

Nagib, Omar i Halima spojrzeli na siebie w milczeniu.

—

Wiem, co teraz myślicie — rzekł baron i napił się koniaku. — Myślicie, że to taki dziwaczny kaprys milionera, że za kilka tygodni o tym zapomnę, ale zapewniam was, że tak nie jest. Odkąd dowiedziałem się

o tej sprawie, nie opuszcza mnie myśl, że ja, Gustav-Georg von Nostitz-Wallnitz, mógłbym stworzyć coś, co ma nieprzemijającą wartość, mógłbym dokonać czegoś, co by rozślawiło moje imię w całym świecie.

— Przy tych słowach oczy mu załśniły.

—

Kto wie — ciągnął baron dalej — kto wie, jak długo jeszcze pożyję. Gdy tak patrzę na swoje życie, zastanawiam się, czego właściwie dokonałem, i muszę stwierdzić, że jedyne moje osiągnięcie to pieniądze, które z dnia na dzień tracą wartość i wkrótce będzie się nimi można tylko podetrzeć. A pewnego dnia umrę i nikt nawet tego nie zauważy. Nie było mi dane mieć dzieci, wraz ze mną umrze moje nazwisko. Za pięćdziesiąt lat ludzie będą mówić: baron Nostitz? Nigdy o nim nie słyszałem. Ta myśl mnie przeraża: człowiek żyje pięćdziesiąt, sześćdziesiąt lat i następne pokolenie już go nie pamięta.

Gdybyście wiedzieli, jak ja zazdroszczę hodowcom róż, którzy mogą nadawać im swoje imiona, lub astronomom, którzy odkrywają gwiazdy całkiem bezwartościowe dla rozwoju ludzkości; ale te bezwartościowe, nic nie znaczące gwiazdy noszą ich imiona i jeszcze za tysiąc lat będą się one znajdowały w księgach astronomicznych. Jaką radość musi sprawiać taka świadomość w chwili śmierci. Jeśli jutro będę umierał, wydam się sam sobie nędznym, nic niewartym człowiekiem, bo to

wszystko, co dotychczas zrobiłem, jest nędzne i nic niewarte.

Słowa te ukazały tego małego, brzydkiego mężczyznę, który posiadał wszelkie bogactwa tej ziemi, w całkiem innym świetle. Ale czego on od nich chciał?

—
Nie odpowiedział pan na moje pytanie, panie baronie — nalegał Nagib. — Dlaczego pan wpadł właśnie na nas, czego się pan po nas spodziewa?

Baron znów uśmiechnął się nieporadnie. — Przecież powiedziałem panu, że nasz wywiad jest najlepszy na świecie, lepszy niż Deuxième Bureau w Paryżu i Secret Service Jego Królewskiej Mości. Freienfels i jego ludzie bardzo wcześnie natrafili na was, dokładnie mówiąc w dniu, kiedy Omar Moussa obserwował obu agentów brytyjskich na statku na Nilu. Agenci owi byli też pod naszą obserwacją. A więc ktoś, kto wykazywał również zainteresowanie tymi ludźmi, musiał

zwrócić uwagę. Początkowo sądziliśmy, że Omar Moussa jest agentem obcego, nie znanego nam mocarstwa, ale po kilku dniach, kiedy nasi ludzie bliżej się nim zajęli, dowiedzieliśmy się, że należy do Tadamana i że — czego dotychczas nie wiedzieliśmy — także Tadamana poluje na tę tajemnicę. Cała reszta natomiast jakby wyniknęła sama z siebie. Najpierw natrafiliśmy na Alego ibn al-Husseina, potem na Nagiba ek-Kassara, wreszcie na Halimę.

Omar kręcił się niespokojnie na krześle. Myśl, że ten człowiek wie

o

nich więcej, niżby sobie życzyli, niepokoiła go. Ale czy naprawdę wie wszystko?

—

Powiedz mu — rzekł Omar do Nagiba — że my obaj z musu staliśmy się członkami Tadamana i że oni ścigają nas, bo nie spełniliśmy ich rozkazów. Niech o tym wie.

Nagib przetłumaczył baronowi słowa Omara; baron potwierdził, że

o

tym wie i że w pewnym sensie to dobrze, bo ekstremiści bez względu na kolor są nieobliczalni, a więc niepewni, i pozostają wobec tego poza zasięgiem ich zainteresowań.

W ciągu rozmowy stało się jasne, że wszyscy troje od tygodni pozostawali pod obserwacją Niemców i że ich życie prywatne było znane aż do najdrobniejszych szczegółów, a nawet kierowano ich losem. Pośpiech, z jakim urzędnik portowy umieścił ich na statku niemieckim, nie był

przypadkowy. Georgios został przekupiony przez niemieckich agentów, a więc zainkasował podwójną zapłatę: od nich za przejazd, od Niemców za umieszczenie ich na statku

„Königsberg”.

To bardzo przykre dowiadywać się od obcych szczegółów z własnego życia. Co jeszcze wie ten szalony baron, czego od nich oczekuje?

—

Niech pan wreszcie powie, czego pan od nas chce!

— zaczął Nagib niechętnie. — Prześwietlił nas pan, sprowadził do Berlina, ale chyba mamy prawo sądzić, że nie sprowadził nas pan całkiem bezinteresownie. Więc czego pan od nas chce?

— Mam dla was trojga pewną propozycję.

— Jaka?

— Chciałbym, abyście dla mnie pracowali. Znajdziecie dla mnie grób Imhotepa!

Baron wstał i podszedł do regału, wyjął jedną z książek i nagle ściana jakby cudem odsunęła się na bok i odsłoniła półkę z niezliczonymi aktami i dokumentami powiązаныmi w paczki. Twarz barona przybrała niemal błogi wyraz. Wyraźnie rozkoszował się zdumieniem swoich gości, wreszcie rzekł z szerokim gestem: — Nie siedziałem beczynnie. Możecie tu znaleźć wszystko, co dotychczas zostało udokumentowane w sprawie Imhotepa, także informacje obcych wywiadów oraz relacje z waszej działalności.

Omar i Nagib podeszli do półki, podziwiali dokumenty opatrzone napisami, manuskrypty, koperty; baron wyciągnął

pierwsze z brzegu dokumenty, przerzucał kartki, wreszcie zatrzymał się na jakiejś fotografii. Halima podeszła, spojrzała na zdjęcie i wydała okrzyk przerażenia:

—

To mój ojciec!

Wskazała na łysego mężczyznę stojącego w rzędzie wśród innych osób. Tak, Omar poznał fotografię robioną podczas przyjęcia u Mustafy Agi Ayata. Poznał profesora Shelleya i jego żonę Claire, dyrektora kolei z Luksoru, lady Dawson, szefa policji Ibrahima el-Nawawiego.

—

To zdjęcie — rzekł Omar pełen podziwu —

pochodzi sprzed wojny, to nie do wiary! Byłem wówczas jeszcze chłopcem i służyłem u profesora, /« salaam.

Baron skinął zadowolony. — Z tego może pan wywnioskować, jak szczegółowe są moje informacje,

jak wnikliwe moje poszukiwania.

Omar potrząsnął głową: — Zebrał pan bardzo wiele materiału, widać ma pan informacje o działalności wszystkich wywiadów. Dlaczego więc zależy panu akurat na współpracy z nami?

—
To bardzo proste. — Baron odłożył akta na miejsce.

— Mam wrażenie, że właśnie wy jesteście najbliżej odkrycia tajemnicy. Zwróciłem uwagę na to, że drogi wszystkich ludzi, którzy szukają Imhotepa, zawsze krzyżują się z waszymi, kiedy tylko posuną się oni kawałek dalej, obojętne czy są to archeolodzy, awanturnicy, czy też agenci. Mówiąc ściślej: wy jesteście zawsze o krok przed innymi.

Były to bardzo pochlebne słowa, które jednak nie zdołały rozwiązać wątpliwości Omara i Nagiba. Oczywiście mogli oni tu, w Berlinie, czuć się bezpiecznie pod opieką tego wpływowego człowieka, ale pomiędzy kamieniami młyńskimi wywiadów, gdzie wcześniej czy później trafią, nie pozostaną długo anonimowi, al-Hussein zaś uczyni wszystko, by ich wytropić, a wówczas ich życie znajdzie się w niebezpieczeństwie. Powrót

do Egiptu jest dla nich w najbliższym czasie niemożliwy. Jak baron to sobie wyobraża?

Baron nie miał takich wątpliwości. Postanowił odnaleźć grób Imhotepa i w tym celu potrzebna mu była pomoc tej trójki Egipcjan. Jego wzrok mówił wyraźnie, że irytuje go wahanie się tych ludzi przed przyjęciem jego propozycji; widać to było po sposobie, w jaki kręcił nerwowo w rękę cienkie cygaro.

—
Problem Alego ibn al-Husseina wkrótce sam się rozwiąże — rzekł baron znacząco — a co się tyczy waszej tożsamości, to bez trudu dostarczę wam każdy paszport, jaki tylko zechcecie.

Ten dziwny baron nie był przyzwyczajony targować się o cokolwiek, do czegoś przekonywać lub o coś prosić. Nawet cesarz, mawiał, jest przekupny, to tylko kwestia ceny; a im dłużej cała trójka słuchała tego niepozornego, małego mężczyzny, tym bardziej nabierała przekonania, że pragnie on z całą stanowczością realizować swój cel.

Tacy ludzie, jak baron von Nostitz lub jemu podobni, wyposażeni przez los we wszystkie dobra ziemskie, odczuwają satysfakcję na myśl, że są nieszczęśliwi, i stawiają sobie wciąż nowe, na pozór nieosiągalne cele. Baronowi nie zależało już na szczęściu osobistym, bo chyba go doświadczył, a być może uważał tego rodzaju szczęście za niemoralne, co wcale by nie dziwiło przy jego charakterze; ale dręczące go, prawie nieziszczalne marzenie o nieśmiertelności sprawiało, że oczy mu lśniły.

Odrzucenie propozycji takiego człowieka wydawało się nie tylko nierozsądne, ale nawet niebezpieczne. Bo podobnie jak dziecko, które jest grzeczne, jeśli wszystko przebiega zgodnie z jego wolą, zaczyna natomiast szaleć, kiedy coś idzie nie po jego myśli — tak i ten niepozorny mężczyzna mógł

wybuchnąć brzemieniem w skutki gniewem, a nawet stać się groźny.

I nie czekając na odpowiedź przybyszów z Egiptu, jak gdyby to było już od dawna uzgodnione, baron wstał, nacisnął

dzwonek elektryczny

i rzekł życzliwie: — Niedaleko stąd, w hotelu „Kempiński”, kazałem zarezerwować dla was pokoje. Kalafke was tam zawiezie.

Zjawił się Kalafke i poprowadził Omara, Halimę i Nagiba przez hol na dwór, gdzie czekała na nich limuzyna.

Z DOLINY KRÓLÓW DO SAKKARY

Zaprawdę, Bóg zna to, co skryte w niebiosach i na ziemi!

On wie dobrze, co kryją piersi!

On jest Tym, który uczyni! was namiestnikami na ziemi.

A kto nie wierzy,

to jego niewiara zwróci się przeciw niemu. Niewiara tych, którzy nie wierzą, tylko powiększa nienawiść ich Pana; niewiara tych, którzy nie wierzą, tylko powiększa ich zgubę.

Koran, sura XXXV

Wśród dziwacznych osobistości, które przez całe lata zaludniały Dolinę Królów na zachód od Luksoru, Howard Carter był niewątpliwie najdziwaczniejszy. Miał zaledwie czterdzieści siedem lat, a sprawiał wrażenie starca, był

przygarbiony, wynędzniały, zamknięty w sobie. Rzadko pokazywał się w Luksorze, przeważnie w środy, kiedy odbierał pocztę lub chodził na bazar, by kupić placki i trochę jarzyn dla swojej papugi. W celu ochrony przed słońcem nosił

kapelusz z szerokim rondem; jego zniszczony, zakurzony garnitur, z którego nie rezygnował nawet w największy upał, miał wiele lat, podobnie jak laska, bez której nie ruszał się z domu.

Takim wszyscy znali Howarda Cartera; fakt, że był

Anglikiem, nie przysparzał mu ani wrogów, ani przyjaciół, po prostu należał do Doliny Królów, tak jak Sfinks do Gizy, i gdyby któregoś dnia — poza niedzielą

— się tu nie pojawił, zaniepokoiłoby to mieszkańców okolicy. Carter, któremu w wielu sprawach zarzucano angielską flegmę, żył z dokładnością zegarka. Punktualnie o siódmej rano, sprawdzwszy

uprzednio czas na swym niklowanym zegarku, opuszczał niski domek z cegieł, w którym mieszkał wraz z papugą i osłem, co było powodem niejednego dowcipu,

i wyruszał do Doliny Królów. Wracał o siódmej wieczorem (zimą o piątej), również z dokładnością zegarka. Podczas dwunastogodzinnej pracy w upale, kurzu i brudzie snuł

nieprzerwanie marzenia o tym, że odkryje grób faraona, który nie padł jeszcze ofiarą rabusiów.

Pierwszej soboty listopada Carter wracał o wiele później niż zwykle. Najpierw oporządził osła, następnie wszedł do domu, zdjął buty i zaczął rozmawiać z papugą; — Zrobiło się późno, bardzo przepraszam.

—

Good boy! — zaskrzeczała papuga, demonstrując tym samym połowę swego zasobu słów, bo prócz good boy mówiła tylko jeszcze take it easy, i to tylko podczas wstawania.

—

Ile czasu kopie my już w tej choliernej dziurze? Nie wiesz? Pięć

lat!

—

Good boy, good boy! — rozległo się z tyłu domu.

— Pięć lat na próżno. Ludzie chyba uważają nas za wariatów; ale...

— głos Cartera stał się bardziej donośny — nigdy nie straciłem nadziei

i ta wytrwałość chyba się opłacała. Znalazłem coś, Jenny, dokonałem odkrycia!

Carter zaczął niezręcznie parzyć herbatę i rzekł przy tym, nie podnosząc wzroku: — Nawet nie zapytasz, co znalazłem.

Czy cię to nie interesuje?

—

Good boy, good boy.

Teraz Carter podszedł do klatki i zaczął mówić, podkreślając każde słowo ruchem ręki: — Szesnaście stopni, potem murowana ściana, w środku pieczęć. Wiesz, co to oznacza? To oznacza, że od przeszło trzech tysięcy lat nikt nie zajrzał za ten mur. To oznacza, że ja, Howard Carter ze Swattham w Norfolk, jestem tym, który pierwszy odnalazł nie naruszony, nie splądrowany dotychczas przez rabusiów grób.

Słyszysz, Jenny?

Nie było w tym nic dziwnego, że Carter rozmawiał ze swoją papugą. Kochał ją, wręcz ubóstwiał, pozwalał jej przez większość dnia fruwać po domu, a ufność, jaką Jenny wykazywała nawet wobec obcych, sprawiła, że ptak stał się sławny.

Tego wieczora Carter był ogromnie podniecony, bo sam już nie wierzył, że szczęśliwy traf wynagrodzi mu poniesione trudy. Bilans lat spędzonych w Dolinie Królów był nędzny, wartość dotychczasowych znalezisk skromna. A groby, które dotąd odnalazł? Wszystkie były obrabowane, a ich wyposażenie mizerne. Za mało więc, by zyskać uznanie, choć trochę uznania.

Howard Carter był biedny z domu, ale nigdy nie cierpiał z tego powodu ani nie uważał tego za hańbę. Aż do pewnego dnia ubiegłej jesieni, kiedy lord Carnarvon wziął go na bok.

Rozmowę poprzedziła krótka historia z Evelyn, córką jego lordowskiej mości. Evelyn po raz pierwszy towarzyszyła ojcu, który dwa razy do roku jeździł do Luksoru, by ocenić, jak posuwają się prace przy wykopaliskach, które finansował.

Dziewczyna skończyła właśnie dwadzieścia lat, była drobna i bardzo ładna, a jej ciemne, bystre oczy wprawiały Cartera w zachwyt jak zakochanego uczniaka. A przecież mógłby być jej ojcem

i sam nigdy by się nie odważył zbliżyć do Evelyn, gdyby ona delikatnym dotknięciem nie dała mu do zrozumienia, że go kocha, a potem nie potwierdziła tego płomiennymi listami.

Jego lordowska mość długo nie wiedziałaby nic o tej miłości, gdyby Evelyn nagle nie zaczęła okazywać zainteresowania historią Egiptu

i wykopaliskami w Dolinie Królów i gdyby nic zaniedbywała modnych czasopism i zobowiązań towarzyskich, które dotąd wypełniały jej życie.

Związek między Carterem a Carnarvonem i tak już był dość luźny. Carter pogardzał Carnarvonem z powodu jego pieniędzy, Carnarvon zaś pogardzał Carterem za jego ubóstwo i wcale się z tym nie krył. Również podczas wspomnianej wyżej rozmowy najważniejsza dla lorda była nie wątpliwość, że chodzi tu tylko o „zauroczenie ze strony młodej dziewczyny”, a nie o miłość, ani też że w grę wchodzi zbyt duża różnica wieku, które to wątpliwości Carter by zaakceptował, lecz przede wszystkim pieniądze. Albowiem dla człowieka bez majątku nie ma miejsca w wytwornym angielskim towarzystwie. Niech więc Carter nie robi sobie żadnych nadziei.

Oczywiście, powiedział Carter, powinien był sobie zdawać z tego sprawę, że popełnił głupstwo; napisze do Evelyn list pożegnalny, poprosi ją, aby była rozsądna i aby zrozumiała, że muszą przestać się widywać. Nazajutrz po tej rozmowie lord z córką odjechali.

Ale to, co miało być końcem romantycznej miłości, okazało się, jak to często bywa, dopiero prawdziwym początkiem. Bez wiedzy ojca Evelyn wysyłała do Luksoru co tydzień list, nie oczekując odpowiedzi. Byłoby to zbyt niebezpieczne. Te szczerze listy wzruszały Cartera niemal do łez, nosił każdy z nich przez cały tydzień, czytał codziennie, po czym, za przykładem starożytnych Egipcjan,

odkładał do glinianego dzbanka.

Odtąd Carter kopał z uporem i determinacją, w nadziei, że jedno wielkie odkrycie rozśławi na cały świat jego imię. I w swych marzeniach odkrywał groby i skarby, wydobywał

skrzynie pełne złota, które faraonom służyły jako opłata za przejazd do wieczności.

W nocy przed odkryciem tajemniczego muru Howardowi Carterowi śniło się coś, co wyróżniało się spośród wszystkich jego dotychczasowych snów; ciemne postaci, jakie mu się dotychczas objawiały, były teraz szczególnie wyraziste i barwne, przemawiały do niego zrozumiałym językiem. Anubis o głowie szakala i płonących oczach, który podczas sądu umarłych kładzie serca na wadze, wszedł po nieskończonej długich schodach z głębi, za nim ciągnął długi wąż białych figur w kształcie mumii, ze skrzyżowanymi na piersiach ramionami, które — zgodnie ze swym zadaniem — jakim było pomaganie ludziom w zaświatach — wydawały krótkie, ostre okrzyki: — Tu jestem! Tb jestem!

Anubis podszedł do śpiącego na pryczy Cartera tak blisko, że Carter poczuł jego smrodliwy oddech, kiedy ten zaczął

mówić. TbtENCHAMON, rzekł, spoczywa dziesięć kroków na zachód i dziesięć kroków na północ w ziemi, ale niech Carter nie waży się burzyć jego spokoju, bo kogoś, kto zburzy spójność faraona, spotka zemsta boga śmierci Ozyrysa. Następnie Anubis odliczył mu do ręki szesnaście czarnych kamyków i powiedział,

że zabranie każdego następnego kamyka będzie świętokradztwem wobec boga podziemia; zanim Carter zdołał

zadać jakiegokolwiek pytanie, Anubis i cały długi korowód zniknęli w powietrzu i Carter się obudził.

Dziesięć kroków na zachód, dziesięć kroków na północ.

Odkąd Carter odkrył pod ziemią zapieczętowany mur, sen ów nie wychodził mu z głowy. Czy owe szesnaście kamieni, które Anubis odliczył mu na dłoni, wskazywało na szesnaście stopni prowadzących do zapieczętowanego muru?

Dla człowieka takiego jak Carter, który całe życie kopał, szukając skarbów przeszłości, i spędził życie w podziemnych labiryntach, nie istniało słowo „strach”. To tacy ludzie jak lord Carnarvon nauczyli go strachu — bezczelni, pewni siebie, lekceważący innych. I dlatego ostrzeżenie Anubisa, by nie burzyć spokoju faraona, Carter zlekceważył.

Papuga Jenny zasnęła, Carter zaś — pijąc herbatę i jedząc placki

— zastanawiał się, co robić. Umowy wykopaliskowe zawarte z egipską Służbą Starożytności i uzgodnienia z lordem Carnarvonem wymagały natychmiastowego zameldowania o odkryciu. Zarówno Rex Engelbach, angielski inspektor generalny, jak też Carnarvon zastrzegali sobie osobistą obecność. Ale czy ktoś mógłby mieć mu za złe, gdyby teraz potajemnie udał się do Doliny Królów? Tb był jego grób, jego odkrycie, które kosztowało go wiele lat wysiłków.

Tymczasem zdał sobie sprawę, że istnieją tylko dwa rodzaje ludzi: ci, którzy wygrywają, i ci, którzy przegrywają, on zaś należy do przegrywających. Od lat wyciągał puste losy, a nawet te, które początkowo były mu łaskawe, okazywały się łaskawe tylko z litości.

Toteż niepokój, który ogarniał Cartera, kiedy myślał o zapieczętowanym murze, był aż nadto zrozumiały. Carter nie miał pewności, czy pech, jaki go dotychczas prześladował, teraz wreszcie się skończy. On, Howard Carter, miałby być szczęściarzem? Może się potwornie zbłąźni, może zostanie wyśmiany, jeśli okaże się, że za tym murem otworzy się pusta jaskinia.

Wszystkie te dręczące myśli spowodowały, że Carter osiodłał osła i ruszył w bladym świetle księżyca do Doliny Królów.

Dolina, kamienista niecka pośród ostrych szczytów skalnych, wyglądała chyba tak samo już od tysiącleci. Nic ma w Egipcie drugiej takiej miejscowości, gdzie krajobraz byłby tak zespolony z wiecznością jak tu,

i niewątpliwie to było powodem, że faraoni właśnie tu obierali sobie miejsce wiecznego spoczynku. W dzień nad skałami krążą sępy, nocą wychodzą na polowania zgłodniałe szakale.

Przed ogrodzeniem, gdzie przechowywano narzędzia służące do kopania, ale przede wszystkim zapasy wody, Carter się zatrzymał. Przywiązał osła i wyciągnął lampę oraz ciężki żelazny pręt. Następnie, trzymając

w jednej ręce Jampę, w drugiej pręt, zszedł na dół. Mniej więcej w połowie drogi postawił Jampę tak, by oświetlała cały dół, potem usiadł na najniższym stopniu, ujął dłońmi kolana i oparł się na nich.

Kiedy tak siedział, niepewny, czy słusznie postępuje, doznał naraz niejasnego uczucia, że z ciemności wpatruje się w niego para oczu i śledzi jego ruchy. Najpierw usiłował

odpędzić od siebie tę nieprzyjemną myśl, ale potem usłyszał

kroki na kamienistej ziemi i zerwał się.

— Jest tam kto? — zawołał nieśmiało, jakby się bał

odpowiedzi. Lampka oświetlała tylko dół. Zdenerwowany pobiegł na górę.

Stała przed nim niewielka postać, poznał ją natychmiast mimo dziwaczego przebrania; była to lady Dawson.

Miała na sobie obcisłe spodnie do konnej jazdy, rozszerzane od kolan, i zakiet wcale nie w jej stylu; ale najbardziej zdumiał Cartera pistolet, który wisiał u jej boku.

—

Pani tu? — zapytał Carter, trochę niepewnie, trochę bezradnie.

—

Spodziewał się pan kogoś innego? — odparła lady.

—

Jeśli mam być szczery, nikogo się nie

spodziewałem.

—

To samo mogę powiedzieć o sobie, ale ujrzałam z daleka światło i to mnie zaciękało. — Lady Dawson mówiła bardzo spokojnie, jakby nocna jazda konno przez Dolinę Królów była dla niej Chlebem powszednim. — Co pan tu porabia o tak późnej porze, czy też raczej tak rano?

Carter się zastanowił. Właściwie to on powinien zapytać lady Dawson, po co tu przyszła, ale ta kobieta zawsze stanowiła dla niego zagadkę, zaniechał więc tego pytania, wskazał głową nieckę z szesnastoma stopniami i rzekł: — Dla faraona nie ma zbyt wczesnej ani zbyt późnej pory, faraon zna tylko wieczność.

Carter udawał tajemniczego, w każdym razie nie chciał

tajemniczemu gościowi niczego wyjaśniać. Tym bardziej był

zdziwiony, że lady Dawson nie pytała dalej i jak gdyby zrozumiała jego uwagę, odparła spokojnie: — Więc sądzi pan, że odkrył grób faraona?

Wyższość, z jaką lady go potraktowała, wprawiła Cartera we wściekłość, odparł więc z największą arogancją, na jaką go było stać: — Jak pani być może wie, odkryłem już cały szereg grobów faraonów, miały one tylko jeden mankament: grabieżcy już wcześniej je obrabowali; tym razem jednak chyba będę miał szczęście.

—

A na jakiej podstawie pan tak sądzi?

Carter podniósł lampę i ujął lady za ramię. — Chodźmy! —

Przed murem oświetlił wmurowany w zaprawę pasek. Na pasku tym, szerokości zaledwie dłoni, były wyciśnięte stojące naprzeciw siebie dwa szakale. Widać było wyraźnie spiczaste łby i wysoko postawione uszy.

Lady Dawson, dotąd chłodną i obojętną, nagle ogarnął

niepokój.

— Co to znaczy?

—

Zaraz pani wyjaśnię! — Carter przesunął dłonią po tym dziwnym odcisku. — To jest pieczęć robotników państwa umarłych. Każdy grób, każde podziemne pomieszczenie wykonane przez tych ludzi były w ten sposób pieczętowane.

Świadczy to o ich poczuciu własnej wartości i szacunku dla wykonywanej pracy, jednocześnie zaś miało powstrzymywać włamywaczy.

—

Powiadają, że robotnicy ci byli zabijani po wykonaniu pracy.

—

To jest legenda, jakich wiele w egiptologii. Nie należy wierzyć we wszystko, co mówią przewodnicy oprowadzający cudzoziemców po Luksorze.

~ Lady Dawson roześmiała się. Z podziwem przesunęła ręką po pieczęci. — I co zamierza pan teraz zrobić? — rzekła wreszcie.

—

Właśnie się nad tym zastanawiałem — skłamał

Carter.

—

Już widzę, że zostanie pan sławnym człowiekiem —

ożywiła się lady. — Czy kiedykolwiek znaleziono w grobie nietkniętego faraona?

—

Jeszcze nigdy — odparł Carter. — Mumie królewskie, które znamy, pochodzą wszystkie z dwóch kryjówek, założonych w starożytności przez kapłanów.

Kapłani w obawie przed grabieżcami otworzyli wszystkie znane im grobowce i zgromadzili mumie faraonów w ukrytych miejscach. Może to się wydawać pozbawione pietyzmu, ale było konieczne, bo w późniejszych czasach ani jeden grób nie ocalał przed rabusiami.

W milczeniu spoglądali oboje na pieczęć. Choć słońce o tej porze roku za dnia świeciło ukośnie,

kamienie gromadziły dość ciepła, aby wydzielać je w nocy. Z daleka docierało wycie szakali, tu i tam kamienie odrywały się od skał i spadały z hałasem w dół, pociągając lawinowo następne.

—
Wiem, o czym pani teraz myśli — rzekł Carter. —

Zastanawia się pani, skąd ten Carter ma taką pewność, że odkrył nietknięty grób faraona. Powiem pani: Archeologia jest co prawda także nauką. Ale nauki żyją z faktów, archeologia zaś żyje z możliwości. Gdybym nie uważał za możliwe tego, że rabusie grobów i kapłani w swej gorliwości przeoczyli jakiś grób, wpadłbym w głęboką depresję i zrezygnowałbym ze swego zawodu. W archeologii nie ma nic niemożliwego.

Kiedy znaleziono grób Hatszepsut, dość paskudne miejsce wiecznego spoczynku jak dla kobiety jej formatu, nikomu nie przyszło na myśl, by poszukać drugiego grobu królowej. Bo i po co? Nawet królowa może być pochowana tylko w jednym grobie. A jednak Hatszepsut ma dwa groby. Pierwszy wydał

jej się już w połowie robót nie dość okazały. Z powodu niekorzystnego ukształtowania terenu prace musiały być wykonane bardzo prymitywnie;

dlatego królowa kazała zbudować drugi grób w miejscu, gdzie należało się spodziewać lepszego gruntu. Pierwszy grób został

zasypany. Jest to wprost nieprawdopodobne, a jednak tak się zdarzyło. Wobec tego moja teoria, że grób jednego faraona mógł zostać przez świat zapomniany, brzmi o wiele bardziej prawdopodobnie.

— Zgoda — oświadczyła Jady Dawson — ale skąd pan może wiedzieć, że to jest grób faraona, że nie pochowano tu jakiegoś ministra czy wezyra?

Carter uśmiechnął się z wyższością. — Teoretycznie ma pani rację, ale jak wykazuje praktyka, w tej dolinie grzebano jedynie królów Nowego Państwa, a poza tym są pewne znaleziska...

— Znaleziska?

—
Od lat na tym miejscu wciąż natrafiam na gliniane odłamki, amulety, tabliczki z imieniem króla Tutenchamona.

Znaleziska, których nie spotka się nigdzie indziej w całym Egipcie. Czy istnieje inne wytłumaczenie niż to, że tutaj pochowany jest Tutenchamon?

Lady Dawson wzruszyła ramionami i trochę z góry zapytała: — Jak nazywał się ten faraon?

—

Tutenchamon. Nie był to żaden znaczący król, jak na przykład Seti albo Ramzes, ale pochodził ze słynnej dynastii. Był chyba jeszcze dzieckiem, kiedy objął rządy, i młodzieńcem, kiedy umarł; nie ulega wątpliwości, że został

pochowany z wszelkimi honorami należnymi faraonowi jego epoki.

Lady Dawson wpatrywała się w mur zagradzający im drogę. To za tą niepozorną ścianą miał być pochowany faraon?

—
Pani naturalnie zapyta, dlaczego właśnie ten faraon został zapomniany. Są na to dwie odpowiedzi: po pierwsze, faraon ów był prawie nieznanym i już po kilkuset latach zapomniano jego imienia. Druga przyczyna jest natury technicznej. — Carter uniósł lampę, aby trochę światła padło na otoczenie dołu.

—
To jest wejście do grobu Ramzesa VI, nawiasem mówiąc, równie nieznanego faraona, ale ten grób został już w dawnych czasach splądrowany. Podczas kopania robotnicy odrzucali gruz na bok, dokładnie na miejsce, pod którym kryło się wejście do grobu Tutenchamona. Czy był to przypadek, czy też w ten sposób chciano ukryć wejście, tego nie umiem powiedzieć. Faktem jest, że w ten sposób grób Tutenchamona ocalał przed grabieżcami. Oto jeden z klasycznych przypadków, z których żyje archeologia.

Lady Dawson skinęła głową. — Można panu pogratulować, panie Carter. Wydaje się, że jest pan szczęściarzem.

Przy tych słowach Carter mimo woli drgnął. Szczęściarz?

Nawet nie miał odwagi tak pomyśleć. Wreszcie rzekł

zrezygnowany jak zwykle:

—
_ Wie pani, właściwie nie można tego nazywać szczęściem, raczej dociekliwością. Sądzi pani, że nie wiem, iż wszyscy ludzie tutaj uważają mnie za wariata, łącznie z panami archeologami? Istnieją prace słynnych profesorów, pobierających pensje, korzystających z uprawnień do emerytury, którzy twierdzą, że w Dolinie Królów zostało już odkryte wszystko, co było do odkrycia. A teraz przychodzi taki typ jak ja, ze Swattham w Norfolk, bez grosza przy duszy, skazany na zapomogę lorda z Highclere, i przez pół życia kopie tam, gdzie inni już przed pół wiekiem zaprzestali kopania. Nie mam nikomu za złe, jeśli uważa mnie za wariata.

—
Ale może sukces przekona ich, że ma pan rację —

rzekła lady Dawson i dodała: — Pan niezbyt lubi lorda Camarvona. Sądzę, że wasze stosunki są czysto handlowej natury.

—
Można tak powiedzieć. Jego lordowska mość każe kopać. Carnarvon zbiera antyki, a rząd przyrzekł mu połowę wszystkich znalezisk. Dotąd jednak ta sprawa kosztowała go więcej, niż przynosiła zysku. Kilka dzbanów z alabastru, szkatułka to wszystko. Mamy interes. Chyba i ja nie byłbym zachwycony.

—
Czy nigdy pan nie myślał, aby się zabrać do innego projektu?

—
Mylady! — Carter podniósł głos. — Dla takiego człowieka, jak ja nie jest to sprawa chęci, lecz możliwości.

Nie mogę sobie pozwolić na uleganie chęciom, moim przeznaczeniem jest zadowalanie się chęciami innych.

Początkowo byłem parobkiem Exploration Fund, potem sługą lorda. Zawsze musiałem trzymać język za zębami i robić to, czego ode mnie wymagano. A dlaczego pani o to pyta?

—
Są pewne projekty, które mnie wprawiają w zachwyt.

—
Zaciekawia mnie pani.

—
Imhotep.

—
Imhotep? — Carter urwał przerażony. Wydawało się, że samo imię wywołało u niego szok, jakby lady powiedziała coś niezwykłego, tajemniczego, o czym przyzwoitość zabrania mówić. — Za Imhotepem

— rzekł wreszcie — kryje się jedna z największych tajemnic archeologii, prawdopodobnie niedostępna dla ludzi. Istnieją tajemnice, które są wyzwaniem dla człowieka i wymagają rozwiązania; ale też istnieją tajemnice, które przekraczają horyzonty współczesności i które, gdyby je dziś odkryto, narobiłyby tylko szkody i przyniosły ludziom nieszczęście.

Słowa Cartera wprawiły lady Dawson w niepokój. Chłodna Angielka, którą trudno było posądzać o to, że straci panowanie nad sobą, podeszła do Cartera i rzekła zdenerwowana: — Pan wie coś więcej o Im- hotepie. Niech mi pan powie wszystko, co pan wie. Wszystko!

Carterowi, nagabywanemu w ten sposób przez lady, zrobiło się przykro, cofnął się i chciał odnieść na miejsce żelazny pręt, który wyjął

z wejścia do grobu. Mruknął przy tym: — Nic o tym nie wiem, słyszy pani, i bardzo jestem z tego rad.

I już nie zwracając uwagi na lady Dawson, zamknął

żelazne ogrodzenie przed grobem, odwiązał osła i ruszył w drogę powrotną.

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu. Lady odrzuciła propozycję, by wsiąść na jego osła. Kiedy doszli do rozwidlenia dróg, na wschodzie nad Nilem świtało.

—

Życzę panu dużo szczęścia — rzekła lady zwięźle i poszła swoją drogą.

Carter wsiadł na osła; jadąc do domu, zastanawiał się nad tym dziwnym spotkaniem.

Lady Dawson zawsze miała w sobie coś tajemniczego i dla osób, które ją bliżej znały, nie ulegało wątpliwości, że zależy jej na sprawianiu takiego wrażenia; ale w tym wypadku jej zachowanie było tak impulsywne, że Carter nie umiał sobie tego w żaden logiczny sposób wyjaśnić. Poza robotnikami nikt dotąd nie wiedział o odkryciu, ale nawet robotnicy nie mieli pojęcia, czego można się było spodziewać. Czy ich nocne spotkanie to był przypadek? Trudno było Carterowi w to uwierzyć.

Carter nigdy nie lubił lady już choćby dlatego, że kokietowała lorda Camarvona. Carter miał dobry instynkt, kiedy chodziło o czyjąś szczerłość, a lady uważał za podstępną intrygantkę, choć nie miał na to dowodów. Tego rodzaju ludzie wyróżniają się zawsze skrajnością, albo są wrogami, albo pochlebcami. Carter nie znosił takich ludzi. W każdym razie niespodziewane zjawienie się lady Dawson uchroniło go od popełnienia wielkiego głupstwa, bo im więcej nad tym rozmyślał, tym bardziej bezsensowny wydawał mu się plan potajemnego otwarcia i zamknięcia grobu. Byłoby to nie tylko wbrew wszelkim umowom, zrujnowałoby jego opinię poważnego archeologa i oznaczałoby koniec jego kariery.

Carter postanowił nie myśleć więcej o Evelyn i wysłać do Camarvona depezę, aby — jeśli to możliwe — był obecny przy otwarciu muru.

Po powrocie do domu Carter starał się zasnąć, ale zmęczenie paraliżowało mu członki i ogarniał go rosnący niepokój; wstał więc, przeprowił się przez Nil, udał się na pocztę i wysłał depezę do Camarvona: „Zrobiłem nadzwyczajne odkrycie w Dolinie Królów — wspaniały grobowiec z nie uszkodzoną pieczęcią — do Pańskiego przybycia wszystko zakryłem, gratuluje.”

To co prawda niezbyt ściśle odpowiadało prawdzie, ale Carter postanowił zasypać wejście kamieniami i gruzem, do czasu aż lord przekaże mu nowe polecenia. Powstrzyma to nieproszonych gości, a także i jego samego od pokusy nowych penetracji.

Po powrocie do domu w południe Carter od razu zauważył, że coś się stało. Kiedy otworzył drzwi,

panowała cisza. Był to rodzaj ciszy, który

budzi niepokój. Carter chciał zawołać papugę, aby mu wyskrzeczwała swoje poranne take it easy, ale na podłodze pośrodku pokoju ujrzał węża grubego jak ręka. Wąż wił się, a jego czarne, lśniące ciało było w przedniej części zgrubiałe; powód tego zgrubienia nie budził wątpliwości. Na podłodze rozsiane były żółte pióra, oznaka nierównej walki.

Profesor François Milléquant był od początku przekonany, że teren wykopalisk na północ od piramidy w Sakkarze okaże się jałowy, co zaostrzało i tak już napięte stosunki wśród załogi. I miał rację. Choć wszyscy mieszkali w tym samym domu i mieli jedną wspólną sypialnię, Milléquant i d'Ormesson porozumiewali się tylko pisemnie albo za pośrednictwem Toussainta i Coursiera.

Wyglądało to mniej więcej tak: „Panie Toussaint, niech pan łaskawie przekaże panu d'Ormessonowi, że jego ostatnie teorie są równie błędne, jak naiwne i nie posuną nas ani o krok dalej.” Na co d'Ormesson, choć przebywał w tym samym pomieszczeniu w odległości kilku kroków, odpowiadał:

„Panie Toussaint, proszę przekazać panu Milléquantowi następującą odpowiedź: Nie mam ochoty marnować czasu z dyletantem.” Panowie zapisywali wszystko, co mieli do powiedzenia, i dla pewności palili kartki, kiedy przyjęli ich treść do wiadomości.

Trzej wybitni naukowcy, których zmuszono do realizowania tego samego projektu, mają wystarczające powody, by traktować siebie jak wrogów; ale trzej naukowcy, którzy czują się zagrożeni w swojej integralności, a w dodatku mają poważne wątpliwości co do przeszłości pozostałych, stają się śmiertelnymi wrogami i usiłują pomniejszyć sukces przeciwnika, zanegować nowe teorie, utrudniając w ten sposób realizowanie właściwego zadania. Podczas gdy Coursier wykazywał najwięcej pewności siebie i zarówno wobec Milléquanta, jak i wobec d'Ormessona przestrzegał

pewnych norm uprzejmości, tamci dwaj już po kilku tygodniach tak się poróżnili, że d'Ormesson zapomniał o swoim szlachectwie

i pewnego razu uderzył Milléquanta w twarz, aż spadły mu okulary. Powodem była rozmowa podczas kolacji, która po utarczce słownej zamieniła się w ostrą kłótnię; Milléquant nazwał kolegę nędznym fałszerzem sztuki, którego od dawna należałoby utracić.

Na szczęście do zespołu należał Emile Toussaint z Deuxième Bureau. Chociaż był najmłodszy, jego surowy wygląd i ostre słowa wypowiedane bez ogródek sprawiały, że cieszył się pewnym autorytetem nawet u obu profesorów i niejednokrotnie musiał występować w roli mediatora podczas utarczek słownych obu panów, które groziły rękoczynami.

Po trwających kilka tygodni poszukiwaniach na północ od piramidy faraona Dżosera, podczas których co prawda wydobyto liczne odłamki

i figurki naśladujące mumie, ale nie naprowadziły one na następne,

większe odkrycia, grupa badaczy udała się dalej w kierunku zrujnowanej świątyni Izis; zaczęli przy tym poszukiwania na chybił trafił, kierując się kompasem, w kierunku z zachodu na wschód. Mogliby to robić także idąc do Dahszuru albo na wschód od kompleksu grobów Scchemcheta, albo pod drzwiami swojego domostwa, kierowali się bowiem jednym tylko motywem: chcieli odkryć ślad Imhotepa.

■ Dawno już zrezygnowali ze swych początkowych planów, by wykopaliskami i badaniami odwrócić uwagę od innych dokumentów, ponieważ konsul Sachs-Villatte, mimo pomocy wywiadu francuskiego, nic dostarczał im żadnych nowych informacji, które mogłyby posunąć dalej badania. Thk więc ich praca podobna była do szukania igły w stogu siana, przy czym musieli udawać, że szukają wszystkiego, tylko nie grobu Imhotepa.

Nastroje Francuzów były bardzo złe, kiedy na początku listopada natknęli się na pagórek, pod którym była pieczara.

Miejsce to znajdowało się w odległości paruset metrów od owego punktu, gdzie Mariette przed przeszło siedemdziesięciu laty odkrył labirynt byków Apisa; również okoliczności odkrycia były podobne. Z tą tylko różnicą, że Mariette miał

nad nimi przewagę: podczas swoich poszukiwań opierał się bowiem na źródłach antycznych, w których była opisana lokalizacja jakiegoś grobu w tej okolicy.

Profesor Milléquant zbyt wczesnie zdradził hasło „faraon”, co spowodowało przerwanie robót na szeroką skalę i ograniczyło je tylko do ścisłego grona. Ale ten krok okazał się przedwczesny. Pagórek zawierał bowiem grób Nefera, poborcy podatkowego króla Džosera, a więc współczesnego Imhotepowi. Jak wiele innych grobów w tej okolicy był

wielokrotnie plądrowany i poza mumiami małp i ibisów zawierał tylko kilka uszkodzonych dzbanów.

Chociaż grób przyniósł niewiele pod względem naukowym, a także nie miał znaczenia w poszukiwaniu Imhotepa, Milléquant świętował swoje odkrycie jako wielkie wydarzenie i konsul Sachs-Villatte z trudem powstrzymał go przed rozgłoszeniem wiadomości o tym znalezisku. Milléquant nalegał, by zbadać ów grób. Uważał, że dopiero po rozszyfrowaniu wszystkich hieroglifów, którymi były usiane ściany, można będzie stwierdzić, czy nie ma tam informacji, dotyczących miejsca pochówku Imhotepa.

Jak należało się spodziewać, d’Ormesson sprzeciwił się temu. Grób, argumentował profesor z Grenoble, był już wielokrotnie odkrywany, przeszukiwany, i należy przypuszczać, że teksty hieroglificzne zostały już zbadane.

Milléquant nie zgadzał się z d’Ormessonem. Nie sądźmy, że grabieżcy grobów i awanturnicy w ubiegłych stuleciach znali się na hiero

glifach, rzekł. To trafiło do przekonania i Sachs-Villatte zdecydował, że grób Nefera wraz z dwiema bocznymi komorami należy najpierw uwolnić od gruzów, a następnie bliżej zbadać.

Jeszcze podczas prac przy usuwaniu gruzu Pierre d'Ormesson zabrał się do odczytywania napisów na ścianach; niektóre były zniszczone albo źle się zachowały. Teksty zawierały znane już z innych grobów modły żałobne kierowane do Horusa i jego ojca Ozyrysa, które miały ułatwić zmarłemu bytowanie na tamtym świecie według jego własnej woli. Po tygodniu miejsce zostało oczyszczone z piasku i gruzu, tak że można było rozpocząć badanie mumii zwierząt oraz dzbanów, które znajdowały się na wschód od właściwego, splądrowanego już skromnego kamiennego sarkofagu.

Dzbany — dwa pęknięte, wielkości człowieka, i siedem dalszych,

o

połowę niższych, opatrzonych napisami — były puste.

Praca w tym grobowcu była dość niebezpieczna, ponieważ sklepienia we wczesnej epoce architektury budowano płasko lub spiczasto i często wystarczyło niewielkie przesunięcie ciężaru, by grobowiec się zawalił.

Profesor d'Ormesson potrzebował dwóch tygodni, by odczytać hieroglify; wolał pracować w nocy. Zachwycał się poezją poszczególnych pieśni i podczas wspólnych posiłków recytował je tak, jak się recytuje sury Koranu w meczecie.

W tym i tak już ciasnym pomieszczeniu, gdzie mieszkali, zrobiło się jeszcze ciasniej, gdy Millequant i Toussaint zaczęli z grobu Nefera i gromadzić setkami mumie małp i ibisów, a także dzbany lub to, co z nich pozostało. Mumie —

najmniejsze długości ramienia, największe zaś wielkości dziecka — okazały się bezwonne, ale drobny pył, jaki się z nich rozprzestrzeniał, stał się wkrótce tak dokuczliwy, że Francuzi zaczęli narzekać na trudności z oddychaniem i łzawienie oczu i rozglądali się za nową kwaterą.

Poza Millequantem, odkrywcą grobu, który czuł się drugim Mariette'em, nikt z zespołu nie był zachwycony znaleziskiem. Teksty hieroglifów miały niewielką wartość archeologiczną, ponieważ w podobnej lub innej formie występowały już w wielu innych grobach, a rzeźby były zniszczone wskutek przesuwania się ziemi lub przez grabieżców. Cały inwentarz po bliższym zbadaniu okazał się tak mało ciekawy, że nawet Millequant zgodził się z propozycją, by mumie i dzbany umieścić z powrotem w grobowcu. Nie znaleziono żadnej wskazówki dotyczącej Imhotepa. W tej sytuacji nie wydawało się wskazane, by robotnicy przenosili mumie i skorupy z powrotem do grobu, bo nawet gdyby grób Nefera został zamurowany lub w jakiś inny sposób zamknięty, wiadomość mogłaby przyciągnąć rabusiów. A przecież Francuzom mniej chodziło o

zawartość grobu niż o to, by ten krok nie zwabił

podejrzanych typów,

które odtąd mogłyby ich śledzić i przeszkadzać w wykonaniu zasadniczego zadania.

Tak więc cała czwórka postanowiła, że to, co wyjęli z grobu, odniosą sami w nocy z powrotem, grobowiec zamurują i nazajutrz zaczną kopać gdzie indziej. Kierownika egipskich robotników mieli

poinformować, że odesłali cały inwentarz do muzeum w Kairze. Około północy praca, która postronnemu obserwatorowi mogłaby się wydać dziwna, została zakończona. Zanim Francuzi zabrali się do zamurowywania grobowca, zrobili sobie przerwę; następnie pracę miał przejąć Edouard Coursier.

Powietrze w domu było duszne i gorące mimo nocnego chłodu i tak pełne kurzu, że mężczyźni woleli pracować na zewnątrz. Krążyła butelka czerwonego wina, panowała martwa cisza. Wydawało się, że nawet szakale i inne zwierzęta pustyni poszły spać.

—
Na próżno, wszystko na próżno! — powiedział

d'Ormesson i jak koń grzebał nogą w ziemi. Choć był

odwrócony plecami do Millequanta, ten zrozumiał, że aluzja dotyczyła jego, i odrzekł, zwracając się do Tous- sainta:

—
Jutro profesor d'Ormesson zacznie na nowo kopanie, które go naprowadzi na trop Imhotepa.

Toussaint roześmiał się i łyknął trochę wina z butelki. —

Gdyby to można wiedzieć, jak daleko posunęli się inni.

Czasami się zastanawiam, czy nie powinniśmy przerwać tu pracy i zacząć od nowa?

— Co pan ma na myśli? — zapytał d'Ormesson.

—
Tak sobie myślę, czy nie osiągnęlibyśmy więcej, gdybyśmy grzebali w archiwach zamiast tutaj. Bo szczerze mówiąc, najbardziej pożyteczne wskazówki pochodzą z dokumentów, z muzeów, a niektóre z nich mają już dziesiątki lat.

—
Jeszcze dziś gotów jestem przerwać tu pracę —

wpadł mu w słowo d'Ormesson, ale zaraz urwał z niepokojem.

Głuche dudnienie wstrząsnęło ziemią.

—
Gdzie jest Coursier? — zawołał Millequant. — Panie Coursier!

— Cisza.

Millequant, d'Ormesson i Toussaint pobiegli w stronę grobowca Nefera. Toussaint wymachiwał lampą karbidową.

— Panie Coursier! — wołał w ciemność. — Panie Coursier!

W świetle lampy ujrzeli, że ziemia nad grobem Nefera się zapadła.

— Panie Coursier! Panie Coursier! — wołali mężczyźni na zmianę. Tam, gdzie znajdowało się wejście, ziała głęboka dziura i unosił się pył.

— O Boże, Coursier! — jęknął Millequant.

Toussaint pierwszy się opanował, owiązał usta i nos chusteczką i wszedł do krateru.

—

Czy pan oszalał? — Millequant biegał dokoła dołu i powtarzał:

— Czy pan oszalał?

Toussaint był twardy wobec innych, ale także wobec siebie.

Z lampką u pasa wszedł do dołu. Było to bardzo trudne, bo niektóre płyty sklepienia popękały lub się zaklinowały, a ponadto istniało niebezpieczeństwo, że pod ciężarem Toussainta dalej się przesuną.

Na dnie krateru Toussaint ujrzął, że wejście do grobu również się zapadło, ale pozostało niskie przejście. Nie myśląc długo, Toussaint wziął lampkę w zęby i wczołgał się do środka. Nie zdawał sobie teraz sprawy z grożącego mu niebezpieczeństwa.

Główna komora się zapadła, ale w przednim lewym kącie można się było wyprostować. Toussaint podniósł lampę.

Odurzył go syczący gaz karbidowy, wydostający się przez szpary w lampie. Gęsty pył zasłaniał widok, tak że Toussaint widział zaledwie na odległość dwóch metrów. Ale wystarczył

blask światła, by dojrzeć, że płyta kamienna, która dotąd powstrzymywała sklepienie przed zawaleniem, teraz tylko z boku trzyma się muru i na dobrą sprawę już dawno powinna się zawalić.

Toussaint wciągnął głowę w ramiona, by uchronić się przed niebezpieczeństwem, i zrobił kilka kroków w kierunku bocznej komory, gdzie znaleźli duże dzbany. Przejście wytrzymało nacisk z góry, również mur z lewej strony ocalał.

Na ile Toussaint mógł dojrzeć w słabym świetle lampy, spadające sklepienie zmiażdżyło dzbany znajdujące się w przedniej części, tylna natomiast została przywalona kamieniami. — Ale co to były za kamienie! Wysokości człowieka, ale nie szersze niż dłoń, piętrzyły się tak, jakby zmiażdżyła je ręka olbrzyma. Tworzyły jakby jaskinie i podobne do namiotów kryjówki. Toussaint oświetlił całe wnętrze, ale nigdzie nie było śladu Coursiera.

Jeśli został pogrzebany pod sklepieniem, to wszelka pomoc mija się z celem, a może Coursier wcale nie był w komorze podczas katastrofy, może uniknął nieszczęścia i uciekł w noc, Bóg wie dokąd. I naraz Toussainta ogarnął strach, że w pierwszym impulsie, aby przyjść z pomocą, naraził się na tak wielkie niebezpieczeństwo; myśl, że mógłby zostać zasypany, tak go przeraziła, że stał jak sparalizowany. Daremnie usiłował stawiać stopę za stopą; jego strach rósł, osunął się na kolana i choć mógł się wyprostować, zaczął się czołgać ku wyjściu, posuwając przed sobą syczącą lampę karbidową.

W głównej komorze, tam gdzie gruzy pozostawiły wąskie przejście, Toussaint nagle ujrzał przed sobą sztywną dłoń.

Ramię było mniej więcej w połowie zmiażdżone przez płytę.

Można się było tylko domyślać, że to Coursier.

Toussaint uniósł lampę. Ziemia wokół była zabarwiona na czerwono krwią. Obok leżał ciemny, zwinięty w rolkę papier; wydawało się, że wypadł Coursierowi z ręki. Toussaint podniósł zwitek.

Ból z powodu tragedii człowieka, z którym od tygodni dzielił ciasne pomieszczenie, załamał Toussainta. Oczy napełniły mu się łzami, ten twardy człowiek, który nie pamiętał, kiedy ostatni raz płakał, teraz szlochał, a jednocześnie czuł, że nogi znów są mu posłuszne, że może nimi poruszać, szybko więc wy dostał się na powierzchnię.

Millequant i d'Ormesson stali w milczeniu i spoglądali pytająco na Toussainta. Ten skinął tylko głową i dał znak ręką w kierunku domu. Oznaczało to: Nie da się już nic zrobić.

Wracajmy!

W domu Emile Toussaint opisał, jak znalazł Coursiera.

Siedzieli wszyscy dokoła jedyne go stołu, popijali czerwone wino, przy tym Millequant i d'Ormesson po raz pierwszy od długiego czasu rozmawiali ze sobą. Toussaint jakby od niechcienia wyciągnął z kieszeni zwinięty papier, który znalazł

obok Coursiera. Obaj profesorowie przyglądali się Toussaintowi z ciekawością, kiedy wyglądał papier.

—

To leżało obok ręki Coursiera — rzekł Toussaint.

Był to stary, szarobrazowy papier do pakowania, w wielu miejscach porwany, wielkości otwartej książki. Toussaint położył papier na stole, aby wszyscy mogli go jednocześnie obejrzeć.

Papier był dość stary, wielokrotnie używany, albowiem rysunki, którymi był pokryty, wykonane grubym ołówkiem stolarskim, w wielu miejscach uległy zatarciu. Przedstawiały przeważnie małe symbole geometryczne: trójkąty, kwadraty i koła połączone liniami. Zagadkowe dwu- i trzycyfrowe liczby uzupełniały obraz.

—

Czy ktoś z was się domyśla, co to jest? — zapytał

Toussaint.

D'Ormesson przysunął do siebie papier, obracał go na wszystkie

strony, przytrzymał pod światło, potem podał Millequantowi i rzekł: — Nie mam pojęcia.

— Ten papier na pewno wypadł Coursierowi z ręki, ale jak się tam dostał?

Millequant odchylił się na krześle, trzymał papier obiema rękami

i coś mruczał, na co inni nie zwracali uwagi.

— Każdego z nas mogło to spotkać — odezwał się d'Ormesson, napił się wina, otarł usta rękawem, usiłował

znaleźć najwłaściwsze w tej sytuacji słowa. — Musimy go jutro stamtąd wydostać. Czy sądzi pan, że to będzie możliwe?

Toussaint wzruszył ramionami. — Potrzebna nam dźwigarka. Jeśli uda się unieść płytę, która przygniotła Coursiera, będzie można go wydobyć; ale nie jest to bezpieczne.

—

To był równy chłop — rzekł profesor d'Ormesson

— ale na początku wcale go nie lubiłem. Robił wrażenie, że bardziej zna się na kobietach niż na starożytności, myślałem, że to typ, który zdolny jest do wszystkiego, co przynosi pieniądze. Bywają tacy ludzie.

Toussaint potrząsnął głową. — Coursier był znakomitym naukowcem; mógł całkiem dobrze żyć z tego, co odziedziczył, ale pracował w Collège de France, bo mu to sprawiało przyjemność. — Millequant zaczął przecierać okulary, nie odwracając przy tym wzroku od papieru, i mruczał: — Ciekawe, ciekawe — kręcąc przy tym głową.

Toussaint i d'Ormesson przysunęli się bliżej. — Co pan o tym sądzi, profesorze? — zapytał

Toussaint.

Millequant włożył okulary, postukał palcem w zniszczony papier

i rzekł: — Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że chodzi tu o plan sytuacyjny Sakkary.

Obaj profesorowie spojrzeli na Milléquanta zaskoczeni.

Jeśli to był plan, to wyglądał całkiem inaczej niż ten, którym się dotychczas posługiwali.

—

Oczywiście jest to stary plan — dodał Millequant —

ma co najmniej pięćdziesiąt lat. Popatrzcie tutaj! — Wskazał

na prawy róg, gdzie wyraźnie było widać litery A. i M.

—

„A” kropka, „M” kropka? Co to znaczy? — zapytał

Toussaint.

—

A jak pan myśli? — zapytał Millequant, zwracając się do d’Ormessona.

—

Sądzę, że obaj myślimy to samo: Auguste Mariette.

—

Słusznie.

Nagle ludzie przy stole otrzeźwieli. D’Ormesson przysunął

do siebie papier, pozostali wyciągali szyje..

—

Tutaj — rzekł Millequant i wskazał palcem na trójkąt pośrodku.

— To piramida Dzosera. Na północny wschód od niej jest piramida Userkafa, na południe Unasa, a jeszcze dalej Szemcheta. Cztery trójkąty, które razem tworzą niemal linię.

—

Przypuśćmy, że ta teoria jest słuszna — rzekł

Toussaint — wobec tego na północny zachód od piramidy Dżosera powinien być zaznaczony labirynt byków Apisa.

—
Zgadza się! — zawołał d'Ormesson. — Spójrzcie na te grabie

— to Serapeum.

Mężczyźni powoli zaczęli się orientować w tajemniczym planie, ustalali grobowce oznaczone kwadratami, kółka, które najwidoczniej miały szczególne znaczenie, jak dom w pobliżu Serapeum, i odczytywali odległości podane w metrach.

Rzecz jasna, że plan ów nasuwał wiele pytań. Na przykład, w jaki sposób Coursier go zdobył, dlaczego miał go ze sobą w grobie Nefera,

dlaczego przemilczał wobec nich istnienie tego dokumentu.

Wydawało się wprost nieprawdopodobne, żeby Coursier znalazł ów plan w grobie Nefera akurat wtedy, kiedy wnosili tam z powrotem ten beznadziejny inwentarz. Czy plan krył w sobie jakąś wskazówkę, którą Coursier z niewiadomych przyczyn chciał przed nimi ukryć? A może grób ten zawierał

jednak coś ważnego, co uszło ich uwagi?

Jeszcze tej nocy zdecydowali się ujawnić hasło „faraon”, poinformować konsula Sachsa-Villatte'a o śmierci Coursiera, zaprzestać robót

i zaczekać z wydobyciem zwłok, dopóki nie nadejdą bliższe instrukcje z Aleksandrii. Robotnicy mieli nazajutrz rozpocząć kopanie w całkiem innej okolicy na północ od domu; dostęp do grobowca Nefera postanowiono na razie zagrodzić.

Tej nocy nikt nie myślał o spaniu. Milléquant marzył, aby jego grób miał większe znaczenie, niż wszyscy sądzili; d'Ormesson zazdrościł koledze sukcesu, ale chętnie skończyłby jak najprędzej to kopanie; Toussaint zaś wciąż miał przed oczami wystającą spod kamieni sztywną rękę Coursiera.

Tak więc Francuzi zabrali się do porównywania planu Mariette'a z własnym planem, sporządzonym zgodnie z najnowszym stanem nauki. Praca ta była szczególnie trudna przede wszystkim dlatego, że przy każdym obiekcie należało stwierdzić, czy był on nowszej daty, czy też już znany za czasów Mariette'a. Przy analizowaniu tych rysunków okazało się z całą pewnością, że chodziło tu o plan Sakkary.

Zasadniczo taki plan nie ma w sobie nic tajemniczego, co by usprawiedliwiało ukrywanie go przed towarzyszami. W

każdym razie po przeanalizowaniu wszystkich zaznaczonych na starym planie obiektów pozostało kółko oznaczone krzyżykiem; stanowiło ono dla Francuzów zagadkę. Miejsce to znajdowało się na zachód od piramidy Dżosera, nie zawierało żadnych danych o wielkości i najwidoczniej leżało w okolicy, którą dotychczas omijały prace wykopaliskowe.

Milléquant postawił zatem pytanie, czy Mariette nie był już na tropie Imhotepa, co wywołało wybuch śmiechu d'Ormessona. Mariette bowiem był wprawdzie niedbały w dokumentowaniu swych badań i raczej wolał posługiwać się materiałem wybuchowym niż starym pismem, kiedy należało coś wykryć, ale poszukiwań Imhotepa nie dałoby się w żaden sposób zachować w tajemnicy.

Niewiele brakowało, a profesorowie znów by się posprzecjali, gdyby Toussaint nie wtrącił uwagi, że podczas ubiegłych tygodni kierowano się mniej ważnymi wskazówkami i że warto spróbować pójść tajemniczym tropem Mariette'a; w archeologii nie ma nic niemożliwego.

Toussaint

— jak sam podkreślał — nie chciałby sprawiać wrażenia, że zgadza się z Milléquantem, by dokument ten przesłać do Deuxième Bureau w celu

sprawdzenia wieku i autentyczności, ale myśl ta bynajmniej nic wydaje się absurdalna.

Nazajutrz grób prowizorycznie zamknięto żelaznym ogrodzeniem. Nie zwróciło to niczyjej uwagi, bo wszystkie groby w tej okolicy zamykano w podobny sposób. Milléquant wysłał do konsula Sachs-Villatte'a w Aleksandrii telegram następującej treści: „Faraon — stop — obecność pilnie potrzebna — stop — Milléquant.”

Paul Sachs-Villatte przybył nazajutrz do Sakkary swoim wozem, ale uznał za wskazane, aby ostatnie dwa kilometry odbyć na wynajętym osle; w ten sposób nic wzbudzi niczyjzego zainteresowania. Istotnie było to słuszne, ponieważ w rozległej Sakkarze wrzało jak w ulu. "Uryści z całego świata, zachęcenii raportami z podróży zamieszczanymi w rozmaitych magazynach, urządzali wycieczki do tego miasta. Autobusy Cooka tłoczyły się na ubitym piasku pustyni do piramidy Dżosera, a przewodnicy zachwalali we wszystkich językach budowlę mądrego Imhotepa.

Podczas narady w kwaterze Francuzów omawiano dalszy plan prac. Emile Toussaint z Deuxième Bureau znów stał się twardy i surowy i przekonywał, by pozostawić ciało Coursiera tam, gdzie jest, oraz by zgłosić jego zaginięcie, bo inaczej przyniesie to tylko niepożądane komplikacje. Profesorowie zaprotestowali, również konsul nie mógł się pogodzić z takim planem; przecież oficjalny meldunek o zaginięciu zmobilizuje urzędy i spowoduje zainteresowanie prasy; wszyscy będą dociekać, w jakich okolicznościach doszło do nieszczęścia. A to może sprawić, że ich właściwe zadanie zostanie ujawnione.

Wreszcie przystano na propozycję konsula, aby wydobyć w nocy ciało Coursiera i przewieźć sanitarką do misji francuskiej w Aleksandrii, a stamtąd wraz z oficjalnym świadectwem zgonu wysłać najbliższym statkiem do Marsylii. Cała akcja, jeśli się ją sprawnie przeprowadzi, zajmie nie więcej niż osiemnaście godzin. Toussaint przejął kierownictwo.

Najbliższy statek o nazwie „Fraternité” odpływał

wieczorem trzeciego dnia, dlatego też ciało Coursiera należało wydobyć nocą następnego dnia.

Dźwigarka i łomy były na miejscu. Toussaint i d’Ormesson podjęli się tego niebezpiecznego zadania. W godzinę po zachodzie słońca ruszyli w drogę.

Konsul Sachs-Villatte trzymał wartę u wejścia do grobowca, Milléquant pozostał w domu.

Równina Sakkary pogrążona była w ciszy; choć z nieba spływał orzeźwiający chłód, piasek na pustyni wydzielał

jeszcze żar dnia. Dwa osły należące do ekipy dźwigały składane nosze, narzędzia i lampy. Pod pretekstem transportu chorego zamówiono sanitarkę na dwunastą w nocy. Toussaint i d’Ormesson mieli pełne trzy godziny.

Pierwszy odważył się zejść Toussaint, bez narzędzi, jedynie z lampą. D’Ormesson spuścił na linie dźwigarkę i narzędzia, następnie sam zszedł; drżał na całym ciele, nie był

przyzwyczajony do takich wysiłków.

—
Pan drży jak osika! — zawołał Toussaint, kiedy profesor zszedł na dół.

—
Nic dziwnego — odparł profesor z wisielczym humorem — nie co dzień wykonuję takie zadanie.

—
A przecież najtrudniejsze zadanie jest dopiero przed nami.

D’Ormesson starał się zorientować w grobowcu. Zawalone wejście,

które należało pokonać na czworakach, wyglądało groźnie; profesor gotów był zrezygnować, gdyby Toussaint nie znikł

między zaklinowanymi płytami. D’Ormesson musiał iść za nim. Nabrał głęboko powietrza, ukląkł, następnie poczołgał

się do przodu. Wąskie przejście miało sześć do siedmiu metrów długości, ale świadomość, że spiętrzone odłamki sklepienia w każdej chwili mogą na nich runąć, spowodowała, że te siedem metrów wydawało się nieskończenie długie. A w ogóle jak przetransportować zwłoki Coursiera przez to niskie przejście?

D’Ormesson właśnie dotarł do końca, gdy Toussaint, który stał przed nim wyprostowany, wydał

głośny okrzyk. Wołał

coś, czego profesor nie mógł zrozumieć; sądził początkowo, że Toussaint skaleczył się odłamkiem skalnym, lecz ten stał

nieruchomo, wyciągał rękę z lampą

i

jak skamieniały patrzył na ziemię.

—

Hej, co się stało? — zawołał d'Ormesson i potrząsnął Toussaintem.

Ten w milczeniu wskazał na jedną z kamiennych płyt leżących przed nimi.

—

Co to? Na litość boską, co się stało? — Profesor jeszcze nigdy nie widział tego twardego człowieka w takim stanie.

—

Coursier! — jęknął Toussaint. — Nie ma go!

—

Co to ma znaczyć, że go nie ma? Może

zmartwychwstał jak Chrystus?

—

Nie wiem.

—

Głupie dowcipy, Toussaint!

—

Nie! — zawołał ten, wściekły chwycił d'Ormessona za kołnierz, pochylił mu głowę na dół. — Niech pan popatrzy.

Spod tego kamienia wystawała jego ręka, widziałem na własne oczy. Teraz kamień jest uniesiony, a Coursiera nie ma.

D'Ormesson oświetlił dół lampą, następnie obrócił się powoli, skierował światło na kamień, wreszcie zaświecił w twarz Tousaintowi.

—
Ten, oślepiiony, zasłonił oczy. — Co pan robi, czy pan zwariował?

D'Ormesson opuścił lampę; stali tak przez chwilę w milczeniu.

—
Wiem, co pan teraz myśli, profesorze — zaczął

Tbussaint ze wzrokiem utkwionym w płytę.

D'Ormesson zrobił ledwie dostrzegalny ruch ręką. —

Uważam, że jest mi pan winien co najmniej jakieś wyjaśnienie.

—
Jakie znów wyjaśnienie? — wybuchnął Tousaint.

— Sam tego nie rozumiem. Wiem, że pan wątpi w moje zdrowe zmysły, ale przysięgam, że na własne oczy widziałem rękę Coursiera pod tym kamieniem.

0 tu... — Tousaint postawił lampę na ziemi. — Ta ciemna plama to krew. A tam widać ślady ciągnięcia. Może teraz mi pan uwierzy.

D'Ormesson się pochylił. Niewątpliwie na płycie widać było dużą ciemną plamę, wyglądała jak zaschnięta krew pokryta kurzem. D'Ormesson wstał, przesunął dłonią po czole i rzekł: — Przypuśćmy, że widział pan tu naprawdę Coursiera, ale właśnie dlatego oczekuję wyjaśnienia.

—
Do diabła z wyjaśnieniem. Sam nie wiem, co o tym myśleć. Coursier nie mógł stąd wyjść o własnych siłach, to pewne. Poza tym on nie żył. Nie żył! — Tousaint oświetlał

dokładnie każdy kąt, wciąż potrząsając głową.

Nie było rzeczą prostą wytłumaczyć konsulowi całą sprawę.

Wybuchnął śmiechem, kiedy usłyszał, że ciało Coursiera znikło, po prostu wziął to za żart i potrzeba było całej siły perswazji, aby go przekonać, że to prawda. Ten tak zazwyczaj wytworny i powściągliwy mężczyzna kłął teraz zawzięcie, aż profesor się zdenerwował i zaczął tupać w ziemię.

— Czy pan zdaje sobie sprawę, co to oznacza? — zawołał

cicho,

— To znaczy, że oni nas obserwują przy pracy. Ale to nie wszystko! Coursier zapewne pracował dla tamtych.

—
Dla tamtych?

—
Dla Brytyjczyków, Niemców, nacjonalistów, Amerykanów, diabli wiedzą kogo jeszcze!

—
Jeśli mi wolno się wtrącić — rzekł d'Ormesson —

pańskie argumenty są pozbawione logiki. Przypuśćmy, że Coursier naprawdę z nie znanych nam powodów pracował dla tamtych, że naprawdę poniósł przy tym śmierć, to przecież byłoby idiotyzmem wydostawać go z dołu; to dopiero naprowadziłoby nas na jego podwójną rolę.

Zastrzeżenie to było w pewnym sensie słuszne. Ale musiał

istnieć jakiś powód, że Coursiera potajemnie wydobyto.

Sytuacja była niemal groteskowa: oto Deuxième Bureau mobilizuje pierwszorzędnego agenta

wysoko wykwalifikowaną ekipę badawczą, by śledzić działalność obcego wywiadu, a okazuje się, że oni sami są śledzeni.

W tych okolicznościach profesor Milléquant odmówił

dalszej współpracy; nie wykluczał bowiem, że może Coursier coś wiedział, może był na tropie Imhotepa i wszedł przy tym w drogę komuś, kto był gotów na

wszystko. Wobec tego należy się zastanowić, czy grób Nefera sam się zawalił, czy też w odpowiedniej chwili spowodowano jego zawalenie.

Możliwe, że odpowiedzi na te wszystkie pytania zawierał

plan znaleziony przy Coursicrze. Millequant i d'Ormesson mocno w to wierzyli; konsul był zbyt wstrząśnięty, by móc wyrobić sobie zdanie. Toussaint powątpiewał.

Nazajutrz statek „Alexandra” wypłynął z Aleksandrii w kierunku Southampton. Na pokładzie znajdowała się zaplombowana trumna, świadectwo zgonu było wystawione na nazwisko Charlesa Whitelocka, Glasgow. Przewóz odbywał się na koszt brytyjskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, departament „Intelligence Service”.

BERLIN-LONDYN-BERLIN

Mężczyni Moją nad kobietami

ze względu na to, że Bóg dał wyższość jednym nad drugimi, i ze względu na to,

że oni rozdają ze swojego majątku.

Przeto cnotliwe kobiety są pokorne i zachowują w skrytości to, co zachowa! Bóg.

I

napominajcie te, których nieposłuszeństwa się boicie, pozostawiajcie je w łóżach

i

bijcie je!

Koran, sura IV

Zetknięcie się z kapryśnym baronem spowodowało nieoczekiwany zwrot w losie Omara, Halimy i Nagiba. Byli przygotowani na życie pełne wyrzeczeń, a oto znaleźli się w wytwornym towarzystwie, sama wzmianka, że są przyjaciółmi barona, otwierała przed nimi wszystkie drzwi. Baron przydzielił im w jednej ze swych okazałych kamienic eleganckie mieszkanie w dzielnicy, gdzie nie widać było

walęających się bezrobotnych ani długich kolejek nędzarzy stojących przed garkuchnią po darmową zupę. Dwa razy dziennie Nagib udzielał swym przyjaciołom lekcji niemieckiego, resztę czasu spędzał w prywatnym archiwum barona.

Przeglądanie i studiowanie materiałów zabrało trzy tygodnie i dostarczyło nieoczekiwanych informacji, które wprawiły ich w istną euforię. Omar i Nagib dobrowolnie spędzali całe noce w archiwum, robili notatki, snuli rozmaite teorie, po czym je odrzucali. Potwierdziło się przy tym to, co przypuszczali, że mianowicie lady Dawson trzymała w ręku wszystkie nici wywiadu brytyjskiego i że jej organizacja była najbliższą wyjaśnienia tajemnicy Imhotepa, choć niekiedy grupa Mustafa Agi Ayata deptała im po piętach. Naqonalisci egipscy, wśród których Ali ibn al-Hussein grał główną rolę, wydawali się ze sobą skłóceni i przede wszystkim dążyli do osiągnięcia osobistych korzyści, co kolidowało z ich właściwymi zadaniami. Co się tyczy Deuxième Bureau, to robota Francuzów była raczej nieprzenikniona, bo często zmieniali miejsca i obiekty swych badań i można by im zarzucić powierzchowność, brak kompetencji i naiwność, gdyby nie ów przebiegły Toussaint, który umiał prowadzić podwójną grę i zwodzić ludzi na manowce.

Fakt, że wywiad niemiecki śledził pozostałe wywiady tak dyskretnie, iż te nawet się nie domyślały, że Niemcy w ogóle wiedzą o operacji „Imhotep”, dowodził solidnej roboty. Tak więc nie mogło ująć uwagi

Freienfelsa, który lekceważył poczynania barona jako niewinne mrzonki, że von Nostitz pracuje z własną, w dodatku dość kompetentną załogą; załoga ta za pomocą wszystkich informacji, których osobiście dostarczył przyjacielowi, była w stanie konkurować z wywiadem państwowym, w dodatku należało się obawiać, że zgarnia mu śmietankę sprzed nosa.

Tak więc doszło do burzliwej rozmowy w barze hotelu

„Adlon”, przy której z obu stron padały ostre słowa. Von Nostitz po czterdziestoletniej przyjaźni wyrzekał się Freienfelsa, ten zaś wymyślał baronowi, że jest egoistą bez sumienia. Sprawa stała się tymczasem zbyt ważna, by pozostawić ją w rękach takiego dziwaka jak on, a jeśli von Nostitz tego nie rozumie, to należy mu tylko współczuć.

Baron von Nostitz-Wailnitz nie rozumiał. Wezwał do siebie Omara

i Nagiba, objaśnił im powstałą sytuację i zapytał, czy mimo wszystko widzą możliwość dalszej pracy dla niego; on ze swej strony gotów jest udzielić im wszelkiej pomocy.

Dotychczas ani Anglicy, ani Niemcy, ani Francuzi, mimo dużego nakładu sił i pieniędzy, nie osiągnęli znaczących rezultatów, a to, rzekł Omar, jest odpowiedzią na pytanie barona. Nie ma sensu kopać łopata pustyni i szukać grobu Imhotepa, skoro nawet nie wiadomo, gdzie ten boski jest pochowany.

Von Nostitz powiedział: — Nie wierzy pan w Sakkarę?

—

Co tam wierzyć czy nie wierzyć! — wtrącił Nagib.

— Nie ma żadnych wskazówek w tekstach z piramid, że budowniczy piramidy faraona jest pochowany w tym samym miejscu, gdzie jego król, a więc jakby w cieniu jego piramidy.

Nie jest całkiem wykluczone, że Imhotep znajduje się w Sakkarze, bo była to nekropolia Memfis, Memfis zaś było stolicą Nowego Państwa, ale to wcale nie jest pewne.

—

Brzmi to tak, jakby śledził pan inny trop!

—

Na razie trop pewnego tropu — rzekł Omar. —

Uważam, że powinniśmy pracować dalej tam, gdzie poniósł

porażkę ten, kto najbardziej zbliżył się do tajemnicy.

—

O kim pan mówi, Omarze?

—

Mówię o profesorze Hartfieldzie. Posiadał on największą wiedzę, prawdopodobnie miał najważniejszy fragment owej tablicy, która stanowi klucz do wszelkich poszukiwań.

—

Ale Hartfield nie żyje. Jacyś agenci go zabili. To przecież jasne.

—

Nic nie jest jasne — odparł Omar — nic nie jest jasne, póki nie zostanie odnalezione ciało Hartfielda.

Baron, podniecony, wymachiwał rękami. — Chyba nie myśli pan poważnie, że pani Hartfield została zamordowana, a profesor uprowadzony i że teraz musi gdzieś w ukryciu kontynuować swoją pracę?

—

To całkiem możliwe — stwierdził Omar.

—

A na czym opiera pan swoje przypuszczenie?

Omar wzruszył ramionami, nabrał głęboko powietrza i uderzył się w piersi. — Może to tylko idée

fixe, ale mam jakieś dziwne uczucie.

I nawet jeśli Hartfield już nie żyje, musimy się dowiedzieć, co się z nim stało.

Nagib przytaknął, baron zaś potrząsał głową.

—
Ile czasu minęło, odkąd Hartfield znikł? — zapytał

wreszcie Nagib.

—
Według pańskich dokumentów dokładnie cztery lata. Wiem to ze sprawozdania londyńskiego „Times’a” z czwartego września osiemnastego roku. Żonę Hartfielda znaleziono później martwą o pięć kilometrów na zachód od Sakkary. Po profesorze nie było śladu.

—
Pięć kilometrów na zachód od Sakkary? Czego, na Boga, ta kobieta szukała na Pustyni Libijskiej?

Omar roześmiał się z goryczą. — Gdybyśmy to wiedzieli, byłibyśmy kawał drogi do przodu, ale tego nie wiemy.

Podczas przeglądania pańskich dokumentów natrafiłem co prawda na ciekawy szczegół. Podobno wywiad państwowy dowiedział się, że przy zmarłej pani Hartfield znaleziono list...

—
Ach, niech pan da spokój! Zmarli na ogół nie noszą listów przy sobie. Na pewno wsunięto jej ten list, aby odwrócić uwagę od czegoś innego. O wiele ciekawiej byłoby dowiedzieć się, jaki był powód jej śmierci. I w jaki sposób umarła?

—
To nie wynika z akt. Tyle tylko, że nie było żadnych zewnętrznych obrażeń, żadnych śladów przemocy.

Baron chodził zamyślony po pokoju. Nagle zapytał: — A co było w liście?

—
Była w nim mowa o spotkaniu w hotelu „Savoy” w Kairze. Miano tam przekazać odciski kamiennej tablicy za sumę, która zapiera dech w piersiach.

He?

—

Dziesięć tysięcy funtów.

—

Dziesięć tysięcy funtów! To kupa pieniędzy.

—

To majątek. Iyie że Hartfieldowie nie byli ubogimi ludźmi. Nie potrzebowali pieniędzy. Jego kamienice w Bayswater i Paddington przynosiły większy dochód, niż profesor mógł wydać. Wobec tego należy przypuszczać, że pani Hartfield nie poszła na taką ofertę.

Tymczasem Nagib przerzucał papiery, wyciągnął kopię pewnego dossier wywiadu, które dotyczyło zagadkowego listu. — O, proszę — rzekł

— dwunastego października tysiąc dziewięćset osiemnastego o godzinie jedenastej miało nastąpić przekazanie. Aie widać do tego nie doszło.

Baron się zastanawiał. — Zaczniemy od tego, że ma pan rację i że Hartfield jeszcze żyje. Gdzie zacząłby pan swoje poszukiwania?

—

Niech pan posłucha — rzekł Omar bez wahania —

nie szukałbym tam, gdzie wszyscy dotąd szukali, czyli w Sakkarze, lecz na razie badałbym otoczenie profesora w Londynie, tam skąd pochodzi. Nie jestem za tym, by wykorzystywać informacje obcych wywiadów. Jeśli ma nam się udać, przede wszystkim jeśli chcemy wyprzedzić innych, musimy obrać własną drogę.

Zdecydowanie, z jakim Omar przedstawiał swoje racje, spodobało się baronowi, już nazajutrz dostarczył mu paszport i wizę i wysłał go do Anglii, wyposażony w znaczną sumę pieniędzy. Halima, której coraz bardziej podobało się życie w Berlinie, pozostała, Nagib zaś otrzymał zezwolenie na przebadanie archiwum Nowego Muzeum. Oficjalnie chodziło o skatalogowanie eksponatów egipskich, naprawdę zaś Nagiba interesowały meldunki o wykopaliskach i korespondencja wszystkich działających w Egipcie niemieckich archeologów.

Początkowo urzędnik w ministerstwie odmówił wydania takiego zezwolenia, ale na interwencję barona minister osobiście wyraził zgodę. Powodem tej ostrożności ze strony ministerstwa była afera, która stała się światową sensacją.

Pewien berliński archeolog znalazł przed dziesięciu laty w Egipcie popiersie królowej Nefretete i omijając ustawy, przewiózł je do Niemiec. Gdy sprawa wyszła na jaw, wywołała komplikacje natury

dyplomatycznej i Egipcjanie starali się odtąd bezskutecznie odzyskać swoją własność.

Omar popłynął statkiem do Dover, stamtąd pociągiem pospiesznym udał się do Londynu, gdzie punktualnie o osiemnastej dziesięć wysiadł na Victoria Station, wsiadł do czarnej taksówki i pojechał obok Buckingham Palace, Park Lane i Marble Arch w kierunku Bayswater. W pobliżu Paddington Station, gdzie Harrow Road zakręca, Omar wynajął pokój w hotelu „Midland”, pierwszej kategorii, jeśli wierzyć prospektowi, i zapytał, wypełniając formularz meldunkowy, jak daleko stąd do Gloucester Terrace.

Portier pochwalił znakomitą angielszczyznę cudzoziemca i wskazał Omarowi drogę. Było to najwyżej pięć minut od hotelu. Omar poszedł od razu do łóżka, aby się wyspać.

Nazajutrz świeciło słońce, co w Londynie zdarza się częściej, niż się powszechnie twierdzi. Omar zjadł obfite angielskie śniadanie i ruszył w drogę. Chociaż był w Londynie po raz pierwszy, miasto wcale nie wydawało mu się obce.

Zawdzięczał to profesorowi Shelleyowi i jego żonie Claire, którzy podczas długich zimowych wieczorów w Luksorze opowiadali mu o Anglii, a właściwie o Londynie.

Tym, co odróżniało Londyn od Kairu i każdego innego miasta, była czystość i mniej nerwowa atmosfera na ulicach.

Jeździło tu dużo samochodów osobowych i piętrowych omnibusów na wysokich kołach. Ale nawet handlarze, którzy w Kairze byli natrętni jak muchy obsiadające odchody wielbłądów, tutaj wykazywali wytworną powściągliwość.

Omar przeżył pierwsze zaskoczenie, kiedy znalazł się przed domem na Gloucester Terrace 124, dwupiętrowym budynkiem biało otynkowanym z epoki wczesnowiktoriańskiej, na co wskazywały przede wszystkim surowy portal z kolumnami i mosiężna tabliczka z nazwiskiem Hartfield, którą — by zachowała taki blask — należało z pewnością czyścić co najmniej raz w tygodniu. To samo dotyczyło klamki, którą Omar śmiało nacisnął. Otworzył mu siwy, stary mężczyzna, tuż za nim ukazała się kobieta w średnim wieku o ponurym spojrzeniu; miała na sobie spodnie

i trzymała papierosa w ustach.

Omar nie wiedział, jak wygląda profesor Hartfield, ale był

przekonany, że to nie może być on. Powiedział więc, że kiedyś pracował dla profesora, a ponieważ jest w Anglii, zapragnął się z nim zobaczyć, nie widzieli się już cztery lata.

Te słowa zmieniły ponury wyraz twarzy kobiety, odsunęła starego na bok i zapytała Omara o nazwisko. Omar podał je zgodnie z prawdą. Czemu miałby kłamać?

Po krótkim wstępie, który dotyczył niedbałego wyglądu kobiety — własnoręcznie uprawiała ogród — podała mu swoje nazwisko; Amalia Dounce, i powód swej obecności w tym domu; jest przez matkę spokrewniona z panią Hartfield, nieboszczka była jej ciotką. Kobieta się rozgadała i opowiedziała, że od piętnastu lat jest dobrym duchem tego domu i podczas trwającej całe miesiące

nieobecności państwa Hartfield- dów prowadziła ich sprawy i nadal je prowadzi, przede wszystkim odkąd pani Hartfield nie żyje, a profesor zaginął. Jej podanie o uznanie profesora za zmarłego urząd załatwił odmownie, ponieważ istnieją pewne poszlaki, które pozwalają przypuszczać, że profesor żyje.

Amalia Dounce była jedyną spadkobierczynią majątku Hartfielda

i

jej zabiegi pod tym względem były całkowicie zrozumiałe i uprawnione. Podczas tej rozmowy Omara zaskoczyła zwracająca uwagę powściągliwość tej tak wylewnej kobiety, kiedy zapytał ją o wspomniane poszlaki, które stanowiły przeszkodę w załatwieniu sprawy dziedziczenia. Kobieta twierdziła, że po raz ostatni widziała profesora w lecie 1918, jeśli pominąć to, że niedawno jej się przyśnił jako mnich-żebak w szarym habicie. Roześmiała się z goryczą i rzekła, że było to przed trzema tygodniami i od tej chwili budzi się czasem przerażona, bo jej się zdaje, że mnich czy też Hartfield zbliża się do niej z ironicznym uśmiechem.

By się uwolnić od tych zjaw sennych, Omar pożegnał się uprzejmie, zjadł coś w „King’s Arms” i oddalił się przez Bayswater Road do pobliskiego Hyde-Parku, gdzie usiadł na ławce i przyglądał się łabędziom

i ptakom wodnym, zastanawiając się, co ma sądzić o pani Dounce. Interesująca wydała mu się uwaga, że podanie o uznanie profesora za zmarłego zostało oddalone przez sąd na podstawie pewnych poszlak. A więc Omar udał się do Bayswater-Court.

Stare mury miały w sobie coś groźnego i niesamowitego, jak wszystkie gmachy sądowe na świecie; trwało niemal godzinę, zanim Omar trafił do właściwego wydziału i spotkał

się z sędzią Kitterbellem, wysokim, krzepkim mężczyzną o krótko ostrzyżonych włosach, który od niemal ćwierćwiecza pracował na chleb i emeryturę od poniedziałku do piątku przy ciemnym zniszczonym biurku, wydając na podstawie dokumentów decyzje o ubezwłasnowolnieniu i akta zgonu dla dzielnicy Bayswater; obowiązek ten wyrył na jego czole głębokie zmarszczki.

Omar pokazał swój paszport, oświadczył, że mógłby coś powiedzieć na temat Hartfielda, wie mianowicie, że załatwiono odmownie podanie o uznanie profesora za zmarłego. Oświadczenie to nie wzbudziło zachwyty sędziego Kitterbella, przeszkodziło mu bowiem w załatwianiu dwu stosów akt, które zaplanował sobie na dzisiejszy dzień; musiał

więc wezwać Miss Sparkins, kobietę ubraną w czerń, która należała do organizacji sufrażystek pod nazwą „Women’s Social and Political Union”. Kobieta po dłuższej chwili przyniosła akta sprawy i Kitterbell zaczął się w nich zagłębiać.

Omar opowiedział sędziemu tę samą historyjkę, którą opowiedział już Mrs. Dounce, że mianowicie pracował dla Hartfielda, że nie widział go już cztery lata i sądzi, iż profesor już od dawna nie żyje. W ten sposób miał nadzieję sprowokować sędziego, by orzekł — zgodnie z dowodami, że tak nie jest. I nie omylił się.

Kitterbell zareagował gniewem na opowieść Omara, zażądał dowodów na jego twierdzenie, wyciągnął z akt przekaz na dwadzieścia tysięcy funtów i położył na stole.

Przekaz nosił datę: Kair, 4 kwietnia 1921, na dole widniał

drżący podpis „Hartfield” i nazwa konta: Misr Bank Kairo, skąd podjęto sumę zgodnie z pełnomocnictwami i bez komplikacji. Ani Westminster Bank, ani Misr Bank nie miały wątpliwości co do autentyczności podpisu, a ponieważ martwi nie podpisują czeków, należy sądzić, że Hartfield żyje.

Archeolodzy bywają dziwakami, znikają, ujawniają się, czego nie można brać za złe takim ludziom jak Hartfield w tych niespokojnych czasach. Czy Omar może przysiąc, że profesor nie żyje, lub podać świadków, którzy przysięgną, że to prawda?

Tego Omar nie mógł zrobić i wcale nie chciał; osiągnął to, na czym mu zależało, i to, co od dawna przypuszczał, wydawało się prawdą: Hartfield żył gdzieś w Egipcie, nie było powodu sądzić, że zawiodła go wiedza

i że przestał się zajmować sprawą Imhotepa.

Ale gdzie zacząć poszukiwania? Wydawało się bezsensowne w kraju większym niż Anglia, Francja czy Niemcy szukać człowieka, który w dodatku pragnął żyć w ukryciu. To tak jakby szukać igły w stogu siana. Co wie Mrs.

Dounce? Omar nie wątpił, że wie więcej, niż się do tego przyznaje. Ale jaki jest powód jej powściągliwości? Czy chodzi o spadek, czy też działa zgodnie z życzeniem profesora? Dlaczego nie wspomniała

o

przekazie pieniężnym? Jeśli zajmowała się finansami profesora, musiała o tym wiedzieć.

Nazajutrz Omar poszedł po raz drugi na Gloucester Terrace, by zapytać panią Dounce, czy wie o przekazie profesora z kwietnia ubiegłego roku, co jest niewątpliwym dowodem, że profesor żyje. Pytanie cudzoziemca było dla Mrs. Dounce dowodem, że — tak jak przypuszczała — ma on inny cel niż złożenie profesorowi przyjacielskiej wizyty. Oświadczyła Omarowi, nie wypuszczając papierosa z ust, że jest on szpiegiem,

i zagroziła policją, jeśli nie zaprzestanie swych dociekań; poza tym podpis na czeku jest sfalszowany i niech Omar się tu więcej nie pokazuje.

Nie było w zwyczaju Omara rezygnować ze swych planów w sytuacjach takich jak ta. Udał się więc ponownie do sędziego Kitterbella

i opowiedział z naiwną miną, że Mrs. Dounce twierdzi, jakoby podpis na czeku był sfalszowany, i zapytał, czy sędzia o tym wie. Kitterbellowi chodziło przede wszystkim o to, by pozbyć się uciążliwego informatora, zaczął przewracać gniewnie oczami i powiedział, że pani Dounce wyraziła

swą wątpliwość co do autentyczności podpisu Hartfielda, ale biegly potwierdził, że jest on prawdziwy.

Gdy teraz sędzia zaczął zadawać pytania, dlaczego ta sprawa tak go interesuje, Omar wolał się pożegnać.

Podczas gdy Omar zbierał w Londynie informacje, nie miał

pojęcia, że w Berlinie przeznaczenie gotuje mu cios, który trafi go mocniej niż wszystko, co dotychczas przeżył. Była to porażka, której się nie zapomina do końca życia, nawet jeśli rany już dawno się zagoją.

Zacząło się wszystko od przyjęć, które baron Gustav Georg von Nostitz-Wallnitz zwykł urządzać w każdy czwartek.

Gdyby naszym zadaniem było klasyfikowanie tego rodzaju wydarzeń, to najwłaściwszym określeniem byłyby tu słowa:

„widzieć i być widzianym”. Udział w tych targowiskach próżności był dla każdego berlińczyka zaszczytem. Ten, kogo baron von Nostitz zaprosił, należał do elity, a ten, kogo nie zaprosił, wiedział, co o tym myśleć.

Bywali tam aktorzy, reżyserzy, pisarze, a także konstruktorzy samochodów, którzy — by zabłysnąć — nie wahali się przed podróżą z Górnych Łużyc i Gór Łużyckich.

TUtaj rodziły się gwiazdy, zapowiadano premiery, angażowano bokserów, nawiązywano kontakty, uprawiano politykę. Jeszcze dwa dni przed zamordowaniem minister spraw zagranicznych Waither Rathenau gawędził tu wesoło z F.W. Murnauem, którego niemy film pt. Nosferatu zachwycił

wszystkich gości.

Na jednym z takich przyjęć ku radości wielu panów zjawiała się Halima; swoją niemczyzną z domieszką arabskiego wzbudziła ogólny podziw. Wówczas to zdarzył się drobny incydent, który w świetle dalszych wydarzeń wcale nie był

taki przypadkowy, jak to początkowo wyglądało. Reporter gazety „Berliner Illustrierte” Max Nikisch zderzył się tak nie-fortunnie z Halimą, że kieliszek czerwonego wina, który trzymał w ręku

— pił tylko czerwone wino — wylał się na suknię kobiety i pozostawił brzydką plamę.

Nikisch, znany z tego, że nic nie mogło go wyprowadzić z równowagi, wyjąkał tylko bezradne słowa przeprosin i zaproponował, że zawiezie Halimę do domu, aby usunąć szkodę. A ponieważ Halima nie chciała pozostać w poplamionej sukni, przyjęła propozycję.

Nikisch był niewysokim, szczupłym mężczyzną, podobnym do Rudolfa Valentino, miał — zgodnie z panującą modą —

zaczęte do tyłu ciemne, lśniące włosy. Nosił zawsze muszkę w paski lub kropki, wyłącznie w kolorze czerwonym, a jego eleganckie obuwie pochodziło ze sklepu Waldmüllera na Kurfiirstendamm. Czarny mercedes-benz, którym jeździł, przekraczał jego możliwości finansowe, ale o tym wiedział

tylko on sam.

Dlaczego mimo swoich czterdziestu lat Nikisch jeszcze się nie ożenił, wiedział także tylko on sam. W każdym razie zaliczał się do najbardziej adorowanych kawalerów w Berlinie i kobieta, którą się zainteresował, co rzadko się zdarzało, mogła być z tego dumna. Nikisch zachowywał się w sposób staroświecki, był aż do przesady ugrzeczniony, zawsze dbający o to, by nie skompromitować kobiety, z którą miał

romans. Nawet najzagorzalszym plotkarzom nie udało się nigdy wykryć jego miłostek, a plotkarzy takich nie brakowało w klubach i salonach Berlina.

Tyle należy powiedzieć, by zrozumieć, jaką sensację wywołało zachowanie Nikischa w ciągu następnego dnia. Jak należało się spodziewać, odwiózł Halimę do domu i zaczął

jak szofer, aż się przebierze, po czym przywiózł ją z powrotem do barona. Ale tego wieczoru nie spuszczał z niej oczu, prawił komplementy, a żegnając się, poprosił, aby mógł

się z nią spotkać nazajutrz.

Jako Egipcjanka, Halima nie była przyzwyczajona ani do komplementów, ani do zaproszeń czy randek. Pochlebiał jej subtelny sposób bycia Nikischa, więc wyraziła zgodę. Podczas śniadania gońiec przyniósł jej bukiet żółtych róż i list. Halima jeszcze nigdy w życiu nie dostała kwiatów, a list zawierał

zaproszenie na przechadzkę po wystawach. Nikisch proponował także, by zastąpić poplamioną suknię nową.

Nastąpiło to w salonie mody w pobliżu Alexanderplatz, gdzie ubierała się elita. Suknia była żółta, sięgała do łydek, zgodnie z ówczesną modą była obcisła, na lewym biodrze lekko zmarszczona, tak że opadała na jedną stronę, tworząc fałdy. Wątpliwości Halimy, że suknia jest zbyt wyzywająca dla kobiety ze Wschodu, Nikisch rozwiał uwagą, że piękna kobieta powinna nosić piękne suknie, a dla niej nawet najpiękniejsze jeszcze nie są dość piękne.

Tego rodzaju komplementy, których Nikisch nie szczędził, działały jak szampan i wprawiały Halimę w nieznane jej dotąd uczucie szczęścia. Dotychczas była służącą i męczennicą, nigdy się nie skarżyła, ponieważ takie życie odpowiadało jej pochodzeniu i wychowaniu. Teraz nagle ujrzała siebie w roli damy, rozpieszczanej ponad miarę i adorowanej; czuła się więc jak w siódmym niebie. Nawet Omar, którego jej w Berlinie mimo wszystko brakowało, nie traktował jej z taką atencją i czcią, jak to czynił ten Niemiec.

Omar nie potrafił tego, bo był mężczyzną Wschodu. Od barona Halima dowiedziała się, że Omar

pozostanie w Londynie dłużej, niespodziewane zdarzenia wymagają jego obecności, przysłała jej pozdrowienia. Tak więc w uczuciach Halimy nastąpił niespodziewany zwrot ku Maxowi (Halima nazywała go Matsem, bo nie potrafiła wymówić „x”).

Byli wspólnie w „Scali”, słynnym variétés, gdzie kapitan Westerhold prezentował zdalnie sterowany, jakby poruszany ręką ducha, model statku — wówczas była to sensacja.

Odwiedzali podejrzanе lokale i kabarety, oglądali najświetniejsze ówczesne nieme filmy, Doktora Mabuse’a Fritza Langa i Nosferatu Mumaua. Widywano ich w

„Adlonie”, a około północy przystawali przed budą na rogu Friedrichstrasse i Tau-benstrasse, gdzie były najlepsze pulpety w całej wschodniej dzielnicy. Po kilku dniach takich spotkań Max wyznał Halimie swą miłość. Może lepsze byłoby słowo „zaklinanie”, Nikisch bowiem zaklinał Halimę, by go nie odtrącała, bo nie może bez niej żyć.

Halima stała jak skamieniała w migotliwym świetle gazowej latarni, drżała z lekka, ale nie z chłodu, zaskoczyło ją wyznanie Nikischa. Max przyciągnął ją do siebie, czuł drżenie i ciepło jej ciała, prosił, by nic nie mówiła. — Teraz nic nie mów — błagał. — Bywają sytuacje w życiu, kiedy każde słowo jest niewłaściwe. Teraz właśnie jest taka sytuacja.

Halima walczyła ze łzami — nie wiedziała dlaczego. Była wstrząśnięta niezwykłością tego mężczyzny, jego siłą i wyższością, które w nieoczekiwanej chwili zamieniały się w uroczą słabość. Chciała, musiała mu powiedzieć tyle rzeczy, musiała mu wytłumaczyć, nim będzie za późno, zaczęła więc mówić, drżąc w jego ramionach.

Najpierw opowiedziała o swym smutnym dzieciństwie, o tym, jak musiała z ojcem pracować boso na plantacji trzciny cukrowej, o pierwszym spotkaniu z Omarem, o wysokiej cenie, jaką zapłaciła za jego życie. Niczego nie pominęła, nawet izolacji i nieludzkiego traktowania, i upokorzeń, jakich doznała w małżeństwie z al-Hussinem. Opowiedziała o niespodziewanym spotkaniu z Omarem, o ich wspólnej decyzji ucieczki z Egiptu. Przemilczała tylko właściwe tło ich znajomości z baronem von Nostitzem.

—

Widzisz — zakończyła — że masz do czynienia z cudzołożnicą, która uciekła od męża, co według świętej księgi Koranu jest straszliwym grzechem. Jestem jedną z tych kobiet, od których Allah nakazuje trzymać się z daleka, każe mężom zamykać je w ich komnatach i karać według własnego uznania. Bo mężowi wolno jest rozwieść się z żoną, żonie natomiast nie wolno porzucić męża.

Halima oczekiwała, że jej słowa wzbudzą niechęć, że Nikisch znajdzie odpowiedni wybieg, by się wycofać. Nie zdziwiłoby jej to, a nawet w duchu pragnęła, aby tak się stało, bo wówczas nie doszłoby do tego, co w konsekwencji mogłoby przynieść tylko cierpienie.

Ale nic takiego nie nastąpiło. Nikisch jeszcze mocniej przytulił ją i okrył jej twarz pocałunkami. Wyrozumiały jak ojciec, rzekł: — Przybyłaś z dalekiego kraju, gdzie panuje inna moralność i obowiązują inne prawa. Ale teraz jesteś w Europie, a tu, w Niemczech, jest inaczej. Jesteś kobietą i

masz takie same prawa jak mężczyzna. Jeśli twój mąż był dla ciebie niedobry, masz takie samo prawo rozwieść się z nim, jak on z tobą. Zresztą to nie ma żadnego znaczenia dla człowieka, który cię kocha.

—
Ale jest jeszcze Omar! — Halima rozpaczliwie usiłowała się wyrwać z jego uścisku. — On mnie kocha, a ja jego!

Słowa te wcale nie odstraszyły Nikischa. Ścisnął jej ręce i rzekł spokojnie: — Miłość ma własne prawa, jest pozbawiona wszelkiej logiki. Dziś mówisz mi, że kochasz Omara, a jutro może być już całkiem inaczej. Uczynię wszystko, czego ode mnie zażadasz. Jeśli mnie odepchniesz, odejdę; ale nie przestanę cię kochać.

Wówczas Halima wybuchnęła płaczem. — Wobec tego idź, proszę cię, idź! Nie wolno nam się więcej spotykać, nigdy!

Nikisch jak gdyby czekał na tę reakcję, bez najmniejszej oznaki smutku czy wzruszenia ujął Halimę pod ramię i wezwał taksówkę. Otworzył drzwiczki, a kiedy wsiadła, przelotnie pocałował ją w rękę. Halima nie widziała, że macha za nią, ponieważ płakała jak dziecko.

Tymczasem Omar w gryzał się w sprawę jak fretka w swój łup. Tb, czego dotychczas dowiedział się o Hartfieldzie, wydało mu się zbyt mało ważne dla dalszych badań. Musiał

dowiedzieć się czegoś więcej o stosunkach na Gloucester Terrace 124.

Omar nic wąpił, że paląca bez przerwy papierosy Mrs.

Dounce gra tu dwuznaczną rolę. ale nic wiedział, jak zdobyć dalsze informacje. Myśl, aby zasięgnąć języka u sąsiadów, natychmiast odrzucił. Po pierwsze, nic by to nic dało, bo kto w takim wielkim mieście jak Londyn /.na swoich sąsiadów? Po drugie, było to związane z ryzykiem, że ludzie doniosą Mrs.

Dounce o jego wypytywaniu, i w ten sposób ją ostrzegą. A więc Omar zdecydował się iść tymczasem najprostszą i najtrudniejszą drogą. Zaczaił się po drugiej strony ulicy i obserwował, kto odwiedza dom przy Gloucester Terrace 124.

Trwał na posterunku od rana do wieczora.

Nie ma nic bardziej nużącego i dręczącego niż tego rodzaju obserwacja. Godziny, które zazwyczaj mijają jak w locie, w takiej sytuacji jak ta rozciągają się w nieskończoność. Omar spacerował po drugiej stronie ulicy, liczył płyty chodnika, uczył się numerów mijających go samochodów i dwa razy dziennie — w południe i wieczorem — kupował najnowsze wydania dzienników, które czytał oparty o rogi domów.

Pierwszego dnia nic się nie zdarzyło, nie licząc tego, że z rana

wpół do ósmej drzwi wejściowe uchylły się i czyjaś ręka zabrała butelkę mleka, którą przedtem mleczarz tam postawił.

Mleczarz! Mleczarze i fryzjerzy wiedzą więcej niż inni ludzie.

Nazajutrz Omar przypilnował mleczarza, wcisnął mu do ręki jedno- funtowy banknot, nie lada grosz dla przedstawiciela jego stanu, i oświadczył, że jest prywatnym detektywem, co nie było rzadkością w Londynie lat dwudziestych; następnie zapytał o stosunki w domu na Gloucester Terrace. Natura nie obdarzyła mleczarza zbytnim intelektem, jego horyzonty nie sięgały dalej niż do progu własnego domu i na wszelkie dalsze pytania reagował równie przyjaznym, jak idiotycznym uśmiechem

wyciągając trzy rozpostarte palce, odpowiadał: — Mrs.

Dounce, trzy butelki, Sir.

Nazajutrz Omar ujrzał twarz służącego, który —

najwidoczniej załatwiwszy sprawunki — wracał po dwóch godzinach. Jedno było teraz jasne, to mianowicie, że Mrs.

Dounce nie prowadzi otwartego domu, żyje w odosobnieniu.

Ospały z nudy, Omar za późno spostrzegł następnego wieczoru, że ktoś wychodzi z domu. Zdążył tylko zobaczyć wysokiego mężczyznę w trenczu; ale zanim przeszedł na drugą stronę, by go śledzić, nieznajomy znikł w ciemności.

Jedno było pewne — nie był to służący, ów nieznajomy był

wyższy i nie miał tak ciężkiego chodu jak tamten. Ale najbardziej zastanawiał Omara fakt, że nie widział, jak obcy wszedł do domu.

Nazajutrz, w piątek, powtórzyło się to, co Omar już znał; z rana mleczarz, listonosz ominął dom, około dziesiątej wyszedł

służący, potem już nic się nie działo.

Było może około ósmej i już zapadał zmrok, gdy nastąpiło coś niespodziewanego, w co Omar już nie wierzył, że nastąpi.

Otworzyły się drzwi i z domu wyszła Mrs. Dounce w towarzystwie mężczyzny. Był to ów nieznajomy w trenczu.

Ramię przy ramieniu szli oboje w kierunku Sussex Garden.

Omar szedł za nimi w pewnej odległości. Mężczyzna i kobieta żartowali i byli wyraźnie w dobrych humorach; po krótkim spacerze weszli do jednego z chińskich lokali, które tu znajdują się na każdym rogu.

Kiedy Omar się przekonał, że oboje już usiedli, wszedł za nimi. Siedzieli przy stoliku w najdalszym kącie, oddzielonym od reszty pomieszczenia przegrodą z bambusa i zielonych roślin, tak że Omar mógł się odważyć na zajęcie miejsca naprzeciwko. Chodziło mu o to, by zapamiętać twarz tego mężczyzny.

Znad karty dań, którą podał mu z ukłonem nieduży Chińczyk, Omar obserwował siedzącą parę z boku. Dopiero kiedy kelner podszedł do nich, aby przyjąć zamówienie, mężczyzna zmuszony był odwrócić głowę i wówczas Omar ujrzał jego twarz.

Na Allaha Wszecchpotężnego! Mężczyzna obok Mrs.

Dounce był to William Carlyle. Bez wątpienia William Carlyle, dziennikarz, którego Omar poznał przed wielu laty w podcieniach hotelu „Winter Palace” w Luksorze i który pewnego dnia zniknął z hotelu, pozostawiwszy kurtkę, kopertę z piętnastoma funtami i książkę z pogniecioną kartką, z napisanym na niej tylko jednym słowem; „Imhotep”, dwukrotnie podkreślonym.

Omarowi trudno było w tej zaskakującej sytuacji uporządkować myśli. Mrs. Dounce-profesor Hartfield-Carlyle

— między tymi trzema osobami zachodził jakiś związek, jakieś dziwne współgranie trzech losów wokół wspólnej sprawy. W każdym razie musiał istnieć jakiś powód, dla którego Hartfield, jeśli w ogóle jeszcze żyje, i Carlyle, co do którego istnienia nie ma wątpliwości, z dnia na dzień zniknęli.

Omarowi napływało do głowy tysiące myśli, ale żadna z nich nie wydawała się jasna. Sytuacja, której właśnie był

świadkiem, niczego nie tłumaczyła.

Podczas gdy Mrs. Dounce i Carlyle rozmawiali, Omar obserwował ich ruchy i gesty, które czasem zdradzają więcej niż słowa. Usta mogą kłamać, oczy natomiast nie. Ledwie kelner odszedł, Carlyle ujął prawą rękę Mrs. Dounce i długo patrzył jej w oczy, nie mówiąc ani słowa. Ja salaam! Tak nie patrzą na siebie krewni ani znajomi, ani partnerzy w interesach! Była to para miłosna.

—

Co pan zamawia? — Przed Omarem stanął nagle niski, uśmiechnięty Chińczyk. Omar odłożył kartę dań, odparł

uprzejmie: — Dziękuję, rozmyśliłem się! — i nie zauważony opuścił lokal.

Ochłodziło się i od strony Long Water w pobliskim Hyde-Parku nadciągała pierwsza jesienna mgła. Omar postawił

kołnierz. Zastanawiał się: Jeśli William Carlyle i Amalia Dounce są parą miłosną, co jest raczej pewne, nasuwa się pytanie, jaką rolę w tej historii odegrał wuj Amalii Edward Hartfield? Hartfield i Carlyle musieli się znać, ich wspólne zainteresowanie Imhotepem nie mogło być przypadkowe, ale jeśli się znali, czemu zdążali do celu tak odległymi drogami?

Omar, który dotychczas stanowczo zaprzeczał, że zniknięcie Hartfielda oznacza jego śmierć, teraz nie mógł

pozbyć się uczucia, że profesor nie żyje. Nie wiedząc, jak się ma zachować, Omar dotarł do hotelu „Midland”.

Wraz z kluczem do pokoju portier wręczył mu depeszę z Berlina. Nagib telegrafował, aby niezwłocznie wracał, jeśli zależy mu na Halimie. Co Nagib miał na myśli? Omar nie rozumiał.

Nawet gdyby Omar zrozumiał ostrzeżenie przyjaciela, i tak byłoby ono spóźnione, bo w Berlinie wiele się zmieniło. Na Unter den Linden wiatr strząsał liście z drzew; kiedy z rana wychodziło się z domu, czuło się mgłę, zwłaszcza tam, gdzie przez miasto płynęła Sprewa. Deszcz padał obficie niż w ciągu całego słotnego lata, a ceny chleba, mięsa i jarzyn z każdym dniem wzrastały. Wiele samochodów stojących na skraju chodników miało napis: „Do sprzedania”, a mężczyźni z napisem „Szukam pracy” na piersiach i na plecach stanowili codzienny obraz.

Wszędzie widać było nielegalnych handlarzy i spekulantów, przede wszystkim handlujących narkotykami. „Coco”, jak nazywano kokainę, była wówczas w modzie, a także morfina, a ceny ich w Berlinie były znacznie niższe niż w Paryżu czy Londynie. W piwnicy na Leipziger Strasse każdego wieczoru śpiewała jaskrawo uszminkowana, niemłoda już piosenkarka: Ach całusy, co za nuda, komuż nie obrzydły jeszcze.

Gdy morfinkę wkląć się uda, ileż miłsze daje dreszcze!

To się ludziom podobało, śmiali się do rozpuku. Życie w owych dniach przypominało taniec na wulkanie, wyglądało na to, że ludzie łakną rozrywki, że żyją z dnia na dzień, jakby to był ich dzień ostatni. Charleston i shimmy królowały w salach balowych, a ulicznicy gwizdali piosenkę o wuju Bumbie z Kalkuty, przebój spopularyzowany przez sześćoosobowy zespół piosenkarzy o nazwie „Comedian Harmonists”.

Sprawa z Maxem Nikischem tak wzburzyła Halimę, że zamknęła się w swoim pokoju i całą noc i dzień przepłakała z rozpacz. Kochała Omara, nie miała powodu go nie kochać, ale kochała także Maxa.

Szarpana tymi uczuciami i dręczona strachem, że jednemu z nich sprawia ból, Halima nazajutrz rzuciła się w wir nocnego życia, wędrowała od knajpy do knajpy w podejrzanej dzielnicy, gdzie wczesnym rankiem zatrzymał ją patrol policji pijaną, opartą o żelazną furtkę szaletu, przybytku, gdzie — jak wiadomo — bywali wyłącznie panowie, którzy zaspokajali samych siebie albo osobników tej samej płci.

Na propozycję policjantów', że odwiozą ją do domu, Halima zareagowała dzikimi wyzwiskami po arabsku i po niemiecku, odmówiła podania swego nazwiska i adresu, zagroziła, że baron von Nostitz-Wallnitz każe ich wszystkich zamknąć. Wobec tego spędziła resztę nocy w celi policyjnej.

Wreszcie baron na wezwanie policji przybył, aby ją zidentyfikować, przywiózł do domu, gdzie do wieczora wytrzeźwiała, po czym wybuchnęła płaczem.

Nagib już od dawna orientował się, że Halima jest w rozpacz, i starał się ją pocieszyć. Ostrzegał przed niemieckimi mężczyznami, których stosunek do kobiet jest inny niż Egipcjan. Kiedy Egipcjanin przysięga kobiecie miłość, jest to przysięga na całe życie, przysięga Niemca natomiast obowiązuje tylko jedną noc. Niech się wystrzega mężczyzn, którzy prawią jej komplementy, bo chcą od niej tylko jednego.

Wtedy Halima go ofuknęła, że nie potrzebuje pouczeń ani porównywania Niemców z Egipcjanami. Egipcjanie są bowiem bezwzględny egoistami, którzy uznają tylko siebie samych, a Nagib nie jest

wyjatkami. Sprzecznali się oboje, zarzucając sobie niegodziwość, wreszcie Nagib nazwał

Halimę dziwką. Wówczas kobieta spakowała do walizki trochę odzieży i zanim zatrzasnęła za sobą drzwi, zawołała, że po resztę kogoś przyśle.

Halima pojechała taksówką na Kurfürstendamm we wschodniej części miasta. Żyli tu przeważnie artyści, aktorzy i dziennikarze. Nikisch mieszkał na najwyższym piętrze sześciopiętrowego domu, w którym na parterze mieściło się kino. Ale nie było go w domu. Halima krępowała się zatelefonować do jego redakcji, usiadła więc pod drzwiami i wkrótce zasnęła.

Około północy wrócił Nikisch i zastał Halimę śpiącą, opartą o drzwi. Drgnęła, kiedy Nikisch chciał ją zanieść do mieszkania, ale na jego widok uśmiechnęła się. Chciała coś powiedzieć, usprawiedliwić się czy wyjaśnić, ale nie była zdolna wymówić słowa, wobec tego Max przyłożył palec do jej ust, co miało oznaczać: „Pst, nie musisz mi niczego tłumaczyć”.

Halima bez oporu pozwoliła, aby Nikisch wniósł ją do salonu, elegancko umeblowanego pokoju o dwóch olbrzymich oknach. Pod jednym

stała kanapa obita niebieską skórą. Max położył na niej Halimę, tak że mogła patrzeć na nocne niebo. Teraz, w pobliżu Maxa, poczuła się szczęśliwa. Wszystko wydawało jej się snem.

—

Wcale się nie dziwisz, że przyszedłam — powiedziała, kiedy Max przysunął się do niej.

—

A miałem się zdziwić? — Nikisch pochylił się i zajrzał jej w oczy.

—

Tak — odparła. — To by dowodziło, że

potraktowałeś moje pożegnanie poważnie.

—

Ależ ja je potraktowałem poważnie, nawet bardzo, byłem zmartwiony. Ale wiedziałem, że do mnie wrócisz.

Żaden rozsądek nie zdoła zabić w tobie uczucia.

—

Gdybyś tylko nie był tak cholernie pewny siebie —

rzekła Halima zmieszana — tak beczelnie opanowany.

Nikisch się roześmiał. — Opanowanie, powiada jeden z naszych poetów, to źródło wszelkiej moralności.

—
A ty nigdy nie jesteś tak naprawdę niemoralny. Mam na myśli, co ma zrobić kobieta, aby...

—
Słucham?

—
...abyś się z nią przespał?

Max długo przyglądał się Halimie, a kiedy zauważył

podniecone drgania jej kącików oczu i nozdrzy, ostrożnie położył się na niej.

Delikatne ruchy Nikischa wprawiły Halimę w stan oszołomienia. Zapomniała o wszystkim, naraz zaczęła wykonywać dzikie, ekstatyczne ruchy, bijąc przy tym rękami dokoła siebie, jakby broniąc się przed mężczyzną, przed uczuciem, a przecież tak bardzo pragnęła go kochać.

Dwa dni później Omar wrócił do Berlina, a kiedy usłyszał, co zaszło, załamał się. Zrozpaczony i bezradny, błąkał się po mieście, niezdolny, aby zebrać myśli. Dlaczego, dlaczego, szeptał wciąż od nowa.

Na moście Cesarza Wilhelma zatrzymał się i patrzył na leniwie płynącą wodę. Chciał umrzeć, ale im bardziej intensywnie o tym myślał, tym większa ogarniała go wściekłość na człowieka, który zabrał mu kobietę. Broń!

Potrzebny mu rewolwer sześciopalcowy, to by wystarczyło.

Na dworcu Alexanderplatz można kupić coś takiego. A więc udał się tam.

Zapadał już wieczór i miasto tonęło w słabym świetle.

Ludzie wychodzili tłumnie wąskimi przejściami dworca.

Wszędzie wałęsali się spekulanci i bezrobotni. Omar przyglądał się bacznie każdemu, czy nie ukrywa tego, czego on szuka. Jeden z handlarzy proponował mu kokainę, inny pół

świniaka, jeśli ma na wymianę pianino, trzeci szepnął, że ma partię kremu „Mouson”, sześćdziesiąt sztuk w pudełku. —

Rewolwer? Nie. Może u Aschingera na Alexanderplatz, ale dopiero po dziesiątej.

Na Alexanderplatz panował ożywiony ruch. Można by pomyśleć, że wszystkie auta, omnibusy, taksówki i tramwaje Berlina spotkały się na tym placu o tej samej porze.

Mała, jasnowłosa dziewczyna, chyba nie miała jeszcze osiemnastu lat, pociągnęła Omara za rękę. — Hej, panie, może się zabawimy?

—

Nie chcę się zabawić, chcę kupić rewolwer —

mruknął Omar niechętnie, starając się odepchnąć dziewczynę.

Ale ona szła obok niego. — Rewolwer? Chyba zwariowałeś. Chłopie, pilno ci do pudła? — rzekła.

Teraz Omar spojrzał na dziewczynę. Pilno ci do pudła?

Proste słowa, a przecież jak przekonujące. Śmiechu warte.

Mała nieznajoma przywróciła go do rozsądku.

—

Nazywam się Tilly — rzekła mała, bo sądziła, że zainteresowała tego mężczyznę; rozpostarła palec prawej dłoni przed jego twarzą i powiedziała mrugając: — Piątaka, jak dla ciebie!

—

Jakiego piątaka?

—

No pięć tysięcy, za zabawę!

Omar zrozumiał; tyle kosztował w tych czasach funt herbaty albo tania koszula.

—

U mnie jest ciepło, to tuż obok komendy policji. No, rusz się! Nie możesz takiej małej dziewczynki zostawić samej na ulicy.

Tilly miała szczerą, miłą twarz. Niesforne jasne włosy opadały jej na czoło. Była zgrabna, delikatna, ale miała zbyt wydatny biust.

—

Chyba jesteś nietutejszy, co? — zapytała, kiedy Omar wciąż jeszcze milczał. — Wyglądasz tak markotnie, już ja cię rozruszam, zobaczysz.

Omar zdecydowanym ruchem sięgnął do kieszeni, wyjął

paczkę banknotów i dał dziewczynie. Tilly dygnęła i schowała pieniądze do zniszczonej aksamitnej torebki.

Pokój znajdował się o trzy podwórka dalej, na parterze, tuż przy wejściu, i był opalany; Tilly oświadczyła z dumą, że mieszka tu z koleżanką, która sprzedaje papierosy w nocnym lokalu, tak że buda w nocy jest wolna. Omar opadł na fotel, noszący ślady ubiegłego stulecia; obserwował dziewczynę, która zaczęła się rozbierać, jak gdyby to była najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem.

—
Chyba nie zostaniesz w ubraniu — rzekła. Ale kiedy zobaczyła, że Omar jest myślami daleko stąd, uklękła przed nim, wzięła go za ręce i powiedziała: — i chyba nie potrzebujesz kobiety do miłości, tylko do gadania. No to opowiadaj. Ugotuję ci tymczasem jakąś lurę.

Omar, jak gdyby tylko czekał na słowa zachęty; zaczął

opowiadać. Otworzył przed dziewczyną swe serce, opowiedział o miłości do Halimy,

o ich ucieczce i niespodziewanym jej zakończeniu, o pustce, jaką teraz odczuwa, o swojej bezradności w tej sytuacji.

Tilly słuchała nie przerywając, a kiedy Omar skończył, rzekła po długim milczeniu: — Jeśli mnie o to pytasz, to ci powiem, że żadna baba nie jest warta, by się za nią uganiać.

Wierz mi, jeśli ona cię kocha, wróci, każda z nas przeżywa krótkie spięcia, a jeśli nie wróci, to znaczy, że nigdy cię naprawdę nie kochała.

Te proste słowa spowodowały u Omara nagłe złagodzenie cierpienia. Tilly z zadowoleniem obserwowała, że próbuje się uśmiechnąć. — Jesteś miła — rzekł — dlaczego to robisz?

Tilly wybaczyłaby swemu dziwnemu klientowi bezczelność i grubiaństwo, bo do tego już się przyzwyczaiła, ale nie to zdanie, nie te głupie słowa, które co drugi mężczyzna do niej kierował. Odparła równie głupio: — A więc dobrze, jeśli chcesz wiedzieć, robię to, bo mi to sprawia przyjemność i mam z tego więcej forsy niż telefonistka.

—
Wybacz — rzekł Omar — to głupie pytanie.

—
Matka mojej matki — rzekła Tilly — czyli moja babka, jak była młoda, też chodziła na Alex, mimo to została przyzwoitą kobietą. A według prawa pana Mendla, dzieci wradzają się raczej w dziadków niż w rodziców.

Naukowe uzasadnienie trybu życia dziewczyny ubawiło Omara, zaczęli rozmawiać o różnych sprawach, szczególnie o stosunku obu płci, a ponieważ nie doszli do żadnego wniosku, wybrali się do Aschingera, gdzie również nocą leżały na stołach darmowe bułki; pili tam piwo i gadali szczerze, bo wiedzieli, że niedługo się rozejdą i nigdy się już nie zobaczą.

W sytuacji Omara nic się nie zmieniło, mimo to czuł się lepiej po tym dziwnym spotkaniu. Naturalny sposób, w jaki dziewczyna traktowała życie, zaimponował mu, przestał

uzalać się nad sobą, jak to czynił już od dwóch dni.

Nazajutrz Omar przyszedł do barona, który się bardzo tłumaczył, bo przecież Halima poznała Nikischa u niego na przyjęciu. Był zdumiony, słysząc z ust Omara, że żadna kobieta nie jest warta tego, by się za nią uganiać, a jeśli Halima go naprawdę kocha, to wróci, a jeśli nie, to znaczy, że go nigdy nie kochała. Po tym wstępie przeszli obaj do spraw bieżących.

Omar zaskoczył barona stwierdzeniem, że w sprawie Imhotepa odkrył nowy trop; kiedyś przed laty był już na tej ścieżce, ale wskutek niesprzyjających okoliczności stracił ją z oczu. Słowem — człowiek o nazwisku Carlyle, który bez śladu znikł z hotelu w Luksorze, pozostawiwszy rzeczy osobiste, między innymi kartkę z napisem „Imhotep”, teraz znów pojawił się w Londynie, w czułym uścisku z siostrzenicą profesora Hartfielda. Sam Hartfield nie dał żadnego niepodważalnego znaku

życia prócz pokwitowania bankowego, które było powodem, że gorliwy londyński sędzia odmówił uznania profesora za zmarłego.

—

A więc sądzi pan, że Hartfield żyje? — zawołał

baron z zachwytem.

Omar wzruszył bezradnie ramionami. — Są co najmniej równie poważne argumenty przemawiające za tym, że profesor żyje, jak i za tym, że nie żyje. Jedno wydaje mi się pewne: ten, kto odnajdzie Hartfielda żywego lub martwego, posunie się kawał drogi do przodu w rozwiązaniu zagadki.

Postanowiłem odszukać Hartfielda!

Gustav-Georg von Nostitz-Waflnitz nerwowo kręcił w palcach cygaro. — Jak pan to sobie wyobraża, jeśli wolno zapytać?

—

Liczę na pańską pomoc — rzekł Omar chłodno. —

Jak panu wiadomo, mam w Egipcie wrogów, którzy chcą mnie zabić, i gdybym wrócił tam jako Omar Moussa, byłoby to samobójstwo. Gdyby natomiast udało się panu zdobyć dla mnie fałszywy paszport, wszystko wyglądałoby inaczej.

Pojechałbym do Egiptu i nie wróciłbym, póki bym nie odnalazł Hartfielda.

—
To dla mnie drobiazg! — Baron roześmiał się. —

Jedyne, co mi do tego potrzebne, to pańskie zdjęcie i nazwisko.

—
Hafiz el-Ghaffar — powiedział Omar,

przypomniawszy sobie nazwisko swego dawnego gospodarza; już raz posłużył się nim w Luksorze

— Shaira Quadri 4, Kairo.

Gdy Nagib dowiedział się o planie Omara, usiłował

wszelkimi sposobami powstrzymać przyjaciela. Niech od razu wpakuje sobie kulę w łeb i zaoszczędzi podróży, bo z al-Husseinem nie ma żartów. Nagib rozumie ból Omara z powodu Halimy, ale dla takiego samobójstwa nie ma zrozumienia, jego w każdym razie i sto koni nie zaciągnie do Egiptu, nawet gdyby miał tu zarabiać na życie jako gazeciarz.

Omar powinien dziękować Allahowi, że nie musi rozważać tego rodzaju możliwości. W każdym razie niech nie liczy na pomoc Nagiba w tej sprawie.

Omar odpowiedział, że chętnie rezygnuje z pomocy Nagiba, a jego plany wcale nie mają związku z Halimą. Chce odnaleźć profesora Hartfielda, żywego lub martwego, i baron wyrobi mu fałszywy paszport. On zaś zapuści sobie przedtem brodę, jaką nosił dawniej, i dzięki temu nie będzie się różnił od siedmiu milionów Egipcjan.

Jak należało się spodziewać, rozmowa przekształciła się w sprzeczkę, w wyniku której Omar i Nagib rozstali się w gniewie. W dwa dni później Mr. Hafiz el-Ghaffar udał się kolejną do Monachium, stamtąd dalej do Triestu, gdzie miał

zarezerwowany bilet na statek do Aleksandrii — oczywiście pierwszej klasy.

SIDI SALIM

0

wy, którzy wierzycie!

Bójcie się Boga,

poszukujcie pilnie połączenia z Nim

walczcie usilnie na Jego drodze!

Być może, wy będziecie szczęśliwi! Zaprawdę, gdyby ci, którzy nie wierzą, posiadali to wszystko, co jest na ziemi, i jeszcze tyleż do tego,

aby się tym wykupić od kary w Dniu Zmartwychwstania, to nie zostałyby to od nich przyjęte. Ich czeka kara bolesna.

Koran, sura V

Jak zawsze kiedy Nil zgodnie z odwiecznym rytmem występuje z brzegów, jego ostra zieleń zamienia się w żyzny brąz, który cały Egipt utrzymuje przy życiu. „Izis”, łódź

mieszkalna lady Dawson, zazwyczaj kołysząca się leniwie, teraz szarpała linę, a fale uderzały o pokład mocniej niż przy niskim poziomie wody, w dodatku od zachodu wiała silna bryza.

Na drugim brzegu rzeki od strony Luksoru przewoźnik walczył z wiatrem. Ostrzegął cudzoziemca, że w czasie przyboru Nilu niebezpiecznie jest po zapadnięciu zmroku płynąć przeciwko wiatrowi. Szczodry bakszysz rozwiął jednak jego wątpliwości. Teraz żaglówka przechyliła się niebezpiecznie na wodzie, a przewoźnik zaczął wołać w ciemności Inszallah!, modlitwę dodającą odwagi, a zarazem broniącą przed strachem.

Lady Dawson z salonu obserwowała widowisko.

—

To na pewno on! — rzekła chłodno i wskazała na łupinę na wietrze. — Francuzi zawsze się spóźniają, to najbardziej niepunktualny naród, jaki znam.

Agent Gerry Pincock, którego nazywano Szczekaczem, podszedł do niej. Thidno było go poznać, bo odkąd przebywał

w Egipcie, nosił włosy krótko przycięte, co było raczej korzystne dla jego wyglądu. Lord Carnarvon przybył z córką Evelyn z Anglii; a gdzie była Evelyn, tam zawsze znajdował

się w pobliżu Carter. Siedział przy jasno oświetlonym stole pośrodku pokoju nad stosem map i dokumentów i wcale nie interesowało go to, co się dzieje na rozszalałej rzece.

—

Powinien był raczej zostać w hotelu — rzekł

Pincock, któremu na pewno nie brakowało odwagi, ale kiedy zobaczył, że prom przybiera bardzo niebezpieczną pozycję, zaniepokoił się; w końcu tamten człowiek w łodzi był dla nich ważny.

Nie wyglądało na to, że przewoźnik porusza się naprzód, raczej walczył przeciwko wiatrowi i przede wszystkim starał

się uchronić łódkę przed przewróceniem. Wreszcie Jady Dawson zniecierpliwiła się i poprosiła gości o zajęcie miejsc.

Sama jak zawsze zajęła miejsce przydzielone. Po jej prawej stronie siedział lord Carnarvon, obok niego Pincock, po jej lewej stronie Carter i Evelyn, której ojciec nie spuszczał z oczu. Egipski służący w białej galabiji podawał sherry i whisky na małej, okrągłej, mosiężnej tacy; Pincock wstał, podniósł kieliszek i rzekł z poważną miną:

— Wznoszę toast za czcigodnego Charlesa Whitelocka, który zginął podczas pełnienia ważnych obowiązków. Według naszych informacji, został pochowany wczoraj w Glasgow w Szkocji. A więc za Charlesa! — Wszyscy obecni wstali.

—
Czy Whitelock był żonaty? — zapytał Carnarvon po minucie milczenia.

—
Żonaty? — Lady Dawson zaśmiała się ironicznie. —

Agenci i archeolodzy nie mogą sobie pozwalać na małżeństwo. Charles miał tylko jedną kochankę, do której należał duszą i ciałem, mianowicie Intelligence Service. Mimo to — przykra historia.

Lord Carnarvon przysunął się bliżej. — Jak to się stało, mam na myśli, jak doszło do tej konfrontacji z Francuzami?

—
Powie panu — odrzekł Pincock. — Obserwujemy ludzi z Deuxième Bureau od dłuższego czasu, przy czym muszę przyznać, że odnoszę wrażenie, jakby Francuzi nas również obserwowali. Chyba sądzą, że ukryliśmy gdzieś Hartfielda. W każdym razie Paul Sachs-Villatte, oficjalny konsul francuski w Aleksandrii, jest w rzeczywistości czołowym agentem francuskiego wywiadu. Kieruje niewielką ekipą, znakomitą tak pod względem naukowym, jak i wywiadowczym, a ci ludzie dysponują chyba informacjami, których my nie mamy. Zajmują się sprawami dla nas całkiem niezrozumiałymi, czyli kopaniem w miejscach, które naszym ekspertom wydają się bezsensowne. Musieliśmy przyjąć, że ich stan wiedzy przewyższa nasz. Odpowiedni meldunek do Londynu z prośbą o osobiste wzmocnienie sprawił, że kapitan Dodds się zatrwożył. Przynależał wszelką potrzebną pomoc i zażądał, byśmy wyrażali się bardziej konkretnie. Ale zanim odpowiedzieliśmy, otrzymaliśmy depezę od Doddsa za pośrednictwem ambasady w Kairze: Nie podejmować żadnych kroków, czekać na nowe instrukcje. Później dowiedzieliśmy się, że jeden z ekipy francuskiej, filolog Edouard Coursier, zwrócił się do brytyjskiego wywiadu. Jest w haniebny sposób szantażowany, zmuszany do współpracy przy projekcie

„Imhotep”; nie ma jednak najmniejszej ochoty popierać metod szantażu Deuxième Bureau i pragnie,

jeśli chcemy, przekazać swoje wiadomości Brytyjczykom.

—

Na razie — lady Dawson wpadła w słowo

Szczekaczowi — musimy zachować ostrożność. Francuz może bowiem po prostu grać. Dlatego zaproponowałam, aby Charles Whitelock skontaktował się najpierw z Coursierem i go wy badał. Whitelock był najlepszym aktorem w naszej ekipie. Nikt nie potrafił tak dobrze udawać angielskiego turysty, toteż nie wzbudzając podejrzeń, nawiązał kontakt z Coursierem. Określił Francuza jako człowieka poważnego, a jego postawę uznał za wiarygodną. Wydaje się, że sprawiała mu szczególną przyjemność myśl, że zniknie w ciągu jednej nocy z obozu Francuzów. Sachs-Villatte i jego ludzie trafili tymczasem na inny grobowiec z czasów Imhotepa, co jednak

— jeśli chodzi o zadanie — okazało się bezwartościowe; postanowili zatem grobowiec z powrotem zamurować, a dojsie zasypać piaskiem i odłamkami skalnymi. Whitelock obserwował całą akcję z daleka, odważył się zbliżyć dopiero wówczas, kiedy Francuzi na krótko wycofali się do swej kwatery. Pozostał tylko Coursier. Ukrył w grobowcu swoje najważniejsze manatki. Whitelock zaproponował, że mu pomoże. Z ważnego zresztą powodu. Whitelock miał ze sobą fałszywy plan terenu wykopalisk. Miał on stwarzać pozory, że już Augustę Mariette wiedział o grobie Imhotepa. W tym celu, prowadząc mozolne poszukiwania, zebraliśmy wszystkie informacje o Mariette i zaznaczyliśmy miejsce, o którym mogliśmy sądzić, że nawet przy bardzo wyczerpanej pracy nie znajdzie się tam nic prócz piasku i odłamków skalnych. Plan ten miał sprowadzić Francuzów na fałszywy trop, a tym samym spowodować, że zostawią nas na jakiś czas w spokoju.

I wtedy to się zdarzyło: zawaliło się sklepienie. Coursier zdążył uciec, Whitelocka natomiast przygniotła wielka kamienna płyta.

—

Około pierwszej w nocy — ciągnął Pincock dalej —

Coursier nadszedł całkiem oszołomiony. „Izis” cumowała wówczas około trzech mil od miejsca wypadku. Byliśmy jak sparaliżowani, kiedy dowiedzieliśmy się, co zaszło. Jedyne lady Dawson zachowała przytomność umysłu. Stwierdziła, że jeśli Whitelock zostanie znaleziony, będziemy wszyscy zdradzeni, w każdym razie Francuzi nabiorą pewności, że ich śledzimy. A więc postanowiliśmy, że Coursier i ja wrócimy do grobu i spróbujemy wydobyć zwłoki Whitelocka. Francuzi zostawili podnośniki. Za ich pomocą udało nam się unieść płytę, pod którą leżał Whitelock. Nie było to całkiem bezpieczne. Powlekliśmy martwego Whitelocka pół mili przez pustynię, następnie zakopaliśmy go gołymi rękami w piasku.

Pod osłoną nocy nazajutrz załatwiliśmy całą resztę. Biedny Charles!

Lady Dawson wstała i podeszła do okna. Wciąż jeszcze szalała burza. W ciemności nic było widać łodzi.

—
Chyba zawrócili — rzekła.

Carter, wciąż jeszcze pogrążony w swoich papierach, chyba niewiele słyszał z tego, o czym mówiono.

—
Musicie to zrozumieć — rzekł lord tonem usprawiedliwienia — ale Carter jest zbyt zdenerwowany.

—
Poklepał go przy tym pobłaźliwie po ramieniu. — Dla nas ważne jest teraz pytanie, jak mamy dalej postępować.

Jakby pragnąc nadać swym słowom większej wagi, lady Dawson zmieniła ton i rzekła ostro: — To jest powód, dla którego poprosiłam panów do siebie.

—
Nie rozumiem — odparł lord Carnarvon, a Carter podniósł wzrok. — Co ma wspólnego moje odkrycie z waszym projektem?

Carter spoglądał zmieszany na bok; Evelyn wiedziała dlaczego. Ojciec powiedział „moje odkrycie”, jak gdyby to on przez dwadzieścia lat grzebał w brudzie, jakby to nie Howard poświęcił życie po to, aby tego odkrycia dokonać, a teraz ojciec mówi „moje odkrycie”. Czują, jak Cartera to boli, cierpiała razem z nim.

Lady Dawson jeszcze bardziej spoważniała, oczy jej błyszczały, wreszcie odparła z westchnieniem niechęci: —

Panie Carnarvon, sądzę, że wychodzi pan z fałszywych przesłanek. Nie mówimy tu o moim czy pańskim projekcie, chodzi o sprawę o znaczeniu narodowym. Minister wojny jako przedstawiciel rządu Jego Królewskiej Mości w związku z dużym znaczeniem tej sprawy przejął kontrolę nad dokumentami dotyczącymi Imhotepa. Oznacza to, że jeśli sprawa przybierze poważny obrót, będziemy się musieli podporządkować rozkazom ministra wojny.

—
To ciekawe! — odparł lord Carnarvon ironicznie, jak to potrafią tylko Brytyjczycy, a szczególnie brytyjscy lordowie. — Zastanawiam się tylko, co mają wspólnego pani wieloletnie bezskuteczne poszukiwania bezimiennego budowniczego piramid z moim odkryciem? Prawdopodobnie po raz pierwszy został odkryty nietknięty grób faraona i nie mamy pojęcia, co się kryje za zapieczętowanym murem.

No właśnie — rzekła lady Dawson ze spokojem, jaki ją cechował w drażliwych sytuacjach. — Właśnie dlatego, że nie wiemy, co nas tam czeka, podniecenie i rozgłos, jakie będą towarzyszyły temu projektowi, przewyższą wszystko, co było dotychczas.

Carter pokręcił głową. — Może zechce pani wyrażać się jaśniej.

O

co właściwie chodzi?

Pincock wtrącił się do rozmowy. — To pomysł Geoffreya Doddsa, uważam, że jest znakomity. Dotychczas lwią część wysiłków zużywaliśmy na to, by tuszować naszą właściwą robotę. Pańskie odkrycie, panie Carnarvon, po ogłoszeniu go sprowadzi do Luksoru nie tylko całą światową prasę, ale należy się spodziewać, że naukowcy i archeolodzy z całego świata będą się tłoczyli w Dolinie Królów, a w innych miejscach wykopalisk będzie tak pusto, jak nigdy dotąd.

—

Rozumiem — rzekł Carnarvon. — Chcecie

pracować bez przeszkód w Sakkarze, dopóki my tu będziemy wykopywać faraona.

—

Tak jest. W przyszłym tygodniu przybędzie do Kairu ekipa archeologów z Oksfordu. Nasz minister spraw wewnętrznych osobiście otrzymał licencję na wykopaliska.

Kierownik prac profesor Winberry sporządził mapę, na którą naniesione są wszystkie dotychczasowe wykopaliska w Sakkarze; natrafił przy tym na teren, niewiele większy od boiska, gdzie z niewiadomych powodów nigdy nie kopano.

—

Brzmi to całkiem nieźle.

—

Muszę prosić o całkowitą dyskrecję w tej sprawie. O

tle tego przedsięwzięcia jest poinformowany tylko Winberry.

Nawet jego załoga nie wie, czego właściwie szuka.

—

Wspaniale, wspaniale! — pochwalił lord.

Carter natomiast mruknął coś o idiotyzmie i bezradności, wreszcie rzekł: — Odkrycia nie dają się wymusić, prawdopodobieństwo jakiegoś odkrycia musi wzrastać, a proces wzrostu wymaga nawożenia. Pożywką dla odkryć archeologicznych są informacje. Informacje i jeszcze raz informacje. Nigdy bym nie znalazł grobu Tutenhama, gdybym nie miał informacji, do których przede mną nikt nie dotarł. W Dolinie Królów jest jeszcze wiele miejsc, których nie tknęła łopata, i byłoby całkiem bezsensowne kopać tam tylko dlatego, że nikt nigdy tam nie kopał. Ale jest to moje osobiste zdanie. Lady Dawson niechętnym ruchem zbyła uwagę profesora i zapytała, zwracając się do lorda Camarvona: — Jak pan sądzi, ile czasu zajmie otwarcie i naukowe zbadanie pańskiego grobowca?

—
Proszę posłuchać — przerwał Carter ostro — my —

tak, powiedział „my” — odkopimy coś, co, być może, powiadam, być może, okaże się największym odkryciem, jakiego kiedykolwiek dokonano, a pani pyta, ile czasu potrwa wydobywanie. — Gniewnie uderzył dłonią w stół. — Faraon leży w swym grobie trzy tysiące lat, a pani każe nam sporządzić precyzyjny harmonogram czasowy jego wydobywania. To absurdalne i naukowo nieodpowiedzialne. Ten grób jest moim

— powiedział „moim”

— odkryciem i ja będę decydował, ile czasu potrwa jego wydobywanie i naukowe opracowanie. — Zerwał się, wybiegł na pokład i stał tam oparty

o burtę, patrząc w nocny mrok.

Burza szalała. Evelyn podeszła do niego cicho. Położyła mu rękę na ramieniu i rzekła łagodnie: — Rozumiem twoje wzburzenie, Howardzie, ale ludzie z wywiadu to dzikusy. Nie powinieneś sobie tego tak brać do serca.

—
Oni są złośliwi, bezczelni i głupi — syknął Carter i ujął jej rękę.

— Ale jeszcze mnie popamiętają.

W tej chwili podszedł do nich Carnarvon. Miał zatroskani) minę, chyba raczej z powodu córki, bardziej zajmującej się archeologiem niż samym wykopaliskiem.

— Panic Carter — rzeki łagodnie — ma pan rację, ale sprawa Imhofa ma, jak się wydaje, narodowe znaczenie, tak w każdym razie uważa rząd Jego Królewskiej Mości, i byłoby błędem zlekceważyć ministra wojny. Może będzie mógł nam pomóc. Są w życiu sytuacje, kiedy mądrzej jest ulec, niż upierać się przy swojej racji. Sądzę, że powinien pan jeszcze raz przemyśleć całą sprawę, zanim dojdzie do wybuchu.

Evelyn ujęła Cartera za ramię i nie czekając na odpowiedź, zaprowadziła z powrotem do salonu.

Carter usiadł, poirytowany grzebał w swoich papierach, wreszcie zapytał, nic podnosząc wzroku:

—
Więc czego pani chce ode mnie?

—
Proszę mnie dobrze zrozumieć — odparła lady Dawson. — Wywiad rządu Jego Królewskiej Mości daleki jest od tego, by umniejszać pańskie zasługi naukowe. Oto czego od pana oczekujemy: Pragniemy, by ustalał pan z nami swoje terminy, to znaczy, że bylibyśmy panu zobowiązani, gdyby pan przy swoich pracach stosował się do nas.

Zanim Carter zdążył zaprotestować, lord Carnarvon się zgodził.

Z brzegu rozległo się wołanie. Pincock wyszedł na zewnątrz, aby zobaczyć, co się dzieje. Kiedy wrócił, był

blady. — Łódź znikła, obawiam się, że poszła na dno.

— A co z Coursierem? — zapytała lady Dawson poruszona.

Pincock wzruszył ramionami.

Omar nazywał się teraz Hafiz el-Ghaffar, nosił eleganckie europejskie ubranie, miał wąsy, które go postarzały i nadawały mu niemal wytworny wygląd. Ale można zmienić nazwisko, odzież, nawet poglądy, a i tak pozostanie się sobą.

Omara ogarnął smutek, kiedy przybył do Aleksandrii, skąd przed kilkoma miesiącami wyruszył z Halimą w nadziei na nowe, szczęśliwe życie. I co teraz? Był nieszczęśliwy i włókł

za sobą wściekłość człowieka oszukanego, uczucie, z którym nikt nie potrafi się uporać, w każdym razie nie tak prędko.

Omar jechał pociągiem do Kairu, pierwszą klasą, jak tego wymagał jego wygląd; w końcu baron zaopatrzył go w odpowiednie środki i po raz pierwszy w życiu Omar zobaczył, że Egipt jest także krajem bogatym: kupcy i wysocy urzędnicy, mudirowie i nazirowie ze swymi kolorowo ubranymi żonami nie mieli nic wspólnego z pospółstwem w tylnych wagonach, którymi Omar dotychczas jeździł.

Jak zawsze, kiedy potrzebował rady, pomyślał o pucybucie.

Oczywiście potępiał jego stosunek do Halimy, z tego powodu nawet się

pokłócili, ale kaleka był jedynym człowiekiem, któremu ślepo ufał. Przybył do Kairu nocą i zamieszkał w hotelu „Mena House”; przypomniał sobie, choć minęło już dwadzieścia lat, jak kiedyś wypędzono go z wytwornego hotelu. Z rana wzrok jego powędrował z okna pokoju do pobliskiego

karawanseraju, gdzie stary Moussa uczył go posługiwania się nabutem i tłumaczył, że symbolizuje on władzę męczyzny.

Pobielane chaty wcale się nic zmieniły, tylko ludzie nie byli już ci sami.

Prócz Hassana. Jak daleko Omar sięgał pamięcią, kaleka był starcem, i choć według rachuby lat jeszcze bardziej się zestarzał, zrobił na Omarze wrażenie raczej młodszego.

Powitanie było serdeczne, dawna kłótnia poszła w zapomnienie, Omar opowiedział, jak mu się powiodło.

—
Czy ci tego nie wróżyłem? — rzekł Hassan i zmrużył prawe oko, bo na drugie lepiej widział. — Ale staremu kalece się nie wierzy. — I dał przy tym Omarowi życzliwego kuksańca.

—
Najgorsze — odparł Omar — że wciąż jeszcze ją kocham i gdyby jutro wróciła i powiedziała...

—
Zwariowałeś! — zawołał Hassan z gniewem. —

Naprawdę zwariowałeś! Tiika kobieta jak ona zasługuje na baty. Powinno się ją wypędzić na pustynię, aby tam skonała z pragnienia. Jesteś głupcem! — I aby zmienić temat, starzec dotknął z uznaniem ubrania Omara. — Stałeś się prawdziwym saidem, mój chłopcze. Kto by pomyślał! Powinienem być szczęśliwy, że jeszcze chcesz się zadawać z biednym mikasahem.

Wtedy Omar zdradził mu prawdziwy powód swego powrotu do Egiptu, opowiedział, że przyjechał z fałszywym paszportem jako Hafiz el-Ghaffar z obawy przed al-Husseinem i jego ludźmi; na Allaha, niech go tylko nie zdradzi! Pierwszą sprawą, którą się teraz zajmie, będzie poszukiwanie profesora Hartfielda, bo kto go odnajdzie, zbliży się choć trochę do tajemnicy. Opowiedział też ślepcowi o swej podróży do Londynu i o niespodziewanym odkryciu Williama Carlyle'a, który kiedyś zniknął z Luksoru, a teraz nawiązał

bliski kontakt z siostrzenicą Hartfielda, kobietą, która pali nałogowo papierosy i nosi spodnie.

Hassan długo się zastanawiał. — Spodnie, powiadasz, i pali papierosy? Czy jest szczupła i rudawa?

—
Tak — odpowiedział Omar.

—
A ten Carlyle? Czy jest niepozorny, trochę niższy od niej i ma wysokie czoło?

—
Thk. Skąd wiesz?

—
Byli tutaj. TU, w hotelu „Mena House”, bardzo dobrze pamiętam. Zachowywali się jak zakochana para, trzymali się za ręce i gruchali ze sobą jak dwa gołąbki, a przecież jej wiosna zapewne już dawno minęła. Myślę, że ma pięćdziesiątkę.

—
Kiedy to było? — Omar pochylił się i potrząsnął

kaleką za ramiona. — Czy coś jeszcze zwróciło twoją uwagę?

Hassan skinął głową. — Drogie obuwie. Mieli obuwie ze świetnie garbowanej cielęcej skóry, angielska robota, stare, ale dobrze utrzymane. To naprawdę wytworni ludzie.

—
Czy potrafiłbyś sobie wyobrazić, że tych dwoje zabiło profesora, by zagarnąć jego wielki majątek?

—
Niemożliwe!

—
A dlaczego?

—
Bo Hartfield żyje.

—
Skąd to wiesz?

—
Powiem ci, mój synu. Tak jak zwracam uwagę na ludzi, którzy mają drogie obuwie, tak też zauważam ludzi, którzy mają zniszczone obuwie. Zaciekawia mnie zawsze, kiedy ludzie w dobrym obuwiu spotykają się z ludźmi w złym obuwiu, albowiem dobre i złe obuwie zazwyczaj trzymają się od siebie z daleka.

—

Czy mógłbyś mi to wyraźniej wytłumaczyć?

—

No więc pewnego dnia przybyła do hotelu podejrzana postać, mężczyzna w zniszczonym ubraniu. Nie pasował jakoś do tego ubrania i widać było z jego ruchów, że czuje się w nim nieswojo. Potem zobaczyłem jego obuwie i wszystko stało się jasne. Miał na nogach sandały własnej roboty, uplecione z taniej skóry, a plecionka miała wzór; był

to krzyż Świętego Andrzeja w kole, „X” w piśmie niewiernych, a jest to symbol mnichów skalnych z Sidi Salim.

Wtedy zrozumiałem, że ta dziwaczna postać to przebrany mnich. Rzecz jasna, wzbudził moją ciekawość. I oto zobaczyłem, że w holu hotelowym spotkał się z mężczyzną i kobietą z Anglii w eleganckich butach. Wytworni ludzie nigdy nie odmawiają pucybutom, zapytałem więc, czy mogę usłużyć łaskawym państwu. Dobra robota wymaga dłuższego czasu, stałem się więc świadkiem interesującej rozmowy, z której mogłem wywnioskować, że profesor Hartfield przebywa w tajnym miejscu, którego mężczyzna nie chciał zdradzić.

Oczywiście Anglicy nie wiedzieli, że mają do czynienia z mnichem. Profesor żądał najwidoczniej jakichś papierów, które zostały mu wręczone, prawdopodobnie dlatego, że tych dwoje sądziło, iż trafią w ten sposób na ślad Hartfielda. Ale mnich to przewidział. Pod jakimś pretekstem poszedł do kabiny telefonicznej w holu hotelowym. Ale Anglicy nie wiedzieli, że kabina ma dwoje drzwi, z przodu i z tyłu. Mnich natomiast wiedział i znikł przez tylne drzwi.

Omar, który słuchał Hassana ze zdumieniem, zapytał, wahając się, jakby się obawiał, że zna odpowiedź: — Ale ty chyba wiedziałeś, skąd ten mnich przybył? Czy powiedziałaś Anglikom?

Hassan postukał się w czoło. — Niby po co? Wytworni ludzie są tak niewychowani, że płacą tylko tyle, ile się od nich zażąda. Bakszysz to dla nich obce słowo; ktoś, kto nie daje pucybutowi napiwku, nie powinien się spodziewać, że ten mu coś powie.

—

Ale Carlyle i Mrs. Dounce z pewnością nie zrezygnowali?

—

Ach, gdzie tam — odparł Hassan. — Przez dwa tygodnie go szukali. Ale mogliby szukać jeszcze drugie dwa tygodnie, a i tak by nie znaleźli. Przecież nie wiedzieli, że to mnich. Świetnie się bawiłem.

—

Diabelski typ z ciebie. Ale twoje diabelstwo jest dla mnie ogromnie pożyteczne. Czy jesteś pewien, że oni nie znaleźli tego mnicha?

—
Jakże mogliby go znaleźć? Nie mieli żadnej wskazówki i po dwóch tygodniach, zdenerwowani, odjechali.

— Przy tych słowach Hassan zachichotał złośliwie.

Sprawa Hartfielda wydawała się coraz bardziej zagmatwana. Na Allaha, jakie były powiązania pomiędzy profesorem a owym mnichem z Sidi Salim?

W hotelu obok tablicy na klucze wisiała mapa Dolnego Egiptu. Sidi Salim było na niej zaznaczone jako mały trójkąt.

Ku swemu zaskoczeniu Omar stwierdził, że niedaleko klasztoru położona jest miejscowość Raszid, gdzie Hartfield wykopał ów fragment, który dał decydujące wskazówki co do grobu Imhotepa. Wydawało się, że zachodzi tu jakiś związek.

—
Jesteś głupcem — rzekł Hassan, widząc zamyślony wyraz twarzy Omara. — Wdałeś się w sprawę, o której raczej powinieneś zapomnieć. Przecież to mrzonki, jakie może sobie wymyślić tylko Europejczyk. Jak gdyby starożytni Egipcjanie dysponowali wiedzą dziś nam nie znaną. To

— powiedział mikasah i wskazał na luksusowy automobil, który właśnie zatrzymał się przed hotelem — to są nowe czasy, to jest jeden z największych wynalazków ludzkości. A może myślisz, że coś takiego znajdziesz w grobie Imhotepa?

— O nie — odparł Omar — myślę, że zawartość tego grobu jest o wiele ważniejsza dla ludzkości niż taki samochód. Czy pojechałbyś ze mną?

—
Ja? Dokąd?

—
Do Sidi Salim, do mnichów.

—
Niech Allah cię broni przed taką pychą! — zawołał

kaleka. — Sidi Salim, mój synu, położone jest przeszło sto mil stąd, gdzieś w rozległej delcie. Tylko raz jeden w życiu opuściłem Gizę, nie miałem wtedy dwudziestu lat i chciałem zobaczyć wyścigi wielbłądów w Benha. Ale dotarłem tylko do Kairu. Na dworcu panował taki tłok, że zepchnięto mnie pod nadjeżdżający pociąg. No i widzisz, jak się to skończyło. —

Wskazał na kikut nogi. — A teraz miałbym jechać z tobą do Sidi Salim? Nie, nigdzie stąd nie wyciągniesz takiego starego kaleki jak ja.

Nawet obietnica Omara, że wynajmie samochód — Hassan nigdy jeszcze nie siedział w takim pojeździe — nie zdołała go przekonać.

Czy Omar miał zaryzykować i pojechać sam do tego klasztoru? Przecież nie wiedział, co go tam czeka. Należało wątpić, czy mnisi, którzy się przebierają i w wyrafinowany sposób znikają przez tylne drzwi, zachowają się szczególnie przyjaźnie wobec obcego. Z drugiej strony Omar nie mógł

nikogo w to wtajemniczyć. Jeśli więc chciał się posunąć dalej w swoich poszukiwaniach, musiał samotnie wyruszyć do Sadi SaJim.

Emile Toussaint, którego zazwyczaj nic nie było w stanie poruszyć do tego stopnia, żeby rzucił fajkę, zaczął nagle palić papierosy; było to chyba odbiciem jego stanu ducha, ale co się naprawdę z tym człowiekiem dzieje, wiedzieli tylko ludzie z jego najbliższego otoczenia. Toussaint od początku uważał, że Brytyjczycy są ową siłą, która tkwiła za spiskiem związanym z zawaleniem się grobu Nefera, i przyznawał, że zbyt beztrósco podszedł do projektu. Po tej samokrytyce przeszedł

jednak do ataku na Deuxième Bureau, którego obowiązkiem było osłaniać swoich agentów przed obcymi wywiadowcami, i znalazł w tej sprawie poparcie u konsula Sachsa-Villatte'a.

Tak więc w najbliższym czasie grupa francuska skierowała swoje wysiłki bardziej na wybadanie ewentualnych przeciwników niż na własne zadanie, jakim było poszukiwanie grobu Imhotepa. Żądanie Toussainta, aby wywiad francuski przydzielił mu dalszych dwóch agentów, zostało natychmiast uwzględnione, ale ich przybycie do Aleksandrii dało nowy powód do niepokoju, mieli bowiem w bagażu wyniki badań planu grobu, odkrytego obok rzekomego ciała Coursiera. Plan był sfalszowany, wykonano go na papierze, który miał nie więcej niż dziesięć lat i prawdopodobnie pochodził z Anglii.

Nasuwało się więc pytanie, do czego zmierzali Brytyjczycy, prowadząc swoją akcję? Czy był to tylko manewr odwracający uwagę, czy też nieudolna próba odwrócenia uwagi, wyjścia z kłopotu, albowiem sami nie posunęli się dalej i obawiali się, że Francuzi ich ubiegną? A może istnieje jakaś wskazówka naprowadzająca na grób Imhotepa, a Francuzi weszli im w paradę?

Ludzie z wywiadu tacy jak Toussaint z dwóch możliwości przyjmują gorszą, i tak doszło do kryzysowego posiedzenia w konsulacie w Aleksandrii, podczas którego mieli się naradzić nad dalszym przebiegiem akcji, a przede wszystkim nad tym, jak by tu zdobyć wszystkie informacje wywiadu brytyjskiego.

Należało stworzyć wrażenie, że nawet centrala Deuxième Bureau wie więcej o Brytyjczykach niż tutejsi agenci: Rozszyfrowana depesza z Paryża głosiła, o czym dotychczas nie wiedział ani Tbussaint, ani Sachs- -Villatte, że łódź lady Joan Dawson jest centralą wywiadu brytyjskiego w Egipcie, a jej właścicielka szefem całego przedsięwzięcia. Moniac i Malraux, dwaj nowi agenci, młodzi, energiczni chłopcy, z których jeden miał postać goryla, drugi zaś był wysoki jak tyka, tak że ich wspólne pojawienie się zwróciło powszechną uwagę, zaproponowali, że zatopią łódź; była to

taktyka stosowana w poprzedniej wojnie. Konsul Paul Sachs-Villatte nie zgodził się jednak. Zatopiona łódź nie przyniosłaby wywiadowi francuskiemu żadnych korzyści. Chodzi raczej o to, by zbadać stan wiedzy wywiadu brytyjskiego, a w tym celu należy przeszmygłować do jego szeregów własnych agentów albo zwerbować szpiega, który by pracował dla obu stron.

Wiadomość, że lord Carnarvon i jego archeolog Carter odkryli w Dolinie Królów nienaruszony grobowiec faraona, Francuzi przyjęli sceptycznie. Milléquant uznał to za możliwe; Tbussaint dojrzał w tym tylko nowy manewr dla zmylenia przeciwnika. Wszystkie gazety donosiły o tym, odkąd londyński „Times” pierwszy obwieścił tę sensacyjną wiadomość; dotąd jednak nikt jeszcze nie zajrzał

do zamurowanego grobu, nie podano też żadnego terminu, kiedy grób ma zostać otwarty. Tłki stan rzeczy, powiedział

d’Ormesson, może budzić wątpliwości, czy cała sprawa to coś poważnego. W każdym razie on nie może sobie wyobrazić, że archeolodzy, czekając na wielkie odkrycie, siedzą spokojnie i wysyłają zaproszenia na mające się odbyć otwarcie grobowca.

Wśród tych narad na konsulacie francuski jak grom z jasnego nieba spadła wiadomość telefoniczna od submudira z Kusy, prowincjonalnego miasta położonego pięćdziesiąt kilometrów od Luksoru w dół Nilu. Submudir oznajmiał, że fellachowie wyciągnęli z zakola rzeki ciało Francuza; jego papiery wskazują, że jest to Edouard Coursier.

Pierwszą reakcją Sachsa-Villatte’a było stwierdzenie, że to niemożliwe, że to na pewno pomyłka. Na pytanie submudira, gdzie Coursier obecnie przebywa, jeśli założyć, że żyje, i czy nie spostrzegłby wówczas braku własnych dokumentów, konsul musiał przyznać, że Coursier od dwóch tygodni znikł

— o bliższych okolicznościach nie wspomniał. Ale kiedy submudir opisał wygląd trupa i wspomniał o szramie na prawym policzku, Paul Sachs-Villatte zbladł.

Obecni nie przyjęli oświadczenia konsula do wiadomości; istotnie trudno było pojąć, że jeden z ich grona uwolnił się z zawałonego grobowca i płynął przez sześćset mil w górę rzeki, aż wreszcie utonął. Profesor Milléquant, zazwyczaj najspokojniejszy i najbardziej opanowany spośród tej przypadkowo zgromadzonej drużyny, którego nic nie mogło wyprowadzić z równowagi poza informacjami natury naukowej, zerwał okulary z nosa, przetarł oczy i wyrzucił z siebie stek ordynarnych przekleństw niestosownych dla człowieka na jego poziomie. Nazwał całe to wydarzenie małpim cyrkiem, zapewniał kilkakrotnie, że żałuje, iż wziął

udział w tym przedsięwzięciu, i że odmawia dalszej współpracy dopóty, dopóki tajemnica śmierci Edouarda Coursiera nie zostanie wyjaśniona.

Tego samego wieczora konsul i Emile Toussaint pojechali do Luksoru, dokąd przywieziono ciało Coursiera, i w piwnicy szpitala doktora Mansura zidentyfikowali swego dawnego kolegę.

W Luksorze nie dało się zrobić kroku, by nie natknąć się na dziennikarzy. Wszędzie panowało gorączkowe podniecenie, hotele były przepełnione, a przewozy na drugi brzeg Nilu zarezerwowane

już na kilka dni naprzód, chyba że zapłacono dość znaczny bakszysz.

Lord Carnarvon urządził codziennie w hotelu „Winter Palace” konferencje prasowe, nie mówiąc zasadniczo nic nowego. Dla własnej wygody kupił amerykańskiego forda, czarnego, jak wszystkie egzemplarze tej marki. Howarda Cartera pilnowano dzień i noc, lord przydzielił mu własnego ochroniarza, pragnąc go ustrzec przed reporterami; Carnarvon sprzedał bowiem prawa wyłącznego publikowania informacji o swoich wykopaliskach „Times’owi”, z którego naczelnym redaktorem łączyły go więzy przyjaźni.

Powodzenie sprawia, że nawet wrogowie stają się przyjaciółmi. Lord Carnarvon i Howard Carter w tych dniach byli zgodni jak nigdy dotąd, tylko uczucie Cartera do Evelyn pozostało nadal tematem tabu. Lady Dawson wyznaczyła otwarcie grobowca na 29 listopada, do tego czasu miał

przybyć do Egiptu dwuosobowy zespół brytyjskich tajnych agentów pod kierunkiem Geoffreya Doddsa, aby rozpocząć szeroko zakrojoną akcję poszukiwania Imhotepa. Ani Carter, ani Carnarvon nie byli na tyle opanowani, aby bezczynnie czekać do tego czasu. Kiedy zapowiedziano otwarcie grobu jako publiczne wydarzenie stulecia i wysłano zaproszenia, obu mężczyzn ogarnęły wątpliwości; obawiali się, że ich przygoda zakończy się fiaskiem, że grób był może splądrowany w starożytności, a następnie ponownie zamurowany i opatrzony nową pieczęcią.

Należało brać pod uwagę taką możliwość, po tym jak Carter po prawej stronie właściwego grobowca odkrył zamurowany dół. Tymczasem przybył Pecky Callender, archeolog brytyjski pracujący dalej na południu, którego łączył z Carterem pewien rodzaj przyjaźni (o ile taki człowiek jak Carter mógł się w ogóle z kimkolwiek przyjaźnić); po nieskończeniu długiej dyskusji czwórka ta postanowiła najbliższej nocy powiększyć lej w ziemi, w którym znajdowało się wejście do grobowca, aby ewentualnie przez otwór w murze dostać się z boku do środka.

Dolina Królów była zamknięta i dzięki temu ich przedsięwzięcie nie wzbudziło podejrzeń. Carter i Callender zaczęli odsuwać gruz na prawo od zamkniętych drzwi i po dwóch metrach natknęli się na zamurowaną dziurę w murze.

Ich nadzieje opadły do zera.

A więc jednak! A więc ten grobowiec był już raz otwierany, tylko wtargnięto tu nie drzwiami, lecz — przypuszczalnie dla niepoznaki — wybrano dziurę w murze z boku.

Carter, bliski łez i pełen wściekłości, zaczął walić łomem w mur i wkrótce luźno tkwiące kamienie poddały się. Callender podszedł i obaj zaczęli wyciągać z muru kamień po kamieniu; w końcu pojawiła się duża dziura, przez którą człowiek mógł

się przeczołgać.

Pierwszy znikł Carter, trzymając przed sobą lampę naftową.

Wkrótce wrócił, ale nie mógł odpowiedzieć na dociekliwe pytania pozostałych; wydawał się oszołomiony i wskazał tylko na znajdujący się głębiej otwór: niech sami zobaczą. Lord Carnarvon

pierwszy podjął wezwanie, a wraz z nim Evelyn, następnie wśliznęli się przez mur Callender i Carter.

Jedyna lampka rzucała groźne cienie na ściany podłużnego pomieszczenia wielkości mniej więcej cztery na osiem metrów, zastawionego skrzyniami, figurami i narzędziami. Z

lewej strony leżały części dwóch połączonych wozów, z prawej stali dwaj strażnicy naturalnej wielkości, uzbrojeni w dzidy, z oczami ze szkła, których naturalność przerażała.

Naprzeciwno — skrzynki, skrzyneczki, szkatułki, bele tkanin i dzbany mistrzowskiej roboty.

Pełno było wokół suchego pyłu, każdy krok powodował

tyłe kurzu, że trudno było oddychać. Ileż to tysiącleci kurz ten pozostawał nie poruszony? Przez ile tysiącleci promień światła nie dotknął żadnego z tych przedmiotów? Ile tysiącleci minęło, od kiedy po raz ostatni stanęła na tym gruncie stopa ludzka?

Nikt nie ważył się odezwać. Ani Carter, ani lord Carnarvon, ani Callender, nawet Evelyn, której wesoła gadanina tak się Carterowi podobała, zamilkła. W tej chwili wszyscy czuli się intruzami. I podczas gdy poruszeni spoglądali na zgromadzone skarby, w które pobożny lud zaopatrzył swego faraona na jego ostatnią podróż, Carter usiłował uporządkować myśli. Oczywiście to tylko przedpole grobowca, może jedno z wielu pomieszczeń. Ale gdzie znajduje się pomieszczenie z sarkofagiem króla?

Carnarvon i Evelyn usunęli się na bok, pełni czci. Lord był

wstrząśnięty, jego córka, oszołomiona, trzymała się ojca.

Drżała, po pierwsze, z powodu chłodnej listopadowej nocy, po drugie, z podniecenia. Kiedy Carter i Callender opuścili grobowiec, cała czwórka padła sobie w ramiona. Carter pocałował Evelyn z żarem, o jaki trudno było posądzać tego nieśmiałego mężczyznę, i nawet surowy lord nie był w stanie się temu sprzeciwić.

We wczesnych godzinach rannych, kiedy robiło się już szaro i nad doliną rozlegały się pierwsze krzyki sępów, otwór w murze był znów zamknięty i zasypany gruzem. Cała czwórka przysięgła sobie, że nie piśnie ani słówka o tym, co zaszło w ciągu ostatnich godzin.

Omar zlekceważył ostrzeżenie mikasaha. Jeśli nawet ten klasztor w Sidi Salim położony jest na odludziu, opinia o mnichach dość wątpliwa, a podróż tam związana z nieprzewidzianym ryzykiem, on musi sprawdzić, dokąd prowadzi ślad Hartfielda.

W drodze do klasztoru, dokąd jechał najpierw koleją, a następnie zamierzał wysiąść w Damanhur, Omar przypomniał

sobie list znaleziony przy zmarłej Mrs. Hartfield i podpisany literą „C.”, co wskazywało, że żona profesora znała „C.”.

Może za „C.” ukrywał się po prostu William Carlyle? Jeśliby tak było, to z tego i z pozostawionej w hotelu w Luksorze kartki należało wnioskować, że Carlyle nie tylko polował na siostrzenicę profesora, ale także na Tmhotepa. Należało się więc zastanowić, czy nie udawał tylko sympatii do Amalii Dounce, by zbliżyć się do Hartfielda. Omarowi trudno było wyobrazić sobie, jak mężczyźni może się podobać sufrażystka, która pali mocne papierosy i nosi spodnie.

Prawdę mówiąc, w ogóle nie mógł sobie wyobrazić, jak mąż-

czynna może się zakochać w kobiecie, która nie jest podobna do Halimy. Starał się nie myśleć o tym. I jeszcze coś przyszło mu do głowy, kiedy pociąg jechał na północ przez nie kończącą się deltę Nilu: Czy Mrs. Dounce podczas jego wizyty w Londynie nie wspominała o koszmarach, które ją czasami prześladowają, i o tym, że profesor ukazał jej się w habicie? Na Allaha, pomyślał, niezbadane są koleje losu.

W Damanhur Omar wysiadł z pociągu, kupił sobie skromne ubranie i zaopatrzył się w prowiant na trzy dni. Jedyłą w mieście taksówką kazał się zawieźć do odległego o dwadzieścia pięć kilometrów Disuku, które położone jest nad lewą odnogą ujścia Nilu. Jest to małe miasteczko, na którym czas nie pozostawił żadnego śladu. Noc spędził w hotelu „El-Shati”, skąd wysłał depeszę do barona von Nostitz-Wallnitza, informując go, że znajduje się około stu kilometrów na wschód od Aleksandrii i jest w drodze do Sidi Salim, gdzie ma nadzieję spotkać profesora Hartfielda. Pozdrowienia — el-Ghaffar.

Hotel był nędzny niczym karawanseraj, pasowali też do niego goście, przeważnie handlarze z Aleksandrii i Kairu, którzy zabawiali się z dziewczętami lekkich obyczajów, głównie Greczynkami. Omar bez trudności dostosował się do sytuacji i bez ceregieli wmieszał się w ten prostacki tłum, śmiał się z niewybrednych dowcipów, pił tanią rakiję, która rozwiązywała języki.

W ten sposób Omar zaczął rozmowę z właścicielami hotelu El- -Shati, dwoma nalanymi łysielcami, o rzucających się w oczy twarzach. Ledwie się dowiedzieli o planach dalszej podróży Omara, miny im zrzedły. Wydawało się, że przedsięwzięcie Omara ich zaniepokoiło, na ich twarzach pojawił się nawet strach, kiedy Omar wspomniał o klasztorze w Sidi Salim. Ku swemu zdumieniu Omar dowiedział się, że mnisi koptyjscy są zwaśnieni ze wszystkimi ludźmi. W

regularnych odstępach czasu czarni mnisi próbują wytepić ludność wioski o nazwie Sidi Salim, używając w tym celu współczesnej broni, starych zaklęć i rozmaitych trucizn, na które recepty przechowują w bezdennych katakumbach głęboko pod ziemią. Nikt nie wiedział o tym nic bliższego, bo nikt nie przestąpił progu klasztoru, a ci, którzy postawili choćby stopę na tym progu, przypłacili to życiem.

Klasztor w Sidi Salim otaczała aura niesamowitości i Omar z trudem znalazł fellacha, który się zgodził zawieźć go do tej podejrzanej okolicy wózką zaprzężoną w osła. Starzec, który siorbał herbatę w najdalszym kącie restauracji i pociągał

dziwnie pachnącą fajkę wodną, zgodził się wreszcie za dziesięć funtów egipskich zawieźć obcego do miejsca, gdzie droga się rozwidła i prowadzi w kierunku zachodnim do Raszid, a w kierunku wschodnim do Sidi Salim. Stary nazywał

się Ali i nie bał się ani diabła, ani śmierci, był człowiekiem złym i przekupnym {o czym świadczyła paskarska cena, jakiej zażądał}, ale jedynym, który bez na[^] myśłu się zgodził.

Rzecz jasna, że ludzie z hotelu nie szczędzili Omarowi ostrzeżeń, przede wszystkim chcieli wiedzieć, co go skłania do tego, by dobrowolnie udać się w tę okolicę. Profesor z Anglii był ostatnim, który podjął tę próbę z Fuwas, kilka mil w dół rzeki. Znikł i nigdy już nie wrócił. Kiedy i w jakich okolicznościach zginął, nikt nie potrafił powiedzieć, było to przed rokiem albo przed dwoma laty.

Niespodziewana wzmianka wskazująca na Hartfielda wprawiła Omara w takie podniecenie, że najchętniej wyruszyłby jeszcze tego samego dnia, ale stary odmówił; oświadczył, że musi się przespać, i wyciągnął rękę, żądając pieniędzy. Była to ręka zniekształcona, miała tylko kciuk i palec wskazujący, reszty palców brakowało, co — jak się Omar później dowiedział — było skutkiem tego, że na przełomie stuleci złodziejom odcinano palce, zbójcom zaś całe dłonie. Mocno pocierając jeden pozostały palec drugim, Ali dawał do zrozumienia, że żąda zaliczki. Omar dał mu pięć funtów, stary się uklonił wspaniałomyślnemu saidowi i oznajmił, że jutro wczesnym rankiem będzie czekał przed hotelem.

V

Noc spędził Omar prawie nie śpiąc, leżał w ubraniu na łóżku, nasłuchując niezwykłych odgłosów, jakie dochodziły z pustyni. Żaden pokój się nie zamykał, nie było do nich kluczy; jedyny klucz, jaki się znajdował w domu, zamykał wszystkie drzwi, ale to nie przeszkadzało hotelowym gościom.

Oczywiście Omar nie spałby nawet wówczas, gdyby jego drzwi były zamknięte na klucz, był zbyt podniecony, myśląc o tym, co go czeka. Świadomość, że niedaleko stąd kryje się, być może, rozwiązanie zagadki, którego poszukują wywiady z całego świata, wprawiała go w wielki niepokój. Nie mógł też pojąć, że koptyjscy mnisi są motorem tego spisku.

Bładym świtem, wraz z pierwszym pianiem koguta, Omar spakował manatki i wysliznął się skrzypiącymi schodami na dół. Już z daleka usłyszał skrzypienie wózka; był to dwukołowy pojazd co najmniej tak stary jak jego woźnica.

Wózek śmierdział potwornie, ponieważ zazwyczaj wożono nim klatki z drobiem na bazar.

Staiy milczał uparcie, tylko od czasu do czasu szarpał lejce, poganiając w ten sposób małego osiołka, i mrugając spoglądał

na daleki horyzont, jakby wąpił, czy w ogóle kiedykolwiek zacznie szarzyć. Tak jechali w milczeniu dwie godziny na północ; droga była częściowo wyjeżdżona, częściowo nie było na ziemi żadnych śladów. Stary orientował się według słońca, które było żółtawobiałe i przenikało przez gęste opary, mieszaninę kurzu i parnej wilgoci; horyzont dawno już pochłonał wszelkie osiedla. Wszystko wydawało się martwe w tej opuszczonej okolicy, nawet kolczaste zarośla, sterczące tu i tam z ziemi i przybierające groteskowe kształty, były wyschnięte. I tu mieli mieszkać ludzie?

Nie czuć było nawet tchnienia powietrza, upał przybierał na sile. Na dnie wózka leżał gruby wałek z koziej skóry, służący tutejszym pastuchom za bukłak do wody pitnej; milczący starzec popijał z niego

regularnie, jeden łyk, nie więcej, ale taki wielki, że policzki mu się wydymały jak u ropuchy.

Nagle — chyba byli już ponad trzy godziny w drodze —

stary odzyskał mowę, gdyż na horyzoncie ukazał się łańcuch wzgórz, i rzekł, że to jest ich kierunek i połowę drogi już chyba mają za sobą. Potem znów zamilkł i trwało chyba godzinę, aż wydał nerwowy okrzyk. Zmienionymi oczami spojrzał przez prawe ramię na południe, gdzie niebo zaczęło ciemnieć, i rzekł: — Chamsin — co oznaczało „pięćdziesiąt”, ale także wiatr pustynny, który wieje przede wszystkim w pięćdziesiąt dni od zrównania dnia z nocą, lecz również, i to szczególnie gwałtownie, w dni jesienne.

Omar wiedział, jak niebezpieczny jest chamsin dla każdego, kto w porę nie znalazł schronienia, i rozglądał się za jakąś kryjówką, ale nie było widać miejsca, gdzie mogliby się schronić; nierozsądnie byłoby też zawracać, ponieważ jechaliby naprzeciw burzy; a więc trzeba było dotrzeć do łańcucha wzgórz. Omar poganiał osła energicznym wołaniem, ale nie było ono w stanie wyrwać zwierzęcia z jego wolnego truchtu. Wówczas wyszarpał Alemu bat z ręki i zaczął nim okładać osia, który skoczył jak kozioł i przyspieszył kroku.

To jednak ugodziło w honor woźnicy, wyrwał Omarowi bat, wykazując niezwykłą siłę, wrzasnął na niego i nazwał

głupcem, który nie wie, że jeśli obładowany osioł stanie, nic go nie zmusi do dalszej drogi. W ten sposób doszło między nimi do bijatyki, podczas której Ali z fałd szaty wyciągnął nóż i z krzykiem rzucił się na Omara; trafił go w lewe ramię, tak że rękaw zaplamił się krwią. Omar bał się, że Ali go zabije, chwycił więc swój tobołek i zeskoczył z wozu.

Stary jak gdyby na to czekał, ominął Omara dużym łukiem i odjechał w kierunku, skąd przybyli; jeszcze z daleka słychać było jego przekleństwa.

Omar obejrzał ranę na ramieniu; tuż nad nadgarstkiem ostrze noża rozcięło rękaw i skaleczyło ciało. By zatamować krew, Omar rozerwał rękaw i tkaniną owinął ranę. Potem się rozejrzał na wszystkie strony i postanowił iść w kierunku łańcucha wzgórz, gdzie chyba znajdował się klasztor. Był

zadowolony, że pozbył się starego, i przekonany, że be? jego pomocy dotrze do celu.

Nie liczył się jednak z pragnieniem, które coraz bardziej mu dokuczało w tym niesamowitym upale. Długo jeszcze widział

Alego jako znikający punkt w niezmierzonej dali; potem, po godzinie — było chyba południe — nagle poczuł, że się rozplywa jak kropla wody w piasku. Jednocześnie powietrze zaczęło drgać, początkowo leniwie, potem chłodząc pot na karku, wreszcie goniąc przed sobą małe obłoczki kurzu. Omar zaczął biec, aby schronić się wśród skał, które wydawały się coraz bliżej, a jednak wciąż jeszcze daleko.

Bez chwili odpoczynku Omar posuwał się na wschód. Język przywarł mu do podniebienia, piasek skrzypiał między zębami. Oczy zaczęły łzawić, tak że pustynia przed nim rozplywała się jak kałuża.

Tylko się nie poddawać, tłukło mu się w głowie, która stawała się coraz cięższa, im dłużej biegł.

Omara ogarnęło zwątpienie w samego siebie, zastanawiał się, czy ma dość siły, by to wszystko przetrwać, czy to wszystko warte jest takiego zachodu, czy stary nie wprowadził go w błąd i czy kamraci starego nie czyhają gdzieś w pobliżu, by zwabić go w pułapkę. Stary był zbyt milczący, a ostrzeżenia ludzi z hotelu „El-Shati” wydały się teraz Omarowi uzasadnione. Ale na takie rozmyślenia było już za późno.

Oddech Omara stawał się coraz głośniejszy i cięższy, sapał

jak koń rozdymający nozdrza. Przeklinał, parskał i wykrzykiwał swoją wściekłość. To pomogło. Podczas budowy kolei dla Anglików przetrwał gorsze rzeczy; myśl o tym przywróciła mu energię. Ale tylko na kilkaset metrów.

Omar spluwał — piasek w ustach to było coś obrzydliwego.

Czuł klucie w piersiach, jakby przeszywał go sztylet. Ogarnęła go rozpacz, że organizm odmawia mu posłuszeństwa po tak krótkim wysiłku, i wątpliwość, czy osiągnie cel.

Szaroczarne niebo i coraz gęstsze tumany kurzu zasłaniały mu widok i ukrywały cel; naraz Omar się zatrzymał, nie wiedział już, dokąd właściwie idzie; wzgórza i skały zniknęły.

Chmury piasku pędziły po ziemi, sycząc jak gotująca się woda. Co robić? Omar dalej szedł w kierunku, gdzie — jak sądził — znajduje się jego cel. Burza się nasilała, szarpała na nim ubranie. Tylko się teraz nie poddać, tak blisko celu. Coraz trudniej było oddychać, Omarowi wydawało się, że wdycha więcej piasku niż powietrza; kaszlał, spluwał, wtulał głowę w ramiona, by mniej odczuwać porywy wiatru; tobolek przy ciskał do piersi i brzucha.

Czuł, że twarz ma purpurową od ostrzału milionów ziarenek piasku. Jako dziecko przed piramidami w Gizie rozkoszował

się, kiedy wiatr pędził piasek, i poddawał mu się z zamkniętymi oczami, a uderzanie piasku odczuwał jak orzeźwiający strumień wody. Teraz zaś, błakając się i nie znając drogi, poczuł strach; był tak zmęczony, że marzył tylko o tym, aby się gdzieś położyć, i niech go piasek zasypie tak jak panią Hartfield. A jednocześnie był prawie pewien, że choć stracił orientację, jest blisko celu.

Piasek stał się głęboki jak u stóp wędrujących wydm albo na ulicy osłoniętej od wiatru; ale choć Omar, mrużąc oczy, patrzył w szary mrok w nadziei, że znajdzie jakieś wzniesienie, nic nie dojrzał. Zrozpaczony i wyczerpany, przykucnął, odwracając się plecami od burzy w nadziei, że w ten sposób stawi przynajmniej opór chamsinowi.

Stary Moussa, syn pustyni, który znał wszystkie jej rośliny i kamienie, ostrzegał go zawsze przed pychą wobec pustyni.

Pustynia, mawiał Moussa, jest jak bóg, a bogowie wymagają pokory. Mimo woli Omar przypomniał sobie teraz słowa przybranego ojca, a nawet zdawało mu się, że słyszy jego niski głos. Ja salaam, naprawdę słyszał głosy, które śpiewały wraz z chamsinem. Omar wstrzymał oddech, sądził, że to

omam, ale oto znów usłyszał niewyraźne, jakby szarpane przez burzę walenie, błaganie niczym pobożny śpiew.

Omar usiłował wstać i walcząc z burzą, iść w kierunku, skąd słyhać było żalosne wołanie. Ale skąd ono dochodziło?

Nie mógł się zorientować i postanowił brnąć na prawo. Jednak po paru krokach miał wrażenie, że od jakiegoś czasu krąży w kółko, i w chwili, kiedy w głębokiej rozpaczycy zamierzał się rzucić na ziemię, burza nagle wyrwała dziurę w ciemności, promień słońca przeszył raptownie chmurę pyłu niczym lśniący miecz i z wielką siłą trafił w wysoki, na wpół

rozwalony kamienny łuk, ruinę, przez którą wyl chamsin i pędził czarnoszarą chorągiew piasku.

Sidi Salim! Czymże innym mogły być te opuszczone resztki ludzkiej cywilizacji jeśli nie klasztorem?

Znajdował się on nie dalej niż rzut kamieniem, ale zanim Omar zrobił krok w jego kierunku, cud zniknął. Słyhać było tylko żalosny śpiew, który dochodził tu już wcześniej; tylko teraz wydawał się docierać z innej strony. Omar z trudem przedzierał się do przodu, nie tracąc z oczu kierunku, i naraz stanął przed ruiną bramy, która prowadziła donikąd, bo za nią ciągnął się piasek tak jak i przed nią.

Na prawo od sterczącej w górę ruiny Omar spostrzegł mur.

albo raczej resztki muru, które sięgały kolan i były przysypane piaskiem, w niektórych miejscach jednak sterczały kilka metrów w górę. Mur ten dziwnie zakręcał. Za występem Omar schronił się przed burzą i próbował się zorientować w sytuacji.

Było tu więcej takich łuków o podobnym kształcie i wielkości; wyglądało to tak, jak gdyby przed setkami lat ludzie opuścili miasto na pustyni. Niedaleko miejsca, gdzie Omar siedział, mur zakręcał pod kątem prostym i prowadził

wprost do długiej ściany z otworami, gdzie kiedyś były drzwi i okna. Przypominała ona trochę domy w tej okolicy. Pod osłoną muru Omar dotarł tam, a kiedy podszedł do bramy, zobaczył dom; brakowało w nim tylko dachu. Kwadrat ten w każdym razie dawał mu pewną ochronę przed burzą i Omar postanowił przede wszystkim odpocząć; wyczerpany, padł na ziemię obok swego lobołka.

Był wyczerpany niczym żyzna ziemia Nilu wczesną wiosną, czuł się podle, bolało go zranione ramię. Siedział tak przez chwilę drzemiąc, aż ów okropny śpiew, brzęący obco w uszach, przywołał go do rzeczywistości. Dół w ziemi, przykryty grubą żelazną kratą, przypominał tubę. Omar zbliżył

się do otworu na czworakach, ale nie mógł niczego dojrzeć w głębi. Docierały do niego natomiast okrzyki bólu, które stawały się coraz intensywniejsze i były przerywane odgłosami przypominającymi bicowanie ludzi.

Omar mimo woli rozejrzał się za wejściem do tajemniczego podziemnego świata, ale nic nie znalazł; postanowił okrążyć dom, z którego te odgłosy dochodziły. Właśnie kiedy chciał

się prześliznąć przez bramę, usłyszał pod nogami głuchy odgłos kamiennej płyty, która nie była

przymocowana do podłoża. Na rozstawionych nogach badał równowagę kamienia i zrobił przy tym zaskakujące odkrycie: płyta długości prawie dwóch metrów i grubości zaledwie na dwa palce zachowywała tak dokładną równowagę, że gdy stanęło się na jednym końcu, drugi powoli zaczynał się unosić w górę jak pyszczek chwytającej powietrze ryby, przeciw ni zaś koniec zanurzał się w ziemi na głębokość kolana. Żelazna sztanga uniemożliwiała powrót płyty do poprzedniej pozycji równowagi.

Przed otworem wąskie schody prowadziły w dół, były wyrąbane w skale i zakręcały pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, by uniemożliwić szybkie schodzenie i wchodzenie; było to z pewnością zamierzeniem budowniczego. Właściwie Omar powinien mieć wątpliwości, czy wtargnąć do tego podziemnego labiryntu, było to nawet lekkomyślne, że tak postąpił; ale coś go przyciągało jak magnes, coś, co nie zna skrupułów i tłumi wszelkie rozsądne myśli.

Schody kończyły się w pieczarze ze sklepieniem podpartym słupami, na których płonęły lampki oliwne, rzucające mętne, żółtozielone światło. Pomieszczenie było puste; stał tam tylko rząd glinianych dzbanów, z których jedne sięgały do kolan, inne były wysokości mężczyzny, zajmujących całą prawą stronę pieczary i wypełnionych wodą; woda pochodziła z cysterny, której obmurowany otwór był widoczny w ziemi.

Panowała tam przygniatająca duszność, czuć było słodkawy zapach, wywołujący mdłości.

Omar przeszedł pieczarę w kierunku, z którego rozlegał się coraz głośniejszy śpiew. Było tam chyba z pół tuzina śpiewających, nie więcej, ale ich donośne żale, wyśpiewywane w języku, którego Omar nie rozumiał, brzmiały mocniej niż głos muezina; wydawało się nawet, że modląc> się mnisi wykorzystują system piwnic swego klasztoru jako rezonator, aby ich litanie brzmiały bardziej żarliwie.

Na drugim końcu hali otworzyły się drzwi, a właściwie dwa przejścia, bo tu na dole nie było drzwi. Prawe przejście prowadziło do nie oświetlonego korytarza, z którego nie dochodziły żadne odgłosy, lewe markowało górny podest następnych schodów. Prowadziły one na dół i w przeciwieństwie do wejścia były szerokie, wygodne i wyłożone jasnymi kamiennymi płytami. Na dole otwierała się długa, położona pod kątem prostym do górnego pomieszczenia przestrzeń, która wyglądała jak podparta kolumnami nawa kościoła chrześcijańskiego. Po lew'ej i prawej stronie między kolumnami stały wąskie długie stoły i ławy, sklecone z surowego drewna, na pięćdziesiąt lub więcej osób. Na ścianach z tyłu Omar ujrzał postacie świętych naturalnej wielkości, częściowo pociemniałe od sadzy, łuszczące się, o ciemnej harmonii barw.

Śpiew stawał się coraz wyraźniejszy, ale także słyhać było ostre słowa komendy i uderzenia biczem, po czym następowały okrzyki bólu. Na Allaha, i to miał być klasztor?

Dotąd Omar nie ujrzał nikogo i dlatego wszystko wydawało mu się jeszcze bardziej niesamowite. Przez chwilę stał

niepewny za kolumną, potem odważnie wszedł do bocznego portalu, przez który wpadało jasne światło, a to, co ujrzał, przeraziło go.

W szerokim, jasno oświetlonym korytarzu, po którego obu stronach znajdowały się liczne zakratowane cele, stał brodaty mnich w czarnym

habicie, z biczem w ręku, a dokoła niego skakały i śpiewały, wykonując przy tym ekstatyczne ruchy, budzące litość postacie; były ogolone do gołej skóry', częściowo nagie lub półnagie, o bladej skórze i rozdętych brzuchach, takich jakie Omar widział u głodujących dzieci na Synaju. Chodząc w kółko, jak tresowane zwierzęta, ludzie ci wykrzykiwali swoje godzinki, myślami będąc daleko od rzeczywistości. Szaleńcy!, pomyślał Omar. Nie był to wyraz przesadnej pobożności, na twarzach tych ludzi malowało się szaleństwo; czasem jednak, kiedy jedna z owych żalosnych postaci chciała zaatakować sąsiada z byle jakiego powodu, czarny mnich bił je biczem, aż zwijały się z bólu i jęczały jak dręczone zwierzęta.

Zafascynowany tym masowym delirium, Omar stał

zniecieruchomiał w drzwiach; nie odsunął się, kiedy wymachujący biczem mnich spojrzał na niego. Mnich przestraszył się bardziej niż Omar, wydawało się, że nie wierzy własnym oczom, że sądzi, iż to jakaś zjawą, duch; nie zwracając już uwagi na tańczących mnichów, powoli podszedł

z wyciągniętą ręką do Omara, jakby chciał ostrożnym dotknięciem przekonać się, że nie uległ złudzeniu.

Skinieniem głowy Omar usiłował zamarkować życzliwość, co mu się zresztą nie udało, bo mnich, przerażony, zatrzymał

się i unióś bicz w obronnym geście; opuścił go jednak, kiedy spostrzegł, że Omar się nie boi.

—

Kim jesteś, obcy człowieku? — zapytał mnich z podkreślaną uprzejmością, jakby chciał zaskarbić sobie łaskawość wrogiemu intruza.

—

Nazywam się Hafiz el-Ghaffar — zawołał Omar głośno, aby zagłuszyć rytualny śpiew mnichów. I jakby na znak niewidzialnego dyrygenta szaleńcy urwali ekstatyczny śpiew i zaczęli się gapić na obcego dzikim wzrokiem, kilku odsunęło się na bok, jakby byli zawstydzeni, a dwie stare, wynędzniałe postacie, na których twarzach malowała się mądrość starości, członki zaś miały wyraźne oznaki cielesnego rozpadu, odważyły się podejść bliżej, by obejrzeć niespodziewanego intruza. — Wieje chamsin — dodał Omar na swoje usprawiedliwienie.

—

Chamsin. — Mnich skinął głową i odparł: — Nie znamy różnicy między kapryсами natury, bo nie ma nic bardziej przemijającego niż wiatr i pogoda. Czymże jest burza piaskowa wobec wieczności? Jedyne iskierką w wiecznym ogniu. Ale jak się tu dostałeś?

I oto okazało się, że Omar w ogóle nie był przygotowany na takie pytanie, i z odpowiedzi, jakiej

udzielił, najchętniej od razu by się wycofał, ale było już za późno. Powiedział: —

Jestem archeologiem i zablądziłem w tej okolicy, chciałem udać się do Raszid.

—
Do Raszid? — Mnich wydał się zaniepokojony, nagle zaklaskał w dłonie, zwracając się do gapiów, którzy zgromadzili się dokoła nich, i zawołał: — W imię Jezusa Chrystusa, wracajcie do cel!

Mruczając i narzekając — niektórzy zaczęli płakać jak dzieci

— szaleńcy wracali do swych cel, a mnich pospiesznie pozamykał zakratowane ciemne komórki, w których, na ile można się było zorientować, stały tylko wymoszczone trawą prycze.

— To dziwne, że ktoś obcy się tutaj zabląkał — powiedział

mnich, kiedy już zamknął wszystkie cele — prawdę mówiąc, odkąd tu żyję, czyli znacznie dłużej, niż wynosi przeciętny wiek Egipcjanina, nikt jeszcze tu nie dotarł, przynajmniej do tego pomieszczenia. Jednego obcego ocaliliśmy kiedyś od śmierci z pragnienia. Leżał o dwie mile stąd na pustyni.

Znaleźliśmy go podczas polowania na węże na wpół żywego.

— Podczas polowania na węże?

— Polujemy na węże, by się wyżywić. Łowimy ich więcej, niż możemy zjeść. Dwa razy w roku, na Epifanię i na świętego Andrzeja, który roztacza opiekę nad naszym klasztorem, otrzymujemy od patriarchy Aleksandrii zboże, worek na osobę, zbyt dużo jak na brata, którego celem życia jest post.

Chodź, zobacz!

Przepuścił Omara przez wąskie przejście na końcu pomieszczenia, poszli pięć schodków w górę, do niskiej pieczary, którą z góry oświetlał wysoki dymnik. Z

kamiennych pojemników na zapasy i okrągłego, ob-murowanego paleniska pośrodku można było wnioskować, że to kuchnia. Nad jednym kątem było rozpięte płótno z dziwnymi girlandami. Omar rozpoznał rozwieszony na sznurze węże. Jeszcze bardziej przeraził go inny widok. Kiedy mnich uniósł drewnianą pokrywkę kamiennego pojemnika i kazał Omarowi zajrzeć do środka, ten cofnął się. W naczyniu wiły się dziesiątki grubych węży, zajętych wzajemnym pożeraniem się.

Wróciwszy na korytarz z celami, mnich ujął Omara za ramię i pociągnął go przez znajdującą się naprzeciwko furtkę, po wijących się schodach na górne piętro do pomieszczenia przypominającego kościół z kolumnami i chórem. Klęczniki z czarnego surowego drewna były starannie ustawione, a ich liczba zdradzała, że w klasztorze przebywa o wiele więcej mnichów, niż Omar dotąd widział, albo że kiedyś ten klasztor przeżywał lepsze czasy.

Na prawo od wejścia za prostymi przegrodami leżały setki trupich czaszek, każda z nich miała na czole krzyż świętego Andrzeja i datę śmierci; pod nimi stały koryta z kośćmi. Z

lewej strony były regały z prastarymi księgami, wykonane z ciemnego drewna. Na pulpitych leżały otwarte foliały, niektóre były bardzo duże i ozdobione kunsztownymi malowidłami; nie oglądały one nigdy światła dziennego.

—
Tutaj — rzekł czarny mnich, a jego ponura twarz jakby się rozjaśniła — tu jest zapisana cała mądrość świata, przekazana przez naszych przodków, mądrość Wschodu i Zachodu, utrwalona w literach i liczbach po wieczne czasy.

Zafascynowany tymi słowami, Omar podszedł do jednej z otwartych ksiąg, by ją obejrzeć bliżej, lecz mnich zdecydowanym ruchem mu przeszkodził. — Stój, przyjacielu.

Strzeż się i nie ruszaj żadnego z tych foliałów. To niebezpieczne.

—
Niebezpieczne? Co masz na myśli?

Wówczas mnich uczynił znak krzyża i odszedł z Omarem na bok. Mówił teraz szeptem. — Na pewno zdziwiło cię zachowanie moich współbraci. Są o wiele mądrzejsi ode mnie, ale opanowała ich tajemnicza choroba. Nazywa się to chorobą mumii albo chorobą koptyjską, bo zapadają na nią również mnisi zajmujący się koptyjskimi księgami i manuskryptami.

Każdy z moich współbraci przeczytał setki tych książek, każdy nosi w sobie mądrość naszych przodków, znacznie przewyższającą mądrość współczesnych. Ale wydaje się, że Bóg stworzył naturalną ochronę przed wszechwiedzą, karząc zarazą tych, co zbliżają się do najwyższej doskonałości w posiadaniu wiedzy.

—
A ty — zapytał Omar — kim ty jesteś, co zrobiłeś, że ominęła cię dotąd choroba koptyjską?

—
Jestem Menas, najwyższy ze wszystkich braci, posiadam wiedzę duchowego kaleki, jaką się zdobywa w szkołach Koranu i na uniwersytetach.

—
I nigdy nie czytałeś żadnej z tych ksiąg?

Menas potrząsnął głową. — Nigdy. Czasem kazałem sobie to i owo opowiedzieć, ale cóż znaczą opowieści wobec własnego doświadczenia. Od stuleci, od kiedy znana jest ta zaraza, panuje zwyczaj, że jeden człowiek, ten, któremu Bóg pozwolił osiąść najmniejszą wiedzę, ma zakazane czytanie tych ksiąg. Jego zadaniem jest pilnować pozostałych, kiedy w regularnych odstępach czasu nawiedza ich zaraza, zaciemniając zmysły.

—
Czy stan tych ludzi się nie zmienia?

—
Przejściowo. Widziałeś ich w fazie oszołomienia, wtedy są jak dzieci. Zachowują się jak dzieci i wymagają surowego nadzoru, aby sobie nawzajem nie wyrządzali szkody. Potem następuje faza oświecenia, podczas której studiują mądrość ksiąg i dochodzą do najwyższego poznania.

—
A jak często następuje taka zmiana?

—
Czasem z jednej połowy dnia na drugą, potem znów w odstępach trzydniowych. Bywały też fazy trwające dwa tygodnie. Nigdy nie wiemy, co nas czeka, i chyba tak jest dobrze. Bo gdyby choroba koptyjską stosowała się do zegara i pór dnia, to taki brat mógłby dopóty zajmować się jakimś problemem, aż doszedłby do całkowitego poznania. A tak Pan Bóg ustala granice i każdy ma świadomość, że najbliższa chwila może przynieść koniec jego zgłębianiu wiedzy.

Przy tych słowach mnich oparł stopę o klęcznik, pod czarnym habitem ukazał się czarny pleciony sandał z krzyżem świętego Andrzeja w kole. Ta zwykła scena przypomniała Omarowi powód jego przybycia tutaj i teraz się zastanawiał, czy nie powinien prosto z mostu zapytać

o profesora Hartfielda. Ale, pomyślał sobie, mnich powie, że nigdy nie słyszał tego nazwiska, będzie się upierać, że ostatni człowiek przekroczył progi klasztoru wcześniej, niż wynosi długość ludzkiego życia. I co on wtedy pocznie? A więc postanowił na razie zyskać na czasie, aby móc się zastanowić, jak wykorzystać tę sytuację. Raszid leżało o dzień drogi stąd i było całkiem możliwe, że profesor musiał się kiedyś spotkać z mnichami; ale co mogło się wtedy zdarzyć, tego Omar nie potrafił sobie wyobrazić.

—
I nigdy nie opuszczacie tego klasztoru? — zapytał

Omar.

— Owszem — odparł mnich — nie jesteśmy odcięci od świata. Droga poznania prowadzi przez ten świat, tylko nie kieruje się codziennością. Codzienność to wróg wszelkiej metafizyki. Dla nas ważniejsze są inne sprawy niż dla większości ludzi. Większością ludzi rządzi nie głowa, lecz brzuch. Pełne brzuchy czynią ludzi przyjaznymi pod każdym względem. Syci ludzie nie robią rewolucji, syci ludzie nie myślą, syci ludzie pozwalają innym żyć, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Omar skinął głową, choć nie bardzo wiedział, do czego mnich zmierza, i zapytał uprzejmie, czy nie mógłby spędzić tu nocy, bo chamsin chyba jutro ustanie.

Jeśli zadowolą go warunki, jakie tu panują, odparł mnich, niech zostanie; najpierw zaprowadził Omara do korytarza z celami, a potem tylnymi schodami na piętro położone niżej, gdzie również znajdowały się pojedyncze cele, które były puste i wyglądały, jakby czekały na gości. W przeciwieństwie do cel położonych wyżej te były wyposażone w drewniane meble: pryczę, stół, krzesło i dzban z wodą. Omar pił łączywie, mnich zapalił lampkę oliwną i życzył mu dobrej nocy w imię Boga.

Omar przemył ranę wodą, potem ułożył się na twardym legowisku i rozmyślał nad tym, co począć dalej. Nie wiedział, co sądzić o mnichu i jego szalonych współbraciach, czy byliby zdolni przetrzymać tu takiego człowieka jak Hartfield wbrew jego woli. Przez chwilę Omar trwał w półśnie, potem wstał, wziął do ręki kopnącą lampkę i — wiedziony jakimś niejasnym przymusem — zaczął zwiedzać ten dziwny klasztor skalny.

Panowała cisza, nie słyhać było śpiewu, tylko wywietrzniki tu i ówdzie wydawały niesamowite dźwięki. By nie zabłądzić w labiryncie, Omar wziął trzcinę ze swego legowiska, zaznaczając nią drogę, którą przebył. Większość pomieszczeń, które ujrzał, była pusta, kamienne podłogi zamiecione, jakby czekano na nowych lokatorów. W jednej z nie zamkniętych komór leżał stos broni — karabiny, rewolwery, pistolety i dwie skrzynie z materiałem wybuchowym.

Najbardziej zastanawiał Omara kościół klasztorny z zakazaną biblioteką. Nigdy nie słyszał o chorobie koptyjskiej.

Może mnich chciał mu tylko napędzić strachu, powstrzymać go przed czytaniem starych foliałów. I jak grzesznik, który grzeszy dla samego grzechu, Omar podszedł do ścian zastawionych książkami, nie dotykając żadnej z nich.

Gdzieś w połowie Omar odkrył, że akta, książki i manuskrypty nie są uporządkowane tematycznie, jak należałoby się spodziewać w bibliotece naukowej, lecz stoją według dat ukazania się, od lewej do prawej, z góry na dół, wbrew regułom pisma arabskiego. Większości tytułów Omar i tak nie mógł odczytać, bo były w różnych odmianach języka koptyjskiego.

Zatopiony w myślach, Omar podszedł do książek współczesnych, które były pisane przeważnie w językach arabskim i angielskim i dlatego szczególnie go zainteresowały. Na końcu niezliczonych szeregów książek z czasów obecnych Omar natrafił na ścianę, gdzie stały książki zajmujące się tylko jednym tematem: Imhotepem. Ja salaam, oto piętrzyły się foliały, pergaminy i mapy, wszystko z napisem „Imhotep”, a na najniższej półce stos notatek z nazwiskiem Edward Hartfield.

Teraz nie było już wątpliwości, że zachodzi związek pomiędzy mnichami z Sadi Salim a profesorem z Bayswater, i Omar był gotów wyciągnąć mapy i manuskrypty, bo chyba już nigdy więcej nie trafi mu się taka dogodna okazja; ale ostrzeżenie Menasa, które miał cały czas w pamięci, sprawiło, że się zawahał.

Nigdy jeszcze Omar nie czuł tak wielkiego rozdarcia, takiego szarpania przez „za i przeciw” w jakiejś sprawie, jak w tej chwili. Może leżało przed nim, zapisane atramentem albo ołówkiem na papierze, rozwiązanie tajemnicy Imhotepa.

Może mnisi od dawna wpadli na trop, może wiedzą o sprawach, o których żaden człowiek we współczesnym świecie nie ma pojęcia.

Serce biło mu jak szalone. Podniósł ostrożnie lampkę, oświetlając każde pismo, czasem płomyk był niebezpiecznie blisko starego papieru. Za pomocą gęsiego pióra, które leżało obok jednego z foliałów, Omar usiłował rozsunąć poukładane jedne na drugich mapy i plany, nie dotykając ich, ale próba się nie powiodła, cały stos akt i dokumentów spadł na podłogę i rozsypał się jak liście z drzewa figowego.

Omar nasłuchiwał, czy ten szmer kogoś nie zaniepokoił.

Ale wokół panowała cisza; zaczął więc zgarniać papiery za pomocą gęsiego pióra. Ujrzał przy tym kawałek kamiennej tabliczki wielkości dłoni. Widocznie tkwiła między papierami; była czarna. Omar poznał pismo demotyczne, choć nie mógł odczytać ani jednej litei. Na Allaha, to chyba jest ów brakujący fragment kamienia z Raszid, ostatnie ogniwo łańcucha poszlak rozproszonych po połowie Europy.

Skąd właśnie tutaj, w tym skalnym klasztorze? Omarowi cisnęło się na myśl to pytanie, ale usiłował je odpędzić.

Sytuacja, w jakiej się znalazł, była zbyt niebezpieczna, by mógł sobie pozwolić na zdanie się na prawa logiki. Najpierw pomyślał, by zabrać ten fragment skorupy i zniknąć. Ale było to iżykowe. Nawet gdyby mu się ucieczka udała i umknąłby przed chamsinem, szybko by zauważono kradzież i mnisi połapaliby się, kto to zrobił. Odtworzenie liter, których nie znał, wydawało mu się zanadto niepewne, przede wszystkim dlatego, że były niezbyt dobrze widoczne, a poza tym zajęłoby mu to za wiele czasu.

Kiedy tak się zastanawiał, przypomniał sobie metodę, którą tak chętnie posługiwał się profesor Shelley, a którą zaobserwował u innych archeologów. AJe do tego potrzebny mu był kawałek papieru. Na ołtarzu w kaplicy leżał otwarty mszał. Omar zamknął go, tak że koniec był na wierzchu, następnie znów otworzył, wyrwał ostatnią, nie zadrukowaną kartkę, i zanurzywszy ją w naczyniu z wodą święconą, poczekał, aż papier nasiąknie, po czym położył kartkę na skorupie i przycisnął dłonią najmocniej, jak mógł.

Po kilku minutach na wilgotnym papierze odcisnęła się struktura kamiennej tablicy. Omar pomachał nim, by wysechł, następnie rozpiął koszulę i wsunął swą zdobycz za pazuchę.

W drodze do celi przydzielonej mu przez mnicha, Omar minął

przejście, które prawie nie różniłoby się od innych niezliczonych drzwi, gdyby nie pewna osobliwość. Zaciekawilo go, że za łukiem drzwi wisi prastara, zniszczona firanka, która zasłania widok.

Omar zaczął nasłuchiwać, ale nie słyszał żadnego szmeru; ostrożnie odsunął zasłonę. Przed nim ukazało się duże pomieszczenie, jaśniejsze od pozostałych, które i pod innymi względami różniło się od całego otoczenia. Meble z surowego drewna, stół, krzesła i szafy przypominające skrzynie, w

których piętrzyły się książki, mapy i dokumenty, sprawiały wrażenie średniowiecznej pracowni uczonego. Czarna pajęczyna zasnuwała cały rozgardiasz i pozwalała przypuszczać, że do pomieszczenia tego już od dawna nikt nie wchodził. Tylko dlaczego było jasno oświetlone?

Podczas gdy Omar starał się zorientować w tym chaosie, wzrok jego padł na otwartą szafę po lewej stronie, wypełnioną zapisanym papierem, a pośród kartek, arkuszy i strzępków papierów siedziała nieruchomo na podłodze blada postać o siwych włosach i w zakurzonej odzieży. Początkowo Omar myślał, że ten człowiek jest martwy, ale kiedy ostrożnie się zbliżył i pochylił nad nim, do oczu mężczyzny wróciło życie, a nawet jego

pomarszczona twarz wykrzywiła się w bladym uśmiechu, który Omara przeraził.

Bez ruchu, z nogami skrzyżowanymi jak egipski pisarz stary siedział raczej jak widmo niż żywy człowiek i wcale nie byłoby dziwne, gdyby tak jak wyrósł z ziemi, znów się pod nią zapadł. Ale nic takiego się nie zdarzyło.

—

Profesor Hartfield? — zapytał Omar ostrożnie.

Wówczas ten blady mężczyzna uniósł głowę i martwym wzrokiem spojrzał poza Omara. — Hartfield nie żyje —

odparł monotonnym głosem. — Jestem jego Ka, siłą, która trzyma go przy życiu, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Ale Omar nie rozumiał. Starożytni Egipcjanie nazywali nieśmiertelnego anioła stróża „Ka”, dlatego często przedstawiano ludzi w podwójnych zarysach. Co ten człowiek miał na myśli, mówiąc „Jestem jego Ka”?

Podczas gdy Omar jeszcze się zastanawiał, stary ciągnął

dalej bezbarwnym głosem: — Przebywam w oku Horusa. Oko Horusa daje życie wieczne, ochrania mnie nawet wtedy, kiedy się zamknie. Otoczony promieniami, przemierzam drogi.

Posłuszny nakazom serca, docieram wszędzie. Jestem i żyję...

Ledwie skończył, jego budząca lęk postać oklapła, głowa opadła mu do przodu, ręce zwisły bezsilnie, jakby wypowiedziane przed chwilą słowa wymagały nieludzkiego wysiłku.

Dziwny dźwięk jego głosu zdradzał akcent angielski. To musiał być profesor Hartfield; wydawało się, że ogarnęło go takie samo szaleństwo jak pozostałych mieszkańców klasztoru. Starając się go nie spłoszyć, Omar ukląkł przed nim, dotknął go ostrożnie dłonią i rzekł cicho: — Profesorze, czy pan mnie słyszy?

Lekki dotyk sprawił, że mężczyzna wyprostował się, otrząsnął jak pies wyciągnięty z rzeki i zaczął znów mówić:

— Nie dotykaj mnie, bo jestem Ka. Ka profesora Edwarda Hartfielda. A każdy, kto dotknie Ka człowieka, jest skazany na śmierć.

Omar mimo woli się cofnął, ale będąc tak blisko celu, nie zrezygnował; nawiązał do słów szaleńca i mówił

uspokajającym tonem: — Ka Edwarda Hartfielda, powiedz mi, jak się tu dostałeś, podaj imiona twoich wrogów.

Hartfield słuchał słów Omara z otwartymi ustami. Niepokój w jego oczach dowodził, że rozumie te słowa; po chwili dręczącej ciszy odparł, nie kierując wzroku na Omara: — Moi wrogowie to kopyjscy mnisi. Trzymają mnie tu w niewoli jak dzikie zwierzę, na pewno dawno by mnie zabili, gdyby nie była im potrzebna moja wiedza.

—

A jak się tu dostałeś?

Hartfield milczał uparcie. Spuścił tępy wzrok, głowa opadła mu do przodu, ramiona zwisały bezradnie. Wydawało się, że wypowiedzenie jasnego zdania kosztowało go tyle wysiłku, iż teraz musi odpocząć.

—

Jak się tu dostałeś, Ka profesora Hartfielda? —

powtórzył Omar natarczywie. Zrozpaczony chwycił

bezsilnego starca za ramiona i potrząsnął nim, ale bezskutecznie. — Ka Edwarda Hartfielda, czy mnie słyszysz?

— zawołał Omar, zniżając głos, by nie usłyszał go nikt poza tym pomieszczeniem. — Co wiesz o Imhotepie?

Ledwie Omar wymówił to imię, wydało się, że życie wstępuje w martwe członki starego człowieka. Otworzył

szeroko usta, z trudem chwytając powietrze, potem przymknął

oczy jak do modlitwy, wyciągnął w górę ramiona i głosem, który wyraźnie różnił się od poprzedniego, zaczął recytować:

— O ty, który siły wszechświata doprowadziłeś do tego, że zakiełkowały, Imhotepie, którego ciało świeci jak bóg słońca Ra, który otwierasz nasze drogi do światła i swoim duchem przepędzasz ciemnotę niewiedzy, o największy z wielkich, jacy kiedykolwiek wędrowali po tej ziemi, który masz dostęp do nektaru bogów, który masz oczy z jadeidu, a ciało białe jak kwiat lotosu, który stajesz przed obliczem pana świata i przemierzasz zaświaty niczym myśliwy żyzne ziemie Nilu, jesteś

prawdziwym twórcą życia, chyłę czoło przed twoją wszechmocą. Bogowie stworzyli niebo, gdzie się unoszą niby złote sokoły, ale ty, Imhotepie, stworzyłeś ziemię z jej cudami. Ty poruszyłeś piramidy swym uskrzydłonym duchem jak dziecinne zabawki, sprawiłeś, że światło nieba stało się płynne, i zamknąłeś je w szkłe, aby korzystać z niego w nocy, przywróciłeś ludziom wieczne życie za pomocą jedynej formuły, którą zabrali im bogowie. Chwała ci, najbardziej boski ze wszystkich ludzi na ziemi, chwała ci, wielki Imhotepie!

Hartfield mówił to stojąc, urywanymi zdaniami, jego modlitwa podobna była do śpiewu mnichów klasztornych, a kiedy skończył, znów zapadł się w siebie jak balon, z którego uszło powietrze, i w tej pozycji zastygł w bezruchu.

Zwabiony głosami brzmiącymi w korytarzach, w drzwiach ukazał się Menas. Towarzyszyli mu dwaj silni mnisi, których tępy wyraz twarzy napełnił Omara lękiem. Ta trójka zastąpiła mu drogę i Menas, który przyjął go uprzednio z taką uprzejmością, teraz go ofuknął: — Czemu tu szpiegujesz, czyż nie udzieliłem ci gościny, a ty nadużywasz naszej dobroci?

Czego tu szukasz i kto cię tu przysłał?

Omar chciał odpowiedzieć, że nie mógł zasnąć i błąkał się bezradnie, wreszcie zablądził; ale zanim zdążył coś powiedzieć, Menas dał znak obu mnichom, ci chwycili Omara za ramiona i poprowadzili schodami w górę, przez oba korytarze do okrągłego pomieszczenia z czterema zakratowanymi wejściami w każdej ścianie. Menas, który szedł za

nimi, odsunął zasuwkę w jednych drzwiach i mnisi wepchnęli Omara do mrocznej celi. Następnie zaryglowali drzwi i odeszli.

To, co Omar przeżył w ciągu ostatnich godzin, wydawało się snem, i dopiero teraz, skulony na piaszczystej podłodze, miał czas, aby się nad tym wszystkim zastanowić. Wydaje się, że jego dni są już policzone.

Menas na pewno zrozumiał prawdziwy powód jego przybycia do klasztoru, wie, że szuka profesora Hartfielda; ci szaleni mnisi pozostawią go teraz w celi, aż umrze z głodu i pragnienia. Może kiedyś porzucą jego zwłoki gdzieś na pustynnym piasku, jak pożałowania godną Mrs.

Hartfield, która dla Koptów byłaby tylko ciężarem. Inszalkh.

Ciemność wyostrza myśli i Omar przypomniał sobie dziwną modlitwę, którą Hartfield skierował do Imhotepa. Profesor wykorzystał formułę modlitwy, którą znał z egipskiej Księgi umarłych, wielokrotnie cytowanego zbioru próśb. Modlitwy tego rodzaju widnieją wyryte na ścianach we wszystkich grobach z dawnych czasów i nie są niczym -i nadzwyczajnym. Ale co miała znaczyć wstawka o tym, że Imhotep po-

¥

ruszył piramidy, sprawił, iż światło nieba stało się płynne, i przywrócił ludziom życie wieczne? W ten sposób Hartfield nawiązał do trzech ma-

rzeń ludzkości. Od tysiącleci ludzie zastanawiają się bowiem, w jaki sposób dziś jeszcze największe budowle wzniesione ręką ludzką, piramidy, zostały stworzone zgodnie z prawami astronomii, a światło zmagazynowane w innej formie energii, i czy poszukiwanie wiecznego życia jest tylko marzeniem współczesnego człowieka? Co wiedział Hartfield?

Z daleka docierały do Omara różne odgłosy, dzięki którym mógł śledzić przebieg dnia mnichów, w większości wypełnionego modłami i śpiewem. Omar miał nadzieję, że przyniosą mu przynajmniej dzban wody, i wieczorem zaczął z wściekłości — a może był to także strach przed śmiercią —

szarpać kratę celi i wołać pomocy. Jego krzyk rozbrzmiewał w korytarzach; ale kiedy przekonał się, że wołania są bezskuteczne, zasnął, wtulony w kąt celi.

Nie wiedział, jak długo trwała ta drzemka, w każdym razie drgnął, kiedy przed jego oczami poruszyła się pełgająca lampka. Omar poznał!

Hartfielda. Ten przyłożył palec do ust, dając znak Omarowi, by zachował spokój. Profesor sprawiał teraz całkiem inne wrażenie. Otępienie i ospałość zniknęły z jego twarzy i wyglądał dość naturalnie, jeśli pominąć widoczny niepokój.

—

Kim pan jest i skąd się pan tu wziął? — zapytał

profesor szeptem.

—

Nazywam się Hafiz el-Ghaffar — odparł Omar — i szukam pana, profesorze.

—

Mnie? — Hartfield wydawał się zdziwiony. — W

jaki sposób trafił pan na mój ślad?

Omar zastanawiał się chwilę, wreszcie rzekł: — Myślę, że dążymy do tego samego celu.

—

O Boże — rzekł Hartfield cicho — niech pan tego nie robi, niech pan o tym zapomni. Jest pan młody, całe życie przed panem. Niech pan przestanie szukać Imhotepa. Błagam pana!

Ledwie Hartfield skończył, błyskawicznie przycisnął dłoń do ust Omara i zgasił lampkę. W ciemności zbliżały się kroki; ale wkrótce się oddaliły.

—
Wyprowadzę pana stąd — rzekł profesor w ciemności. — Chodźmy — i ujął Omara za rękę.

Omar nie wiedział, co się z nim dzieje, nie był pewien, czy Hartfield mówi poważnie, czy w ogóle jest do tego zdolny; ale zdał sobie sprawę, że być może jest to jego jedyna szansa opuszczenia tego straszego klasztoru.

Hartfield zamknął kratę z zewnątrz i Omar poczłapał za nim, zupełnie się nie orientując, dokąd idzie. Anglik dobrze znał teren, niewątpliwie przemierzał już wielokrotnie tę drogę, ponieważ poruszał się pewnie. Gdy doszli do oświetlonego pomieszczenia, w którym stały dzbany i z którego schody prowadziły na zewnątrz, Hartfield rzekł: — Niech pan ucieka co sił w nogach i sprowadzi pomoc. Potrzebny nam tuzin zbrojnych ludzi. Nie wiem, czy na dworze jest dzień, czy noc.

Jeśli jest dzień, niech pan idzie w kierunku północno-zachodnim, według zachodzącego słońca; jeśli jest noc, niech pan kieruje się Syriuszem, to najjaśniejsza gwiazda, łatwo ją dostrzec. W ten sposób dotrze pan do Raszid. Niech Bóg pana prowadzi! — I popchnął Omara na kamienne schody.

—
Panie profesorze! — bronił się Omar. — Nie pójdę bez pana. Dlaczego pan nie idzie ze mną?

Hartfield rozgniewał się. — Nie mam czasu na długie wyjaśnienia. Mój stan zdrowia nie jest najlepszy, od czasu do czasu popadam w pewnego rodzaju delirium i tracę przytomność. Byłbym więc dla pana tylko ciężarem.

Naraziłbym pańskie życie, a także swoje. — I dodał ze smutkiem: — Poza tym nie opuszczę klasztoru bez żony. Oni ją tu gdzieś ukryli.

—
Ale... — wyrwało się Omarowi; resztę zdania połknął.

—
Szukam jej, na ile pozwala mi stan zdrowia. Właśnie szukałem Mary, kiedy natknąłem się na pana. A teraz niech pan ucieka!

Omar zawahał się, ale wołał zamilknąć. Wszedł po schodach i wysliznął się przez otwór na dwór. Było ciemno.

Omar spojrział w niebo. Nad nim świeciły gwiazdy. Znalazł tę, która świeciła najmocniej, i zdecydowany, poszedł za nią.

W CIENIU PIRAMIDY

1 ani słońcu nie wolno doganiać księżycy, ani też noc nie wyprzedzi dnia; i wszystko żegluję po

orbicie.

I znakiem dla nich — iż nosiliśmy ich potomstwo na statku załadowanym.

I stworzyliśmy dla nich podobny do niego, na który oni wsiadają.

Jeśli zechcemy, potopimy ich i oni nie znajdą pomocnika; i

będą uratowani

jedynie dzięki Naszemu miłosierdziu, by do pewnego czasu cieszyć się życiem.

Koran, sura XXXVI

Zbliżał się 29 listopada — dzień, w którym zamierzano otworzyć grobowiec Tutenchamona. I jeśli kiedykolwiek istniał człowiek, którego charakter zmienił się wskutek odkrycia archeologicznego, to był nim Howard Carter. Ten niegdyś tak nieśmiały, zamknięty w sobie, wyśmiewany archeolog, teraz — kiedy skupiał na sobie zainteresowanie całego świata — pozbył się swego melancholijnego usposobienia i nagle stał się człowiekiem światowym, który opędzał się przed reporterami i ciekawskimi jak przed natrętnymi muchami. Nawet lord, który go przez wiele lat upokarzał jak nędzarza, ujrzał naraz energicznego i pewnego siebie mężczyznę, wygrzewającego się w promieniach spóźnionej sławy. Co prawda nikt poza tą czwórką, która potajemnie dostała się do przedniej komory, nie wiedział, czego ludzkość oczekuje, ale wśród dziennikarzy, goniących za sensacją nicponi, nawiedzających teraz gromadnie Luksor, kursowały co dzień nowe pogłoski, a szczególnie dobrze poinformowane koła wiedziały o skarbie wartości miliona funtów szterlingów, który ukryty jest we wnętrzu grobowca.

Nic więc dziwnego, że Carter nie mógł zrobić kroku, by go potajemnie nie śledzono.

Dla lady Dawson i ludzi z Intelligence Service cały spisek przebiegał zgodnie z planem.

Można by pomyśleć, że Luksor jest pępkiem świata, w każdym razie jeśli idzie o zainteresowanie przygodą i badaniami archeologicznymi, a odkrycie w Dolinie Królów przysłoniło nawet piramidy w Gizie — nie mówiąc już o grobowcach w Sakkarze.

Początkowo lady postanowiła popłynąć „Izis” w dół Nilu i zakotwiczyć przy el-Bedraszeim, kilka kilometrów od Sakkary, ale potem Gerry Pincock ostrzegł ją, że zakotwiczenie tam łodzi właśnie teraz może wzbudzić podejrzenie; zdecydowali więc, że niepostrzeżenie pojedą koleją do Heluan, tam zamieszkają w hotelu turystycznym i ze wschodniego brzegu Nilu będą kierować dalszym przebiegiem akcji.

Geoffrey Dodds wysłał z Londynu ekipę archeologów, tuzin wykwalifikowanych współpracowników, wtajemniczonych w problematykę przedsięwzięcia, i zakwaterował ich we wsi Mitrahine, milę na wschód od Sakkary.

Kierownik tej ekipy, Anglik polskiego pochodzenia o nazwisku John Kaminsky, wyraził przypuszczenie — które niezależnie od niego podzielali także Francuzi — iż Auguste Mariette,

znający tę okolicę jak własną kieszeń, być może już w ubiegłym stuleciu odkrył grobowiec Imhotepa, ale wskutek niezwykłych okoliczności przemilczał ten fakt i zasypał wej-

ście. Po przejrzaniu dostępnych dokumentów z owego okresu Kaminsky wynotował wszystkie rozpoczęte przez Mariette'a wykopaliska — także te, które po krótkim czasie przerwano

— i zaproponował Intelligence Service, aby na tych terenach rozpocząć kopanie, może w ten sposób natkną się na nieznaną trop. Okoliczność, że obecnie cały świat pędził do Luksoru, gdzie Carter przygotowywał otwarcie grobowca, była Brytyjczykom bardzo na rękę, bo mogli pracować nie zauważeni.

Szansa, by w ten sposób posunąć się naprzód, była dość nikła; ale jeśli nawet istniała choćby słaba nadzieja na wielkie rezultaty, Dodds musiał brać pod uwagę każdą możliwość, a to była jedna z nich.

Powoli Dodds znalazł się w sytuacji przymusowej. Jego działania w sprawie Imhotepa trwały już kilka lat i pochłonęły znaczną sumę pieniędzy; minister wojny, który tymczasem z coraz większą przyjemnością przyglądał się akcji, co brytyjskim tajnym służbom nie było zbyt na rękę, kazał sobie przysyłać regularne raporty i nie krył swego rozczarowania; stwierdził nawet z lekką ironią, że tajne służby Jego Królewskiej Mości prędzej odkryją dezertera w azjatyckiej dżungli niż mumię, która nie może uciec, na cmentarzysku wielkości londyńskiego Hyde Parku. Dodds przekazał lady Dawson tę — jak to określił — insynuację i odtąd pomiędzy Londynem a Luksorem zapanowało napięcie.

Inaczej niż Francuzi, którzy przy swych wykopaliskach w pewnym oddaleniu korzystali z pomocy tutejszych mieszkańców wsi, Kaminsky zrezygnował z obcych pomocników, po pierwsze dlatego, aby liczba wtajemniczonych była jak najmniejsza, po drugie, bo uważał, że nie tyle chodzi o przekopywanie dużej ilości ziemi, ile o to, by niewielką jej ilość dokładnie przebadać. Na wyjątkowych odcinkach, jak labirynt byków Apisa, którym Kaminsky z wielu względów szczególnie się interesował, miano prowadzić roboty nawet nocą, by nie zwracać niczyjej uwagi i uniknąć wszelkiego nagabywania i tłumaczenia się wobec Służby Starożytności. Do ich wyposażenia należały namioty i plandeki, jakich używa się zawsze podczas prac wykopaliskowych w celu ochrony przed

słońcem i wiatrem; materiały, które Anglicy mieli do dyspozycji, pozwalały im jednak biwakować na powietrzu i służyły jako osłona przed niepowołanymi osobami. Anglicy w ogóle starali się zwracać na siebie jak najmniej uwagi.

Wydawało się, że lady Dawson dobrze kalkulowała. Tego dnia, na który Howard Carter przewidział otwarcie grobowca Tutenchamona, teren wykopalisk w Sakkarze był jakby wymieciony. Zapowiedź archeologicznej sensacji zgromadziła turystów i badaczy w jednym miejscu, a choć tylko niewielu mogło uczestniczyć w tym wydarzeniu bezpośrednio, to wszyscy chcieli być przynajmniej w pobliżu.

Carter doskonale zainscenizował cały przebieg akcji.

Dostęp do Doliny Królów mieli tylko zaproszeni goście, wśród nich jeden jedyny dziennikarz, Arthur Merton, korespondent londyńskiego „Times'a”. Jego sprawozdanie z otwarcia przedniej komory, której zawartość Carter już znał, tak że dziennikarz mógł swobodnie zabrać się do dzieła, zwróciło uwagę całego świata i pierwsze zdjęcia złotych paradnych łóż, krzesel, wozów i darów ofiarnych z

alabastru i kości słoniowej poruszały ludzi w niebywałym dotąd wymiarze. Luksor i Dolina Królów były na ustach wszystkich.

Sakkara jakby została zapomniana, Anglicy mieli więc swobodę przy swoich wykopaliskach.

Na początek Kaminsky ze swymi ludźmi wykopał rów na ukos do wejścia przy labiryncie byków Apisa w nadziei, że może się powtórzyć sytuacja, jaką zastał Carter podczas swego odkrycia. Ale już po dwóch dniach okazało się, że szczęśliwe przypadki się nie powtarzają, a więc wraz z wykopaniem labiryntu nie został zasypany żaden inny dostęp do grobowca.

Drugie przypuszczenie skierowano na nie utwardzoną drogę, po której wozono wozami żądnych wiedzy turystów, a ślady kół wiły się przez połowę Sakkary. Kaminsky kopał

doły na tej drodze w nieregularnych odstępach i dotarł na blisko dwa metry w głąb pulchnej ziemi. Po czternastu bezskutecznych próbach zrezygnował i kazał zakopać doły, lady Dawson zaś nie umiała ukryć złośliwej radości.

Wieczorem ekipa zgromadziła się w okrągłym namiocie wojskowym, który Anglicy ustawili na północny wschód od piramidy schodkowej, kilka kroków w bok od drogi do Dahszur. Nastrój był bardzo nerwowy. Kaminsky powiedział, że wywiad Jego Królewskiej Mości jest oczywiście szacowną instytucją, ale za wiele sobie wyobraża, jeśli idzie o historię starożytnego Egiptu; wpakowali się w sprawę pozbawioną wszelkich realnych podstaw, to mrzonki jakichś urzędasów, nie można znaleźć czegoś, co nigdy nie istniało.

Joan Dawson przypomniała profesorowi, że dotychczas wszelkie wykopaliska prowadzono w miejscach przez niego proponowanych,

i zapytała, gdzie, jeśli nie tutaj, w Sakkarze, mógłby być pochowany Imhotep. Po krótkiej, gorączkowej dyskusji utworzyły się dwie partie, z których jedna, Kaminskiego, żądała przerwania robót, druga zaś, partia lady Dawson, była za prowadzeniem ich dalej.

Podczas tej ożywionej dyskusji padł strzał. W pobliżu namiotu przemknął jeździec z całą gromadą, a kiedy Anglicy wybiegli z namiotu, by zobaczyć, co się dzieje, ujrzeli w odległości niecałej ćwierci mili skierowane na siebie wyloty luf pięciu karabinów, w chwilę zaś później rozległy się w ciszy następne strzały. Wszystko to sprawiało wrażenie jakiejś zjawy, i tak szybko, jak przybyli, jeźdźcy pomknęli na północ, w kierunku Abu Gurab.

Przerażająca cisza, jaka potem nastąpiła, przerwana została śmiertelnym rzeniem konia. Ten przerażający odgłos przeszył

Anglików do szpiku kości, a ponieważ nie milkł, tylko się wzmagił w swej okropności, Pincock chwycił za rewolwer i wezwał pozostałych, by za nim podążyli.

Z pochodniami i bronią gotową do strzału Pincock i sześciu mężczyzn udali się w kierunku, skąd dobiegało rzenie. Już z daleka widać było zwierzę leżące w drgawkach na ziemi. Gdy się zbliżyli, ujrzeli drugiego konia. Był martwy. Obok leżeli dwaj mężczyźni. Pincock podniósł broń, wycelował

dokładnie w łeb leżącego zwierzęcia i wystrzelił. Krótkie drgnięcie, ostatnie uderzenie tylnym kopytem, potem zaległa cisza.

Ciała mężczyzn były podziurawione kulami. Żaden nie dawał znaku życia. Pincock nalegał, by opuścić tę miejscowość, zwinąć namiot i wrócić do Mitrahine; ale Kaminsky i pozostali naukowcy zaprotestowali. W tej sytuacji na pewno wzbudziliby podejrzenia. Mężczyźni podnieśli trupy i zaciągnęli do namiotu. Kule karabinowe zadały krwawiącą ranę brzuszną siwemu mężczyźnie w średnim wieku, o ostrych rysach twarzy i szczególnie małych oczach. Drugi mężczyzna, ciemnoskóry, znacznie młodszy, z wąską bródką miał w piersi wiele kul, jedna trafiła w tętnicę.

Lady Dawson odwróciła się ze wstrętem. Kaminsky przyłożył dłoń do ust. Reszta stała zaszokowana i bezradna.

Jedynym, który w tej sytuacji trzymał nerwy na wodzy, był

Pincock.

—

Co to ma znaczyć? — zapytał chłodno, niemal obojętnie, przeszukując kieszenie zakrwawionej kurtki starszego mężczyzny; wyciągnął zwitek brązowych banknotów, było tego co najmniej pięć tysięcy funtów.

Kieszenie drugiego, również ubranego po europejsku, były puste, ale miał on na brzuchu szeroki pas z nabojami, starej, artystycznej roboty rymarskiej.

Kiedy Pincock odpiął jeden z rzemieni, na które były zamknięte poszczególne osłonki, zagwizdał cicho przez zęby.

Wyciągnął biały woreczek, otworzył go, zanurzył zwilżony śliną palec i spróbował. Potem przewrócił ciało zmarłego na bok i rozpiął pas.

Podczas odpinania reszty osłonek na amunicję ukazały się dalsze woreczki z białym proszkiem. Pincock rzekł: —

Cholernie przykra sprawa.

—

Wcale tak nie uważam — odparł Kaminsky. — To dowodzi, że nic miał to być zamach na nas. Prawdopodobnie wiele takich band narkotykowych wałęsa się po tej okolicy, wcale mi ich nie żal.

Pincock miał jednak wątpliwości. — Nie da się uniknąć zjawienia się tu policji. A to wcale mi nie odpowiada.

—

Nie zrobiliśmy nic złego — powiedział Kaminsky.

— Nie rozumiem, czego mielibyśmy się obawiać.

Wtedy lady Dawson podeszła do profesora, a oczy jej lśniły gniewem. — To ja panu powiem. Wskutek naszej tu obecności staliśmy się podejrzani. A może zechce pan twierdzić, że tuzin archeologów i agentów brytyjskiego wywiadu spędza tu, w Sakkarze, wakacje? Niech pan nie zapomina o jednym: że Egipcjanie, tak samo jak my, od szeregu lat szukają Imhotepa, a nie chciałabym, abyśmy wpadli przez taki głupi przypadek.

—
W jaki sposób chce pani temu zapobiec? — zapytał

John Kaminsky niepewnie.

—
Zaniesiemy zwłoki z powrotem tam, gdzie je znaleźliśmy - odparła lady Dawson, zapalając papierosa —

jeszcze tej nocy zwiniemy namiot i do rana zatrzemy wszelkie ślady.

Chociaż lady Dawson nie dopuszczała żadnych wątpliwości i wierzyła w powodzenie swego planu, rozgorzała ożywiona dyskusja, w czasie której Pincock podniósł do góry pas z nabojami i jakby od niechcenia rzekł: — Ten człowiek nazywa się Hafiz el-Ghafar. W każdym razie to nazwisko widnieje na odwrocie pasa.

Lady Dawson wzruszyła ramionami. Nazwisko to nic było znane w kołach brytyjskiego wywiadu.

Kiedy osiem godzin później nad cmentarzyskiem Sakkary wzeszło słońce, Anglicy pozacierali już wszelkie ślady i wycofali się do Mitrahine. Trochę później na posterunku policji w el-Bedraszeim odebrano anonimowy telefon. W nocy na północ od Sakkary doszło do strzelaniny pomiędzy dwoma gangami narkotykowymi. W dole przy drodze do Abu Roasz leżą dwa trupy.

Baron Gustav-Georg von Nostitz-Wallnitz, który zwykł

zonglować milionami i podejmować decyzje o wielkim znaczeniu, od dwóch dni biegał podniecony i wołał radośnie:

— To chłop na schwał, doprawdy chłop na schwał! — Sprawił

to list pisany odręcznie z Egiptu, z dołączonym wymiętym kawałkiem papieru, na którym widoczne były dziwne odciski.

Om ar po upływie dwóch dni dotarł do Aleksandrii i zamieszkał w hotelu „AJ-Salamlek”, z dala od centrum, skąd wysłał telegram do barona Nostitza z wiadomością, że znalazł

profesora Hartfielda w tajemniczych okolicznościach, a przede wszystkim odkrył poszukiwany fragment tablicy; odcisk jest w drodze do Berlina, Omar czeka na dalsze instrukcje.

Teraz Nagib ek-Kassar siedział nad owym odciskiem, a baron w swoim miejskim pałacu, otoczony książkami, aktami i dokumentami, nie spuszczał oka z tego, co się dzieje przy jego biurku.

Za pomocą przesuwanego ukośnie kopiowego ołówka Nagib sprawił, że pismo stało się wyraźne; teraz usiłował

pojedyncze znaki — trudne albo wręcz w ogóle niemożliwe do zidentyfikowania z powodu słabej odbitki i ub dziwnej pisowni — przenieść na kartkę papieru. Pierwsza wątpliwość Nagiba, czy rzeczywiście chodzi tu o poszukiwany fragment płyty bazaltowej z Raszid — Nagib długo nie chciał w to uwierzyć, a przy tym zazdrościł Omarowi jego sukcesu —

rozwiąła się, kiedy od- cyfrował pierwsze dwie linijki, a w trzeciej znalazł słowo „Imhotep”.

Nagib tymczasem również nie siedział z założonymi rękami. Podczas pracy w Starym Muzeum także zrobił dwa ciekawe odkrycia.

Po pierwsze, natrafił na korespondencję pomiędzy Luvrem w Paryżu a Muzeum Berlińskim, która dotyczyła właśnie owej tablicy. Doszło przy tym do wymiany kopii, tak że teraz w Archiwach Berlińskich znajdowało się faksymile, odpowiadające lewemu dolnemu rogowi tablicy.

Po drugie, Nagib natrafił podczas poszukiwania materiałów źródłowych na stary artykuł o długim tytule *Some Unpublished Demotic Fragments from the RashidArea*, zamieszczony w brytyjskim czasopiśmie fachowym, podpisany przez niejakiego Christophera Shelleya.

Jeden z tych fragmentów, na który Nagib nigdy dotąd nie zwracał uwagi, uznając go za mało ważny, przypominał mu kształt i pismo znanych części tablicy. Tekst zaczynał się staroegipską formułą pozdrowienia: „Chwała wam”, i Nagibowi przyszedł na myśl początek tablicy Mustafy Agi Ayata: „wielcy bogowie”. Nie trzeba było wielkich zdolności, by połączyć oba fragmenty i zestawić je z fragmentem berlińskim, tak że powstało całkiem sensowne zdanie:

„Chwała wam, wielcy bogowie, którzy przebywacie w wiecznym raju, pełni szczęścia i radości.” Dalej jednak tekst ich nie zawiódł; brakowało jak dotąd konkretnych wskazówek dotyczących grobu Imhotepa i jego tajemniczej zawartości.

Von Nostitz palił nerwowo papierosa za papierosem i pokrzepiał Nagiba niezliczoną ilością kawy i koniaku.

—

Nie wypuszczę pana, dopóki nie rozszyfruje pan tekstu! — rzeki dobitnym tonem, uderzając pięścią w biurko.

Nagib mruknął coś, co pozwalało sądzić, że zbyt duża ilość alkoholu zmąciła mu świadomość, ale było wprost przeciwnie.

Był całkiem trzeźwy, czuł, że rozwiązanie jest już blisko i żadna siła nie odciągnęłaby go teraz od biurka.

Późnym wieczorem — pomieszczenie było pełne dymu, a obaj mężczyźni zdążyli już wypić wspólnie butelkę rumu —

Nagib cisnął nagle ołówek na stół, chrząknął znacząco, jak gdyby chciał jasnym głosem podać ogromnie ważną wiadomość, i rzekł: — Mam!

Von Nostitz, który od pewnego czasu siedział w fotelu i rozmyślał, a pomiędzy nadzieją a niepokojem rozgniatał w palcach palące się cygara, zerwał się i tak szybko, jak pozwalała mu na to sztywna noga, poczłapał do biurka, gdzie pięć kartek wielkości dłoni leżało ułożonych w pewnym porządku, i rzekł podniecony: — No, niech pan wreszcie mówi, Nagib! Niech pan mówi!

Nagib rozkoszował się chwilą wielkiego napięcia z obojętnością człowieka wiedzącego, ale spokój, jaki okazywał

na zewnątrz, był tylko pozorny, w rzeczywistości czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach, i z trudem udawało mu się opanować drżenie rąk.

—

Błagam pana, niech pan wreszcie mówi! —

powtórzył baron, a jego głos rzeczywiście przybrał ton proszący, czego nikt dotąd u niego nie słyszał. — Nie pożałuje pan — dodał — jeśli nam się uda, spełnię jedno pańskie życzenie, a ja dotrzymuję słowa.

Przyrzeczenie z ust barona miało dużą wagę. Nie ulegało wątpliwości, że Nostitz dotrzyma słowa, że nie będzie miał

zastrzeżeń co do rozmiaru, zasięgu i wartości tego życzenia; Nagib przez chwilę zaczął się więc nad tym zastanawiać, ale potem znów pogрузzył się w notatki, które przed nim leżały.

Przerzucał je jak puzzle, tak że mniej więcej utworzyły kwadrat, następnie zaczął powoli i z namysłem czytać, wskazując przy tym palcem na każde słowo:

Przez chwilę obaj milczeli, byli pod wrażeniem tekstu z ubiegłego tysiąclecia. Pierwszy odezwał się Nagib: — Panie baronie, sądzę, że pan zauważył...

—

Co?

—

Tablica kapłanów jest jeszcze niekompletna.

Wskazał na prawy dolny róg.

—
IU, w tym miejscu brakuje trzech linijek. Chyba to jakieś czary, ale wydaje mi się, że właśnie te trzy linijki zawierają najważniejszą wskazówkę dotyczącą wejścia do grobowca.

—
Dobrze, dobrze — odparł baron — ale zacznijmy od pozytywów. Przypuśćmy, że tablica jest autentyczna i nie złapaliśmy się na lep jakiegoś hochsztaplerstwa...

—
O tym już wystarczająco długo rozmawialiśmy —

przerwał Nagib niechętnie — i skoro tak poważni archeolodzy zajmowali się tym fragmentem, może pan być pewien, że te fragmenty są prawdziwe, nawet gdyby pan wątpił w moją wiedzę o tym.

—
Nie chciałem pana urazić, pragnę tylko rozwinąć moją myśl. A więc z tekstu wynika, jeśli dobrze zrozumiałem, że istnieje grób Imhotepa i zawiera, zgodnie z relacjami ludzi, którzy widzieli go jeszcze przed trzema tysiącami lat, zgromadzone złoto i informacje, które już wtedy, w czasach powtórnego odkrycia, zostały zapomniane, a o których kapłani mówili, że są tak doniosłe, iż mogą zawładnąć światem. O

Boże!

— Baron z trudem chwycił powietrze.

—
To, co pan mówi, jest słuszne — odparł Nagib —

już od samej informacji może człowiekowi zabraknąć tchu; jesteśmy już tak blisko celu i tylko brakuje nam kilku nędznych słów — można zwariować!

Baron patrzył na puste brakujące miejsce w prawym dolnym rogu, porównywał to z kopią, którą przysłał mu Omar; potrzęsnał głową i rzekł: — Brakujące linijki mogłyby należeć zarówno do fragmentu berlińskiego, jak też do fragmentu Hartfielda.

—
I pan uważa za przypadek brak tego właśnie decydującego fragmentu? — Nagib zaśmiał się z goryczą.

Baron wzruszył ramionami.

—

Skądże! — zawołał Nagib. Oczy błyszczały mu gniewem. — Powiem panu, co o tym sędzę. Ten, kto zna dojście do grobowca, odłamał ów drobny, ale decydujący kawałek. W Berlinie nikt nie wiedział o fragmencie Hartfielda, a tylko za pomocą jego części cały tekst nabierze sensu. Można założyć, że Hartfield, znany egiptolog, wiedział

o berlińskim fragmencie, a więc mógł dokładnie zlokalizować położenie grobowca. Ale Hartfield jest człowiekiem ostrożnym. Odbił najważniejszy róg od swego fragmentu i w ten sposób jest jedynym, który zna tajemnicę. Chyba że...

—

Że co?

—

Istnieje jeszcze jedna możliwość, taka mianowicie, że Omar jest w zмовie z Hartfieldem, że działają wspólnie i obaj prowadzą podwójną

grę-

—

Posądzałby pan o to Omara?

Nagib zacisnął usta i wykrzywił twarz.

—

Wasze stosunki nie są już najlepsze — zauważył

Nostitz.

—

Można to tak nazwać, ale nie chcę nic twierdzić.

—

Nie umiem sobie tego wyobrazić. Gdyby pana przypuszczenie było słuszne, Omar przysłałby telegram, że niestety nie może znaleźć Hartfielda. W każdym razie nie przysłałby mi tej odbitki. Nie, pan się myli, nie powinien pan mieszać do tej sprawy swojej osobistej niechęci.

—

Tak tylko pomyślałem — usprawiedliwiał się Nagib.

Baron się zastanowił. — Ornar wic, gdzie Hartfield przebywa. A więc na co czekamy? Odszukajmy Hartfielda!

Nagib chciał zaprotestować, chciał powiedzieć, że nie pojedzie do Egiptu, bo obawia się o swoje życie, ale nic zdążył. Służący zameldował przybycie pani i jeszcze zanim zdążył poprosić ją do salonu, w drzwiach ukazała się Halima.

Łzy spływały jej po policzkach. Drżała od płaczu.

Nagib nie widywał Halimy, odkąd przeprowadziła się do Maxa Nikischa, nigdy jej tego nie wybaczył, już choćby dlatego, że sam od dawna miał na nią oko; ale teraz, kiedy tak stała, bezradna jak kupka nieszczęścia, podszedł do niej, wziął

w ramiona i zapytał o powód jej łez.

Halima bez słowa wyciągnęła z kieszeni gazetę, wskazała na wiadomość na pierwszej stronie i zawołała z płaczem: —

Tak go kochałam!

— Po czym padła zemdlona na podłogę.

Baron kazał natychmiast wezwać lekarza, przeniesiono Halimę do salonu i ułożono na tapczanie. Gospodyni przyniosła wilgotny ręcznik i położyła Halimie na czole.

Wkrótce Halima oprzytomniała. Przepraszała za całe zajście, ale baron poprosił ją, aby milczała, musi się oszczędzać.

Dopiero teraz obaj mężczyźni znaleźli czas, aby rzucić okiem na gazetę.

„Strzelanina na pustyni

Kair — Podczas potyczki zbrojnej pomiędzy dwoma rywalizującymi ze sobą gangami narkotykowymi na południe od Kairu zastrzelono dwóch Egipcjan. Byli to: pochodzący z Libanu handlarz korzeniami Ali ibn al-Hussein, uchodzący za herszta bandy, i nie znany policji mężczyzna o nazwisku Hafiz el-Ghaffar.”

Nagib opuścił gazetę. Spoglądał na barona, nie miał odwagi spojrzeć w twarz Halimie. — Tak go kochałam — szlochała Halima; nie ulegało wątpliwości, że nie chodziło jej o al-Husseina, tylko o Omara, którego fałszywy paszport był

wystawiony na nazwisko Hafiza el-Ghaffara.

—

Jutro jedziemy do Egiptu — oznajmił baron i nakazał, aby Kalfke przygotował wszystko do podróży.

Halima wstała. — Jadę z wami — rzekła.

W Kairze udali się najpierw na Karakol w centrum miasta, gdzie mieli nadzieję dowiedzieć się czegoś bliższego o całej aferze. Była wczesna wiosna i ludzie tłoczyli się na ulicach mimo burzy— panował nastrój, który różnił się od nastroju przybyszów.

Halima pożegnała się z Nikischem pocałunkiem i słowami, które akurat przyszły jej na myśl. Ale powiedziała mu także gorzką prawdę, że już koniec z nimi, że to wszystko było pomyłką, pomyłką jej uczuć,

co każdej kobiecie zdarza się przynajmniej raz w życiu; Max to zrozumiał, życzył jej szczęścia. Na pożegnanie podarował

jej medalik z Matką Boską, który nosił od czternastego roku życia. Nie było łez, tylko życzliwe słowa, ponieważ oboje w ciągu tygodni, które przeżyli szczęśliwie i beztrudnie jak dzieci, zrozumieli, że Wschód i Zachód mogą się spotkać fizycznie, że odrębność jednego partnera jest pociągająca dla drugiego, ale ich dusze nigdy się nie odnajdą.

Nagib usiłował pocieszać Halimę w jej bólu; wydawało się przy tym, że uczuciowo są sobie bliscy jak nigdy dotąd.

Smutek otwiera serca, i kto wie, jakby się to wszystko zakończyło, gdyby nie udali się na Karakol, gdzie urzędnik za odpowiedni bakszysz chętnie odpowiedział na wszystkie pytania, sam o nic nie pytając — czego można było oczekiwać z powodu podejrzanego zainteresowania przybyszów całą sprawą.

Dowiedzieli się więc, że zwłoki al-Husseina zidentyfikowała Leila, jego druga żona, której wydano zezwolenie na pochowanie męża; nieżonatego Hafiza el-Ghaffara zaś rozpoznała jego matka i jej przypadło w udziale oddanie mu ostatniej posługi.

Informacja, że el-Ghaffar został zidentyfikowany przez matkę, wprawiała w zdumienie najpierw Halimę, potem także Nagiba i barona. Wiedzieli przecież, że Omar nie miał

rodziców, i nagle ogarnęły ich wątpliwości, czy zmarła osoba to rzeczywiście Omar.

—

Jak on w ogóle wpadł na to nazwisko? — zapytał

Nagib barona.

—

Podał je całkiem odruchowo, podobnie jak adres.

Nie miałem powodu pytać dlaczego — tłumaczył się baron.

— Wystawienie paszportu na jakiegokolwiek nazwisko i narodowość było tylko kwestią ceny.

W jednej z eleganckich kawiarni na promenadzie nad Nilem cała trójka zastanawiała się, co robić, i w tej bezradności, która odbierała im pewność siebie i która nawet w Halimie obudziła podejrzenie, że to wszystko jest pułapką którejś ze służb wywiadowczych, Nagibowi przyszło nagle na myśl, by odwiedzić Hassana, kalekę sprzed hotelu „Mena House” w Gizie. Jeśli ktoś mógłby tu pomóc, to tylko on.

Baron w obawie przed nadciągającą burzą piaskową, wołał

pozostać w hotelu, Nagib zaś i Halima wyruszyli w drogę do Gizy.

Hassan ze swą skrzynką wcisnął się we wgłębienie muru obok wejścia do hotelu. Chociaż tumany kurzu unosiły się wokół hotelu i zasłaniały ludziom widoczność, mikasah od razu poznał Nagiba.

—

A gdzie mój przyjaciel Omar? — zapytał Hassan, kiedy Nagib przedstawił mu Halimę. Nie mógł wiedzieć, jakie uczucia obudził w obojgu tym pytaniem.

Nie odpowiedzieli. Nagib natomiast od razu zaczął

wypytywać starego, czy słyszał o strzelaniu pod Sakkarą.

Hassan spojrzał na Halimę i skinął głową, jakby zamierzał

wyrazić jej współczucie, ale zamiast tego rzekł: — Sądzę, że jesteś zadowolona, pozbywszy się tego al-Husseina. Omar wiele mi o tobie opowiadał.

—

A ten el-Ghaffar? — zapytał Nagib niecierpliwie.

—

Thki sam łajdak jak jego pan. Oficjalnie był dozorcą w jednej z kamienic al-Husseina, w rzeczywistości zaś był

jego najwierniejszym sługą przy dokonywaniu niecznych łotrstw. Allah karze każdego, kto na to zasługuje.

Wówczas Nagibowi rozjaśniło się w głowie, przypomniał

sobie, że słyszał już kiedyś to nazwisko; teraz wiedział, dlaczego Omar wybrał to właśnie fałszywe nazwisko. Hafiz el-Ghaffar był dozorcą kamienicy, w której obaj mieszkali przed laty.

Gdy Halima zrozumiała te powiązania, rzuciła się Nagibowi na szyję, zapłakała z radości, wołając, że kocha Omara, tylko jego, nikogo innego.

Ale gdzie jest Omar?

Baron z ulgą przyjął do wiadomości nowinę. Telefon do hotelu „Al- -Salamlek” w Aleksandrii wyjaśnił sprawę; niejaki Hafiz el-Ghaffar mianowicie wciąż jeszcze tam mieszka, ale chwilowo jest nieobecny — czy mają mu coś przekazać?

Jeszcze tego samego dnia baron von Nostitz-Wallnitz, Halima i Nagib pojechali do Aleksandrii. Taksówka przywiozła ich przed wieczorem do tego samego hotelu, w którym zatrzymał się Omar. Nie był to wytworny hotel, stał

nico na uboczu, ale właśnie dlatego nadawał się dla ludzi, którym zależało na tym, aby nie rzucać się w oczy.

Jak ich poinformowano, el-Ghaffar znajdował się w jadalni.

Portier posłał służącego, aby go sprowadził.

Halima drżała, chodziła nerwowo tam i z powrotem. Nie będzie miała odwagi spojrzeć Omarowi w oczy. A może Omar nie zechce na nią spojrzeć? Może odwróci się od niej i nazwie dziwką? Halima nie mogłaby mu mieć tego za złe.

Przez oszklone drzwi, ozdobione białymi ornamentami, Halima ujrzała nadchodzącego Omara. Nie miała wątpliwości

— to on. Chciała podbiec do niego, rzucić mu się w objęcia, ale stała nieruchomo, bała się.

Omar bez słowa podszedł do niej, skinął głową, jakby chciał powiedzieć: Wiedziałem, że wrócisz. Ale nic nie powiedział, tylko wziął ją w ramiona. Milczał, kiedy Halima zapytała cicho: — Czy mi wybaczysz? Ja cię Kocham.

Przez chwilę Nagib i baron stali obok, potem zasypali Omara pytaniami. Omar opowiadał prawie przez pół nocy, jak dotarł do klasztoru, jak natrafił na Hartfielda i szalonych mnichów. Opowiedział o odkryciu bazaltowej tablicy w archiwum klasztornym, o dziwnym zachowaniu profesora, który co jakiś czas popada w szaleństwo i zachowuje się, jakby był kimś innym. Opowiadanie to wprawiło barona w istny szal; powtarzał w kółko, że to najszcześniejszy dzień jego życia, a twarz mu promieniała.

Nagib opowiedział Omarowi, jaka była treść przysłanej przez niego odbitki, a także oznajmił, że brakuje nazwy miejscowości; należy przypuszczać, że Hartfield odłamał tę część tablicy, żeby zatrzeć wszelkie ślady. Wreszcie uzgodnili, że nazajutrz rano pojedą do Raszid i dalej do Fuwy.

Tam zamierzali wynająć muła, by dotrzeć do Sidi Salim. Ich celem było uwolnienie profesora Hartfielda z klasztoru.

Obawy Omara, że niedogodności takiej podróży zmęczą barona, ten zdecydowanie odrzucił. Nie da się odsunąć od owoców swej pracy; jeśli to będzie konieczne, osobiście wydestynuje Hartfielda z klasztoru.

Wynajętym samochodem udali się nazajutrz do Raszid; baron mimo upału świetnie zniósł podróż. U kowala w Raszid kupili broń, nazir sprzedał im stary namiot wojskowy i kompletne wyposażenie, zawierające także wodę na cały tydzień, baron kupił pięć mułów, które handlarz obiecał

przyjąć z powrotem po niskiej cenie, jeśli nie będą im odpowiadały. Tak więc Omar, Nagib i baron ruszyli w drogę.

Halima pozostała w hotelu.

Inaczej niż podczas pierwszej podróży do Sidi Salim, kiedy to Omar był całkowicie zależny od woźnicy Alego, tym razem miał doskonałą mapę. Z Raszid w górę Nilu prowadziła dobra droga w kierunku Fuwy. Po dwóch godzinach drogi trafili na wiodący na wschód szlak karawanowy, który początkowo prowadził wzdłuż południowego brzegu słonego jeziora Burullu, następnie przez bagnisty teren na wschód. Nad małą rzeczką ścieżka skręcała na prawo i wiodła wprost do Sidi Salim.

Baron, który jeszcze nigdy nie jechał konno, nie mówiąc już o mule, zniósł tę niewygodę z wielkim spokojem. Był

wyposażony w hełm tropikalny i miał na sobie ubranie khaki, jakie nosili wszyscy Anglicy, kiedy przybywali do Egiptu; wyznaczył sobie bojowe zadanie, polegające na obserwowaniu horyzontu przez lornetkę, aby uniknąć niemiłego spotkania z mnichami z Sidi Salim.

Omar powziął następujący plan: Około trzech godzin drogi od Sidi Salim mieli rozbić namiot w niskich zaroślach, następnie odpocząć, a gdy zapadnie zmierzch, zostawić bagaż i podejść do klasztoru. Zabiorą ze sobą najsilniejszego muła, ponieważ nie wiadomo, w jakim stanie jest Hartfield.

W milczeniu sprawdzali broń. Nagib i Omar od czasu budowy kolei przez Synaj byli obeznani z bronią. Nagib miał

karabin arabski dużego kalibru, staromodny, ale — jak twierdził — celny i prosty w obsłudze. Omar był wyposażony w nagan, kaliber 7,62. Baron natomiast miał

mauzera, ale odnosił się do swej broni nieufnie; uniknął

służby wojskowej ze względu na sztywną nogę i — jak oznajmił — zrobi użytek z broni tylko w obliczu największego niebezpieczeństwa.

Ich jedyną szansą przeciwko szalonym mnichom, którzy mieli przewagę liczebną, a przy tym także posiadali broń, było zaskoczenie. Musieli niepostrzeżenie wdrzeć się do labiryntu korytarzy, uwolnić profesora i szybko zbiec. Siedzieli spoceni w namiocie i omawiali wszelkie ewentualności akcji. Omar nakreślił plan klasztoru na ubitej ziemi i drogę, jaką musieli obrać, by dotrzeć do

pieczary, gdzie wegetował profesor.

Omar opisywał wszystkie szczegóły, jakie zdołał zapamiętać.

—
Jest jeszcze jeden szkopuł — rzekł skończywszy. —

Co zrobimy, jeśli Hartfield nie zechce pójść z nami?

Baron spojrział na Omara zdumiony. — Czemu by nie chciał iść? Przecież jest więziony przez mnichów?

—
Owszem. Ale kiedy go zapytałem, czemu nie chce ze mną odejść, odpowiedział, że nie odejdzie bez żony, którą mnisi także przetrzymują w klasztorze.

—
Ale przecież pani Hartfield nie żyje — zdziwił się baron.

— No właśnie, obawiam się, że profesor dostanie szoku, kiedy się o tym dowie.

—
Wobec tego musimy go wywabić pod pretekstem, że zaprowadzimy go do żony — przerwał baron dyskusję. — To co prawda nieuczciwe, ale w tym wypadku chyba jedyne możliwe wyjście. Tylko w ten sposób zmusimy go do pójścia z nami.

Przed wieczorem ruszyli, Omar, Nagib, von Nostitz i muł, którego nazwali Zulejką. Przed nimi ukazał się ciemny zarys łańcucha górskiego, na którego zboczach położony był

klasztor. Choć księżyc przeważnie był zasłonięty niskimi chmurami, oczy ich przywykły do ciemności, tak że łatwo orientowali się w terenie.

—
Tkn! — Omar pokazał ręką na wschód.

—
O Boże! — baron zatrzymał się — Ruiny kościoła pośród pustyni.

Na tle słabo oświetlonego nieba unosił się wysoki łuk.

Nierealny obraz niczym kulisa w operze. I chociaż Omar opisał dokładnie klasztor, obaj byli zaskoczeni, bo to, co zobaczyli, wyobrażali sobie zupełnie inaczej. Nocne zjawisko wśród martwej przyrody wyglądało raczej romantycznie niż przygnębiająco, i trudno im było wyobrazić sobie, co tu się dzieje pod ziemią.

Omar nasłuchiwał. — Słyszycie śpiewy?

Nagib i baron wstrzymali oddech. — To brzmi jak dalekie wołanie w lesie, a czasem jak skomlenie kopanego psa —

rzekł baron cicho.

—

To litania mnichów. Moment jest dogodny. Póki są zatopieni w śpiewie, nie mamy się czego obawiać, bo brat Menas jest zajęty pilnowaniem ich.

Wszystko przebiegało zgodnie z planem Omara. Baron zajął pozycję w kącie budynku bez dachu, skąd prowadziły schody pod ziemię; trzymał w pogotowiu mauzera. Omar stanął na kamiennej płycie, która się odchyliła jakby za dotknięciem ręki widma, i Omar i Nagib zniknęli.

Choć baron von Nostitz wiedział, że mnisi mają broń, a Omar opowiadał, że są nieobliczalni i niebezpieczni, wcale nie odczuwał strachu. Dodawało mu odwagi nieopisane uczucie, że po raz pierwszy w życiu czyni coś zuchwałego, ryzykownego, szalonego, coś niezwykłego, co całkowicie odbiega od jego uporządkowanego, zaplanowanego w najdrobniejszych szczegółach życia. By doznać takiego uczucia, musiał się zestarzeć, i nie po raz pierwszy przyszło mu na myśl, że wszystko dotychczas robił źle.

W pomieszczeniu z dzbanami Omar z trudem nakłonił

Nagiba, aby szedł dalej. Śpiew mnichów był coraz głośniejszy i Nagib odbezpieczył broń. — Nie rozumiem — szepnął —

dlaczego nikt nie stoi na straży?

—

Jedyny zdolny do tego mnich, który jest przy zdrowych zmysłach, to Menas, a ten musi przede wszystkim strzec swoich współbraci, żeby się nawzajem nie pozabijali.

Rzucają się na siebie niczym dzikie zwierzęta, jeśli choć na chwilę spuści się ich z oka. Zresztą tylko tacy wariaci jak my tutaj trafiają.

Omar zatrzymał Nagiba chwytając go za ramię. Na końcu korytarza świeciło się jasne światło. Śpiewy brzmiały teraz głośniejsz. Omar i Nagib posuwali się ostrożnie do przodu.

Kiedy doszli do końca korytarza, Omar zajrzał za róg.

Następnie dał znak wzrokiem Nagibowi, żeby ten spojrzął na śpiewających mnichów.

Nagib po chwili odwrócił się z obrzydzeniem od tego żałosnego widoku. Straszliwy grymas na twarzach, dzikie zachowanie starych ludzi, którzy od lat nie widzieli promienia słońca — wszystko to budziło w nim odrazę. Jaki był powód ich dziwnego zachowania? Nagib nie mógł tego zrozumieć.

Omar odciągnął go od tego widoku. Weszli wąskimi schodami na piętro, następnie dotarli do jaskini profesora.

Omar ostrożnie odsunął zasłonę. Hartfield siedział na podłodze ze skrzyżowanymi nogami; choć wzrok jego był

skierowany na zasłonę, jakby nie zauważał intruzów.

—

Chodź! — Omar dał znak Nagibowi i wśliznęli się do jasno oświetlonego pomieszczenia. W milczeniu uklękli przed nieobecnym duchem profesorem. Omar zaczął do niego przemawiać.

—

Ka Edwarda Hartiielda, czy mnie słyszysz?

Bindy mężczyzna zaczął się poruszać mechanicznie, jak kukielka, a jego głos brzmiał jakby nierealnie: — Jestem Ka profesora Hartiielda. Kio mnie wola?

—

Ka Edwarda Hartiielda, przybyliśmy, aby cię stąd zabrać. Zaprowadzimy cię w bezpieczne miejsce, gdzie nie będziesz się musiał obawiać mnichów.

— Nie chcę stąd odchodzić — odparł Hartfield bezdźwięcznym głosem. — '111 jest mój dom, tu jest moje życie. Wynoście się stąd, bo i was pochwyć.

—

Ka Edwarda Hartiielda — zaczął Omar od nowa, ale teraz, jego słowa brzmiały bardziej energicznie

— przybyliśmy, aby cię zaprowadzić do twojej żony Mary...

—

Jestem Ka Edwarda Hartiielda — powtórzył

profesor monotownie — nie wiem, o czym mówicie, jestem Ka Edwarda Hartiielda.

Omar i Nagib spojrzeli na siebie; co robić? Jedyne, co mogłoby pomóc, to czekanie, aż minie faza szaleństwa. Ale do tego czasu mnisi skończą swoje modły, a nikt nie mógł

przewidzieć, jak Hartfield by zareagował, gdyby go zabrali siłą.

—
Gdzie jest Mary? — zapytał nagle profesor. —

Gdzie jest Mary?

Nagib natychmiast odpowiedział: — Pańska żona jest w Aleksandrii.

Przybyliśmy tu, by pana do niej zawieźć. Niech się pan nie upiera i jedzie z nami.

—
Gdzie jest Mary? — powtórzył profesor, teraz jego głos brzmiał niecierpliwie i groźnie.

—
Jeśli pójdzie pan z nami — powtórzył Nagib —

zaprowadzimy pana do żony.

Powstała długa pauza. Profesor milczał, jego tępy wzrok zdradzał niepojętą nieczytalność, nie wiadomo było, co się w nim dzieje. Potem stało się coś nieoczekiwanego: Hartfield wstał, skierował wzrok na drzwi i ruszył jak lunatyk przed siebie, po wąskich schodach, przez korytarz, który prowadził do śpiewających mnichów i dalej do pomieszczenia z dzbanami; Omar i Nagib szli za nim. Byli tak zaskoczeni tym nagłym zwrotem w zachowaniu profesora, że milczeli, niepewni, dokąd Hartfield skieruje swe kroki.

Nic tak wyobrażali sobie uwolnienie profesora. Spodziewali się, że będą musieli ciągnąć go siłą, a tymczasem szedł z nimi bez oporu.

Przed wąskimi schodami prowadzącymi na dwór Hartfield się zatrzymał. Wzrok jego był skierowany na stopnie, wydawało się, że chce, aby jeden z nich poszedł przodem; wiedział bowiem, gdzie jest wejście, ale nie znał mechanizmu jego działania. Omar poszedł pierwszy, nacisnął płytę, następnie wyszli po kolei na zewnątrz.

Baron trzymał hion w pogotowiu; na widok tłocznych mężczyzn wychodzących spoił ziemi wydał okrzyk /durnienia.

Akcja trwała najwyżej pół godziny, o wiele krócej, niż przewidywali. W parnej nocy, jaka ich otaczała, profesor zaczął się zataczać. Bóg wie, ile czasu nic otlilychat świeżym powietrzem. Omar i Nagib musieli go podtrzymywać. 'leni/, nic wolno im tracić czasu. Co prawda byli pewni, że kiedy mnisi odkryją nieobecność profesora w jego ccii, zaczną przeszukiwać klas/tor, a to potrwa jakiś

czas; musieli jednak liczyć się z tym, że podejmą pogoń, jeśli go nie znajdą.

Z trudem posadzili nieobecne duchem profesora na mula.

Nie bronił się. I kiedy wędrowali na północ piawym hi/egiem rzeki, porośniętym krzewami, prawie się nic odzywali. Omar, Nagib i baron byli myślami daleko stąd, każdy szukał własnej drogi do grolniwcu Imhotepa.

Mieli teraz przed sobą wielki problem: jak zmusić profesora do mówienia. Wydawało się raczej pewne, że zna on wejście do grobowcu; można by nawet przypuszczać, że już tam był z własnej woli albo pod naciskiem mnichów. Ale jak zdobyć jego tajemnicę?

Jeszcze pod osłoną nocy dotarli do namiotu i mułów, które pozostawili. Na propozycję Omara, by od razu wyruszyć w drogę powrotną, Nagib zaprotestował, ale baron się zgodził, wykazywał w tej sytuacji niezwykłą energię. Po krótkim odpoczynku zwinęli namiot i ruszyli w drogę.

Hartfield pozwalał robić ze sobą wszystko, pił i jadł

posłusznie, co mu podano, i w milczeniu jechał na mule.

Kiedy zaczęło świtać, ujrzeli z daleka zabudowania Raszid.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem Omar, Nagib, von Nostitz i profesor Hartfield dotarli wynajętym samochodem do hotelu „Al-Salamlek”, gdzie czekała na nich Hala. Wprowadziła ich w zaniepokojenie, kiedy oznajmiła, że od kilku dni obserwuje, iż jakiś mężczyzna o europejskim wyglądem, w każdym razie nie-Egipcjanin, chodzi za nią krok w krok, a teraz, kiedy mężczyźni wrócili, nagle zniknął.

Baron uznał, że wobec tego należy jak najszybciej wracać do Kairu, i zamówił taksówkę na najbliższy ranek.

W gorączce minionych dni Hartfield miewał coraz częściej przebłyski normalności, odpowiadał sensownie na pytania, ale sam o nic nie pytał, co wydawało się dziwne. Był posłuszny; przyzwyczyił się do tego u mnichów.

Omar zaproponował, aby zatrzymać się w hotelu „Mena House”, bo tam, jak sądził, cudzoziemcy najmniej rzucają się w oczy, a do Sakkury można było dotrzeć drogą przez pustynię.

— Kim są ci obcy? — zapytał Nagib Omara, spoglądając na Nostitza i Hartfielda.

Omar odpowiedział, a Nagib dziwił się, że Omar obcuje z takimi ważnymi osobistościami.

— Czy słyszałeś o lordzie Carnarvonie? — zapytał

Hassan.

—

O Carnarvonic? A co z nim?

—

Nie żyje.

—

Carnarvon nic żyje?

—

Od dwóch dni. Wynieśli go tymi drzwiami.

—

Jak to się stało? Był przecież mężczyzną w sile wieku.

Kaleka skinął głową. — Tb bardzo dziwna historia. Carter i Carnarvon odkopali w Luksorze grobowiec z sarkofagiem faraona. Wyciągnęli mumię, a pięć dni później lord stracił przytomność. Kiedy oprzytomniał, zaczął bredzić, mówił o wielkim czarnym ptaku; kiedy zaś zmarł, o godzinie drugiej w nocy, w całym Kairze pogasły światła.

Nikt nic wic dlaczego; a teraz wszyscy mówią o przekleństwie faraona. Strzeż się!

—

Po pierwsze — odparł Omar — Imhotep nic był

faraonem, po drugie, nie jestem przesądny. A co z Carterem?

—

Nic. Zajmuje się opróżnianiem grobowca.

—

No widzisz. On nie wierzy w tę gadaninę.

Kaleka, człowiek zazwyczaj trzeźwo myślący, wzruszył

ramionami, jakby chciał powiedzieć: Cóż może wiedzieć ktoś taki jak ja!

Baron przyjął bez wahania obowiązek poinformowania Hartfielda

o śmierci jego żony. Poczekał na jeden z coraz częstszych teraz momentów jasności umysłu profesora i współczującym tonem opowiedział mu, jak znaleziono Mary Hartfield i że istnieje podejrzenie, iż zabili ją mnisi.

Hartfield, którego pokój znajdował się pomiędzy pokojami barona a Nagiba i przez cały czas był przez nich strzeżony, przyjął hiobową wieść ze spokojem, jakby usłyszał coś, co już od dawna przypuszczał.

—

Czy pan mnie zrozumiał? — zapytał baron.

Profesor odparł: — Zrozumiałem pana, moja żona nie żyje.

—

Bardzo mi przykro — usprawiedliwiał się baron —

że Omar

Nagib wywabili pana z klasztoru pod pretekstem zaprowadzenia pana do żony. Ale to była jedyna możliwość w tej sytuacji. Proszę nam wybaczyć.

Profesor skinął głową i w tej samej chwili weszli do pokoju Omar, Halima i Nagib. Przez chwilę siedzieli wszyscy w milczeniu. Potem Hartfield po raz pierwszy zadał pytanie: —

Dlaczego mnie stamtąd wydostaliście?

—

Potrzebna jest panu natychmiast pomoc lekarska! —

powiedział Omar szybko. — Odwieziemy pana do brytyjskiego szpitala.

—

To bardzo miłe z waszej strony — odparł Hartfield

— ale z tego powodu nie ryzykowałibyście życia. Nie oszukujmy się. Wiem, czego ode mnie oczekujecie, ale muszę was rozczarować, niczego się ode mnie nie dowiecie!

Panie profesorze zaczął Nagib - wiemy więcej o Imhotpic, niż pan przypuszcza. Znamy nie tylko informacje brytyjskiego, francuskiego i niemieckiego wywiadu...

—

Wywiadu?

—

To pan nie wiedział, że od dawna zajmują się tą sprawą wszystkie wywiady?

—

Nic, nie wiedziałem. A wy gdzie należycie?

—

Nic mamy nic wspólnego z żadnymi tajnymi służbami. Szukamy Inihotpa, bo nic chcemy, aby sukces przypadł jakimkolwiek wywiadowi na świecie.

—

Sukces? — Hartfield potrząsnął głową. - Nie wiem, czy mo/na uznać za sukces odnalezienie grobowca Imhotepa.

—
Znamy — zaczął Nagib od nowa — nie tylko informacje wywiadów, wiemy także o pańskiej tablicy z Raszid. - Wyciągnął kartki; z całym zapisanym tekstem.

Edward Hartfield zawahał się. Był jakby zaskoczony, baron zaś uczynił przeczący ruch ręką, bo uważał, że profesor jest zbyt osłabiony, aby się zajmować lekturą. Ale ten szybko przebiegł wzrokiem wiersze, a kiedy skończył, ledwie dostrzegalny uśmiech pojawił się na jego twarzy i oddał kartkę.

—
Jeśli mogę udzielić wam rady...

Nic więcej nie powiedział. Czy wskutek wysiłku, czy też okropnej choroby — profesorowi zrobiło się słabo i ciężko dyszał. Położyli go na łóżku i Halima przejęła nad nim opiekę.

Baron, Omar i Nagib udali się na kolację do eleganckiej restauracji z widokiem na piramidy Gizy. Wieczorem, kiedy ich fioletowe sylwetki wznoszą się na tle jaśniejszego nieba, wyglądają jak góry nie do zdobycia, wydają się niemal groźne.

Wszyscy jedli bez iipetytu. Nie dlatego, że kuchnia europejska, którą tu prowadzono ze względu na dużą liczbę cudzoziemców, była niesmaczna; jedzenie było doskonałe, ale każdy z nich zastanawiał się, jak przekonać profesora. Przede wszystkim baron myślał o powodach, jakie skłaniały Hartfielda do milczenia. Profesor nie był człowiekiem, który strzegłby swej wiedzy ze względu na osobiste korzyści. Baron nie mógł też uwierzyć, że był on w zмовie z mnichami.

Nagle weszła Halima. — On majaczy — powiedziała cicho i rozejrzała się, aby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy. — Mówi

o Imhotepoie, nic więcej nic rozumiem. Mówi po angielsku.

Omar wstał, dał znać reszcie, by pozostała, i poszedł i Haiimą do pokoju profesora. Hartfield oddychał teraz krótko, nierówno, rzucał się na łóżku, a przy tym mówił dziwne rzeczy o cieniu faraona, o lśniących ramionach Ra, o zakazanych drzwiach.

w

— Czy rozumiesz coś z tego? — zapytała Halima podenerwowana.

Omar przybliżył głowę do twarzy profesora, jakby chciał

słyszeć każde słowo padające z jego ust. — Nie — rzekł

wreszcie — wiem tylko tyle, że nurtuje go ten sam problem co nas. Mówi o tablicy, na której opisany jest grób Imhotepa.

Jego słowa w całości są zagmatwane, ale pojedynczo można je zrozumieć.

Wreszcie Omar zaczął zapisywać urywki słów profesora. —

Może później wydobędzie się z nich jakiś sens.

Halima usiadła obok Omara. Położyła mu rękę na ramieniu i patrzyła w milczeniu, jak Omar notuje. Sprawa z Hartfieldem bardzo ją poruszała, ale jeszcze bardziej bliskość Omara. Była szczęśliwa, że ma go przy sobie, a że wykazywał pewną powściągliwość — tego nie mogła mu mieć za złe.

Naraz Omar cofnął ramię, Hartfield zaczął mówić po arabsku. Wprawdzie Omar wiedział, że profesor opanował ten język dość dobrze, ale ta zmiana w majaczeniu wydała mu się czymś niezwykłym. Wtedy, w klasztorze w Sidi Salim, kiedy wyznał, że jest Ka profesora Hartfielda, mówił też po arabsku; wyglądało, że walczą w tym człowieku dwie istoty o różnych charakterach.

— Tysiąc... kroków... od grobu... króla... drzwi do poznania... woda... Imhotep.

Nagle głowa Hartfielda opadła, jakby dokonał on niezwykłego wyczynu albo zdobył się na wielki wysiłek. Jego oddech stał się teraz spokojny i regularny. Zasnął mocno.

— Myślę — rzekł Omar, spoglądając na kartkę — że Hartfield zdradził nam więcej, niż chciał.

Pobiegł do holu hotelowego, odnalazł barona i Nagiba przy barze, bez słowa położył im kartkę przed oczami.

— Co to jest? — zapytał baron.

— Zapisałem wszystko, co Hartfield mówił w malignie. To bardzo interesujące. Dziwne, ale mówił po arabsku.

— Tysiąc kroków od grobowca króla? — Baron się zastanawiał.

Nagib wtrącił: — W jakim kierunku tysiąc kroków? Na południe, na północ, na wschód, za zachód?

Popatrzyli na siebie. — Przynajmniej wiemy — powiedział

von No- stitz — że grobowiec Imhotepa znajduje się w promieniu tysiąca kroków od piramidy faraona Dżosera.

Gdybyśmy znali długość kroków, moglibyśmy zakreślić koło, a na jego łuku znajdowałoby się wejście.

— Kroki to dokładna jednostka miary dawnych Egipcjan

— powiedział Nagib. — Jeden krok oznacza dwie stopy, a więc sześćdziesiąt sześć centymetrów.

Promień, zaczynając od środka piramidy, wynosiłby zatem sześćset sześćdziesiąt metrów.

—
To fantastyczne! — Oczy barona lśniły

podnieceniem jak zawsze, kiedy chodziło o Imhotepa. Von Nostitz był przekonany, że jest już bliski celu. Dla niego cała akcja weszła w nową fazę i nic, ani ostrzeżenia, ani groźby, ani niepewność tego, co ich czeka, nie byłoby w stanie odwieść go od działania. Była to żądza czegoś niezwykłego

—
inaczej nie można nazwać jego zachowania w tej sprawie —

która ogarnia każdego człowieka choć raz w życiu, która przybiera najrozmaitsze formy i wpędza swą ofiarę w nieszczęście.

Jest więc zrozumiałe, że baron nalegał na Omara i Nagiba, aby nazajutrz pojechać do Sakkary; Halima i profesor mieli zostać w hotelu.

To, co początkowo miało pozory dokładnych danych geograficznych, na miejscu okazało się problemem nie do rozwiązania, ponieważ łuk koła wokół piramidy Dżosera obejmował wiele kilometrów i było prawie niemożliwe wyznaczyć promień na falistym terenie. Posługiwali się sznurem długości stu metrów, który odkładano na ziemi sześć i pół raza, poczynając od zachodu, gdzie teren był najmniej zbadany. I choć zrezygnowali z wszelkiego rodzaju narzędzi do kopania, ponieważ mieli nadzieję, że natkną się na wymieniony w tablicy z Raszid wał kamienny, po wielogodzinnych poszukiwaniach w nieznośnym słońcu zbadali zaledwie trzydziestą część łuku. Omar i Nagib byli wykończeni, tylko von Nostitz pracował jak opętany.

W hotelu „Mena House” Halima starała się złagodzić napady gorączki u profesora, kładąc mu na czole i piersiach wilgotne ręczniki. Dotychczas drgawki były tak silne, że Halima obawiała się, iż Hartfield nie przeżyje następnego ataku, i wbrew wskazówkom barona próbowała wezwać lekarza.

Kiedy profesor około południa ocknął się z delirium, zażądał zimnej wody z octem, którą — jak twierdził —

aplikowali mu mnisi z Sidi Salim i która łagodziła ataki.

Potem trochę się uspokoił.

—
Jesteś dla mnie taka dobra — powiedział Hartfield

— jak się nazywasz?

Halima.

—

Jak mam ci dziękować?

—

Nie ma o czym mówić — odpowiedziała Halima i pogładziła rękę profesora.

—

A gdzie jest reszta? — Gdzie są inni? — powtórzył

Hartfield, kiedy spostrzegł, że Halima nie chce odpowiedzieć.

Postanowiła nie obciążać niepotrzebnie profesora swoją odpowiedzią; ale ponieważ nalegał uparcie, powiedziała zgodnie z prawdą: Pojechali do Sakkary.

— Jak można być tak nierozważnym. Przecież oni nie znajdą Im- hotepa.

—

Ale w malignie powiedział pan...

Hartfield się podniósł. — O Boże — mruknął po angielsku, a zaraz potem ciągnął dalej po arabsku: — Co powiedziałem?

—

Powiedział pan, że Imhotep jest pochowany tysiąc kroków od piramidy schodkowej, nie więcej. Teraz oni wymierzają całą okolicę i mają nadzieję natknąć się na wejście do grobowca.

—

Nie wolno im tego robić! — zawołał Hartfield w najwyższym wzburzeniu. — Musisz ich powstrzymać.

—

Nie mogę. Von Nostitz jest jak opętany; nikt nie potrafi go powstrzymać, a Omar i Nagib spełniają jego polecenia.

—

Czy chcesz, aby skończyli tak jak ja?

Halima spojrzała pytająco na profesora. Co miał na myśli?

—
Moje życie — zaczął Hartfield — jest zmarnowane.

Zmarnowane dlatego, że żądałem od niego więcej, niż mi się należy.

—
Nie rozumiem, co pan ma na myśli, profesorze.

—
Posłuchaj, wiedza niekiedy natrafia na granice poznania, których przekroczenia zakazuje wiara. Chcę powiedzieć, że istnieją rzeczy, których zgłębienie przez człowieka jest możliwe, ale niewskazane, ponieważ przekraczają one jego horyzont. Człowiek, który wierzy w Boga, powinien hamować swoją zuchwałość; pycha jednak jest od zarania właściwością człowieka. Już w Starym Testamencie ludzie próbowali dorównać Bogu. Ale Bóg ich ukarał. Imhotep był takim człowiekiem. Talenty, w jakie wyposażyli go bogowie, pozwalały mu czynić rzeczy, które ludziom były zabronione. Imhotep próbował urzeczywistnić to, co Egipcjanie od tysiącleci próbowali zrobić jedynie w sposób symboliczny: Zachować w swoim ciele nie duszę ludzką, tylko Ka, siłę życia. Szukał formy nieśmiertelności, wiecznego życia. Odkrył tajemny środek — bakterię, wirusa, obojętne, jak to nazywać; wiedza dawnych Egipcjan o tym była znacznie większa, niż się przypuszcza...

—
Lord Carnarvon! — wykrzyknęła Halima.

.— Carnarvon?

—
Był przy tym, kiedy Howard Carter otwierał

grobowiec 'Riten- chamona. Nietknięty grób — dodała wyjaśniająco. — A teraz nie żyje.

—
Klątwa faraonów — powiedział Hartfield — może przybierać wiele form. Kiedy Imhotep zaklinał Ka w komórce człowieka, aby pozostała wieczna, niezniszczalna, nie pomyślał o tym, że człowiek nie przeżyje takiej egzystencji pozostając przy zdrowych zmysłach. Tak więc każdego, kogo dotknie cień Imhotepa, w regularnych odstępach i coraz częściej będą nawiedzały ataki obłądu, ograbiając go z jego człowieczeństwa. — Profesor zaśmiał się gorzko. — Oto koniec na miarę

Imhotepa. Być czczonym jak bóg, być przeklętym za życia i zdegradowanym do stopnia zwierzęcia — tak jak koptyjscy mnisi, którzy wydarli mi tajemnicę, i jak ja, bo moja wola nie jest dość silna, aby skończyć z tym stanem.

—
Wierzę panu, rozumiem, co pan ma na myśli —

powiedziała Halima.

—
Imhotep — ciągnął Hartfield dalej — był bliski nieśmiertelności, ale jej nie osiągnął. Popęłnił samobójstwo w duchowym zaćmieniu, a jego współcześni wyposażyli go we wszystkie dobra jak faraona, w złoto i wszelkie kosztowności.

A jego mądrość wyryli na ścianach, aby myśli geniusza nie przepadły.

Halima z wahaniem wyraziła sprzeciw: — Ale pan widział

grób, profesorze?

Powstała długa pauza. — Niech pani na mnie popatrzy —

odparł Hartfield wreszcie. — Trzy wejścia prowadzą do grobu Imhotepa. Pierwsze nazywa się „Bramą Pokoju”, drugie

„Bramą Tęsknoty”, a trzecie nosi nazwę „Bramy Obłądu”. Kto przekroczy tę bramę, na tego rzucają się miliony „cieni śmierci”, owe zarazki, których od tysiącleci jest z każdym dniem coraz więcej, a nie ma możliwości, aby się przed nimi uchronić. Ja pierwszy tego doświadczyłem; wtedy mnisi z Sidi Salim zmusili mnie, abym im zdradził wejście do grobu.

Powiedziałem im całą prawdę, ale oni mi nie uwierzyli i wszyscy aż do ostatniego wdarli się do grobowca, i wkrótce cały klasztor popadł w obłąd. A teraz rozszarpują się nawzajem.

—
Na Allaha litościwego! — zawołała Halima przerażona. — Oni nie powinni odnaleźć tego grobu.

Hartfield popatrzył przed siebie tępo i skinął głową. —

Dlatego wszystko pani opowiedziałem.

W głowie Halimy kotłowały się szalone, dzikie myśli.

Widziała Omara, jak wdziera się do grobowca. Widziała, jak przekracza pierwszą, drugą i trzecią bramę, i z okrzykiem, jak gdyby to na nią napadły „cienie śmierci”, wypadła z pokoju, pozostawiając profesora w łóżku, przemknęła przez hol do wyjścia, zatrzasnęła drzwi czekającej taksówki i zawołała wzburzona: — Do Sakkary — jak najprędzej!

Hassan, którego uwagi nie uszło żadne ważniejsze zdarzenie w „Mena House”, obserwował całą

scenę z oddali.

Nie umiał sobie tego wytłumaczyć.

—
Czy nie może pan jechać trochę szybciej? —

krzyknęła Halima na kierowcę.

Ten włączył najwyższy bieg swego forda, ale zauważył z obojętnością poganiacza wielbłądów: —
Inszallah, ja saidi, Allah stworzył czas, nie ma się co spieszyć.

Już dwa razy traciła Omara, po raz trzeci nic znieśie straty.

Nie może się nic stać. Omar nie może wejść do grobowca. I nagle przyłapała się na tym, że się modli, że błaga Allaha, aby zapobiegł najgorszemu. Ale czy Allah nie zsyła kary na nią za jej zuchwałość, za to, że porzuciła al-Husseina, któremu przysięgała wierność. Chciała za to odpokutować i była gotowa przyjąć na siebie najgorszy los, tylko nie tę najwyższą cenę, jaką byłby obłęd Omara.

Samochód wznosił tumany kurzu i było widać z daleka, jak pędzi. Von Nostitz dał pozostałym znak, aby przerwali pracę.

Gdzieś w połowie drogi taksówka stanęła, Halima wysiadła i pobiegła przez kamienisty teren do trzech mężczyzn, którzy dopiero teraz ją poznali.

—
Co się stało? — zawołał Omar z daleka.

—
Czy znaleźliście Imhotepa? — zapytała Halima wzburzona.

Baron uczynił niechętny ruch ręką, który miał oznaczać, że dotychczas niczego nie osiągnęli.

Wówczas Halima rzuciła się na szyję Omarowi. Obsypała go pocałunkami i zawołała w radosnym podnieceniu: — Allah tak chciał. Taka jest wola Allaha!

Początkowo nikt nie rozumiał, a już najmniej Omar, co się dzieje. Dopiero kiedy Halima się uspokoiła i opowiedziała o ostrzeżeniach Hartfielda, miny ich się zmieniły. Baron okazywał nieufność i wyraził wątpliwość, czy to nie jest podstęp profesora, aby ich powstrzymać przed dalszymi poszukiwaniami; ale Omar i Nagib zwrócili uwagę na jego stan i stwierdzili, że człowiek w jego nastroju nie jest zdolny do takich wybiegów. W każdym razie zgodzili się, aby wracać do Gizy i porozmawiać z Hartfieldem.

Przed hotelem „Mena House” czekał Hassan. Sprawiał

wrażenie wzburzonego.

—
Był tu ten Carlyle — szepnął Omarowi.

—
Carlyle? — Omar był tak zaskoczony, że nie mógł

nic więcej powiedzieć.

—
W pośpiechu opuścił hotel; ale najdziwniejsze, że nie zauważyłem, kiedy przybył. A mojej uwagi, jak wiesz, nic nie ujdzie. — Kaleka podniósł w górę ręce.

Podczas gdy Omar próbował znaleźć wytłumaczenie nieoczekiwanego pojawienia się Carlyle’a, Nagib trącił go w bok i powiedział: — Chodź!

Pobiegli szerokimi kamiennymi schodami na pierwsze piętro do pokoju profesora.

Hartfield leżał na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Jego nogi zdrętwiały w skurczu. Prawa dłoń była zaciśnięta na piersi, lewa zwisała

bezwładnie z krawędzi łóżka. Koło łóżka leżał powróż z podwójnymi supłami na końcach, taki jakich używają poganiacze wielbłądów. Hartfield nic żył. Został uduszony.

Von Nostitz i Halima weszli do pokoju. Nikt nie powiedział

ani słowa. Smutek i wściekłość ogarnęły Omara. Wściekłość, ponieważ nie miał wątpliwości, kto był mordercą.

Ale każdy morderca popełnia jakiś błąd, a w tym wypadku przeoczył niepozornego czyścibuta siedzącego przed hotelem.

—
Trzeba zawiadomić policję — powiedział Omar.

Von Nostitz skinął głową.

Omar podszedł do łóżka i próbował wyprostować ręce i nogi zmarłego. Pięść na jego piersi była sztywna i Omar miał

trudności z wyprostowaniem jej. Wydawało się, jak gdyby ścisnęła medalik, który wisiał na

łańcuszku na szyi; ale kiedy Omar uwolnił go z dłoni profesora, ujrzał mały, ciemny, niemal prostokątny kawałek skorupy. Można było sądzić, że Hartfieldowi w obliczu śmierci zależało tylko na ukryciu tego przedmiotu.

Nagib wziął do ręki wisiołek i długo mu się przyglądał.

Von Nostitz wyczuwał intuicyjnie, o co tu chodzi. Rozpoznał

pismo, które było takie samo jak to na kamieniu z Raszid. A potem stało się coś, czego nikt w tej sytuacji się nie spodziewał: Nagib zaczął się okropnie śmiać. Wobec zmarłego profesora jego spazmatyczny, szyderczy śmiech brzmiał przerażająco, i Omar był gotów dać mu w twarz z powodu tej zuchwałości. Ale Nagib sam pojął niestosowność swego zachowania i ucichł nagle.

—

Trzy słowa — powiedział poważnie — i oto cała tajemnica, nie do wiary.

Baron wyjął kartkę z tłumaczeniem napisu na kamieniu z Raszid, którą stale nosił przy sobie. Podsunął ją Nagibowi pod nos, ale ten nawet nie spojrzał. Znał ten tekst na pamięć.

—

Tłzy słowa! — powtórzył Nagib i wskazał na trzy linijki.

zrównania

aby

pozostała.

—

Ostatnie zdanie na kamieniu z Raszid brzmi: „Z tego powodu my, kapłani z Memfis, ułożyliśmy stos kamieni w miejscu, gdzie kończą się lśniące ramiona Ra, w czasie zrównania dnia z nocą o zachodzie, na wschodnim horyzoncie, aby brama do boga na zawsze pozostała zamknięta.”

Von Nosttt/a /*-.f<>»• /zowal», i<, mei/czejrwane ^r,;c iyu czasu blif/1/Hi w ciemnościach, 4 int*/. t'ii'+vtiwc »*•• !si;< pfiffe /* c/awiw Imhoicph tryh tylko jedna WJo»'!... »i^ra

?■•>• >g*« f/uiaf tu-n A]>o(k/a\/.uchodij U‘;ńc:i ckn *cr.‘

*><<<z;»w*f J A *ię» »ciVir do grobowca Imhotepa zn.

iowaio -uv na

*-■! t-Ma<<!

nic w tym miejscu, ed/ir. k'.f.</.\i '■:< >>n rw-k/ai .fma / ü-

k;*

c/y/i 21 marca aJbo 2.'1- WiAte kt<*ic ĵiO»M«K- «meb k»»»»*■•«•• n.i myśli? Wiosenne c/y '

Czy wiecie, j«ki mamy t/Mwaj ' v.! ' ĵmn i to/r|rsal się dokoła

Nagib .xin<*ł głową, Omar i ■ :rag»»»*it l><> tesienego

/równaniu dnia z «<*4 brakowało naec* d»n -\k *«'»:' to tos/cze interesowało? DU całej trojki
sf>rij*j bvto Dia cak|

tioiki stało sit,' jasne, /t.l tajemnice. k.f ;c «.»• wymagają rozwiązania, i py- la/na. które riu
jxitrzebuj.t • Hj('.»*tedz>, tajemnice i pytania, które są pi /c/mu /twe <ila wie-. /tu ><u Omai
z.mteMowił «.1 r»<- >'■ ■ r> • K.

w Gizie. Opowie

dział o ucznnych sprawk.ich V.midma Caihka 1 siostrzenicy Hart- fieltl» A111.1111 pourice, 1 • t>m.
/e Carlvka widziano bezpośrednio po morderstwie, j.ti. w pośpiechu opuszczał

hotel. Pościg dopadł Car- lyle'ii w „Hotel d'On-:nt: w pobliżu ogrodu Fsbekija, w eleganckiej
dzielnicy, gdzie najc/t-sziej mieszkali Anglicy Omar zidentyfikował Car- lylea, ĵl I lavsait zaświa*i.
:<ył, /e widział, jak m<zczynna opuszczał „Mena I loilSe".

Kiedy Omar usnął oskarżonemu 1 *kiekłością prosto w twarz, że zamoidował llarttielda, aby wraz /
jego >-

K>*»fzenicą podzielić się majątkiem, wtedy (arlyle Mię załam »I. (egu nerwy me mogły znieść
ciężaru tak strasznego czynu i wyznał, ie Mrs. Douocc namówiła go do tego przestępstwa, gro>ąc, ze
go opuści. A to oznaczałoby dla Carlyle'a koniec, ponieważ nie może ł>ez nie/ żyć.

Dwie sprawy zaprzętały Omara, kiedy jechał odkrytą taksówką z powrotem do hotelu „Mena House":
Po pierwsze, zadawał sobie pytanie, jak można stracić głowę dla takte) lufrazystki jak Amalia
Dounce, Ale jak go życie nauczyło, rozum ludzki jest nieobliczalny, wszystko, co ludzkie, jest
możliwe i nieprzewidywalne. Drugi problem pofcgał na tym, aby uświadomić baronowi, że obecnie
nic chce mieć nic wspólnego ze sprawą, do której baron go zaangażował Pragnął

rozpocząć m*wc zytte z Halimą, możliwie jak najdalej od Sakkary.

Podczas kolacji w „Mena House", na której spotykali mę każdego wieczoru, tym razem brakowało
barona von Nostitza.

Zamieszanie minionych dni tak nim wstrząsnęło, że Omar.

łUlina 1 Nagit» przestali mieć dla niego znaczenie. Kiedy byli przy deserze, słodkiej kfumawe

i r-t u . *t-: 'j • -v*'v * t ««km ru' pc<w>il. Omu a.l»I -i j<1;- .-■> — " ■ >•*

Nic '•* #>•>

» “.Vtwxrv

t. fl. 1

--...iv-H »»». *- - J ‘ » I,,

MM»

n'mvtlr<i K'

V; ii

. kUv\ >tvr%y«u' * f*«'** -iti'jg»,

* : ■ n* jä—«f*.: ■»!<• i,l j i.*>-• WHjj tinhw ,1»', fkm X

*WI pi' *»•

f...- ym ,/f .i **" T ‘ ^• a> ' K j^6 -

ł». Vk ." .ÄJTH

I

'«• ri i.'i.iT- 'i; •*».« ^ U' »—

•Mc ,r- V. .>0».KMr J)**»*•.' *51

I« : • >>*«*! <

baron <ntn

w »> »-»r' ;> >»—;«•» VM «rtnw M

*v.h<K: ! >.KJ p ‘ » Wkikarat StrerW »ww * ^■-“=s'«

wla\nvm

ki>A«>>> i*»l

murowane)

*j a» . > sin® ^ . u 1 *|yn iMiKd)

feUathom jako /: ■ ■ ■ ■ - * 'li i»— «

Klika dni później,

.r^ « p - '• - ■ j wwrvr» m

mm

napis: WiFi /->»rj<Z JKS! /X*ł J!_;-r \

TAM, GDZIE KOŃCZĄ SIĘ ŚLADY

Była to historia Omara Moussy, którą zapisał sam w swoim dzienniku; ale to nie koniec jego historii. Zrezygnował z zapisania jej końca i wydaje mi się, że znam powód jego powściągliwości. Omar pragnął bowiem zapomnieć o całej sprawie.

Z niewielką sumą pieniędzy, którą Gustav-Georg baron von No- stitz-Wallnitz pozostawił jemu, Halimie i Nagibowi w równych częściach, zbudował sobie nową egzystencję. Wrócił

z Halimą do Berlina, przejął na Königstrasse mały sklep antykwaryczny i gdzieś około roku 1930 pobrali się, Nagib pozostał najpierw w Kairze, ale po dwóch latach również przybył do Niemiec i osiedlił się w Düsseldorfie, gdzie w krótkim czasie przepuścił wszystkie pieniądze. Tak naprawdę to Omar i Nagib nigdy nie byli prawdziwymi przyjaciółmi. Los połączył ich w niepojęty sposób, i niewątpliwie tylko to było powodem ich wieloletniego związku. Tylko tym można wytłumaczyć fakt, że ich drogi nieoczekiwanie się rozeszły i że żyli z dala od siebie, choć w tym samym kraju.

Wracając do punktu wyjścia naszej historii, która zaczęła się niepozorną kartką z napisem „MORDERCA nr 73”, muszę znów nawiązać do morderstwa profesora Hartfielda, które pozornie nie ma żadnego związku z tą sprawą — a może jednak?

Po przyznaniu się Williama Carlyle’a do winy, które nastąpiło za sprawą Omara, został on przez egipskie władze sądowe — ponieważ chodziło o morderstwo dokonane przez cudzoziemca na cudzoziemcu — odesłany do Londynu i tam skazany na śmierć. Zamieniono mu jednak karę na dożywotnie więzienie.

Dowiedziałem się o tym w Londynie, na Gloucester Terrace 124, gdzie miałem nadzieję odnaleźć Amalię Dounce, siostrzenicę profesora Hartfielda. Omar opisał mi tak dokładnie dwupiętrowy dom z czasów

wczesnowiktoriańskich, że z łatwością już z daleka go poznałem. Mosiężną tabliczkę z nazwiskiem Hartfield zastąpiono wąską na palec, wykonaną z plastyku z nazwiskiem Clayton, co początkowo nie wzbudziło mojego zdziwienia. Dopiero kiedy otworzyła mi drzwi atrakcyjna kobieta w średnim wieku, stwierdziłem, że chyba już ją gdzieś widziałem; przypomniałem sobie ową Juliet Clayton, którą poznałem w firmie Christie’s i której zachowanie wówczas —

a było to dwa lata temu — stanowiło dla mnie zagadkę.

Wygląd zewnętrzny kobiety (i nie tylko!) zawsze stanowi zagadkę, a niektóre przywiązują szczególną wagę do tego, aby co kilka lat tak się zmieniać za pomocą nowej fryzury, innego makijażu i sposobu bycia, że

ledwie można je poznać; ale tym razem wpadło mi na myśl, że ta elegancka kobieta jest z pewnością siostrą Juliet Clayton. I nie myliłem się.

Nie wspominając Juliet Clayton, oświadczyłem, że znałem Mrs. Dounce, na co dowiedziałem się, że Mrs. Dounce była jej matką i że zmarła przed kilku laty na raka płuc. Amalia Dounce poślubiła w latach trzydziestych niejakiego Herberta Claytona z Sussex i miała z nim dwie córki, Juliet i Sarę.

Sara Clayton żyła samotnie w dużym domu, a kobiety jej stanu, jeśli się pozyska ich zaufanie, potrafią zalać człowieka potokiem słów. Tylko tej okoliczności zawdzięczam cenne informacje, przede wszystkim tę, że małżeństwo jej rodziców trudno było nazwać szczęśliwym, ponieważ mężczyzna o nazwisku Carlyle wciąż stał między nimi. Wprawdzie odsiadywał karę dożywotniego więzienia — Miss Clayton nie chciała się wdawać w szczegóły dotyczące powodów — ale samo wspomnienie tego nazwiska prowadziło zawsze w rodzinie do konfliktów. Wreszcie Carlyle z uwagi na podeszły wiek — dobiegał siedemdziesiątki — został ułaskawiony i natychmiast skierował swe kroki do jej matki. Tego samego dnia Clayton, jej ojciec, opuścił dom; z dnia na dzień zaczął

pić i po pół roku zapił się na śmierć. Carlyle natomiast miał

się znakomicie. Mimo iż spędził pół życia w więzieniu, cieszył się niespożytą energią i traktował obie siostry jak własne córki.

Przyląpałem się na tym, że nie słucham uważnie Miss Clayton. Jej opowiadanie wywołało we mnie cały szereg skojarzeń, i zapytałem ostrożnie, czy darzyły owego Carlyle'a sympatią.

O tak, odpowiedziała Miss Clayton, podkreślając, że ten biedny człowiek odpokutował przecież za swój czyn, a poza tym to była jakaś dawna, mroczna historia, z powodu której został skazany. Następnie dowiedziałem się, że nie tylko często opowiadał o tym wypadku, odniosłem nawet wrażenie, że człowiek ów znał tylko jeden temat, swój „wypadek”, i że to go bez reszty zaprzętało.

Czy Amalia Clayton wspierała go w tym?

Oczywiście.

Również córki?

Owszem, na ile to było możliwe.

Czy wspomniał kiedykolwiek nazwisko Moussy, ważnego świadka?

Na dźwięk tego nazwiska rozmowa nagle się urwała. Miss Sara zapytała, czy jestem z policji i czego właściwie od niej chcę; i tak za dużo mi już {»wiedziała. Przecież wcale mnie nie zna. I kazała mi wyjść.

Co też uczyniłem; ale z kiosku z kwiatami w hotelu

„Gloucester” posłałem jej bukiet z moją wizytówką i kilkoma słowami podziękowania za informacje. Nie potrzebowałem długo czekać i do hotelu zadzwoniła

Sara Clayton. Przepraszała za nieuprzejmość, historia bowiem jest zbyt delikatna, aby tak wprost o niej mówić. Ale ponieważ wygląda na to, że i tak wiem o całej sprawie więcej, niż ona by sobie życzyła, zaprasza mnie nazajutrz na herbatę

— jeśli mam ochotę.

Oczywiście miałem ochotę, a herbata „Whittard Darjeeling first flash”, którą podała, była znakomita. Ale jeszcze bardziej zaskoczyła mnie obecność Juliet Clayton, jej siostry. Kiedy Sara opowiedziała jej

o mojej wizycie, natychmiast sobie mnie przypomniała i zaproponowała to spotkanie, ponieważ bała się, mając na uwadze moją nieustępliwość, że nie spocznę, dopóki nie zgłębię tła tej historii, a fałszywe informacje mogłyby przynieść więcej szkody, niż gdyby mi powiedziała całą prawdę.

W ten sposób dowiedziałem się, co naprawdę zaszło, i na podstawie tych informacji oraz dostępnych mi wyników śledztwa mogłem odtworzyć następujący przebieg wydarzeń: William Carlyle po zwolnieniu z więzienia miał tylko jedno na myśli: zemścić się na Omarze Moussie. Był przekonany, że gdyby nie zeznanie Omara po zabójstwie Hartfielda, uniknąłby kary. Szukał go wiele lat, najpierw w Egipcie, potem w Berlinie, wreszcie dowiedział się, że dom Omara został zbombardowany w czasie wojny, a on sam przeniósł się do Diisseldorfu; jak to często bywa, zasadniczą rolę w tym odkryciu odegrał przypadek.

Juliet rozsyłała katalogi aukcyjne w firmie Christie’s i pewnego dnia natknęła się na nazwisko Omara Moussy, zamieszkałego w Dusseldorfie na Königsallee. Kiedy Carlyle dowiedział się, że Omar kazał zamieścić swoją ofertę w katalogu egipskim, powziął diabelski plan.

Z niewiadomego źródła, znanego mu zapewne z czasów więzienia, zdobył tak zwany zastrzyk śmierci, który paraliżuje krążenie i w ciągu kilku sekund powoduje śmierć. Obie kobiety podkreślały, że nie miały

o niczym pojęcia, szczególnie Juliet zaklinała się na wszystkie świętości, że inaczej nigdy by nie zdradziła, kto kryje się pod numerem 135.

W zamieszaniu podczas aukcji uszło uwagi Juliet, że na sali obecni są dwaj mężczyźni o tym samym nazwisku; albowiem

— jak się później okazało — Omar był od lat śledzony przez rozmaite tajne służby. W sprawie Imhotepa żadna ze służb nie posunęła się ani o krok do przodu; ale Niemcy i Anglicy (Deuxième Bureau zawiesiło swoje poszukiwania) nabrali przekonania, że Omar Moussa wie coś więcej o tej historii.

Zakamuflowaną ofertę wywiadu brytyjskiego w wysokości stu tysięcy funtów Omar odrzucił z

uzasadnieniem, że nie wie, o co chodzi.

Oczywiście Juliet Clayton nie mogła przypuszczać, że ów człowiek z numerem 135 to nie był Omar, tylko agent, który nosił to samo nazwisko, przypuszczalnie dlatego, aby zmylić konkurencyjny wywiad.

Carlyle nic widział Omara blisko pięćdziesiąt lat i tak był

zaślepiiony chęcią zemsty, że nie spostrzegł pomyłki. Po zamachu uciekł do Bristolu do kumpla z więzienia, ale kilka dni później wskutek emocji dostał wylewu i zmarł.

Pytanie, kto napisał kartkę „MORDERCA nr 73” i umieścił

w posążku kotki Bastet, pozostało bez odpowiedzi. Jeśli założyć, że agent brytyjski był w posiadaniu osobistych papierów Omara, w grę wchodziłby agent innego kraju, który obserwował tę scenę. Ale mogło też być całkiem odwrotnie; dla naszej historii nie ma to i tak znaczenia.

Baiernrain, w sierpniu 1990 P.V.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)